



MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER SPRZEDANY DO 24 KRAJÓW!



**JOHN VERDON** WYLICZANKA



**John Verdon**

# **Wyliczanka**

---

Wydawnictwo Otwarte

*Dla Naomi*

# Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Prolog

## I. ZGUBNE WSPOMNIENIA

Działalność artystyczna

Idealna ofiara

Kłopoty w raju

Tak dobrze cię znam, że wiem, co teraz myślisz

Nieprzyjemne możliwości

Krew czerwona jak malowane róże

Czarna dziura

Między młotem a kowadłem

Taka osoba nie figuruje

Idealne miejsce

Duszpasterz

O znaczeniu uczciwości

Nie ma co się obwiniać

Zaangażowanie

Dychotomie

Koniec początku

## II. MAKABRYCZNE GRY

Całkiem sporo krwi

Ślady donikąd

Szumowina

Przyjaciół domu

Priorytety

Wyjaśnienia

Bez śladu

Zbrodnia roku

Pytania do Gurneya

Carte blanche

Nawiązywanie bliższej znajomości z prokuratorem okręgowym

Z powrotem na miejscu zbrodni

Do tyłu

Szmaragdowy Dworek

Rutynowy telefon z Bronksu

### III. POWRÓT DO POCZĄTKÓW

Oczyszczenie

Zmory

Ponury dzień

Wychodząc ostrożnie na światło

Jak po sznurku

Nieszczęścia chodzą parami

Nieprzyjemny sąsiad

Mam cię w nosie, panie sześć pięć osiem

Strzał w ciemno

Z powrotem w realnym świecie

Do góry nogami

Madeleine

Ostateczne argumenty

Aby spoczywać w pokoju, zacznij działać

Prosty plan

Witamy w Wycherly

Dom z historią w tle

Wybić ich do nogi

Powtórne przeszukanie

Karty na stół

Śmierć przed świtem

Koniec i początek

Podziękowania

Karta redakcyjna

## Prolog

– Gdzie byłeś? – spytała stara kobieta siedząca na łóżku. – Chciałam siusiu, a nikt nie przychodził.

Nieporuszony jej utyskiwaniem, młody człowiek stanął u wezłowania łóżka, uśmiechając się szeroko.

– Chciałam siusiu – powtórzyła niepewnie, jakby sama nie wiedziała, co znaczą te słowa.

– Mam dobre wiadomości, mam – powiedział mężczyzna. – Niedługo wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie tak, jak być powinno.

– Dokąd ty chodzisz, jak mnie zostawiasz? – głos znów miała ostrzejszy, bardziej kłótlivy.

– Niedaleko, mam. Wiesz dobrze, że niedaleko.

– Nie lubię być sama.

Jego uśmiech był teraz jeszcze szerszy, niemal jak uśmiech świętego.

– Niedługo wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie tak, jak być powinno. Uwierz mi, mam. Znalazłem sposób, jak to wszystko załatwić. To, co zabrał, odda, kiedy dostanie, co dał.

– Piszesz takie piękne wiersze.

W pokoju nie było okien. Boczne światło padające z lampy stojącej przy łóżku – jedyne źródło światła – rozjaśniało grubą, zawężoną szramę na gardle kobiety i cienie pod oczami jej syna.

– Pójdziemy potańczyć? – spytała, patrząc na coś za nim, a nawet za ciemną ścianą wyrastającą za jego plecami, na coś radośniejszego i jaśniejszego.

– Oczywiście, mam. Wszystko będzie przepięknie.

– Gdzie jest moja mała Kaczka Kwa?

– Jest tu, przy tobie, mam.

– Czy Kaczka Kwa przyjdzie do łóżeczka?

– Na dobranoc, żeby ci powiedzieć: „słodkich snów”.

*– Muszę siusiu – powiedziała kobieta niemal kokieteryjnie.*

CZĘŚĆ I

ZGUBNE WSPOMNIENIA



## Działalność artystyczna

Jason Strunk, jeśli wierzyć osobom, które podjęły się próby opisanie tej postaci, był człowiekiem niczym się niewyróżniającym, nijakim trzydziestokilkulatkiem, dla sąsiadów niemal przezroczystym, a podobno również bardzo cichym, bo nikt nie mógł sobie przypomnieć nawet jednego zdania, które Jason wypowiedział. Sąsiedzi nie byli pewni, czy w ogóle się odzywał. Może czasem skinął komuś głową, powiedział „dzień dobry”, może mruknął coś pod nosem. Trudno powiedzieć.

Początkowo wszyscy konwencjonalnie wyrażali zdumienie, a przez jakiś czas nawet niedowierzanie, usłyszawszy rewelacje o tym, jakoby pan Strunk był obsesyjnym mordercą wąsatych mężczyzn w średnim wieku i miał wyjątkowo niepokojące preferencje co do sposobu pozbywania się ciał – ciał je bowiem na niewielkie fragmenty, pakował w kolorowy papier i wysyłał pocztą do funkcjonariuszy miejscowej policji jako prezenty na Boże Narodzenie.

\*

Dave Gurney przyglądał się uważnie spokojnej, pozbawionej zdecydowanej barwy twarzy Jasona Strunka – a właściwie jej fotografii przechowywanej w centralnym archiwum policji, która wpatrywała się w niego z ekranu komputera. Zdjęcie z kartoteki policyjnej powiększono tak, by twarz miała naturalne rozmiary, a na granicach ekranu otaczały je ikony narzędzi programu Adobe PhotoShop, który pozwalał na bardzo kreatywny retusz fotografii – jego tajniki Gurney dopiero opanowywał.

Gurney dotknął pokręta regulacji kontrastu ekranu, rozjaśniając źrenicę prawego oka Strunka, kliknął myszką, a następnie przyjrzał się małemu, zmienionemu polu, które właśnie stworzył.

Lepiej, ale to wciąż nie to.

Usta i oczy były zawsze najtrudniejsze – oczy to okna duszy. Niekiedy godzinami eksperymentował z położeniem i intensywnością nieznacznego rozjaśnienia obrazu, ale w efekcie zawsze uzyskiwał coś, co nie wyglądało tak, jak powinno, a na pewno nie było dość dobre, by pokazać Sonii, a już z pewnością nie Madeleine.

Jeżeli chodzi o oczy, to właśnie one najintensywniej wyrażały ukryte napięcie, wewnętrzną sprzeczność – nic niewyrażającą nijakość, z niepokojącym akcentem okrucieństwa, jaki Gurney tak często dostrzegał w twarzach morderców, z którymi miał okazję spędzić więcej czasu.

Po raz pierwszy udało mu się odpowiednio uchwycić takie spojrzenie dzięki cierpliwej manipulacji zdjęciem twarzy Jorgego Kunzmana (magazyniera ze sklepu Walmart, który zawsze trzymał w lodówce głowę dziewczyny, z którą ostatnio był na randce, do dnia, kiedy mógł ją zastąpić nowszą zdobyczą). Był zadowolony z efektu niepokojąco dobrze przekazującego głęboką pustkę błakającą się po znużonej twarzy pana Kunzmana, a silna reakcja Sonii i lawina pochwał z jej strony, umocniły go w tym poczuciu. To właśnie dzięki tej reakcji, a także dzięki niespodziewanej sprzedaży fotograficznego dzieła sztuki jednemu ze znanych kolekcjonerów odwiedzających wystawy Sonii, poczuł motywację do stworzenia serii artystycznie retuszowanych zdjęć. Ekspozycja „Portrety morderców autorstwa człowieka, który ich ujął” mieściła się w niewielkiej, lecz drogiej galerii sztuki w mieście Ithaca.

\*

Jak to się stało, że detektyw z nowojorskiego wydziału zabójstw, który niedawno przeszedł na emeryturę i w przeszłości niedwuznacznie wyrażał brak zainteresowania sztuką w ogóle, a sztuką modną w szczególności, ponadto czuł głęboką niechęć do sławy i popularności, mógł nagle pojawić się w szykownej galerii sztuki uniwersyteckiego miasta, wystawiając tam swoje dzieła, o których krytycy pisali, że są „przenikliwą mieszanką brutalnie surowych fotografii, dogłębnego oglądu psychologicznego i mistrzowskiej manipulacji grafiką”? Na to pytanie istniały dwie odpowiedzi

– jego własna i jego żony.

Zgodnie z jego wersją wszystko zaczęło się od tego, że Madeleine namawiała go do zapisania się na kurs w muzeum w Cooperstown, służący pogłębianiu wiedzy o sztuce malarstwa i grafiki, na który sama chciała pójść. Tygodniami nie mogła go wyciągnąć – z warsztatu w ogrodzie, z domu, z jego własnej duszy, nakłonić go do tego, żeby po prostu wyszedł gdzieś na zewnątrz. On zaś nauczył się, że najlepszym sposobem panowania nad własnym czasem jest strategia okresowych kapitulacji. Kurs był jednym z tych strategicznych posunięć, a chociaż skóra cierpła mu na samą myśl, że będzie musiał siedzieć w muzeum i tego wszystkiego wysłuchiwać, to jednak miał nadzieję, że dzięki temu przynajmniej przez miesiąc lub dwa uniknie kolejnych nacisków. Nie chodzi o to, że był typem, którego nie można ruszyć z kanapy – od tego był jak najdalszy. W wieku czterdziestu siedmiu lat wciąż potrafił zrobić pięćdziesiąt pompek, pięćdziesiąt przysiadów i pięćdziesiąt razy podciągnąć się na drążku. Po prostu nie lubił pojawiać się w miejscach, których nie znał.

Kurs jednak okazał się wielką niespodzianką – a właściwie trzema niespodziankami w jednej. Przede wszystkim, wbrew obawom, że największym wyzwaniem będzie dla niego to, by nie zasnąć, okazało się, że prowadząca kurs Sonia Reynolds, właścicielka galerii i znana w całym regionie malarka, była fantastyczna. Nie była to kobieta o konwencjonalnej urodzie, nawet nie w stylu północnoeuropejskiej piękności Catherine Deneuve. Miała zbyt pełne usta, za bardzo wydatne kości policzkowe i za duży nos. Jednak w jakiś przedziwny sposób te niedoskonałości stwarzały wyjątkowo imponującą całość i komponowały się znakomicie z ogromnymi oczami o ciemnozielonym, lekko przydymionym kolorze, oraz z jej sposobem bycia – luzackim i naturalnie zmysłowym. W jej grupie nie było wielu mężczyzn, tylko sześciu na dwadzieścioro sześcioro kursantów, ale żaden z nich ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

Drugą niespodzianką była jego własna pozytywna reakcja na kurs. Sonia poświęcała sporo czasu dziełom sztuki, u których podstaw leżała fotografia, ponieważ sama szczególnie się tym interesowała – fotografią

przekształconą w obrazy znacznie silniej przemawiające do widza niż oryginały.

Trzecia niespodzianka spotkała go w trzecim tygodniu dwunastotygodniowego kursu. Tego wieczoru Sonia entuzjastycznie komentowała odbitki na jedwabiu wykonane przez jakiegoś współczesnego malarza, które powstały na bazie prześwietlonych portretów fotograficznych. Kiedy Gurney przyglądał się tym odbitkom, przyszło mu na myśl, że może skorzystać z niezwykłych zasobów, do których miał dostęp i które mógłby ukazać z bardzo szczególnej perspektywy. Ta myśl była dziwnie ekscytująca. Ostatnią rzeczą, której przed rozpoczęciem kursu wiedzy o sztuce się spodziewał, było to, że będzie czuł jakiegokolwiek emocje.

Kiedy ta idea przyszła mu do głowy – poprawianie, rozjaśnianie, powiększanie zdjęć twarzy z kartoteki policyjnej, a zwłaszcza zdjęć morderców w ten sposób, by uchwycić i przekazać okrucieństwo bestii, których w swojej karierze wiele widział, śledził i przechytrzał – zakorzeniła się na dobre w jego umyśle i poświęcał jej więcej uwagi, niż chciałby się do tego przyznać. Był w końcu człowiekiem bardzo ostrożnym, który potrafi dostrzec obie strony medalu, niedoskonałość wszelkich myśli i przekonań, naiwność w każdym przejawie entuzjazmu.

\*

Kiedy w ten jasny, październikowy poranek Gurney pracował przy biurku w swoim warsztacie, retuszując zdjęcie Jasona Strunka, to niełatwe, choć przyjemne zadanie przerwał odgłos upadania czegoś, co ktoś zrzucił na podłogę tuż za nim.

– Zostawiam je tutaj – powiedziała Madeleine Gurney tonem, który dla kogoś obcego mógłby zabrzmieć zwyczajnie, lecz dla jej męża był pełen napięcia.

Obejrzał się przez ramię i zmrużył oczy na widok niewielkiego jutowego worka, opartego o drzwi.

– Co zostawiasz? – spytał, choć znał już odpowiedź.

– Tulipany – powiedziała Madeleine tym samym tonem.

– To znaczy cebulki?

To było głupie pytanie, bo oboje wiedzieli, że nie kwiaty. Chodziło wyłącznie o wyrażenie irytacji, bo Madeleine chciała, żeby robił coś, na co nie miał ochoty.

– A co mam tu niby z nimi zrobić?

– Przynieś je do ogrodu. Pomóż mi je zasadzić.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wykazać braku logiki w jej geście przyniesienia do domu czegoś, co za chwilę trzeba będzie wynieść do ogrodu, ale postanowił zachować to spostrzeżenie dla siebie.

– Jak tylko z tym skończę – powiedział z lekką niechęcią w głosie. Zdawał sobie sprawę, że sadzenie cebulek tulipanów w cudowny, prześwietlony złotem jesienny dzień w ogrodzie na zboczu wzgórza, z którego rozciągał się widok na karmazynowo-żółte lasy i szmaragdowe pastwiska pod niebem koloru kobaltu, nie było uciążliwym wyzwaniem. Po prostu nie znosił, kiedy mu ktoś przerywał. A jego reakcja na to, że ktoś mu przeszkadza – tak sam sobie mówił – była efektem ubocznym czegoś, co stanowiło jego największą siłę – logicznego, czystego umysłu prowadzącego myśli prostymi torami, dzięki czemu odnosił tyle sukcesów jako detektyw – był to umysł zdolny dostrzec najmniejszy uszczerbek w spójności historii opowiadanej przez podejrzanego, pęknięcie zbyt małe, by ktoś inny je zauważył.

Madeleine zajrzała mu przez ramię na ekran komputera.

– Jak możesz pracować nad czymś tak ohydny w taki dzień jak dzisiaj?

– zapytała, obracając się na pięcie.

## Idealna ofiara

David i Madeleine Gurney mieszkali na solidnej, dziewiętnastowiecznej farmie, posadowionej na skraju odciętego od świata pastwiska, na końcu drogi prowadzącej ku wzgórzom w hrabstwie Delaware, osiem kilometrów od granicy miasteczka Walnut Crossing. Pastwisko o powierzchni czterech hektarów otaczały lasy i zagajniki, w których rosły klony, wiśnie i dęby.

Dom zachował dawną prostotę architektoniczną. W ciągu roku Gurneyowie doprowadzili budynek do stanu znacznie bardziej zbliżonego do oryginału w porównaniu ze zmianami wprowadzonymi przez poprzednich właścicieli – wymienili na przykład pozbawione wyrazu aluminiowe ramy okienne na drewniane w starym stylu, które dzieliły wpadające do wnętrza pomieszczeń światło w sposób oddający atmosferę poprzedniego wieku. Nie zrobili tego z powodu jakiejś manii na punkcie autentyczności historycznej, ale uznając, że taka estetyka jest po prostu właściwa. To, jak własny dom powinien wyglądać i jak człowiek powinien się w nim czuć, było jedną z niewielu rzeczy, w których Madeleine i David się całkowicie zgadzali – lista takich rzeczy ostatnio gwałtownie się skracała.

Myśl, która dręczyła Gurneya cały dzień, psuła mu nastrój, a wzmocniona komentarzem żony o tym, jak brzydki jest portret, nad którym pracuje, stała się jeszcze bardziej natarczywa. Nie potrafił się z niej otrząsnąć nawet po południu, kiedy po zasadzeniu wszystkich cebulek tulipanów na wpół drzemiąc na swoim ulubionym ogrodowym drewnianym fotelu z szerokim oparciem, usłyszał przez sen, jak Madeleine zbliża się w jego kierunku przez trawę sięgającą kostek. Kiedy kroki ucichły przed jego fotelem, otworzył jedno oko.

– Jak uważasz? – spytała spokojnym głosem, jakby od niechcienia. – Czy już za późno, żeby wyciągnąć canoe? – Ton jej głosu umieszczał te słowa gdzieś między pytaniem a wyzwaniem.



Madeleine była szczupłą, wysportowaną czterdziestopięciolatką, którą można bez trudu wziąć za kobietę trzydziestopięcioletnią. Miała szczere i spokojne spojrzenie, realistycznie oceniające rzeczywistość oczy. Długie, kasztanowe włosy były – prócz paru niesfornych kosmyków – gładko upięte pod słomkowym kapeluszem z szerokim rondem.

Odpowiedział pytaniem, które wyłoniło się z natłoku jego własnych myśli. – Uważasz, że naprawdę jest taki ohydny?

– Oczywiście, że jest ohydny – odparła bez chwili wahania. – Czy nie tak właśnie miało być?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad jej odpowiedzią.

– Masz na myśli portret? – spytał.

– Cóż innego mogłabym mieć na myśli?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Wyczułem w twoim głosie lekką pogardę, zarówno wobec sposobu opracowania zdjęcia, jak i jego tematu.

– Przepraszam.

Nie powiedziała tego „przepraszająco”. Już miał jej to wytknąć, kiedy zmieniła temat.

– Cieszysz się na spotkanie kolegi ze studiów?

– Nie bardzo – odparł, sadowiąc się głębiej w fotelu. – Niechętnie wracam do wspomnień.

– Może ma dla ciebie do rozwiązania jakąś zagadkę kryminalną?

Gurney spojrzał na żonę i przyglądał się przez chwilę jej nieprzeniknionej twarzy. – Uważasz, że czekam na coś takiego? – spytał bez emocji.

– Przecież jesteś słynnym detektywem. – W jej głosie uchwycił zapowiedź nadchodzącej burzy.

W ciągu ostatnich paru miesięcy był świadkiem takich zmian nastroju na tyle często, że sądził, iż rozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Oboje mieli zupełnie inne wyobrażenie tego, jak powinna wyglądać emerytura policjanta, jakich zmian muszą dokonać w swoim życiu, a w szczególności jak ma to wpłynąć na niego samego. Także ostatnio wokół jego nowego hobby zaczęła narastać nieprzyjemna atmosfera – Madeleine

nieprzychylnie odnosiła się do projektu portretów morderców, który zajmował mu tyle czasu, a on podejrzewał, że jej niechętna postawa może częściowo wynikać z entuzjazmu Sonii.

– Wiedziałaś, że on też jest sławny? – spytała.

– Kto taki?

– Twój kolega ze studiów.

– Nie, nie wiedziałem. Wspomniał w rozmowie telefonicznej o tym, że pisze książkę, sprawdziłem to też w internecie. Nie sądziłem jednak, że jest sławny.

– Dwie książki – poprawiła go Madeleine. – Jest dyrektorem jakiegoś instytutu w Peony i wygłosił cykl odczytów w telewizji edukacyjnej. Wydrukowałam ci kopie okładek książek. Może byś się im przyjrzał.

– Przypuszczam, że powie mi wszystko to, co powinienem usłyszeć na temat jego i jego książek. Kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, nie wydał mi się wcale nieśmiały.

– Rób, jak chcesz. Wydruki czekają na twoim biurku, jeśli zmienisz zdanie. *À propos*, Kyle dzwonił jakiś czas temu.

Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

– Powiedziałaś, że oddzwonisz.

– Dlaczego mnie nie zawołałaś? – spytał głosem bardziej zduszonym, niżby tego chciał. Jego syn nieczęsto dzwonił.

– Spytałam, czy mam cię zawołać. Powiedział, że to nic pilnego, że nie chce ci przeszkadzać.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie.

Odwróciła się i ruszyła przez gęstą, mokrą trawę w kierunku domu. Kiedy dotarła do bocznego wejścia i położyła dłoń na klamce, coś sobie przypomniała, odwróciła się w jego kierunku i powiedziała z przesadnym zdumieniem:

– Wyczytałam na okładce książki, że twój stary kolega ze studiów to jakiś święty, idealny pod każdym względem. Guru przyzwoitego zachowania. Trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego miałby szukać rady u



detektywa z wydziału zabójstw.

– Emerytowanego detektywa z wydziału zabójstw – poprawił ją Gurney.

Jej już jednak nie było, znikła w głębi domu, głośno zatrzaskując za sobą drzwi.

## Kłopoty w raju

Kolejny dzień był jeszcze piękniejszy i doskonalszy niż poprzedni. Czysta esencja października, jak z kalendarza o Nowej Anglii. Gurney wstał o siódmej rano, wziął prysznic i ogolił się, założył dzinsy i lekką, bawełnianą bluzę. Teraz pił kawę, siedząc w drewnianym fotelu na patio z błękitnego kamienia, znajdującym się na poziomie parteru tuż przed sypialnią. Patio i prowadzące na nie drzwi balkonowe zostały dobudowane na prośbę Madeleine, która miała świetne wyczucie tego, co jest możliwe i właściwe. Była w tym naprawdę dobra. Ta cecha uosabiała jej atuty – optymizm, praktyczną wyobraźnię, niezmiennie dobry gust. Kiedy jednak David wplątywał się w zasieki na obszarach niezgody – w kolczaste gałęzie oczekiwań, które u obojga bardzo się różniły, z trudem znajdował siłę, żeby dostrzegać u swojej żony pozytywne cechy.

Nie wolno mu zapomnieć, że ma oddzwonić do Kyle'a. Będzie musiał odczekać trzy godziny, bo taka właśnie jest różnica czasu między Walnut Crossing a Seattle. Umościł się wygodniej w fotelu, otulając dłońmi kubek ciepłej kawy.

Spojrzał na cienką tekturową teczkę, którą przyniósł tu razem z kawą, i próbował sobie wyobrazić, jak teraz wygląda jego szkolny kolega. Nie widział go dwadzieścia pięć lat. Zdjęcie, którym opatrzone były okładki książek, wydrukowane przez Madeleine ze strony internetowej księgarni, odświeżyło jego wspomnienia nie tylko co do twarzy, ale i co do osobowości kolegi – przypomniał sobie nawet barwę jego głosu, lekki irlandzki akcent i uśmiech, który był niewiarygodnie czarujący.

Podczas studiów, kiedy mieszkali w kampusie Rose Hill w Bronksie, Mark Mellery miał reputację oryginała. Jego humory, mówienie wszystkim prawdy w oczy, nieokiełznaną energię i ambicję zasnuwał cień czegoś bardziej mrocznego. Miał skłonność do stąpania bardzo blisko krawędzi – był kimś w rodzaju geniusza poślizgów, jednocześnie beztroskiego w tym,

co robi, i ściśle kalkulującego, zawsze na granicy upadku.

Życiorys, który umieścił na swojej stronie internetowej, wskazywał jednak, że nie upadł, a wręcz przeciwnie – po trudnych latach młodości, przed trzydziestką kierunek jego życia zmienił się gwałtownie dzięki jakiejś niezwyklej przemianie duchowej.

Gurney odstawił ostrożnie kubek z kawą na wąskie drewniane oparcie fotela ogrodowego, otworzył folder, wyjął wydruk e-maila, którego dostał przed tygodniem od Mellery'ego, i raz jeszcze dokładnie go przeczytał, linijka po linijce.

*Witaj Dave,*

*mam nadzieję, że nie pogniewasz się, że Twój stary kolega z uczelni odzywa się nagle po latach tak ni z gruszki, ni z pietruszki. Człowiek nie może się spodziewać, co mu wyobraźnia podpowie, kiedy usłyszy głos z przeszłości. Cały czas jestem w kontakcie z naszym środowiskiem studenckim, od lat biorę udział w spotkaniach zrzeszenia absolwentów i śledzę publikowane przez nich wiadomości o ludziach z naszej grupy. Nieraz czułem prawdziwą dumę, czytając o Twoich niezwyklej osiągnięciach i szacunku, jakim się cieszysz. (W jednym z artykułów naszego biuletynu studenckiego nazwano Cię „najczęściej honorowanym odznaczeniami detektywem nowojorskiej policji”, co mnie jakoś szczególnie nie zdziwiło, bo pamiętam Dave'a Gurneya z czasów studenckich!) Mniej więcej rok temu przeczytałem, że przeszedłeś na policyjną emeryturę i przeniósłeś się tutaj, do hrabstwa Delaware. Zwróciło to moją uwagę, bo tak się składa, że ja mieszkam w Peony – rzut beretem, jak mówią. Wątpię, żebyś słyszał o tym miejscu, ale teraz prowadzę tam coś w rodzaju centrum medytacji, które nazywa się oficjalnie Instytutem Odnowy Duchowej – trochę napuszona nazwa, wiem, ale w rzeczywistości robimy tu rzeczy bardzo zwyczajne.*

*Chociaż przez te wszystkie lata często myślałem, że spotkanie z Tobą sprawiłoby mi ogromną przyjemność, to dopiero teraz pewna niepokojąca sytuacja posłuży mi za pretekst. I dlatego piszę. Zdarzyło się coś i muszę się*

*zwrócić do Ciebie po radę. Bardzo chciałbym wpaść do Ciebie na chwilę. Jeżeli poświęcisz mi pół godziny, przyjadę do Ciebie do Walnut Crossing – lub też w inne miejsce, które według Ciebie będzie odpowiednie na takie spotkanie.*

*Pamiętam nasze rozmowy na kampusie, nawet te dłuższe rozmowy w barze Pod Koniczynką, że nie wspomnę o Twoich wybitnych doświadczeniach zawodowych – to wszystko mówi mi, iż jesteś właściwą osobą, z którą chciałbym porozmawiać o sprawie, która mnie tak niepokoi. Twoje chłodne spojrzenie i zdolność dostrzegania szczegółów, które wszystkim umykają, stanowią wielką siłę. Kiedy o Tobie myślę, kojarzysz mi się z perfekcyjną logiką i krystalicznie czystym wywodem – a te cechy potrzebne mi są teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zadzwoń do Ciebie w ciągu kilku dni pod numer, który zamieszcza na liście kontaktów nasze zrzeszenie studenckie – mam nadzieję, że jest aktualny i że nie będziesz miał nic przeciwko temu.*

*Wspominając stare dobre czasy,*

*Mark Mellery*

*PS Nawet jeżeli tylko zadumasz się nad tym problemem, tak jak ja się nad nim zadumałem, i nie będziesz mógł mi nic poradzić, i tak z przyjemnością się z Tobą zobaczę.*

Mark zadzwonił dwa dni później. Gurney natychmiast rozpoznał głos kolegi, dziwnie niezmieniony, zabarwiony jedynie lekkim niepokojem.

Mellery zaczął od usprawiedliwiania się, dlaczego wcześniej się nie odzywał, ale szybko przeszedł do rzeczy. Czy mógłby się z Gurneyem zobaczyć w ciągu najbliższych kilku dni? Im szybciej, tym lepiej, ponieważ „sytuacja” stawała się coraz poważniejsza. Znowu coś się „wydarzyło”. Naprawdę trudno o tym mówić przez telefon, a Gurney na pewno to zrozumie, kiedy się spotkają. Było coś, co Mellery musiał mu pokazać. Nie, to nie sprawa dla miejscowej policji, a z jakiego powodu, to wyjaśni, kiedy przyjdzie. Nie, nie chodziło o naruszenie prawa, przynajmniej jeszcze nie.

Nie popełniono żadnego przestępstwa ani nikt nie otrzymywał konkretnych pogrózek – trudno cokolwiek udowodnić. Boże, tak trudno o tym mówić przez telefon, znacznie łatwiej byłoby porozmawiać w cztery oczy. Tak, on sobie zdaje sprawę z tego, że Gurney nie jest prywatnym detektywem. Ale chodzi tylko o pół godziny – czy poświęci mu te pół godziny?

Gurney od początku miał mieszane uczucia, ale w końcu się zgodził. Ciekawość okazała się silniejsza od niechęci; w tym przypadku zaciekawiał go przebłysk hysterii, która dość wyraźnie ujawniała się w słodkich i okrągłych słowach Mellery’ego. I oczywiście obietnica zagadki do rozwiązania – ta okazała się znacznie bardziej atrakcyjna, niż sam chciałby przed sobą przyznać.

\*

Przeczytawszy e-maila po raz trzeci, Gurney odłożył go do tekturowej teczki i zagłębił się we wspomnieniach – na porannych zajęciach Mellery zawsze wyglądał na skacowanego i znudzonego, ale po południu powoli wracał do życia. Przypominał sobie przebłyski jego dzikiego, irlandzkiego humoru nad ranem, po kolejnej szklaneczce whisky. Miał naturalne zdolności aktorskie, był niekwestionowaną gwiazdą studenckiego teatru – chłopak, który, choć tryskał energią w barze Pod Koniczynką, na scenie miał jej jeszcze więcej. Był człowiekiem uzależnionym od publiczności – człowiekiem, który rósł o parę centymetrów w światłach rampy i pełnych podziwu spojrzeniach widzów.

Gurney otworzył teczkę i raz jeszcze przyjrzał się wydrukowi e-maila. Niepokoił go nieco opis ich relacji. Spotykali się z Mellerym znacznie rzadziej, a te kontakty były mniej znaczące i przyjazne, niż mogłoby to wynikać ze słów kolegi ze studiów. Miał jednak wrażenie, że autor e-maila ostrożnie dobierał słowa, że pomimo prostoty wypowiedzi, wiadomość pisał parokrotnie i edytował, zastanawiał się, usuwał i dopisywał, a pochlebstwo, jak wszystko inne w tym komunikacie, było celowe. Po co jednak chciał się wkraść w jego łaski? Cel, który rzucał się na pierwszy rzut oka, to sprawić, żeby Gurney zgodził się na spotkanie i pozwolił wciągnąć się w próbę

rozwiązania „zagadki”, którą zapowiadał e-mail. Trudno było wywnioskować cokolwiek ponadto. Problem był dla Mellery’ego czymś bezsprzecznie ważnym, co wyjaśniało czas i uwagę, którą poświęcił płynności wypowiedzi, uczuciom, które przekazywały zdania i akapity, wypełnione mieszanką ciepła i poczucia nieszczęścia.

Była jeszcze jedna, mniej istotna kwestia, związana z tym „PS”. Oprócz lekkiego przekomarzania się z nim, że być może zagadka go przerośnie, dopisek spowodował, że Gurney łatwo się nie wywinie, stwierdzając chociażby, że nie jest prywatnym detektywem, bo to by się i tak na nic nie zdało. Końcowe słowa sprawiły, że odmowa spotkania ze starym przyjacielem byłaby czymś nieprzyjemnym i szorstkim.

Tak, list był bardzo wyważony i dobrze skonstruowany.

Ostrożność. To coś nowego, prawda? Z pewnością nie fundament osobowości starego Marka Mellery’ego. Ta zmiana, która wyraźnie ujawniała się w tekście, zainteresowała Gurneya.

O wilku mowa. Madeleine weszła tylnymi drzwiami i przeszła dwie trzecie drogi do miejsca, w którym siedział.

– Jest już twój gość – powiedziała bez entuzjazmu.

– Gdzie jest?

– W naszym domu.

Opuścił oczy. Wzdłuż oparcia drewnianego fotela zygzakiem wędrowała mrówka. Pstryknął palcami i mrówka spadła.

– Poproś, żeby tu przyszedł – powiedział. – Jest zbyt ładnie, żeby siedzieć w domu.

– Prawda? – powiedziała w ten sposób, że w tym słowie był zarówno ból, jak i ironia. – *À propos*, on wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu z okładki książki, a nawet jeszcze bardziej.

– Nawet jeszcze bardziej? Co masz na myśli?

Madeleine szła już w kierunku domu, nie odpowiedziawszy na jego pytanie.

## Tak dobrze cię znam, że wiem, co teraz myślisz

Mark Mellery podążał wielkimi krokami przez miękką trawę. Zbliżał się do Gurneya tak, jakby chciał go objąć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Davidku! – krzyknął, wyciągając rękę.

„Davidku?”, zdziwił się Gurney, nic nie odpowiadając.

– Mój Boże! – mówił dalej Mellery. – Nic się nie zmieniłeś! Boże, jak się cieszę, że cię widzę! Świetnie wyglądasz, nie zmieniłeś się ani trochę! Dave, Davidek Gurney! Dziewczyny na uniwersytecie mówiły, że przypominasz Roberta Redforda w tym filmie *Wszyscy ludzie prezydenta*. I rzeczywiście wciąż tak wyglądasz, dokładnie tak samo! Gdybym nie wiedział, że masz czterdzieści siedem lat tak jak ja, nie dałbym ci więcej niż trzydziestkę!

Ujął dłoń Gurneya w obie ręce, jakby trzymał drogocenny klejnot.

– Jadąc tutaj dzisiaj z Peony, przypomniałem sobie, jaki zawsze byłeś opanowany i spokojny. Oaza spokoju. Właśnie, zawsze byłeś oazą spokoju! I wciąż masz to samo spojrzenie. David Gurney, spokojny, opanowany i chłodny, a do tego najbystrzejszy umysł w mieście. Jak się masz?

– Nieźle – odparł Gurney, uwalniając dłoń z uścisku i przemawiając głosem wypranym z emocji, aby skonstrastować dobitniej poruszenie w głosie Mellery’ego. – Nie narzekam.

– Nieźle... – Mellery akcentował sylaby tego słowa, jakby starał się sobie przypomnieć znaczenie zapomnianego hasła. – Ładnie tu mieszkasz. Bardzo ładnie.

– Madeleine ma dobry gust – potwierdził Gurney. – Usiądziemy? – Wskazał dwa drewniane fotele ogrodowe, stojące naprzeciwko siebie pomiędzy jabłonią a karmnikiem dla ptaków.

Mellery ruszył we wskazanym kierunku, lecz po chwili się zatrzymał.

– Coś miałem ze sobą...



– Może to? – Madeleine szła w ich kierunku od strony domu, trzymając elegancką skórzaną aktówkę. Z pozoru skromną, ale bardzo drogą, jak wszystko w wyglądzie Mellery’ego, od ręcznie szytych (lecz lekko znoszonych i niezbyt starannie wypolerowanych) angielskich butów po pięknie skrojoną (choć lekko zmiętą) kaszmirową sportową marynarkę – ten wygląd miał przekazać światu, że oto jest człowiek, który wie, jak korzystać ze swoich pieniędzy, ale nie pozwala, by pieniądze przejęły nad nim kontrolę, człowiek, który odniósł sukces, ale nie pada przed nim na kolana, po prostu człowiek w czepku urodzony. Przeczył temu wyraz jego oczu, zalęknionych jak u osaczonego zwierzęcia.

– A, dziękuję, dziękuję – powiedział Mellery, odbierając aktówkę od Madeleine z wyraźną ulgą. – Ale gdzie...?

– Leżała na stoliku brydżowym.

– Oczywiście. Nie mogę jakoś dzisiaj się na niczym skupić. Bardzo dziękuję!

– Przynieść coś do picia?

– Do picia?

– Właśnie zrobiłam mrożoną herbatę. Albo, jeśli woli pan co innego...

– Nie, nie, może być mrożona herbata. Świetnie. Dziękuję.

Kiedy Gurney przyglądał się swojemu koledze ze studiów, nagle dotarło do niego, co Madeleine miała na myśli, mówiąc, że Mellery wygląda dokładnie tak, jak na zdjęciu z okładki książki, tylko „jeszcze bardziej”.

Najbardziej uwydatniającą się na fotografii cechą było coś w rodzaju nieformalnej doskonałości – iluzja przypadkowego, amatorskiego zdjęcia, na którym jednak nie było ani postarzających cieni pod oczami, ani dziwaczного ujęcia, którym zazwyczaj charakteryzuje się prawdziwie amatorska fotografia. Madeleine chodziło dokładnie o to wrażenie ostrożnie wyreżyserowanej niedbałości – napędzanej przez egoizm, aby pokazać się światu jako człowiek, któremu obce jest podkreślanie własnego ego – a Mellery właśnie tę cechę akcentował najbardziej. Jak zwykle Madeleine trafiła w dziesiątkę.

– W e-mailu pisałeś, że masz jakiś problem – powiedział Gurney,



przypominając przyczynę ich spotkania tak nagle, że niemal szorstko.

– Tak – odparł Mellery, ale zamiast odpowiedzieć na pytanie, znów zagłębił się we wspomnienia z czasów studenckich i przywołał dyskusję jednego z ich kolegów z profesorem filozofii. Wygłaszając tę przypowieść na temat przywiązania do emblematu uczelni i obowiązków z tego wynikających, Mellery przedstawiał siebie jako jednego z trzech muszkieterów campusu Rose Hill, próbując nadać zwykłej studenckiej dyskusji przymiotów heroicznego czynu. Gurney poczuł zażenowanie i nie odezwał się ani słowem, spojrzał tylko na swojego gościa, zachęcając spojrzeniem do powrotu do poprzedniego tematu.

– No cóż – rzekł Mellery, wracając niechętnie do celu swojej wizyty. – Nie wiem, od czego zacząć.

„Jeśli nie wiesz, od czego masz zacząć swoją opowieść – pomyślał Gurney – po diabła tu przyjechałeś?”

Mellery otworzył w końcu aktówkę, wyjął dwie cienkie książki w miękkich okładkach i wręczył je ostrożnie Gurneyowi, jakby były z kruchej porcelany. Były to książki opisane na stronie internetowej, na którą wcześniej wchodził. Pierwsza nosiła tytuł *Jedynie, co się liczy* i podtytuł *Siła świadomości, która zmienia ludzkie życie*. Druga to *Naprawdę!*, jej podtytuł brzmiał: *Jedyny sposób na szczęście*.

– Może słyszałeś o tych książkach. Sprzedawały się umiarkowanie, nie trafiły na listy bestsellerów. – Mellery uśmiechnął się, a na jego twarzy zagościł wyraz kontrolowanej skromności. – Nie twierdzę, że masz je od razu przeczytać. – Znów się uśmiechnął, jakby to, co powiedział, było zabawne. – Mogą ci jednak dać jakieś wskazówki na temat tego, co się dzieje, albo dlaczego to się dzieje, kiedy ci już wyjaśnię, na czym polega problem... Chociaż może powinienem powiedzieć: na czym polega mój wyobrażony problem. Czuję mętlik w głowie, myśląc o całej tej historii.

„Jesteś nieźle wystraszony”, pomyślał Gurney.

Mellery wziął głęboki oddech, milczał przez chwilę, a później zaczął swoją opowieść, jak ktoś, kto bez przekonania, wbrew sobie wchodzi do zimnej wody.

– Powinienem ci chyba najpierw opowiedzieć o tych liścikach, które dostałem. – Sięgnął do teczki, wyjął dwie koperty, jedną z nich otworzył, wyjął kartkę białego papieru z jednej strony zapisaną odręcznie, a później mniejszą kopertę, taką, w jakich wysyła się zaproszenia na ślub. Podał kartkę Gurneyowi.

– To dostałem najpierw, jakieś trzy tygodnie temu.

Gurney wziął kartkę do ręki i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Przyglądając się listowi, natychmiast zwrócił uwagę, że pismo jest bardzo staranne. Litery i słowa były precyzyjnie i z wielką elegancją wykaligrafowane na papierze – przypomniał sobie nagle katolickie gimnazjum i dłoń siostry Marii, która pięknie stawiała litery na tablicy. Jeszcze dziwniejsze było to, że litery zostały napisane piórem, na dodatek czerwonym atramentem. „Czerwony atrament?” Dziadek Gurneya miał na biurku czerwony atrament. Stały tam małe, okrągłe buteleczki z atramentami niebieskim, zielonym i czerwonym. Nie pamiętał dziadka, ale zapamiętał ten atrament. Czy da się jeszcze gdzieś kupić taki czerwony atrament do wiecznego pióra?

Gurney czytał list ze zmarszczonym czołem, a kiedy skończył, przeczytał go jeszcze raz. Nie było ani pozdrowienia w pierwszej linijce, ani podpisu w ostatniej.

*Wierzysz w przeznaczenie? Ja wierzę, bo kiedyś sądziłem, że Cię już nigdy nie spotkam, a pewnego dnia Cię spotkałem. Wszystko wróciło. Twój głos, Twoje ruchy, a przede wszystkim Twój sposób myślenia. Jeśli ktoś poprosiłby Cię, żebyś pomyślał jakąś liczbę, ja wiedziałbym, co to byłaby za liczba. Nie wierzysz mi? To Ci udowodnię. Pomyśl jakąś liczbę od 1 do 1000, pierwszą, jaka Ci przyjdzie do głowy. Wyobraź ją sobie. A teraz przekonaj się, jak dobrze znam Twoje tajemnice. Otwórz małą kopertę.*

Gurney odchrząknął i spojrzał pytająco na Mellery’ego, który wpatrywał się w niego ze skupieniem, gdy czytał.

– Przychodzi ci do głowy, kto mógłby to posłać?

– Zupełnie nie.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Nie mam.

– Aha. I co, wszedłeś w tę grę?

– W tę grę? – Mellery najwyraźniej nie postrzegał tego w ten sposób. – Jeśli chcesz zapytać, czy pomyślałem sobie jakąś liczbę, to tak, pomyślałem. W tych okolicznościach trudno byłoby postąpić inaczej.

– A więc pomyślałeś sobie jakąś liczbę?

– Tak.

– No i?

Mellery odchrząknął.

– Pomyślałem sobie liczbę sześćset pięćdziesiąt osiem. – Powtórzył ją, wyraźnie akcentując cyfry: – Sześć, pięć, osiem – jak gdyby mogły Gurneyowi powiedzieć coś więcej niż jemu samemu. Kiedy okazało się, że tak nie jest, westchnął ze zniecierpliwieniem i mówił dalej. – Liczba sześćset pięćdziesiąt osiem nie ma dla mnie szczególnego znaczenia. Była to po prostu pierwsza liczba, która mi przyszła do głowy. Przeszukiwałem pamięć, próbując przypomnieć sobie cokolwiek, co można byłoby z nią skojarzyć, powód, dla którego właśnie ją wybrałem, ale nic mi nie przychodziło do głowy. To po prostu pierwsza liczba, która się pojawiła przed moimi oczami – mówił gorączkowo, w odruchu panicznej szczerości.

Gurney patrzył na niego z rosnącym zainteresowaniem.

– A w mniejszej kopercie...?

Mellery wręczył mu drugą kopertę, którą dostał razem z listem, i przyglądał mu się, kiedy ją otwierał, wyjmował kawałek kratkowanego papieru wielkości połowy dłoni i odczytywał wiadomość zapisaną tym samym eleganckim stylem, tym samym czerwonym atramentem.

*Czy jesteś zszokowany, bo wiedziałem, że wybierzesz 658? Kto zna Cię aż tak dobrze? Jeżeli chcesz odpowiedzi, musisz mi najpierw zwrócić 289 dolarów i 87 centów, bo tyle mnie kosztowało odnalezienie Ciebie.*

*Poślij dokładnie tę kwotę na poniższy adres:*

*Skrzynka pocztowa numer 49449, Wycherly, CT 61010.*

*Przełącz mi gotówkę lub czek wypisany na X. Arybdis.*

*(Moje nazwisko kiedyś brzmiało inaczej).*

Gurney przeczytał tę notatkę raz jeszcze i spytał Mellery'ego, czy na nią zareagował.

– Tak. Posłałem czek na wskazaną kwotę.

– Dlaczego?

– Co masz na myśli?

– To sporo pieniędzy. Dlaczego postanowiłeś wysłać czek?

– Bo to mnie doprowadzało do szaleństwa. Ta liczba... Skąd on mógł wiedzieć?

– Ktoś zrealizował czek?

– Nie, nikt – odparł Mellery. – Codziennie sprawdzam konto. Właśnie dlatego wysłałem czek, a nie gotówkę. Sądziłem, że dobrze będzie się czegoś dowiedzieć o tym Arybdisie. Przynajmniej wiedziałbym, co się stało z czekiem. Wiesz, cała ta sprawa i jej atmosfera są bardzo niepokojące.

– A co cię tak zaniepokoiło?

– Oczywiście ta liczba! – powiedział podniesionym głosem Mellery. – Skąd on mógł to wiedzieć?

– Dobre pytanie – odparł Gurney. – Ale dlaczego powiedziałaś „on”?

– Co takiego? Aha, rozumiem. Pomyślałem sobie tylko... Nie wiem, po prostu tak mi się powiedziało. Myślę, że „X. Arybdis” brzmi jak nazwisko mężczyzny.

– X. Arybdis. Dziwaczne nazwisko – powiedział Gurney. – Coś dla ciebie znaczy? Dzwoni w którymś kościele?

– W żadnym.

Nazwisko nic nie znaczyło również dla Gurneya, ale nie wydawało mu się zupełnie obce. Kimkolwiek była ta osoba, zapewne dałoby się ją odnaleźć w podziemiach archiwów jego umysłu.

– Posłałeś czek i co? Skontaktował się z tobą raz jeszcze?

– Tak! – odparł Mellery, ponownie sięgając do aktówki i wyciągając kolejne dwie kartki. – To dostałem jakieś dziesięć dni temu. I właśnie tego dnia posłałem ci e-maila z pytaniem, czy moglibyśmy się spotkać. – Rzucił kartki w kierunku Gurneya, zachowując się jak mały chłopiec, który pokazuje ojcu dwa nowe siniaki.

Były na pierwszy rzut oka wykaligrafowane tym samym starannym pismem, tym samym piórem, co wcześniejsze listy, ale ich ton się zmienił.

Pierwszy składał się z sześciu krótkich linijek.

*Ile się zmieści aniołów  
Na czubku szpilki?  
Ile nadziei w butelce tonie  
W ułamku chwili?  
Kiedyś ci przyjdzie do głowy,  
Że twój kieliszek to broń,  
Pistolet do użycia gotowy.  
I spytasz: „Boże, co ja zrobiłem?”.*

Osiem linijek drugiego wiersza brzmiało równie tajemniczo i złowieszczo:

*Co zabrałeś, musisz oddać,  
Gdy dostaniesz to, coś dał.  
Znam ja wszystkie twoje myśli,  
Wiem ja dobrze, co się przyśni  
I gdzie byłeś,  
I gdzieś jest.  
O spotkanie cię poproszę,  
Drogi Panie Sześć Pięć Osiem.*

W ciągu następnych dziesięciu minut Gurney przeczytał oba teksty kilkukrotnie, coraz bardziej pochmurniejąc, podczas gdy na twarzy Mellery’ego coraz wyraźniej malował się lęk.

– Co o tym sądzisz? – zapytał w końcu Mellery.

– Masz sprytnego wroga.  
– Chciałem zapytać, co sądzisz o tej historii z liczbą.  
– A dokładniej?  
– Skąd wiedział, jaka liczba przyjdzie mi do głowy?  
– Gdybym miał odpowiadać bez zastanowienia, powie działałbym, że nie mógł tego wiedzieć.

– Nie mógł wiedzieć, a jednak wiedział! O to właśnie chodzi, rozumiesz? Nie mógł wiedzieć, a wiedział! Nikt nie mógł wiedzieć, że numer sześćset pięćdziesiąt osiem to ten, o którym pomyślę, ale on nie tylko wiedział, on to wiedział przynajmniej dwa dni przed tym, gdy ta liczba przyszła mi do głowy, kiedy wrzucał ten cholerny list do skrzynki!

Mellery nagle podniósł się z fotela i ruszył przez trawnik w kierunku domu, po czym zawrócił, przystanął i przeczesał palcami włosy.

– Nie ma na to żadnego wyjaśnienia naukowego. Nie da się w logiczny sposób tego wytłumaczyć. Nie rozumiesz, że to wszystko szaleństwo?

Gurney wsparł podbródek na palcach, rozważając słowa Mellery'ego.

– Istnieje pewna prosta zasada filozoficzna, którą uważam za stuprocentowo wiarygodną. Jeśli coś się wydarza, musi być sposób na to, żeby mogło się wydarzyć. Ta cała historia z liczbą na pewno ma proste wyjaśnienie.

– Ale...

Gurney podniósł dłoń tak jak wtedy, kiedy z wielką powagą kierował ruchem ulicznym w czasie pierwszych sześciu miesięcy służby w nowojorskiej policji.

– Usiądź. Odpręż się. Jestem pewien, że prędzej czy później do tego dojdziemy.

## Nieprzyjemne możliwości

Madeleine przyniosła im mrożoną herbatę i wróciła do domu. W powietrzu coraz intensywniej unosił się zapach rozgrzanej trawy. Temperatura zbliżała się do dwudziestu pięciu stopni. Stado purpurowych zięb wylądowało na karmniku. Słońce, kolory, aromaty wokół były intensywne, ale Mellery, zalekniiony, przejęty własnymi myślami i całkowicie w nich zatopiony, niczego wokół nie dostrzegał.

Popijali herbatę, a Gurney próbował ocenić motyw i uczciwość swojego gościa. Wiedział, że doczepianie komuś etykiety na tak wczesnym etapie może prowadzić do błędnych wniosków, ale często nie mógł się temu oprzeć. Przede wszystkim trzeba było być świadomym tego, że cały proces ma luki i należy być gotowym na raptowną zmianę zdania, kiedy pojawią się nowe informacje.

Czuł przez skórę, że Mellery jest z gruntu nieprawdziwy na wszystkich poziomach swoich działań, jest oszustem, który do pewnego stopnia uwierzył w to, co chciał wmówić światu. Jego akcent na przykład, którym wyróżniał się w czasach uniwersyteckich, był akcentem znikąd, z jakiegoś wymaginowanego miejsca, w którym króluje kultura i wyrafinowanie. Teraz już niczego nie udawał, akcent był integralną częścią tej postaci, ale jego korzenie sięgały wymaginowanej ściółki. Fryzura od najlepszego fryzjera, wypielęgnowana najdroższymi kremami skóra, zęby bez zarzutu, ciało ćwiczone na bieżni i wymanicurowane paznokcie przywodziły na myśl telewizyjnego kaznodzieję pierwszego sortu. Zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę chciał pokazać światu, że jest rozluźniony i zrelaksowany, że jest człowiekiem, który nie zachwyca się byle czym, ponieważ pojmuje bez trudu to, co umyka zwykłym śmiertelnikom. Gurney zdał sobie sprawę, że wszystkie te cechy tkwiły w jego koledze ze studiów już dwadzieścia sześć lat wcześniej, lecz dopiero się rozwijały. Mark Mellery stał się po prostu jeszcze bardziej tym, kim był zawsze.



– Nie przyszło ci do głowy, żeby pójść z tym na policję? – spytał Gurney.

– To nie miałyby sensu. Policja pewnie nic by tu nie działała. Bo co można zrobić? Nie było konkretnej groźby, niczego, co można by wyjaśnić, nie doszło do przestępstwa. Nie miałem niczego konkretnego do pokazania. Kilka złośliwych wierszyków? Mógł je napisać jakiś zbuntowany młodzieniec albo ktoś o specyficznym poczuciu humoru. Policja nie zrobiłaby niczego albo, co gorsza, potraktowałaby to jako głupi dowcip, dlaczego więc miałbym tracić czas i chodzić na policję?

Gurney kiwnął głową, choć dalej nie był przekonany.

– Poza tym – ciągnął Mellery – pomysł, że tutejsza policja rozpocznie śledztwo na szeroką skalę, będzie przepytawać ludzi, przyjeżdżać do instytutu, niepokoić obecnych i byłych moich gości, a niektórzy to ludzie bardzo wrażliwi, tupać, wrzeszczeć i robić aferę, wsadzać nos w nie swoje sprawy, kto wie, może wdałaby się w to prasa... Boże jedyny! Już widzę te nagłówki. „Groźby śmierci kierowane do autora książek o życiu duchowym”. Już widzę to całe zamieszanie medialne... – Mellery zamilkł i pokręcił głową, jakby nie miał słów na opisanie szkód, które mogłaby wyrządzić policja.

Gurney w odpowiedzi spojrział na niego ze zdziwieniem.

– O co chodzi? – spytał Mellery.

– Wskazałeś powody niekontaktowania się z policją, które sobie wzajemnie przeczą.

– Jak to?

– Nie zgłosiłeś tego na policję, bo bałeś się, że policja nie kiwnie palcem. Nie poszedłeś z tym na policję, bo bałeś się, że zrobią za dużo.

– No tak... Ale jedno i drugie to prawda. Wspólnym mianownikiem jest lęk o to, że ktoś się źle zabierze do tej sprawy. Policja, ze swoją amatorszczyzną, mogłaby być jak słoń w składzie porcelany. Amatorszczyzna zaniechania albo amatorszczyzna agresywności... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Gurney miał wrażenie, że przygląda się komuś, kto przechodząc przez drzwi, uderzył palcem u nogi o próg i próbuje zrobić z tego piruet. Jakoś nie



potrafił w to uwierzyć. Z jego doświadczenia zawodowego wynikało, że kiedy ktoś podaje dwa powody jakiejś decyzji, najprawdopodobniej jest i trzeci powód – ten prawdziwy i przemilczany.

Jakby dostrojony do długości fali nadawanych przez Gurneya, Mellery powiedział nagle:

– Muszę mówić bardziej otwarcie, być bardziej szczery w wyrażaniu swoich obaw. Nie pomożesz mi, jeśli nie będziesz miał pełnego obrazu sytuacji. Całe moje życie dzieli się na dwie bardzo odmienne egzystencje. Przez dwie trzecie mojego pobytu na tej ziemi byłem na złej drodze, szedłem prosto na manowce, i to szybko. Zaczęło się na studiach. Potem było jeszcze gorzej. Coraz więcej piłem, żyłem coraz bardziej chaotycznie. Wplątałem się w dilerkę narkotykami, handlowałem z wysoko postawionymi klientami i z wieloma się zaprzyjaźniłem. Jeden był pod takim wrażeniem mojego bajerowania, że dał mi robotę na Wall Street, sprzedawałem akcje przez telefon różnym frajerom na tyle chciwym i głupim, że wierzyli w możliwość podwojenia w ciągu trzech miesięcy każdej inwestycji. Byłem w tym dobry, zarabiałem kupę kasy, a pieniądze stawały się siłą napędową pchającą mnie do różnych szaleństw. Robiłem to, na co miałem ochotę. Szczerze mówiąc, większości nie pamiętam, bo byłem bez przerwy pijany jak bela. Przez dziesięć lat pracowałem dla kolejnych inteligentnych złodziei. Później zmarła moja żona. Pewnie nie wiesz, ale ożeniłem się trzy lata po skończeniu studiów.

Mellery sięgnął po szklankę. Pił w zamyśleniu, zdawałoby się, że smak herbaty pozwalał mu klarowniej widzieć własne myśli. Kiedy szklanka była w połowie pusta, odłożył ją na oparcie fotela, wpatrywał się w nią przez chwilę, a później podjął opowieść.

– Jej śmierć była punktem zwrotnym. Miała na mnie silniejszy wpływ niż wszystko, co wydarzyło się podczas piętnastu lat naszego małżeństwa. Muszę przyznać, że życie mojej żony wywarło wpływ na moje tylko poprzez jej śmierć.

Gurney miał wrażenie, że ta subtelna ironia zawarta w słowach, które wypowiadał, stawiając w stosownych momentach pauzy tak, jakby dopiero

co przyszedł mu do głowy, została wprawnie użyta co najmniej po raz setny.

– Jak umarła?

– Cała historia jest w mojej pierwszej książce, ale przedstawię ci krótką, brzydszą wersję. Byliśmy na wakacjach na półwyspie Olympic w stanie Waszyngton. Jednego wieczoru siedzieliśmy o zachodzie słońca na pustej plaży. Erin postanowiła popływać. Zazwyczaj wypływała jakieś trzydzieści metrów i pływała tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Uwielbiała ćwiczenia fizyczne. – Przerwał i przymknął powieki.

– I tak właśnie spędziła tamten wieczór?

– Co takiego?

– Mówiłeś, że to robiła zazwyczaj.

– Tak, rozumiem. Wydaje mi się, że właśnie tak spędzała tamten wieczór. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, bo byłem pijany. Erin weszła do wody, a ja zostałem na plaży z termosem napełnionym alkoholem. – W kątku lewego oka uruchomił mu się nerwowy tik.

– Erin utonąła. Ludzie, którzy znaleźli jej ciało na powierzchni wody trzydzieści metrów od brzegu, odkryli również mnie, leżałem na plaży nieprzytomny, zamoczony alkoholem.

Po chwili milczenia mówił dalej zdławionym głosem.

– Chyba dostała skurczu, albo... Nie wiem co... Ale sądzę, że... Mogła coś wołać do mnie... – Przerwał, znów zamknął oczy i pomasaował kąćki powiek. Kiedy je otworzył, rozejrzał się wokół siebie tak, jakby pierwszy raz widział miejsce, w którym się znalazł.

– Pięknie tu macie – stwierdził z melancholijnym uśmiechem.

– Powiedziałeś, że jej śmierć wywarła na ciebie silny wpływ?

– Tak, bardzo silny.

– Od razu czy później?

– Od razu. To utarty zwrot, ale miałem taki nagły przebłysk świadomości. Był boleśniejszy i ujawnił mi więcej niż wszystko, czego doświadczyłem przedtem i potem. Zrozumiałem nagle, że ścieżka, po której podążałem, była naznaczona szaleństwem i destrukcją. Nie chciałem być podobny do Pawła, który upada na ziemię w drodze do Damaszku, ale

prawdę mówiąc, od tamtej chwili nie chcę już dłużej iść dawną drogą. – Zdawało się, że te słowa wypowiedział z przekonaniem.

„Mógłby prowadzić szkolenia dla pracowników działu sprzedaży z zakresu sprawnych przemów”, pomyślał Gurney.

– Poszedłem na detoks alkoholowy, bo wydawało mi się, że tak właśnie trzeba postąpić. Po detoksie podjąłem terapię. Chciałem być pewny, że odnalazłem prawdę i że nie odchodzę od zmysłów. Terapeuta zachęcał mnie do powrotu do życia, a więc wróciłem na uczelnię, zdobyłem dwa dyplomy magisterskie, z psychologii i z poradnictwa. Jeden z moich kolegów z grupy był pastorem w kościele unitariańskim i zacząłem z nim rozmawiać na temat swojego „nawrócenia”, on to tak nazwał, nie ja. Te rozmowy bardzo mi pomogły. Zaowocowały serią wykładów, które wygłaszałem w kościołach unitariańskich. Te moje wystąpienia stały się podstawą mojej pierwszej książki. Książka natomiast była fundamentem trzyczęściowej serii dla programów w darmowej telewizji edukacyjnej. Wtedy właśnie sprzedawano ją w formie taśmy wideo. Wydarzyło się wtedy wiele podobnych rzeczy, wiele przypadkowych zbiegów okoliczności, które popychały mnie od jednej rzeczy do drugiej. Niezwykli ludzie zapraszali mnie na serie prywatnych seminariów. Tak się złożyło, że byli też wyjątkowo zamożni. To znów doprowadziło do powstania Instytutu Odnowy Duchowej Mellery’ego. Ci, którzy się tam zgłaszają, uwielbiają to, co robię. Wiem, że to brzmi samolubnie, ale to prawda. Są tacy, którzy wracają rok po roku po to, żeby wysłuchać tych samych mniej więcej wykładów i przejść szereg podobnych doświadczeń duchowych. Waham się powiedzieć to głośno, bo pewnie zabrzmiałoby pretensjonalnie, ale śmierć Erin sprawiła, że urodziłem się na nowo i odnalazłem w zupełnie zadziwiającym, nowym życiu.

Wodził oczami z lewa na prawo, robiąc wrażenie, że skupia się na jakimś prywatnym, wewnętrznym krajobrazie. Weszła Madeleine, zabrała puste szklanki i zapytała, czy dolać mrożonej herbaty, ale odmówiliśmy. Mellery powiedział wtedy raz jeszcze, że pięknie mieszkamy.

– Deklarowałeś w pewnej chwili, że chcesz być ze mną bardziej szczery, rozmawiając o tym, co cię niepokoi – przypomniał mu Gurney.

– Tak, chodzi o lata mojego picia. Piłem i miałem przerwy w życiorysie. Mówię ci, poważne przerwy w życiorysie. Niektóre trwały godzinę czy dwie, inne dłużej. W ostatnich latach picia za każdym razem, gdy się upiłem, miałem taką przerwę. Pewnie robiłem coś, czego w ogóle nie pamiętam. Kiedy byłem nawalony, nie wybierałem starannie towarzystwa ani też nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Mówiąc szczerze, najbardziej w tych listach zdenerwowały mnie odniesienia do alkoholu. W ciągu ostatnich kilku dni czuję zawirowania emocjonalne, miotam się między irytacją a przerażeniem.

Pomimo sceptycznego nastawienia Gurneya uderzyło coś autentycznego w głosie Mellery’ego.

– Mów dalej – zachęcił go.

Minęło kolejne pół godziny, ale okazało się, że Mellery albo nie może, albo nie chce nic więcej powiedzieć. Wrócił jednak do sprawy, która nie dawała mu spokoju.

– Jak, na Boga, on mógł wiedzieć, jaką pomyślę liczbę? Przeszukiwałem w pamięci miejsca, ludzi, których znałem, adresy, kody pocztowe, numery telefonów, daty wydarzeń, daty urodzin, tablice rejestracyjne, nawet ceny rzeczy, które kupowałem... Wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z liczbami, i nie znalazłem niczego, co mógłbym skojarzyć z liczbą sześćset pięćdziesiąt osiem. To mnie doprowadza do szału!

– Wydaje mi się, że lepiej się skupić na prostszych pytaniach, na przykład...

Mellery jednak nie słuchał.

– Sześćset pięćdziesiąt osiem nic dla mnie nie znaczy. Ale musi coś znaczyć. Sens tego zna ktoś inny. Ktoś inny wie, że sześćset pięćdziesiąt osiem to liczba dla mnie na tyle znacząca, że będzie pierwszą, o której pomyślę. Nie potrafię sobie z tym poradzić. To jakiś koszmar!

Gurney siedział w milczeniu i czekał, aż panika Mellery’ego osłabnie.

– Odniesienia do picia znaczą, że to ktoś, kto znał mnie w tamtym gorszym życiu. Jeżeli ten ktoś ma do mnie jakieś pretensje, no a z listu wynika, że tak, to pielęgnował je w sobie bardzo długo. Może to ktoś, kto

stracił ze mną kontakt, nie wiedział, gdzie jestem, a potem zobaczył moje książki, zdjęcie, przeczytał coś o mnie i postanowił... No właśnie, co postanowił? Nawet nie wiem, o co chodzi w tych listach.

Gurney wciąż milczał.

– Masz pojęcie, co to znaczy mieć w życiu sto, może dwieście wieczorów i nocy, których w ogóle nie pamiętasz? – Mellery pokręcił głową, jakby sam dziwił się swojej własnej beztrosce. – Jedyne, co wiem na pewno, to fakt, że w czasie tych wieczorów i nocy byłem tak pijany i szalony, że mogłem zrobić cokolwiek. To właśnie jest alkohol. Jeżeli pijesz tyle co ja wtedy, przestajesz się bać konsekwencji. Niczego nie widzisz jasno, znikają wszystkie obawy, wyłączasz pamięć i wszystko robisz na zasadzie impulsu. Prowadzi cię instynkt, tracisz hamulce. – Zamilkł, kręcąc głową.

– A jak sądzisz, co mogłeś robić, kiedy urywał ci się film?

Mellery podniósł na niego spojrzenie.

– Wszystko! Boże, o to właśnie chodzi: wszystko!

Gurney pomyślał, że jego kolega ze studiów przypomina osobę, która właśnie odkryła, iż wymarzony raj tropików, w który zainwestowała ostatniego centa, roi się od skorpionów.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie wiem. Może miałem nadzieję na jakąś dedukcję w stylu Sherlocka Holmesa, na rozwiązanie zagadki, na to, że zidentyfikujesz autora listów i będę się czuł bezpiecznie.

– Ty znacznie łatwiej sam zgadniesz, o co w tym wszystkim chodzi, niż ja.

Mellery pokręcił głową. Przez chwilę wąty przebłysk nadziei rozświetlił mu oczy.

– Czy to może być jakiś głupi dowcip?

– Jeśli tak jest, to jest to głupi dowcip okrutniejszy niż większość – odparł Gurney. – Co jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Szantaż? Autor tych listów wie o czymś okropnym, o czymś, czego ja sobie nie mogę przypomnieć? I dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt siedem centów to dopiero pierwsze żądanie?

Gurney kiwnął głową bez przekonania.

– Czy coś innego przychodzi ci na myśl?

– Zemsta? Za coś strasznego, co zrobiłem, ale ten ktoś nie chce pieniędzy, tylko chce... – Głos mu się teatralnie załamał.

– Czy nie pamiętasz czegoś konkretnego, co uzasadniałoby aż taką reakcję?

– Nie, już ci mówiłem. Niczego nie pamiętam.

– W porządku, wierzę ci. Jednak w tych okolicznościach dobrze byłoby zadać sobie kilka prostych pytań. Spisuj je, gdy będę je zadawał, zabierz notatki do domu, zastanów się nad nimi w ciągu kolejnej doby i przekonaj się, co z tego wynika.

Mellery wyciągnął elegancką aktówkę, mały, oprawny w skórę notes i wieczne pióro marki Mont Blanc.

– Chcę, żebyś zrobił kilka odrębnych list, najlepiej, jak potrafisz, dobrze? Lista numer jeden: ewentualni wrogowie z życia zawodowego, ludzie, z którymi byłeś lub jesteś w poważnym konflikcie dotyczącym pieniędzy, kontraktów, przyrzeczeń, pozycji, reputacji. Lista numer dwa: nierozwiązane konflikty osobiste: byli przyjaciele, kochanki, źle zakończone romanse. Lista numer trzy: osoby, które wyrażają wobec ciebie groźby wprost, ludzie, którzy cię o coś oskarżali albo czymś ci grozili. Lista numer cztery: osobnicy niezrównoważeni psychicznie, z którymi kiedyś się zetknąłeś. Lista numer pięć: ktoś z twojej przeszłości, kogo niedawno spotkałeś, niezależnie od tego, jak niewinne lub przypadkowe to spotkanie mogło się wydawać. Lista numer sześć: wszelkie powiązania, które masz z kimkolwiek, kto mieszka w Wycherly lub niedaleko, bo właśnie stamtąd pan X. Arybdis wysłał list, stamtąd są pieczętki na znaczkach pocztowych.

Gdy dyktował te pytania, zaobserwował, że Mellery raz po raz kręci głową, jakby chciał powiedzieć, że przypomnienie sobie znaczących dla niego cokolwiek nazwisk jest niemożliwe.

– Wiem, że to się wydaje bardzo trudne – powiedział Gurney uspokajającym, opiekuńczym tonem – ale trzeba to zrobić. Tymczasem zostaw te listy u mnie. Przyjrzę się im uważnie. Pamiętaj jednak, że nie

jestem prywatnym detektywem i że być może nie będę mógł zrobić dla ciebie tyle, ile się spodziewasz.

Mellery wpatrywał się tępo w swoje dłonie.

– A oprócz tych list, o których mówiłeś, czy powinienem sam coś zrobić?

– Dobre pytanie. Coś ci przychodzi do głowy?

– No, wiesz... Może dałbyś mi jakieś wskazówki i spróbowałbym wysledzić tego pana Arybdisa z Wycherly w stanie Connecticut, spróbować zasięgnąć języka na jego temat?

– Jeżeli mówiąc „wysledzić”, masz na myśli jego adres domowy, a nie numer skrzynki pocztowej, to wiedz, że poczta ci takich informacji nie udzieli. Musisz w to zaangażować policję, ale tego nie chcesz. Mógłbyś sprawdzić w internecie, ale zaprowadzi cię to donikąd, jeśli nazwisko jest wymyślone, a prawdopodobnie jest, bo autor listu napisał, że nie zawsze je nosił. – Gurney przerwał. – Ale to dziwne z tym czekiem, prawda?

– Masz na myśli kwotę?

– Mam na myśli fakt, że nie został spieniężony. Po co zagłębiać się aż w takie szczegóły: podawać dokładną kwotę, wskazywać, na kogo czek ma być wypisany, dokąd go wysłać, a później go nie spieniężyć.

– No wiesz, jeżeli Arybdis to fałszywe nazwisko, a on nie ma żadnego dokumentu, którym mógłby się posłużyć, żeby udowodnić, że tak się nazywa...

– Po co więc zaproponował ci możliwość wysłania czeku? Dlaczego nie zażądał gotówki?

Mellery wodził oczami po trawniku, tak jakby możliwości były zakopanymi pod trawą minami przeciwpiechotnymi.

– Może chciał mieć mój podpis?

– Też przyszło mi to do głowy – odparł Gurney. – Ale widzę tu dwie niejasności. Po pierwsze, pamiętaj, że zaproponował ci również przekazanie gotówki. A po drugie, jeżeli jego prawdziwym celem było otrzymanie podpisanego czeku, dlaczego nie poprosił o mniejszą kwotę, na przykład dwadzieścia albo pięćdziesiąt dolarów? Czy mniejsza kwota nie zwiększyłaby prawdopodobieństwa pozytywnej reakcji?

– Może Arybdis nie jest aż tak sprytny.

– Coś mi mówi, że nie w tym tkwi problem.

Mellery wyglądał tak, jakby w każdej komórce jego ciała wyczerpanie walczyło z lękiem i z każdą minutą zyskiwało przewagę.

– Uważasz, że jestem w prawdziwym niebezpieczeństwie?

Gurney wzruszył ramionami.

– Większość listów od dziwaków to po prostu listy od dziwaków. Nieprzyjemna wiadomość jest sama w sobie agresywną bronią, jeśli można tak powiedzieć. A jednak...

– Te listy są inne?

– Być może są.

Mellery zrobił wielkie oczy.

– Rozumiem. Przyjrzyj się im jeszcze raz dokładnie?

– Tak. A ty zaczniesz tworzyć spisy osób, o które cię prosiłem?

– To się na nic nie zda, ale dobrze, spróbuję.



## Krew czerwona jak malowane róże

Mellery nie został zaproszony na obiad, więc niechętnie się pożegnał. Wsiadł do starannie odrestaurowanego jasnoniebieskiego austina healeya – klasycznego sportowego kabrioletu, który idealnie pasował do dnia i pogody, choć Mellery był tak nieszczęśliwy, że nie zwracał uwagi na otoczenie.

Gurney wrócił na swój fotel ogrodowy i siedział tam przez dłuższy czas, prawie godzinę, mając nadzieję, że plątanina faktów ułoży się w jakiś uporządkowany wzór, w jakąś sensowną całość. Jedyne jednak, co przyszło mu do głowy i co do czego nie miał żadnych wątpliwości, to fakt, że był bardzo głodny. Wstał, wszedł do domu, zrobił sobie kanapkę z serem i pieczoną papryką i zjadł ją sam. Madeleine chyba wyszła, a on zastanawiał się, czy nie zapomniał o jakimś planie, o którym być może mu powiedziała. Później, kiedy płukał talerz pod bieżącą wodą i patrzył bezmyślnie przez okno, zobaczył ją kątem oka, idącą skrajem pola. Szła z ogrodu, niosąc naręczę jabłek. Z jej twarzy aż promieniowało szczęście, co często się zdarzało, gdy wychodziła na świeże powietrze.

Weszła do kuchni i położyła jabłka przy zlewie z głośnym, radosnym westchnieniem.

– Boże, co za piękny dzień! – powiedziała. – W taki dzień jak dzisiaj być w domu o minutę dłużej, niż trzeba, to po prostu grzech!

Nie chodzi o to, że się z nią nie zgadzał, przynajmniej z estetycznego punktu widzenia. Może nawet całkowicie się z nią zgadzał, choć było mu trudno to przyznać, bo wszelkie jego naturalne skłonności w przeróżny sposób popychały go do własnego wnętrza, czego wynikiem było to, że jeśli zostawał sam, spędzał więcej czasu na zastanawianiu się nad tym, jakie podjąć kroki, niż na ich podejmowaniu, czyli spędzał więcej czasu wewnątrz własnej głowy niż w świecie zewnętrznym. W jego zawodzie to

nigdy nie był problem; prawdę mówiąc, właśnie dzięki temu był taki dobry w tym, co robił. Tak czy inaczej nie odczuwał przemożnej chęci natychmiastowego wyjścia na dwór, nie miał ochoty o tym rozmawiać ani się o to spierać, czy też mieć z tego powodu poczucie winy. Podjął próbę zmiany tematu.

– Co sądzisz o Marku Mellerym?

Odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad owoców, które przekładała na blat kuchenny. Nie przerwała nawet na sekundę, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

– Zapatrzony w siebie i śmiertelnie przerażony. Egoista z kompleksem niższości. Boi się, że jakiś upiór albo strzyga przyjdzie, żeby go porwać. Chce, żeby wujek David go ochronił. Nie podsłuchiwałam, ale głos ma donośny. Założę się, że jest świetnym mówcą.

Powiedziała to tak, jakby sugerując, że jest to umiejętność o ambiwalentnej wartości.

– A co sądzisz o tej historii z liczbą?

– O – odparła udramatyzowanym tonem. – „Przestępca czytający w ludzkich umysłach”.

Zdławił wybuch irytacji.

– Masz jakiś pomysł, jak można to było zrobić? Jak osoba, która napisała ten list, mogła zgadnąć liczbę, którą wybierze Mellery?

– Nie.

– Ale jakoś cię to nie wyprowadza z równowagi.

– A ciebie owszem.

Teraz też mówiła, nie odrywając wzroku od jabłek. A na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiezek, który ostatnimi czasy często błąkał się po jej twarzy.

– Musisz przyznać, że to prawdziwa zagadka – upierał się.

– Chyba tak.

Podsumował najważniejsze fakty głosem człowieka poirytowanego tym, że nie potrafi pojąć, dlaczego nikt go nie rozumie.

– Ktoś daje ci zaklejoną kopertę i mówi, żebyś sobie wyobraziła jakąś

liczbę. Wyobrażasz sobie sześćset pięćdziesiąt osiem. Kaze ci zajrzeć do koperty. Zagładasz do koperty, a na karteczce, którą znajdujesz w środku, jest napisane sześćset pięćdziesiąt osiem.

Było jasne, że na Madeleine nie robi to takiego wrażenia, jak na nim. Mówił dalej.

– Sprawa jest niezwykła. Wydaje się na pozór niemożliwa. A jednak tak właśnie się stało. Chciałbym dojść do tego jak.

– I na pewno dojdiesz – odparła z ledwie słyszalnym westchnieniem.

Popatrzył przez szybę drzwi balkonowych i przesunął wzrokiem po krzakach papryki i pomidorów pokurczonych po pierwszych przymrozkach. (Kiedy to było? Nie potrafił sobie przypomnieć. Czas jakby umykał mu przez palce). Za ogrodem, za pastwiskiem jego wzrok spoczął na czerwonej stodole. Stara jabłoń wystawała z za narożnika stodoły, tu i ówdzie pośród liści i trawy widać było jabłka, jakby plamy na obrazie impresjonisty. Ten sielski obrazek zaburzyła myśl, że jest coś, co powinien zrobić. „Co to było?” Oczywiście, już tydzień temu obiecywał jej, że wyniesie ze stodoły rozsuwaną drabinę i zerwie wysoko wiszące jabłka, do których Madeleine nie mogła dosięgnąć. Taki drobiazg. Takie proste. Zajmie mu to najwyżej pół godziny.

Kiedy wstawał z fotela, napędzany dobrymi intencjami, zadzwonił telefon. To Madeleine podniosła słuchawkę, ale nie dlatego, że stała tuż przy aparacie. Często odbierała telefon niezależnie od tego, komu poręczniej było to zrobić. Nie chodziło tu o logistykę, lecz raczej o to, że pragnęła kontaktu z innymi ludźmi. Dla niej, najogólniej rzecz biorąc, ludzie byli czynnikiem pozytywnym, źródłem optymizmu (z wyjątkiem takich drapieźników w ludzkiej skórze, jak Sonia Reynolds). Dla Gurneya ludzie z zasady stanowili czynnik negatywny, wysysali z niego energię (poza takimi stymulującymi i entuzjastycznymi osobami, jak Sonia Reynolds).

– Słucham? – odezwała się Madeleine do słuchawki tonem przyjemnym i pełnym oczekiwania na dobre wiadomości, którym pozdrawiała dzwoniących, niezwykle zainteresowana tym, co mają do powiedzenia.

Sekundę później jej głos stał się znacznie mniej entuzjastyczny.

– Tak, jest. Chwileczkę. – Pomachała słuchawką w kierunku Gurneya, położyła ją na stoliku i wyszła.

Dzwonił Mark Mellery, a poziom zdenerwowania w jego głosie znacznie wzrósł od ich ostatniej rozmowy.

– Davidku, dzięki Bogu, że jesteś. Właśnie wróciłem do domu. Dostałem jeszcze jeden cholerny list.

– W dzisiejszej poczcie?

Mellery odpowiedział, że owszem. Pytanie jednak nie było zupełnie bezpodstawne. Gurney odkrył, rozmawiając przez całe lata z różnymi histerykami – na miejscu zbrodni, w pokojach przesłuchań, w różnych podobnie chaotycznych sytuacjach – że najłatwiej ich uspokoić, zadając pytania, na które mogą odpowiedzieć „tak”.

– Czy na oko list napisała ta sama ręka?

– Tak.

– I tym samym czerwonym atramentem?

– Tak, wszystko jest tak samo, tylko słowa są inne. Mam ci przeczytać?

– Czytaj – odparł. – Czytaj powoli i sygnalizuj mi, gdzie się zaczyna kolejna linijka.

Jasne instrukcje, jednoznaczne pytania i uspokajający głos Gurneya odniosły przewidywany skutek. Mellery mówił teraz pewniej i czytał ten dziwny, niepokojący wiersz, robiąc małe pauzy, które wskazywały, gdzie się kończy kolejny wers:

*Robię, co zrobiłem, jeśliś ciekawy,  
Nie dla grosza ni zabawy,  
Lecz by spłacić dług w mej pieczy,  
Przywrócić porządek rzeczy.  
Bo krew jest czerwona  
Jak malowane róże.  
A ty zasiałeś burzę.*

Co zbierzesz, sam się przekonaj.

Kiedy Gurney spisał wszystko, co usłyszał, w niewielkim notesie leżącym przy telefonie, przeczytał wiersz raz jeszcze, powoli i ostrożnie, próbując wy badać, kim jest jego autor – wyczuć osobę, która ukrywa się za tym przepelnionym pragnieniem zemsty tekstem.

– Co o tym sądzisz? – ciszę przerwał Mellery.

– Sądzę, że tym razem naprawdę powinieneś pójść na policję.

– Wolałbym nie. – W jego głosie znów pojawiła się nuta zdenerwowania.

– Wyjaśniałem ci już dlaczego.

– Wiem, że wyjaśniałeś. Ale jeżeli chcesz mojej rady, to właśnie ją dostałeś.

– Rozumiem, co mówisz. Proszę cię jednak o jakąś alternatywę.

– Najlepszą alternatywą, jeśli cię na nią stać, byłaby całodobowa ochrona.

– Masz na myśli to, że powinienem chodzić po domu i poza nim, mając dwóch goryli u boku? Jak to wyjaśnię moim gościom?

– „Goryle” to lekka przesada.

– Słuchaj, chodzi o to, że w rozmowie z moimi gośćmi nie kłamię. Jeśli któryś z nich by mnie spytał, kim są ci nowi ludzie, musiałbym przyznać, że są ochroniarzami, a to oczy wiście wywołałoby kolejne pytania. Byłoby to niepokojące, wręcz toksyczne dla atmosfery, którą próbuję stworzyć. Czy jest coś innego, co mógłbyś mi zaproponować?

– To zależy od tego, co chcesz osiągnąć.

Mellery odpowiedział, śmiejąc się krótko i nieco szyderczo.

– Nie wiem, może odkryjesz, kto się na mnie czai i co chce zrobić, a później go powstrzymasz. Jesteś w stanie to zrobić?

Gurney miał już powiedzieć „nie jestem tego pewny”, kiedy Mellery dodał z wyraźnym naciskiem:

– David, na Boga, jestem tak przerażony, że robię w gacie. Nie wiem, co się tu, u diabła, dzieje. Ty jesteś najbystrzejszym facetem, jakiego znam. Jesteś jedynym, któremu wierzę. Ty tutaj nic nie spieprzysz.

Właśnie wtedy Madeleine przeszła przez kuchnię z koszykiem do

szydełkowania pod ramieniem. Przechodząc, wzięła ze stolika słomkowy kapelusz i ostatnie wydanie „Wiadomości Matki Ziemi”, po czym wyszła przez drzwi ogrodowe z uśmiechem na ustach, który u niej mogło wzbudzić tylko bezchmurne niebo.

– To, na ile będę mógł ci pomóc, zależy od tego, na ile ty będziesz mógł pomóc mnie – odparł Gurney.

– Co mam robić?

– Już ci powiedziałem.

– Co takiego? Aha... Te listy osób...

– Jak dojdiesz do czegoś, daj mi znać. Zobaczymy wtedy, co dalej.

– David?

– Tak?

– Dziękuję ci.

– Jeszcze niczego nie zrobiłem.

– Dałeś mi chociaż nadzieję. Aha, i jeszcze jedno. Dzisiaj bardzo ostrożnie otwierałem kopertę. Tak, jak widziałem w telewizji. Więc jeżeli są na niej jakieś odciski palców, to na pewno tam zostały. Otwierałem ją pęsetą, założyłem gumowe rękawiczki. Kopertę wsadziłem do plastikowej torebki.

## Czarna dziura

Gurney nie czuł się, prawdę mówiąc, komfortowo z tym, że zgodził się zaangażować w problem Marka Mellery'ego. Tajemnica oczywiście go pociągała, ale dlatego, że rozwiązanie tej zagadki stanowiło swoiste wyzwanie. Dlaczego więc czuł się nieswojo? Przypomniawszy sobie, że powinien pójść do stodoły, wyjąć drabinę i – tak jak obiecał – zerwać jabłka, ale tę myśl wypchnęła inna – że powinien wykonać kolejny projekt dla Soni Reynolds, wprowadzić w końcu zdjęcie twarzy niesławnego Petera Piggerta do programu retuszującego w komputerze. Cieszył się na wyzwanie: chciał uchwycić zarys mrocznej podświadomości tego harcerzyka, który nie tylko zamordował ojca, a piętnaście lat później matkę, ale uczynił to z pobudek seksualnych, które wydawały się jeszcze straszniejsze niż same zbrodnie.

Gurney poszedł do pomieszczenia, które przygotował specjalnie do pracy nad obrazami komputerowymi. Kiedyś to była spiżarnia, teraz to jego kryjówka z poszerzonym oknem od północnej strony, dającym czyste światło bez cienia. Wyjrzał przez okno i zobaczył sielski obrazek. Przecinka między klonami utworzyła jakby ramę obrazu przedstawiającego błękitnawe szczyty gór niknące gdzieś w oddali. Przypomniawszy sobie o jabłkach i wrócił do kuchni.

Kiedy tak stał, wewnątrz rozdarto, Madeleine wróciła z koszem do szydełkowania.

- Co dalej będzie ze sprawą Mellery'ego? – spytała.
- Jeszcze nie zdecydowałem.
- Dlaczego nie?
- No wiesz... Przecież nie chcesz, żebym wplątał się w coś takiego.
- Nie o to chodzi – odparła, a w jej głosie wyczuł brak wątpliwości, co zawsze go pozytywnie zaskakiwało.
- Masz rację – zgodził się. – Problem polega na tym, że jeszcze nie potrafię do niczego dopasować zwyczajowych etykiet.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Zachęcony mówił dalej.

– Nie jestem już policjantem z wydziału zabójstw, a on nie jest ofiarą morderstwa. Nie jestem pewien, jaką mam tu odegrać rolę ani kim on w tym wszystkim jest.

– Kumplem ze studiów?

– Ale co to, do diabła, znaczy? Przywołuje jakąś tam przyjaźń, której nawet nie pamiętam. Poza tym on nie potrzebuje kumpla, on potrzebuje ochroniarza.

– Potrzebuje wujcia Davida.

– A ja nim nie jestem.

– Na pewno?

Westchnął.

– Mam wchodzić w sprawę Mellery'ego czy nie?

– Już w nią wszedłeś. Może jeszcze nie uporządkowałeś etykiet. Nie jesteś oficjalnie policjantem i oficjalnie nie ma ofiary przestępstwa. Jest tu jednak zagadka i, na Boga, wcześniej czy później złożysz to wszystko do kupy. Bo przecież zawsze o to chodzi, prawda?

– Czy to jakieś oskarżenie? Wyszłaś za mąż za detektywa. Nie udawałem, że jestem kimś innym.

– Sądziłam, że istnieje jakaś różnica między detektywem a detektywem na emeryturze.

– Jestem na emeryturze już od ponad roku. Czy to, co robię, wygląda na robotę policyjną?

Pokręciła głową, jak gdyby odpowiedź była boleśnie oczywista.

– Czy poświęcasz czas na cokolwiek, co nie przypomina roboty policyjnej?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Czy wszyscy zajmują się portretami morderców?

– To jest temat, który już znam. Chcesz, żebym malował stokrotki?

– Stokrotki byłyby lepsze niż zboczeni mordercy.

– Ale to przecież ty mnie do tego namówiłaś. Namówiłaś mnie do zainteresowania się sztuką.



– Aha, rozumiem. To przeze mnie spędzasz całe piękne, jesienne poranki, wpatrując się w oczy seryjnych morderców?

Spinka, która przytrzymała jej włosy na czubku głowy, chyba się poluzowała, bo kilka ciemnych kosmyków pojawiło się przed oczami Madeleine. Nie zdawała sobie chyba z tego sprawy, bo jak rzadko kiedy wyglądała na bardzo przejętą. Uznał, że ten widok jest wzruszający. Wziął głęboki oddech.

– O co my się właściwie kłócimy?

– Sam się domyśl. To ty jesteś detektywem.

Stał i patrzył na nią, już stracił zainteresowanie tą sprzeczką.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział. – Zaraz wracam.

Wyszedł i wrócił minutę później z kartką, na której napisał własną ręką to, co podyktował mu Mellery przez telefon.

– Mogę cię prosić o opinię?

Przeczytała to tak szybko, że ktoś, kto jej nie znał, mógłby pomyśleć, że w ogóle tego nie czytała.

– Brzmi poważnie – powiedziała, oddając mu kartkę.

– Zgadzam się.

– Jak sądzisz, co on zrobił?

– No właśnie, dobre pytanie. Zauważyłaś to słowo?

Z pamięci przytoczyła właściwą linijkę: „Robię to, co zrobiłem, nie dla pieniędzy ani dla zabawy”. Jeżeli Madeleine nie miała pamięci fotograficznej, pomyślał Gurney, to na pewno dysponowała czymś bardzo podobnym.

– Więc co dokładnie on „zrobił” i co planuje „zrobić”? – pytała tonem retorycznym, nie spodziewając się odpowiedzi. – Na pewno się dowiesz. Zważywszy na ton tego listu, może trafi ci się nawet jakaś zagadka dotycząca morderstwa. Będziesz mógł zbierać dowody, iść za różnymi tropami, złapać mordercę, namalować jego portret i dać Soni, żeby powiesiła go w galerii. Jak brzmi to powiedzonko? Jeśli życie da ci cytrynę, zamień ją w lemoniadę.

Jej uśmiech wyglądał groźnie jak chmura gradowa.

W takich chwilach do głowy przychodziło mu pytanie, nad którym najmniej chciał się zastanawiać. Czy przeprowadzka do hrabstwa Delaware nie była jedną wielką pomyłką? Zapewne chciał spełnić jej życzenie i zgodził się na życie na wsi po to, żeby zrekompensować jej wszystkie szare dni, które przeżyła jako żona gliniarza – zawsze na drugim miejscu, zawsze mniej ważna od pracy. Uwielbiała lasy i góry, łąki i otwarte przestrzenie, a on czuł, że jest jej winien to nowe otoczenie, nowe życie – zakładał, że potrafi się do wszystkiego przyzwyczaić. Może się oszukiwał, może był zbyt dumny, żeby się przyznać. Może pragnął pozbyć się poczucia winy jednym wielkim gestem. To głupie, naprawdę. W rzeczywistości wcale nie przystosował się dobrze do życia po przeprowadzce. Nie był tak elastyczny, jak to sobie w swojej naiwności wyobrażał. Próbował znaleźć dla siebie jakieś sensowne miejsce w środku tego pustkowia. Instynktownie szukał czegoś, w czym był dobry – może zbyt dobry, wręcz obsesyjnie dobry. Walczył nawet o to, by się nauczyć, jak doceniać przyrodę. Na przykład te cholerne ptaki. Obserwacja ptaków. Udało mu się zmienić proces obserwacji i identyfikacji ptaków w śledztwo. Robił notatki dotyczące ich przylotów i odlotów, ich zwyczajów, tego, czym się żywią, charakterystyki lotu. Dla kogoś z zewnątrz mogło to wyglądać jak nowo odkryta miłość do maleńkich stworzeń bożych. Tak jednak nie było. To nie była miłość, tylko analiza. Żganie ostrym końcem.

Rozszyfrowywanie.

Dobry Boże, czy naprawdę jest aż tak ograniczony? Czy naprawdę jest ograniczonym człowiekiem – zbyt małym i zbyt sztywnym w podejściu do życia, by zrekompensować Madeleine to, czego pozbawił ją, poświęcając się pracy? Wciąż jeszcze zastanawiał się nad różnymi bolesnymi opcjami, może jest coś jeszcze, czym mógłby zastąpić dawne zanurzenie po uszy w pracy zawodowej.

Może chodzi o coś innego.

O to, o czym tak trudno było im rozmawiać.

O gwieździe, która zapadła się w siebie.

O czarnej dziurze, której potworna siła grawitacyjna wykrzywiła ich

związek.

## Między młotem a kowadłem

Rozświetlone żółtymi liśćmi i jesiennym słońcem popołudnie nagle się skończyło. Pociemniały chmury, które rano były małymi, radosnymi strzępkami waty na niebie. Słysząc było odgłosy dalekiej burzy jak turkot kamieni młyńskich – na razie trudno było stwierdzić, skąd burza nadejdzie. Te dźwięki brzmiały raczej jak niedotykalna obecność w atmosferze niż zapowiedź realnej burzy – czuło się to coraz mocniej, dudnienie z godziny na godzinę było głośniejsze, chociaż wydawało się, że ani się nie przybliży, ani całkowicie nie zamiera.

Tamtego wieczoru Madeleine pojechała na koncert do miasteczka razem z koleżankami z Walnut Crossing. Założyła, że nie ma co się spodziewać Gurneya na tym koncercie, więc nie miała pretensji, że postanowił zostać w domu i popracować nad swoimi projektami graficznymi.

Wkrótce po jej wyjściu Gurney zasiadł przed ekranem komputera i teraz wpatrywał się w fotografię twarzy Petera Possuma Piggerta. Na razie udało mu się tylko zaimportować plik graficzny i ustawić go jako nowy projekt, któremu nadał przedziwną, choć intrygującą nazwę – „Wrak Edypa”.

W micie greckim, utrwalonym przez Sofoklesa, Edyp zabija człowieka, który, jak się potem okazuje, był jego ojcem, żeni się z kobietą, która, jak się dowie po niewczasie, jest jego matką, i ma z nią dwie córki, co skutkuje wielką tragedią dotyczącą wszystkich. Według psychoanalizy Freuda ten grecki mit symbolizuje fazę rozwojową życia dziecka płci męskiej, w której do głosu dochodzi pragnie nieobecności ojca (zniknięcia, śmierci) tak, by mieć na własność miłość swojej matki. W przypadku Petera Possuma Piggerta nie można było mówić o usprawiedliwiającej niewiedzy ani o symbolu. Wiedząc dokładnie, co robi i komu, Peter w wieku lat piętnastu zamordował swojego ojca, wszedł w nowy związek ze swoją matką i miał z nią dwie córki. Na tym się jednak nie skończyło. Piętnaście lat później

zamordował swoją matkę po kłótni dotyczącej związku, który zapoczątkował z ich córkami mającymi wtedy trzynaście i czternaście lat.

Gurney zaangażował się w śledztwo, które otwarto po odnalezieniu połowy ciała pani Iris Piggert, wplątanego w mechanizm sterowy statku wycieczkowego, który pływał po rzece Hudson, w doku portu na Manhattanie, a zakończono wraz z aresztowaniem Petera Piggerta na pustyni w stanie Utah, gdzie mieszkał na tradycyjnym osiedlu mormońskim jako mąż swoich dwóch córek. Pomimo grozy dwóch krwawych zbrodni i przerażającej historii rodzinnej Piggert podczas śledztwa i sprawy sądowej pozostawał postacią skupioną, cichą, panował nad sobą całkowicie, a pan Hyde był dobrze ukryty w jego duszy i wyglądał bardziej jak mechanik samochodowy z depresją niż kazirodca grzeszący ze swoją matką i córkami.

Gurney wpatrywał się w wizerunek Piggerta na ekranie, a Piggert wpatrywał się w niego. Już od pierwszego przesłuchania Gurney miał wrażenie, że najważniejszą cechą tego człowieka była potrzeba (potwornie rozdmuchana) kontrolowania swojego środowiska, a teraz to wrażenie jeszcze się wzmocniło. Ludzie, nawet rodzina – a właściwie przede wszystkim rodzina – byli częścią tego środowiska, a kluczowe dla niego było to, żeby robili to, co on chce. Jeżeli musiał kogoś zabić, by przejąć kontrolę – trudno. Zachowania seksualne, choć wydawały się z pozoru ważną siłą napędową, były podszyte pragnieniem władzy, a w mniejszym stopniu motywowane żądzą erotyczną.

Wpatrywał się w nieruchomą twarz, szukając demona, kiedy powiew wiatru uniósł w wirze suche, żółte liście. Przesunęły się przez patio z odgłosem, jaki wydaje wiązka brzozowych witek; kilka z nich uderzyło lekko w szyby drzwi balkonowych. Niepokój liści i nieustające dudnienie utrudniały mu koncentrację. Myśl, że będzie sam przez kilka godzin i robi postępy w pracy nad portretem, wydała mu się wcześniej bardzo atrakcyjna. Teraz jednak nie mógł skupić na niczym uwagi. Wpatrywał się w oczy Piggerta – ciemne, o ciężkim spojrzeniu – nie było w nich dzikich rozbłysków, które ożywiały spojrzenie Charliego Mansona, wykreowanego

przez tabloidy na księcia seksu i krwawej zbrodni. Wiatr i podnoszone przezeń liście znów odwracały uwagę Gurneya, po chwili zagrzmiało. Za linią gór zobaczył słabe rozbłyски rozjaśniające mroczne niebo. W jego umyśle błąkały się słowa dwóch linijek wierszy, które miały przestraszyć Mellery'ego. Przypominał je sobie, później zgubił w pamięci, a teraz powróciły i już nie chciały odejść.

*Co zabrałeś, musisz oddać,  
Gdy dostaniesz to, coś dał.*

Na pierwszy rzut oka była to zagadka nie do rozwiązania. Słowa były zbyt ogólne, niosły ze sobą jednocześnie zbyt mało i zbyt wiele znaczeń; nie potrafił jednak wyrzucić ich z pamięci.

Otworzył szufladę biurka i wyjął – w kolejności takiej, w jakiej się pojawiały – listy, które przekazał mu Mellery. Wyłączył komputer i odsunął klawiaturę tak, by móc ułożyć listy w odpowiednim porządku.

*Wierzysz w przeznaczenie? Ja wierzę, bo kiedyś sądziłem, że Cię już nigdy nie spotkam, a pewnego dnia Cię spotkałem. Wszystko wróciło. Twój głos, Twoje ruchy, a przede wszystkim Twój sposób myślenia. Jeśli ktoś poprosiłby Cię, żebyś pomyślał jakąś liczbę, ja wiedziałbym, co to byłaby za liczba. Nie wierzysz mi? To Ci udowodnię. Pomyśl jakąś liczbę od 1 do 1000, pierwszą, jaka Ci przyjdzie do głowy. Wyobraź ją sobie. A teraz przekonaj się, jak dobrze znam Twoje tajemnice. Otwórz małą kopertę.*

Chociaż wcześniej już to robił, raz jeszcze obejrzał uważnie większą kopertę, w środku i na zewnątrz, przyjrzał się kartce papieru, na której napisano list, by upewnić się, czy nie ma tam żadnego odwołania do liczby sześćset pięćdziesiąt osiem – na przykład znaku wodnego, który mógłby sugerować tę liczbę, która, jak się wydaje, samorzutnie pojawiła się przed oczami Mellery'ego. Nie znalazł jednak najmniejszego tropu. Można by później przeprowadzić dokładniejsze testy, ale na razie był zadowolony z

potwierdzenia swojej analizy, że to na pewno nie znak wodny na papierze pozwolił autorowi przewidzieć, jaką liczbę wskaże Mellery.

Z treści listu wyłaniały się stwierdzenia, które Gurney spisał i ponumerował w notatniku w żółte linie.

1. Kiedyś cię znałem, ale straciłem z tobą kontakt.
2. Spotkałem cię ponownie, całkiem niedawno.
3. Niejedno o tobie wiem.
4. Potrafię udowodnić, że znam twoje sekrety, pisząc i zaklejając w kopercie liczbę, która przyjdzie ci do głowy.

Ton tych wypowiedzi był przerażająco niefrasobliwy, a odniesienie do wiedzy na temat „sekrétów” Mellery’ego można by odczytać jako groźbę, którą autor wzmacniał żądaniem pieniędzy na kartce w mniejszej kopercie.

*Czy jesteś zszokowany, bo wiedziałem, że wybierzesz 658? Kto zna Cię aż tak dobrze? Jeżeli chcesz odpowiedzi, musisz mi najpierw zwrócić 289 dolarów i 87 centów, bo tyle mnie kosztowało odnalezienie Ciebie.*

*Poślij dokładnie tę kwotę na poniższy adres:*

*Skrzynka pocztowa numer 49449, Wycherly, CT 61010.*

*Przekaż mi gotówkę lub czek wypisany na X. Arybdis.*

*(Moje nazwisko kiedyś brzmiało inaczej).*

Oprócz niemożliwej do wyjaśnienia umiejętności prze widzenia liczby, w krótszym liście autor potwierdza, że zna Mellery’ego osobiście, i mówi o kwocie dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów jako o koszcie, który poniósł, próbując go odszukać (choć z pierwszej połowy listu wynikało, że to spotkanie było przypadkowe), i jako warunku wstępnym do ujawnienia tożsamości autora; był tam bowiem wybór zapłaty tej kwoty czekiem lub gotówką; na czeku miało widnieć nazwisko „X. Arybdis”, w liście znalazło się wyjaśnienie, dlaczego Mellery tego nazwiska nie rozpozna, i adres skrytki pocztowej w Wycherly, dokąd

trzeba było posłać pieniądze. Gurney spisał wszystkie te fakty na karteczce notatnika, bo to zawsze pomagało mu uporządkować myśli, które skupiały się wokół czterech pytań. Jak można by wyjaśnić dokładne przewidzenie liczby bez wdawania się w hipotezy o hipnozie albo o zjawiskach paranormalnych? Czy inna dość konkretna liczba w liście, mianowicie kwota dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów, ma jakieś znaczenie oprócz tego, co autor określił jako „koszty odnalezienia Mellery’ego”? Czemu miała służyć opcja gotówki lub czeku (przecież brzmi to jak parodia reklamy sprzedaży jakiegoś produktu)? I co jest z tym nazwiskiem Arybdis, które pałęta się gdzieś po ciemnych alejkach pamięci Gurneya? Spisał te pytania pod swoimi notatkami.

Wyłożył później na biurko trzy wiersze w takiej kolejności, jaka wynikała z dat na stemplach odbitych na znaczkach pocztowych.

*Ile się zmieści aniołów  
Na czubku szpilki?  
Ile nadziei w butelce tonie  
W ułamku chwilki?  
Kiedyś ci przyjdzie do głowy,  
Że twój kieliszek to broń,  
Pistolet do użycia gotowy.  
I spytasz: „Boże, co ja zrobiłem?”.*

*Co zabrałeś, musisz oddać,  
Gdy dostaniesz to, coś dał.  
Znam ja wszystkie twoje myśli,  
Wiem ja dobrze, co się przyśni  
I gdzie byłeś,  
I gdzieś jest.  
O spotkanie cię poproszę,  
Drogi Panie Sześć Pięć Osiem*

*Robię, co zrobiłem, jeśliś ciekawy,*



*Nie dla grosza ni zabawy,  
Lecz by spłacić dług w mej pieczy,  
Przywrócić porządek rzeczy.  
Bo krew jest czerwona  
Jak malowane róże.  
A ty zasiałeś burzę.  
Co zbierzesz, sam się przekonaj.*

Uderzyła go przede wszystkim zmiana postawy. Zabawny, lekki ton pierwszych listów pisanych prozą przeszedł w ton oskarżycielski w pierwszym wierszu, w drugim zawierał niekamuflowaną groźbę, a w trzecim zapowiedź zemsty. Odsuwając na chwilę kwestię tego, jak poważnie należałoby traktować tę groźbę, sam przekaz był jasny – autor (X. Arybdis?) twierdził, że zamierza wyrównać rachunki z Mellerym (zabić go?) za jego przewinienia związane z piciem alkoholu. Kiedy Gurney napisał słowo „zabić” w notatkach, które sporządzał, znów pojawiły mu się przed oczami dwie linijki z drugiego wiersza:

*Co zabrałeś, musisz oddać,  
Gdy dostaniesz to, coś dał.*

Gurney wiedział doskonale, co znaczą te słowa, komunikat był przerażająco prosty. „Za życie, które komuś odebrałeś, dasz swoje. To, co uczyniłeś, będzie uczynione tobie”.

Nie był pewien, czy to, że się wzdrygnął, przekonało go, że ma rację, czy też świadomość, że ma rację, była przyczyną niepokoju – tak czy owak nie miał żadnych wątpliwości. Nie dawało to jednak odpowiedzi na pozostałe pytania, które były coraz bardziej niepokojące i pociągały za sobą kolejne.

Czy wyrażona w nich groźba morderstwa jest jedynie próbą zadania bólu i wywołania lęku, czy też deklaracją realnego zamiaru? Do czego odwołuje się autor listu, pisząc „Robię, co zrobiłem, jeśliś ciekawy” w pierwszej linijce trzeciego wiersza? Czy Mellery w przeszłości wyrządził komuś krzywdę, a teraz autor listu chciał to samo uczynić Mellery’emu? Czy

Mellery mógł zrobić coś wspólnie z kimś innym, z kim autor listu miał już do czynienia? Gurney odnotował, że musi spytać Mellery'ego, czy któryś z jego znajomych lub współpracowników zginął nienaturalną śmiercią, czy mu grożono lub czy go zaatakowano.

Może za sprawą nastroju, który wytwarzały rozbłyśki światła zza pociemniałych górskich zboczy, niepokojącej nieuchronności zbliżającej się, dudniącej jeszcze w oddali burzy, a może po prostu z powodu wyczerpania i zmęczenia Gurney poczuł, że osobowość ukryta za tymi listami i wierszami wyłaniała się z cienia. Chłodne oddalenie głosu, który przemawiał poprzez wiersze, krwawy zamiar i dokładnie dobrane słowa, nienawiść i wyrachowanie – spotykał już te cechy w podobnej kombinacji, a ich połączenie zawsze dawało przerażający rezultat. Gurney spoglądał za okno. Gdzieś tam zbierała się burza. W tych listach i wierszach dostrzegał chłód charakterystyczny dla psychopaty. Psychopaty, który nazwał siebie X. Arybdis.

Oczywiście niewykluczone jest i to, że Gurney zupełnie się myli. Nie pierwszy raz tworzyłby przekonania niemające potwierdzenia w faktach, zwłaszcza pod wpływem szczególnego nastroju, wieczorami, kiedy był sam.

A jednak... Coś było w tym nazwisku. W którym z zakurzonych pudełek pamięci tkwi coś, co delikatnie drga i nie daje mu spokoju?

Tamtego wieczoru położył się wcześniej, na długo przed powrotem Madeleine z koncertu, z silnym przekonaniem, że jutro wróci do listów adresowanych do Mellery'ego i będzie nalegał, by ten zgłosił sprawę na policję. Poprzeczka była ustawiona za wysoko, za wiele ryzykował, niebezpieczeństwo było zbyt wyczuwalne. Gurney otulił się kołdrą, ale sen nie przychodził. Myśli goniły jedna za drugą, nie było ani startu, ani linii mety. Znał to uczucie doskonale – to cena, którą płacił (do takiego przekonania doszedł) za mocne skupienie uwagi, skierowane na pewien konkretny rodzaj wyzwania. Kiedy ogarnięty obsesją umysł, zamiast wypocząć, dawał się zapędzić w ten krąg gonitwy myśli, były tylko dwie opcje. Można było albo pozwolić na to, by myśli coraz szybciej krążyły – a to zajmie trzy lub cztery godziny – albo zmusić się, by wstać i znów się ubrać.

Kilka minut później, w dzinsach i w starej, wygodnej bawełnianej bluzie, wychodził na patio. Księżyc w pełni na za ciągniętym chmurami niebie dawał przytłumioną poświatę, w ciemności widoczny był zarys stodoły. Postanowił, że przespaceruje się ścieżką wzdłuż pastwiska w tym właśnie kierunku. Za stodołą był staw. W połowie drogi Gurney zatrzymał się i nasłuchiwał warkotu samochodu, który nadjeżdżał szosą od strony miasteczka. Ocenił, że auto jest nieco ponad pół kilometra od niego. W tym cichym zakątku gór Catskill, gdzie najintensywniejszym odgłosem nocy było sporadyczne wycie kojotów, dźwięk silnika można było usłyszeć z dużej odległości. Wkrótce reflektory samochodu Madeleine oświetliły płataninę usychających krzewów, stanowiących granicę pastwiska. Skierowała się ku stodołę, zatrzymała auto na chrzęszczącym pod kołami żwirze i wyłączyła światła. Wyszła i ruszyła ku niemu – ostrożnie, jej oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności.

– Co tu robisz? – pytanie zadała cichym, przyjaznym głosem.

– Nie mogłem zasnąć. Mam gonitwę myśli. Chciałem się przejść wokół stawu.

– Czuję w kościach, że będzie padać. – Dalekie dudnienie na nocnym niebie było jak potwierdzenie jej słów.

Skinął głową. Stanęła obok niego na ścieżce i wzięła głęboki oddech.

– Wspaniały zapach. Chodź, przejdziemy się trochę – zaproponowała, chwytając go pod ramię.

Kiedy doszli do stawu, ścieżkę zastąpiła łąka skoszonej trawy. Usłyszeli, że gdzieś w lesie zahuczała sowa, a właściwie wychwycili znany sobie odgłos, który uznali za pohukiwanie sowy, kiedy pierwszy raz rozbrzmiało tego lata, i za każdym razem, kiedy go później słyszeli, z coraz większą pewnością stwierdzali, że to właśnie ten ptak. W umyśle Gurneya tkwiło jakby wrodzone przekonanie, że proces narastania pewności nie ma logicznego sensu, lecz wiedział również, że rozmawianie o tym, co dla niego było interesujące jako sztuczka rozumu, tylko znudzi i poirytuje Madeleine. Nic więc nie powiedział, zadowolony z tego, że znają się na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy lepiej milczeć. Podążali na drugą stronę stawu w przyjaznej

ciszy. Miała rację co do atmosfery – w powietrzu pachniało cudowną słodyczą.

Od czasu do czasu zdarzały im się takie chwile, chwile ciepła i cichej bliskości, które przypominały mu wczesne lata ich małżeństwa, lata przed wypadkiem. „Wypadek” – to etykieta ważąca tonę, którą opatrywał wydarzenie z przeszłości, by jego ostre jak brzytwa szczegóły nie kroili mu serca na kawałki. Wypadek – śmierć – który spowodował zaćmienie słońca, zmienił ich małżeństwo w dziwną mieszaninę przyzwyczajzeń, obowiązków, trudnej przyjaźni i rzadkich momentów nadziei – momentów, gdy pojawiała się między nimi coś jasnego i przejrzystego jak diament, przypominając mu, że kiedyś tak właśnie było i że może tak być w przyszłości.

– Mam wrażenie, że z czymś się zmagasz – powiedziała, zaciskając palce na jego ramieniu tuż nad łokciem.

Znów miała rację.

– I jak tam koncert? – spytał w końcu.

– Pierwsza część barokowa, cudowna. Druga część, muzyka XX wieku, już nie tak wspaniała.

Chciał jej przytaknąć, wypowiadając własną niepochlebną opinię o współczesnej muzyce, ale powstrzymał się.

– Dlaczego nie mogłeś spać? – spytała.

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

Wyczuwał jej sceptycyzm. Zwolniła uchwyt na ramieniu. Coś plusnęło w stawie, kilka metrów przed nimi.

– Nie mogę przestać myśleć o tej sprawie Mellery’ego – powiedział w końcu.

Nie odezwała się.

– Jakies fragmenty, strzępki krążą w mojej głowie. Do niczego nie dochodzę, po prostu jestem coraz bardziej zdezorientowany, zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie.

Tym razem również skwitowała to wymownym milczeniem.

– Wciąż myślę o tym nazwisku z listu.

- X. Arybdis?
- A skąd... Słyszałaś, jak je wymawialiśmy?
- Słuch jeszcze mam dobry.
- Wiem, ale zawsze mnie to zaskakuje.
- Może to wcale nie jest X. Arybdis, wiesz? – powiedziała jakby od niechcienia, ale on wiedział, że tak wcale nie było.
- Co takiego? – spytał, zatrzymując się nagle.
- To może nie być wcale X. Arybdis.
- Co masz na myśli?
- Cierpiałam, słysząc okrutne, atonalne zgrzyty w drugiej części koncertu, i zastanawiałam się, dlaczego niektórzy współcześni kompozytorzy tak nienawidzą wiolonczeli. Dlaczego ktoś miałby zmuszać taki piękny instrument do wydawania z siebie takich żałosnych dźwięków? Okropne darcie i jęki.
- I...? – powiedział delikatnie, próbując powstrzymać ciekawość.
- Wyszłabym z koncertu, ale nie mogłam, bo podwoziłam do miasteczka Ellie.
- Ellie?
- Ellie, tę, która mieszka u stóp wzgórza. Jeżeli można pojechać jednym samochodem, to po co jechać dwoma? Jej się koncert chyba jednak podobał, ale, na Boga, nie rozumiem dlaczego.
- No i?
- Zaczęłam rozmyślać, co zrobić, żeby zabić ten czas, żeby nie wstać i nie pomordować muzyków.
- Znów coś plusnęło w stawie i zatrzymali się, żeby posłuchać. Na wpół zobaczył, na wpół wyczuł, że Madeleine się uśmiecha. Bardzo lubiła żaby.
- No i?
- I pomyślałam sobie, że zacznę planować, komu wysłać kartki świąteczne, bo właściwie mamy już listopad, więc wyjęłam długopis i z tyłu programu, u góry strony napisałam „Xmas”. Uświadomiłam sobie, że po angielsku to nie całe słowo oznaczające święta, Christmas, ale skrót tego słowa, to jest X-M-A-S – powiedziała, literując słowo.

W ciemności bardziej wyczuwał, niż widział jej spojrzenie, w którym było pytanie, jakby zastanawiała się, czy już rozumie, co ona ma na myśli.

– Mów dalej – powiedział.

– Za każdym razem, kiedy widzę ten skrót, przypomina mi się mały Tommy Milakos.

– Kto taki?

– Tommy się we mnie zakochał w dziewiątej klasie szkoły pod wezwaniem Matki Bożej Łaskawej.

– Zawsze myślałem, że chodziłaś do szkoły pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej – powiedział Gurney z lekką irytacją.

Przerwała na chwilę, żeby uświadomić sobie, że to tylko żarcik, a po chwili podjęła wątek.

– Tak czy owak, pewnego dnia siostra Immaculata, kobieta znacznych gabarytów, zaczęła na mnie wrzeszczeć, bo skróciłam słowa „Boże Narodzenie” i napisałam „Xmas” w quizie na temat świąt katolickich. Powiedziała, że ktoś, kto pisze to w ten sposób, celowo stawia X, wykreślając Chrystusa z naszych świąt. Była wściekła. Bałam się, że mnie spoliczkuje. Ale wtedy właśnie Tommy, przesłodki, mały, brązowooki Tommy, wstał z ławki i wrzasnął: „To wcale nie jest X!”. Siostra Immaculata była w szoku. Po raz pierwszy ktoś ośmielił się jej przerwać. Wpatrywała się w niego w niemym zdziwieniu, ale on nie spuszczał wzroku, był moim małym rycerzem. „To nie jest angielska litera – powiedział. – To litera grecka. Czyta się ją tak samo jak angielskie CH. To pierwsza litera słowa Chrystus po grecku”. Tommy Milakos był Grekiem, więc wszyscy wiedzieli, że musi mieć rację.

Było ciemno, ale miał wrażenie, że widzi uśmiech, który delikatnie rozpromienia jej twarz na to wspomnienie, wydawało mu się nawet, że słyszy coś jakby westchnienie. Może mylił się w kwestii tego westchnienia – taką miał nadzieję. I jeszcze jedna myśl przez chwilę nie dawała mu spokoju – czy woli teraz niebieskie oczy, a kiedyś wołała brązowe? „Opanuj się, Gurney, ona mówi o pierwszej klasie liceum”.

Madeleine podjęła wątek.

– Więc może „X. Arybdis” to naprawdę „Ch. Arybdis”? A może „Charybdis”? Czy coś takiego nie występuje w greckiej mitologii?

– Tak, rzeczywiście – powiedział ni to do siebie, ni to do niej. „Między Scyllą a Charybdą...”

– To znaczy „między młotem a kowadłem”?

Skinął głową.

– Coś w tym stylu.

– A które jest które?

Zachowywał się, jakby nie słyszał jej pytania, myśli w jego głowie goniły jedna za drugą, podsuwając mu różnorodne skojarzenia z pojęciem Charybda, zonglując możliwościami.

– Co takiego? – zdał sobie sprawę, że o coś go spytała.

– Scylla i Charybda – odparła. – Młot i kowadło. Które jest które?

– To nie jest dosłowne tłumaczenie, tylko interpretacja. Scylla i Charybda to w rzeczywistości punkty nawigacyjne, niebezpieczne miejsca w Cieśninie Messyńskiej. Statki musiały przepływać między nimi i niektóre rozbijały się lub tonęły. W mitologii te dwa miejsca traktowane były jako demony zniszczenia.

– Mówisz o nawigacji i niebezpieczeństwach... A coś bliżej?

– Scylla to nazwa ostrych skał tuż pod samą wodą, o które rozbijały się statki, a później tonęły.

Kiedy milczał przez dłuższą chwilę, dopytywała.

– A Charybda?

Odchrząknął. Było coś w koncepcji Charybdy, co wyraźnie wytrącało go z równowagi.

– Charybda to wir. Bardzo silny wir. Kiedy ktoś w niego wpadnie, to przepadł. Wciąga człowieka i rozrywa na kawałki.

Z niepokojącą jasnością zobaczył przed oczami wyobraźni ilustrację, którą przed laty widział w kolorowym wydaniu *Odysei*, a która ukazywała żeglarza o twarzy wykrzywionej przerażeniem, złapanego w gwałtowny wodny wir.

Znów coś zaskrzeczało z lasu.

– Chodźmy – powiedziała Madeleine. – Do domu. Zaraz będzie padać.  
Stał bez ruchu, zagubiony w plątaninie myśli.

– Chodź – nalegała. – Bo za chwilę przemokniemy do suchej nitki.

Poszedł za nią do samochodu, pojechali powoli przez pastwisko pod sam dom. Zanim wysiedli, odwrócił się do niej i spytał:

– Ale nie sądzisz, że każde X, które widzisz, jest możliwym CH, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego...?

– Bo „Arybdis” brzmiało jak greckie słowo.

– No, oczywiście. Masz rację.

Spojrzała na niego z fotela pasażera, a wyraz jej twarzy był jeszcze bardziej nieodgadniony niż zwykle, przyćmiony chmurami zakrywającymi nocne niebo.

Po chwili odezwała się zaczepnie.

– Nigdy ci się nie przestają kręcić te trybiki w głowie, prawda?

I wtedy, tak jak przewidziała, zaczęło padać.



## Taka osoba nie figuruje

Zimny front po kilku godzinach przestoju u podnóża gór ogarnął całą okolicę, niosąc ze sobą przenikliwe podmuchy wiatru i deszcz. Rano wszystko było pokryte liśćmi, w powietrzu czuło się intensywny zapach jesieni. Kropelki rosy na pastwisku rozszczepiały promienie słońca, połyskując jak karmazynowe iskierki.

Kiedy Gurney szedł do samochodu, jego zmysły zaatakowało wspomnienie z przeszłości, kiedy słodki zapach trawy kojarzył się ze spokojem i bezpieczeństwem. Po chwili znikło, wymazane przez plany na dzisiejszy dzień. Wybierał się do Instytutu Odnowy Duchowej. Jeżeli Mark Mellery nadal będzie opierał się przed zaangażowaniem policji w tę sprawę, Gurney chciałby pospierać się z nim na temat tej decyzji twarzą w twarz. Nie chodziło o to, że sam umywał ręce. Właściwie im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej go ciekawiło, jak wygląda sławny ośrodek jego starego kolegi ze studiów i w jaki sposób może się on wiązać z kimś lub z czymś, co teraz mu grozi. Gurney był przekonany, że będzie dość miejsca w śledztwie zarówno dla niego, jak i dla miejscowej policji, jeśli będzie stąpał uważnie i nie przekroczy pewnych granic.

Zadzwoił do Mellery'ego, żeby poinformować go o swoim przyjeździe. Poranek był idealny na jazdę wśród gór. Droga do Peony prowadziła przez Walnut Crossing. Miasteczko, takie jakich wiele w górach Catskill, wyrosło w XIX wieku wokół skrzyżowania ważnych lokalnych szlaków. Skrzyżowanie nadal tam było, choć jego znaczenie znacznie zmalało. Stary orzech, który dał nazwę miasteczku<sup>[1]</sup>, dawno zniknął, podobnie jak dobrobyt w tym regionie. Kryzys gospodarczy, jakkolwiek bardzo poważny, wyglądał bardzo malowniczo – wysmagane przez deszcz i wiatr stodoły i silosy, pordzewiałe pługi i wozy drabiniaste, porzucone pastwiska na zboczach wzgórz, porośnięte wędnącą złocistą nawłocią. Droga z Walnut Crossing, prowadząca do samego Peony, wiła się wzdłuż doliny rzeki,

przecinającej krajobraz jak z pocztówki, a w dolinie kilka starych farm próbowało znaleźć nowy sposób na przeżycie. Jedną z nich była farma Abelarda. Wtłoczona pomiędzy miasteczko Dillweeda płynącą nieopodal rzekę, reklamowała się jako ekologiczne miejsce, gdzie hoduje się „warzywa wolne od pestycydów”, które następnie sprzedawano w sklepie Abelarda razem ze świeżo pieczonym domowym chlebem, miejscowymi serami z gór Catskill i bardzo dobrą kawą – Gurney poczuł właśnie nieodpartą chęć napicia się takiej kawy, więc zatrzymał się przed sklepem na żwirowym parkingu, tuż przy ganku z lekko opadającym daszkiem.

Wszedł do środka i zobaczył bardzo wysokie pomieszczenie. Pod ścianą po prawej stronie stał rząd dymiących dzbanków z kawą, i Gurney ruszył właśnie w tym kierunku. Napełnił filiżankę, uśmiechając się pod nosem, gdy poczuł silny aromat – kawa była lepsza niż u Starbucksa i za połowę ceny.

Niestety myśl o Starbucksie przywołała obraz pewnego młodego, zamożnego klienta tej sieci kawiarni. Ujrzał przed oczami wyobraźni Kyle’a, choć w tym samym momencie sam do siebie puścił oko. To była jego standardowa reakcja. Podejrzewał, że jej źródłem jest niespełniona potrzeba aprobaty ze strony syna, przekonania go, że warto podziwiać bystrego gliniarza. Jego syn jednak nie był jednak szczególnie zainteresowany radami życiowymi ojca, Kyle był głuchy na komunikaty i niedotykalny w swoim absurdalnie drogim porsche z absurdalnie wysokim dochodem z Wall Street – młodzieniec, którego było stać na zagraniczny sportowy samochód, kiedy miał dwadzieścia cztery lata. A jednak powinien do niego oddzwonić, nawet jeżeli chłopak chciał rozmawiać o ostatnio kupionym rolleksie albo o wyprawie na narty do Aspen.

Gurney zapłacił za kawę i wrócił do samochodu. Myślał, o czym będzie rozmawiał z synem, i w tym samym momencie zadzwonił telefon. Nie lubił takich przypadkowych zbieżności i poczuł ulgę, kiedy usłyszał w telefonie głos Marka Mellery’ego, a nie Kyle’a.

– Właśnie odebrałem dzisiejszą pocztę. Dzwoniłem do ciebie do domu, ale już cię nie było. Madeleine dała mi numer twojej komórki. Mam

nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Co się stało?

– Wrócił mój czek. Facet, który jest właścicielem skrytki pocztowej w Wycherly, dokąd posłałem czek opiewający na kwotę dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów na nazwisko Arybdisa, odesłał mi czek z notką, że nie ma tam nikogo o tym nazwisku i że z pewnością pomyliłem się, wypisując adres. Jeszcze raz sprawdziłem. Numer skrytki pocztowej się zgadzał. David? Jesteś tam?

– Jestem. Próbuję tylko jakoś to wszystko ułożyć w głowie.

– Przeczytam ci, co dostałem. „Znalazłem przesyłkę w mojej skrytce pocztowej. Domyślam się, że to błąd w adresie. Nie ma tu nikogo o nazwisku X. Arybdis”. Podpisano: „Gregory Dermott”. U góry papieru listowego jest napisane „GD Systemy Zabezpieczeń”. Mam tu też adres i numer telefonu w Wycherly.

Gurney miał właśnie wyjaśnić, że teraz ma niemal pewność, że X. Arybdis to nie jest prawdziwe nazwisko, lecz dziwaczna zabawa z nazwą mitologicznego wiru, który rozrywa ofiary na kawałki, ale zdał sobie sprawę, że cała ta historia i bez tego jest wystarczająco niepokojąca. Ujawnienie tej dodatkowej informacji będzie trzeba odłożyć, aż dotrze do Instytutu. Powiedział Mellery’emu, że będzie tam za godzinę.

Co się tutaj, do diabła, dzieje? To nie miało sensu. Jaki cel mogło mieć żądanie konkretnej sumy pieniędzy, żądanie wypisania czeku na nieznanego nikomu mitologiczne nazwisko i wskazanie niewłaściwego adresu przy pewności, że czek zostanie zwrócony nadawcy? Po co ktoś wymyśla tak skomplikowane i na pozór bezzasadne preludium do ohydnych wierszy, które zostały wysłane później?

Liczba niepokojących aspektów całej tej sprawy wzrastała, podobnie jak zainteresowanie Gurneya.

---

[1] *Walnut* (ang.) – orzech (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

## Idealne miejsce

Peony było miastem dwukrotnie usuwanym z kart historii. Położone niedaleko Woodstock, udawało, że ma tę samą psychodeliczną, kolorową, koncertowo-rockową przeszłość. Woodstock z kolei korzystało z nie do końca słusznych skojarzeń z zagranym w oparach trawki koncertem, który tak naprawdę odbył się ponad siedemdziesiąt kilometrów dalej, na farmie w Bethel. Wizerunek Peony powstał w atmosferze magii, a na tym chimerycznym fundamencie wzniesiono obiekty zajmujące się, jak można się było domyślić, komercyjną wersją spirytyzmu – księgarnie poświęcone myśli New Age, salony tarota, sklepy sprzedające pamiątki w stylu druidów i wiccanów, salony tatuażu, miejsca przeznaczone dla performerów, restauracje wegańskie. Było to centrum przyciągające dzieciaki w wieku zbliżonym do starczego. Stare mikrobusy Volkswagena o obłych kształtach i zwariowana eklektyczność przyodziana we wszystko, co sobie można wyobrazić, od skór do piór.

Pośród tych kolorowych, dziwacznych elementów krajobrazu prężnie rozwijał się przemysł turystyczny: sklepy i jadłodajnie o wystroju i nazwach tylko nieco niekonwencjonalnych, których ofertę ukierunkowano na gości z zasobnymi portfelami, lubiących sobie wyobrazać, że są badaczami pogranicza świata kultury.

Płatanina dróg wychodzących z dzielnicy handlowej Peony prowadziła wprost ku pieniądзом. Ceny nieruchomości wzrosły dwu- lub trzykrotnie po 11 września, kiedy nowojorczyki posiadający odpowiednie środki, opanowani galopującą paranoją, zostali tu przyciągnięci wizją wiejskiego spokoju. Domy na wzgórzach otaczających miasteczko mnożyły się jak grzyby po deszczu, marki terenówek na lokalnych drogach zmieniały się z Blazer i Bronco na Hummer i Land Rover, a turyści przyjeżdżający na weekendy za miasto nosili to, co Ralph Lauren wmówił im, że noszą ludzie na wsi.

Myśliwi, strażacy i nauczyciele ustępowali miejsca prawnikom, bankierom inwestycyjnym i kobietom w pewnym wieku, którym orzeczenia rozwodowe pozwalały finansować aktywność kulturalną, operacje plastyczne i rozwój duchowości proponowany przez rozmaitych guru. Gurney podejrzewał, że apetyt miejscowej ludności na rozwiązania problemów życiowych proponowane przez różnego rodzaju charyzmatyczne postaci, mógł przekonać Marka Mellery'ego, żeby tu właśnie rozwinąć swój biznes.

Kierując się wskazówkami z Google'a, skręcił z górskiej autostrady tuż przed centrum miasteczka, na ulicę Filchers Brook, która wiała się serpentyną w górę zalesionego zbocza. Dotarł w końcu do muru z miejscowego łupka, wysokiego na prawie półtora metra. Mur biegł wzdłuż drogi mniej więcej trzy metry od krawędzi asfaltu i ciągnął się przez co najmniej czterysta metrów. Gurney widział za nim gęstwinę bladobłękitnych astrów. W połowie długości muru zobaczył dwie oficjalne bramy, oddalone od siebie o piętnaście metrów – wjazd i wyjazd z okrągłego podjazdu. Do ściany, tuż przy pierwszej z bram, była przytwierdzona dyskretna tabliczka z brązu: INSTYTUT ODNOWY DUCHOWEJ MELLERY'EGO.

Kiedy wjechał na podjazd, mógł znacznie dokładniej opisać estetykę tego miejsca. Wszędzie, gdzie skierował wzrok, dostrzegał pozornie nieplanowaną perfekcję. Tuż obok zwirowej drogi rosły swobodnie jesienne kwiaty. Gurney był jednak pewny, że sposób ich rozplanowania nie jest tak naprawdę przypadkowy, tak samo jak strój Mellery'ego, który był z wysmakowaniem przemyślany i dobrany. Podobnie jak to bywa u wielu ludzi zamożnych, którzy nie chcą się obnosić z pieniędzmi, także tutaj ogólny nastrój odzwierciedlał starannie zaplanowaną nieformalność, obraz natury takiej, jaka powinna być, przy czym żaden krzew, krzak ani kwiat nie pozostawał nieprzycięty. Samochód w końcu zajechał przed fronton budynku zbudowanego w stylu osiemnastowiecznej angielskiej wiejskiej posiadłości, utrzymanego równie starannie, jak otaczające go ogrody.

Przed budynkiem stał patrzący na niego z zainteresowaniem rudobrody

mężczyzna, wyglądający na osobę nieznoszącą sprzeciwu. Gurney opuścił szybę i zapytał, gdzie znajdzie parking. Mężczyzna powiedział z wyraźnym brytyjskim akcentem, że powinien pojechać do końca podjazdu. To niestety skierowało Gurneya z powrotem na asfaltową szosę, prowadzącą do miasteczka. Zawrócił i znalazł się raz jeszcze przed bramą wjazdową, a potem przed frontem domu, gdzie wysoki Brytyjczyk raz jeszcze popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– Podjazd kieruje na szosę – powiedział Gurney. – Czy coś przeoczyłem?

– Skończony idiota ze mnie! – krzyknął mężczyzna z afektacją w głosie, która stała w wyraźnej sprzeczności z jego wyglądem i postawą. – Wydaje mi się, że wszystko wiem, ale bez przerwy się mylę!

Gurney miał przez chwilę wrażenie, że rozmawia z wariatem. W tym momencie zauważył drugą postać. W cieniu olbrzymiego rododendronu stał ciemnowłosy, potężnie zbudowany mężczyzna z wielkim brzuchem i przyglądał się im spode łba. Wyglądał, jak gdyby czekał na casting do roli w serialu o rodzinie Soprano.

– O! – krzyknął Anglik, wskazując entuzjastycznie jakieś miejsce położone przy podjeździe. – Tu znajdzie pan odpowiedź. Sarah weźmie pana pod swoje opiekuńcze skrzydła. Na pewno panu pomoże! – Mężczyzna powiedział to teatralnym tonem, następnie odwrócił się i odszedł sztywno, śledzony wzrokiem gangstera z komiksu.

Gurney podjechał do miejsca, w którym przy zwirowej drodze stała kobieta o bladej, nalanej twarzy naznaczonej wyrazem troski. Jej głos przepełniała empatia.

– Jejku, jejku, kazaliśmy panu jeździć w kółko. Tak się nie wita gości. – Przejęcie w jej głosie było niepokojące. – Proszę pozwolić, podprowadzę pana samochód. Będzie pan mógł wejść prosto do budynku.

– Nie trzeba. Mogłaby mi pani po prostu powiedzieć, gdzie jest parking?

– Oczywiście! Proszę za mną. Tym razem na pewno się pan nie zgubi. – Z tonu jej głosu wynikało, że zadanie doprowadzenia go na parking jest znacznie poważniejsze, niż można by to sobie wyobrazić.

Machnęła ręką na Gurneya, żeby jechał za nią. Jej gest był szeroki,

jakby przewodziła karawanie. W drugiej ręce, tuż przy boku, trzymała zamkniętą parasolkę. Stawiała kroki zdecydowanie, jak gdyby bała się, że Gurney ją zgubi. Kiedy doszła do prześwitu w żywopłocie, ustąpiła na bok i pokazała Gurneyowi dłonią drogę odchodzącą od żwirowej alei, przebiegającą między krzewami. Kiedy się z nią zrównał, zdecydowanym gestem wrzuciła parasolkę przez jego otwarte okno.

– Proszę ją wziąć! – krzyknęła.

Gurney zatrzymał się zdumiony.

– Wie pan, co mówią o zmiennej pogodzie w górach – wyjaśniła.

– Na pewno nie zmoknę – odparł. Minął ją i jechał dalej w kierunku parkingu, który wyglądał, jakby mogło się na nim zmieścić dwa razy więcej samochodów, niż obecnie stało. Gurney policzył auta, było ich szesnaście. Uporządkowany, prostokątny parking znajdował się między różnorodnymi kwiatami i zaroślami. Wysoka brzoza na jego krańcu wyznaczała granicę przy czerwonej trzypiętrowej stodole, której kolor wzmacniały ukośnie padające promienie jesiennego słońca.

Wybrał miejsce do parkowania między dwoma potwornie wielkimi samochodami z napędem na cztery koła. Kiedy parkował, zdał sobie sprawę, że obserwuje go zza klombu z daliami jakaś kobieta. Wsiadł z samochodu i uśmiechnął się do niej uprzejmie – delikatna, filigranowa postać o drobnych rysach twarzy przypominała fiołek alpejski. Było w jej wyglądzie coś staroświeckiego. „Gdyby była aktorką – pomyślał Gurney – z wielką naturalnością zagrałaby na deskach teatru dziewiętnastowieczną poetkę”.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdę Marka...

Fiołeczek jednak przerwał mu, pytając:

– Kto, do kurwy nędzy, pozwolił ci tutaj zaparkować?

## Duszpasterz

Z parkingu Gurney ruszył ścieżką z kocich łbów otaczającą georgiańskie domostwo. Zgadywał, że w nim właśnie znajdują się biura i sale wykładowe Instytutu. Skierował się do mniejszego budynku w tym samym stylu, położonego około stu pięćdziesięciu metrów za nim. Na stojącej tuż przy ścieżce niewielkiej tabliczce napisano złotymi literami: Mieszkanie prywatne.

Mark Mellery otworzył drzwi, zanim jeszcze Gurney zdążył zapukać. Miał na sobie ten sam drogi, celowo wyglądający na przypadkowy strój, w którym zjawił się w Walnut Crossing. Na tle architektury Instytutu i pejzażu nadawał mu on wygląd angielskiego arystokraty.

– Cieszę się, że przyjechałeś, Davidzie!

Gurney wszedł do olbrzymiego holu. Podłoga z desek drze wa orzechowego, wokół antyki. Mellery wprowadził go do wygodnie umeblowanego gabinetu na tyłach domu. W kominku płonął ogień, polana trzaskała, a pomieszczenie wypełniał delikatny zapach dymu z drewna wiśniowego. Po obu stronach kominka stały skierowane ku sobie wysokie fotele, a naprzeciw nich znajdowała się sofa, tworząc z fotelami kształt litery U. Kiedy usiedli, Mellery spytał, czy Gurney bez kłopotu dojechał i znalazł dom. Ten przytoczył w odpowiedzi trzy dziwaczne rozmowy, które odbył po drodze, a Mellery wyjaśnił, że te osoby są gośćmi Instytutu i ich zachowanie jest częścią planu terapii odkrywania samego siebie.

– Podczas pobytu naszego gościa w ośrodku – wyjaśniał Mellery – gra on dziesięć różnych ról. Jednego dnia może być Pomyłkowiczem. Tę rolę otrzymał chyba dzisiaj Worth Partridge, Brytyjczyk, którego spotkałeś jako pierwszego. Innego dnia nasz gość jest Pomagaczem. Ta rola dzisiaj przypadła Sarze, która pomogła ci zaparkować twój samochód. Kolejna rola to Konfrontator. Ostatnia z osób, którą spotkałeś, wcieliła się w graną postać z wielką przyjemnością, jak wynika z twoich opowieści.



– Po co to wszystko?

Mellery się uśmiechnął.

– Ludzie odgrywają w życiu różne role. Treść tych ról, jeśli chcesz, nazwij to scenariuszem, jest spójna i przewidywalna, chociaż przeważnie się o niej nie myśli i nie jest to kwestia wy boru. – Emocjonował się, mówiąc o tym, mimo że musiał to już wyjaśniać setki razy. – Robimy tu rzecz bardzo prostą, chociaż wielu gości uważa, że nasze działania wywierają na nich silny wpływ. Uzmysławiamy im role, które grają podświadomie, ich zalety, koszty i wpływ na innych ludzi. Kiedy nasi goście uświadomią sobie własne wzorce zachowań w ostrym świetle dnia, pomagamy im zrozumieć, że każdy wzorzec jest pewnego rodzaju wyborem. Mogą go zachować lub odrzucić. A później, i to jest rzecz najważniejsza, dajemy im program działania, w którym wzorce niszczące zastępujemy zdrowszymi.

Gurney zauważył, że lęk i niepokój Mellery'ego osłabły, kiedy mówił. Podczas udzielania wyjaśnień jego oczy promieniowały jakby ewangelicznym światłem.

– Z pewnością nieraz o tym słyszałeś. Wzorzec, wybór i zmiana to trzy najczęściej nadużywane słowa z psychologicznego słownika samopomocowego. Nasi goście jednak mówią nam, że to, co tu robimy, jest zupełnie inne, totalnie odmienne. Wczoraj jeden z nich do mnie podszedł i powiedział: „To miejsce jest doskonałe”.

Gurney próbował nie okazywać sceptycyzmu.

– Doświadczenia terapeutyczne, które tu przeżywają, muszą być bardzo silne?

– W niektórych przypadkach tak.

– Słyszałem, że niektóre terapie bywają konfrontacyjne.

– Nie tutaj – odparł Mellery. – Nie u nas. Nasze podejście jest miękkie i zapraszające. Znacznie częściej mówimy „my”, a rzadziej „ty”. Rozmawiamy tutaj o naszych uczuciach, lękach i ograniczeniach. Nigdy nie wskazujemy na nikogo palcem i nie rzucamy oskarżeń. Żywimy przekonanie, że przypisywanie winy wzmacnia wyparcie, zamiast je niszczyć. Jeżeli

przejrysz którąś z moich książek, zrozumiesz lepiej tutejszą filozofię.

– Uważałem, że od czasu do czasu, że tak powiem, tu, na ziemi, mogą się wydarzyć rzeczy, które nie są częścią żadnej filozofii.

– To, co mówimy, równa się temu, co robimy.

– W ogóle żadnych konfrontacji?

– Dlaczego tak się przy tym upierasz?

– Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek dokopałeś komuś na tyle mocno, by ten ktoś zechciał się zemścić.

– Nasze podejście rzadko rozszerza. Poza tym niezależnie od tego, kim jest mój korespondent, pochodzi z okresu mojego życia na długo przed Instytutem.

– Może tak, a może nie.

Mellery zmarszczył czoło w wyrazie zdradzającym zakłopotanie i niepewność.

– Zafiksował się na ten okres mojego życia, w którym piłem, więc to czas przed założeniem Instytutu.

– Z drugiej strony może to być ktoś, kto ma z tobą kontakt obecnie, a kto czytał o piciu w twoich książkach i chce cię zastraszyć.

Kiedy wzrok Mellery'ego błędził po galerii nowych możliwości, do środka weszła młoda kobieta. Miała zielone oczy, inteligentne spojrzenie i rude włosy spięte w kucyk.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pomyślałam, że zechcesz przejrzeć wiadomości, które zostawiono przez telefon.

Wręczyła Mellery'emu małe plik różowych karteczek wydartych z notesu. Zaskoczenie na twarzy Mellery'ego pozwoliło Gurneyowi domyślić się, że nieczęsto mu się w ten sposób przerywa.

– Przynajmniej – dodała, unosząc znacząco brew – spójrz na pierwszą z nich.

W linii pod nagłówkiem „Do” było napisane „Pan Mellery”.

W linii pod nagłówkiem „Od” było napisane „X. Arybdis”.

Tam, gdzie znajdowało się pole zatytułowane „Wiadomość”, znalazł się następujący wiersz:

*Ze wszystkich bolesnych prawd,  
Które z pamięci chcesz wyprzeć,  
Oto dwie prawdy najbardziej przykre:  
Każdy czyn ma zwykle swoją cenę  
I trzeba ją kiedyś zapłacić.  
Zadzwoń wieczorem lub po południu  
I zobaczymy się w listopadzie,  
A jeśli nie, to na pewno w grudniu.*

Gurney zapytał kobietę, czy osobiście odbierała tę wiadomość. Spojrzała na Mellery'ego.

– Wybaczcie – powiedział. – Powiniennem był was sobie przedstawić. Sue, to jest mój stary, dobry przyjaciel Dave Gurney. Dave, poznaj moją wspaniałą asystentkę Susan MacNeil.

– Miło cię poznać, Susan.

Uśmiechnęła się uprzejmie i powiedziała.

– Tak, to ja przyjąłem tę wiadomość.

– Mężczyzna czy kobieta?

Zawahała się.

– Dziwne, że pan pyta. Moje pierwsze wrażenie było takie, że to mężczyzna. Mężczyzna o bardzo wysokim głosie. Później już nie byłam pewna. Ten głos się zmienił.

– W jaki sposób?

– Na początku brzmiało to, jakby mężczyzna próbował naśladować kobietę. Później przyszło mi na myśl, że to może jest kobieta, która próbuje brzmieć jak mężczyzna. W tym głosie było coś nienaturalnego, coś wymuszonego.

– To interesujące – odparł Gurney. – I jeszcze jedno. Spisała pani wszystko, co ta osoba powiedziała?

Zawahała się przez chwilę.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam pytanie.

– Mam wrażenie – powiedział, podnosząc w palcach różową karteczkę – że ta wiadomość została podyktowana dokładnie, łącznie z podziałem

tekstu na wiersze.

– To prawda.

– Więc musiała pani wiedzieć, że ten podział jest ważny, że powinna pani pisać dokładnie tak, jak on dyktuje.

– No tak, oczywiście. Mówił mi, gdzie zaczyna się nowa linia.

– Czy powiedział coś jeszcze, co nie jest tutaj napisane?

– Cóż... Tak, rzeczywiście, powiedział. Zanim odwiesił słuchawkę, zapytał, czy pracując w Instytucie, podlegam bezpośrednio panu Mellery'emu. Odparłam, że tak. Potem powiedział: „niech pani zacznie się rozglądać za nową pracą, podobno odnowa duchowa to wymierająca branża”, i zaśmiał się. Chyba mu się wydawało, że to zabawne. Później kazał mi się upewnić, że pan Mellery dostanie wiadomość od razu. Dlatego przyniosłam ją do biura.

– Spojrzała z niepokojem na Mellery'ego. – Chyba dobrze zrobiłam?

– Jak najbardziej – odparł Mellery, udając człowieka, który w pełni panuje nad sytuacją.

– Susan, zauważyłem, że mówi pani o rozmówcy „on” – rzekł Gurney. – Czy to znaczy, że jest pani pewna, że to mężczyzna?

– Chyba tak.

– Czy dał pani w jakikolwiek sposób do zrozumienia, o której godzinie zadzwoni?

– Nie.

– Czy jest coś jeszcze, co pani pamięta, cokolwiek, choćby to była rzecz najbardziej trywialna?

Na moment zmarszczyła brwi.

– Kiedy z nim rozmawiałam, czułam, że ciarki przechodzą mi po plecach. Coś bardzo nieprzyjemnego.

– Czy ten człowiek był rozgniewany? Może szorstki? Czymś groził?

– Nie, nie to. Był uprzejmy, ale...

Gurney czekał podczas, gdy ona szukała właściwego słowa.

– Może był zbyt uprzejmy. Może to ten dziwaczny głos. Nie wiem, co sprawiło, że poczułam ciarki na plecach. Po prostu mnie przestraszył.

Kiedy wyszła do swojego pokoju w głównym budynku biurowym, Mellery wpatrywał się w podłogę między własnymi stopami.

– Już czas iść na policję – powiedział Gurney, dobierając starannie słowa, bo była to odpowiednia do tego chwila.

– Na policję w Peony? Mój Boże, to będzie jak scena z kabaretu dla gejów.

Gurney skwitował milczeniem ten nieudany żart.

– Nie mamy tu jedynie kilku listów z groźbami i jednym telefonem. Mamy do czynienia z kimś, kto cię nienawidzi, kto chce wyrównać z tobą rachunki. Jesteś na celowniku, za chwilę może pociągnąć za spust.

– X. Arybdis?

– Raczej osoba, która wymyśliła to fałszywe nazwisko.

Gurney opowiedział Mellery'emu to, o czym sobie dzięki Madeleine przypomniał, to znaczy o śmiertelnie groźnej Charybdzie z greckiego mitu. Wspomniał mu jeszcze i o tym, że ani w Connecticut, ani w sąsiednich stanach takie nazwisko w książkach telefonicznych i w wyszukiwarkach internetowych nie figuruje.

– Wir?

Gurney skinął głową.

– Boże jedyny!

– Co?

– Moja najgorsza fobia. Utonięcie.

## O znaczeniu uczciwości

Mellery stał przy kominku z pogrzebaczem w dłoni, przesuwając płonące polana.

– Dlaczego czek wrócił? – poruszył ten temat w taki sposób, jakby dotykał językiem bolącego zęba. – Ten facet wydaje się tak dokładny i precyzyjny. Mój Boże, popatrz tylko na charakter pisma, jakby to pisał księgowy, nie jak ktoś, komu mylą się adresy. Zrobił to celowo. Ale po co? – Odwrócił się od ognia. – Dave, co się tu, do diabła, wyprawia?

– Czy mogę spojrzeć na notatkę, z którą wrócił czek, na tę, którą odczytałeś mi przez telefon?

Mellery podszedł do niewielkiego eleganckiego biurka po drugiej stronie pokoju, dopiero wtedy uświadomił sobie, że wciąż trzyma pogrzebacz.

– Chryste – mruknął, rozglądając się, poirytowany. W końcu znalazł miejsce, w które mógł odłożyć pogrzebacz, następnie wyjął kopertę z szuflady biurka i podał ją Gurneyowi.

Wewnątrz większej koperty zaadresowanej do Mellery'ego mniejsza, którą Mellery wysłał do X. Arybdisa na adres skrytki pocztowej numer 49449 w Wycherly, a w niej czek na kwotę dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów osiemdziesięciu siedmiu centów. W większej kopercie była również kartka do brej jakości papieru listowego z nagłówkiem GD SYSTEMY ZABEZPIECZEŃ. W nagłówku widniał również numer telefonu i krótką, wypisaną na maszynie wiadomość, którą Mellery odczytał Gurneyowi wcześniej przez telefon. List był podpisany przez Gregory'ego Dermotta, przy czym pod nazwiskiem nie było żadnego tytułu ani stanowiska.

– Nie rozmawiałeś z panem Dermottem? – spytał Gurney.

– A dlaczego? To znaczy, jeśli to zły adres, to po prostu zły adres. Co to ma wspólnego z nim?

– Bóg jeden wie – odparł Gurney. – Ale można by z nim porozmawiać.

Masz tu pod ręką telefon?

Mellery odpiął z paska ostatni model telefonu BlackBerry i podał go Gurneyowi, który wystukał numer widniejący w nagłówku listu. Po dwóch sygnałach usłyszał automatyczną sekretarkę. „Tu Systemy Bezpieczeństwa GD, mówi Greg Dermott. Proszę zostawić nazwisko, numer telefonu i godzinę, o której najlepiej do państwa oddzwonić, oraz krótką wiadomość. Proszę mówić po sygnale”.

Gurney wyłączył telefon i oddał go Mellery'emu.

– Byłoby mi trudno wyjaśnić, dlaczego dzwonię, zostawiając mu wiadomość. Nie jestem ani twoim pracownikiem, ani przedstawicielem, ani adwokatem, ani licencjonowanym detektywem, nie jestem też z policji. A jeśli już o tym mowa, potrzebujemy właśnie policji. Tu i teraz.

– Przypuszczam jednak, że o to mu właśnie chodzi: na tyle wytrącić mnie z równowagi, żebym zadzwonił na policję. Wtedy zrobi się zamieszanie, a moi goście poczują się bardzo niezręcznie. Może ten chory człowiek właśnie liczy na to, że wezwę policję i zrobi się tu cyrk na kółkach. Sprowadzić tu policję to jak wpuścić słonia do składu porcelany.

– Jeżeli tylko o to mu chodzi – powiedział Gurney – już zacznij dziękować Bogu.

Mellery zareagował tak, jakby dostał policzek.

– Ty naprawdę uważasz, że on chce... zrobić coś na poważnie?

– To bardzo prawdopodobne.

Mellery powoli skinął głową, jakby ten pełen skupienia gest miał go uchronić od lęku.

– Zadzwonię na policję – powiedział – ale dopiero po tym, jak dzisiaj wieczorem skontaktuje się z nami ten Charybdis albo Bóg jeden wie, jak on tam się nazywa.

Napotkawszy sceptyczne spojrzenie Gurneya, mówił dalej.

– Może ten telefon coś wyjaśni, pozwoli nam zorientować się, z kim mamy do czynienia i czego ten ktoś chce. Być może nie będziemy musieli w ogóle mieszać do tego policji, a nawet jeżeli tak, będziemy mieli coś więcej do powiedzenia. W każdym razie chyba lepiej poczekać.

Gurney wiedział, że gdyby policja monitorowała rozmowę, mogłoby to znacząco pomóc sprawie, lecz wiedział również, że w tym momencie nie dysponuje racjonalnymi argumentami, które przekonałyby Mellery'ego. Postanowił przejść do szczegółów taktycznych.

– Jeśli Charybdis rzeczywiście zadzwoni dziś wieczorem, warto by nagrać tę rozmowę. Masz coś do nagrywania? Chociażby magnetofon kasetowy, coś, co mógłbyś podłączyć do drugiego telefonu?

– Mamy coś lepszego – odparł Mellery. – Wszystkie nasze telefony mają opcję nagrywania. Można zarejestrować każdą rozmowę, wciskając odpowiedni przycisk.

Gurney spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Zastanawiasz się, dlaczego używamy takiego systemu? Przed kilkoma laty mieliśmy ciężki przypadek. Trudny. Były oskarżenia, mieliśmy coraz więcej telefonów z pogrózkami, sprawa zrobiła się poważna. Krótko mówiąc, poradzono nam, żeby nagrywać rozmowy. – Coś w wyrazie twarzy Gurneya kazało mu przerwać. – Nie, nie, wiem, o czym myślisz! Uwierz mi, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z tym, co się teraz dzieje. Została rozwiązana dawno, dawno temu.

– Jesteś pewien?

– Ta osoba nie żyje. Samobójstwo.

– Pamiętasz o tych listach, nad którymi miałeś popracować? Nazwiska ludzi, z którymi byłeś skonfliktowany lub którzy o coś cię oskarżali?

– Nie przychodzi mi na myśl ani jedno nazwisko, które mógłbym z przekonaniem wpisać na taką listę.

– Dopiero co wspomniałeś o zatargu, który skończył się samobójstwem. Uważasz, że to się nie kwalifikuje?

– Ona miała zaburzenia psychiczne. To nie miało związku ze sporem, w który z nami weszła. Poza tym, to wszystko było wytworem jej wyobraźni.

– Jesteś pewien?

– Posłuchaj, to skomplikowana historia. Nie wszyscy nasi goście to okazy zdrowia psychicznego. Nie mam zamiaru spisywać nazwisk wszystkich ludzi, którzy w mojej obecności wyrażali jakieś negatywne



uczucia. To szaleństwo.

Gurney oparł się plecami o fotel i przetarł powieki, bo poczuł, że oczy wysychają mu od dymu z kominka.

Kiedy Mellery znów się odezwał, jego głos brzmiał inaczej, jakby dobiegał z mniej bezpiecznego i bardziej wrażliwego miejsca jego duszy.

– Jest takie wyrażenie, którym się posłużyłeś, opisując te listy. Powiedziałeś, że powinienem spisać nazwiska ludzi, z którymi miałem „nie do końca rozwiązane” problemy. Cóż, wmawiałem sobie, że wszystkie konflikty z przeszłości zostały rozwiązane. Może wcale tak nie było. Może, mówiąc „rozwiązane”, miałem na myśli to, że nie muszę już o nich myśleć. – Pokręcił głową. – Boże, David, po co w ogóle te listy? Nie obraź się, ale co będzie, jeżeli jakiś nadmiernie umięśniony policjant zacznie rozgrzebywać stare śmieci? Chryste! Miałeś kiedyś wrażenie, że ziemia usuwa ci się spod nóg?

– Mówię tylko o tym, żebyś wziął pióro i napisał kilka nazwisk na papierze. To sposób na znalezienie się na pewniejszym gruncie. Nie musisz tych nazwisk nikomu pokazywać, jeśli nie chcesz. Uwierz mi, to jest bardzo przydatne.

Mellery skinął głową. Było mu wszystko jedno.

– Mówiłeś, że nie wszyscy twoi goście to zupełnie zdrowi psychicznie ludzie?

– Nie chciałem przez to powiedzieć, że prowadzimy tu oddział psychiatryczny.

– Rozumiem.

– Albo nawet, że nasi goście mają jakieś niezwykle problemy emocjonalne.

– Więc kto tu właściwie przyjeżdża?

– Ludzie z pieniędzmi, szukający spokoju ducha.

– I znajdują go tutaj?

– Sądzę, że tak.

– A oprócz takich słów, jak bogactwo i lęk, jakich innych określeń użyłbyś, żeby opisać swoją klientelę?

Mellery wzruszył ramionami.

– Niepewni siebie, pomimo agresywnej osobowości, która wiąże się z sukcesem. Nie lubią i nie akceptują siebie samych, to podstawowa rzecz, z którą próbujemy sobie tutaj radzić.

– Który z twoich obecnych gości według ciebie jest w stanie fizycznie cię skrzywdzić? Czy możesz powiedzieć, że masz pełną wiedzę o każdej z osób, która obecnie tutaj przebywa? Albo o ludziach, którzy mają rezerwację na najbliższy miesiąc?

– Jeśli mówisz o kontroli, to nie sprawdzamy historii życia naszych gości. Wiemy tylko tyle, ile nam powiedzą, albo tylko tyle, ile powiedzą nam ludzie, którzy ich do nas skierują.

– A kogo macie teraz na terenie Instytutu?

– Inwestora z rynku nieruchomości z Long Island, bogatą panią domu z Santa Barbara, mężczyznę, który może być synem kogoś, kto być może stoi na czele organizacji mafijnej, czarnego hollywoodzkiego chiromantę, gwiazdę rocka, która przebywa tu *incognito*, trzydziestokilkuletniego bankiera inwestycyjnego na emeryturze i kilkunastu innych.

– Przyjechali tu dla odnowy duchowej?

– W ten czy inny sposób odkryli ograniczenia, które wiążą się z sukcesem. Wciąż cierpią z powodu lęków, obsesji, poczucia winy, wstydu. Przekonali się, że wszystkie porsche i cały prozac tego świata nie zapewnią im spokoju ducha.

Gurney poczuł lekkie ukłucie w sercu, kiedy przypomniał sobie o porsche swojego syna Kyle'a.

– A więc wasza misja polega na uszczęśliwianiu sławnych i bogatych?

– Łatwo to wykpić, ale mnie nie przyciągnął zapach pieniędzy. Doprowadziły mnie tu otwarte drzwi i otwarte serce. To moi klienci mnie znaleźli, a nie odwrotnie. Nie chciałem być guru miasteczka Peony.

– A jednak grasz o wysoką stawkę.

Mellery skinął głową.

– W stawce jest moje życie. – Wpatrywał się w gasnący ogień. – Poradzisz mi, jak mam się zachować, kiedy on dzisiaj zadzwoni?

- Niech mówi tak długo, jak to możliwe.
  - Żeby namierzyć telefon?
  - Teraz technologia tak nie działa. Oglądasz chyba stare filmy. Niech gada, bo im więcej powie, tym więcej zdradzi i tym większą masz szansę, żeby rozpoznać jego głos.
  - A jeżeli tak się stanie, czy mam mu powiedzieć, że wiem, kim jest?
  - Nie. Jeśli wiesz coś, czego on nie wie, możesz to obrócić na swoją korzyść. Po prostu bądź spokojny i próbuj przeciągnąć tę rozmowę.
  - Będziesz wieczorem w domu?
  - Taki mam plan, przede wszystkim z uwagi na swoje małżeństwo. Dlaczego pytasz?
  - Bo przypomniałem sobie, że nasze telefony mają jeszcze inną opcję, z której nigdy nie korzystaliśmy. Nazywa się to „konferencja rykoszetowa”. Ta technologia pozwala nam włączać kolejnych rozmówców w rozmowę konferencyjną, kiedy ktoś zadzwoni. Jeśli masz do czynienia ze zwykłym systemem telekonferencyjnym, wszyscy uczestnicy rozmowy są wywoływani z jednego źródła, system rykoszetowy pozwala to obejść. Jeżeli ktoś do ciebie dzwoni, możesz dodawać do konferencji innych uczestników, wybierając ich numer telefonu bez rozłączania osoby, która do ciebie zadzwoniła, i ta osoba nawet o tym nie wie. Wyjaśniono mi to tak, że połączenie, które się dodaje w trakcie telekonferencji, idzie odrębną linią, a kiedy już zostanie nawiązane, oba sygnały są połączone. Prawdopodobnie coś chrząnię w wyjaśnieniach technicznych, ale zasadniczo chodzi o to, że kiedy Charybdis dzisiaj zadzwoni, mogę do ciebie przekręcić i będziesz słyszał tę rozmowę.
  - To dobrze. Na pewno będę w domu.
  - Świetnie. Dziękuję ci. – Uśmiechnął się jak ktoś, kto przez chwilę przestaje odczuwać chroniczny ból.
- Gdzieś na zewnątrz było słychać kilka uderzeń dzwonu. Miał silny, mosiężny, stary ton jak z żaglowca. Mellery spojrzał na cieniutki złoty zegarek, który miał na ręce.
- Muszę się przygotować do popołudniowego wykładu – powiedział z

lekkim westchnieniem.

– Na jaki temat?

Mellery wstał z fotela, nieznacznie poprawił kaszmirowy sweter, a zawodowy uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– O znaczeniu uczciwości.

\*

Pogoda wciąż była nijaka, ale ocieplało się. Brązowe i żółte liście wirowały nad trawnikami. Mellery poszedł do głównego budynku, przedtem jeszcze raz podziękował Gurneyowi, przypominając mu, żeby wieczorem pilnował, aby mieć wolną linię telefoniczną, przeprosił, że musi już iść, ale taki ma plan dnia, i na końcu zaprosił go:

– Skoro już tu jesteś, może się rozejrzysz po terenie, zorientujesz się, jak tu jest. Może coś przyjdzie ci do głowy.

Gurney stał na gustownym ganku domu Mellery'ego i zapinał kurtkę. Postanowił przyjąć to zaproszenie i ruszył w kierunku parkingu okrężną drogą, przez szerokie ogrody otaczające posiadłość. Obrośnięta mchem ścieżka doprowadziła go na tyły domu, do szmaragdowego trawnika, który kończył się klonowym lasem na zboczu opadającym ku dolinie. Niski kamienny murek wyznaczał granicę między trawnikiem a lasem. Mniej więcej pośrodku długości muru zobaczył kobietę i dwóch mężczyzn zaprzątniętych pracami ogrodowymi – coś przekopywali i sadzili.

Idąc spacerowym krokiem w ich kierunku przez rozległy trawnik, Gurney zauważył, że mężczyźni, którzy trzymali w ręku szpadle, byli młodzi i wyglądali na Latynosów, a kobieta w zielonych, wysokich kozakach aż do kolan i brązowej ogrodniczej kurtce była starsza i komenderowała pracą. Na płaskiej ogrodowej taczce leżało kilka torebek z cebulkami tulipanów, każda miała inny kolor, a zniecierpliwiona kobieta dyrygowała pracownikami.

– Carlos! – wrzasnęła. – *Roja, blanca, amarilla ... Roja, blanca, amarilla!* – Po chwili mówiła, nie kierując słów do nikogo w szczególności –

Czerwone, białe, żółte... Czerwone, białe, żółte. Przecież to bardzo prosta sekwencja, czy tak trudno ją zapamiętać?

Westchnęła filozoficznie, komentując tym westchnieniem beznadziejną pracę podwładnych, po czym uśmiechnęła się łaskawie, kiedy podszedł do nich Gurney.

– Jestem przekonana, że kwitnące kwiaty to najbardziej leczniczy widok na całym świecie – oznajmiła z akcentem typowym dla klas wyższych z Long Island. – Prawda? – Zanim zdążył odpowiedzieć, wyciągnęła rękę i powiedziała: – Jestem Caddy.

– Dave Gurney.

– Witamy w raju na ziemi! Chyba jeszcze się nie spotkaliśmy?

– Będę tutaj tylko przez jeden dzień.

– Naprawdę? – Jej głos miał ton domagający się wyjaśnienia.

– Jestem kolegą Marka Mellery'ego.

Zmarszczyła lekko czoło.

– Mówi pan, Dave Gurney?

– No właśnie.

– Jestem przekonana, że wspominał pana nazwisko, ale nie kojarzę.

Długo pan zna Marka?

– Od czasów studenckich. A mogę zapytać, co pani tu robi?

– Co ja tu robię? – uniosła w górę brwi ze zdziwieniem. – Ja tu mieszkam. To jest mój dom. Jestem Caddy Mellery. Mark to mój mąż.

## Nie ma co się obwiniać

Chociaż było dopiero południe, gęstniejące chmury pochłaniały światło słońca i w dolinie panował nastrój zimowego półmroku. Gurney włączył ogrzewanie w samochodzie, żeby rozgrzać dłonie. Co roku stawy jego palców stawały się wrażliwsze, przypominając mu o artretyzmie ojca. Wyprostował dłoń i zacisnął ją na kierownicy. Identyczny gest.

Kiedyś, jak pamiętał, zapytał tego cichego, zamkniętego w sobie mężczyznę, czy bolą go obrzęknięte kłykcie.

– To wiek, nic się na to nie poradzi – odparł jego ojciec tonem, który ucinał wszelką dalszą dyskusję.

Gurney pomyślał o Caddy. Dlaczego Mellery nie powiedział mu o swojej nowej żonie? Czy nie chciał, żeby Gurney z nią rozmawiał? A jeżeli pominął temat żony, co jeszcze mógł przemilczeć?

Wtedy jakieś dziwne, luźne skojarzenie doprowadziło go do myśli, dlaczego krew jest czerwona jak „malowane róże”. Próbował przypomnieć sobie pełny tekst trzeciego wiersza. „Robię, co zrobiłem, jeśliś ciekawy, / Nie dla grosza ni zabawy, / Lecz by spłacić dług w mej pieczy, / Przywrócić porządek rzeczy. / Bo krew jest czerwona / Jak malowane róże. / A ty zasiałeś burzę. / Co zbierzesz, sam się przekonaj”. Róża jest kojarzona z czerwienią. O co mogło chodzić autorowi, kiedy pisał o malowanych różach? Czy miało to sprawić, że będą jeszcze bardziej czerwone? Albo bardziej krwawe? Gurney chciał szybko wrócić do domu, tym bardziej że był głodny. Było już późne popołudnie, a rano wypił jedynie kawę u Abelarda.

Zbyt długie przerwy między posiłkami w przypadku Madeleine powodowały nudności, a jemu dawały zbytnią łatwość ferowania wyroków. Był to stan umysłu, który trudno samemu u siebie rozpoznać. Gurney już dawno odkrył własne barometry mierzące nastrój, a jeden z nich był zlokalizowany po zachodniej stronie szosy, tuż za Walnut Crossing. Garb Wielbłąda to galeria wystawiająca prace miejscowych malarzy, rzeźbiarzy i

innych twórców. Jej funkcja barometryczna była bardzo prosta. Jeżeli był w dobrym nastroju, po spojrzeniu na okno wystawowe galerii doceniał w myśli ekscentryczność swoich sąsiadów o artystycznych skłonnościach, a jeśli był w złym nastroju, widział jedynie ich próżność. Dzisiejszy dzień był dniem próżności, dniem pustki, ostrzeżeniem, by zastanowić się dwa razy, zanim wypowie jakąś zdecydowaną opinię – tak myślał, jadąc szosą w kierunku rodzinnych pieleszy i małżonki.

Pozostałości porannych wirów jesiennych liści, które wiatr dawno zwał z górskiej autostrady i niższych części doliny, zakwitwały nierównomiernymi plamami na polnej drodze, która biegła ku górze między pagórkami i kończyła się przy stodole i pastwisku Gurneya. Płaskie, szare chmury wiszące nad pastwiskiem niosły ze sobą zapowiedź zimy. Z lekką irytacją spostrzegł, że traktor jest wyprowadzony ze stodoły i zaparkowany przy szopie, w której leżały części dopinane do maszyny – kosiarka, łyżka do wykopów, pług śnieżny. Drzwi szopy były otwarte i dawały mu drażniące znaki, że czekają na niego prace, które trzeba niezwłocznie wykonać.

Wszedł do domu przez drzwi kuchenne. Madeleine siedziała przy kominku w narożniku pokoju. Talerz na stoliku do kawy, na którym leżał ogryzek jabłka, niedojedzone winogrono, resztki sera cheddar i okruchy chleba sugerowały, że ktoś zjadł tu bardzo smaczny obiad, co przypomniało mu, że jest głodny, więc przyspieszył kroku. Spojrzała na niego znad książki i lekko się uśmiechnęła.

Podszedł do zlewu i puszczał wodę z kranu tak długo, aż stała się lodowata. Był świadomy narastającej agresji – buntował się w duchu, przeciwstawiając się opinii Madeleine, że picie bardzo zimnej wody jest wyjątkowo niezdrowe – później było mu wstyd, że wdaje się w takie drobne spory, że drczy do infantylna wrogość i głupia satysfakcja z wywołania sprzeczki. Odczuwał przemożną potrzebę zmiany tematu, lecz po chwili zdał sobie sprawę z tego, że nie ma tematu, na który można by skierować tory rozmowy. Odezwał się więc od niechcienia.

- Widzę, że wyprowadziłaś traktor przed szopę.
- Chciałam założyć przystawkę do odgarniania śniegu.

– A w czym był problem?

– Pomyślałam sobie, że dobrze byłoby ją mieć już na traktorze, zanim zaczną się prawdziwe śnieżyce.

– Miałaś jakiś problem z założeniem tej przystawki?

– Jest ciężka. Pomyślałam sobie, że jeżeli poczekam, pomożesz mi ją zamontować.

Skinął bez przekonania głową i pomyślał: „Znów to samo, zmuszasz mnie do jakiejś pracy, bo zaczniesz ją, chociaż dobrze wiesz, że to ja będę musiał ją skończyć”. Zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa czają się w takich nastrojach, i pomyślał, że mądrzej będzie nic nie mówić. Nalał bardzo zimnej wody, która teraz płynęła z kranu, do szklanki i popijał ją małymi łykami.

Madeleine powiedziała, opuszczając wzrok na książkę:

– Dzwoniła ta kobieta z Ithaki.

– Kobieta z Ithaki?

Pominięła jego pytanie milczeniem.

– Masz na myśli Sonię Reynolds? – spytał.

– No właśnie – mówiła z takim samym tonem pozornego niezainteresowania, co on.

– A czego chciała? – spytał.

– Dobre pytanie.

– Co masz na myśli, mówiąc „dobre pytanie”?

– To, że nie mówiła konkretnie, czego chce. Powiedziała, że możesz do niej zadzwonić o każdej porze przed północą.

Gurney odczytał prowokację w ostatnim słowie wypowiedzianego przez Madeleine zdania.

– Zostawiła numer telefonu?

– Miałam wrażenie, że była przekonana, że go masz.

Ponownie napełnił szklankę lodowato zimną wodą i wypił ją, zastygając od czasu do czasu w zamyśleniu. Ta sytuacja z Sonią była emocjonalnie trudna, stwarzała problemy, a on nie wiedział, jak je rozwiązać. Mógł porzucić projekt graficznego opracowywania zdjęć przestępców, który



powstał w wyniku współpracy z jej galerią, ale nie był jeszcze na to gotowy.

Gdyby zdystansował się do tych sporów z Madeleine, mógłby przyznać, że jego niezaradność emocjonalna i brak wiary w siebie są irytujące. To dziwne, że człowiek o tak racjonalnym umyśle jak on może się tak beznadziejnie zawikłać, być tak emocjonalnie kruchy. Doświadczenie setek rozmów z przestępcami nauczyło go, że poczucie winy zawsze wyrasta z tego rodzaju emocjonalnego splątania. Prawda była jednak taka, że nie zrobił nic, co mogłoby wywołać poczucie winy.

Nie ma powodu, aby czuć się winnym. Oczywiście, problem istniał – charakter tego stwierdzenia był absolutny. Być może ostatnio nie zrobił nic, co mogłoby zwiększyć jego poczucie winy – nic istotnego, nic, co przychodziło od razu na myśl, ale jeśli kategorię jego przewinień rozciągnąć na piętnaście lat, to okrzyk „niewinny” był z gruntu fałszywy.

Odstawił szklankę do zlewu, wytarł ręce, podszedł do drzwi ogrodowych i wyjrzał na szary świat. Świat między jesienią a zimą. Wiatr przyniósł lekki śnieg, który jak puder rozwiewany był po podłodze patio. W kontekście ostatnich piętnastu lat trudno byłoby mu uznać się za całkowicie niewinnego, bo tak znaczny przedział czasu obejmowałyby „wypadek”. I jak gdyby naciskał na niezagojoną ranę, próbując ocenić stan infekcji, zmusił się do zastąpienia zwrotu „wypadek” bardzo konkretnymi słowami, które tak trudno było mu wypowiedzieć.

– Śmierć naszego czteroletniego syna.

Wypowiedział je bardzo cicho, do siebie, uniosły się szeptem z jego ust. Jego własny głos brzmiał, jakby był przeżarty korozją, pusty jak głos obcego człowieka. Nie mógł udźwignąć myśli i uczuć, które kryły się w tych słowach, próbował je od siebie odepchnąć, szukając sposobności, by zająć głowę czym innym. Odchrząknął, odwracając się w kierunku Madeleine siedzącej po drugiej stronie pokoju, i powiedział z wymuszonym entuzjazmem:

– A może byśmy tak zajęli się traktorem, zanim się ściemni?

Madeleine spojrzała znad książki. Jeżeli poruszyła ją jego sztuczna wesołość albo coś jej uświadomiła, nie dała tego po sobie poznać.

\*

Montowanie przystawki do odgarniania śniegu zajęło godzinę, podczas której podnosił, stukał młotkiem, naciągał, oliwił i dopasowywał. Kolejną godzinę spędził na rąbaniu drewna do pieca, podczas gdy Madeleine przygotowywała kolację składającą się z zupy jarzynowej i kotletów wieprzowych duszonych w soku jabłkowym. Następnie rozpalili w kominku, usiedli obok siebie na sofie w przytulnym pokoju kominkowym przylegającym do kuchni i odpłynęli w błogą beczynność, w którą człowiek popada po ciężkiej pracy i dobrym posiłku.

Tęsknił za wiarą w to, że te małe oazy spokoju zapowiadają powrót czegoś, czymś kiedyś się cieszyli, że emocjonalne uniki i kolizje ostatnich lat były tymczasowe, lecz trudno było mu myśleć o tym z wiarą i przekonaniem. Nawet teraz jego delikatna nadzieja tonęła kawałek po kawałku, chwila po chwili w myślach, na których umysłowi detektywa wygodniej było się skupić – o oczekiwanym telefonie Charybdisa i technologii telekonferencyjnej, która pozwoli mu przysłuchiwać się rozmowie.

– Idealny wieczór, żeby napalić w kominku – powiedziała Madeleine, delikatnie się o niego opierając.

Uśmiechnął się i spróbował raz jeszcze skupić się na czerwonopomarańczowych płomieniach i ciepłe bijącym od jej ramienia. Jej włosy pachniały cudownie. Pomyślał przez chwilę, że mógłby się w nich zanurzyć na zawsze.

– Tak – odparł. – Jest pięknie.

Zamknął oczy, mając nadzieję, że całe dobro emanujące z tej chwili pozwoli się przeciwstawić energiom duchowym, które, odkąd pamięta, popychają go do rozwiązywania zagadek. Dla Gurneya bowiem – o, ironio – osiągnięcie stanu nawet lekkiego zadowolenia było zawsze walką. Zazdrościł Madeleine jej przywiązania do ulotnych chwil i radości, którą w nich znajdowała. Dla niego życie tu i teraz było zawsze, jak płynięcie w górę rzeki, jego analityczny umysł w sposób naturalny ciążył ku sferom

możliwości i prawdopodobieństwa. Zastanawiał się, czy zawsze tak było czy to wyuczona forma ucieczki. Prawdopodobnie jedno i drugie, obie rzeczy wzmacniały się. Być może...

Jezus Maria!

Złapał się na absurdalnym przemyśliwaniu swojej skłonności do analizy. Zmusił się do powrotu do pokoju kominkowego. „Boże, pomóż mi tu zostać” – powiedział sobie w duchu, chociaż nie bardzo wierzył w skuteczność modlitwy. Miał tylko nadzieję, że nie wypowiedział tych słów głośno.

Zadzwoił telefon. Gurney poczuł, że to usprawiedliwienie, coś, co pozwoli mu na chwilę ustąpić z pola bitwy. Podniósł się z kanapy i podszedł do aparatu.

– David, to ja. Mark.

– Tak?

– Właśnie rozmawiałem z Caddy i powiedziała mi, że spotkaliście się dzisiaj w ogrodzie medytacyjnym.

– No właśnie.

– Wiesz... Cóż... Chodzi o to, że trochę mi głupio, rozumiesz, że wcześniej was sobie nie przedstawiłem... – zawiesił głos, czekając na odpowiedź, ale Gurney milczał.

– Dave?

– Jestem przy telefonie.

– No wiesz... Dzwonię, żeby cię przeprosić, że was sobie nie przedstawiłem. Trochę to było nieprzemyślane z mojej strony.

– Nie ma problemu.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Brzmi to tak, jakbyś był niezadowolony.

– Nie jestem niezadowolony, tylko trochę zdziwiony, że o niej nie wspomniałeś.

– No... Tak... Miałem tyle na głowie, że nie przyszło mi to na myśl. Jesteś tam?

– Jestem.

– Masz rację, że musiało ci się to wydać dziwaczne, że o niej nie wspomniałem. Po prostu nie przyszło mi to na myśl. – Przerwał, a po chwili dodał w dziwnym wybuchu śmiechu. – Psycholog uznałby to pewnie za interesujące: nie wspomnieć o tym, że jest się żonatym.

– Mark, chciałbym cię o coś zapytać. Czy ty mówisz mi prawdę?

– Co takiego? Dlaczego o to pytasz?

– Marnujesz mój czas.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Posłuchaj – powiedział Mellery, ciężko wzdychając. – To długa historia. Nie chciałem wciągać Caddy w ten... W ten cały bałagan.

– O jakim bałaganie teraz opowiadasz?

– Te groźby, insynuacje.

– Więc ona nic nie wie o listach?

– To bez sensu, tylko by ją przestraszyły.

– Przecież musi wiedzieć coś o twojej przeszłości. Ta przeszłość jest w książkach, które napisałeś.

– Do pewnego stopnia tak. Ale te groźby to coś innego. Po prostu chcę jej oszczędzić nerwów.

To było prawie możliwe. Prawie.

– Czy jest jakiś szczególny okres w twojej przeszłości, który bardzo chciałbyś ukryć przed Caddy, przed policją lub przede mną?

Tym razem wybrzmiała pełna niezdecydowania pauza, zanim Mellery powiedział „nie”, a sposób, w jaki to wyznał, był tak oczywistym zaprzeczeniem jego słów, że Gurney się zaśmiał.

– Co cię tak śmieszy?

– Nie wiem, czy jesteś największym kłamcą, którego kiedykolwiek spotkałem, ale Mark, wierz mi, jesteś na liście finalistów.

Po kolejnej długiej chwili milczenia Mellery też zaczął się śmiać. Był to cichy, płaczliwy śmiech, zapowiadający prawdziwy wybuch łez. Po chwili Mellery dodał głosem zupełnie bezsilnym.

– Kiedy nic się nie udaje, nadchodzi czas, żeby powiedzieć prawdę. Prawda jest taka, że krótko po naszym ślubie miałem skok w bok z kobietą,

która była tu gościem. Czyste szaleństwo z mojej strony. Skończyło się tragicznie, jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach mógł to przewidzieć.

– No i?

– No i to było to. Wzdrygam się na samą myśl o tym. Widzę w tym swoje wielkie ego z przeszłości, pożądliwość i kiepski osąd.

– Może mi coś umyka – zaczął Gurney – ale co to ma wspólnego z zatajaniem przede mną faktu, że jesteś żonaty?

– Stwierdzisz, że to jakaś paranoja, ale zacząłem myśleć, że ten romans może mieć coś wspólnego z historią z Charybdisem. Bałem się, że jeśli dowiesz się o Caddy, będziesz chciał z nią rozmawiać i... Ostatnią rzeczą na ziemi, jakiej bym chciał, byłoby zwrócenie jej uwagi na coś, co mogłoby być związane z moim pożałowania godnym, nasyconym hipokryzją romanssem.

– Rozumiem. A tak przy okazji, kto jest właścicielem Instytutu?

– Właścicielem? W jakim sensie?

– A ile jest sensów w tym pytaniu?

– Jeżeli chodzi o stronę duchową, ja jestem jego właścicielem. Program jest zbudowany na podstawie moich książek i nagrań.

– O stronę duchową?

– Notarialnie Caddy jest właścicielką wszystkiego: posiadłości, gruntów i całej reszty.

– To interesujące. Więc jesteś gwiazdą trapezu, wyskakujesz pod sam sufit, ale Caddy jest właścicielką namiotu cyrkowego.

– Można by to tak ująć – odparł Mellery chłodno. – Muszę już kończyć. Ten Charybdis może w każdej chwili zadzwonić.

Zadzwonił dokładnie trzy godziny później.

## Zaangażowanie

Madeleine przyniosła na sofę koszyk z przyborami do szycia i szydełkowania i była bez reszty skupiona na jednej z trzech robótek (każda była na innym etapie zaawansowania). Gurney rozsiadł się w fotelu tuż obok niej i przeglądał sześćsetstronicową instrukcję oprogramowania, dzięki któremu manipulował fotografiami na ekranie komputera, ale trudno mu się było na czymkolwiek skupić. Polana w kominku spaliły się na węgielki, wznosiły się z nich cienkie płomyczki ognia, które drżały w powietrzu i po chwili i znikwały.

Kiedy zadzwonił telefon, Gurney pobiegł do swojego pokoju i podniósł słuchawkę. Usłyszał głos Mellery'ego, niski i podenerwowany.

– Dave?

– Przy telefonie.

– On jest na drugiej linii. Nagrywanie jest włączone. Zaraz cię podłączę. Jesteś gotowy?

– Tak, możesz zaczynać.

Chwilę później Gurney usłyszał dziwny głos, najwyraźniej w połowie zdania.

– ... nie było mnie przez jakiś czas, ale chcę, żebyś wiedział, kim jestem. – Głos był wysoki i napięty, rytm słów dziwaczny i sztuczny. Dało się wychwycić jakiś obcy akcent, ale nie wiadomo skąd, jak gdyby słowa wypowiedziano w sposób, który ma ukryć tożsamość. – Dzisiaj wieczorem to dostaniesz. Już to masz?

– Co mam? – Mellery mówił słabiutkim głosem.

– Jeszcze tego nie masz? To dostaniesz. Wiesz, kim jestem?

– Kim jesteś?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście. Skąd ja cię znam?

– Liczba sześćset pięćdziesiąt osiem naprawdę nie mówi ci, kim jestem?

- Nic dla mnie nie znaczy.
  - Naprawdę? Ale to był twój wybór, wybrałeś ją ze wszystkich możliwych liczb.
  - Kim ty, do cholery, jesteś?
  - Jest jeszcze jedna liczba.
  - Co takiego? – Głos Mellery’ego był teraz wyraźniejszy, pobrzmiwała w nim nuta lęku i hysterii.
  - Mówię, że jest jeszcze jedna liczba. – Głos w telefonie był rozbawiony i brzmiał sadystycznie.
  - Pomyśl jakąkolwiek liczbę oprócz sześćset pięćdziesiąt osiem.
  - Dlaczego?
  - Pomyśl jakąkolwiek liczbę inną niż sześćset pięćdziesiąt osiem.
  - Dobrze, w porządku. Już pomyślałem.
  - Świetnie. Robimy postępy. A teraz powiedz tę liczbę szeptem.
  - Co takiego?
  - Powiedz tę liczbę szeptem.
  - Szeptem?
  - Tak.
  - Dziewiętnaście – Mellery wypowiedział to słowo teatralnie głośnym szeptem.
- W słuchawce rozbrzmiał śmiech, w którym nie było krztyny humoru.
- Dobrze, bardzo dobrze.
  - Kim jesteś?
  - Wciąż nie wiesz? Tyle bólu, a nie masz pojęcia. To się dało przewidzieć. Znajdziesz coś. Małeńki liścik. Na pewno go nie masz?
  - Nie wiem, o czym mówisz.
  - Aha, ale wiedziałeś, że ta liczba to dziewiętnaście.
  - Kazałeś mi myśleć o jakiejś liczbie.
  - Ale to była właściwa liczba, prawda?
  - Nie rozumiem.
  - Kiedy ostatnio zaglądałeś do skrzynki na listy?
  - Do skrzynki na listy? Nie wiem. Pewnie dziś po południu.

– To zajrzyj jeszcze raz. Pamiętaj, widzimy się w listopadzie, a jeśli nie, to w grudniu. – Po tych słowach rozległ się delikatny dźwięk odkładanej słuchawki.

– Halo! – krzyczał Mellery. – Jesteś tam? Jesteś przy telefonie? – Kiedy ponownie się odezwał, słysząc było, jak bardzo jest wyczerpany. – Dave?

– Jestem – powiedział Gurney. – Odłóż słuchawkę, zajrzyj do skrzynki na listy i oddzwoń.

Kiedy tylko Gurney rozłączył się, telefon zadzwonił jeszcze raz. Natychmiast podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Tata?

– Słucham?

– Czy to ty?

– Kyle?

– Tak. Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Jestem teraz zajęty, robię coś ważnego.

– Ale wszystko jest w porządku?

– Tak. Nie gniewaj się, że tak cię zbywam. Ktoś ma do mnie zadzwonić w ciągu najbliższych dwóch czy trzech minut. Mogę do ciebie oddzwonić?

– Oczywiście. Chciałem ci tylko powiedzieć o tym, co robię, co się wydarzyło. Dawno nie rozmawialiśmy.

– Odezwę się do ciebie, jak tylko będę mógł.

– Dobra. W porządku.

– Nie gniewaj się. Dzięki. Niedługo zadzwonię.

Gurney zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Boże, jak się wali, to się wali. Oczywiście to jego wina, że przytłoczyło go tyle spraw. Jego relacje z Kyle'em mieściły się w obszarze dysfunkcji jego życia, pełnym uników i racjonalizacji.

Kyle był owocem jego pierwszego małżeństwa, bardzo nietrwałego, z Karen, na którego wspomnienie nawet dziś, dwadzieścia dwa lata po rozwodzie, Gurney czuł się niepewnie. Ich niedopasowanie było oczywiste od samego początku dla każdego, kto ich znał, ale ślepa determinacja (lub



inwalidztwo emocjonalne, bo tak to postrzegał, kiedy budził się nad ranem i nie mógł zasnąć) złączyła ich w tym nieszczęśliwym związku.

Kyle był podobny do matki, miał jej skłonność do manipulacji, ambicje materialne i oczywiście nosił imię, przy którym się upierała. Kyle. Gurneyowi trudno było do niego przywyknąć. Pomimo inteligencji i sukcesów tego młodego człowieka w świecie finansjery, imię Kyle wciąż brzmiało dla niego jak imię zapatrzonego w siebie chłopaczka z jakiejś opery mydlanej. Ponadto istnienie Kyle'a było dla niego jak nieustanne przypominanie, że w nim samym jest coś bardzo silnego, czego nie rozumie – coś, co kazało mu ożenić się z Karen. Zamknął oczy, przygnębiony swoimi własnymi motywami i negatywną reakcją na własnego syna.

Zadzwoił telefon. Gurney podniósł słuchawkę, spodziewając się, że znów usłyszy Kyle'a, ale był to głos Mellery'ego.

– David?

– Tak?

– W skrzynce na listy była koperta. Ktoś wypisał na maszynie moje nazwisko i adres, ale brak znaczka i pieczętki. Pewnie ktoś sam ją tu przyniósł. Mam otworzyć?

– Możesz wyczuć, czy w kopercie jest coś poza papierem?

– Na przykład co?

– Cokolwiek. Po prostu coś prócz listu.

– Nie. Jest idealnie płaska, nic tam nie ma. Żadnych ciał obcych, jeżeli o to ci chodzi. Mam ją otworzyć?

– Dobrze, otwórz. Ale przerwij, jeżeli zobaczysz cokolwiek innego niż papier.

– W porządku. Już otwarta. Tylko jedna kartka papieru. Wypisana na maszynie. Zwykły papier, bez nagłówka. – Nastąpiło kilka sekund ciszy. – Co takiego? Co, do diabła...

– O co chodzi?

– To niemożliwe. Po prostu nie do zrobienia...

– Przeczytaj głośno.

Mellery czytał głosem pełnym niedowierzania.

– Zostawiam ci tę kopertę na wypadek, gdybyś nie odebrał mojego telefonu. Jeśli nie wiesz, kim jestem, pomyśl tylko o liczbie dziewiętnaście. I pamiętaj, zobaczymy się w listopadzie, a jeśli nie, to w grudniu.

– To wszystko?

– To wszystko. Tak tu jest właśnie napisane. „Pomyśl tylko o liczbie dziewiętnaście”. Jak on mógł, do cholery, to zrobić? Przecież to niemożliwe!

– I to jest treść tego listu?

– Tak. Ale chcę powiedzieć, że... Nie wiem, co mówię... To znaczy... To niemożliwe... Jezus Maria, David, o co tu, do diabła, chodzi?

– Jeszcze nie wiem. Ale się wkrótce dowiemy.

Jakiś fragment układanki wskoczył na swoje miejsce – jeszcze nie rozwiązanie, bo do tego wciąż było daleko, ale coś w nim się poruszyło. Teraz był na sto procent pewien, że jest gotów podjąć wyzwanie. Podniósł wzrok i zobaczył Madeleine stojącą w drzwiach i przypatrującą mu się z dojmującym wyrazem wyrzutu w oczach, jakby czuła przez skórę, że jego zaangażowanie w sprawę dramatycznie wzrosło. Mógł tylko zgadywać, co czuje, ale wyglądało to na połączenie lęku i samotności.

\*

Wyzwanie intelektualne, jakie postawiła przed nim zagadka liczb, i zastrzyk adrenaliny, którą poczuł w żyłach, nie pozwoliły Gurneyowi spać. Przewracał się w łóżku jeszcze długo po północy, chociaż położył się o dziesiątej. Wiercił się, nie mógł sobie znaleźć miejsca, jego myśli zderzały się, jedna z drugą, nie mogąc trafić na rozwiązanie – były jak człowiek we śnie, który nie potrafi znaleźć klucza i krąży wokół domu, raz po raz sprawdzając, czy kolejne drzwi i okna są na pewno zamknięte. Później dołączył do tego smak gałki muszkatołowej, która w dużej ilości znajdowała się w zjedzonej przez niego zupie z dyni, co jeszcze pogłębiło wrażenie sytuacji jak ze złego snu.

„Jeśli wciąż nie wiesz, kim jestem, po prostu pomyśl o liczbie dziewiętnaście”. I właśnie tę liczbę Mellery pomyślał. Przy szła mu na myśl, jeszcze zanim otworzył list. Niemożliwe. A jednak. Stało się.

Problem gałki muszkatołowej robił się coraz bardziej drażniący. Trzy razy wstawał, żeby napić się wody, ale smak nie znikał. Po chwili pojawiła się kwestia masła. Masło i gałka muszkatołowa. Madeleine obficie sięgała po oba składniki, przyrządzając zupę dyniową. Kiedyś nawet wspomniał o tym ich terapeutę. Ich byłemu terapeutę. Prawdę mówiąc, terapeutę, z którym spotkali się tylko dwa razy, kiedy spierali się o to, czy powinien iść na emeryturę, i sądzili (bezzasadnie, jak się później okazało), że trzecia strona może pomóc im dojść do porozumienia. Próbował sobie teraz przypomnieć, jak pojawiła się kwestia zupy i w jakim kontekście. Dlaczego uznał za stosowne wspominać o czymś tak błahym?

Właśnie podczas tej sesji Madeleine mówiła o nim tak, jakby nie było go w pokoju. Zaczęła od opisu tego, jak on śpi. Powiedziała terapeutę, że kiedy raz zaśnie, rzadko budzi się przed rankiem. Właśnie wtedy wtrącił się, mówiąc, że z wyjątkiem tych nocy, kiedy robi zupę z dyni, bo wtedy ma w ustach smak gałki muszkatołowej i masła. Ona jednak mówiła dalej, nie zwracając uwagi na jego głupie wtręty, mówiła wprost do terapeuty, jakby oboje byli rodzicami omawiającymi problem dziecka.

Mówiła więc, że wcale się nie dziwi, że kiedy Dave zaśnie, rzadko budzi się przed świtem, bo tak bardzo angażuje się i tyle siły poświęca na to, co się dzieje w ciągu dnia. Zwyczajnie brakowało mu luzu i poczucia, że można chociaż na chwilę sobie odpuścić. Jest takim dobrym i porządnym człowiekiem, ale przepełnionym poczuciem winy za to, że jest istotą ludzką, torturowaną przez własne niedoskonałości, popełniającą błędy. W jego umyśle na bezkonkurencyjne pasmo sukcesów zawodowych nieustannie kładł się cień kilku drobnych potknięć. Zawsze pogrążony w rozmyślaniach. Tnie myślą przez różne problemy, jedno po drugim – boryka się z nimi jak Syzyf toczący pod górę ogromny kamień, wciąż, wciąż i bez przerwy. Życie jest dla niego przedziwną zagadką, którą trzeba rozwiązywać. Nie wszystko jednak w życiu jest łamigłówką – powiedziała, patrząc na niego, odwracając w końcu oczy od terapeuty. Są przecież inne rzeczy, które można pojąć w inny sposób. Tajemnice, nie zagadki. Rzeczy, które się kocha, a nie odszyfrowuje.

Przypominał sobie, co mówiła, leżąc w łóżku, i poczuł się dziwnie. Całkowicie pochłonęły go wspomnienia, był jednocześnie poruszony i wyczerpany. W końcu rozplynęły się wraz z posmakiem masła i gałki muszkatołowej, a on zapadł w niespokojny sen.

Zbliżał się świt, kiedy Gurney obudził się, bo Madeleine wstawiała z łóżka. Delikatnie, cicho wydmuchała nos. Przez chwilę zastanawiał się, czy płakała, ale myśl przyszła jak przez mgłę, łatwo było ją wyprzeć bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem, że Madeleine cierpi na którąś ze swoich jesiennych alergii. Na wpół śpiąc, uświadomił sobie, że Madeleine podchodzi do szafy z ubraniami i zakłada frotowy szlafrok. Chwilę później – nie wiedział, czy sobie to wyobraża, czy rzeczywiście to usłyszał – rozbrzmiały jej kroki na schodach do piwnicy. Jakiś czas później bezszelestnie weszła przez drzwi do sypialni. W pierwszych promieniach świtu, które przenikały z sypialni do holu, pojawiła się jak duch i wydawało mu się, że coś niesie, jakieś pudło.

Oczy miał wciąż nieruchome, pełne zmęczenia. Zamknął powieki i drzemał kolejną godzinę.

## Dychotomie

Wstał z łóżka, nie dlatego, że czuł się wyspany, nawet w pełni się nie obudził, ale dlatego, że wydawało mu się, iż postawienie stóp na podłodze i zmuszenie się do wstania będzie lepsze niż zanurzenie się z powrotem w sen, z którego się wynurzył, nie pamiętając żadnych szczegółów, ale mając wyraźne odczucie klaustrofobii. Obudził się, jakby miał kaca, zupełnie jak w dawnych czasach studenckich.

Zmusił się do wejścia pod prysznic, co tylko trochę poprawiło mu samopoczucie, później ubrał się i wszedł do kuchni. Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że Madeleine zrobiła kawę dla nich obojga. Siedziała przy stole kuchennym i – nad czymś zamyślona – wyglądała przez drzwi ogrodowe, trzymając swój ogromny kubek, z którego unosiła się para, w obu dłoniach, jak gdyby chciała go ogrzać. Nalał sobie kawy i usiadł z drugiej strony stołu.

– Dzień dobry – powiedział.

Uśmiechnęła się tajemniczo w odpowiedzi.

Powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem, przez ogród, na zalesione zbocze wzgórza po drugiej stronie pastwiska. Wściekle podmuchy wiatru огоłacały drzewa z kilku pozostałych liści. Od czasu, kiedy olbrzymi dąb zwałił się na drogę tuż przed samochodem Madeleine, to jest od dnia, kiedy wprowadzili się do Walnut Crossing, silny wiatr wiejący przez dolinę zazwyczaj ją niepokoił, ale tego ranka była tak pogrążona w myślach, że nie zwróciła na to uwagi. Po paru minutach odwróciła się do niego, zobaczył skupienie na jej twarzy, jak gdyby coś w jego stroju lub zachowaniu nagle ją uderzyło.

– Dokąd ty jedziesz? – zapytała.

Zawahał się przez chwilę.

– Do Peony. Do Instytutu.

– Po co?

– Po co? – spytał głosem graniczącym z irytacją. – Bo Mellery wciąż nie

chce zgłosić się ze swoim problemem na policję, a ja chciałbym go do tego skłonić.

– Możesz to zrobić przez telefon.

– Będzie mi łatwiej w rozmowie w cztery oczy. Poza tym chcę wziąć kopie wszystkich listów, które dostał, i nagrania rozmowy z poprzedniego wieczora.

– Czy nie po to wymyślono przesyłki kurierskie?

Przyglądał jej się dłuższą chwilę.

– O co ci chodzi? Dlaczego nie chcesz, żebym jechał do Instytutu?

– Problem nie polega na tym, dokąd jedziesz, ale dlaczego.

– Żeby go przekonać do pójścia na policję? Żeby zebrać wszystkie listy?

– Z czystym sumieniem możesz powiedzieć, że właśnie po to jedziesz aż do Peony?

– A dlaczego nie, do jasnej cholery?

Obrzuciła go długim, niemal pogardliwym spojrzeniem, a później powiedziała.

– Jedziesz – powiedziała cicho – bo uczepliłeś się tej sprawy i nie chcesz odpuścić. Jedziesz, bo nie możesz się od tego oderwać.

Później powoli zamknęła oczy. Wyglądało to jak ostatnia scena filmu tuż przed pojawieniem się napisów końcowych. Nie wiedział, co powiedzieć. Bardzo często Madeleine tak uciniała spory – mówiąc lub robiąc coś, co urywało bieg myśli i zamykało mu usta.

Tym razem wydawało mu się, że wie, dlaczego to wszystko ma na niego tak wielki wpływ, że przynajmniej po części zdaje sobie sprawę z przyczyn. W jej tonie usłyszał echo tego, co mówiła terapeutce, a co tak żywo przypominał sobie parę godzin wcześniej. Ta zbieżność wytrąciła go z równowagi. Czuł się tak, jak gdyby Madeleine z przeszłości i Madeleine z teraźniejszości osaczały go, jak gdyby każda z nich szeptała mu do ucha coś innego.

Długo milczał.

W końcu Madeleine wstała i zaniósła kubki po kawie do zlewu, żeby je umyć. Później, zamiast położyć je na suszarce tak, jak to robiła zwykle,

wytarła je i schowała do szafki kuchennej.

Patrząc na blat, jak gdyby zapomniała, dlaczego tam stoi, spytała.

– O której jedziesz?

Wzruszył ramionami i rozejrzał się po kuchni, jakby szukał odpowiedzi na którejś ze ścian. Zatrzymał wzrok na przedmiocie, który stał na stoliku do kawy przed kominkiem z drugiej strony pokoju. Było to tekturowe pudełko rozmiarem i kształtem przypominające te, w które pakuje się alkohol. Tak naprawdę jednak uwagę Gurneya przykuła biała wstążka, którą pudełko zawiązane było na zwykłą kokardkę. Dobry Boże. Właśnie to przyniosła z piwnicy.

Chociaż pudełko wydawało mu się mniejsze niż w jego wspomnieniach sprzed wielu lat, a brązowa tektura ciemniejsza, o wstążce nie dało się zapomnieć, ta kokardka była jak wyrzut sumienia. Hindusi z pewnością mają rację – to biały, a nie czarny jest naturalnym kolorem żałoby.

Odczuwał pustkę, jakby coś zasysało mu płuca w klatce piersiowej, jak gdyby siła ciężenia odbierała mu oddech, ciągnęła jego duszę do wnętrza ziemi. „Danny. Rysunki Danny’ego. Mój mały chłopczyk”. Przełknął ślinę i odwrócił wzrok od potwornej straty. Był zbyt słaby, żeby ruszyć się z miejsca. Wyjrzał przez drzwi ogrodowe, zakaszłał, odchrząknął, próbował wypchnąć poruszające wspomnienia tym, co dzieje się tu i teraz, skierować myśli na inne tory, mówiąc coś, słysząc własny głos, przerywając tę okropną ciszę.

– Chyba nie wrócę zbyt późno – powiedział. Całą siłę woli i mięśni skierował na to, żeby odepchnąć się od oparcia i wstać z krzesła. – Powinienem być w domu na kolacji – dodał bezsensownie, ledwo co zdając sobie sprawę z tego, co mówi.

Madeleine przyglądała mu się z uśmiechem błakającym się po ustach, który tak naprawdę nie był uśmiechem, i nic nie powiedziała.

– To lepiej już jedź – rzekła po chwili. – Musisz przecież być tam na czas.

Chwiejnie, niemal zataczając się, podszedł do niej, pocałował ją w policzek i ruszył do samochodu, zapominając zabrać ze sobą kurtkę.

\*

Krajobraz tamtego ranka był inny, bardziej zimowy, bo właściwie wszystkie kolory jesieni poznikały z drzew. On jednak ledwo to zauważał. Prowadził samochód automatycznie, niemal nie patrząc, co robi, był pochłonięty obrazem tekturowego pudełka, wspomnieniami tego, co zawierało, a także, co znaczyła obecność pudełka na stole. Dlaczego? Po co teraz, po tych wszystkich latach? W jakim celu? Co ona sobie myślała? Przejechał przez Dillweed, obok sklepu Abelarda, i w ogóle tego nie zauważył. Było mu niedobrze. Musiał się na czymś skupić, wziąć się w garść.

„Skup się na tym, dokąd jedziesz i z jakiego powodu”. Próbował skoncentrować się na listach, na wierszach, na liczbie dziewiętnaście, do czego to wszystko zmierzało. Mellery, który myśli o liczbie dziewiętnaście. Następnie znajduje ją w liście. Jak można było tego dokonać? Już po raz drugi Arybdis czy Charybdis, czy jakkolwiek go tam zwa, wykonywał swoją niewiarygodną sztuczkę. Były pewne różnice między dwoma przypadkami, ale ten drugi był równie zadziwiający, jak pierwszy.

Obraz pudełka na stoliku do kawy wytrącał go z równowagi, pojawiał się na granicy jego wyobraźni i nie pozwalał na skupienie myśli – później zaczął sobie przypominać zawartość pudełka, bo sam pakował je dawno, dawno temu. Kolorowe rysunki Danny’ego. O, Boże. Kartka z małymi pomarańczowymi kółeczkami, Madeleine upierała się, że to żonkile. I ten śmieszny, mały rysunek – to mógł być zielony balonik, a może drzewo, a może lizak. Jezus Maria!

Sam nie wiedział, kiedy dotarł na teren Instytutu i zaparkował na zwirowym podjeździe, prawie nie pamiętał, jak tu dojechał. Rozejrzał się wokół, próbując znaleźć punkt zaczepienia, zmusić umysł, żeby się znalazł w tym samym miejscu co ciało.

Powoli udawało mu się rozluźnić, czuł się niemal senny, wypełniała go pustka, która bardzo często idzie krok w krok za intensywnymi emocjami. Spojrzał na zegarek. Udało mu się przyjechać punktualnie. Wyglądało na



to, że jest jakaś część jego psychiki, która działa bez interwencji świadomości, jakiś autonomiczny system nerwowy. Zastanawiając się, czy chłód zapędził gości Instytutu, którzy grali różne role na zewnątrz, pod dach, zamknął samochód i ruszył krętą ścieżką do głównego budynku. Tak jak podczas poprzedniej wizyty Mellery otworzył drzwi wejściowe, zanim jeszcze Gurney zdążył zapukać. Wszedł do środka, zostawiając za sobą podmuchy wiatru.

– Jest coś nowego?

Mellery pokręcił głową i zamknął ciężkie, stare drzwi. Kilka liści zdołało się dostać do środka, inne zatrzymały się na progu.

– Chodź do mnie – powiedział Mellery. – Mam kawę, sok...

– Może kawę – powiedział Gurney.

Znów usiedli na wysokich fotelach przy kominku. Na małym stoliku między nimi leżała sporej wielkości brązowa koperta. Mellery wskazał na nią.

– Kserokopie wszystkiego, co dostałem w listach, i zapis rozmowy na taśmie. Przygotowałem to dla ciebie.

Gurney sięgnął po kopertę i położył ją sobie na kolanach. Mellery popatrzył na niego wyczekująco.

– Powinieneś to zgłosić na policję – powiedział Gurney.

– Już to przerabialiśmy.

– Musimy to omówić jeszcze raz.

Mellery zamknął oczy i zaczął masować czoło, jak gdyby bolała go głowa. Kiedy otworzył oczy, Gurney miał wrażenie, że jego kolega ze studiów podjął już decyzję.

– Zapraszam cię na mój poranny wykład. Jedynie tak zrozumiesz. – Mówił szybko, jak gdyby chciał lawiną słów zablokować wszelkie obiekcje Gurneya. – To, co się tu dzieje, jest bardzo subtelne, bardzo kruche. Uczymy naszych gości, czym są sumienie, świadomość, spokój i jasność umysłu. Najważniejsze jest zdobycie ich zaufania. Wystawiamy ich tutaj na coś, co może całkowicie zmienić ich życie. To jest jak pisanie na wodzie, przez chwilę widzisz znaki, ale kiedy zawieje wiatr, pozostają tylko

chaotyczne fale. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Nie bardzo.

– Przyjdź na wykład – rzekł błagalnym tonem Mellery.

\*

Była dokładnie dziesiąta rano, kiedy Gurney ruszył za nim do dużej sali na parterze głównego budynku. Przypominała obszerny hol w drogiej karczmie imitującej wiejski zabytek. Kilkanaście foteli i kilka sof ustawiono przodem do olbrzymiego kominka. Większość z dwadzieścioro gości już siedziała. Kilkoro stało obok kredensu, na którym ustawiono srebrny dzbanek z kawą i paterę z rogalikami.

Mellery podszedł do kominka jakby od niechcienia, stanął przed nim i spojrzał na słuchaczy. Ci stojący przy kredensie pospiesznie skierowali się ku fotelom i sofom, po czym zapanowała pełna oczekiwania cisza. Mellery wskazał Gurneyowi fotel przy kominku.

– To jest David – powiedział głośno, posyłając Gurneyowi uśmiech. – Chce się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co robimy, więc zaprosiłem go, żeby uczestniczył jako gość w naszym dzisiejszym porannym spotkaniu.

Rozległo się kilka głosów pozdrawiających go i mówiących „dzień dobry”, wszyscy się uśmiechnęli, większość uśmiechów wyglądała na szczere. Dojrzał kątem oka drobną, kruchą kobietę, która dzień wcześniej obrzuciła go stekiem wyzwisk. Ponuro spuściła oczy, nawet się trochę zarumieniła.

– Role, które dominują w naszym życiu – zaczął Mellery bez dłuższych wstępów – to role, których nie jesteśmy świadomi. Potrzeby, które nami kierują, każą nam iść tu czy tam, to potrzeby, których jesteśmy najmniej świadomi. Aby czuć się szczęśliwi i wolni, musimy odgrywane role postrzegać tak, jak one w istocie wyglądają, a nasze ukryte potrzeby wyprowadzić na światło dzienne.

Mówił spokojnie i prosto, jego głos przykuwał uwagę wszystkich słuchaczy.

– Pierwszą przeszkodą, na którą natykamy się w naszych poszukiwaniach, będzie założenie, że już znamy siebie, że rozumiemy

własne motywy, że wiemy, dlaczego czujemy się tak czy inaczej w danych okolicznościach i otoczeni ludźmi, których znamy. Aby jednak dokonywał się jakiś postęp, musimy mieć otwarte umysły. Aby dowiedzieć się czegoś o sobie, muszę przestać się upierać, że już wszystko wiem. Nigdy nie uda mi się usunąć głazu stojącego na ścieżce, jeżeli nie zobaczę go takiego, jaki jest.

Właśnie kiedy Gurney zaczął myśleć, że to ostatnie stwierdzenie powiedzie ich w mgły filozofii New Age'u, Mellery nagle podniósł głos.

– Wiecie, czym jest ten glaz? Ten glaz to wasze wyobrażenie o was samych, o tym, jak siebie postrzegacie. Osoba, którą, jak sądzą, jesteście, trzyma tę osobę, którą naprawdę jesteście, zamkniętą w komórcie bez światła, jedzenia i przyjaciół. Osoba, którą, jak sądzą, jesteście, próbuje zamordować tę osobę, którą jesteście naprawdę, próbuje tego przez całe wasze życie.

Mellery przerwał, jakby z powodu silnego wzruszenia. Rozejrzał się po zgromadzonych, panowała cisza jak makiem zasiał. Kiedy podjął temat, jego głos znów brzmiał tak, jakby prowadził ze słuchaczami rozmowę, lecz czuło się w nim napięcie.

– Osoba, którą, jak sądzę, jestem, jest przerażona i boi się osoby, którą jestem naprawdę, zafrasowana tym, co inni mogliby o tej osobie pomyśleć. Co by mi zrobili, gdyby wiedzieli, kim naprawdę jestem? Lepiej się zabezpieczyć! Lepiej ukryć tę prawdziwą osobę, zagłodzić ją, pogrzebać!

Znów przerwał na chwilę, pozwalając, by przygasł ogień szaleństwa w jego oczach.

– Kiedy to wszystko się zaczyna? Kiedy stajemy się takimi dysfunkcyjnymi bliźniakami: osobą wymyśloną gdzieś w naszej głowie i prawdziwą, zamkniętą w ciasnym pomieszczeniu i umierającą? Uważam, że bardzo wcześnie. Wiem, że w moim własnym przypadku bliźnięta były już dobrze ukształtowane, każde na swoim niewygodnym miejscu, kiedy miałem dziewięć lat. Opowiem wam pewną historię. I przepraszam wszystkich, którzy już ją kiedyś słyszeli.

Gurney rozejrzał się po pomieszczeniu, dostrzegając, że kilka twarzy

nagle rozjaśniły uśmiechy. Perspektywa wysłuchania historii Mellery'ego po raz drugi lub trzeci nie była dla tych ludzi nużąca ani irytująca. Gurney miał wrażenie, że zastygli w oczekiwaniu. Było tak, jak gdyby obiecać małemu dziecku bajkę z ulubionej książeczki.

– Pewnego dnia, kiedy wychodziłem do szkoły, moja matka dała mi dwadzieścia dolarów, żebym w drodze powrotnej zrobił drobne zakupy, kupił mleko i chleb. Kiedy wyszedłem ze szkoły o trzeciej po południu, zatrzymałem się w jadłodajni obok szkolnego boiska, żeby kupić sobie coca-colę, zanim pójde do narożnego sklepiku. Tam właśnie dzieciaki spotykały się po lekcjach. Położyłem banknot na kontuarze, ale zanim sprzedawca wziął pieniądze i wydał mi resztę, podszedł jeden z chłopaków i zobaczył tę dwudziestkę. „Ty, Mellery, powiedział, skąd masz dwadzieścia dolców?” Tak się złożyło, że ten chłopak był najsilniejszy w mojej klasie. Miałem dziewięć lat, a on jedenaście. Dwa razy został na drugi rok, wszyscy się go bali, to nie był ktoś, z kim powinienem był się zadawać, czy nawet rozmawiać. Brał udział w bójkach, krążyły też pogłoski, że włamywał się do domów i kradł. Kiedy spytał, skąd mam pieniądze, chciałem powiedzieć, że dała mi je matka, żebym kupił mleko i chleb, ale bałem się, że zacznie się ze mnie naśmiewać, że nazwie mnie maminsynkiem, i chciałem powiedzieć coś, co zrobi na nim wrażenie, więc powiedziałem, że je ukradłem. Wyglądał na zainteresowanego, a ja poczułem się dobrze. Później zapytał, komu je ukradłem, a ja odparłem, że matce, bo to pierwsza rzecz, która przyszła mi na myśl. Pokiwał głową, uśmiechnął się i odszedł. Poczulem ulgę, ale jednocześnie i zakłopotanie. Następnego dnia już o tym zapomniałem. Tydzień później podszedł do mnie na podwórku szkolnym i zapytał: „Słuchaj, Mellery, ukradłeś matce jeszcze jakąś kasę?”. Powiedziałem, że nie, a on na to: „Może byś ukradł jeszcze ze dwadzieścia dolców?”. Nie wiedziałem, co powiedzieć, tylko się na niego gapiłem, a on się uśmiechnął złośliwie i powiedział: „Ukradnij starej jeszcze dwadzieścia i daj mi je albo jej powiem, że w zeszłym tygodniu buchnąłeś dwudziestaka”. Czułem, że krew odpływa mi z twarzy.

– Mój Boże – wtrąciła kobieta o twarzy konia, siedząca w fotelu koloru

burgunda z dala od kominka, a przez salę przeszedł pomruk empatycznego gniewu.

– A to bandzior! – warknął dobrze zbudowany mężczyzna z morderczym błyskiem w oku.

– Byłem kompletnie spanikowany. Wyobrażałem sobie, jak idzie do mojej mamy i mówi, że jej ukradłem dwadzieścia dolarów. Cała absurdalność tej sytuacji, to, jak bardzo niewiarygodne jest, że ten mały gangster pójdzie na skargę do mojej matki, w ogóle mi nie przyszło do głowy. Byłem bez reszty sparalizowany ze strachu. Bałem się, że jej powie, a ona mu uwierzy. Nie miałem w sobie ani krzty wiary w prawdę. A więc w stanie bezmyślnej paniki podjąłem najgorszą z możliwych decyzji. Tamtego wieczora ukradłem z torebki mamy dwadzieścia dolarów i dałem mu je następnego dnia. Oczywiście tydzień później zażądał ode mnie tego samego, potem w następnym tygodniu i tak dalej, przez sześć tygodni, aż w końcu przyłapał mnie na tym mój ojciec. Złapał mnie na tym, że zamykałem szufladę w biurku mamy, a w dłoni ścisnąłem dwudziestodolarowy banknot. Przyznałem się. Opowiedziałem rodzicom całą tę okropną historię, której strasznie się wstydziłem. Ale wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. Zaproсили naszego pastora, wielebnego Eardona, który zabrał mnie do kościoła, żebym tę historię opowiedział raz jeszcze. Następnego dnia wieczorem wielebny kazał nam wrócić do kościoła, usadził nas razem z tym małym szantażystą, jego matką i ojcem i musiałem tę historię opowiedzieć po raz kolejny. Nawet wtedy to się nie skończyło. Moi rodzice odebrali mi na rok kieszonkowe, żebym mógł oddać pieniądze, które ukradłem. Ta sprawa zmieniła sposób, w jaki mnie postrzegali. Szantażysta wymyślił wersję wydarzeń, którą opowiedział wszystkim w szkole, a z której wynikało, że on jest jakimś Robin Hoodem, a ja wrednym kapusiem. Raz na jakiś czas patrzył na mnie z uśmiechem, który mówił mi, że przyjdzie dzień, w którym zepchnie mnie z dachu na asfalt i zginę marnie.

Mellery przerwał swoją opowieść i pomasaował twarz dłońmi, jak gdyby rozluźniał mięśnie napięte od tych bolesnych wspomnień.

Niedźwiedziowaty mężczyzna potrząsnął ponuro głową i powiedział raz jeszcze: „Co za bandzior!”.

– Tak sobie właśnie pomyślałem – odparł Mellery. – Co za manipulujący ludźmi mały bandzior! Zawsze kiedy sobie to przypominałem, pierwsza myśl, która rodziła się w mojej głowie, brzmiała właśnie tak: „Co za bandzior!” Tylko tak potrafiłem reagować.

– Ale miałeś rację – powiedział niedźwiedziowaty mężczyzna głosem, w którym słyhać było autorytet i pewność, że wszyscy słuchają jego rozkazów. – Właśnie tak było.

– Owszem – zgodził się Mellery, podejmując wątek. – On był właśnie taki. Nigdy jednak nie poszedłem ani kroku dalej, żeby zapytać się, jaki ja byłem. To, jaki on był, było oczywiste, ale nigdy nie zadałem sobie pytania, jaki ja byłem. Kim jest ten dziewięciolatek, który zrobił to, co zrobił? To za mało powiedzieć, że się bał, że był przerażony. Ale właściwie czego się bał? I co o sobie myślał?

Gurney złapał się na tym, że dał się wciągnąć w opowieść. Mellery przykuwał jego uwagę całkowicie, tak jak wszystkich innych słuchaczy. Gurney nie był już obserwatorem, był uczestnikiem tego poszukiwania znaczeń, motywów, tożsamości. Mellery najpierw zatrzymał się przed olbrzymim paleniskiem, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce, jak gdyby popychały go i napędzały wspomnienia i pytania, które nie pozwalały mu ustać w miejscu. Z jego ust zaczęły płynąć słowa.

– Zawsze, kiedy myślę o tym chłopcu, o sobie, kiedy miałem dziewięć lat, myślę o nim jako o ofierze: ofierze szantażu, ofierze jego własnej niewinnej tęsknoty za miłością, podziwem, akceptacją. Chciał tylko, żeby ten starszy chłopak go polubił. Był ofiarą okrutnego świata. Biedny, mały chłopiec, owieczka w szponach tygrysa.

Mellery zatrzymał się i obrócił na pięcie, stając naprzeciw słuchaczy. Teraz mówił cicho.

– Ten chłopak był jednak również kimś innym. Był kłamcą i złodziejem.

Słuchacze podzielili się na tych, którzy wyglądali tak, jak gdyby chcieli

zaprzeczyć, i tych, którzy przytakiwali.

– Skłamał, kiedy go spytano, skąd ma dwadzieścia dolarów. Twierdził, że jest złodziejem, żeby zrobić wrażenie na kimś, o kim myślał, że sam jest złodziejem. Później stanąwszy przed groźbą tego, że matka dowie się, że naprawdę jest złodziejem, stał się nim. Nie mógł pozwolić jednak, by tak sądziła. Najbardziej zależało mu na tym, żeby kontrolować to, co ludzie o nim sądzą. Liczyło się dla niego tylko to, co myśleli o nim inni, jemu było wszystko jedno, czy rzeczywiście jest kłamcą i złodziejem, czy nie, lub też, że jego zachowanie ma taki lub inny wpływ na ludzi, którym kłamał w żywe oczy i których okradał. Powiem tak: nie dość mu zależało na tym, by powstrzymało go to przed kradzieżą i kłamstwem. Zależało mu tylko na jego własnej samoocenie, która miała nie ucierpieć, kiedy kłamał i kradł. Zależało mu na tyle, że samego siebie znienawidził i zaczął żałować, że w ogóle żyje.

Mellery przerwał na kilka sekund, pozwolił, by jego słowa zapadły w pamięć słuchaczy, i po chwili wrócił do swej opowieści.

– A oto zadanie dla was. Przygotujcie listę ludzi, których nie możecie znieść, ludzi, na których jesteście wściekli, którzy wyrządzili wam jakąś krzywdę, a później zapytajcie samych siebie: „Jak znalazłem się w tej sytuacji? Jak wszedłem w tę relację? Co mną kierowało? Jak moje czyny w tej sytuacji mogłyby wyglądać z zewnątrz, gdyby przyglądał się im postronny obserwator?”. Proszę was usilnie, żebyście się nie skupiali na straszliwych rzeczach, które zrobiła druga osoba. Nie szukamy kogoś, na kogo można by zrzucić winę. To robiliśmy całe życie i donikąd nas to nie zaprowadziło. Mamy teraz przed oczyma tylko długą, bezużyteczną listę nazwisk i imion ludzi, których obwiniamy za wszystko, co poszło nie tak! Długą, bezużyteczną listę! Prawdziwe pytanie, jedyne, które ma sens, to: „Gdzie ja byłem w tym wszystkim? Jak to się stało, że otworzyłem drzwi, które prowadzą do tego pokoju?”. Kiedy ja sam miałem dziewięć lat, otworzyłem je, kłamiąc po to, by zyskać podziw. A jak wy otworzyliście te drzwi?

Niewysoka, delikatna kobieta, która obrzuciła Gurneya wyzwiskami

poprzedniego dnia, wyglądała na coraz bardziej zdezorientowaną. Niepewnie podniosła rękę i zapytała:

– Czy czasami nie jest tak, że ktoś bardzo zły robi coś strasznego osobie niewinnej, na przykład włamuje się do jej domu i, powiedzmy, okrada ją? To przecież nie jest wina tej niewinnej osoby, prawda?

Mellery uśmiechnął się.

– Złe rzeczy zdarzają się i dobrym ludziom. Ale ci dobrzy ludzie nie spędzają reszty życia, zgrzytając zębami i odtwarzając po raz kolejny w wyobraźni obraz okradanego domu. Te zdarzenia, kolizje z innymi osobami, które najbardziej wytrącają nas z równowagi, te, które, jak nam się wydaje, tak trudno zostawić za sobą, to sytuacje, w których gramy rolę, do jakich niechętnie się przyznajemy. Ból pozostaje właśnie dlatego, że odmawiamy szukania jego źródła. Nie potrafimy go zidentyfikować, bo odmawiamy poszukiwania jego korzeni.

Mellery zamknął oczy i zdawało się, że zbiera siły.

– Najbardziej w życiu boli to, co wynika z błędów, które popełniliśmy, ale do których nie chcemy się przyznać, rzeczy, które zrobiliśmy, choć były sprzeczne z tym, kim jesteśmy, tak że nie potrafimy nawet myśleć o nich. Stajemy się dwiema osobami w jednej skórze, dwiema osobami, które nie potrafią siebie znieść. Kłamcą i kimś, kto pogardza kłamcami. Złodziejem i kimś, kto pogardza złodziejami. Nie ma innego tak wielkiego bólu, jak ból tej bitwy, która toczy się poniżej poziomu świadomości. Uciekamy od niej, ale ona biegnie razem z nami. Gdziekolwiek się udamy, zabieramy ją ze sobą.

Mellery chodził tam i z powrotem przed kominkiem.

– Zróbcie, jak mówię. Spiszcie na kartce wszystkich ludzi, których obarczacie winą za problemy i kłopoty w waszym życiu. Im bardziej jesteście na nich wściekli, tym lepiej. Wypiszcie te nazwiska. Im bardziej jesteście przekonani o tym, że nie ma w tym wszystkim ani odrobiny waszej winy, tym lepiej. Napiszcie, co zrobili i jak was skrzywdzili. A później zapytajcie siebie samych, kiedy i jak otworzyliście te drzwi. Jeżeli pierwsza myśl, która wam przychodzi do głowy, jest taka, że to ćwiczenie



nie ma sensu, zapytajcie siebie samych, dlaczego tak zdecydowanie je odrzucacie. Pamiętajcie, tu nie chodzi o usprawiedliwianie czy wybaczenie komuś, do kogo macie żal. Nie macie takiej władzy. Odpuszczanie win to domena Pana Boga, nie wasza. Wy skupcie się na jednym pytaniu: „Jak i kiedy ja otworzyłem te drzwi?”.

Zamilkł na chwilę i rozejrzał się po pomieszczeniu pełnym słuchaczy, spojrział w oczy wszystkim, którzy patrzyli na niego.

– „Jak otworzyłem te drzwi?” To, czy będziecie przez resztę życia szczęśliwi, zależy od tego, czy potraficie uczciwie odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Przerwał i ogłosił przerwę „na kawę, herbatę, zaczerpnięcie świeżego powietrza, toaletę i tak dalej”. Wydawał się wyczerpany. Kiedy jego słuchacze wstawali z kanap i foteli i ruszali w różnych kierunkach, Mellery spojrział pytająco na Gurneya, który wciąż siedział na swoim fotelu.

– I co, coś pomogło? – spytał.

– Jestem pod wrażeniem.

– W jakim sensie?

– Jesteś doskonałym mówcą.

Mellery skinął głową, ale w tym gościu nie było ani skromności, ani dumy.

– Rozumiesz teraz, jakie to wszystko jest kruche?

– Masz na myśli porozumienie i więź, którą nawiązujesz ze swoimi gośćmi?

– Porozumienie to chyba słowo dobre jak każde inne, jeśli tylko myślisz o połączeniu zaufania, tożsamości, łączności, otwartości, wiary, nadziei i miłości, jeśli zrozumiesz, jak delikatne to kwiaty, zwłaszcza kiedy pierwszy raz zakwitają.

Gurney nie potrafił się zdecydować, jak postrzegać Marka Mellery'ego. Jeśli ten człowiek jest szarlatanem, to najlepszym, jakiego Gurney spotkał na swojej drodze.

Mellery uniósł dłoń i zawołał do młodej kobiety stojącej przy dzbanku z kawą.

– Keira, byłabyś tak miła i zawołała Justina?

– Oczywiście! – powiedziała bez wahania, wykonała piruet i ruszyła na poszukiwania.

– Kim jest Justin? – spytał Gurney.

– To młody człowiek, bez którego ostatnio nie daję sobie rady. Zjawił się tu jako gość, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, to w ogóle najmłodszy z naszych klientów. Wracał trzy razy, za trzecim został na dobre.

– A co on robi?

– Można by chyba powiedzieć, że robi to, co ja.

Gurney spojrział na Mellery'ego pytająco.

– Od pierwszej wizyty tutaj Justin i ja nadawaliśmy na tych samych falach. Zawsze rozumiał, co mówię, wszystkie niuanse i tak dalej. Bardzo bystry młody człowiek, ma swój wkład we wszystko, co robimy. Najważniejszy przekaz Instytutu jest jakby skrojony dla niego, a on dla tego przekazu. Czeka go tu świetlana przyszłość, jeśli zechce przyjąć zaproszenie.

– Mark junior – powiedział Gurney do siebie.

– Co takiego?

– Jakbyś mi opisywał idealnego syna. Przyjmuje i docenia wszystko, co możesz mu dać.

Do środka wszedł szczupły młody człowiek o inteligentnym spojrzeniu.

– Justin, chciałbym ci przedstawić mojego kolegę ze studiów Dave'a Gurneya – powiedział Mellery, kiedy chłopak podszedł do nich.

Mężczyzna wyciągnął rękę i w tym geście były jednocześnie ciepło i nieśmiałość. Uścisnęli sobie dłonie, a Mellery wziął Justina na stronę i zaczął mówić cichym głosem.

– Chciałbym, żebyś przejął następne pół godziny, podaj im przykłady wewnętrznej dychotomii.

– Z przyjemnością – powiedział młody człowiek.

Gurney odczekał, aż Justin podejdzie do kredensu po kawę, a później zwrócił się do Mellery'ego.

– Jeśli masz jeszcze chwilę, chciałbym, żebyś zadzwonił w jedno miejsce,

zanim wyjadę.

– Wracajmy do domu. – Mellery z pewnością chciał odsunąć się od gości, by nie wciągać ich w nic, co miałyby związek z jego obecnymi problemami. Po drodze Gurney powiedział, że chce, by Mellery zadzwonił do Gregory'ego Dermotta i wypytał go o szczegóły dotyczące historii i zabezpieczeń jego skrytki pocztowej oraz wszystkiego, co poza tym pamięta w związku z otrzymaniem czeku na dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów osiemdziesiąt siedem centów, wypisanego na nazwisko X. Arybdis, który zwrócił Mellery'emu. A zwłaszcza, czy ktoś jeszcze w firmie Dermotta ma prawo otwierać tę skrytkę pocztową. Czy zawsze była jego własnością? Czy istnieje drugi klucz? Jak długo wynajmuje tę skrytkę? Czy wcześniej otrzymywał na tę skrytkę źle zaadresowaną pocztę. Czy kiedykolwiek dostał czek z nieznanego źródła? Czy nazwiska Arybdis lub Charybdis, albo Mark Mellery coś dla niego znaczą? Czy ktokolwiek mówił mu o Instytucie Odnowy Duchowej?

Kiedy Mellery zaczął sprawiać wrażenie przemęczonego nadmiarem wskazówek, Gurney wyciągnął kartkę z kieszeni marynarki i podał mu ją.

– Masz tu wszystkie pytania. Być może pan Dermott nie odpowie na wszystkie, ale warto spróbować.

Kiedy szli pomiędzy rzędami zwiędłych i więdnących kwiatów, Mellery zdawał się coraz bardziej pogrążony w smutku. Doszli do patio z tyłu eleganckiego budynku. Zatrzymał się i powiedział przyciszonym głosem, jak gdyby się bał, że ktoś go podsłuchuje:

– Całą noc nie spałem. Ta historia z dziewiętnastką całkowicie wytrąciła mnie z równowagi.

– I nic ci nie przyszło do głowy, żadne powiązanie? Żadne znaczenie, jakie mogłaby mieć ta liczba?

– Nic. Tylko jakieś głupoty. Kiedyś psychoterapeuta dał mi test składający się z dwudziestu pytań, żeby sprawdzić, czy mam problem z alkoholem, i zdobyłem dziewiętnaście punktów. Moja żona miała dziewiętnaście lat, kiedy się pobieraliśmy. Takie tam różne swobodne skojarzenia, nic, co można by przewidzieć, niezależnie od tego, jak dobrze

ktoś by mnie znał.

– A jednak.

– Właśnie to mnie doprowadza do szaleństwa! Przyjrzyj się faktom. Ktoś zostawia w mojej skrzynce pocztowej zaklejoną kopertę. Ktoś dzwoni do mnie i mówi, że mam pomyśleć o dowolnej liczbie. Myślę o liczbie dziewiętnaście. Idę do skrzynki, wydaję kopertę i na kartce, która się w niej znajduje, widnieje dziewiętnastka. Właśnie ta liczba, o której pomyślałem. Mogłem przecież wybrać sobie na przykład siedemdziesiąt dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt jeden. Ale pomyślałem „dziewiętnaście” i ta właśnie liczba była w liście. Mówisz, że zjawiska paranormalne to stek bzdur, ale jak inaczej można to wyjaśnić?

Gurney odpowiedział tak spokojnie, jak nerwowo mówił Mellery.

– Czegoś brakuje w naszym wyobrażeniu na temat tego, co się wydarzyło. Patrzymy na problem w sposób, który każe nam zadawać niewłaściwe pytania.

– A jakie są właściwe?

– Kiedy na to wpadnę, tobie pierwszemu o tym powiem. Gwarantuję ci jednak, że to nie ma nic wspólnego z postrzeganiem pozazmysłowym.

Mellery pokręcił głową i ten gest przypominał bardziej nerwowy tik niż świadomą reakcję. Popatrzył na tył domu, a potem na patio, na którym stali. Z jego pustego spojrzenia dało się wyczytać totalne zagubienie, jakby nie wiedział, jak się tu dostał..

– Wejdziemy? – zasugerował Gurney.

Mellery’emu udało się skupić uwagę na rzeczywistości i nagle coś mu się przypomniało.

– Zapomniałem... Przepraszam... Dzisiaj w domu jest Caddy. Nie mogę, to znaczy, byłoby lepiej, gdybym... To znaczy... Nie mogę od razu zadzwonić do Dermotta. Zobaczę, jak się to później potoczy.

– Ale zadzwonisz dzisiaj?

– Tak, tak, oczywiście. Muszę tylko wybrać właściwy moment. Przekręcę do ciebie od razu po tym telefonie.

Gurney skinął głową, spojrzał w oczy swojego kolegi i ujrzał w nich lęk

przed rozpadającym się życiem.

– Tylko jedno pytanie, zanim wyjadę. Słyszałem, jak mówiłeś Justinowi, żeby podjął temat „wewnętrznych dychotomii”. Zastanawiam się, do czego piliś.

– Nic nie umknie twojej uwadze – odparł Mellery, marszcząc brwi. – „Dychotomia” odnosi się do podziału, do dwojakiej natury rzeczy. Ja stosuję to słowo, żeby opisać konflikty, które toczą się w nas samych.

– Masz na myśli osobowość typu doktor Jekyll i pan Hyde?

– Tak, ale jest coś więcej. Ludzie są obciążeni wewnętrznymi konfliktami. Te konflikty kształtują nasze relacje, są źródłem frustracji, praktycznie rządzą naszym życiem.

– Daj mi jakiś przykład.

– Mógłbym ci ich podać tysiąc. Najprostszy konflikt to sprzeczność między tym, jak sami siebie postrzegamy i jak postrzegają nas inni. Na przykład jeśli pokłóciłibyśmy się, a ty zacząłbyś na mnie wrzeszczeć, pomyślałbym, że przyczyną kłótni jest to, że nie potrafisz opanować zdenerwowania. Niemniej jednak, gdybym ja na ciebie krzyczał, wtedy przyczyny doszukiwałbym się raczej nie w moim nieopanowanym temperamencie, ale w tym, że mnie sprowokowałeś, w czymś, co kazało mi zacząć się wydzierać, bo to była jedyna właściwa reakcja.

– To interesujące.

– Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy skłonni wierzyć w to, że moja sytuacja jest źródłem naszych problemów, ale źródłem twoich jest twoja osobowość. A to prowadzi do kłopotów. Chęć uporządkowania wszystkiego wokół siebie na mój własny sposób wydaje się mieć sens, podczas gdy chęć ustawienia wszystkiego na twój sposób wydaje się infantylna. Dla mnie lepszy dzień to taki, w którym będę się czuł lepiej, a ty będziesz się lepiej zachowywał. Rozumiem rzeczy tak, jak je postrzegam. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

– Rozumiem.

– To tylko początek, tylko rysa na cienkiej, wierzchniej warstwie farby. Umysł ludzki jest pełen sprzeczności i konfliktów. Kłamiemy po to, żeby

inni nam zaufali. Ukrywamy własne ja, by osiągnąć bliskość z innym człowiekiem. A sposób, w jaki szukamy szczęścia, sprawia, że zamiast się zbliżyć, oddalamy się od niego. Kiedy nie mamy racji, walczymy do upadłego, żeby udowodnić światu, że jednak ją mamy.

Mellery, znów zaangażowany emocjonalnie we własny wykład, mówił z werwą i elokwencją. Nawet w tak głębokim stresie jego słowa przykuwały uwagę.

– Mam wrażenie – powiedział Gurney – że mówisz o własnym źródle bólu, nie o stanie ludzkości w ogóle.

Mellery powoli pokiwał głową.

– Nie ma gorszego bólu niż ten, który wynika z faktu, że jedno ciało zamieszkują dwie osoby.

## Koniec początku

Gurneya znowu dręczyło to nieprzyjemne uczucie, które naszło go po raz pierwszy, gdy Mellery przyjechał do Walnut Crossing. Teraz ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że to uczucie jest tęsknotą za klarownością rzeczywistego dramatu; brakowało mu sceny zbrodni, którą można by przeszukać centymetr po centymetrze, zmierzyć i rozrysować w diagramach; odcisków palców, włosów i włókien, które można byłoby zanalizować i zidentyfikować; świadków, których można by przeszukać; podejrzanych, których można byłoby zlokalizować, alibi, które można sprawdzić, relacji, które można zbadać od podstaw, narzędzia zbrodni, które można by znaleźć, pocisków i balistyki. Nigdy przedtem nie był tak irytująco silnie zaangażowany w problem, który z punktu widzenia prawa byłby tak niejasny, w którym było tyle przeszkód dla przeprowadzenia normalnej procedury.

W drodze z Instytutu do miasteczka zastanawiał się nad lękami Mellery'ego – biedak z jednej strony bał się kogoś, kto go dręczy listami, z drugiej lękał się interwencji policji, która mogłaby mu wystraszyć klientów. Przekonanie Mellery'ego, że lekarstwo będzie gorsze niż sama choroba, sprawiało, że sytuacja była patowa.

Zastanawiał się, czy Mellery wie więcej, niż zdradza. Czy był świadom czegoś, co zrobił w odległej przeszłości, a co mogło być przyczyną obecnej kampanii grózb i upiornej gry? Czy doktor Jekyll wie, co zrobił pan Hyde?

Temat wykładu Mellery'ego, dotyczący zmagających się ze sobą dwóch umysłów w jednym ciele, zainteresował jednak Gurneya z innego powodu. Zgadzał się bowiem z tym, co sam zaobserwował przez te wszystkie lata, a teraz dostrzegał jeszcze wyraźniej, pracując nad zdjęciami kryminalistów: schizofreniczny podział, który dokonuje się w duszy, często aż nadto wyraźnie ujawnia się na twarzy, a najbardziej w oczach. Raz po raz widywał twarze, w których jakby kryły się dwa oblicza. Zjawisko to

najłatwiej zaobserwować na fotografii. Wystarczy tylko ukryć połowę twarzy, a drugą odkrywać za pomocą kartki papieru – wzdłuż środka grzbietu nosa tak, by za każdym razem widoczne było tylko jedno oko. A następnie trzeba było przelać na papier kilka zdań opisu charakteru osoby, którą widać po lewej stronie, i na innej kartce kilka zdań opisu osoby, którą widać po prawej. Zadziwiające, jak te opisy mogły się od siebie różnić. Ktoś mógł wydać się łagodny, tolerancyjny i mądry, a jednocześnie być pełen nienawiści, chłodny i zdolny do manipulacji. Na tych twarzach bez wyrazu, ożywionych cynicznym spojrzeniem, zło prowadzące do morderstwa często widać było tylko w jednym oku, podczas gdy w drugim go brakowało. Być może nasze mózgi są tak skonstruowane, by w realnych spotkaniach, w prawdziwym życiu połączyć to, co da się wyłonić z różnorodnych cech charakterystycznych obojga oczu, dlatego na co dzień trudno dojrzeć różnicę, ale na zdjęciach nie sposób tego nie zauważyć.

Gurney przypomniał sobie zdjęcie Mellery'ego na okładce książki. Powiedział sobie, że musi przyjrzeć się bliżej jego oczom, kiedy przyjedzie do domu. Przypomniał sobie również, że powinien oddzwonić do Soni Reynolds, o której Madeleine wspominała lodowanym tonem. Kilka kilometrów za Peony zatrzymał się na poboczu porośniętym chwastami, pełnym żwiru, dzielącym jezdnię od potoku Esopus Creek, wyciągnął komórkę i wprowadził numer galerii. Po czterech sygnałach jej śpiewny głos zaprosił go do pozostawienia tak długiej wiadomości, jak sobie tylko życzy.

– Soniu, mówi Dave Gurney. Wiem, że w tym tygodniu obiecałem ci portret, i mam nadzieję go przynieść w sobotę, lub przynajmniej posłać ci e-mailem plik, żebyś mogła wydrukować próbkę. Jest prawie skończony, ale jeszcze nie jestem z niego zadowolony. – Przerwał, świadom faktu, że jego głos był teraz trochę cichszy, znalazł się w rejestrze, który uaktywniał się w obecności atrakcyjnych kobiet. Była to reakcja, którą kiedyś wytknęła mu Madeleine. Odchrząknął i mówił dalej. – Esencją tego obrazu jest charakter człowieka. Twarz powinna być spójna z morderstwem, a zwłaszcza oczy. Nad tym właśnie pracuję. I to zajmuje najwięcej czasu.



Usłyszał kliknięcie na linii, a po chwili głos Soni, jakby bez tchu.

– Davidzie, jestem. Nie zdążyłam podbiec do telefonu, ale usłyszałam, co mówiłeś. I rozumiem doskonale, że musisz uchwycić wszystkie właściwe szczegóły. Ale bardzo bym się cieszyła, gdybyś dostarczył mi to w sobotę. W niedzielę mamy festiwal sztuki, w galerii będzie mnóstwo ludzi.

– Spróbuję. Ale raczej później niż wcześniej.

– Doskonale! Kończę o szóstej, ale popracuję godzinę dłużej. Przyjdź po zamknięciu. Będziemy mieli czas, żeby porozmawiać.

Uderzyło go to, że w głosie Soni wyczuł zmysłowe zaproszenie. A przynajmniej tak mu się wydawało. Wiedział oczywiście, że za daleko wystawia antenę i może coś sobie dopowiada, że prawdopodobnie to wytwór jego wyobraźni. Wiedział również, że postępuje cholernie głupio.

– Dobrze, o szóstej – usłyszał własny głos, pamiętał przecież, że gabinet Sonii, w którym stały wielkie kanapy, a na podłodze leżały grube dywany, miał wystrój przypominający bardziej buduar niż biuro.

Schował telefon do skrytki w samochodzie i siedział, przyglądając się porośniętej trawą dolinie. Jak zwykle głos Sonii zaburzył jego myśli, a jego umysł, jak piłeczka w mechanicznej grze, pędził od przeszkody do przeszkody – najpierw przypomniał sobie gabinet Sonii, który wcale nie przypominał biura, później niepokój Madeleine, nieprawdopodobną sytuację, w której ktoś myśli i mówi o liczbie, o której kto inny dopiero pomyśli, o krwi czerwonej jak malowane róże, że ty i ja się jeszcze spotkamy, panie sześćset pięćdziesiąt osiem, o Charybdzie, o nietrafionej skrytce pocztowej, o tym, że Mellery boi się policji, o Peterze Piggercie, seryjnym mordercy, niech go diabli porwą, o czarującym młodym Justinie, bogatej, starzejącej się Caddy, o doktorze Jekyllu i panu Hyde i tak dalej. Myśli błądziły mu po głowie bez ładu i składu, wirowały, kręciły się jak na karuzeli. Lekko opuścił szybę po stronie pasażera, za którą widniał strumień, oparł się wygodnie, zamknął oczy i próbował skupić się na szumie wody obmywającej okrągłe głązy.

Oprzytomniał na dźwięk pukania w zamknięte okno. Podniósł wzrok na kwadratową twarz bez wyrazu, z oczami ukrytymi za okularami słonecznymi, ocienioną sztywnym, okrągłym rondem szerokiego kapelusza policjanta drogówki. Opuścił szybę.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – w pytaniu było więcej groźby niż troski, a „proszę pana” zabrzmiało, jakby wypowiedziano je z obowiązku, a nie z uprzejmości.

– Tak, dziękuję. Musiałem na chwilę zamknąć oczy.

Gurney spojrział na zegar na desce rozdzielczej. Ta chwila, jak stwierdził, trwała piętnaście minut.

– Dokąd pan jedzie?

– Do Walnut Crossing.

– Rozumiem. Pił pan coś dzisiaj?

– Nie, nie piłem.

Mężczyzna skinął głową i odszedł krok w tył, a później obejrzał samochód ze wszystkich stron. Jego usta, jedyna część twarzy, z której można było odczytać emocje i postawę, wyrażały pogardę, jak gdyby uznał zaprzeczenie za wierutne kłamstwo i postanowił znaleźć na to wkrótce solidne dowody. Celowo przeszedł powoli wokół samochodu, potem wzdłuż boku auta po stronie pasażera, przed maską, by w końcu wrócić do okna Gurneya. Po długiej chwili pełnego krytyki milczenia odezwał się z niechęcią w głosie, która bardziej pasowałaby do postaci ze sztuki Harolda Pintera, niż policjanta z drogówki, zatrzymującego auto do kontroli.

– Wie pan, że tutaj nie wolno parkować?

– Nie, nie wiedziałem – powiedział Gurney spokojnie. – Chciałem się tylko zatrzymać na kilka minut.

– Poproszę dowód rejestracyjny i prawo jazdy.

Gurney wyjął dokumenty z portfela i podał je przez okno. W takich sytuacjach nie miał w zwyczaju ujawniać, że jest emerytowanym nowojorskim detektywem pierwszego stopnia, z koneksjami, które mogą nieść za sobą pewne konsekwencje, ale kiedy policjant odwrócił się, żeby wrócić do swojego wozu patrolowego, Gurney poczuł, że arogancja tego

młodego człowieka przekracza wszelkie normy, a jego wrogość na pewno znajdzie wyraz w niepotrzebnym przeciąganiu kontroli, jeśli nie w czymś więcej. Niechętnie wyjął jeszcze jeden dokument z portfela.

– Chwileczkę, myślę, że to też może panu pomóc.

Policjant ostrożnie wziął do ręki plastikową kartę. Gurney zobaczył w kącikach ust zmianę, choć wciąż nie było w nich nic przyjaznego – wyrażały raczej rozczarowanie pomieszane z gniewem. Przez uchyloną szybę policjant niechętnie podał mu kartę, prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– Miłego dnia – powiedział tonem, który komunikował coś zupełnie przeciwnego, wsiadł do wozu patrolowego, zawrócił z piskiem opon i odjechał tam, skąd się pojawił.

Niezależnie od subtelności testów psychologicznych – myślał Gurney – niezależnie od wysoko stawianej poprzeczki edukacyjnej i niezależnie od rygorów szkolenia w akademii policyjnej zawsze znajdą się gliniarze, którzy nie powinni pracować w tym zawodzie. W tym przypadku policjant z drogówki w żaden sposób nie złamał prawa, ale był tak pełen nienawiści i zawziętości – Gurney wyczuwał to i widział w zmarszczkach na twarzy – że to tylko kwestia czasu, zanim nastąpi jakaś kolizja. Zanim stanie się coś strasznego. Tymczasem całe mnóstwo dobrych ludzi i Bogu ducha winnych obywateli będzie bez potrzeby przetrzymywanych, sprawdzanych i poniżanych. Był to jeden z policjantów, którzy wzbudzali w obywatelach tego kraju nienawiść do policji w ogóle.

Może Mellery miał trochę racji.

\*

Następne siedem dni przyniosło zimę na północ gór Catskill. Gurney spędzał większość czasu u siebie, na przemian pracując nad fotografiami twarzy kryminalistów i analizując z niemal bolesną uporczywością wszystkie listy i wiersze od Charybdisa – przekraczał granicę między dwoma światami, powtarzał sobie, że ma nie myśleć o rysunkach Danny'ego, by nie porwał go wewnętrzny chaos, który w nim wywoływały.

Najbardziej oczywiste rozwiązanie, jakie mu się nasunęło, to porozmawiać o tym z Madeleine, dowiedzieć się, dlaczego postanowiła teraz do tego wrócić – dosłownie wyciągnąć problem na światło dzienne, wyjmując pudełko z piwnicy – i dlaczego czekała tak cierpliwie na jego reakcję. Nie potrafił jednak zebrać się w sobie, nie miał dość siły woli. Zatem wypchnie to z pola uwagi i wróci do sprawy Charybdisa. Tu przynajmniej był w stanie myśleć bez poczucia, że jest zagubiony, bez przyspieszonego bicia serca.

Często na przykład zastanawiał się nad wieczorem po ostatniej wizycie w Instytucie. Zgodnie z obietnicą Mellery zadzwonił późnym wieczorem i zrelacjonował rozmowę z Gregorym Dermottem z firmy GD Systemy Zabezpieczeń. Dermott był na tyle uprzejmy, by odpowiedzieć na wszystkie pytania, które spisał Gurney, lecz z podanych przez niego informacji niewiele wynikało. Okazało się, że zaczął opłacać skrytkę pocztową mniej więcej przed rokiem, gdy przeniósł firmę z Hardford do Wycherly; nigdy wcześniej nie było żadnych problemów, na pewno nie dostawał żadnych błędnie zaadresowanych listów lub czeków; był jedyną osobą z dostępem do skrytki; nazwiska Arybdis, Charybdis i Mellery nic mu nie mówią; nigdy nie słyszał o Instytucie. Przyciśnięty do muru pytaniem, czy ktoś jeszcze w jego firmie mógł w jakikolwiek sposób korzystać ze skrytki bez jego wiedzy, Dermott wyjaśnił, że to niemożliwe, ponieważ w firmie nie ma nikogo oprócz niego. GD Systemy Zabezpieczeń i Gregory Dermott to jedno i to samo. Był konsultantem do spraw bezpieczeństwa dla przedsiębiorstw chcących chronić swoje szczególnie wrażliwe bazy danych przed atakami hakerów. Nic, co powiedział, nie rzucało nowego światła na sprawę błędnie zaadresowanego czeku.

Niewiele wniosły też poszukiwania, które Gurney przeprowadził w internecie. Wszystkie źródła informacji zgadzały się w głównych punktach – Gregory Dermott obronił pracę magisterską w Massachusetts Institute of Technology, ma solidną reputację jako ekspert od komputerów i pracuje z dużymi firmami. Ani on sam, ani firma GD Systemy Zabezpieczeń nie ma żadnych spraw sądowych, oskarżeń, wyroków czy złej prasy, nic takiego nie

zdarzało się również w przeszłości. Krótko mówiąc, jawił się jako ktoś zupełnie bez skazy i miał czyste konto. A jednak ktoś, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, przywłaszczył sobie numer jego skrytki pocztowej. Gurney zadawał sobie w kółko to samo pytanie: „Po co żądać od kogoś czeku, który prawie na pewno wróci do nadawcy?”. Czuł się przygnębiony, kiedy o tym myślał, bo miał wrażenie, że chodzi po ślepych uliczkach tak, jakby i za dziesiątym razem nie znalazł tego, co dziewięć razy umknęło jego uwadze. Było to jednak lepsze niż myślenie o Dannym.

\*

Pierwszy śnieg spadł wieczorem, w pierwszy piątek listopada. Zaczęło się od kilku płatków unoszących się tu i ówdzie w powietrzu o zmierzchu, po paru godzinach już mocno sypało, a później jak na zawołanie przestało padać około północy.

Kiedy Gurney dochodził do siebie nad kubkiem porannej sobotniej kawy, blada tarcza słońca wspinała się powoli nad zalesioną górską granią oddaloną o dwa kilometry. Nocą nie było wiatru i wszystko na zewnątrz, począwszy od patio aż po dach stodoły, było przykryte co najmniej dziesięciocentymetrową warstwą śniegu.

W nocy Gurney nie mógł spać. Godzinami błąkał się po zamkniętych pętlach połączonych ze sobą trosk. Niektóre z tych myśli teraz, w potężniejącym świetle dnia rozpraszały go tak jak myśl o Sonii. W ostatniej chwili odwołał spotkanie po zamknięciu galerii. Niepewność tego, co może się tam wydarzyć, niepewność tego, czego sam pragnął, żeby się wydarzyło, kazała mu to spotkanie odłożyć na kiedy indziej.

Siedział, jak przez cały ostatni tydzień, odwrócony plecami do tej części pokoju, w której na stoliku do kawy leżało owinięte wstążką tekturowe pudełko z rysunkami Danny'ego. Popijał małymi łykami kawę i patrzył przez okno na pokryte bielą pastwisko.

Widok śniegu zawsze przywoływał zapach zimy. Powodowany impulsem wstał, podszedł do drzwi do ogrodu i otworzył jedno skrzydło. Ostry chłód wiatru poruszył wspomnienia – pobocza dróg, na których zaspy sięgały do

ramion, jego własne dłonie, zaczerwienione i szczypiące po lepieniu śnieżek, igielki lodu, które utkwily w rękawach jego wełnianej kurtki, trzy gałęzie wygięte w łuk w kierunku ziemi, świąteczna jemiola na drzwiach, puste ulice, jasność wszędzie, gdzie spojrział.

Niesamowita rzecz z tą przeszłością, tak dziwnie czeka w ciszy, przyczajona, niewidoczna, niemal jakby jej w ogóle nie było. Człowiek poddaje się pokusie myślenia, że znikła, że już nie istnieje. A później jak bażant wypłoszony z ukrycia krzyczy przejmująco – eksplozja dźwięku, koloru i ruchu – jest przerażająco żywa.

Chciał się otoczyć zapachem śniegu. Zdjął kurtkę z haczyka przy drzwiach, założył ją i wyszedł. Śnieg był za głęboki na zwykłe buty, które teraz miał na nogach, ale nie chciało mu się ich zmieniać. Ruszył w kierunku stawu, zamknął oczy i głęboko wciągał nozdrzami zapach powietrza. Nie przeszedł więcej niż sto metrów, kiedy usłyszał otwierające się drzwi do kuchni i głos Madeleine, wołający w jego kierunku.

– David, wracaj!

Odwrócił się i zobaczył ją w pół kroku za progiem, jej twarz zdradzała, że jest czymś poruszona. Odwrócił się i ruszył w kierunku domu.

– Co się stało?

– Szybko! – zawołała. – Mówią o tym w radiu. Mark Mellery nie żyje!

– Co takiego?

– Mark Mellery. Nie żyje. Właśnie podawali w radiu. Został zamordowany! – Weszła do domu.

– Boże – powiedział Gurney, czując, że jakieś imadło ściska mu klatkę piersiową. Kilka ostatnich metrów przebiegł, wpadł do kuchni, nie zdejmując zaśnieżonych butów.

– Kiedy to się stało?

– Nie wiem. Dzisiaj rano, wczoraj wieczorem, nie wiem. Nie mówili.

Słuchał wiadomości. Radio wciąż było włączone, ale spiker mówił teraz o czymś innym, o bankructwie jakiejś dużej firmy.

– Jak zginął?

– Nie powiedzieli. Mówili tylko, że wygląda to na zabójstwo.

– Dodali jeszcze jakieś informacje?

– Nie. Tak. Coś o Instytucie, tam się to właśnie stało. Instytut Odnowy Duchowej Mellery'ego w Peony w stanie Nowy Jork. Mówili w radiu, że policja już tam jest.

– To wszystko?

– Chyba tak. To straszne!

Powoli pokiwał głową, próbując opanować myśli.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

Szybki przegląd wszystkich opcji wyeliminował pozostałe i teraz miał do wyboru tylko jedną.

– Poinformuję oficera prowadzącego śledztwo o swoich powiązaniach z Mellerym. Co będzie później, to już zależy od niego.

Madeleine wzięła głęboki oddech i próbowała uśmiechnąć się raźnie, ale ta próba była z góry skazana na niepowodzenie.

CZEŚĆ II

MAKABRYCZNE GRY



## Całkiem sporo krwi

Dokładnie o dziesiątej rano Gurney zadzwonił na komisariat w Peony, podał swoje nazwisko, adres, numer telefonu i krótko opisał swoje relacje z ofiarą. Rozmawiał z sierżantem Burkeholtzem, który powiedział mu, że informacje przekaże stanowej policji kryminalnej, która przejęła sprawę.

Gurney sądził, że ktoś skontaktuje się z nim w czasie dwudziestu czterech lub czterdziestu ośmiu godzin, był więc zdumiony, kiedy telefon zadzwonił po dziesięciu minutach. Głos wydał mu się znajomy, ale nie potrafił go od razu zidentyfikować, problem był tym większy, że mężczyzna nie podał swojego nazwiska.

– Panie Gurney, jestem oficerem prowadzącym śledztwo w sprawie zbrodni w Peony. Z tego, co rozumiem, ma pan dla nas jakieś informacje.

Gurney przez chwilę się wahał. Już miał poprosić policjanta o przedstawienie się, bo to część procedury, kiedy tembr głosu nagle wywołał z jego pamięci twarz, a wraz z nią nazwisko. Jack Hardwick – pamiętał go z głośnej sprawy, nad którą razem pracowali – był nieprzebierającym w słowach, rubasznym i zaczerwienionym na gębie policjantem z przedwcześnie posiwiąłą, ostrzyżoną na jeża czupryną i wyblakłymi oczami malamuta. Nieustannie droczył się i przekomarzał, a pół godziny z nim wydawało się jak pół dnia i człowiek chciałby, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył. Był również bystry, twardy, nieugięty i politycznie zdecydowanie niepoprawny.

– Cześć, Jack – powiedział Gurney, próbując ukryć zdziwienie.

– Skąd ty... Kurwa! Ktoś ci musiał nadać! Skąd wiedziałeś?

– Masz głos, który się pamięta, Jack.

– Akurat, głos, który się pamięta! To przecież dziesięć lat!

– Dziewięć. – Aresztowanie Petera Possuma Piggerta było jednym z najgłośniejszych momentów kariery Gurneya, dzięki niemu otrzymał awans na detektywa pierwszej kategorii, zatem dobrze tę datę pamiętał.

- Kto ci powiedział?
- Nikt.
- Akurat ci uwierzę!

Gurney zamilkł, przypominając sobie, że Hardwick zawsze lubił mieć ostatnie słowo w ich niekończących się sporach. W końcu mu się udawało.

Po długich trzech sekundach Hardwick zaczął mówić, ale już mniej zadziornie.

– Dziesięć cholernych lat. I nagle wyskakujesz jak diabeł z pudełka w samym środku najbardziej sensacyjnego morderstwa w stanie Nowy Jork od czasu, kiedy wyłowiliś dolną połowę pani Piggert z rzeki. Co za idiotyczny zbieg okoliczności!

– Jeżeli sobie dobrze przypominam, Jack, to była górna połowa.

Po chwili ciszy słuchawka eksplodowała końskim rzeniem, które było kolejną charakterystyczną cechą Hardwicka.

– No tak! – krzyknął, łapiąc w końcu oddech. – David, David, David, zawsze czepiałeś się szczegółów.

Gurney odchrząknął.

– Czy możesz mi powiedzieć, jak zginął Mark Mellery?

Hardwick zawahał się, złapany w pułapkę dziwacznej przestrzeni między starą przyjaźnią a regulaminem, w której gliniarze żyją przez większość czasu. To było przyczyną znacznej części ich wrzodów. Wybrał całą prawdę, nie dlatego że to był jego obowiązek (Gurney w tej sprawie oficjalnie nie miał nic do powiedzenia i nie należały mu się żadne informacje), ale dlatego że szczegóły były dość makabryczne.

– Ktoś podciął mu gardło rozbitą butelką.

Gurney jęknął, jak gdyby otrzymał cios w samo serce. Po pierwszej reakcji zachował się jednak bardziej profesjonalnie. Odpowiedź Hardwicka była kolejną częścią układanki, którą umieścił we właściwym miejscu.

– Czy to przypadkiem nie była butelka po whisky?

– Skąd ty, do cholery, wiesz takie rzeczy? – w jednym krótkim zdaniu Hardwick przeszedł od całkowitego zdziwienia do oskarżenia.

– To długa historia. Chcesz, żebym tam do ciebie podjechał?

– Tak by było najlepiej.

\*

Słońce, które tamtego ranka ukazało się jako chłodny krąg, kryjący się za szarą mazią zimowych chmur, było teraz całkowicie przesłonięte na ołowianym niebie. Niedające cienia światło miało w sobie groźbę – było jak twarz obojętnego wszechświata, zimne jak lód.

Gurney, który śledził swoje własne myśli z lekkim zażenowaniem, odsunął je od siebie, kiedy zatrzymał samochód za linią pojazdów policyjnych zaparkowanych ukośnie, jak zęby piły, na przysypanym śniegiem poboczu przed Instytutem Odnowy Duchowej Mellery’ego. Na większości wozów patrolowych widział błękitno-żółte oznaczenia policji nowojorskiej, zobaczył też wóz techniczny regionalnego laboratorium kryminalistyki. Gdzieś między nimi stały dwa samochody szeryfa z miejscowej policji i trzy zielone wozy patrolowe z Peony. Przypomniał mu się żart Mellery’ego, który powiedział, że policja z Peony przypomina mu kabaret gejowski. Przypomniał sobie również wyraz twarzy Mellery’ego, kiedy to mówił.

Bezlitosna zima zamieniła rzędy astrów, ściśnięte między samochodami i kamiennym murem, w splątaną masę brązowych łodyg, na których osiadły dziwaczne wykwity puszystego śniegu. Wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku wejścia. Przy otwartej bramie stał nienagannie umundurowany policjant z Peony, obnoszący się z wojskową postawą i takim samym wyrazem twarzy. Był prawdopodobnie rok lub dwa lata młodszy – zauważył Gurney z dziwnym uczuciem – od jego syna.

– Można w czymś panu pomóc? – powiedział uprzejmie, ale jego mina wyrażała coś wręcz przeciwnego.

– Nazywam się Gurney. Przyjechałem się zobaczyć z Jackiem Hardwickiem.

Młody człowiek mrugnął dwa razy, raz na dźwięk jego nazwiska, a drugi raz na dźwięk nazwiska Hardwicka. Po jego minie widać było, że przynajmniej jedno z nich powoduje u niego nagły przyływ kwasów

zołądkowych.

– Chwileczkę – powiedział, odpinając krótkofalówkę od pasa. – Trzeba będzie pana odprowadzić.

Trzy minuty później pojawiła się eskorta – policjant z dochodzeniówki, który wyglądał, jakby próbował naśladować Toma Cruise'a. Pomimo chłodnej zimowej pogody miał na sobie tylko dzinsy i cienką kurtkę z zamkiem błyskawicznym, narzuconą na czarny podkoszulek. Wiedząc, iż policja stanowa przywiązuje dużą wagę do ubioru, Gurney domyślił się, że strój do tego stopnia nieformalny oznaczał, że policjant został wezwany wprost z urlopu lub z jakiejś tajnej akcji. Krawędź dziewięciomilimetrowego glocka w matowoczarnej kaburze, która wystawała spod kurtki, była w równej mierze komunikatem jego nastawienia do świata, jak i narzędziem pracy.

– Detektyw Gurney?

– Na emeryturze – odparł Gurney, jak gdyby wpisywał odnośnik w swój życiorys.

– Tak? – rzucił Tom Cruise, niezbyt zainteresowany. – To musi być miłe uczucie. Proszę za mną.

Kiedy Gurney szedł za policjantem ścieżką wokół głównego budynku w kierunku domu mieszkalnego znajdującego się na jego tyłach, zaskoczyło go to, jak inne jest to miejsce, gdy pokrywa je śnieg. Wszystko było proste, ekstrawaganckie szczegóły pokrywała biel. Wchodząc do minimalistycznej jasnej przestrzeni, wstępowało się jakby na nowo stworzoną planetę, ta myśl była absurdalnie odmienna od dalekiej od ideału rzeczywistości. Obeszli stary georgiański dom, w którym mieszkał Mellery, i zatrzymali się na krawędzi pokrytego śniegiem patio, gdzie zginął.

Miejsce zgonu było bardziej niż oczywiste. Na śniegu wciąż widać było odcisk ciała, a wokół miejsca, gdzie leżała głowa i ramiona, widniała olbrzymia plama krwi. Gurney widział już kiedyś ten szokujący kontrast bieli i czerwieni. Nie potrafił wymazać z pamięci pewnego świątecznego poranka, kiedy był jeszcze zwykłym policjantem patrolującym ulice. Gliniarz alkoholik, którego żona nie wpuściła do domu, strzelił sobie w

serce, siedząc na śnieżnej zaspie.

Gurney wyrzucił z myśli obraz z przeszłości i skupił profesjonalne spojrzenie na tym, co było przed jego oczami.

Technik z laboratorium kryminalistyki klęczał przy rzędzie odcisków stóp w śniegu, tuż obok rozległej plamy krwi, i opryskiwał je czymś. Gurney nie widział nazwy na etykiecie pojemnika, ale zgadywał, że to wosk do zabezpieczania odcisków stóp, substancja chemiczna, której używa się do stabilizacji takich śladów, by można było zalać je gipsem dentystycznym. Odciski w śniegu są wyjątkowo delikatne, ale kiedy spreparuje się je ostrożnie, mogą zachować niezwykle dużo szczegółów. Choć niejednokrotnie już obserwował ten proces, nie mógł nie podziwiać pewności i skupienia specjalisty na wykonywanym zadaniu.

Wokół większej części patio rozciągnięto żółtą taśmę policyjną. Obejmowała ona również tylne wejście do domu. Korytarze z tej samej taśmy biegły po obu stronach patio, otaczały i chroniły drogę, którą morderca przyszedł i którą odszedł – widać było wyraźne ślady, wiodące od dużej stodoły za domem do miejsca, w którym śnieg był zabarwiony plamą krwi, a później oddalały się od patio po zaśnieżonym trawniku ku lasom.

Tylne drzwi były otwarte. Ktoś z ekipy dochodzeniowej stał w progu i przyglądał się patio z perspektywy domu. Gurney wiedział dokładnie, co ten mężczyzna robi. Kiedy jest się na miejscu zbrodni, dużo uwagi poświęca się temu, co ono człowiekowi mówi, często próbuje się patrzenia z perspektywy ofiary w ostatnich kilku minutach życia. Istniały bardzo jasno określone i zrozumiałe reguły lokalizacji i zbierania dowodów – krwi, narzędzi zbrodni, odcisków palców i stóp, włosów, włókien i odprysków, materiału, który wydaje się nie pasować tam, gdzie się go znajduje, i tak dalej, ale również zasadnicza kwestia właściwego ogarnięcia tego, co widać tu i teraz. Krótko mówiąc, trzeba było mieć otwarty umysł i unikać zbyt wczesnego wyciągania wniosków na temat tego, co i jak się zdarzyło, a zwłaszcza gdzie się zdarzyło, bo pójście na skróty może oznaczać, że nie zauważymy dowodów, które znajdują się poza obrębem naszego oglądu sytuacji. Jednocześnie trzeba zacząć opracowywać przynajmniej jedną

luźną hipotezę, która zdecyduje o trybie zbierania dowodów. Można dotkliwie się pomylić, jeśli człowiek jest zbyt pewny i za szybko formułuje szkic scenariusza zbrodni, jednak można też stracić mnóstwo czasu i energii na przeczesywanie kilometra kwadratowego terenu, szukając Bóg wie czego.

Sposób, w jaki postępowali dobrzy detektywi – a Gurney był pewien, że właśnie to robi policjant stojący w drzwiach – to coś w rodzaju podświadomego przeskakiwania w tył i w przód, między indukcją i dedukcją. Co tu widać, jaką sekwencję zdarzeń sugerują dane? A jeżeli scenariusz jest prawdopodobny, jakich dodatkowych dowodów powinien szukać i gdzie powinien się za nimi rozglądać?

Kluczem do tego procesu, jak metodą prób i błędów nauczyło Gurneya życie, było utrzymywanie odpowiedniej równowagi między obserwacją a intuicją. Największym wrogiem tego procesu było ludzkie ego. Detektyw prowadzący śledztwo, który nie jest pewien, jak ewentualnie można by wytłumaczyć dane z dowodów na miejscu zbrodni, będzie tracił czas, bo za późno skieruje uwagę swojego zespołu dochodzeniowego na konkretny kierunek śledztwa, ale facet, który twierdzi, że wie, agresywnie oznajmia już po pierwszym spojrzeniu, co się stało w pomieszczeniu zachlapanym krwią, i wyznacza wszystkim zadania, które mają potwierdzić jego hipotezę, może narazić śledztwo na bardzo poważne problemy, z których najmniejszym będzie stracony czas.

Gurney zastanawiał się, które podejście tutaj przeważa.

Za granicą żółtej taśmy, po drugiej stronie plamy krwi, Jack Hardwick instruował dwóch poważnie wyglądających młodych ludzi. Jednym z nich był klon Toma Cruise'a, który dopiero co przyprowadził Gurneya na miejsce zbrodni. Drugi wyglądał jak jego brat bliźniak. Dziewięć lat dzielących okres, kiedy pracowali razem nad sprawą niesławnego Piggerta, dodało co najmniej dwa razy tyle lat Hardwickowi. Twarz miał jeszcze bardziej czerwoną i nalaną, włosy przerzedzone, a w jego głosie słychać było szorstkość, której źródłem był nadmiar tytoniu i tequili.

– Jest dwadzieścioro gości – mówił do dublerów z filmu *Top Gun*. –

Każdy z was przesłucha dziesięć. Zbierzcie wstępne zeznania, nazwiska, adresy, numery telefonów. Zweryfikujcie. Patty Cakes i chiromantę zostawcie mnie. Porozmawiam też z wdową. Zameldujcie się z powrotem przed czwartą po południu.

Wymienili między sobą jeszcze kilka zdań, ale zbyt cicho, żeby Gurney mógł coś usłyszeć, Hardwick zarżał jak koń. Młody człowiek, który eskortował Gurneya od bramy frontowej, powiedział coś na końcu, kiwając znacząco głową w kierunku Gurneya. Po chwili duet ruszył w kierunku głównego budynku. Kiedy byli już poza zasięgiem wzroku, Hardwick obrócił się i rzucił w kierunku Gurneya pozdrowienie, które było czymś pomiędzy wyszczerzonym uśmiechem a grymasem. Jego dziwne, błękitne oczy, kiedyś inteligentnie sceptyczne, teraz były zmęczone i cyniczne.

– Niech mnie diabli wezmą – mówił chrapliwie, obchodząc odgradzony taśmą obszar i zmierzając w kierunku Gurneya – jeżeli to nie nasz profesor Dave.

– Tylko skromny nauczyciel – poprawił go Gurney, zastanawiając się, co jeszcze Hardwick przeczytał na temat jego kariery po opuszczeniu policji nowojorskiej, oprócz tego, że uczył kryminologii na uniwersytecie stanowym.

– No, no, nie bądź taki skromny. Jesteś gwiazdą, mój chłopcze, i doskonale o tym wiesz.

Podali sobie ręce, ale w tym geście nie było życzliwości. Gurneya uderzyło to, że dawniejsze przekomarzanie się i drobne złośliwości Hardwicka przemieniły się w coś toksycznego.

– Wielu wątpliwości na temat miejsca zgonu nie ma – powiedział Gurney, kiwając głową w kierunku plamy krwi. Chciał jak najszybciej dojść do sedna sprawy, powiedzieć Hardwickowi to, co wie, i wynieść się stamtąd.

– Wątpliwości istnieją w absolutnie każdej kwestii – stwierdził z napuszeniem Hardwick. – Jedyne, co w życiu pewne, to śmierć i wątpliwości. – Nie usłyszawszy żadnej reakcji Gurneya, mówił dalej. – Mówię ci, że jest nie mniej pytań na temat miejsca śmierci niż kilku innych

rzeczy, to jakieś cholerne wariatkowo. Ludzie mówią o ofierze, jakby był Dickiem Chopupem w telewizji.

– Masz na myśli Deepaka Choprę?

– Tak, Diplokok albo coś tam. Cholera, zwariować od tego można!

Pomimo rosnącej wewnętrznej niezgody na to, co mówił Hardwick, Gurney milczał.

– Po cholere ludzie przyjeżdżają do takich ośrodków? Słuchają jakiegoś dupka, który wykłada im filozofię New Age’u, a jeździ rolls-royce’em. Gada im o znaczeniu życia. – Hardwick pokręcił głową, niedowierzając głupocie rasy ludzkiej i cały czas wpatrując się ze zmarszczonym czołem w tył domu, jak gdyby można było o to obwiniać osiemnastowieczną architekturę.

Irytacja wzięła górę nad powściągliwością Gurneya.

– Z tego, co wiem – powiedział, akcentując dobitnie słowa – ofiara nie była żadnym dupkiem.

– Nie powiedziałem, że była. Tak słyszałem. Mówiłem ogólnie. Jestem przekonany, że twój kumpel był wyjątkiem.

Hardwick wkurzał Gurneya do tego stopnia, że ten najchętniej by mu przyłożył.

– Nie był moim kumplem.

– Słuchając wiadomości, którą zostawiłeś na policji w Peony, a którą uprzejmie mi przekazali, odniosłem wrażenie, że znaliście się bardzo długo.

– Znam go ze studiów, nie miałem z nim kontaktu przez dwadzieścia pięć lat, aż do e-maila, który przysłał mi dwa tygodnie temu.

– Na jaki temat?

– Na temat listów, które dostawał pocztą. Był tym bardzo przejęty.

– Jakich listów?

– Głównie wierszy. Wierszy, które brzmiały jak groźby.

Kiedy Hardwick to usłyszał, stanął jak wryty.

– A czego on od ciebie chciał?

– Mojej rady.

– I jaką mu dałeś radę?

– Poradziłem mu, żeby zadzwonił na policję.



– I rozumiem, że nie zadzwonił.

Ten sarkazm jeszcze bardziej wkurzył Gurneya, ale trzymał nerwy na wodzy.

– Jest jeszcze jeden wiersz – dodał Hardwick.

– To znaczy?

– Wiersz na kartce papieru, która leżała na ciebie, przyciśnięta kamieniem, żeby nie spadła. Wszystko bardzo elegancko i cacy. On jest niezwykle precyzyjny. Perfekcjonista.

– Kto?

– Zabójca. Prawdopodobnie z ogromnymi zaburzeniami psychicznymi, ale na pewno perfekcjonista.

Hardwick spojrzał na Gurneya z zainteresowaniem. Już nie miał ochoty szydzić, przynajmniej przez jakiś czas.

– Zanim pociągniemy to dalej, muszę wiedzieć, skąd wiedziałeś o stłuczonej butelce.

– Po prostu zgadłem.

– Po prostu zgadłeś, że to była butelka po whisky?

– A konkretne po whisky Four Roses – powiedział Gurney, uśmiechając się z satysfakcją i widząc, jak oczy Hardwicka robią się coraz większe.

– Wyjaśnij, skąd to wiesz – zażądał Hardwick.

– Intuicja wsparta treścią wierszy – odpowiedział Gurney. – Przekonasz się, kiedy sam je przeczytasz. – W odpowiedzi na pytanie, które malowało się na twarzy jego rozmówcy, dodał. – Znajdziesz wiersze i kilka innych listów w szufladzie biurka w jego gabinecie. A przynajmniej tam ostatnio Mellery je cho wał. To pokój z dużym kominkiem tuż obok głównego holu.

Hardwick wpatrywał się w niego nieustannie, tak jakby niespuszczenie z oczu Gurneya mogło mu pomóc rozwikłać jakąś ważną kwestię.

– Chodź – powiedział w końcu. – Chcę ci coś pokazać.

Poprowadził go w nietypowej dla siebie ciszy aż na parking znajdujący się między potężną stodołą a droga dojazdową i zatrzymał się tam, gdzie łączyła się ona z kolistym podjazdem i gdzie zaczynała się żółta taśma policyjna.

– To najbliższe drogi miejsce, w którym możemy jasno odróżnić ślady stóp, które według nas należą do sprawcy. Śnieg został zgarnięty przez pług z samej drogi i podjazdu, około drugiej nad ranem, kiedy znów zaczęło padać. Nie wiemy, czy sprawca wszedł na teren przed tym, jak przejechał pług, czy później. Tak, czy inaczej, pług na pewno zniszczył ślad na drodze dojazdowej i podjeździe. Jeżeli sprawca był tu później, to i tak nie byłoby śladów. Ale od tego punktu, gdzie stoimy, dookoła stodoły, aż do patio i do otwartej przestrzeni w lesie, potem przez las i do zagajnika świerkowego niedaleko ulicy Thornbush Lane ślady są czyste i łatwo za nimi pójść.

– Nie było żadnych prób ich zatarcia?

– Nie – odparł Hardwick i w jego głosie Gurney wyczuwał niepokój z tego powodu. – Żadnych. Chyba że coś przeoczyłem.

Gurney spojrzał na niego zaciekawiony.

– W czym problem?

– Chodź i sam zobaczysz.

Ruszyli za stodołę wzdłuż wyznaczonego żółtą taśmą korytarza chroniącego ślady. To były ostro odcinające się w gładkiej, dziesięciocentymetrowej połaci śniegu odciski dużych (Gurney oceniał to na rozmiar 44 lub 45, tęgość D) butów górskich. Temu, kto przyszedł tutaj nad ranem, nie zależało na zatarciu tropu.

Kiedy obchodzili stodołę, Gurney zauważył, że żółtą taśmą odgrodzono dość szeroki obszar. Fotograf policyjny robił zdjęcia aparatem o wysokiej rozdzielczości, podczas gdy technik z laboratorium kryminalistycznego, ubrany w biały kombinezon i czepek na głowie, czekał na swoją kolej z zestawem do zbierania dowodów. Każde zdjęcie wykonywano co najmniej dwa razy, jedno bez, a drugie z linijką w obrębie kadru, by móc ustalić skalę, a przedmioty fotografowano różnymi długościami obiektywu – szerokim, by ustalić pozycję w stosunku do innych przedmiotów na miejscu zbrodni, normalnym, by przedstawić sam przedmiot, a następnie w dużym zbliżeniu, by uchwycić szczegóły.

Stało tam składane, plastikowe krzesło biwakowe, dość nijakie, jakie można kupić w każdym supermarkecie. Ślady prowadziły wprost do

krzeselka. Przed nim leżało kilka niedopałków papierosów wdeptanych w śnieg. Gurney kucnął, żeby im się przyjrzeć, i stwierdził, że to marlboro. Ślady stóp prowadziły dalej, od krzeselka wokół kępy rododendronów w kierunku patio, gdzie według wszelkich znaków na niebie i na ziemi doszło do morderstwa.

– Żartujesz?! – powiedział Gurney. – Po prostu siedział tu sobie i palił?

– Tak. Odrobina relaksu przed poderżnięciem ofierze gardła. Przynajmniej tak to wygląda. Rozumiem, że uniosłeś brew w niemym pytaniu, skąd się tu wzięło to gówniane krzeselko. Ja też o to spytałem.

– No i?

– Żona ofiary twierdzi, że nigdy wcześniej go nie widziała. Wyglądała na przerażoną samą jego kiepską jakością.

– Co takiego? – rzucił Gurney, jakby strzelił z bicia. Złośliwe komentarze Hardwicka brzmiały w jego uszach, jakby ktoś przejeżdżał paznokciami po tablicy.

– Taki sobie żarcik – wzruszył ramionami Hardwick. – Nie można pozwolić, żeby poderżnięte gardło zepsuło ci humor. Ale mówiąc poważnie, według mojej oceny po raz pierwszy w swoim życiu rozpieszczona pani Caddy Smythe-Westerfield Mellery znalazła się w tak niewielkiej odległości od takiego gówna.

Gurney wiedział, co to humor policyjny i jak bardzo jest potrzebny, żeby poradzić sobie ze strasznymi widokami i wspomnieniami, z którymi człowiek styka się na co dzień w pracy, ale niekiedy działał mu na nerwy.

– Chcesz mi powiedzieć, że morderca przywłókł tu ze sobą własne krzeselko?

– Na to wygląda – odparł Hardwick, krzywiąc twarz w grymasie w obliczu tego absurdu.

– A jak już sobie skończył palić, pewnie z pięć, sześć marlboro, przeszedł się na tyły domu, wyciągnął Mellery’ego na patio i poderżnął mu gardło rozbitą butelką? Tak na razie wygląda rekonstrukcja?

Hardwick niechętnie skinął głową, jakby zaczynał nabierać wrażenia, że zgromadzone dowody wskazują, że wszyscy tu powariowali. A miało być

jeszcze gorzej.

– Prawdę mówiąc – powiedział – „poderżnął mu gardło” to łagodny sposób ujęcia tego, co się stało. Ofiara została dźgnięta w gardło co najmniej dwanaście razy. Kiedy asystenci lekarza sądowego przynosili zwłoki do furgonetki, żeby przetransportować je na sekcję, mało co głowa nie odpadła.

Gurney spojrział w kierunku patio i chociaż było całkowicie zasłonięte rododendronami, przed oczami wyobraźni zobaczył plamę krwi w tak żywych i ostrych kolorach, jakie można zobaczyć w świetle fotograficznych reflektorów.

Hardwick przyglądał mu się przez chwilę i rozmyślał nad czymś, przygryzając wargę.

– Prawdę mówiąc – powiedział w końcu – to jeszcze nie jest najdziwniejsza część całej tej historii. Zrobisz wielkie oczy, kiedy zobaczysz, dokąd prowadzą ślady butów na śniegu.

## Ślady donikąd

Hardwick i Gurney ruszyli od ściany stodoły wokół żywopłotów, minęli patio, skąd ślady domniemanego napastnika prowadziły na ukos przez pokryty śniegiem trawnik, rozciągający się od tyłów domu do krawędzi klonowego lasu kilkadziesiąt metrów dalej.

Kiedy szli za śladami stóp w kierunku lasu, niedaleko patio napotkali kolejnego technika z laboratorium kryminalistycznego, ubranego w hermetyczny plastikowy kombinezon, czapkę i maskę chirurgiczną – insygnia jego zawodu, które miały chronić DNA lub inne dowody śladowe przed zanieczyszczeniem.

Przykucnął trzy metry od śladów i posługując się szczypcami ze stali nierdzewnej, podnosił ze śniegu coś, co wyglądało na odłamek brązowego szkła. Trzy lub cztery kawałki szkła włożył już do specjalnej torebki na dowody, były to na tyle duże części butelki whisky, że można już było rozpoznać kształt.

– To najprawdopodobniej narzędzie zbrodni – powiedział Hardwick. – Ale ty, asie wśród detektywów, już wiedziałeś. Wiedziałeś nawet, że to Four Roses.

– Co ta butelka robi na trawniku? – spytał Gurney, nie reagując na zjadliwy ton Hardwicka.

– Jezu, myślałem, że tego też się domyśliłeś. Skoro zgadłeś nawet gatunek...

Gurney czekał zrezygowany, jakby oczekiwał na uruchomienie bardzo wolnego programu komputerowego, aż w końcu Hardwick odparł:

– Wygląda na to, że niósł ją całą drogę od ciała i rzucił tutaj, kierując się do lasu. Ale dlaczego? To doskonałe pytanie. Może nie zdawał sobie sprawy z tego, że wciąż ma ją w ręce. No wiesz, dopiero co dźgnął ofiarę w szyję ze dwanaście razy. To mogło zaprzątnąć jego uwagę. Idąc więc przez trawnik, zauważył, że ma butelkę w ręce, i rzuca ją. Przynajmniej to ma jakiś sens.

Gurney skinął głową, wprawdzie nie całkiem przekonany, ale nie potrafił znaleźć lepszego wyjaśnienia.

– Czy to ten „naprawdę dziwaczny” element historii, o którym wspominałeś?

– To? – spytał Hardwick ze śmiechem, który nie był niczym więcej niż szczeknięciem. – Nic jeszcze, chłopie, nie widziałeś.

Dziesięć i pół minuty później i półtora kilometra dalej dotarli na miejsce, znajdujące się w klonowym lesie, położonym niedaleko skupiska ośniezonych sosen. Odgłos silnika przejeżdżającego samochodu wskazywał na to, że niedaleko jest droga, ale oddzielała ich od niej ściana nisko zwisających gałęzi sosen.

Początkowo Gurney nie był pewien, dlaczego Hardwick go tu przyprowadził. I wtedy to zobaczył. Zaczął z ogromnym zdziwieniem i uwagą przyglądać się powierzchni śniegu w pobliżu miejsca, w którym stali. To, co ujrzał, nie miało żadnego sensu. Ślady, za którymi szli, po prostu się urwały. Jeden za drugim, widoczne na śniegu przez prawie kilometr, po prostu się skończyły. Nie było żadnej wskazówki mogącej podpowiedzieć, co stało się z osobą, która je zostawiła. Śnieg wokół był czysty i biały, nietknięty ludzką stopą ani łapą zwierzęcia. Ścieżka śladów zatrzymywała się dobre trzy metry od najbliższego drzewa i – jak się można było domyślić po dźwięku przejeżdżających samochodów – co najmniej sto metrów od najbliższej drogi.

– Czy ja czegoś nie zauważam? – spytał Gurney.

– Tego samego, co my – odparł Hardwick, któremu najwyraźniej ulżyło, że Gurney nie podaje mu prostego wyjaśnienia, które umknęło jego ekipie dochodzeniowej.

Gurney uważnie przyglądał się terenowi wokół ostatnie go śladu. Wokół wyraźnie widocznego odcisku podeszwy był obszar, na którym wiele śladów nakładało się na siebie, i prawdopodobnie zrobiła je ta sama para górskich butów, które odciskając się na śniegu, dotarły aż tutaj. Wyglądało to tak, jakby zabójca celowo doszedł do tego miejsca, stał jakiś czas, przestępując z nogi na nogę, może czekał na kogoś lub na coś, a później... wyparował.

Przemknęła mu przez głowę szalona i niewiarygodna teoria, że Hardwick robi mu jakiś głupi dowcip, ale ją odrzucił. Jakakolwiek zabawa na miejscu zbrodni po to, żeby się potem z tego pośmiać, nie pasowała nawet do takiego dziwadła jak on. Patrzył więc na to tak, jak to naprawdę wyglądało.

– Jeżeli kolorowe popołudniówki na to wpadną, będziemy mieli wiadomości o kolejnym porwaniu przez kosmitów – powiedział Hardwick tak, jakby w jego ustach słowa, które wypowiadał, miały smak metalu. – Reporterzy zlecą się tu jak muchy do gówna.

– Masz lepszą teorię?

– Całą nadzieję pokładam w przenikliwym umyśle najbardziej szanowanego detektywa z wydziału zabójstw w historii nowojorskiej policji.

– Daruj sobie – powiedział Gurney. – Czy kryminalistyka coś znalazła?

– Nic, co pomogłoby uporządkować to w jakiś logiczny sposób. Technicy wzięli jednak próbki śniegu z miejsca, w którym, na to wygląda, facet jakiś czas stał. Nie widać gołym okiem żadnych ciał obcych, ale może znajdą coś w laboratorium. Sprawdzili też drzewa i drogę za tymi sosnami. Jutro ogrodzą wszystko siatką w kwadracie trzydzieści na trzydzieści metrów i przyjrzą się dokładnie.

– Jednak jak dotąd brak wyników?

– Jakbyś mi to z ust wyjął.

– A więc zostaje ci tylko zapytać wszystkich gości Instytutu i sąsiadów, czy ktoś nie widział helikoptera, który opuszcza do lasu linę albo drabinkę.

– Nikt nie widział.

– Pytałeś?

– Czuję się jak idiota, ale pytałem. Fakty są takie, że ktoś tu dzisiaj rano przyszedł. Niemal na pewno zabójca. Zatrzymał się dokładnie w tym miejscu. Jeżeli helikopter albo największy na świecie dźwig go stąd nie wyciągnął, to gdzie, do kurwy nędzy, ten facet jest?

– A więc – zaczął Gurney – żadnych helikopterów, drabinek sznurowych, sekretnych tuneli...

– Właśnie – powiedział Hardwick, przerywając mu w pół słowa. – I

zadnego dowodu na to, że odleciał na miotle.

– Co nam zostaje w takim razie?

– Nic nam nie zostaje. *Zero, niente, nada*. Ani jednej realnej możliwości. Nie mów mi, że kiedy zabójca tu doszedł, ruszył z powrotem, idealnie wpasowując się w każdy ślad i ani jednego nie naruszając, tylko po to, żeby nas doprowadzić do obłądu. – Hardwick popatrzył prowokacyjnie na Gurneya, sugerując, że właśnie on mógłby to zaproponować. – Nawet gdyby to było możliwe, a nie jest, zabójca natknąłby się na co najmniej dwoje ludzi, którzy byli wtedy na miejscu morderstwa, Caddy oraz Patty’ego, gangstera.

– Więc to wszystko niemożliwe – powiedział lekkim tonem Gurney.

– Co jest niemożliwe? – spytał zaczepnie Hardwick, gotowy na sprzeczkę.

– Wszystko – powiedział Gurney.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Uspokój się, Jack. Musimy znaleźć jakiś sensowny punkt wyjścia. To, co nam się wydaje, że się wydarzyło, nie mogło się wydarzyć. A zatem to, co nam się wydaje, że się wydarzyło, tak naprawdę w ogóle nie miało miejsca.

– Chcesz mi powiedzieć, że to nie są odciski stóp?

– Chcę ci powiedzieć, że coś jest nie tak i źle na nie patrzymy.

– Czy to jest ślad stopy, czy nie? – spytał poirytowany Hardwick.

– Na moje oko wygląda jak odcisk stopy – powiedział Gurney pojednawczym tonem.

– Więc co chcesz mi zasugerować?

Gurney westchnął.

– Nie wiem, Jack. Mam po prostu przecucie, że zadajemy sobie niewłaściwe pytania.

Coś w jego tonie, miękkim i nieprovokującym, rozbroiło Hardwicka. Żaden z nich nie popatrzył na drugiego, przez kilkanaście długich sekund milczeli. Później Hardwick uniósł głowę, jakby sobie coś przypominał.

– O mały włos zapomniałbym pokazać ci najlepszy rodzynek w cieście.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął



plastikową torebkę do zbierania dowodów. Przez przezroczystą folię widać było białą kartkę papieru listowego. Gurney zobaczył starannie postawione litery, wypisane czerwonym atramentem.

– Nie wyjmuj – powiedział Hardwick. – Tylko przeczytaj.

Gurney zrobił, jak mu kazano. Później przeczytał to jeszcze raz, a następnie trzeci, ucząc się wiersza na pamięć.

*Ktoś przez śnieg przebiegł.  
Patrz, durniu, w górę i w dół.  
Rób oczy jak wół.  
Gdzie jestem? Nie wiesz.  
Szumowino, już po tobie!  
Odradzam się z zemstą  
Za dzieci w żałobie.  
To się skończy twą klęską.*

– To nasz chłopak – powiedział Gurney, oddając mu ko pertę. – Temat zemsty, osiem wersów, w miarę stałe metrum, wystudiowane słownictwo, idealna interpunkcja, delikatny charakter pisma. Tak jak pozostałe, do pewnego stopnia.

– Do pewnego stopnia?

– Jest tutaj nowy element: wskazówka, że zabójca nienawidzi jeszcze kogoś oprócz ofiary.

Hardwick spojrzał na białą kartkę między dwoma kawałkami przezroczystego plastiku i zmarszczył brwi na wieść, że umknęło mu coś ważnego.

– Kogo? – spytał.

– Ciebie – odparł Gurney, po raz pierwszy tego dnia się uśmiechając.

## Szumowina

Posunięcie było oczywiście trochę nie *fair*, nieco udramatyzowane, bo to nieprawda, że zabójca miał na celowniku Jacka Hardwicka tak samo jak Marka Mellery'ego. Gurney miał na myśli to, jak wyjaśniał, kiedy szli w kierunku miejsca zbrodni, mając za plecami kończące się ślepym zaułkiem ślady stóp, że zabójca kieruje swoją wrogość także w policję prowadzącą dochodzenie w sprawie morderstwa. Ta uwaga nie zaniepokoiła Hardwicka, wręcz przeciwnie, wyzwanie go pobudziło. W oczach miał dziką chęć walki, jak gdyby krzyczał: „Dajcie no mi go!”. Wtedy Gurney zapytał go, czy pamięta sprawę Jasona Strunka.

– Czemu miałbym ją pamiętać?

– Coś ci mówi sataniczny Święty Mikołaj? Albo geniusz, którego media okrzyknęły Mikołajem Kanibalem?

– No tak, oczywiście, że pamiętam. Właściwie nie był prawdziwym kanibalem, odgryzał tylko palce u stóp.

– No właśnie, ale to nie wszystko, prawda?

Hardwick skrzywił usta.

– Z tego, co sobie przypominam, jak już im odgryzł palce, kroił ciała piłą do drewna i pakował kawałki do plastikowych toreb, bardzo starannie wkładał je w pudełka z wzorami bożonarodzeniowymi i rozsyłał pocztą. Tak się ich pozbywał. Nie było żadnych problemów z pochówkiem.

– A pamiętasz może, komu je rozsyłał?

– To było dwadzieścia lat temu. Wtedy nawet jeszcze nie pracowałem w policji. Czytałem o tym w gazetach.

– Wysyłał je na adresy domowe detektywów z wydziału zabójstw w dzielnicach, w których mieszkały ofiary.

– Do domu? – Hardwick był zdumiony i przerażony. Morderstwo, umiarkowany kanibalizm i rozcinanie ciał na kawałki piłą dałoby się wybaczyć, ale nie ten ostatni punkt.

– Nie znosił gliniarzy – mówił dalej Gurney. – Wprost uwielbiał ich wkurzać.

– Wyobrażam sobie reakcję na przyslaną w paczce uciętą stopę.

– Tak, zwłaszcza kiedy paczkę otwierała żona.

Dziwny ton Gurneya nie uszedł uwagi jego rozmówcy.

– Cholera. Tak było z tobą. Wysłał ci jakąś część ciała, a ona otworzyła paczkę?

– Tak.

– Szlag by to trafił. Właśnie dlatego się z tobą rozwiodła?

Gurney spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Pamiętasz, że moja pierwsza żona się ze mną rozwiodła?

– Niektóre rzeczy pamiętam. Nie to, co czytam, ale jeżeli ktoś mi coś opowie o sobie, to takie rzeczy rzadko zapominam. Wiem na przykład, że byłeś jedynakiem, że twój ojciec urodził się w Irlandii, której nie znosił, nigdy ci o niej nic nie mówił i za dużo pił.

Gurney wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Sam mi to powiedziałeś, kiedy pracowaliśmy nad sprawą Piggerta.

Gurney nie potrafił się zorientować, czy jest bardziej poruszony tym, że kiedyś ujawnił takie szczegóły swojego życia rodzinnego, tym, że o tym zapomniał, czy też tym, że Hardwick je sobie przypomina.

Szli do głównego budynku przez puch, który zaczął się podnosić i wirować, poruszany podmuchami wiatru pod ciemniejącym niebem. Gurney próbował otrząsnąć się z uczucia chłodu, które go ogarnęło, i skupić się na tym, co ma przed sobą.

– Wracając do tego, co mówiłem – podjął wątek – ten ostatni wierszyk od zabójcy to wyzwanie rzucone policji, a to może być znaczące.

Hardwick należał do tych, którzy wracają do pewnych spraw zawsze wtedy, kiedy mają na to ochotę.

– Właśnie dlatego się z tobą rozwiodła? Znalazła w paczce świątecznej odciętego fajfusa?

„Nic mu do tego”, pomyślał Gurney, ale mimo wszystko postanowił odpowiedzieć.

– Mieliliśmy mnóstwo innych problemów. Mogę ci podać listę moich zarzutów i jeszcze dłuższą listę jej. Ale sądzę, że koniec końców zszokowało ją odkrycie, co to znaczy być żoną gliniarza. Niektóre żony uczą się tego bardzo powoli. Moja miała nagłe olśnienie.

Dotarli do patio. Dwóch techników z laboratorium kryminalistycznego przesiewało śnieg wokół plamy krwi, który teraz był bardziej brązowy niż czerwony, i przyglądało się obłym głazom, które czasem podnosili i odsłaniali.

– Tak czy inaczej – powiedział Hardwick, jakby chciał uniknąć niepotrzebnych komplikacji – Strunk był seryjnym mordercą, a ten raczej takiego nie przypomina.

Gurney skinął głową, częściowo się z tym zgadzając. Tak, Jason Strunk rzeczywiście był typowym seryjnym mordercą, a ten, kto pozbawił życia Marka Mellery’ego, był wszystkim, tylko nie tym. Strunk nie znał lub bardzo słabo znał swoje ofiary. Można by powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nie wchodził w nic, co przypominałoby „związek”. Wybierał je na podstawie dopasowania do pewnych parametrów typu fizycznego i dostępności, kiedy odczuwał presję działania, kiedy zbiegały się w czasie przemożna chęć zabijania i sposobność pozbawienia życia. Z drugiej strony, zabójca Mellery’ego znał go na tyle dobrze, że torturował go aluzjami do przeszłości, a nawet lepiej, bo potrafił przewidzieć, jakie liczby przyjdą mu do głowy w pewnych konkretnych okolicznościach. Sugerował, że zetknął się z ofiarą w przeszłości, co nie jest typowe dla seryjnych morderców. Ponadto nie było świeżych doniesień o podobnych morderstwach, chociaż temu tematowi trzeba będzie się przyjrzeć dokładniej.

– To nie wygląda na przypadek seryjnego morderstwa – zgodził się Gurney. – Wątpię, byś zaczął znajdować odcięte kciuki w skrzynce na listy. Jest jednak coś niepokojącego w tym, że myśli o tobie, oficerze prowadzącym śledztwo, jako o „szumowinie”.

Obeszli dom i zatrzymali się przy drzwiach frontowych, aby nie przeszkadzać technikom pracującym na patio. W drzwiach stał

umundurowany policjant z biura szeryfa i kontrolował dostęp do domu. Wiatr był tu ostrzejszy, policjant przestępował z nogi na nogę, tupał i zacierał ręce, żeby choć trochę się rozgrzać. Uśmiechnął się, na chwilę zapominając o tym, że jest mu zimno i niewygodnie, i spytał Hardwicka:

– Idzie tu może jakaś kawa?

– Nie wiem. Ale chyba tak – powiedział Hardwick, pociągając głośno zakatarzonym nosem. Zwrócił się do Gurneya: – Nie będę cię zatrzymywał. Chcę tylko, żebyś pokazał mi te notatki, o których mi mówiłeś, i upewnił się, że wszystko jest na miejscu.

Wewnątrz pięknego starego domu z podłogami z drewna kasztanowca było spokojnie i cicho. Bardziej niż kiedykolwiek to wnętrze pachniało pieniędzmi.

## Przyjaciel domu

W kamiennym kominku malowniczo płonął ogień, a powietrze w pokoju było przesycone słodkim zapachem drewna czereśniowego. Błada, lecz opanowana Caddy Mellery siedziała na sofie, a towarzyszył jej elegancko ubrany mężczyzna, który na oko zbliżał się do siedemdziesiątki.

Kiedy Gurney i Hardwick weszli do środka, mężczyzna wstał lekko jak młodzieniec.

– Witam panów – powiedział. W jego słowach słyhać było delikatny akcent dżentelmena z Południa. – Jestem Carl Smale, stary przyjaciel Caddy.

– Nazywam się Hardwick, prowadzę tu śledztwo, a to jest Dave Gurney, przyjaciel świętej pamięci męża pani Mellery.

– Tak, przyjaciel Marka. Caddy mi o panu opowiadała.

– Przepraszam, że państwu przeszkadzamy – powiedział Hardwick, rozglądając się wokół. Jego wzrok spoczął na niewielkim biurku przy ścianie na wprost kominka. – Musimy przyjrzeć się pewnym dokumentom, które są być może związane z przestępstwem. Sądzymy, że znajdują się właśnie w tym biurku. Pani Mellery, przepraszam, że panią niepokoję takimi pytaniami, ale czy mógłbym zajrzeć do środka?

Caddy zamknęła oczy. Nie było jasne, czy rozumie pytanie.

Smale przesunął się na sofie i położył dłoń na jej przedramieniu.

– Jestem pewny, że Caddy nie będzie miała nic przeciwko temu.

Hardwick się zawahał.

– Czy pan... Mówi w imieniu pani Mellery?

Reakcja Smale'a była niemal niezauważalna – lekkie zmarszczenie nosa, jak gest wrażliwej kobiety, która usłyszała niegrzeczne słowa podczas wytwornego przyjęcia.

Wdowa otworzyła oczy i przemówiła ze smutnym uśmiechem na ustach.

– Wiem, że pan rozumie, jakie to dla mnie trudne. Całkowicie polegam

na Carlu. To, co on powie, jest na pewno mądrzejsze niż wszystko, co ja mogłabym o tym powiedzieć.

Hardwick nie ustępował.

– Czy pan Smale jest pani adwokatem?

Odwróciła się do Smale'a z łagodnym wyrazem twarzy, który, jak Gurney przypuszczał, był spowodowany valium, i powiedziała:

– Jest moim adwokatem, przedstawicielem w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe od ponad trzydziestu lat. Mój Boże, Carl, czy to nie jest przerażające?

Smale uśmiechnął się równie nostalgicznie jak ona, a następnie odezwał się do Hardwicka zupełnie innym tonem.

– Może pan rozglądać się po tym pokoju, szukając materiałów, które mają związek ze śledztwem. Bylibyśmy oczywiście wdzięczni za listę wszystkich rzeczy, które chce pan ze sobą zabrać.

Dość jednoznaczne stwierdzenie „po tym pokoju” nie umknęło uwadze Gurneya. Smale nie dawał policji wolnej ręki, dopóki nie będzie nakazu przeszukania. Jego spostrzeżenie podzielał również Hardwick, sądząc po ciężkim spojrzeniu, którym obrzucił niewysokiego, szczupłego mężczyznę siedzącego na sofie.

– Wszystkie dowody, które przejmujemy, są ewidencjonowane – w tonie Hardwicka słysząc było również niewypowiedzianą część przekazu: „Nie dajemy nikomu listy rzeczy, które chcemy zabrać. Dajemy listę rzeczy, które już zabraliśmy”.

Smale, który najwyraźniej potrafił usłyszeć to wszystko, co niedopowiedziane, uśmiechnął się. Zwrócił się teraz do Gurneya i zapytał go swoim południowym akcentem.

– Czy to pan jest tym Davidem Gurneyem?

– Moi rodzice nie mieli więcej dzieci. Jestem jedynakiem.

– No cóż. Legenda wśród detektywów. Bardzo mi miło pana poznać.

Gurney, który zawsze czuł się trochę niezręcznie, kiedy go ktoś rozpoznawał i wyrażał uznanie, nie odezwał się ani słowem. Ciszę przerwała Caddy Mellery.

– Muszę panów przeprosić, ale strasznie boli mnie głowa i powinnam się położyć.

– Współczuję – powiedział Hardwick – ale potrzebuję pani pomocy. Chodzi o kilka detali.

Smale przyjrzał się swojej klientce zaniepokojony.

– Czy to nie mogłoby poczekać godzinę? Widać, że pani Mellery nie czuje się dobrze.

– To nie zajmie więcej niż dwie lub trzy minuty. Niech pan mi wierzy, nie chcę nalegać, ale gdybyśmy zwlekali, mogłoby to spowodować problemy.

– Caddy?

– W porządku, Carl. Teraz czy później, to nie robi żadnej różnicy. – Zamknęła oczy. – Słucham.

– Przykro mi, że każę pani wracać myślą do tych rzeczy – powiedział Hardwick. – Mógłbym tu usiąść? – Wskazał na fotel najbliżej tej części sofy, na której siedziała Caddy.

– Proszę bardzo. – Nadal nie otwierała oczu.

Przysiadł na krawędzi fotela. Każdy policjant przepytujący osoby, które dopiero co straciły najbliższych, czuje się niezręcznie. Ale Hardwick nie wyglądał na kogoś, kogo by to bardzo obchodziło.

– Chcę spytać o coś, co powiedziała pani dzisiaj rano, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiałem. Powiedziała pani, że telefon zadzwonił krótko po pierwszej w nocy i że mąż wtedy spał.

– Tak.

– A pani wiedziała, która jest godzina, bo...

– Spojrzałam na budzik. Zastanawiałam się, kto może do nas dzwonić o tej porze.

– I odebrał mąż?

– Tak.

– Co powiedział?

– Powiedział: „Halo, halo, halo”. Trzy albo cztery razy. Później odłożył słuchawkę.



- Czy mówił pani, czy ten ktoś w ogóle się odezwał?
  - Nie.
  - Kilka minut później usłyszała pani jakieś wycie zwierzęcia w lesie?
  - Bardziej drapanie albo popiskiwanie.
  - Drapanie albo popiskiwanie?
  - Tak.
  - Jaka jest według pani różnica między wyciem a drapaniem?
  - Wycie to taki wysoki wrzask... – Przerwała i przygryzła mocno dolną wargę.
  - Pani Mellery?
  - Długo to jeszcze potrwa? – spytał Smale.
  - Chcę tylko wiedzieć, co pani usłyszała.
  - Wrzask jest bardziej ludzki. Wrzeszczałam, kiedy... – Parę razy zamrugła oczami, żeby zmusić się do ich otwarcia, i mówiła dalej. – To było jakieś zwierzę. Ale nie w lesie. Było znacznie bliżej domu.
  - Jak długo trwało to popiskiwanie, drapanie albo wycie?
  - Jakąś minutę czy dwie, nie jestem pewna. Skończyło się, kiedy Mark poszedł na dół.
  - Powiedział, co chce zrobić?
  - Powiedział, że chce zobaczyć, co to jest. To wszystko. Po prostu... – Przerwała i zaczęła powoli nabierać powietrza w płuca.
  - Niech pani się nie gniewa, pani Mellery. To już nie potrwa długo.
  - Chciał tylko sprawdzić, co to jest, to wszystko.
  - Czy słyszała pani coś jeszcze?
- Przykryła dłonią usta, jak gdyby kontrolowanie się wymagało od niej ogromnego wysiłku. Przyciskała dłoń do twarzy tak mocno, że skóra przy jej paznokciach aż zbielała. Kiedy zaczęła mówić, wciąż trzymała dłoń przy ustach, tłumiąc głos.
- Na wpół spałam, ale usłyszałam coś jakby klaśnięcie, jak gdyby ktoś klasnął w dłonie. To wszystko. – Nadal naciskała dłonią, jakby było to jej jedyne pocieszenie.
  - Dziękuję – powiedział Hardwick, wstając z fotela. – Będziemy się

starali jak najmniej pani przeszkadzać. Teraz chciałbym tylko zajrzeć do biurka.

Caddy Mellery uniosła głowę i otworzyła oczy. Dłoń opadła jej na kolana, na policzkach widać było zaczerwienienia w miejscach, w których ścisnęła twarz palcami.

– Prosiłabym pana – powiedziała głosem słabym, ale zdeterminowanym – żeby pan wziął, co tylko uważa za stosowne, ale uszanował naszą prywatność. Prasa jest nieodpowiedzialna. Najważniejsze dla mnie jest zachowanie dobrego imienia męża.

## Priorytety

– Wkopiemy się w tę poezję i będziemy przez następny rok gonić za własnym ogonem – powiedział Hardwick. Słowo „poezja” wymówił tak, jakby opowiadał o jakimś odrażającym insekcie.

Wiadomości od zabójcy były ułożone na dużym stole na samym środku pokoju konferencyjnego w Instytucie, który zajęła ekipa dochodzeniowa, lokując tam swoją kwaterę główną w intensywnej początkowej fazie śledztwa.

Leżał tam pierwszy list w dwóch częściach od „X. Arybdisa”, w którym zapowiadał z zaskakującą trafnością liczbę, o której Mellery pomyśli – sześćset pięćdziesiąt osiem – i prosi o dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt siedem centów na pokrycie wydatków związanych ze znalezieniem i zlokalizowaniem Mellery’ego. Leżały tam również trzy pełne gróźb wiersze, które przychodziły pocztą, coraz bardziej dosadne. (Trzeci z nich Mellery włożył do plastikowego woreczka na żywność – żeby nie zamazać śladów – jak powiedział Gurneyowi). Leżał tam zwrócony czek Mellery’ego na sumę dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów wraz z notatką od Gregory’ego Dermotta, w której pisze, że nie ma pod tym adresem żadnego „X. Arybdisa”; list, który zabójca podyktował przez telefon asystentce Mellery’ego; taśma z nagraniem rozmowy telefonicznej między mordercą a Mellerym tego samego wieczoru, kiedy Mellery wymówił liczbę dziewiętnaście; list znaleziony w skrzynce pocztowej Instytutu przewidujący, że Mellery wybierze właśnie dziewiętnastkę, oraz ostatni list znaleziony przy zwłokach. Była to niezwykła ilość materiału dowodowego.

– Wiesz coś na temat plastikowej torebki? – spytał Hardwick. Był równie mało entuzjastyczny, wypowiadając się o plastiku, co mówiąc o poezji.

– W tym czasie Mellery był już poważnie przestraszony – odparł Gurney.  
– Mówił mi, że próbuje zachować ewentualne odciski palców.

Hardwick pokręcił głową.

– Przez te główniane seriale telewizyjne o laboratoriach kryminalistycznych. Plastik wygląda na materiał bardziej zaawansowany technicznie niż papier. Trzymaj dowody w plastiku, a zaraz ci zgniją od wilgoci. Durnie.

Umundurowany policjant z Peony z zaniepokojonym wyrazem twarzy stał w drzwiach.

– Tak? – rzucił Hardwick, spodziewając się, że za chwilę usłyszy o jeszcze jakimś problemie.

– Pańska ekipa techniczna chce wejść. Można wpuścić?

Hardwick skinął głową, ale znów skupił się na kolekcji rymowanych gróźb rozłożonych na stole.

– Ładny charakter pisma – powiedział, marszcząc niechętnie twarz. – Co o tym sądzisz, Dave? Może mamy do czynienia z zakonnicą o morderczych skłonnościach?

\*

Pół minuty później w pokoju konferencyjnym pojawili się technicy policyjni z torebkami na dowody, laptopami i przenośną drukarką kodów kreskowych, dzięki której mogli zabezpieczyć i oznaczyć etykietami wszystkie przedmioty rozłożone na stole. Hardwick zażądał, by przed wysłaniem materiałów do laboratorium kryminalistycznego w Albany, w którym będą szukać odcisków palców i analizować charakter pisma, papier i atrament, szczególną uwagę poświęcając notatce zostawionej na ciebie, wszystkie materiały skopiowano.

Gurney milczał. Obserwował Hardwicka przy pracy w roli oficera prowadzącego dochodzenie na miejscu zbrodni. To, jak sprawa wygląda kilka miesięcy, czy nawet lat później, często zależy od tego, czy oficer prowadzący śledztwo wykonuje dobrze swoją pracę w pierwszych kilku godzinach. Zda niemi Gurneya Hardwick był całkiem niezły w tym, co robił. Patrząc, jak przegląda dokumentację fotograficzną wszystkich przedmiotów i miejsc, które badano, i upewnia się, że obejmuje ona wszystkie ważne

obszary na terenie posiadłości, kluczowe części, wejścia i wyjścia, wszystkie ślady i widoczne dowody rzeczowe (plastikowe krzeselko, niedopałki papierosów, zbitą butelkę), zwłoki na miejscu zdarzenia i nasiąknięty krwią śnieg wokół nich. Hardwick prosił również fotografa o załatwienie zdjęć całej posiadłości i otoczenia z powietrza – to nie jest normalna procedura, lecz zważywszy na okoliczności, a zwłaszcza na kwestię śladów stóp, które prowadzą donikąd, wydawało się, że ma to sens.

Poza tym Hardwick rozmawiał z parą młodszych detektywów, żeby sprawdzić, czy zlecone im wcześniej przesłuchania zostały już przeprowadzone. Spotkał się również z szefem ekipy technicznej i wspólnie omówili listę zebranych dowodów, a następnie polecił jednemu z detektywów sprowadzić psa tropiącego na miejsce zbrodni następnego dnia rano – a to Gurney odebrał jako znak, że problem ze śladami stóp bardzo go dręczy. W końcu przyjrzał się zapisom wyjść i wejść na miejsce zbrodni, które prowadził umundurowany policjant przy frontowej bramie, żeby się upewnić, że nie ma w pobliżu osób niepowołanych i personelu Instytutu. Gurney obserwował Hardwicka, który przyjmował informacje, oceniał, nadawał priorytety i kierował ludźmi, stwierdził, że jego dawny kolega jest wciąż kompetentny i potrafi działać pod presją równie dobrze jak kiedyś. Hardwick może i był opryskliwy, szorstki i nieprzyjemny, ale nie można było zaprzeczyć jego skuteczności.

Kwadrans po czwartej Hardwick odezwał się wreszcie do Gurneya.

– To długi dzień, a tobie nawet nie płacą. Może pojechałbyś do domu? – Później wykonał zwód i wrócił do myśli, która nie dawała mu spokoju. – To znaczy, my ci nie płacimy. A Mellery ci płacił? Cholera, na pewno. Słynny talent detektywistyczny nie sprzedaje się tanio.

– Nie mam licencji. Nie mogłem od niego brać pieniędzy, nawet gdybym chciał. Poza tym ostatnią rzeczą, jaką chciałbym robić, to pracować jako prywatny detektyw.

Hardwick spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Chyba pójdę za twoją radą i skończę na dziś.

– Mógłbyś wpaść jutro do siedziby policji stanowej około południa?

– Jaki jest plan?

– Chodzi o dwie rzeczy. Przede wszystkim musimy mieć twoje zeznanie, co cię łączyło z ofiarą, zarówno ten kawałek waszego życia na studiach, jak i ostatnio. Wiesz, jak to działa. Po drugie chciałbym, żebyś był obecny podczas spotkania. To spotkanie orientacyjne, które ma wszystkich wprowadzić w obraz sytuacji. Wstępny raport o przyczynach zgonu, przesłuchanie świadków, krew, odciski, narzędzie zbrodni i tak dalej. Wstępne teorie, priorytety, co dalej. Taki facet jak ty mógłby nam pomóc, naprowadzić nas na właściwy tor. Dzięki tobie nie musimy tracić pieniędzy podatników. To byłaby zbrodnia, gdybyśmy nie poprosili takiego geniusza detektywistycznego, żeby pokierował nami, małuczkimi. Jutro w południe. Byłoby fajnie, gdybyś przywiózł ze sobą spisane zeznania.

Ten facet był sprytny. Powinien mieć wizytówkę: „Spryciarz Hardwick, jednostka dochodzeniowa, biuro kryminalne nowojorskiej policji”. Gurney wyczuwał jednak, że pod maską pozorów i opryskliwości Hardwicka kryła się potrzeba pomocy w tej coraz dziwniejszej, z godziny na godzinę, sprawie.

\*

Gurney przejechał większość drogi do domu nieświadom tego, co się dzieje za oknem samochodu. Dopiero kiedy dotarł do wyższej części doliny i minął sklep kolonialny Abelarda w Dilweed, uświadomił sobie, że chmury, które wcześniej gromadziły się na niebie, teraz znikły, a cała dolina jest przesycona niezwykłą poświatą zachodzącego słońca, padającego na zachodnie zbocza gór. Zaśnieżone pola kukurydzy, graniczące z wijącą się rzeką, były zatopione w tak bogatych pastelach, że oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia na ten widok. Później ze zdumiewającą szybkością koralowoczerwone słońce schowało się za przeciwległe granie i poświata znikła. Bezlistne drzewa znów były ponure i ciemne, a śnieg przybrał barwę białej pustki.

Kiedy zwalniał przed zjazdem, jego uwagę zwrócił kruk na poboczu drogi. Ptak stał na czymś, co wystawało kilka centymetrów nad poziom

asfaltu. Dojeżdżając do tego miejsca, Gurney przyjrzał się uważnie. Kruk stał na martwym oposie. To dziwne, zważywszy na ostrożność tych ptaków, że ani nie odfrunął, ani nie okazał, że jest zaniepokojony zbliżaniem się samochodu. Był nieruchomy, jakby na coś czekał – wyglądał jak ptak z dziwnego snu.

Gurney zjechał na właściwą drogę i kiedy zmienił bieg na niższy, wiedząc, że zaraz będzie podjeżdżał powoli krętą szosą, miał wciąż przed oczami obrazy czarnego ptaka stojącego na martwym zwierzęciu i gasnącego światła dnia. Przyroda była czujna, jakby na coś czekała.

Miał trzy kilometry – pięć minut – do zjazdu do swojej posesji. Kiedy dojechał do wąskiej gruntowej drogi, prowadzącej od stodoły do domu, wszystko wokół było już bardziej szare i chłodne. Przypominający ducha wir śnieżny sunął przez pastwisko, dotarł niemal do granicy lasu i rozpląnął się w powietrzu.

Podjechał bliżej domu niż zwykle, postawił kołnierz, żeby ochronić się przed mroźnym powiewem wiatru, i szybkim krokiem ruszył w kierunku tylnych drzwi. Kiedy tylko wszedł do kuchni, uświadomił sobie, że wewnątrz panuje cisza jak na pustkowiu – znak, że nie ma Madeleine. Kiedy była w pobliżu, słyszał jakby delikatny szum prądu elektrycznego biegnącego po kablach, energię wypełniającą przestrzeń wewnątrz domu, a kiedy jej nie było, czuł niemal dotykającą pustkę. Coś jeszcze wisiało w powietrzu, emocjonalny ślad rannych wydarzeń, mroczna obecność tekturowego pudełka z piwnicy, które wciąż stało na stoliku do kawy w zacienionym krańcu pokoju, z nienaruszoną, delikatną białą wstążką.

Wszedł na chwilę do łazienki tuż przy spiżarni, a później udał się prosto do siebie, żeby sprawdzić wiadomości na sekretarce. Była tylko jedna. Usłyszał głos Soni – satynowy, dźwięczny jak muzyka wiolonczeli. „Witam, Davidzie. Mam klienta, który jest poruszony twoją pracą. Powiedziałam mu, że kończysz następny portret, chciałabym mu powiedzieć, kiedy będzie gotowy. Kiedy mówię poruszony, mam dokładnie to na myśli, a wygląda na to, że pieniądze nie stanowią problemu. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł. Musimy zewrzeć szeregi. Dzięki, Davidzie”. Już miał

ponownie odsłuchać wiadomość, kiedy usłyszał otwierane i zamykane drzwi na tyłach domu. Nacisnął przycisk „Stop” na sekretarce, żeby przerwać odtwarzanie słów Sonii, i zawołał:

– To ty?!

Nie było odpowiedzi, co go poirytowało.

– Madeleine! – krzyknął głośniejszym głosem, niż było trzeba.

Usłyszał, że ona mówi coś w odpowiedzi, ale zbyt cicho, i Gurney nie zrozumiał słów. Był to taki poziom głosu, który w momentach wrogości Gurney nazywał „pasywno-agresywnie cichym”. W pierwszym odruchu chciał zostać u siebie i nie wychodzić, ale wydało mu się to dziecinne, więc poszedł do kuchni.

Madeleine odwróciła się do niego, stojąc przy wieszakach na płaszcze z drugiej strony pokoju. Właśnie powiesiła pomarańczową kurtkę narciarską, na której wciąż błyszczały płatki śniegu, co oznaczało, że musiała iść przez sosnowy las.

– Jest taaak pięknie na dworze – powiedziała, przeczesując palcami gęste, kasztanowe włosy i poprawiając tam, gdzie kaptur kurtki przyciskał je do głowy. Weszła do spiżarni, minutę później wyszła i rozejrzała się po blacie kuchennym.

– Gdzie położyłeś orzechy brazylijskie?

– Co takiego?

– Czy nie prosiłam cię, żebyś przywiózł ze sklepu orzechy brazylijskie?

– Chyba nie.

– Może nie. A może nie usłyszałeś?

– Nie miałem pojęcia, że mam je przywieźć – odparł. Trudno mu było wpasować ten temat w którąkolwiek szufladkę umysłu. – Przywiozę je jutro.

– Skąd?

– Od Abelarda.

– W niedzielę?

– W nie... Masz rację, w niedzielę zamknięte. Po co ci orzechy brazylijskie?



– Robię deser.

– Jaki deser?

– Elisabeth robi sałatkę i piecze chleb, Jan robi chili con carne, a ja deser. – Jej spojrzenie pociemniało. – Zapomniałeś?

– Przychodzą do nas jutro?

– No właśnie.

– O której godzinie?

– Czy to ważne?

– Muszę dostarczyć spisane zeznania ekipie dochodzeniowej jutro w południe.

– W niedzielę?

– To śledztwo w sprawie morderstwa – powiedział głucho, mając nadzieję, że nie usłyszała w jego głosie sarkazmu.

Skinęła głową.

– Więc nie będzie cię cały dzień.

– Część dnia.

– Jak dużą część?

– Boże, przecież wiesz, jak to jest.

Smutek i gniew, które walczyły ze sobą w jej oczach, wytrąciły Gurneya z równowagi mocniej, niż zrobiły to policzek.

– Rozumiem zatem, że przyjdiesz jutro do domu, o której przyjdiesz, i może zjesz z nami kolację, a może nie – podsumowała.

– Muszę dostarczyć podpisane zeznania jako świadek w sprawie dotyczącej zabójstwa. Nie jest to coś, co chcę zrobić. – Podniósł głos i teraz wypluwał słowa jedno po drugim. – Są pewne rzeczy w życiu, które musimy robić. Tego wymaga ode mnie prawo i nikt nie pyta, czy wolałbym zostać w domu. To nie moja wina, że takie są przepisy!

Spojrzała na niego znużonym wzrokiem, zmęczenie w jej oczach pojawiło się tak nagle jak jego furia.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda?

– Czego nie rozumiem?

– Że twój umysł jest tak zanurzony w morderstwach, przemocy i krwi,

potworach, kłamcach i psychopatach, że po prostu nie ma w nim miejsca na nic innego.

## Wyjaśnienia

Tego wieczoru przez dwie godziny pisał i redagował swoje zeznania. Tekst opisywał wprost – bez przymiotników, emocji i opinii – fakty dotyczące jego relacji z Markiem Mellerym, łącznie z ich przypadkową znajomością na studiach, ostatnimi kontaktami, które zaczęły się od e-maila Mellery’ego z prośbą o spotkanie i skończyły zdecydowaną odmową przekazania sprawy w ręce policji.

Wypił dwa kubki mocnej kawy, pisząc zeznania, i w efekcie bardzo kiepsko spał. Było mu zimno, pocił się, swędziała go skóra, później chciało mu się pić, czuł ból przenoszący się z jednej strony na drugą – całe pasmo dolegliwości przeszkadzało mu tamtej nocy, kołysząc i obłaskawiając niespokojne myśli, a zwłaszcza te dotyczące smutku, który ujrzał w oczach Madeleine.

Wiedział, że jej smutek wynika z przekonania, iż należy pilnować priorytetów. Skarżyła się, kiedy ich życiowe role ze sobą kolidowały, bo David detektyw zawsze stał przed Davidem mężem. Fakt, że przeszedł na emeryturę, niczego nie zmienił. Było jasne, że miała nadzieję, iż wszystko teraz będzie inaczej, może nawet wierzyła w to, że mąż się zmieni. Ale jak on mógł przestać być tym, kim jest? Niezależnie od tego, jak bardzo ją kochał, jak bardzo chciał być z nią, jak bardzo chciał ją uszczęśliwić, w jaki sposób mógłby się stać kimś, kim nie jest? Jego umysł pracował wyjątkowo dobrze w pewnych określonych ramach, a największą życiową satysfakcję czerpał z praktycznego zastosowania własnego intelektu. Miał mózg pracujący niezwykle logicznie i antenę dostrojoną tak, by wyłapywać najmniejsze rozbieżności. Dzięki tym cechom stał się wybitnym detektywem. Dzięki nim również udało mu się wypracować filtr abstrakcji, który pozwolił mu utrzymywać stosowny dystans wobec okropieństw zawodu policjanta. Inni policjanci tworzyli własne filtry – alkohol, męską solidarność, cynizm, który utwardza duszę i serce. Tarczą Gurneya była

jego zdolność ujmowania sytuacji jako wyzwań dla intelektu, a zbrodni jako równań, które trzeba było rozwiązać. Tym właśnie był. Nie mógł stać się kimś innym tylko dlatego, że przeszedł na emeryturę. Przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy w końcu zasnął godzinę przed świtem.

\*

Dziewięćdziesiąt kilometrów na wschód od Walnut Crossing, piętnaście kilometrów za Peony, na wzniesieniu, z którego było widać rzekę Hudson, znajdowała się siedziba policji stanowej, wyglądająca na niedawno wzniesioną, uzbrojoną po zęby fortecę. Jej masywne ściany z szarego kamienia i wąskie okna robiły wrażenie zaprojektowanych po to, by przetrwać Apokalipsę. Gurney zastanawiał się, czy ta architektura zrodziła się pod wpływem hysterii po 11 września, w której następstwie pojawiły się projekty nawet głupsze niż ta kwatera policji z murami nie do zdobycia.

Wewnątrz światło jarzeniówek oświetlało wszystkie ostre, techniczne detale wykrywaczy metalu, zdalnie sterowanych kamer, wartowni z kuloodpornego szkła i szlifowanej betonowej podłogi. Ze strażnikiem w wartowni komunikowano się za pomocą mikrofonu, była to bardziej sterownia niż wartownia, bo przed policjantem rozciągały się półkoliście monitory kamer systemu bezpieczeństwa. Światła rzucające zimny blask na twarde, gładkie powierzchnie odbijały się od blatów i monitorów, oświetlając dyżurnego i nadając jego twarzy bezbarwny, zmęczony wygląd. Nawet jego włosy bez koloru wyglądały dziwacznie w tym nienaturalnym oświetleniu. Gurney miał wrażenie, że dyżurny za chwilę zwymiotuje.

Pochylił się i przemówił do mikrofonu, tłumiąc w sobie potrzebę zapytania, czy policjant się dobrze czuje.

– David Gurney. Przyjechałem na spotkanie z Jackiem Hardwickiem.

Dyżurny przez wąską szczelinę pod szklaną ścianą łączącą sufit z kontuarem podał mu tymczasową przepustkę i kartkę do wpisania danych w rubryce „Goście”. Podniósł słuchawkę, spojrzał na listę przyklejoną taśmą po swojej stronie kontuaru, wystukał czterocyfrowy numer wewnętrzny, powiedział coś, czego Gurney nie mógł zza szyby usłyszeć, a

następnie odłożył telefon.

Minutę później otworzyły się stalowe drzwi, umieszczone w ścianie obok wartowni, i pokazał się w nich ten sam policjant w cywilu, który poprzedniego dnia eskortował go w Instytucie. Skinął na Gurneya głową, nie dając mu znaku, że go rozpoznaje, a następnie poprowadził nijakim, szarym korytarzem ku kolejnym stalowym drzwiom, które otworzył. Weszli do dużej sali konferencyjnej bez okien – ich brak miał z pewnością zapobiec uszkodzeniom ciała konferujących w nim osób przez odłamki szkła po ataku terrorystycznym. Gurney miał lekką klaustrofobię, nie znosił pomieszczeń bez okien i nienawidził architektów, którzy uważali, że to świetny pomysł.

Jego małomówny przewodnik ruszył prosto w kierunku dzbanka z kawą w narożniku pomieszczenia. Większość miejsc przy długim stole konferencyjnym była zarezerwowana dla osób, które jeszcze tu nie dotarły. Na oparciach czterech z dziesięciu krzeseł wisiały kurtki, trzy pozostałe były przysunięte blisko krawędzi stołu. Gurney zdjął lekką wiatrówkę, którą miał na sobie, i zawiesił ją na oparciu jednego z wolnych krzeseł.

Otworzyły się drzwi, wszedł Hardwick, a za nim rudowłosa kobieta w ni to garniturze, ni garsonce, niosąca laptopa i grubą teczkę z aktami, następnie drugi klon Toma Cruise'a, który ruszył do kumpla stojącego przy dzbanku z kawą. Policjantka zajęła krzesło i złożyła rzeczy na stole. Hardwick podszedł do Gurneya, na jego twarzy malował się dziwny wyraz oczekiwania pomieszanego z pogardą.

– To będzie prawdziwy spektakl, mój chłopcze – szepnął chropawym głosem. – Nasz wszędobylski prokurator okręgowy, najmłodszy w historii tego kraju, zaszczyca nas swoją obecnością.

Gurney poczuł instynktowną niechęć do Hardwicka, która – jak sobie z tego w końcu zdał sprawę – była niewspółmierna do aury czystej złośliwości, jaką emanował sierżant. Próbował tego nie pokazać po sobie, ale kiedy przemówił, jego słowa wydostały się z zaciśniętego gardła.

– Czy w takiej sprawie nie spodziewałbyś się jego zaangażowania?

– Nie powiedziałem, że się nie spodziewałem – syknął Hardwick. –

Powiedziałem, że czeka nas niezły cyrk. – Spojrzał na trzy krzesła przysunięte do stołu stojące na samym jego środku, wydał usta, co mu się coraz częściej zdarzało, i powiedział pod nosem, nie adresując swojej uwagi do nikogo w szczególności.

– Trony dla Trzech Mądrych Ludzi.

Wywołał wilka z lasu, bo w tym momencie otworzyły się drzwi i weszło trzech mężczyzn.

Hardwick przedstawiał ich, niemal nie otwierając ust, stojąc za plecami Gurneya, który pomyślał, że Hardwick byłby świetnym brzuchomówcą i może minął się z powołaniem, zważywszy na to, że potrafił mówić bez poruszania wargami.

– Kapitan Rod Rodriguez, pieprzony biurokrata – powiedział nie wiadomo skąd płynącym szeptem, kiedy do pomieszczenia wszedł baryłkowaty, opalony w solarium mężczyzna z błakającym się na twarzy niemiłym uśmiechem i złośliwym błyskiem w oczach. Otworzył drzwi i przytrzymał je, a tuż za nim wchodził wyższy mężczyzna – szczupły, z czujnym spojrzeniem, którym omiótł cały pokój, nie zatrzymując się dłużej niż sekundę na żadnym z obecnych.

– Prokurator okręgowy Sheridan Kline – powiedział szeptem głos. – Chce być gubernatorem Kline'em.

Trzeci mężczyzna, który wśliznął się za Kline'em, przed wcześniej wyłysiał i emanował czarem garnka wystygłego bigosu – to był Stimmel, pierwszy asystent Kline'a.

Rodriguez odsunął trzy zarezerwowane krzesła, zaprosił Kline'a, by usiadł w środku, ten zaś uznał to za oczywiste. Stimmel zajął miejsce po jego lewej stronie, a Rodriguez po prawej. Rodriguez spojrzał na wszystkich obecnych w pomieszczeniu przez szkła w cienkich drucianych oprawkach. Nieskazitelnie uczesane i przystrzyżone gęste czarne włosy zaczynające się tuż nad jego niskim czołem niewątpliwie były farbowane. Kilkakrotnie postukał w stół kłykciami zaciśniętej pięści i rozejrzał się dla pewności, czy zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych.

– W planie spotkania jest napisane, że zaczynamy o dwunastej, a teraz

według wszelkich znaków na niebie i ziemi jest dwunasta. Może by państwo usiedli...?

Hardwick usiadł obok Gurneya. Grupka stojąca przy dzbanku z kawą podeszła do stołu i w niecałe pół minuty później wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Rodriguez rozejrzał się z kwaśną miną po twarzach zebranych, jakby chciał powiedzieć, że prawdziwi zawodowcy powinni już dawno siedzieć przy stole. Kiedy zobaczył Gurneya, wykrzywił usta – mógł to być równie dobrze przelotny uśmiech, co wyraz niechęci. Jego mina stała się jeszcze kwaśniejsza, kiedy dostrzegł, że jedno krzesło jest puste. Podniósł głowę i mówił dalej.

– Nie muszę wam mówić, że mamy przed sobą poważną sprawę zabójstwa. Zebraliśmy się tu po to, żebyśmy mogli być wszyscy razem. – Zamilkł na chwilę, jakby chciał sprawdzić, kto doceni jego aforyzm w stylu zen. Po chwili przetłumaczył to na język normalnych ludzi. – Jesteśmy tu po to, by zacząć pracę równocześnie już od pierwszego dnia śledztwa.

– Od drugiego – mruknął Hardwick.

– Przepraszam? – rzucił Rodriguez.

Bliźniaki Cruise wymieniły się identycznymi zdziwionymi spojrzeniami.

– Dzisiaj jest drugi dzień śledztwa. Wczoraj był dzień pierwszy i szczerze mówiąc, wcale niełatwy.

– Oczywiście użyłem przenośni. Chodzi o to, żebyśmy wszyscy zaczęli w tym samym miejscu od początku śledztwa. Musimy maszerować w rytm tego samego bębna. Czy wyrażam się jasno?

Hardwick skinął niewinnie głową. Rodriguez ostentacyjnie i dramatycznie odwrócił głowę od niego i skierował kolejne uwagi do poważniejszych słuchaczy przy stole.

– Wprawdzie jak dotąd niewiele wiemy o tej sprawie, ale z pewnością możemy stwierdzić, że będzie trudna, skomplikowana, potencjalnie sensacyjna, potrzeba nam będzie wielkiej wrażliwości. Słyszałem, że ofiara była znanym pisarzem i wykładowcą. Rodzina jego żony jest ponoć bardzo majątna. Wśród klientów Instytutu Mellery'ego są osoby bogate, zadufane w sobie i skore do konfliktów. Wszystko to razem wzięte może się

przyczynić do wywołania niezłego cyrku medialnego. To wszystko razem stanowi niesłychane wyzwanie. Sukces osiągniemy tylko wtedy, kiedy obowiązywać nas będą cztery kluczowe zasady: organizacja, dyscyplina, komunikacja i jeszcze raz komunikacja. To, co zobaczycie, usłyszycie i stwierdzicie, będzie bez wartości, chyba że zostanie odpowiednio zapisane i przekazane dalej. Komunikacja i jeszcze raz komunikacja. – Rozejrzał się wokół siebie, najdłużej zatrzymał wzrok na Hardwicku, identyfikując go niezbyt dyskretnie jako osobę, która bardziej niż wszystkie ma skłonność do nieprzestrzegania reguł zapisywania i raportowania. Hardwick przyglądał się uważnie dużemu znamieniu na wierzchu prawej dłoni.

– Nie podobają mi się ludzie, którzy naginają reguły – mówił dalej Rodriguez. – Naginacze reguł przyczyniają się w dłuższej perspektywie do powstania poważniejszych kłopotów niż ci, którzy reguły łamią. Naginacze reguł zawsze twierdzą, że chcą być skuteczni. A tak naprawdę robią to dla własnej wygody. Brakuje im dyscypliny, a brak dyscypliny to wirus, który potrafi zniszczyć najpotężniejszą organizację. Więc słuchajcie tego, co mówię, nastawcie porządnie uszu. Tym razem będziemy postępować zgodnie z regułami. Ze wszystkimi regułami. Będziemy nosić ze sobą listy rzeczy, które trzeba zrobić i odhaczyć. Będziemy szczegółowo wypełniać formularze raportów. Będziemy je dostarczać na czas. Wszystko pójdzie właściwym torem. Każde pytanie natury prawnej należy zgłaszać do biura prokuratora okręgowego Kline’a, zanim, powtarzam, zanim podejmiecie jakiegokolwiek działania, które mogłyby być później kwestionowane. Komunikacja, komunikacja, komunikacja.

Strzelał tymi słowami, jakby komenderował baterią armat, odpalającą kolejno pociski w kierunku pozycji wroga. Oceniając, że wszelki opór został zdławiony, zwrócił się uniesieniem do prokuratora okręgowego, który wiercił się na krześle podczas tej pompatycznej przemowy, i powiedział:

– Sheridan, wiem, że zamierzasz się osobiście zaangażować w tę sprawę. Czy chciałbyś coś powiedzieć naszemu zespołowi?

Kline uśmiechnął się szeroko i patrząc z pewnej odległości, można było odnieść wrażenie, że jest to serdeczny uśmiech, z bliska jednak jawił się



jako wyraz promiennego narcyzmu charakterystycznego dla polityka.

– Chcę powiedzieć tylko tyle, że jestem tu, by pomagać. Jak tylko mogę. To wy jesteście zawodowcami. Przeszkolonymi, doświadczonymi, utalentowanymi zawodowcami. Znacie się na rzeczy. To wasze przedstawienie.

Do Gurneya dotarł słaby chichot. Rodriguez zamrugał powiekami. Czy Rodriguez jest nastrojony na częstotliwość Hardwicka?

– Ale zgadzam się z Rodem. To może być przedstawienie na wielką skalę, które trudno będzie zaaranżować. Jestem przekonany, że wszystko będzie w telewizji, mnóstwo ludzi będzie to oglądać. Przygotujcie się na sensacyjne nagłówki: „Krwawe morderstwo. Ginie guru New Age’u”, bo czy nam się to podoba, czy nie, panowie, mamy kandydata na pierwsze strony tabloidów. Nie chcę, żebyśmy wyglądali jak te dupki w Kolorado, które schrzaniły sprawę Jon Benét, albo te z Kalifornii, które spieprzyły sprawę Simpsona. Będziemy musieli, panowie, brać wszystko na klatę, a jeżeli nam się nie uda, należy się spodziewać kłopotów. Te kłopoty...

Ciekawość Gurneya, wywołana ostatnią wypowiedzią, nie została zaspokojona. Słowa Kline’a zagłuszył natrętny sygnał telefonu komórkowego, który ściągnął uwagę wszystkich, a niektórych zirytował. Rodriguez obrzucił Hardwicka niechętnym spojrzeniem, a ten sięgnął do kieszeni, wyjął namolne urządzenie i powtórzył z zapalem neofity mantrę kapitana: „Komunikacja, komunikacja, komunikacja”. Później przycisnął zielony guzik na aparacie i zaczął rozmowę.

– Hardwick... Mów dalej... Gdzie...? Ślady się zgadzają...? Wiadomo, jak tam się znalazły...? Masz jakiś pomysł, kto to zrobił...? Dobrze, bierz je do laboratorium, ale migiem... Nie ma problemu. – Teraz nacisnął czerwony przycisk i wpatrywał się w telefon w zamyśleniu.

– No? – powiedział Rodriguez. Jego niechętnie spojrzenie było teraz zabarwione odrobiną ciekawości.

Hardwick odpowiedział, zwracając się do rudowłosej kobiety w bezkształtnej garsonce, która miała na stole otwarty laptop i patrzyła na niego, oczekując, że coś powie.

– Wiadomości ze śledztwa. Znalezione buty zabójcy, lub przynajmniej jakieś buty górskie, które pasują do śladów prowadzących od ciała w kierunku lasu. Teraz wiozą te buty do twoich ludzi w laboratorium.

Ruda kiwnęła głową i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Mam wrażenie, że mówiłeś mi, że ślady stóp prowadzą donikąd, nagle się zatrzymują – powiedział Rodriguez, jak gdyby przyłapał Hardwicka na kłamstwie.

– Tak – odparł Hardwick, nie patrząc na niego.

– Więc gdzie znalezione te buty?

– W tym samym miejscu, czyli na środku pustkowia. Na drzewie, gdzie kończą się ślady. Wisiały na gałęzi.

– Chcesz mi powiedzieć, że twój zabójca wspiał się na drzewo, zdjął buty i tam je zostawił?

– Na to wygląda.

– No to... Gdzie... To znaczy, co później zrobił?

– Nie mam bladego pojęcia. Może dzięki tym butom czegoś się dowiemy.

Rodriguez zaśmiał się krótko i brzmiało to, jakby szczechnął.

– Oby coś was naprowadziło. Tymczasem wracajmy do planu spotkania. Sheridan, coś ci przerwało.

– Kiedy brał wszystko dzielnie na klatę – odezwał się szept brzechomówcy.

– Właściwie nic mi nie przerwało – odparł Kline z uśmiechem, z którego emanowało przekonanie, że każdą sytuację potrafi obrócić na swoją korzyść. – Prawdę mówiąc, wolałbym słuchać, niż mówić, zwłaszcza jeśli pojawiają się jakieś wiadomości ze śledztwa. Im lepiej zrozumieję problem, tym lepiej będę mógł pomóc.

– Jak chcesz, Sheridan. Hardwick, teraz chyba na ciebie kolej. W każdym razie, skoro już masz głos, omów fakty możliwie zwięźle. Prokurator generalny poświęca nam swój cenny czas, ale ma dużo innych spraw na głowie. Nie zapominaj o tym.

– W porządku, moi drodzy, słyszeliście, co mówił szef. Oto skrócona wersja, powiem raz i nie będę powtarzał. Przestańcie myśleć o niebieskich

migdałach i nie zadawajcie głupich pytań. Nastawcie uszu.

– Jak to!?! – Rodriguez uniósł obie dłonie. – Nie chcę, żeby ktokolwiek czuł, że nie może zadawać pytań.

– Tak mi się tylko powiedziało, panie kapitanie. Nie chcę po prostu zabierać panu prokuratorowi okręgowemu więcej czasu, niż trzeba. – Poziom szacunku, z jakim wymówił słowa „pan prokurator okręgowy”, był na tyle przesadny, że sugerował obrazę, której nie dało się jednak wytknąć.

– Dobrze, dobrze – odparł Rodriguez, machając niecierpliwie dłonią. – Mów dalej.

Hardwick zaczął monotonną litanie, recytując dostępne dane.

– W okresie trzech do czterech tygodni przed morderstwem ofiara otrzymała kilka listów o niepokojącej treści, w których zawarte były groźby. Odbyły się również dwie rozmowy telefoniczne, z których jedną przeprowadziła i zapisała co do słowa asystentka Mellery’ego, drugą odbyła sama ofiara i ta z kolei rozmowa została nagrana. Kserokopie tych listów i zapisy rozmów wszyscy otrzymacie. Żona ofiary Cassandra (inaczej Caddy) mówi, że około pierwszej w nocy ją i jej męża obudził telefon. Ktoś zadzwonił i bez słowa odłożył słuchawkę.

Rodriguez otwierał usta, żeby o coś zapytać, ale Hardwick już na to pytanie odpowiadał.

– Skontaktowaliśmy się z operatorem sieci komórkowej i stacjonarnej, będziemy mieli dostęp do zapisów rozmów prowadzonych w noc zabójstwa i w czasie, gdy odbyły się dwie poprzednie. Zważywszy jednak na ilość i jakość wkładu w planowanie i dokonanie tej zbrodni, zdziwiłbym się, gdyby sprawca zostawił jakiś ślad telefoniczny, za którym można by podążać.

– To się okaże – wtrącił Rodriguez.

Gurney doszedł do wniosku, że kapitan przede wszystkim starał się robić wrażenie człowieka, który kontroluje każdą sytuację, w której się znajdzie, i rozmowę.

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Hardwick, znów z lekko przesadną usłużnością, zbyt dyskretną, by ją wytknąć. Był w tym naprawdę dobry. – Tak, czy inaczej, kilka minut później zaniepokoiły ich

odgłosy na zewnątrz, odgłosy, które ona opisuje jako popiskiwanie, drapanie lub krzyk zwierzęcia. Kiedy zapytałem ją o to raz jeszcze i zacząłem przyciskać, powiedziała, że to był odgłos przypominający walkę szopów. Jej mąż poszedł sprawdzić, co się dzieje. Jakąś minutę później usłyszała coś, co opisuje jako dźwięk stłumionego uderzenia w policzek, a po chwili i ona poszła zobaczyć, co się dzieje. Znalazła męża leżącego na patio tuż przy drzwiach wejściowych do domu. Krew lała się z szyi i rozlewała po śniegu. Ona zaczęła wrzeszczeć, a przynajmniej sądzi, że zaczęła wrzeszczeć, próbowała zatamować krwawienie, nie potrafiła, więc wbiegła do domu i zadzwoniła na pogotowie.

– Wiadomo, czy zmieniała położenie ciała, kiedy próbowała zatrzymać krwawienie? – W ustach Rodrigueza zabrzmiało to jak podchwytliwe pytanie.

– Mówi, że nie pamięta.

Rodriguez miał sceptyczny wyraz twarzy.

– Ja jej wierzę – powiedział Hardwick.

Rodriguez wzruszył ramionami w sposób, który wskazywał na to, że nie przywiązuje wagi do przekonań innych ludzi. Hardwick zajrzał do notatek i mówił dalej beznamiętnym tonem.

– Pierwsza pojawiła się na miejscu policja z Peony, później wóz patrolowy z biura szeryfa, a następnie szeregowy Calvin Maxon z miejscowej policji. Wydział zabójstw odebrał telefon dotyczący zdarzenia o 1: 56. Ja zjawiłem się tam o 2:20, a policyjny patolog o 3: 25.

– Skoro już wspomniałeś o Thrasherze... – powiedział rozgniewany Rodriguez – Informował kogoś, że się spóźni?

Gurney rozejrzał się po twarzach ludzi siedzących przy stole. Nikt nie zareagował na to, że patolog przybędzie dopiero za jakiś czas, nikt nie wykazał zainteresowania pytaniem, co sugerowało, że lekarz sądowy należy do ludzi, którzy spóźniają się nagminnie. Rodriguez wpatrywał się w drzwi sali konferencyjnej, przez które Thrasher powinien wejść dziesięć minut wcześniej, a nie wszedł i zaburzył mu tym ład tak pięknie zaplanowanego spotkania.

Jak gdyby czał się za drzwiami, czekając na wybuch złości kapitana, tak właśnie do środka wszedł zyłasty mężczyzna ze skórzaną teczką pod pachą i tekturowym kubkiem z kawą w dłoni, jakby w połowie jakiegoś zdania.

– ... opóźnienia, roboty drogowe. Ha! Tak mówią znaki. – Uśmiechnął się szeroko po kolei do kilku osób siedzących przy stole. – A ja mam wrażenie, że zwrot „roboty” oznacza bezczynne gapienie się pod nogi i drapanie się po jajach. Dużo się tego widzi. A nie widzi się ani kopania, ani kładzenia asfaltu. W każdym razie ja tego nie widziałem. Zbieranina niekompetentnych zbirów, którzy blokują mi drogę. – Spojrzał na Rodrigueza znad oprawki okularów do czytania, które przekrzywiały mu się na nosie. – Może policja stanowa mogłaby coś na to poradzić, co, kapitanie?

Rodriguez zareagował zmęczonym uśmiechem poważnego człowieka, który jest zmuszony do rozmowy z wiejskim głupkiem.

– Dzień dobry, a może raczej dobry wieczór, doktorze Thrasher.

Thrasher postawił teczkę na stole przed ostatnim wolnym krzesłem. Potoczył spojrzeniem po obecnych i zatrzymał wzrok na prokuratorze okręgowym.

– Witam cię, Sheridan – powiedział ze zdziwieniem w głosie. – Wcześniej wsiadasz do tego pociągu, co?

– Masz dla nas jakieś interesujące informacje, Walterze?

– Tak się składa, że mam. Przynajmniej jedną małą niespodziankę.

Rodriguez, który uparł się, by nie wypuszczać z rąk steru i w każdej sekundzie być kapitanem tego spotkania, wykorzystał to, aby pokazać, że wszystko idzie zgodnie z obranym przez niego kursem.

– Posłuchajcie, spóźnienie pana doktora nie było wcale takie złe. Zanim przyszedł, słuchaliśmy streszczenia faktów związanych z odkryciem zwłok. Skończyliśmy na tym, że na miejscu zbrodni pojawił się patolog. Cóż, patolog właśnie się i u nas pojawił. Może teraz poprosilibyśmy go o dołączenie do całości obrazu sprawozdania z sekcji?

– Świetny pomysł – rzucił Kline, nie spuszczać wzroku z Thrashera.

Patolog podjął temat tak, jak gdyby z założenia chciał zacząć prezentację

w chwili, kiedy pojawi się na sali.

– Dostaniecie, panowie, pełny raport za tydzień, dzisiaj przedstawię tylko zarys.

„Jeżeli to miał być żart – pomyślał przelotnie Gurney – nikt go nie pochwycił. Albo może już się wszystkim znudził”.

– Interesujące zabójstwo – mówił Thrasher, sięgając po papierowy kubek z kawą. Wziął duży łyk i odstawił kubek na stół. Gurney uśmiechnął się. Ten pomarszczony, jasnowłosy mężczyzna, który stąpał sztywno jak bocian, miał wycucie chwili i umiał budować napięcie. – Rzeczy nie mają się dokładnie tak, jak nam się na początku wydawało. – Zrobił przerwę i milczał tak długo, aż słuchacze znaleźli się na granicy cierpliwości. – Wstępne badanie zwłok na miejscu zdarzenia prowadziło do hipotezy, że przyczyną śmierci było wielokrotne uszkodzenie i przecięcie tętnicy szyjnej, widoczne były rany klute i cięte, zadane zbitą butelką, którą później odkryto na miejscu zbrodni. Niemniej jednak wstępne wyniki sekcji wskazują, że przyczyną śmierci jest pęknięcie tętnicy szyjnej spowodowane wystrzeleniem jednego pocisku z bliskiej odległości w szyję ofiary. Rany od zbitej butelki były późniejsze, zadano je, kiedy ofiara leżała już na ziemi. Naliczyliśmy czternaście ran kłutych, ale mogło ich być i dwadzieścia, część ciosów pozostawiła odpryski szkła w tkance szyi, cztery pchnięcia butelką przecięły całkowicie mięśnie i tchawicę, rany od nich kończyły się z tyłu karku.

Wśród zebranych zapanowała cisza. Gurney dostrzegł spojrzenia, w których ciekawość mieszała się z dezorientacją. Rodriguez złączył dłonie na kształt szczytu wieży kościelnej. To on odezwał się pierwszy.

– Wobec tego zastrzelony, tak?

– Zastrzelony – odparł Thrasher z lubością, jak ktoś, kto kocha odkrywać przed innymi to, co jest nie do pomyślenia.

Rodriguez spojrział oskarżycielsko na Hardwicka.

– Jak to się stało, że żaden ze świadków nie usłyszał tego wystrzału? Podobno na terenie posiadłości było przynajmniej dwadzieścioro gości, poza tym jak mogła nie słyszeć tego żona?

– Słyszała.

– Co takiego? Od jak dawna to wiemy? Czemu ja nic o tym nie wiem?

– Słyszała, ale nie wiedziała, że usłyszała – powiedział Hardwick. – Słyszała coś, co brzmiało, jak stłumiony policzek. Wtedy znaczenie tego odgłosu do niej nie dotarło, do mnie również, aż do tej chwili.

– Stłumiony? – spytał Rodriguez niedowierzająco. – To znaczy, że ofiara została zastrzelona z broni z tłumikiem?

Skupienie Sheridana Kline'a osiągnęło najwyższy możliwy pułap.

– W takim razie mamy wyjaśnienie! – powiedział głośno Thrasher.

– Wyjaśnienie czego? – spytali jednocześnie Rodriguez i Hardwick.

Oczy Thrashera pojaśniały triumfalnie.

– Ślady puchu gęsiego w ranie.

– I w próbkach krwi z obszaru wokół ciała. – Głos rudowłosej kobiety był równie mało męski i mało kobiecy, jak jej garsonka.

Thrasher pokiwał głową.

– No, oczywiście, że tam też będzie.

– To hipnotyzująca opowieść – wtrącił się Kline. – Czy ktoś z was, kto rozumie, o czym tu mowa, mógłby poświęcić mi chwilę i to wyjaśnić?

– Gęsi puch we krwi – powiedział donośnym głosem Thrasher, jak gdyby Kline nie dosłyszał.

Wyraz twarzy Kline'a, na której wcześniej widać było łagodną dezorientację, zaczął zamierać. Hardwick odezwał się, gdy zrozumiał, co się wydarzyło.

– Stłumienie odgłosu strzału w powiązaniu z obecnością gęsiego puchu sugeruje, że efekt tłumienia morderca mógł uzyskać, owijając lufę broni w jakiś pikowany materiał, może kurtkę narciarską lub grubą wiatrówkę.

– Mówi pan, że można wyciszyć odgłos strzału, chowając broń pod kurtką narciarską?

– Niezupełnie. Mówię, że jeżeli trzymałbym broń w ręce i owinał dookoła niej, a zwłaszcza dookoła lufy, materiał z podszewką, to niewykluczone, że z wnętrza dobrze izolowanego domu, którego okna są zamknięte, byłoby słychać coś na kształt uderzenia otwartą dłonią.

To wyjaśnienie zadowoliło wszystkich oprócz Rodrigueza.

– Muszę zobaczyć wyniki badań, zanim w to uwierzę.

– Więc uważacie, że to nie był prawdziwy tłumik? – w głosie Kline’a słychać było wyraźne rozczarowanie.

– Niewykluczone – odparł Thrasher. – Ale jak wtedy wyjaśnić mikroskopijne drobinki gęsiego puchu?

– A więc – powiedział Kline – morderca strzela do ofiary z bliska...

– Nie z bezpośredniej odległości – wtrącił się Thrasher. – Strzał z bezpośredniej odległości oznacza rzeczywisty kontakt między wylotem lufy a skórą ofiary, a śladów tego nie widać.

– W takim razie z jakiej odległości?

– Trudno powiedzieć. Na szyi było kilka wyraźnych pojedynczych śladów oparzeń od prochu strzelniczego, co znaczy, że strzał mógł nastąpić z odległości metra, może półtora, ale oparzenia nie były na tyle liczne, by tworzyć jakiś wzór. Broń mogła być nawet bliżej, a oparzenia od prochu ograniczył materiał owinięty wokół lufy.

– Kuli chyba nie znaleźliście – Rodriguez rzucił krytyczną uwagę gdzieś w powietrze między Thrasherem a Hardwickiem.

Gurney poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Pracował już z ludźmi takimi, jak Rodriguez, z ludźmi, którzy nie rozumieli, że obsesja kontroli nad sytuacją nie ma nic wspólnego z dowodzeniem, a uporczywa niezgoda na wszystko z nieugiętością umysłu.

Pierwszy odezwał się Thrasher.

– Kula ominęła kręgi. Tkanka szyi jest zbyt miękka, żeby taką kulę zatrzymać. Mamy ranę wejściową i wyjściową. Niełatwo je było znaleźć z uwagi na zniszczenia tkanki rozbitą butelką, które nastąpiły później.

„Jeśli patolog czeka na oklaski – pomyślał Gurney – to ich nie usłyszy”. Rodriguez przesunął badawcze spojrzenie na Hardwicka, który odezwał się tonem graniczącym z bezczelnością.

– Nie szukaliśmy kuli. Nie było powodu, by wierzyć, że kula istnieje.

– Cóż, teraz już macie powód.

– Doskonale powiedziane, panie kapitanie – odparł Hardwick z lekkim



szyderstwem w głosie. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wybrał numer i odszedł od stołu. Mimo że mówił ściszym głosem, jasne było, że rozmawia z oficerem na miejscu zbrodni i każe mu szukać kuli, odsuwając na razie inne kwestie na dalszy plan. Kiedy Hardwick wrócił do stołu, Kline spytał, czy jest nadzieja na znalezienie kuli, którą wystrzelono na dworze.

– Zazwyczaj takiej nadziei nie ma – odparł Hardwick. – W tym przypadku jednak jest pewna szansa. Sądząc z położenia ciała, w chwili oddania strzału ofiara stała prawdopodobnie tyłem do budynku. Jeśli kula nie zboczyła, być może znajdziemy ją w drewnianej fasadzie domu.

Kline powoli skinął głową.

– No to dobrze, tak, jak mówiłem przed chwilą, chcę, byśmy coś wyjaśnili. Morderca strzela do ofiary z bliskiej odległości, ofiara upada na ziemię, ma rozerwaną tętnicę szyjną, krew tryska na wszystkie strony. Wtedy morderca wyciąga zbitą butelkę, pochyla się nad ciałem i uderza czternaście razy. Czy tak to miałyby wyglądać? – spytał z niedowierzaniem.

– Przynajmniej czternaście razy, być może więcej – odparł Thrasher. – Kiedy ciosy nakładają się jeden na drugi, trudno dokładnie je policzyć.

– To akurat rozumiem, ale pozostaje pytanie „dlaczego”?

– Motyw – odparł Thrasher tak, jak gdyby to pojęcie pochodziło z obszaru interpretacji snów – to nie moja działka. Zapytajcie naszych przyjaciół z sekcji kryminalnej.

Kline odwrócił się do Hardwicka.

– Stłuczona butelka to broń, której używa się, gdy jest akurat pod ręką, broń, którą się chwyta spontanicznie, w jakimś barze, zamiast noża lub pistoletu. Dlaczego mężczyzna, który ma w dłoni naładowany pistolet, czuje potrzebę przyniesienia ze sobą zbitej butelki i dlaczego dźga nią ofiarę po tym, jak zastrzelił ją z broni palnej?

– Żeby się upewnić, że nie żyje? – podsunął mu myśl Rodriguez.

– Dlaczego więc nie strzelił jeszcze raz? Dlaczego nie strzelił w głowę? Dlaczego od razu nie strzelił w głowę? Dlaczego w szyję?

– Może nie trafił.

– Z odległości metra? – Kline zwrócił się teraz do Thrashera: – Czy jesteśmy pewni kolejności zdarzeń? Najpierw strzał, później dźgnięcie butelką?

– Tak, z dużą dozą prawdopodobieństwa. To bym powiedział w sądzie. Oparzenia od prochu, chociaż jest ich niewiele, są dosyć dobrze widoczne. Jeżeli w chwili strzału okolica szyi byłaby już pokryta krwią z ran zadanych zbitą butelką, mało prawdopodobne, by oparzenia były do tego stopnia wyraźne.

– I znaleźlibyście kulę. – Rudowłosa kobieta powiedziała to cicho i spokojnie, usłyszało ją tylko kilka osób. Jedną z nich był Kline, drugą Gurney. Zastanawiał się, kiedy ktoś na to wpadnie. Z twarzy Hardwicka nie dało się nic wyczytać, ale nie wyglądał na zdumionego.

– Co pani ma na myśli? – spytał Kline.

Odpowiadała, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa.

– Jeżeli na początku ataku zostałby dźgnięty czternaście razy w szyję, przy czym cztery pchnięcia przebiłyby ją na wylot, nie mógłby przecież utrzymać się na nogach. A gdyby strzelano do niego, gdy leżał na plecach, kulę można byłoby znaleźć na ziemi pod nim.

Kline rzucił w jej kierunku taksujące spojrzenie. „W przeciwieństwie do Rodrigueza – pomyślał Gurney – jest na tyle inteligentny, żeby szanować inteligencję u innych”.

Rodriguez podjął wysiłek ponownego przejęcia steru.

– Jaki kaliber ma pan na myśli, panie doktorze?

Thrasher spojrział na niego ponuro znad okularów w drucianych oprawkach, które schodziły coraz niżej w kierunku czubka nosa.

– Co ja jeszcze mam zrobić, żebyście mogli pojąć najprostsze fakty patologii?

– Wiem, wiem – powiedział Rodriguez pojednawczo. – Ciało nie jest jednolitą substancją, kurczy się, rozszerza, nie można być pewnym i tak dalej, i tak dalej. Ale czy powiedziałby pan, że kaliber to raczej pięć i pół niż jedenaście milimetrów? Tak mniej więcej.

– Nie płacą mi za to, żebym mówił w przybliżeniu. Poza tym za pięć

minut nikt nie będzie pamiętał, że nie mówimy o faktach. Będą pamiętać, że patolog powiedział coś o kalibrze 5,5 milimetra i okazało się, że nie miał racji. – W jego oczach pojawił się chłodny blask jakiegoś wspomnienia, ale na tym poprzestał. – Kiedy wydłubiecie kulę ze ściany domu i przekażecie ją speccom od balistyki, to będziecie wiedzieć na pewno.

– Panie doktorze – Kline zwrócił się do niego jak mały chłopiec zadający pytania czarodziejowi. – Czy można w miarę dokładnie oszacować przerwę między strzałem a następującym po nim atakiem butelką?

Ton tej wypowiedzi trochę uspokoił Thrashera.

– Gdyby te dwa zdarzenia dzielił dłuższy czas, a obie rany by krwawiły, znaleźlibyśmy krew w dwóch różnych stadiach koagulacji. W tym przypadku jednak powiedziałbym, że te dwa typy ran wskazują na to, iż doszło do obu urazów w na tyle krótkim odstępie, że takie porównanie jest niemożliwe. Można tylko powiedzieć, że przerwa między jednym zdarzeniem a drugim była relatywnie krótka, ale czy to było dziesięć sekund, czy może dziesięć minut, to naprawdę trudno stwierdzić. Chociaż to właściwe pytanie do patologa – podsumował, żeby podkreślić różnicę między pytaniem Kline’a i kapitana.

Kapitan skrzywił lekko usta.

– Jeśli to wszystko, co może nam pan teraz powiedzieć, nie będziemy pana zatrzymywać. Dostanę raport na piśmie nie później niż w ciągu tygodnia?

– Chyba tak właśnie powiedziałem – odparł Thrasher, chwycił za rączkę swojej wypchanej po brzegi aktami teczki, skinął głową prokuratorowi okręgowemu i uśmiechnął się do niego przez zaciśnięte wargi, a następnie wyszedł.

## Bez śladu

– Z żalem zegnamy gwiazdę naszej patologii – powiedział Rodriguez, rozglądając się po twarzach obecnych w sali konferencyjnej, żeby sprawdzić, czy ktoś doceni jego poczucie humoru, ale tylko dwaj Tomowie Cruise'owie wymienili przelotne uśmiechy. Ciszę przerwał Kline, prosząc Hardwicka, żeby kontynuował opis miejsca zbrodni, który przerwał, kiedy zjawił się patolog.

– To samo chciałem powiedzieć, Sheridan – wtrącił Rodriguez. – Hardwick, proszę zacząć tam, gdzie skończyliśmy, i trzymać się faktów.

Jego końcowa uwaga zawierała sugestię, jakoby Hardwick nie zawsze tak postępował.

Gurney zauważył, że zachowanie kapitana jest przewidywalne – jest wrogo nastawiony wobec Hardwicka, podlizuje się Kline'owi, a ogólnie rzecz biorąc, wydaje mu się, że jest ważny jak maggi w zupie.

Hardwick mówił szybko.

– Najbardziej widocznym tropem były odciski butów, które zaczynały się przy wejściu do posiadłości, tuż przy bramie frontowej, i prowadziły przez parking z tyłu szopy, tam urwały się przy składanym plastikowym krzeselku ogrodowym.

– Na śniegu? – spytał Kline.

– No właśnie. Wokół krzeselka na ziemi znaleziono niedopałki papierosów.

– Siedem – wtrąciła ruda z laptopem.

– Siedem – powtórzył Hardwick. – Ślady butów prowadziły dalej od krzesła...

– Przepraszam bardzo, ale czy Mellery zazwyczaj wystawia składane krzeselka ogrodowe na śnieg? – spytał Kline.

– Nie, panie prokuratorze. Wygląda na to, że morderca przyniósł krzeselko ze sobą.

– Przyniósł je ze sobą?

Hardwick wzruszył ramionami. Kline pokręcił głową.

– Przepraszam, że przeszkodziłem. Niech pan mówi dalej.

– Nie przepraszaj, Sheridan. Możesz go pytać, o co tylko chcesz. Dla mnie też wiele rzeczy jest zupełnie bez sensu – powiedział Rodriguez, patrząc na Hardwicka tak, jakby wszystkie nonsensy były jego tworem.

– Ślady stóp prowadzą od krzeselka do miejsca, w którym sprawca natknął się na ofiarę.

– Do miejsca, w którym Mellery został zabity, tak mam to rozumieć? – spytał Kline.

– Właśnie tak. Stamtąd prowadzą w kierunku przejścia w ścianie żywopłotu, następnie przez trawnik do lasu, a kończą się jakieś siedemset metrów od domu.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „kończą się”?

– Po prostu tam się urywają. Nie podążają dalej. Jest tam niewielki obszar, na którym śnieg został wydeptany, jakby ktoś stał tam przez jakiś czas, ale nie ma dalszych śladów, ani tych prowadzących do, ani z tego miejsca. A jak już usłyszeliśmy, na pobliskim drzewie znaleziono buty, które odcisnęły te ślady. Nie wiadomo, co się stało z osobą, która miała je na nogach.

Gurney przyglądał się twarzy Kline’a i ujrzał na niej zdumienie, gdy prokurator okręgowy usłyszał tę zagadkę. Mieszało się ono z zaskoczeniem, że sam nie potrafi sobie zaproponować żadnego rozwiązania. Hardwick już otwierał usta, żeby mówić dalej, kiedy ruda odezwała się cichym, słabo modulowanym głosem, którego barwa plasowała się między głosem mężczyzny a głosem kobiety.

– W tym momencie powinniśmy powiedzieć, że ślady butów są zbieżne z odciskami na śniegu. To, czy te buty rzeczywiście zostawiły ślady na śniegu, będzie można określić dopiero po badaniach laboratoryjnych.

– Da się to rzeczywiście z dużą dozą pewności stwierdzić na temat śladów na śniegu? – spytał Kline.

– Tak, oczywiście – powiedziała i w tej odpowiedzi można było dostrzec

słaby ślad entuzjazmu. – Odciski w śniegu są najlepsze. Sprasowany śnieg zachowuje tak małe szczegóły, że czasem nie można ich zobaczyć gołym okiem. Nie należy nikogo zabijać na śniegu.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Kline. – Przepraszam raz jeszcze za to wtrącenie, detektywie Hardwick. Niech pan mówi dalej.

– Pod względem zebranych dowodów to chyba dobry raport o stanie śledztwa. Zgadza się pan, kapitanie – Hardwick znów kpił ze służbistów.

– Chętnie posłucham o czymś konkretnym – powiedział Rodriguez.

– Już otwieram plik – powiedziała ruda, uderzając kilka razy w klawiaturę komputera. – Chce pan listę dowodów w jakimś konkretnym porządku?

– Może by tak w porządku ich znaczenia?

Nie reagując w żaden sposób na tę złośliwość, zaczęła czytać z ekranu komputera.

– Dowód rzeczowy numer jeden: krzesło ogrodowe, jedna sztuka, wykonane z rurek z lekkiego aluminium i plastikowej siatki. Wstępna analiza w poszukiwaniu ciał obcych wskazuje, że między siedziskiem a oparciem znaleziono kilka milimetrów kwadratowych tyweku.

– Czy to jest materiał, którym się izoluje domy? – spytał Kline.

– To izolacja przeciwwilgociowa, którą nakłada się na warstwę sklejki, lecz używa się tego materiału również w innych produktach, na przykład w ubraniach roboczych malarzy. To jedyne odkryte ciało obce, jedyna wskazówka, że ktokolwiek kiedykolwiek siedział na tym krześle.

– Żadnych odcisków palców, włosów, potu, śliny, zadarć, niczego? – dopytywał się Rodriguez, jakby podejrzewał, że jego ludzie niezbyt skrupulatnie szukali śladów.

– Żadnych odcisków palców, włosów, potu, śliny ani zadarć, ale nie powiedziałabym, że nie ma w ogóle nic – w jej odpowiedzi dało się wyczuć, że jego pytanie spłynęło po niej jak po kaczce. – Połowa plastikowej siatki krzesła została wymieniona; wszystkie paski biegnące poziomo.

– Ale ponoć krzesło nigdy nie było używane?

– Nie ma śladów korzystania z niego, ale plastik został z pewnością

wymieniony.

– Dlaczego? W jakim celu?

Gurney czuł chęć, żeby to głośno wyjaśnić, ale Hardwick uprzedził go.

– Powiedziała, że plastikowa plecionka jest biała. Tego rodzaju krzesła mają przeważnie dwa kolory i jeden kolor plastiku przeplata się z drugim, niebiesko-biały, zielono-biały i tak dalej. Może chciał, żeby krzesło było pozbawione koloru.

Rodriguez przeżuwał tę myśl, jakby trafił na starego dropsa

– Niech pani mówi dalej, pani sierżant Wigg. Musimy jeszcze przebrnąć przez wiele faktów przed obiadem.

– Dowód rzeczowy numer dwa: siedem niedopałków papierosów marlboro, również bez żadnych śladów organicznych.

Kline pochylił się do przodu.

– Żadnych śladów śliny? Żadnych częściowych odcisków palców? Nawet śladu tłuszczu ze skóry?

– Zero.

– Czy to nie dziwne?

– Niezwykle dziwne. Dowód rzeczowy numer trzy: zbita butelka po whisky, niekompletna, na etykiecie nazwa Four Roses.

– Niekompletna?

– Mniej więcej połowa butelki była w jednym kawałku. Reszta i pozostałe odpryski, które odzyskaliśmy, dają nam mniej więcej dwie trzecie całej butelki.

– I żadnych odcisków palców? – spytał Rodriguez.

– Żadnych odcisków, co nie dziwi, zważywszy że nie ma ich ani na krześle, ani na papierosach. Odkryliśmy tam jedną substancję oprócz śladów krwi ofiary: minimalny ślad detergentu w pęknięciu na krawędzi butelki.

– Co to oznacza? – spytał Rodriguez.

– Obecność detergentu i brak części butelki sugeruje, że rozbito ją gdzie indziej, następnie umyto, zanim została przyniesiona na miejsce zbrodni.

– Więc dźgnięcia butelką, z pozoru zadane impulsywnie, były

zaplanowane tak jak i strzał z pistoletu?

– Wygląda na to, że wszystko zrobiono z premedytacją. Mam mówić dalej?

– Proszę bardzo – powiedział szorstko Rodriguez.

– Dowód rzeczowy numer cztery: ubranie denata, łącznie z bielizną, szlafrokiem, wzuwanymi butami, wszystko zachlapane krwią ofiary. Na szlafroku znaleziono trzy ślady nienależące do niego, prawdopodobnie należą do jego żony, trzeba to jeszcze sprawdzić. Dowód rzeczowy numer pięć: próbki krwi pobrane z gruntu wokół ciała. Laboratorium jest w trakcie wykonywania testów, jak na razie wszystkie próbki odpowiadają krwi ofiary. Dowód rzeczowy numer sześć: fragmenty zbitego szkła, zebrane z kamienia spod szyi ofiary. Widzimy tu spójność z pierwszymi wynikami sekcji, które mówią, że cztery pchnięcia butelką przeszły przez szyję i że ofiara leżała na ziemi podczas tego ataku.

Kline zmarszczył twarz jak człowiek, którego razi ostre słońce.

– Najwyraźniej ktoś dokonał niezwykle brutalnej zbrodni, w której był i strzał, i dźganie butelką, ran było ponad dwanaście, niektóre zadawane z wielką siłą, a jednak zabójcy udało się nie zostawić żadnego śladu.

Jeden z sobowtórów Toma Cruise'a odezwał się po raz pierwszy, i to głosem zadziwiająco wysokim, biorąc pod uwagę jego ciało macho.

– A co z krzesłem, butelką, śladami butów i samymi butami?

Kline skrzywił się zniecierpliwiony.

– Powiedziałem, że chodzi mi o przypadkowe ślady. Wygląda na to, że wszystko, co mamy, morderca pozostawił w jakimś celu.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami, jakby ta uwaga była zbyt przewrotna lub wydumana.

– Dowód rzeczowy numer siedem jest podzielony na części – powiedziała bezpłciowo pani sierżant Wigg („Może da się odnaleźć w niej cień seksualności” – pomyślał Gurney, zauważając interesujący zarys oczu i ładny kształt ust). – Dowód rzeczowy numer siedem to wiadomości otrzymywane przez ofiarę, które mogą mieć związek z przestępstwem, łącznie z notatką znalezioną na jej ciele.



– Kazałem wykonać kserokopie – oznajmił Rodriguez. – Rozdam je we właściwym momencie.

– A czego szukamy w tych wiadomościach? – spytał Kline rudą przy laptopie.

– Odcisków palców, czegoś odcisniętego na samym papierze...

– Jak odciski na podkładce do kartki?

– No właśnie. Prowadzimy również testy identyfikacyjne atramentu w przypadku listów pisanych ręcznie oraz identyfikacji drukarki w przypadku listu, który został wydrukowany z edytora tekstu. To ostatni list otrzymany przez ofiarę przed morderstwem.

– Nasi eksperci zbadają również charakter pisma, przeanalizują słownictwo i składnię – wtrącił się Hardwick. – Analizujemy ślady dźwiękowe rozmowy telefonicznej z ofiarą, która została nagrana. Pani sierżant ma już wstępne wyniki, przyjrzymy się temu dokładniej dzisiaj po południu.

– Przyjrzymy się również dokładniej butom, które dzisiaj znaleziono, jak tylko dotrą do laboratorium. To by było na razie wszystko – powiedziała ruda, uderzając palcem w klawisz komputera. – Jakies pytania?

– Mam jedno – powiedział Rodriguez. – Była mowa o przedstawianiu dowodów w porządku według ważności i zastanawiałem się, dlaczego najpierw powiedziała pani o krześle.

– Intuicja, panie kapitanie. Nie wiemy, jak należy wszystko połączyć, dopóki jakoś tego nie poskładamy. W tym momencie trudno powiedzieć, który kawałek układanki...

– Ale zaczęła pani od krzesła – przerwał jej Rodriguez. – Dlaczego?

– Wydawało mi się, że to ilustruje najbardziej uderzającą cechę tej sprawy.

– To znaczy?

– Planowanie – odparła cicho Wigg.

„Ta dziewczyna – pomyślał Gurney – ma umiejętność odpowiadania na pytania kapitana w taki sposób, jakby były neutralne i obiektywne, spisane na papierze, pozbawione min, gestów i obraźliwej intonacji”. W tym braku

splątania emocjonalnego był dziwny ład, jakaś odporność na małe prowokacje. I ludzie jej słuchali. Gurney zauważył, że wszyscy siedzący przy stole, oprócz Rodrigueza, nieświadomie pochylili się do przodu.

– Nie chodzi o sam fakt planowania – mówiła dalej – ale o dziwny charakter tego planu. Ktoś przynosi na miejsce zbrodni krzesło ogrodowe. Wypala siedem papierosów, nie dotykając ich palcami ani ustami. Tłucze butelkę, myje ją i przynosi na miejsce zbrodni, żeby zadźgać ofiarę. Nie wspominając już o tej, w zasadzie niemożliwej do wyjaśnienia, kwestii śladów stóp i o tym, jak sprawca zniknął z lasu. Wygląda to tak, jakby sprawca był jakimś genialnym zabójcą. Nie chodzi o zwykłe krzesło ogrodowe, ale o krzesło w którym wymieniono połowę plastikowych splotów. Dlaczego? Bo chciał, żeby było białe? Żeby było mniej widoczne w śniegu? Żeby zlewało się z białym kombinezonem malarza pokojowego, który miał na sobie? A jeżeli tak bardzo zależało mu na pozostaniu niewidocznym, dlaczego siedział na tym krześle i palił papierosy? Nie jestem pewna, nie zdziwiłoby mnie, gdyby to krzesło okazało się kluczem do rozwiązania zagadki.

Rodriguez pokręcił głową.

– Kluczem do rozwiązania tej zagadki będzie policyjna dyscyplina, przestrzeganie procedury i komunikacja.

– Ja stawiam na krzesło – szepnął Hardwick, puszczając oko do rudej.

Po twarzy kapitana było widać, że usłyszał ostatnią uwagę, ale zanim zdążył się odezwać, otworzyły się drzwi do sali konferencyjnej i do środka wszedł mężczyzna, trzymający w dłoni błyszczący nośnik danych.

– Co to jest? – warknął Rodriguez.

– Kazał mi pan dostarczyć wszelkie wyniki odcisków palców, jak tylko je uzyskamy, panie kapitanie.

– No i?

– Już je mamy – odparł, podnosząc dysk. – Niech pan się lepiej temu przyjrzy. Może sierżant Wigg mogłaby...?

Wyciągnął niepewnym gestem dysk w kierunku jej laptopa. Włożyła go do środka i nacisnęła parę klawiszy.

– Interesujące – powiedziała.  
– Prekowski, może byście nam powiedzieli, co tam jest.  
– Nazywam się Krepowski, panie kapitanie.  
– Co takiego?  
– Nazywam się Krepowski.  
– Dobrze, niech będzie. Teraz proszę nam powiedzieć, czy znaleziono jakieś odciski lub ślady.

Mężczyzna odchrząknął.

– Cóż, i tak, i nie – powiedział.

Rodriguez wzruszył ramionami.

– To znaczy, że są zbyt nieczytelne, zamazane?

– Znacznie więcej niż zamazane – odparł policjant. – Prawdę mówiąc, to nie są wcale odciski palców.

– W takim razie co to jest?

– Chyba możemy to nazwać smugami. Wygląda na to, że facet pisał opuszkami palców, pisał tłuszczem ze skóry opuszek palców, jak gdyby to był niewidzialny atrament.

– Pisał? Co takiego napisał?

– Pojedyncze słowa. Jedno słowo na odwrocie każdego z wierszy, które wysyłał do ofiary. Za pomocą odczynnika chemicznego wywołaliśmy te słowa na papierze, sfotografowaliśmy je i skopiowaliśmy obrazy na dysk. Na ekranie widać to dosyć wyraźnie.

Z lekkim uśmiechem błakającym się po ustach sierżant Wigg powoli odwróciła laptopa i ustawiła ekran na wprost Rodrigueza. Na zdjęciu były trzy kartki papieru – odwrócone kartki, na których napisano trzy wiersze, ułożone w kolejności, w jakiej zostały wysłane. Na każdej z nich smugowatymi drukowanymi literami było napisane po jednym słowie:

DURNE ZŁE GLINY

## Zbrodnia roku

– Co, do cholery...? – zapytały klony Toma Cruise’a jednym głosem. Rodriguez zmarszczył brwi.

– Do diabła! – szepnął Kline. – To się robi z minuty na minutę coraz bardziej interesujące. Ten facet wypowiada nam wojnę.

– To jakiś czubek – powiedział Cruise numer jeden.

– Bystry, bezwzględny czubek, który chce wojny z policją. – Ton tego zdania zdradzał, że Kline jest podekscytowany rozwojem wydarzeń.

– No i co z tego? – powiedział Tom Cruise numer dwa.

– Mówiłem wcześniej, że to przestępstwo na pewno przyciągnie uwagę mediów. Tę uwagę należy skreślić. To może być zbrodnia roku, a może nawet dziesięciolecia.

Oczy Kline’a błyszczały od rodzących się nadziei. Pochylił się na krzesło tak bardzo, że opierał się teraz żebrami o krawędź stołu. Po krótkiej chwili, kiedy jego entuzjazm wypalił się jak flara, opanował się i usiadł prosto. Zamyślił się głęboko, jak gdyby zaświeciło mu się w głowie jakieś czerwone światełko, ostrzegając go, że morderstwo to wydarzenie tragiczne i tak właśnie trzeba je traktować.

– Element antypolicyjny może być znaczący – dodał po chwili trzeźwym tonem.

– Co do tego nie ma wątpliwości – zgodził się Rodriguez. – Chciałbym wiedzieć, czy któryś z gości Instytutu przejawiał jakieś postawy antypolicyjne. Wiadomo coś o tym, Hardwick?

Oficer prowadzący śledztwo zaśmiał się krótko.

– Co w tym śmiesznego?

– Większość gości, których przesłuchiwaliśmy, uważa, że policja to twór plasujący się między agentami urzędu skarbowego a ogrodowymi ślimakami.

Hardwickowi udało się w tym stwierdzeniu zobrazować to, co Gurney

sądził na temat kapitana.

– Chciałbym zobaczyć ich zeznania.

– Są na pańskim biurku, kapitanie. Ale mogę panu oszczędzić czasu. Te zeznania są bezużyteczne. Nazwisko, stopień służbowy i numer seryjny. Wszyscy spali. Nikt nic nie widział. Nikt niczego nie słyszał, poza Pasquale'em Cachese'em, pseudo Patty Cakes. Mówi, że nie mógł spać. Otworzył okno, żeby przewietrzyć pokój, i gdy usłyszał ten tak zwany stłumiony odgłos policzka, od razu zgadł, co to jest. – Hardwick przewrócił kilka stron w folderze leżącym na stole, wyciągnął jedną i czytał, a Kline znów pochylił się do przodu i nastawił uszu. – „Brzmiało to tak, jak gdyby kogoś stuknęli”, powiedział. Stwierdził to bardzo rzeczowo, jakby usłyszał dźwięk, który nie jest mu obcy.

W oczach Kline'a znów pojawił się blask.

– Chce pan powiedzieć, że w czasie, kiedy popełniono to przestępstwo, na terenie Instytutu był mafioso?

– Na terenie Instytutu tak, ale nie na miejscu zbrodni – odparł Hardwick.

– A skąd to wiadomo?

– Bo obudził asystenta Mellery'ego, Justina Bale'a, młodego człowieka, którego pokój znajduje się w tym samym budynku, co pokoje gościnne. Cachese powiedział mu, że usłyszał odgłos od strony domu Mellery'ego, że być może to jest włamywacz, i zaproponował, żeby to wspólnie sprawdzić. Kiedy się ubrali i przeszli na tyły domu Mellery'ego, Caddy Mellery już odkryła ciało i weszła do domu, żeby zadzwonić na policję.

– A Cachese nie powiedział temu Bale'owi, że usłyszał wystrzał? – głos Kline'a był teraz jakby głosem prokuratora występującego na sali sądowej.

– Nie. Powiedział nam to, kiedy następnego dnia go przesłuchiwaaliśmy. Wtedy jednak znaleźliśmy zakrwawioną butelkę i było dla nas jasne, że w związku z ranami zadanymi szkłem i tym, że nie widać było śladów od kul lub innej broni, nie trzeba od razu wnikać zbyt głęboko w wątek strzału. Doszliśmy do wniosku, że Patty to taki facet, który przez cały czas myśli o broni i wyciąga takie wnioski, wiele się nie zastanawiając.

- Dlaczego nie powiedział Bale’owi, że słyszał wystrzał?
- Mówił, że nie chciał go wystraszyć.
- Jaki miły człowiek – powiedział Kline szyderczo.

Spojrzał na zachowującego dotąd stoicką postawę Stimmela, siedzącego tuż przy nim. Stimmel też wykrzywił się szyderczo.

– Jeżeli by wtedy...

– Ale przecież mówiłem – wtrącił się Rodriguez – szkoda, że nie zwrócił pan na to uwagi.

Hardwick stłumił ziewnięcie.

– Co mafioso robi w miejscu, gdzie sprzedaje się „odnowę duchową”? – spytał Kline.

Hardwick wzruszył ramionami.

– Twierdzi, że uwielbia Instytut. Przyjeżdża raz do roku, żeby uspokoić nerwy. Mówi, że to taki kawałek prawdziwego nieba. Uważa, że Mellery był świętym.

– Naprawdę tak powiedział?

– Naprawdę.

– Zdziwiająca sprawa! Są tam jacyś inni interesujący goście?

W oczach Hardwicka pojawił się ten ironiczny błysk, którego Gurney organicznie nie cierpiał.

– Jeżeli pyta pan o aroganckich, infantylnych, uzależnionych od narkotyków świrów, to tak, jest tam spora liczba „interesujących gości”. Plus wdowa bogatsza niż sama królowa angielska.

Być może zastanawiając się nad medialnym echem takich sensacji na miejscu zbrodni, Kline spojrzał na Gurneya, który siedział akurat po przekątnej. Na początku wzrok Kline’a był pusty, jakby wpatrywał się w krzesło. Po chwil z zainteresowaniem uniósł głowę.

– Chwileczkę – powiedział. – Dave Gurney, policja nowojorska. Rod mówił mi, że będzie pan na tym spotkaniu, ale dopiero teraz skojarzyłem nazwisko. Czy to nie o panu napisano parę lat temu artykuł w magazynie „New York”?

Pierwszy odezwał się Hardwick.

– To nasz chłopak. To był artykuł pod tytułem *Superdetektyw*.

– Teraz już sobie przypominam – powiedział podekscytowanym głosem Kline. – To pan rozwiązywał te wielkie sprawy seryjnych zabójców: tego świra, który wysyłał na święta pocięte kawałki ludzkich zwłok, i Porky’ego Pigga, czy nie wiem, jak on tam się już nazywał.

– Peter Possum Piggert – odparł łagodnie Gurney.

Kline wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Więc ten Mellery, którego zamordowano, tak całkiem przypadkiem okazuje się najlepszym kolegą gwiazdy nowojorskiej policji? – Z minuty na minutę coraz wyraźniej słyszał w głowie medialną wrzawę, która się rozpełta.

– Do pewnego stopnia byłem zaangażowany w obie sprawy – powiedział Gurney głosem tak bezbarwnym, jak pełen emocji był głos Kline’a. – Poza mną wielu jeszcze innych ludzi. A co do stwierdzenia, że Mellery był moim najlepszym kolegą, trudno się z tym zgodzić, zważywszy, że przez dwadzieścia pięć lat nie zamieniliśmy słowa, a nawet wtedy...

– Ale... – przerwał mu Kline – kiedy znalazł się w kłopotach, właśnie do pana się zwrócił.

Gurney rozejrzał się po twarzach uczestników spotkania, na których wyczytał cały wachlarz uczuć, od szacunku do zawiści, i zastanawiał się, jak bardzo kuszące potrafią być upraszczające hasła. W tej części jego mózgu, która uwielbia komiksy i nienawidzi komplikacji, pojawił się wielki tytuł **KRWAWY MORDERSTWO KUMPLA GLINIARZA**.

– Zwrócił się do mnie chyba dlatego, że byłem jedynym gliniarzem, którego znał osobiście.

Wyglądało na to, że Kline nie odpuści, że jeszcze odwiedzi te rewiry, ale teraz chciał iść dalej.

– Niezależnie od tego, jak wyglądała relacja między wami, pana kontakt z ofiarą daje panu spojrzenie na tę sprawę, którego nikt inny z nas tu nie ma.

– Dlatego właśnie chciałem, żeby tu się dzisiaj zjawił – powiedział Rodriguez tonem „nie-zapominajcie-kto-tu-rządzi”.

Z ust Hardwicka znów wyrwał się krótki, sarkastyczny śmiech, po czym Gurney usłyszał za plecami sceniczny szept.

– Strasznie się opierał, dopóki się nie okazało, że Kline’owi ten pomysł się podoba.

Rodriguez mówił dalej.

– Widzę, że w planie zebrania jest pan na następnym miejscu zaraz po podsumowaniu, będzie pan odpowiadał na pytania, a może być ich sporo. Żeby uniknąć niepotrzebnych przerw, dajmy sobie teraz pięć minut i wróćmy za chwilę do stołu.

– On cię chce wykolegować, Gurney – powiedział szept brzechomówcy, zagubiony nieco w odgłosach odsuwanych od stołu krzeseł.



## Pytania do Gurneya

Gurney miał teorię, że mężczyźni zachowują się w toaletach tak jak w sportowej szatni albo w windzie – to znaczy albo głośno i przesadnie przyjaźnie, albo z wyższością i rezerwą. Teraz miał do czynienia z przypadkiem windy. Dopiero wtedy, gdy wszyscy wrócili na salę konferencyjną, ktoś się odezwał.

– Więc jak to jest, że taki skromny facet zyskuje taką sławę? – spytał Kline, szczerząc zęby w chłodnym uśmiechu.

– Nie jestem skromny, a już na pewno nie sławny – odparł Gurney.

– Proszę wszystkich o zajęcie miejsc – powiedział Rodriguez oschle. – Znajdziecie przed sobą zestaw kopii listów i transkrypcje rozmów telefonicznych, które dotyczyły ofiary. W miarę jak nasz świadek będzie przedstawiał swoją wersję, możecie sprawdzać treść wiadomości, o których będzie mowa. – Skinął krótko na Gurneya. – Jeśli jest pan gotowy, proszę zaczynać.

Gurneya przestało w kapitanie zaskakiwać jego przywiązanie do procedur, ale wciąż nie mógł się do niego przyzwyczaić. Rozejrzał się po twarzach zebranych, popatrzył przelotnie w oczy wszystkim – oprócz mężczyzny, który oprowadzał go po miejscu zbrodni, a teraz hałaśliwie przewracał strony folderu. Spojrzał też na Stimmela, asystenta prokuratora okręgowego, który siedział wpatrzony w pustą przestrzeń, jakby oddawał się kontemplacji.

– Tak, jak zapowiedział pan kapitan, jest sporo do opowiedzenia. Najlepiej byłoby, gdybym podsumował wydarzenia w takim porządku, w jakim następowały. Prosiłbym państwa o powstrzymanie się z pytaniami, aż dotrę do końca. – Już widział, że Rodriguez podnosi głowę, żeby zaoponować, ale w tym samym momencie Kline skinął aprobowująco i zatwierdził zaproponowany sposób prezentacji.

W charakterystyczny dla siebie sposób, zwięźle (nieraz słyszał, że

mógłby być wykładowcą logiki), Gurney w dwadzieścia minut streścił całą historię, zaczynając od e-maila od Mellery'ego, w którym ten prosił go o spotkanie, poprzez szereg dziwacznych listów i reakcję Mellery'ego na wiersze, a skończywszy na telefonie od zabójcy i notatce w skrzynce na listy (zawierającej liczbę dziewiętnaście).

Kline słuchał z szeroko otwartymi oczami i to on pierwszy się odezwał, kiedy Gurney skończył.

– To epicka historia zemsty! Zabójca miał obsesję wyrównania rachunków z Mellerym za coś strasznego, co ten zrobił całe lata temu, kiedy pił.

– Dlaczego czekał tak długo? – spytała sierżant Wigg, której uwagi były coraz bardziej interesujące.

W głowie Kline'a aż gotowało się od możliwych wyjaśnień.

– Może Mellery ujawnił coś w jednej ze swoich książek? Może tak właśnie zabójca odkrył, kto jest odpowiedzialny za jakieś tragiczne wydarzenie, którego wcześniej z nim nie kojarzył? A może sukces Mellery'ego przeważał szalę i tego już zabójca nie mógł znieść? Może, tak jak pisał w pierwszym liście, przypadkiem zobaczył go gdzieś na ulicy? Wraca gorąca nienawiść. Wróg jest na muszce i... Pif-paf!

– Akurat, pif-paf – powiedział Hardwick.

– Jeśli ma pan inne zdanie, inspektorze Hardwick, proszę śmiało – powiedział Kline z niechętnym uśmiechem na ustach.

– Przemyślane zdania, dokładnie skomponowane listy, tajemnicze liczby, wskazówki, żeby wysłać czek na zły adres, cała seria wierszy z groźbami, ukryte wiadomości dla policji, które można odczytać tylko dzięki specjalnym odczynnikom chemicznym, sterylnie czyste niedopałki papierosów, ukryta rana postrzałowa, niemożliwe do wyjaśnienia, urwane ślady butów i na końcu to krzesło ogrodowe. Do cholery! Czy to wygląda na spontaniczne pif-paf?

– Sposób, w jaki nakreśliłem sytuację, nie oznacza, że wykluczam działanie z premedytacją – powiedział Kline. – Na tym etapie jednak bardziej interesuje mnie podstawowy motyw niż szczegóły. Chcę zrozumieć

związek między zabójcą a ofiarą. Zrozumienie tego związku jest najczęściej kluczem do wydania wyroku skazującego.

Ten miniwykład wywołał nieprzyjemną ciszę, którą przerwał Rodriguez.

– Blatt! – warknął na policjanta, który przyprowadził tu Gurneya, a teraz wpatrywał się w kserokopie pierwszych dwóch listów, jak gdyby spadły mu na kolana z księżyca. – Wyglądasz, jakbyś czegoś nie rozumiał.

– Nie kumam. Sprawca posyła list do ofiary, pisze, żeby ofiara pomyślała o jakiejś liczbie, a później zajrzała do zaklejonej koperty. On myśli o liczbie sześćset pięćdziesiąt osiem, sprawdza w kopercie, a tam jest kartka z liczbą sześćset pięćdziesiąt osiem. Mówicie, że to się naprawdę wydarzyło?

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, wtrącił się jego partner.

– A dwa tygodnie później sprawca robi to jeszcze raz, tym razem przez telefon. Mówi do ofiary, żeby pomyślała jakąś liczbę, a później sprawdziła skrzynkę pocztową. Ofiara myśli o liczbie dziewiętnaście, sprawdza w skrzynce, a tam w liście od sprawcy jest dziewiętnastka. To jest dla mnie, kurde, bardzo dziwne.

– Mamy nagranie tej rozmowy telefonicznej – powiedział Rodriguez tak, jakby było to jego osobiste osiągnięcie. – Odtwórz ten kawałek z liczbą, Wigg.

Pani sierżant w milczeniu wystukała coś na klawiaturze i po dwóch lub trzech sekundach wszyscy usłyszeli nagranie rozpoczęte w środku rozmowy między Mellerym a człowiekiem, który go nękał, rozmowy, której Gurney przysłuchiwał się dzięki systemowi telekonferencyjnemu Instytutu. Miny osób siedzących przy stole zdradzały zaskoczenie dziwacznym akcentem i głosem dzwoniącego oraz lękiem, nadającym ciemny ton mowie Mellery'ego.

– *Powiedz tę liczbę szeptem.*

– *Szeptem?*

– *Tak.*

– *Dziewiętnaście* – Mellery wypowiedział to słowo teatralnie głośnym szeptem.

W słuchawce rozbrzmiał śmiech, w którym nie było krztyny radości.

- *Dobrze, bardzo dobrze.*
- *Kim jesteś?*
- *Wciąż nie wiesz? Tyle bólu, nie masz pojęcia. To się dało przewidzieć. Znajdziesz coś. Małeńki liścik. Na pewno go nie masz?*
- *Nie wiem, o czym mówisz.*
- *Aha, ale wiedziałeś, że ta liczba to dziewiętnaście.*
- *Kazałeś mi myśleć o jakiejś liczbie.*
- *Ale to była właściwa liczba, prawda?*
- *Nie rozumiem.*

Po chwili sierżant Wigg stuknęła w klawiaturę i powiedziała.

- To by było na tyle.
- Po wysłuchaniu nagrania Gurney czuł wściekłość, mdłości i żal. Blatt uniósł dłonie w geście mówiącym, że dalej nic nie rozumie.
- Kto to był, mężczyzna czy kobieta?
  - Prawie na pewno mężczyzna – odparła Wigg.
  - Skąd wiadomo?
  - Dzisiaj rano zrobiliśmy analizę wysokości głosu i z wydruku widać większe napięcie głosu w miarę, jak rośnie częstotliwość dźwięku.
  - No i?
  - Wysokość głosu bardzo się różni od zwrotu do zwrotu, nawet od słowa do słowa, a w każdym przypadku ma znacznie niższe natężenie w niższych częstotliwościach.
  - To znaczy, że rozmówca stara się napinać struny głosowe w wyższych częstotliwościach, a niższe przychodzą mu znacznie bardziej naturalnie? – dopytywał się Kline.
  - Właśnie tak – powiedziała Wigg swoim nieokreślonym, ale wcale niepozbawionym atrakcyjności głosem. – Nie są to dowody jednoznaczne, ale bardzo mocne.
  - A co z odgłosami w tle? – spytał Kline. To pytanie chodziło po głowie również Gurneyowi. W nagraniu zarejestrowano odgłosy przejeżdżających samochodów, co znaczy, że sprawca dzwonił z jakiejś otwartej przestrzeni,

może z ruchliwej ulicy albo sprzed supermarketu.

– Będziemy wiedzieć więcej po wzmocnieniu materiału głosowego, ale wygląda na to, że mamy do czynienia z trzema kategoriami dźwięku. Samą rozmową, odgłosami ruchu ulicznego i warkotem silnika.

– Jak długo potrwa analiza? – spytał Rodriguez.

– To zależy od stopnia złożoności danych w nagraniu – odparła Wigg. – Powiedziałabym, że od dwunastu do dwudziestu czterech godzin.

– Chcę to mieć w dwanaście – warknął Rodriguez.

Po chwili niezręcznej ciszy, do której wzbudzania kapitan miał niezwykły talent, Kline rzucił pytanie do wszystkich obecnych na sali konferencyjnej.

– A co z tym szeptem? Kto miał nie usłyszeć, że Mellery powie dziewiętnaście? – Zwrócił się do Gurneya. – Jakies pomysły?

– Nie. Ale wątpię, by miało to coś wspólnego z podsłuchiowaniem.

– Dlaczego? – rzucił zaczepnie Rodriguez.

– Bo szept to bardzo zły sposób na uniknięcie podsłuchiwania – szepnął teatralnie Gurney, żeby podkreślić to, co mówi. – Ten szept jest jak inne dziwaczne elementy tej sprawy.

– Na przykład? – nie odpuszczał Rodriguez.

– No cóż, na przykład niepewność w liście, w którym pisze o listopadzie lub grudniu? Dlaczego sprawca posłużył się bronią i zbitą butelką? Dlaczego stworzył taką tajemnicę ze śladami butów? I jeszcze jeden drobiazg, o którym nikt inny nie wspomniał: dlaczego tam nie ma śladów zwierząt?

– Co takiego? – Rodriguez wyglądał na zdumionego.

– Caddy Mellery powiedziała, że ona i mąż słyszeli jakieś popiskiwanie walczących ze sobą zwierząt za domem. Dlatego on zszedł na dół i wyjrzał przez tylne drzwi. Ale na śniegu nie było żadnych zwierzęcych śladów, a przecież to oczywiste, że powinny się tam znaleźć.

– Kręcimy się w kółko. Nie rozumiem, dlaczego obecność lub brak śladów jakiegoś małego zwierzątka ma tu znaczenie.

– Boże – powiedział Hardwick, ignorując Rodrigueza i rzucając

Gurneyowi pełne podziwu spojrzenie. – Masz rację. Tam nie było ani jednego śladu na śniegu, którego by nie zostawiła ofiara albo zabójca. Dlaczego ja tego nie zauważyłem?

Kline zwrócił się do Stimmela.

– Jeszcze nigdy nie zetknąłem się ze sprawą, w której byłoby tak dużo dowodów, a tak niewiele z nich miałyby jakiś sens. – Pokręcił głową. – Jak, do diabła, zabójca wykręcił ten numer z liczbami? I dlaczego dwa razy? – Spojrzał na Gurneya. – Czy te liczby na pewno nic nie znaczyły dla Mellery’ego?

– Jestem tego pewien mniej więcej w dziewięćdziesięciu procentach, podobnie jak reszty tej historii.

– Wracając do całościowego obrazu sprawy – powiedział Rodriguez – myślałem o motywie, o którym wcześniej wspominałeś, Sheridan.

Zadzwoił telefon komórkowy Hardwicka. Miał go już przy uchu, zanim Rodriguez zdążył zaproponować.

– Cholera – powiedział po dziesięciu sekundach słuchania. – Na pewno? – Rozejrzał się po sali konferencyjnej. – Nie ma kuli. Sprawdzili centymetr po centymetrze tylną ścianę domu. I nic.

– Niech sprawdzą w środku – rzucił Gurney.

– Ale przecież strzelano na dworze.

– Wiem, ale Mellery prawdopodobnie nie zamknął za sobą drzwi. Osoba, która w jego sytuacji wychodzi z domu, na pewno się boi i nie zamyka za sobą. Powiedz technikom balistyki, żeby sprawdzili trajektorię i wewnętrzną ścianę, która mogła być na linii strzału.

Hardwick szybko przekazał instrukcje i zakończył rozmowę.

– Dobry pomysł – pochwalił go Kline.

– Bardzo dobry – dodała Wigg.

– A jeżeli chodzi o te liczby – powiedział Blatt, zmieniając temat. – To chyba musi być w to wmieszana jakaś hipnoza albo zjawiska paranormalne, mam rację?

– Raczej nie – powiedział Gurney.

– Ale przecież to musiało tak być. Jest jakieś inne wyjaśnienie?

Hardwick był tego samego zdania, co Gurney, i odpowiedział pierwszy.

– Jezu, Blatt, kiedy ostatni raz policja stanowa badała przestępstwo dokonane za pomocą hipnozy?

– Ale on wiedział, co ten facet myśli!

Tym razem pierwszy odpowiedział Gurney, nadając wypowiedzi pojednawczy ton.

– Na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakby ktoś wiedział dokładnie, co myśli Mellery, ale założę się, że czegoś nam tu brakuje, a kiedy znajdziemy brakujący element, sprawa okaże się znacznie prostsza niż odczytywanie ludzkich myśli.

– Pozwoli pan, że spytam o coś, detektywie Gurney – Rodriguez rozsiadł się na krześle, ścisnął lewą dłońią prawą pięść opartą o klatkę piersiową. – Widział pan szybko gromadzące się dowody, śledził pan szereg listów z groźbami i telefonów, wiadomo było, że Mark Mellery jest na celowniku jakiegoś mordercy. Dlaczego nie przyszedł pan z tymi dowodami na policję przed zabójstwem?

Fakt, że Gurney spodziewał się tego pytania, nie złagodził bólu, bo Rodriguez celowo go ubódł.

– Dziękuję za „detektywa”, panie kapitanie, ale od lat jestem na emeryturze i tytuł razem z policyjną blachą oddałem do archiwum. Co do doniesienia o sprawie na policję, w miarę jak się rozwijała, nie można było praktycznie nic zrobić bez współpracy Marka Mellery’ego, a on postawił sprawę jasno, stwierdzając, że pod żadnym pozorem nie będzie współpracował z policją.

– Twierdzi pan, że w tej sytuacji nie można było poinformować policji bez jego zgody? – Rodriguez mówił coraz donośniej, stopniowo przechodząc do ofensywy.

– Powiedział mi bardzo jasno, że nie chce zaangażowania policji. Był zdania, że policja narobi więcej szkody niż pożytku, a on podejmie wszelkie niezbędne kroki, żeby do zaangażowania policji nie dopuścić. Jeżeli doniosłbym o tym na policję, Mellery zbudowałby wokół siebie kamienny mur, a ponadto przestałby ze mną rozmawiać.

– Ale dalsza rozmowa z panem nie przyniosła mu korzyści, prawda?

– Niestety, panie kapitanie, tu ma pan rację.

Cichy głos Gurneya i brak oporu wytrąciły na chwilę Rodrigueza z równowagi.

Sheridan Kline wykorzystał chwilę przerwy.

– Dlaczego się tak opierał przed obecnością policji?

– Uważał, że policja jest zbyt nieporadna i niekompetentna. Że nic nie zdziała. Był przekonany, że go nie ochroni, a najprawdopodobniej zniszczy wizerunek jego Instytutu w oczach obecnych i przyszłych klientów.

– To śmieszne – wtrącił urażonym głosem Rodriguez.

– „Słoń w składzie porcelany” to powtarzał. Był zdecydowany, że nie będzie z policją współpracował, nie pozwoli policjantom wejść na swój teren, kontaktować się z gośćmi ani jego osobiście przesłuchiwać. Mam wrażenie, że był gotów sięgnąć po pomoc prawną, gdyby doszedł do wniosku, że policja chce się wtrącić.

– Dobrze, jednak chciałbym wiedzieć... – zaczął Rodriguez, ale znów przerwał mu w połowie dźwięk dzwoniącego telefonu komórkowego Hardwicka.

– Hardwick, słucham... Tak... Gdzie? Fantastycznie... Dobrze. Dziękuję.

– Schował telefon do kieszeni i zwrócił się uroczyście do Gurneya głosem na tyle donośnym, żeby wszyscy go usłyszeli. – Znaleźli pocisk. W ścianie wewnątrz domu. Znaleźli go w ścianie domu, w prostej linii od tylnych drzwi. Wygląda na to, że były otwarte, kiedy sprawca strzelał.

– Gratuluję – powiedziała sierżant Wigg do Gurneya, a później zwróciła się do Hardwicka. – Wiedzą, jaki kaliber?

– Sądzą, że to kaliber dziewięć milimetrów, ale poczekamy na ekspertyzę balistyczną.

Zdawało się, że Kline jest czymś zaabsorbowany. Rzucił pytanie w powietrze.

– Czy Mellery mógł mieć jakiś inny powód, żeby nie dopuszczać do tej sprawy policji?

Blatt, na którego twarzy rysował się wyraz całkowitego zdumienia,



dodał własne pytanie:

– I o co, do cholery, chodzi z tym składem porcelany?

## Carte blanche

Kiedy Gurney przejechał drogą przez góry Catskill i dotarł na swoją farmę niedaleko Walnut Crossing, był wyczerpany – czuł się zagubiony, głodny, chciało mu się pić, był sfrustrowany, smutny i pełen zastrzeżeń wobec samego siebie. Zbliżała się kalendarzowa zima i szare, listopadowe dni robiły się krótsze – zwłaszcza w dolinach, bo tam, za górami, słońce chowało się jeszcze wcześniej. Pod wiatą nie było samochodu Madeleine. Śnieg, który w ciągu dnia częściowo roztopiło słońce, wieczorem znów przymarzył i chrząścił pod stopami.

W całym domu panowała głucha cisza. Gurney zapalił w kuchni lampę oświetlającą solidną drewnianą deskę do krojenia. Przypomniawszy sobie, jak Madeleine mówiła rano, że planowana kolacja jest odwołana, bo dzisiaj będzie jakieś spotkanie, w którym chciały uczestniczyć wszystkie zaproszone kobiety. Nie pamiętał szczegółów. „Więc te cholerne orzechy i tak nie były potrzebne”. Włożył torebkę herbaty do kubka, nalał wody z kranu i wstawił kubek do mikrofalówki. Z przyzwyczajenia ruszył w kierunku swojego fotela po drugiej stronie urządzonej w stylu rustykalnym kuchni. Zapadł się w nim i oparł stopy o drewniany podnózek. Dwie minuty później piskliwy sygnał mikrofalówki utonął w jego płytkim śnie.

\*

Obudziły go kroki Madeleine. Być może był zanadto wyczulony, ale coś w jej chodzie zwiastowało furie. Wydało mu się przez chwilę, świadczyła o tym bliskość i kierunek skąd dochodził odgłos, że musiała dostrzec go śpiącego w fotelu, a jednak postanowiła się nie odzywać.

Otworzył oczy i zobaczył, że Madeleine wychodzi z kuchni i kieruje się do sypialni. Przeciągnął się, odepchnął od oparcia fotela, podszedł do kredensu po chusteczkę higieniczną i wydmuchał nos. Usłyszał zamykające się nieco

zbyt głośno drzwi do szafy, a minutę później Madeleine wróciła do kuchni. Jedwabną bluzkę zamieniła na bezkształtną bawełnianą koszulę.

– Nie śpisz – powiedziała.

Napomknienie, że spał, zinterpretował jako krytykę.

Włączyła rząd lampek nad blatami kuchennymi i otworzyła lodówkę.

– Jadłeś już coś? – to pytanie brzmiało jak oskarżenie.

– Nie, miałem bardzo męczący dzień. A kiedy wróciłem, zrobiłem sobie tylko kubek... cholera, całkiem o tym zapomniałem. – Podszedł do mikrofalówki, wyjął kubek ciemnej, zimnej herbaty i wylał ją razem z torebką.

Madeleine podeszła do zlewu, wyciągnęła torebkę i w wielce wymowny sposób wyrzuciła ją do kosza na śmieci.

– Ja też jestem zmęczona. – Przez chwilę w milczeniu kręciła głową. – Nie rozumiem, dlaczego ci idioci są przekonani, że budowa jakiegoś więzienia otoczonego drutem kolczastym, w samym środku najpiękniejszego krajobrazu w całym stanie, to genialny pomysł.

Teraz sobie przypomniał. Powiedziała mu rano, że chce jechać do miasta na spotkanie obywatelskie, gdzie raz jeszcze będzie omawiana ta kontrowersyjna propozycja. Tematem spotkania była decyzja, czy miasto powinno wziąć udział w konkursie na lokalizację instytucji, o której oponenti mówili „więzienie”, a poplecznicy – „centrum terapeutyczne”. Bitwa o nazewnictwo miała swoje źródło w niejasnym języku biurokracji, która określała ten pilotażowy projekt „instytucją nowej kategorii” nazywaną „stanowym środowiskiem terapeutyczno-wychowawczym”. Projekt zakładał dwa cele – separację i resocjalizację osób skazanych za przestępstwa związane z narkotykami. Język urzędników był trudny do pojęcia, zostawiał mnóstwo miejsca na interpretacje i spory.

W ich domowych dyskusjach ten temat był drażliwy, nie dlatego że on nie podzielał jej braku entuzjazmu co do lokalizacji nowej instytucji tuż za granicami Walnut Crossing, ale dlatego że nie włączał się w bitwę obywatelską tak mocno, jak według niej powinien.

– Kilkoro ludzi zrobi na tym szybkie pieniądze – powiedziała ponuro. –

Cała reszta mieszkańców doliny i wszyscy, którzy będą musieli przez nią przejeżdżać, będą do końca życia żałować. I po co? Żeby stworzyć tu ośrodek rehabilitacyjny dla bandy ćpunów i dilerów? Nie do wiary!

– Inne miasta się o to biją. Przy odrobinie szczęścia jedno z nich wygra.

Uśmiechnęła się delikatnie.

– Oczywiście, bo ich władze są jeszcze bardziej skorumpowane niż nasze. Jej zniecierpliwienie odebrał jako presję, postanowił podjąć próbę zmiany tematu.

– Mam zrobić omlety? – Przyglądał się przez chwilę, jak głód walczy w niej z zawziętością i gniewem. Zwyciężył głód.

– Ale bez papryki – ostrzegła. – Nie lubię papryki.

– To dlaczego ją kupujesz?

– Nie wiem. Na pewno nie na omlety.

– Chcesz z owocami morza?

– Bez owoców morza.

Nakryła do stołu, podczas gdy on ubijał jajka i nagrzewał patelnię.

– Chcesz coś do picia? – spytał.

Pokręciła głową. Wiedział, że nigdy nie pije nic przy posiłku, ale tak czy inaczej ją pytał. „Takie małe dziwactwo”, pomyślał.

Przy posiłku wymienili tylko kilka słów, a kiedy zjedli oboje, rytualnie przesunęli puste talerze w kierunku środka stołu.

– Opowiedz mi, jaki miałeś dzień – powiedziała.

– Mój dzień? Masz na myśli spotkanie z zespołem prowadzącym śledztwo w sprawie o zabójstwo?

– Nie jesteś pod wrażeniem.

– Wręcz przeciwnie, jestem. Jeżeli ktoś chciałby napisać książkę o dysfunkcyjnej współpracy zespołu, którym dowodzi kapitan z piekła rodem, mógłby włączyć dyktafon, postawić go na stole, a później przepisać słowo po słowie.

– Był gorszy niż ten, z którym pracowałeś przed emeryturą?

Nie spieszył się z odpowiedzią, nie dlatego że się nad nią zastanawiał, ale dlatego że wyczuł wymowną intonację słowa „emerytura”. Postanowił

jednak odpowiedzieć na jej pytanie, a nie na zaczepny ton.

– W Nowym Jorku było mnóstwo trudnych we współpracy ludzi, ale kapitan z piekła rodem działa na zupełnie innym poziomie arogancji i niedowartościowania. On nade wszystko chce wyrzeć dobre wrażenie na prokuratorze okręgowym, nie ma żadnego szacunku dla własnych ludzi, w ogóle nie czuje tego śledztwa. Każde jego pytanie, każdy komentarz jest albo nasycony wrogością, albo zupełnie chybiony, a przeważnie jedno i drugie naraz.

Spojrzała na niego, nad czymś się zastanawiając.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wzruszyła lekko ramionami. Wyglądało na to, że próbuje zapanować nad wyrazem twarzy, żeby nic nie można było z niego wyczytać.

– Mówię tylko, że nie jestem zdziwiona. Myślę, że gdybyś wrócił do domu i powiedział, że spędziłeś dzień z najlepszą ekipą dochodzeniową w swoim życiu, wtedy byłabym zaskoczona. I to wszystko.

Wiedział aż nadto dobrze, że to wcale nie wszystko. Był jednak na tyle rozumny, by pamiętać, że Madeleine jest bystrzejsza od niego i że nie ma sposobu, żeby namówić ją na rozmowę o tym, o czym nie ma ochoty rozmawiać.

– Cóż – powiedział – chodzi o to, że to całe spotkanie było wyczerpujące i nie napawa nadzieją. Teraz chciałbym o nim zapomnieć i zrobić coś zupełnie innego.

To stwierdzenie wygłosił bez namysłu i naraz poczuł w głowie kompletną pustkę. Przejście do robienia czegoś zupełnie innego nie było tak łatwe, jak się wydawało. Problemy tego dnia wciąż kołatały się w jego głowie, a szczególnie enigmatyczna reakcja Madeleine. W tym momencie znów pojawiła się myśl, z którą walczył cały tydzień, którą starał się wychnąć poza obszar uwagi, ale niezupełnie z serca. Tym razem całkiem nieoczekiwanie poczuł determinację, by zmierzyć się z tym, czego unikał.

– To pudełko... – zaczął.

Czuł, że ściska go w gardle, że głos ma chropawy, że zmusił się do

poruszenia tego tematu, nim chwyciły go szpony lęku, zaczął zdanie, zupełnie nie myśląc o tym, jak je skończy.

Spojrzała na niego znad pustego talerza – opanowana, zaciekawiona, pełna uwagi – czekała na to, co powie.

– Jego rysunki... Co... To znaczy dlaczego? Po co? – zdezorientowany próbował wyłonić z wiru wewnętrznego konfliktu jakieś racjonalne pytanie.

Wysiłki były daremne. Madeleine zawsze widziała w jego oczach to, co myślał, jeszcze zanim zdążył wypowiedzieć pytanie.

– Musimy się pożegnać. – Miała łagodny, swobodny głos.

Wpatrywał się w stół. Nie potrafił sformułować następnego pytania.

– Minęło już dużo czasu – powiedziała. – Danny’ego nie ma, a myśmy się z nim przecież jeszcze nie pożegnali.

Skinął głową niemal niewidocznie. Tracił poczucie czasu, miał dziwną pustkę w głowie.

Kiedy zadzwonił telefon, Gurney poczuł, jakby ktoś obudził go ze snu, wciągnął jednym szarpnięciem z powrotem do realnego świata – do świata znanych, mierzalnych i opisywalnych problemów. Madeleine wciąż siedziała z nim przy stole, a Gurney nie był pewien, jak długo to już trwa.

– Chcesz, żebym odebrała? – spytała.

– Nie, ja pójdę. – Zawahał się przez chwilę, był jak komputer, który się resetuje, później wstał i niepewnym krokiem poszedł do swojego pokoju.

– Gurney. – Meldowanie się przez telefon tak, jak to robił wiele lat w wydziale zabójstw, było trudnym do wykorzenia zwyczajem.

Głos, który go pozdrowił, był czysty, przyjacielski, sztucznie ciepły. Gurney przypomniał sobie starą regułę ludzi z działów sprzedaży. Zawsze się uśmiechaj, kiedy rozmawiasz przez telefon, bo dzięki temu wydasz się bardziej przyjazny.

– Dave, cieszę się, że cię zastałem! Mówi Sheridan Kline. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w kolacji.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przejdę od razu do rzeczy. Sądzę, że jesteś człowiekiem, z którym można być szczerym. Znam twoją reputację. Dziś po południu miałem

okazję przekonać się, czym na nią zasłużyłeś. Byłem pod wrażeniem. Mam nadzieję, że nie czujesz się zażenowany.

Gurney zastanawiał się, dokąd to wszystko prowadzi.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Nie miłe. Prawdziwe. Dzwonię, bo ta sprawa aż się prosi o kogoś z twoimi zdolnościami, a ja bardzo chciałbym znaleźć sposób, w jaki mogę wykorzystać twój talent.

– Wiesz, że jestem na emeryturze?

– Podobno. Jestem pewien, że nie chcesz wchodzić kolejny raz w to bagno. Nic takiego nie mam na myśli. Mam przecucie, że ta sprawa będzie ogromna, chciałbym mieć wsparcie w postaci twojego logicznego myślenia.

– Nie bardzo wiem, o co mnie prosisz.

– W idealnym modelu – odparł Kline – chciałbym, żebyś to ty odkrył, kto zabił Marka Mellery’ego.

– Czy nie po to powołano wydział zabójstw?

– Oczywiście. Jeśli będą mieli szczęście, w końcu im się uda.

– Ale?

– Ale chciałbym zwiększyć ich szanse. Ta sprawa jest zbyt ważna, żeby zostawić ją na łasce naszych zwykłych procedur. Chciałbym mieć asa w rękawie.

– Nie wiem, jaką miałbym tu grać rolę.

– Chyba nie za bardzo chciałbyś pracować w wydziale zabójstw. Nie martw się. Domyśliłem się, że Rod nie jest twoim faworytem. Nie, będziesz odpowiadał przede mną osobiście. Moglibyśmy załatwić jakiś etat inspektora śledczego albo konsultanta w biurze prokuratora okręgowego, co może bardziej by ci odpowiadało.

– O jakim czasie rozmawiamy?

– To zależy od ciebie. – Gurney nic nie powiedział, więc Sheridan mówił dalej. – Mark Mellery pewnie cię podziwiał i wierzył w ciebie. Poprosił cię o pomoc, chciał, żebyś zmierzył się z drapieżnikiem. Ja proszę cię o pomoc w walce z tym samym drapieżnikiem. Będę wdzięczny za wszystko, co mi zaoferujesz.

„Facet jest dobry – pomyślał Gurney. – Ma szczerą opracowaną aż do bólu”.

– Muszę o tym porozmawiać z żoną – powiedział. – Zostaw mi numer, na który mógłbym oddzwonić.

Uśmiech w głosie prokuratora okręgowego był istic amerykański.

– Podam ci mój numer domowy. Mam wrażenie, że wstajesz wcześniej, tak jak ja. Możesz dzwonić już od szóstej rano.

Kiedy Gurney wrócił do kuchni, Madeleine wciąż siedziała przy stole, ale już zupełnie w innym nastroju. Czytała „Timesa”. Usiadł na wprost niej tak, że widział za jej plecami starą kuchenkę opalaną drewnem. Patrzył niewidzącym wzrokiem, zaczął masować skronie, jakby decyzja, która przed nim stała, zależała od siły mięśni twarzy.

– To nietrudne, prawda? – powiedziała Madeleine, nie podnosząc wzroku znad gazety.

– Co takiego?

– To, nad czym się zastanawiasz.

– Prokurator okręgowy bardzo chciał, żebym mu pomógł.

– I dlaczego nie?

– Ktoś z zewnątrz w zwykłych warunkach nie mógłby wkroczyć w takie śledztwo.

– Ale ty nie jesteś jakimś zwykłym człowiekiem z zewnątrz, prawda?

– Chyba moje relacje z Mellerym o tym zadecydowały.

Przechyliła głowę na bok i prześwieciła go swoim wzrokiem niczym promieniami rentgenowskimi.

– Bardzo mi pochwalał – powiedział Gurney, próbując zrobić wrażenie człowieka, który nie jest łasy na komplementy.

– Prawdopodobnie tylko opisywał twoje różnorodne talenty.

– W porównaniu do kapitana Rodrigueza każdy wyglądałby dobrze.

Uśmiechnęła się, widząc jego pokorną postawę.

– Co ci proponuje?

– *Carte blanche*, prawdę mówiąc. Działałbym z ramienia jego biura. Musiałbym jednak uważać, żeby nikomu nie nastąpić na odcisk.



Powiedziałem mu, że podejmę decyzję jutro.

- Decyzję o czym?
- Czy zgadzam się na jego propozycję.
- Żartujesz sobie?
- Uważasz, że to zły pomysł?
- Pytam, czy żartujesz, że jeszcze nie podjąłeś decyzji?
- Sporo jest do rozważenia.
- Więcej niż myślisz, ale dla mnie to oczywiste, że przystaniesz na tę propozycję.

Wróciła do czytania gazety.

– Czy chcesz powiedzieć przez to coś więcej, niż myślę? – spytał po długiej chwili ciszy.

- Nasze wybory mają czasami konsekwencje, które trudno przewidzieć.
- Na przykład jakie?

Jej smutne spojrzenie powiedziało mu, że to głupie pytanie.

Po długiej chwili milczenia powiedział.

- Czuję, że jestem coś winien Markowi.

W jej spojrzeniu dostrzegł błysk ironii.

- Dlaczego tak dziwnie patrzysz?
- Powiedziałeś „Markowi”. Zawsze mówiłeś o nim po nazwisku.

## Nawiązywanie bliższej znajomości z prokuratorem okręgowym

Budynek, w którym znajdował się urząd hrabstwa, gościł administrację lokalną od 1935 roku, a wcześniej zwany był Zakładem dla Obłąkanych imienia George'a Bumblebee. Po wstał w 1899 roku dzięki hojności (i chorobie psychicznej, jak twierdzili spadkobiercy, lecz nikt ich nie słuchał) imigranta z Wielkiej Brytanii Sir George'a Bumblebee. Ponury budynek z czerwonej cegły, przeżeranej od stu lat sadzą i brudem, ponuro górował nad miejskim rynkiem. Znajdował się jakieś półtora kilometra od siedziby policji stanowej i ponad godzinę jazdy od Walnut Crossing.

Wnętrze robiło jeszcze bardziej przykre wrażenie niż fronton, ale z zupełnie innego powodu. W latach sześćdziesiątych budynek wybebeszono i zmodernizowano. Kryształowe kandelabry i dębowe panele zastąpiono oślepiającymi jarzeniówkami i białymi ścianami z płyty gipsowo-kartonowej. Przez umysł Gurneya przemknęła myśl, że ostre, jarzeniowe światło utrzymuje w ryzach obłąkane duchy poprzednich mieszkańców tego budynku – dziwne wrażenie, jeśli jest się osobą idącą negocjować szczegóły umowy o pracę, więc skupił się na tym, co Madeleine powiedziała rano, gdy wychodził.

– On cię potrzebuje bardziej niż ty jego.

Zastanawiał się nad jej słowami, kiedy czekał na przejście przez wymyślną portiernię w budynku prokuratury. Kiedy już go przepuszczono, szedł za strzałkami do drzwi z matowego szkła, na których eleganckimi czarnymi literami napisano: PROKURATOR OKRĘGOWY.

Wszedł do sekretariatu i siedząca za biurkiem kobieta spojrzała mu prosto w oczy. Gurney zawsze był zdania, że sekretarkę wybiera się z powodu jej kompetencji, seksapilu lub prestiżu. Kobieta siedząca za biurkiem posiadała wszystkie trzy zalety. Pomimo wieku, który wahał się w granicach pięćdziesiątki, jej włosy, skóra, makijaż, ubranie i figura były

tak nienaganne, że można było odnieść wrażenie, iż dbałość o wygląd jest dla niej niczym obowiązkiem religijnym. Taksujące spojrzenie, które mu posłała, było chłodne, a jednocześnie zmysłowe. Na małej miedzianej tabliczce stojącej na jej biurku było napisane: Ellen Rockoff.

Zanim któreś z nich zdążyło przemówić, otworzyły się drzwi po prawej stronie jej biurka i do sekretariatu wszedł Sheridan Kline. Uśmiechał się, próbując wykrzesać z siebie choć odrobinę ciepła.

– Punkt dziewiąta! Wcale mnie to nie dziwi. Mam wrażenie, że jesteś człowiekiem, który robi dokładnie to, co mówi.

– Łatwiej tak niż odwrotnie.

– Co takiego? O, tak, tak, oczywiście. – Uśmiech Kline’a był szerszy, lecz jakby mniej ciepły. – Wolisz kawę czy herbatę?

– Kawę.

– Ja też. Nigdy nie zrozumieję ludzi pijących herbatę. A bardziej lubisz psy czy koty?

– Chyba psy.

– Zauważyłeś kiedyś, że ludzie, którzy bardziej lubią psy, wolą również kawę? Herbata jest dla miłośników kotów.

Gurney nie uważał, by ten temat był godny głębszych przemyśleń. Kline gestem zaprosił go do swojego gabinetu, a następnie przedłużył ten gest w kierunku nowoczesnej skórzanej sofy, sam usadawiając się w podobnym do niej skórzanym fotelu po drugiej stronie niskiego szklanego stolika do kawy, i zamienił uśmiech na niemal komiczną minę mającą wyrażać bezgraniczną szczerłość.

– Dave, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zgodziłeś się nam pomagać.

– Zakładając oczywiście, że znajdzie się dla mnie odpowiednia rola.

Kline zamrugał powiekami.

– Chodzi o kwestię kompetencji, to obszar bardzo delikatny – powiedział Gurney.

– Zgadza się z tobą absolutnie. Będę mówił bez owijania w bawełnę.

Gurney uśmiechnął się uprzejmie.

– Ludzie w nowojorskiej policji mówią o tobie w samych superlatywach.

Jako oficer prowadziłeś wiele ważnych śledztw, byłeś człowiekiem kluczowym, kimś, kto wiązał wszystkie wątki, ale kiedy przychodziło do gratulacji, zawsze wskazywałeś kogoś innego, komu trzeba je złożyć. Mówi się o tobie, że miałeś największy talent i najmniejsze ego w całej nowojorskiej policji.

Gurney się uśmiechnął, ale nie dlatego, że usłyszał komplement, który – jak wiedział – był dobrze skalkulowany, ale z powodu wyrazu twarzy Kline’a, który wydawał się szczerze zdumiony tym, że ktoś nie chce wypinać piersi do orderów.

– Lubię tę robotę. Ale nie znoszę stać w świetle reflektorów.

Kline patrzył na niego przez dłuższą chwilę, jakby próbował zidentyfikować nieuchwytny zapach nowej potrawy, ale po chwili zrezygnował. Pochylił się do przodu.

– Powiedz mi, jak możesz wpłynąć na tę sprawę.

To było najważniejsze pytanie. Gurney rozmyślał nad tym, jak na nie odpowiedzieć, niemal przez całą podróż z Walnut Crossing.

– Jako konsultant-analityk.

– To znaczy właściwie kto?

– Ekipa dochodzeniowa jest odpowiedzialna za zbieranie, przeglądanie i magazynowanie dowodów, przesłuchiwanie świadków, podążanie za tropami, sprawdzanie alibi i formułowanie hipotez roboczych dotyczących tożsamości, działań i motywów zabójcy. Ten ostatni element jest kluczowy i tu właśnie mógłbym wiele zrobić.

– W jaki sposób?

– Przyglądając się faktom, skomplikowanej sytuacji i proponując rozsądne i wyczerpujące wyjaśnienie. Tylko w tym byłem naprawdę dobry.

– Szczerze wątpię, czy tylko w tym.

– Inni ludzie są lepsi w przesłuchiwaniu świadków, odkrywaniu dowodów na miejscu przestępstwa...

– Na przykład kul, których nie wiadomo, gdzie szukać?

– To był szczęśliwy traf. Zazwyczaj jest ktoś lepszy ode mnie w każdym konkretnym fragmencie śledztwa. Ale kiedy chodzi o układanie tych

wszystkich elementów, zrozumienie, co ma znaczenie, a co nie, w tym jestem na prawdę dobry. Kiedy pracowałem nad sprawą, nie zawsze miałem rację, ale na tyle często, że to o czymś świadczy.

– Więc masz w końcu ego.

– Można to tak nazwać. Znam swoje ograniczenia i mocne strony.

Po całych latach przesłuchań wiedział również, jak pewne typy osobowości reagują na pewne postawy, i w przypadku Kline'a się nie mylił. W jego spojrzeniu było coś, co trudno było opatrzyć inną etykietą.

– Powinniśmy teraz omówić twoje wynagrodzenie – mówił Kline. – Chcę zaproponować stawkę godzinową, jaką wynagradzamy konsultantów, czyli siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę plus wydatki, oczywiście w ramach rozsądku, zaczynając od dziś.

– W porządku.

Kline wyciągnął rękę gestem rasowego polityka.

– Cieszę się, że będziemy razem pracować. Ellen przygotowała pakiet formularzy, zezwoleń, oświadczeń i klauzul poufności. Jeżeli chcesz czytać wszystko, co będziesz podpisywał, to pewnie zabierze ci to trochę czasu. Pokażę ci pokój, który możesz zająć. Są pewne szczegóły, które będziemy musieli dopracować w miarę postępów śledztwa. Będę cię osobiście informował o wszelkich nowych dowodach, o których doniosą śledczy lub moi ludzie, i będę cię zapraszał na narady robocze takie, jak wczoraj. Jeśli będziesz chciał rozmawiać ze śledczymi, załatw to przez moje biuro. Rozmowy ze świadkami, podejrzanymi, interesującymi cię osobami tak samo, przez moje biuro. Zgadzasz się?

– Tak.

– Jesteś oszczędny w słowach. Ja też. Teraz, kiedy już pracujemy razem, pozwól, że cię o coś zapytam. – Kline oparł się w fotelu i złączył czubki palców obu dłoni, żeby pokazać, że to pytanie ma swój ciężar gatunkowy. – Jak sądzisz, dlaczego ktoś miałby kogoś najpierw zastrzelić, a później czternaście razy dźgnąć zbitą butelką?

– Duża ilość ciosów zazwyczaj sugeruje, że ktoś działa pod wpływem furii albo zupełnie z zimną krwią i próbuje stworzyć wrażenie wściekłości.

Dokładna liczba może być zupełnie bez znaczenia.

– Ale najpierw zastrzelić...

– Powiedziałbym, że celem ciosów nie było zabicie.

– Tego nie rozumiem – powiedział Kline, przechylając głowę w bok, jak ciekawskie zwierzątko.

– Do Mellery’ego strzelono z bardzo małej odległości. Kula rozerwała tętnicę szyjną. Na śniegu nie było śladów wskazujących na to, że broń porzucono. A zatem zabójcy musiało zająć chociaż chwilę zdjęcie z lufy materiału, którym ją owinął, żeby stłumić odgłos wystrzału, i schowanie broni do kieszeni lub kabury, zanim sięgnął po zbitą butelkę i nachylił się, żeby dźgnąć leżącą na śniegu, nieprzytomną ofiarę. W tym momencie z rany w tętnicy dramatycznie tryskała krew. Więc po co zadawać sobie trud i dźgać go butelką? Nie chodziło o zabicie ofiary, która była już martwa. Nie, celem sprawcy było albo ukrycie dowodu, jakim był postrzał...

– Dlaczego? – spytał Kline, znów pochylając się w fotelu.

– Nie wiem dlaczego. To tylko jedna z możliwości. Bardziej prawdopodobne jest jednak, zważywszy na treść listów, które poprzedzały atak, i to, że zadał sobie trud przyniesienia na miejsce zbrodni zbitej butelki, że ciosy miały jakieś znaczenie rytualne.

– Satanistyczne? – udawany przestach na twarzy Kline’a ledwo ukrywał jego apetyt na medialne wykorzystanie takiego motywu.

– Wątpię. Chociaż te listy są dość szalone, nie wydaje mi się, żeby szaleństwo brało się z tego właśnie źródła. Nie, mówiąc „rytualne”, mam na myśli to, że dokonanie tego morderstwa w pewien konkretny sposób było dla niego ważne.

– Jakaś fantazja dotycząca zemsty?

– Niewykluczone – odparł Gurney. – To nie byłby pierwszy zabójca, który miesiącami wyobrażał sobie, co zrobi, kiedy będzie miał okazję spotkać się z ofiarą.

Kline czymś się niepokoił.

– Jeżeli kluczową częścią tego ataku były ciosy butelką, po co zawracać sobie głowę bronią?

– To natychmiast obezwładnia ofiarę. Chciał mieć pewność, a broń to pewniejszy sposób niż stłuczona butelka. Po tak długim okresie planowania, kiedy wreszcie przystąpił do dzieła, nie chciał popełnić najmniejszego błędu.

Kline skinął głową, a później przeszedł do następnego elementu układanki.

– Rodriguez upiera się, że mordercą jest jeden z gości.

Gurney się uśmiechnął.

– Który?

– Jeszcze nie jest gotów tego ujawnić, ale tak obstawia. Nie zgadzasz się z takim założeniem?

– Myśl nie jest całkowicie pozbawiona sensu. Goście mieszkali na terenie Instytutu, co umieszcza ich może nie na miejscu zbrodni, ale przynajmniej blisko. To z pewnością zbieranina dziwaków: narkomani, ludzie z zaburzeniami emocjonalnymi, przynajmniej jeden z nich silnie związany z mafią.

– Ale?

– Są problemy natury praktycznej.

– Na przykład?

– Przede wszystkim odciski i ślady stóp oraz alibi. Wszyscy są zgodni, że śnieg zaczął padać o zmierzchu i sypał aż do północy. Ślady butów mordercy pojawiły się od strony szosy, ale dopiero wtedy, kiedy już zupełnie przestało padać.

– Skąd ta pewność?

– Ślady zostały odbite na śniegu, ale już nie były przykryte świeżym. Jeżeli był to jeden z gości, musiałyby wyjść z głównego budynku, zanim zaczęło padać, bo nie ma śladów prowadzących ze strony domu.

– Innymi słowy...

– Innymi słowy, kogoś musiałyby nie być od zmierzchu aż do północy. Ale wszyscy byli.

– Skąd to wiadomo?

– Oficjalnie nic nie wiem. Powiedzmy, że usłyszałem pogłoskę od Jacka

Hardwicka. Zgodnie z tym, co wynika z podsumowania przeprowadzonych rozmów, każdego z gości widziało przynajmniej sześcioro innych w różnych porach tamtego wieczoru. Wszyscy goście byli obecni, chyba że jak jeden mąż kłamią.

Kline niechętnie odrzucił możliwość, że wszyscy łżą.

– Może ktoś, kto był w domu, miał pomocnika – po wiedział .

– To znaczy, że ktoś, kto był wtedy na terenie posiadłości, wynajął płatnego zabójcę?

– Coś w tym guście.

– To po co w ogóle miałyby tam być?

– Nie rozumiem.

– Jedyne powód, dla którego obecnie przebywający w Instytucie goście są podejrzani, jest taki, że byli blisko miejsca zbrodni. Jeśli ktoś chciałby wynająć płatnego mordercę, który ma nadejść z zewnątrz i zabić ofiarę, po co być tak blisko miejsca przestępstwa?

– Adrenalina?

– Można by snuć takie przypuszczenia – powiedział Gurney z oczywistym brakiem entuzjazmu w głosie.

– Dobrze, zapomnijmy na razie o gościach – zgodził się Kline. – A może to sprawka mafii, a nie żadnego z gości Instytutu?

– Czy to teoria numer dwa kapitana Rodrigueza?

– Sądzi, że to możliwe. Widzę z twojego wyrazu twarzy, że jesteś przeciwnego zdania.

– Nie widzę w tym żadnej logiki. Uważam, że nawet Patty'emu Cakesowi nie przyszłoby do głowy takie rozwiązanie, przecież jest jednym z gości Instytutu. Przede wszystkim nie wiadomo o niczym, co miałyby wystawić Marka Mellery'ego na celownik mafii...

– Chwileczkę. Przypuśćmy, że nasz guru skłonił jednego z gości, kogoś takiego jak Patty Cakes, żeby coś mu wyznał, no wiesz, aby odnaleźć wewnętrzną harmonię, spokój ducha, czy cokolwiek tam Mellery ludziom sprzedawał.

– No i...?



– No i może później, już w domu, facet zaczyna kombinować, że może się trochę pospieszył z tą otwartością i uczciwością. Harmonia z wszechświatem jest fantastyczna, ale z drugiej strony może nie warto ryzykować, że ktoś może mieć informacje lub wiedzieć coś, przez co znajdziesz się po szyję w bagnie. Może ten zły facet, już daleko od naszego guru i jego czaru, zaczyna myśleć bardziej praktycznie. Może wynajmuje kogoś, żeby wyeliminować ryzyko, na które się naraził.

– To interesująca hipoteza.

– Ale?

– Ale nie ma na świecie żadnego płatnego mordercy, któremu chciałoby się bawić w takie łamigłówki, z którymi mamy do czynienia w przypadku tej konkretnej zbrodni. Ludzie, którzy zabijają dla pieniędzy, nie zawieszają butów na gałęzi drzewa i nie zostawiają poematów na ciałach ofiar.

Przez chwilę zapowiadało się, że Kline będzie się chciał z tym poglądem spierać, ale z zamyślenia wyrwało go krótkie pukanie, po którym otworzyły się drzwi. Szczupła postać z sekretariatu, siedząca wcześniej za biurkiem, weszła do środka, niosąc lakierowaną tackę, na której stały dwie porcelanowe filiżanki i spodeczki, elegancki dzbanek do kawy, delikatna cukiernica i mlecznik oraz talerzyk z fabryki Wedgewood, na którym leżały cztery włoskie biszkopciki. Postawiła tacę na stoliku do kawy.

– Dzwonił Rodriguez – powiedziała, spoglądając na Kline’a, a później dodała, jakby odpowiadając na telepatycznie zadane pytanie. – Jest w drodze i będzie tutaj za kilka minut.

Kline spojrzał na Gurneya, jakby starał się z jego wyrazu twarzy odczytać jakąś reakcję.

– Rod już do mnie dzwonił – powiedział, usprawiedliwiając się. – Bardzo chciał wyrazić swoją opinię na temat śledztwa. Powiedziałem mu, żeby wpadł, jak ty będziesz. Chcę, żeby wszyscy wszystko wiedzieli w tym samym czasie. Im więcej będziemy mieć informacji, tym lepiej. Żadnych tajemnic.

– To świetny pomysł – powiedział Gurney, podejrzewając, że motywy

decyzji Kline'a nie mają nic wspólnego z otwartością i szczerością, bliżej im do chęci wywołania konfliktu i konfrontacji.

Sekretarka Kline'a wyszła z gabinetu, ale Gurney uchwycił jeszcze jej tajemniczy uśmiech, który potwierdzał jego własny pogląd na sytuację.

Kline nalał im obu kawy. Porcelana wyglądała na zabytkową i drogą, ale nie obchodził się z nią ani z ostrożnością, ani z dumą, co jeszcze bardziej wzmocniło przekonanie Gurneya, że to cudowne dziecko prokuratury jest dobrze urodzone, a praca w wymiarze sprawiedliwości jest tylko stopniem do stosowniejszej kariery dla patrycjusza. Co takiego Hardwick szepnął mu wczoraj na ucho? Coś o tym, że Kline chce być gubernatorem? Może stary cynik Hardwick znów miał rację. A może Gurney za dużo próbował odczytać ze sposobu, w jaki siedzący przed nim mężczyzna trzymał filiżankę kawy.

– A tak *à propos* – powiedział Kline, rozpierając się w fotelu – ta kula w ścianie to wcale nie był kaliber dziewięć milimetrów, jak wszyscy myśleli. To było przypuszczenie na podstawie rozmiaru otworu, który znaleźli, zanim wygrzebali pocisk. Specjaliści od balistyki mówią, że to nabój .38 Special.

– To dziwne.

– Okazuje się, że to dość powszechny kaliber. Standardowy w broni krótkiej policji do lat osiemdziesiątych.

– Kaliber powszechny, ale wybór dziwny.

– Nie rozumiem.

– Zabójca tak się starał, żeby stłumić odgłos wystrzału, żeby zrobić jak najmniej hałasu. Jeżeli o to by mu chodziło, .38 Special to dziwaczna broń. Pistolet kaliber pięć i pół milimetra byłby znacznie lepszy.

– Może tylko taką bronią dysponował.

– Może.

– Ale tak nie uważasz?

– To perfekcjonista. Musiał być pewien, że ma odpowiednią broń.

Kline spojrzał na Gurneya wzrokiem prokuratora na sali rozpraw.

– Sam sobie przeczysz. Najpierw powiedziałeś, że z dowodów wynika, że

zabójca chciał wytłumić odgłos wystrzału. Później powiedziałaś, że nie najlepiej wybrał do tego broń. A teraz mówisz, że to facet, który nigdy by się na niewłaściwą broń nie zdecydował.

– Stłumienie wystrzału było ważne. Ale może było coś jeszcze ważniejszego.

– Na przykład?

– Jeśli w tej sprawie występuje aspekt rytualny, to jego częścią mógłby być wybór broni. Obsesja, żeby morderstwa dokonać w pewien określony sposób, może być ważniejsza niż chęć ściszenia wystrzału. Zrobił to w sposób, do jakiego był wewnętrznie zmuszony, i najlepiej, jak potrafił, poradził sobie ze stłumieniem dźwięku.

– Kiedy mówisz o rytuałach, zaczyna mi się rysować obraz jakiegoś psychologa. Uważasz, że jest kompletnie popieprzony?

– Wariat? Tego bym nie powiedział, bo to bezużyteczne sformułowanie – powiedział Gurney. – Jeffreya Dahmera uznano za w pełni poczytalnego, a zjadał swoje ofiary. Davida Berkowitza uznano za poczytalnego, a zabijał ludzi, bo tak mu kazał Szatan we wcieleniu psa.

– Uważasz, że właśnie z czymś takim mamy tu do czynienia?

– Niezupełnie. Nasz zabójca jest owładnięty pragnieniem zemsty i ma jakąś obsesję, na tyle dużą, że jest emocjonalnie zaburzony, ale prawdopodobnie nie tak bardzo, by jeść części ciała swoich ofiar albo słuchać rozkazów piekielnego psa. Jest z pewnością chory psychicznie, ale w jego listach nie ma niczego, co potwierdzałoby kryteria psychozy, o których mowa w podręcznikach psychiatrii, czy też w klasyfikacji DSM<sup>[2]</sup>.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Kline zmarszczył brwi, zamyślił się i wydał wargi, jakby szacował opinię Gurneya, a może po prostu próbował wyglądać na kogoś, kogo nie można wyprowadzić z równowagi zwykłym pukaniem do drzwi.

– Proszę – powiedział w końcu donośnym głosem.

Otworzyły się drzwi i wszedł Rodriguez. Nie udało mu się całkowicie ukryć dezaprobaty dla obecności Gurneya w gabinecie Kline'a.

– Rod! – powiedział Kline donośnie. – Dobrze, że wpadłeś. Siadaj.

Celowo omijając kanapę, na której siedział Gurney, kapitan wybrał fotel naprzeciw biurka Kline'a. Prokurator okręgowy uśmiechnął się od ucha do ucha. Gurney zgadywał, że z radością oczekuje pojedynku na hipotezy.

– Rod chciał wpaść, żeby podzielić się swoją opinią o śledztwie. – Głos Kline'a brzmiał tak, jakby ten stał na rynku i przedstawiał sobie walczących.

– Bardzo się z tego cieszę – powiedział łagodnym tonem Gurney, jednak nie na tyle łagodnym, by sprowokować Rodrigueza do odebrania tego jako maskowanej prowokacji. On nie potrzebował już więcej zachęty do tego, by podzielić się swoim punktem widzenia.

– Wszyscy myślą o drzewach – powiedział na tyle głośno, że słychać by go było w każdym kącie znacznie większego pomieszczenia niż gabinet Kline'a – a zapominamy o lesie!

– O lesie, to znaczy...? – dopytywał się Kline.

– Las stwarza pole możliwości. Wszyscy się wkręcają w spekulacje o motywach i w jakieś szczególne metody. A to nas odciąga od kwestii najważniejszej: od tego, że mamy do czynienia z budynkiem pełnym narkomanów i kryminalistów, którzy mieli łatwy dostęp do ofiary.

Gurney zastanawiał się, czy reakcja kapitana była wynikiem jego odczucia, że traci kontrolę nad sprawą i uważa to za zagrożenie, czy też jest w tym coś więcej.

– Co w takim razie powinniśmy zrobić? – pytał dalej Kline.

– Kazałem raz jeszcze przesłuchać wszystkich gości i dokładnie sprawdzić ich życiorysy. Przyjrzymy się każdej działalności i wszystkim faktom z ich podejrzanych biografii. Mówię wam tu i teraz, to zrobił jeden z nich, a odkrycie który, to tylko kwestia czasu.

– Co ty na to, Dave? – ton Kline'a był nieco zbyt obojętny, wydawało się, że próbował ukryć zadowolenie z tego, że prowokuje spór.

– Ponowne przesłuchanie świadków i analiza ich życiorysów z pewnością się przydadzą – powiedział Gurney bez przekonania.

– Przydadzą się, ale nie są konieczne?

– Tego się nie dowiemy, dopóki nie podejmiemy tych kroków. Dobrze

byłoby zbadać też kwestię sposobności lub dostępu do ofiary w szerszym kontekście, na przykład przyjrzeć się motelom, pensjonatom w najbliższej okolicy, które mogłyby być równie wygodnym lokum dla mordercy jak pokoje gościnne w Instytucie.

– Stawiam na to, że to jeden z gości – powiedział Rodriguez. – Kiedy w wodzie pełnej rekinów ginie pływak, to nie dlatego że porywa go przemykający obok facet na nartach wodnych. – Niechętnie patrzył na Gurneya, którego uśmiech zinterpretował jako wyzwanie. – Trzeba stanąć mocno na nogach i realistycznie spojrzeć na fakty!

– Przyglądamy się motelom i pensjonatom, Rod? – spytał Kline.

– Przyglądamy się wszystkiemu.

– Dobrze. Dave, czy jest coś jeszcze na twojej liście priorytetów?

– Nic, czego byśmy obecnie nie badali. Analiza laboratoryjna śladów krwi; obce włókna na ciele i wokół miejsca, gdzie je znaleziono; marka, dostępność i szczególne cechy butów; analiza balistyczna i ślady na kuli; analiza nagrania audio rozmowy sprawcy z Mellerym, a zwłaszcza dokładne zbadanie odgłosów tła i zlokalizowanie wieży przekaźnikowej, jeżeli to była rozmowa z komórki; zapisy rozmów przez telefony komórkowe i stacjonarne gości instytutu; analiza grafologiczna listów, identyfikacja papieru i atramentu; stworzenie profilu psychologicznego na podstawie listów, rozmowy i okoliczności zabójstwa; porównanie z bazą danych FBI pod kątem rodzajów wysuwanych gróźb. Sądzę, że to byłoby wszystko. Zapomniałem o czymś, kapitanie?

Zanim Rodriguez odpowiedział, a wcale mu się do odpowiedzi nie spieszyło, sekretarka Kline'a otworzyła drzwi i weszła do gabinetu.

– Przepraszam, panie prokuratorze – powiedziała z usługowością w głosie, która była tak wyeksponowana, by przede wszystkim dostrzegli ją goście. – Jest tu pani sierżant Wigg, chciałaby rozmawiać z kapitanem.

Rodriguez zmarszczył czoło.

– Proszę ją przysłać – powiedział Kline, którego apetyt na konfrontację wydawał się coraz bardziej zaostrzać.

Ruda nieokreślonej płci, którą pamiętał z narady z ekipą śledczą, weszła

do gabinetu w tej samej nieokreślonej granatowej garsonce, niosąc pod pachą ten sam laptop.

– Czego chcesz, Wigg? – spytał Rodriguez, bardziej poirytowany niż zaintrygowany.

– Odkryliśmy coś, panie kapitanie, i uznałam, że to jest na tyle ważne, żeby z tym przyjść.

– Tak?

– Chodzi o buty, panie kapitanie.

– O buty?

– O te buty na drzewie, panie kapitanie.

– No i co?

– Mogę to położyć na stoliku? – spytała Wigg, wskazując na laptop.

Rodriguez spojrział na Kline'a. Kline skinął głową.

Trzydzieści sekund i kilka uderzeń w klawiaturę później trzech mężczyzn patrzyli na podzielony na pół ekran ze zdjęciami czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na identyczne ślady butów.

– Te po lewej to rzeczywiste ślady z miejsca zbrodni. Te po prawej to odciski, które zrobiliśmy w tym samym śniegu butami zdjętymi z drzewa.

– A zatem buty, które zostawiły ślady na śniegu, to te same buty, które znaleźliśmy na drzewie. Nie musiała pani jechać taki kawał drogi, żeby nas o tym powiadomić.

Gurney nie mógł się powstrzymać przed komentarzem.

– Sądzę, że sierżant Wigg przyjechała, żeby nam powiedzieć coś wręcz przeciwnego.

– Czy zatem buty na drzewie to nie są te same buty, które miał na sobie zabójca? – spytał Kline.

– Ale to nie ma żadnego sensu – powiedział Rodriguez.

– Niewiele elementów tej sprawy ma jakikolwiek sens – dorzucił Kline. – Pani sierżant?

– Buty są tej samej marki, w tym samym stylu i w tym samym rozmiarze. Obie pary są fabrycznie nowe. Ale są to zdecydowanie dwie różne pary. Śnieg, a zwłaszcza śnieg dobrze zamrożony, jest idealnym

materiałem rejestrującym szczegóły. Szczegół, o który nam w tym przypadku chodzi, to małe zniekształcenie na tej części bieżnika. – Wskazała zaostrzonym ołówkiem niemal niewidoczny, nieco uniesiony nad powierzchnię gumy fragment na pięcie buta z prawej, tego z drzewa.

– To zniekształcenie, które prawdopodobnie powstało podczas produkcji, występuje na każdym z odcisków, które robiliśmy tym butem, ale na żadnym z odcisków na miejscu zbrodni. A zatem jedyne logiczne wyjaśnienie to takie, że są to ślady różnych butów.

– Na pewno mogą być jeszcze inne wyjaśnienia – powiedział Rodriguez.

– Co pan ma na myśli, panie kapitanie?

– Wskazuję tylko na prawdopodobieństwo, że coś przeoczyliście.

Kline odchrząknął

– Na razie przyjmijmy, że sierżant Wigg ma rację i mamy do czynienia z dwiema różnymi parami butów: jedne miał na sobie sprawca, a drugie wisiały na drzewie tam, gdzie urwały się ślady. Co to może oznaczać? Co nam to mówi?

Rodriguez niechętnie spojrział na ekran komputera.

– Nic, co moglibyśmy wykorzystać do ujęcia mordercy.

– A co ty o tym sądzisz, Dave?

– Ja widzę tutaj tę samą rzecz, która jest przekazana w notatce pozostawionej na ciele ofiary. To jest ta sama myśl, ale inaczej wyrażona. Mówi: „Złapcie mnie, jeżeli potraficie, ale nie potraficie, bo jestem za sprytny”.

– Jak to możliwe, że ze znalezienia drugiej pary butów wynika taka myśl? – W głosie Rodrigueza pobrzmiwał gniew.

Gurney odpowiadał z niezachwianym spokojem. Senny głos był jego charakterystyczną reakcją na gniew, odkąd pamiętał.

– Sam ten fakt nie mówi niczego, dodajmy go jednak do innych dziwnych szczegółów całej historii, i wyłania nam się obraz skomplikowanej gry.

– Jeżeli to jest gra, a jej celem jest odwrócenie naszej uwagi, to mu się udaje – rzucił złośliwie Rodriguez.

Gurney nie odpowiedział i po chwili Kline zaczął zachęcać go, żeby mówił dalej.

– Mam wrażenie, że się z tym nie zgadzasz.

– Uważam, że ta gra to coś więcej niż próba odwrócenia uwagi. Uważam, że w tym tkwi sedno sprawy.

Rodriguez z wyrazem niechęci na twarzy wstał z fotela.

– Jeżeli już mnie nie potrzebujesz, Sheridan, muszę wracać do pracy.

Wyszedł, ponuro ścisnąwszy Kline'owi rękę, a za nim, odczekawszy chwilę, wyszła sierżant Wigg. Kline maskował reakcję na to, że Rodriguez tak niezręcznie się pożegnał.

– Powiedz mi więc – powiedział po chwili, pochylając się w kierunku Gurneya – co powinniśmy zrobić, a czego jeszcze nie robimy? Widzę, że oceniasz sytuację inaczej niż Rod.

Gurney wzruszył ramionami.

– Nie ma nic złego w tym, by przyjrzeć się bliżej gościom. Prędzej czy później trzeba byłoby to zrobić. Kapitan jednak za bardzo liczy na to, że dzięki temu dojdzie do jakiegoś aresztowania.

– Uważasz, że to strata czasu?

– Jest to konieczny proces eliminacji. Po prostu sędzę, że żaden z gości nie jest zabójcą. Kapitan wciąż podkreśla znaczenie sposobności, że niby bardzo wygodnie zabójcy było przebywać na terenie Instytutu. Jednak ja widzę to inaczej, nie wydaje mi się, by mordercą był ktoś z gości, ryzykowałby, że zostanie nakryty, i miałby zbyt wiele do ukrycia. Gdzie trzymałby plastikowe krzeselko, buty, butelkę i broń? Ryzyko i komplikacje byłyby dla tych ludzi nie do przyjęcia.

Kline uniósł pytająco brwi i Gurney mówił dalej.

– Na osi osobowości od zdeorganizowanej do zorganizowanej ten facet jest poza skalą po stronie organizacji. Jego przywiązanie do szczegółów jest wręcz niespotykane.

– Masz na myśli na przykład wyjęcie kolorowych części siedziska i oparcia krzeselka i zastąpienie ich białym plastikiem, żeby zmniejszyć widoczność samego krzeselka na tle śniegu?



– Tak. Jest bardzo opanowany i sprawnie działa pod presją. Nie uciekał z miejsca zbrodni, po prostu odszedł spacerkiem. Ślady stóp od patio do lasu wskazują na krok tak niespieszny, że można by pomyśleć, iż spacerował, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Ale szal dżgania ofiary zbitą butelką po whisky nie jest dla mnie oznaką opanowania.

– Gdyby doszło do tego w jakimś barze, może miałbyś rację. Pamiętaj jednak, że butelkę wcześniej starannie przygotowano i umyto, żeby usunąć odciski palców. Powiedziałbym, że wrażenie szaleństwa było zaplanowane w tym samym stopniu, co wszystko inne.

– Dobrze – przytaknął mu Kline, powoli wymawiając słowa. – Jest chłodny, spokojny i zorganizowany. Co jeszcze?

– Jest perfekcjonistą, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób komunikowania się ze światem. Odczytany, ma wycucie językowe i wie, co to metrum. Powiem nawet więcej, w wierszach jest ten rodzaj staranności, która charakteryzuje niekiedy osoby z pierwszego w rodzinie pokolenia ludzi wykształconych.

– O czym ty, na Boga, mówisz?

– Wykształcone dziecko niewykształconych rodziców, które za wszelką cenę chce osiągnąć coś więcej. Ale tutaj trochę fantazjuję, bo na to nie ma żadnych realnych dowodów.

– Coś jeszcze?

– Maniery człowieka łagodnego, ale przepelnionego nienawiścią.

– I uważasz, że to żaden z gości?

– Nie. Z punktu widzenia tego typu osobowości zalety fizycznej bliskości ofiary byłyby znacznie mniejsze niż wady narażenia się na zwiększone ryzyko.

– Jest pan bardzo logicznie myślącym człowiekiem, detektywie Gurney. Ale czy zabójca jest równie logiczny?

– Tak, niewątpliwie. Równie logiczny, co patologiczny. I poza skalą, zarówno w przypadku jednej, jak i drugiej miary.

---

---

[2] Klasyfikacja zaburzeń psychicznych według Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

## Z powrotem na miejscu zbrodni

Wracając z biura Kline'a, Gurney przejeżdżał przez miasto Peony i postanowił zatrzymać się w Instytucie.

Tymczasowa legitymacja, którą dała mu sekretarka Kline'a, pozwoliła mu bez żadnych pytań przejść obok cerbera w mundurze policyjnym, który stał przy bramie. Gurney wdychał lodowate powietrze. Zdał sobie sprawę, że ten dzień jest bardzo podobny do poranka po morderstwie. Warstwa śniegu, który tymczasem częściowo się roztopił, znów pokrywała okolicę. Tak jak zwykle w górach Catskill nocą prószył śnieg i zasypał świeżym puchem cały krajobraz.

Gurney postanowił raz jeszcze przejść drogą, którą przebył morderca, mając nadzieję, że zauważy wokół siebie coś, czego przedtem nie dostrzegł. Ruszył wzdłuż podjazdu, przez parking i wokół stodoły, gdzie znaleziono plastikowe krzeselko. Rozejrzał się dookoła, próbując zrozumieć, dlaczego zabójca wybrał właśnie to miejsce i dlaczego ustawił tu krzeselko. Dźwięk otwieranych i zatraskiwanych drzwi i znany mu chropawy głos przerwał tok jego myśli.

– Jezus Maria! Powinniśmy tu wezwać lotnictwo i kazać zbombardować to cholerstwo.

Gurney postanowił, że się ujawni, i wyszedł zza żywopłotu oddzielającego stodołę od patio na tyłach domu. Przywitały go nieprzyjazne spojrzenia sierżanta Hardwicka i drugiego policjanta, podobnego do Toma Cruise'a.

– Czego ty tu, do diabła, szukasz? – spytał Hardwick.

– Tymczasowy układ z prokuratorem okręgowym. Chciałem raz jeszcze przyjrzeć się miejscu zbrodni. Nie przeszkadzajcie sobie, pomyślałem tylko, że powinniście wiedzieć, że tu jestem.

– W krzakach?

– Za stodołą. Stałem tam, gdzie siedział morderca.

– Po co?

– Lepiej byłoby zapytać, po co on tam usiadł.

Hardwick wzruszył ramionami.

– Czaił się w ciszy? Zrobił sobie przerwę na papierosa i usiadł na tym durnym plastikowym krzeselku? Czekał na właściwy moment?

– A jaki moment byłby właściwy?

– Co to za różnica?

– Nie wiem. Ale po co miałby tam czekać? I dlaczego miałby się tam pojawiać tak wcześnie, że aż musiał przynieść ze sobą krzeselko?

– Może chciał poczekać, aż Mellery i jego żona pójdą spać. Może chciał się przyczaić, aż w domu zgasną światła.

– Caddy Mellery mówiła, że poszli spać i zgasili światła kilka godzin wcześniej. A telefon, który ich obudził, to prawie na pewno był telefon od mordercy, to znaczy, że chciał, żeby się obudzili, a nie spali. Gdyby chciał wiedzieć, czy światła zgasły, czy nie, po co miałby ustawiać się w jednym z niewielu miejsc, z których nie widać okien na górze? Prawdę mówiąc, z miejsca, gdzie stało krzeselko, w ogóle ledwo widać dom.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – wypalił Hardwick, w którego głosie było tyle samo niechęci, ile niepewności w oczach.

– To znaczy, że albo jest bardzo sprytny i wszystko starannie przygotowuje, również to, co jest bez sensu, albo naszą rekonstrukcję wydarzeń możemy sobie schować.

Blatt, który śledził tę wymianę zdań jak turniej tenisowy, teraz niemo wpatrywał się w Hardwicka, który miał taki wyraz twarzy, jakby nagle poczuł w ustach nieprzyjemny smak.

– Mógłbyś się rozejrzeć za jakąś kawą?

Blatt wydał usta, co miało być wyrazem skargi, że go się odsyła, ale zawrócił do domu, prawdopodobnie po to, żeby zrobić to, co mu kazano.

Hardwick nie spieszył się z zapaleniem papierosa.

– Jest coś jeszcze, co nie ma sensu. Przyglądałem się raportowi z danymi o odciskach butów na śniegu. Odległości między śladami butów, które prowadzą od szosy do miejsca za stodołą, w którym stało krzeselko, są

mniej więcej siedem centymetrów większe niż między śladami butów prowadzącymi od ciała do lasu.

– To znaczy, że sprawca szedł szybciej na miejsce zbrodni, niż kiedy je opuszczał?

– Właśnie.

– Więc bardziej mu się spieszyło, żeby dostać się za stodołę i usiąść na krześle, niż żeby zniknąć z miejsca zbrodni?

– Tak Wigg interpretuje te dane, a mnie nic innego nie przychodzi do głowy.

Gurney pokręcił głową.

– Mówię ci, Jack, patrzymy przez policyjne soczewki na zamglony obraz. A tak przy okazji, jest jeszcze jedna dziwna rzecz, która nie daje mi spokoju. Gdzie dokładnie znaleziono butelkę po whisky?

– Jakieś trzydzieści metrów od ciała, przy śladach prowadzących od miejsca zbrodni.

– A dlaczego tam?

– Bo tam ją rzucił. Co masz na myśli?

– Po co aż tak daleko niósł zbitą butelkę? Dlaczego nie zostawił jej przy zwłokach?

– Przeoczenie. Był podekscytowany, nie zdawał sobie sprawy z tego, że trzyma butelkę w ręce. Kiedy to zauważył, rzucił ją w śnieg. Nie widzę żadnego problemu.

– Może i masz rację. Ale ślady na śniegu są bardzo regularne, niespieszne, jak gdyby wszystko szło według planu.

– O co ci, do cholery, chodzi? – Hardwick wykazywał oznaki frustracji człowieka, który próbuje utrzymać zakupy w rozdartej plastikowej torbie.

– Wszystko w tej sprawie jest tak niewyobrażalnie chłodne, opanowane, zaplanowane z żelazną logiką. Intuicja mówi mi, że wszystko jest tam, gdzie jest, z jakiegoś powodu.

– Mówisz mi, że niósł narzędzie zbrodni przez trzydzieści metrów i rzucił je w śnieg z premedytacją?

– Właśnie tak.

– Ale z jakiego powodu, do jasnej cholery?

– Jakże to na nas zrobiło wrażenie?

– O czym ty mówisz?

– Ten facet jest w równym stopniu skupiony na policji, jak był skupiony na Marku Mellerym. Nie przyszło ci do głowy, że te dziwactwa na miejscu zbrodni mogą być częścią gry, w którą z nami się bawi?

– Nie, to mi nie przyszło do głowy. Szczerze mówiąc, to jest poza zasięgiem mojej wyobraźni.

Gurney powstrzymał się przed dalszym sporem na ten temat i zamiast tego powiedział:

– Rozumiem, że kapitan Rod wciąż uważa, że mordercą jest jeden z gości?

– Tak, „jeden z wariatów z tego domu wariatów”, jak to zgrabnie określił.

– Zgadzasz się?

– Że to wszystko świry? Absolutnie. A że jeden z nich jest mordercą? Może.

– A może nie.

– Nie jestem pewien. Ale nie mów o tym Rodriguezowi.

– Ma jakieś ulubione kandydaty?

– Każdy narkoman. Wczoraj w kółko gadał o tym, że Instytut Odnowy Duchowej Mellery’ego to nic innego jak drogie spa dla bogatych śmieci.

– Nie widzę związku.

– Między czym a czym?

– Co ma wspólnego uzależnienie od narkotyków z zabójstwem Marka Mellery’ego?

Hardwick po raz ostatni zaciągnął się papierosem, a później pstryknięciem palca posłał niedopałek na mokrą ziemię za ostrokrzewem. Gurney pomyślał, że tego się nie robi na miejscu zbrodni, nawet kiedy już wszystko przeczesano centymetr po centymetrze, ale do takiego zachowania przyzwyczaił się, kiedy współpracowali. Nie był też zdziwiony, że Hardwick podszedł do żywopłotu, żeby zgasić niedopałek czubkiem buta.

W ten sposób dawał sobie czas, żeby rozważyć, co powiedzieć albo czego nie powiedzieć. Kiedy niedopałek był już całkowicie zgnieciony i zakopany kilka centymetrów pod ziemią, Hardwick przemówił.

– Być może nie ma to wiele wspólnego z morderstwem, ale za to ma sporo wspólnego z Rodriguezem.

– Wolno ci o tym rozmawiać?

– Ma córkę w Greystone.

– W szpitalu dla umysłowo chorych w New Jersey?

– Tak. Jest zupełnie wyniszczona. Dopalacze, metadon, crack. Spaliło jej kilka obwodów w mózgu i próbowała zabić matkę. Rodriguez myśli, że każdy narkoman na tym świecie jest odpowiedzialny za to, co stało się z jego córką. Na ten temat nie można z nim racjonalnie rozmawiać.

– Więc uważa, że jakiś narkoman zabił Mellery'ego?

– Chce, żeby tak było, więc tak właśnie zakłada.

Powiew mroźnego, przenikliwego wiatru przetoczył się przez patio od strony przykrytego śniegiem trawnika. Gurney zadrżał z zimna i wcisnął dłonie głęboko w kieszenie kurtki.

– Myślałem, że chce wyrzucić mocne wrażenia na prokuratorze.

– To swoją drogą. Jak na takiego kutasa, ten facet jest dość skomplikowany. Chce nad wszystkim panować. Zżera go ambicja. Jest całkowicie niepewny siebie i tego, co mówi. Ma obsesję na punkcie karania narkomanów. A tak przy okazji, nie jest zbyt zadowolony, że ty się w to mieszasz.

– Ma jakiś powód?

– Nie lubi odchodzenia od standardowej procedury. Nie lubi bystrzaków. Nie lubi nikogo, kto jest bliżej Kline'a niż on sam. Co jeszcze? Kto go tam wie.

– Nie wygląda na idealnego kandydata na dowódcę grupy dochodzeniowej.

– Powiedz mi jeszcze coś nowego o kryminalistyce. – Hardwick spojrzął na Gurneya – Fakt, że ten facet ma mętlik w głowie, wcale nie znaczy, że zawsze się myli.

Gurney przez chwilę rozmyślał nad tą mądrością ludową w wykonaniu swojego byłego współpracownika, postanowił tego nie komentować, więc zmienił temat.

– Czy to, że skupiamy się na gościach Instytutu, znaczy, że inne kierunki zostały pominięte?

– Na przykład?

– Na przykład rozmowy z ludźmi mieszkającymi w tej okolicy. Motele, gospody, zajazdy, pensjonaty...

– Niczego nie pomijamy – powiedział Hardwick, przyjmując nagle postawę obronną. – Domy w sąsiedztwie, a nie ma ich tak wiele, mniej niż dziesięć po drodze z miasteczka do Instytutu. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, ale nie przyniosło to żadnych efektów. Nikt nic nie słyszał, nie widział ani nie pamięta. Nie było obcych ludzi, hałasów, samochodów przejeżdżających o dziwnych godzinach, nic niezwykłego. Kilka osób uważa, że słyszało wyjące kojoty. Kilka innych, że słyszało puchacza.

– O której godzinie to było?

– O której co było?

– Ten puchacz.

– Nie mam pojęcia, bo oni też nie mieli pojęcia. W środku nocy, lepiej się tego nie dało określić.

– A jakieś pokoje gościnne?

– Co takiego?

– Czy ktoś się wprowadził do pensjonatów albo do pokojów gościnnych w okolicy?

– Jest tylko jeden motel poza granicami miasteczka, dość zaniedbany, w którym zatrzymują się myśliwi. Tamtej nocy był pusty. W promieniu pięciu kilometrów są tylko jeszcze dwa pensjonaty. Jeden zamknięty na zimę, a drugi, jeśli dobrze pamiętam, miał na tę noc wynajęty pokój, mieszkał tam jakiś obserwator ptaków z matką.

– Obserwował ptaki w listopadzie?

– Mnie też wydało się to dziwne, więc sprawdziłem strony internetowe



obserwatorów ptaków. Okazuje się, że ci, którzy podchodzą do sprawy poważnie, uwielbiają zimę: nie ma liści na drzewach, jest lepsza widoczność, sporo bażantów, sów, pardw, kuropatw i tak dalej.

– Rozmawiałeś z nim?

– Blatt rozmawiał z jednym z właścicieli, pensjonat prowadzą dwa pedały, które mają jakieś dziwne nazwiska, żadnych konkretnych informacji.

– Dziwne nazwiska?

– Tak. Jeden z nich nazywał się Peachpit albo coś w tym guście.

– Peachpit?

– Coś w tym stylu. Nie, może Plumstone. Chyba tak. Paul Plumstone<sup>[3]</sup>.

Dałbyś wiarę?

– Ktoś rozmawiał z tymi obserwatorami ptaków?

– Chyba wyjechali, zanim Blatt tam się zjawił, ale nie cytuj mnie, bo nie jestem pewien.

– Nikt tego nie sprawdzał?

– Jezus Maria! A co oni mogliby wiedzieć? Chcesz odwiedzić tych Peachpitów? Proszę bardzo. Pensjonat nazywa się Pod Laurami, jakieś dwa i pół kilometra od Instytutu, w kierunku doliny. Mam tylu ludzi pracujących nad tą sprawą, ilu mam, i nie mogę tracić czasu na sprawdzanie każdego, kto przejechał przez Peony.

– Racja.

Znaczenie odpowiedzi Gurneya było co najmniej niejasne, ale Hardwick jakoś się uspokoił i powiedział tonem niemal serdecznym.

– Skoro o pracy mowa, muszę wracać. A ty, co tu robiłeś?

– Pomyślałem sobie, że jeżeli raz jeszcze przejdę się po terenie, coś może przyjdzie mi do głowy.

– To twoja metodologia rozwiązywania zagadek zbrodni rodem z nowojorskiej policji? Śmiechu warte!

– Wiem, Jack, wiem. Ale teraz na nic więcej mnie nie stać.

Hardwick obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku domu, kręcąc głową, żeby pokazać, że nie może uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

Gurney wciągnął w płuca powietrze pachnące śniegiem i odsunął wszystkie racjonalne myśli, zatapiając się w uczuciach i wspomnieniach z dzieciństwa, których nie sposób było ująć w słowa. Ruszył przez pokryty białym puchem trawnik w kierunku lasu, a zapach śniegu przywoływał nowe wspomnienia – historii, które czytał mu ojciec, gdy miał pięć lub sześć lat, a które w jego wyobraźni były żywsze niż to, co się działo w prawdziwym życiu : o pionierach, drewnianych chatach budowanych w głuszy, leśnych traktach, dobrych Indianach, złych Indianach, złamanych gałązkach, odciskach mokasynów w trawie, o złamanej trzcinie lub mchu, który był najważniejszym dowodem tego, że przechodził tamtędy wróg, o krzyku leśnych ptaków, prawdziwym lub naśladowanym przez Indian, którzy komunikowali się z innymi wojownikami. Te obrazy były tak konkretne, tak pełne szczegółów, że nie dawały mu spokoju. Pomyślał, że jak na ironię, wspomnienia historii opowiadanych mu we wczesnym dzieciństwie przez ojca wypełniły puste miejsca we wspomnieniach o nim samym. Oczywiście oprócz tego, że opowiadał mu historie i bajeczki, jego ojciec niewiele miał z nim wspólnego. Bo przede wszystkim pracował. Pracował i trzymał się na uboczu.

Pracował i trzymał się na uboczu. To zdanie podsumowujące całe jego życie było tak prawdziwe, że aż wstrząsnęło Gurneyem – było esencją jego własnego postępowania, nie tylko zachowania jego ojca. Kiedyś zbudował gruby mur, żeby odgrodzić się od wynajdowania takich podobieństw, ale w tym murze ostatnio zrobiło się dużo wyrw. Nie podejrzewał siebie, że upodabnia się do własnego ojca, lecz o to, że jest taki jak on już od dłuższego czasu. Pracował i trzymał się na uboczu. To zdanie wyrażało przerażająco nijaki cel życia. Jakże czuł się poniżony, uświadomiwszy sobie, że tyle lat życia można podsumować jednym prostym zdaniem. Jakim był mężem, jeżeli cała jego życiowa energia ograniczała się tylko do tego? I jakim ojcem? Jaki ojciec jest tak skupiony na pracy, że... Nie, dosyć już tego.

Gurney ruszył w kierunku lasu drogą, która, jak sobie przypominał, była trasą odcisków stóp, przykrytych teraz świeżym śniegiem. Kiedy doszedł do

zagajnika, w którym w sposób zupełnie nieodgadniony urywały się ślady, wciągnął w płuca powietrze przesycone zapachem zimowych sosen, wsłuchiwał się w głęboką ciszę i czekał na powiew natchnienia. Nie nadeszło. Rozzłoszczony i rozczarowany zmusił się do powtórzenia po raz Bóg wie który wszystkiego, co wiedział o wydarzeniach nocy, w której dokonano morderstwa. Wiedział, że zabójca wszedł na teren Instytutu pieszo od strony szosy? Że miał przy sobie policyjną trzydziestkę ósemkę, zbitą butelkę po whisky Four Roses, plastikowe krzeselko, zapasową parę butów i mały magnetofon kasetowy z nagranyimi odgłosami walczących zwierząt, które wyciągnęły Mellery'ego z łóżka? Że miał na sobie malarski kombinezon z tyveku, rękawiczki i grubą kurtkę watowaną gęsim puchem, którą owinął lufę, żeby stłumić odgłos wystrzału? Że siedział za stodołą, paląc papierosy? Że zwabił Mellery'ego na patio, zastrzelił go, a później co najmniej czternaście razy dźgnął go zbitą butelką? Że po tym spokojnie przeszedł przez rozległy trawnik, ponad pół kilometra w kierunku lasu, powiesił zapasową parę butów na gałęzi i zniknął bez śladu?

Twarz Gurneya wykrzywił grymas – częściowo dlatego, że robiło się coraz chłodniej, powietrze było wilgotne i zimne, a częściowo dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż to, co „wiedział” o sprawie, było całkowicie pozbawione sensu.

---

[3] *Plumstone* (ang.) – pestka śliwki, *peach pit* (ang.) – pestka brzoskwini.

## Do tyłu

Ze wszystkich miesięcy najmniej lubił listopad, bo to miesiąc kurczącego się dnia, niknącego światła i niepewności, która błąka się jak sierota między jesienią a zimą. Atmosfera tych krótkich dni i nastrój panujący w przyrodzie wzmacniały tylko jego odczucie, że sam błądzi jak dziecko we mgle, próbując znaleźć jakiś sens w sprawie Mellery’ego, ślepy na to, co ma przed oczami.

Kiedy tamtego dnia przyjechał do domu z Peony, postanowił w nietypowy dla siebie sposób podzielić się swoim problemem z Madeleine, która siedziała przy sosnowym stole nad resztkami herbaty i placka jagodowego.

– Chciałbym zapytać cię o twój pogląd na pewną rzecz – powiedział, natychmiast żałując doboru słów. Madeleine nie lubiła takich słów, jak „pogląd”.

Podniosła głowę z zaciekawiona, a on odczytał to jako zachętę.

– Instytut Mellery’ego leży na powierzchni około czterdziestu hektarów między drogą Filchers Brook a szosą Thornbush Lane na wzgórzach ponad miasteczkiem. Same lasy zajmują powierzchnię około trzydziestu pięciu hektarów, jest tam też może z pięć hektarów trawników i grządek, parking, a w końcu trzy budynki: główny z salami wykładowymi, w którym znajdują się również biura instytutu i pokoje gościnne, dom, w którym mieszkali państwo Mellery, i stodoła, w której trzyma się sprzęt ogrodowy i narzędzia.

Madeleine podniosła wzrok i spojrzała na zegar wiszący na kuchennej ścianie, a Gurney przyspieszył tempo narracji.

– Policjanci, którzy przyjechali na miejsce zdarzenia, znaleźli ślady stóp prowadzące od drogi w Filchers Brook do krzeselka stojącego za stodołą. Od krzeselka ślady prowadziły tam, gdzie Mellery zginął, a stamtąd do miejsca oddalonego o jakieś siedemset metrów w lesie, gdzie nagle się

urywają. I nie ma więcej odcisków stóp. Zupełnie nie wiadomo, jak ktoś, kto te ślady zostawił, mógł się stamtąd wydostać, nie zostawiając następnych.

– Czy to jest jakiś dowcip?

– Opisuję dowody z miejsca zbrodni, to wszystko prawda.

– A ta druga droga, o której wspomniałeś?

– Thornbush Lane jest oddalona o ponad trzydzieści metrów od ostatniego śladu buta na śniegu.

– Wrócił niedźwiedź – powiedziała Madeleine po krótkiej chwili ciszy.

– Co takiego? – Gurney spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Niedźwiedź – skinęła głową w kierunku bocznego okna.

Między oknem a pogrążonymi w zimowym śnie, skutymi cienką warstewką lodu grządkami, stalowa podpora, na której stał karmnik dla ptaków, była zgięta, a sam karmnik roztrzaskany.

– Zajmę się tym później – powiedział Gurney poirytowany uwagą, która nie miała nic wspólnego z tym, co mówił. – Przychodzi ci do głowy coś w związku z tymi odciskami butów?

Madeleine ziewnęła.

– Uważam, że to głupie, a osoba, która to zrobiła, jest szalona.

– Ale jak? Jak to można zrobić?

– To jest chyba tak, jak z tą sztuczką z liczbami.

– Co masz na myśli?

– To, że chyba nie ma znaczenia, jak to zrobił?

– Możesz powiedzieć coś więcej? – poprosił Gurney, a jego ciekawość wygrywała z irytacją.

– Nieważne jak, pytanie po co, a odpowiedź jest oczywista.

– I ta oczywista odpowiedź brzmi...?

– On chce udowodnić, że jesteście bandą idiotów.

Jej odpowiedź wywołała u Gurneya dwa odczucia jednocześnie – był zadowolony, że opinia Madeleine jest zgodna z jego zdaniem w kwestii tego, że policja jest w tej sprawie celem, ale niezbyt zadowolony z tego, że tak silnie zaakcentowała słowo „idioty”.

– Może szedł do tyłu – podsunęła mu myśl, wzruszając jednocześnie ramionami. – Może w miejscu, w którym wydaje wam się, że zaczynają się ślady, one się właśnie kończą, a przyszedł stamtąd, dokąd według was poszedł.

Była to jedna z możliwości, którą Gurney wcześniej rozważał, ale ją odrzucił.

– To rodzi dwa problemy. Przede wszystkim pytanie, jak ślady mogą się zatrzymać w środku pustkowia i zacząć w środku pustkowia. Po drugie, te ślady są bardzo równomiernie rozmieszczone. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś idzie siedemset metrów przez las do tyłu, ani razu się nie potykając.

Później przyszło mu do głowy, że nawet najmniejszą oznakę zainteresowania Madeleine trzeba rozbudzać i wzmacniać, więc dodał ciepło:

– Ale to rzeczywiście interesująca myśl. Proszę cię, zastanów się jeszcze nad tym, może coś przyjdzie ci do głowy.

\*

O drugiej nad ranem, wpatrując się w prostokąt okna sypialni oświetlany delikatnie przez księżyc schowany za chmurę, Gurney wciąż się nad tym wszystkim zastanawiał. Rozmyślał nad uwagą Madeleine dotyczącą kierunku, na który wskazywały odciski stóp, kierunku, w którym zmierzały, i nad tym, że to są dwie zupełnie odrębne sprawy. To prawda, ale jak dzięki tej myśli zinterpretować dane? Nawet jeżeli ktoś potrafiłby tak długo iść tyłem po nierównym terenie i nie zmylić kroku, co jest w zasadzie niemożliwe, hipoteza posłużyłaby tylko do przełożenia jednego niewyjaśnialnego urwania śladów na inne niewyjaśnialne urwanie śladów.

Czy rzeczywiście? A gdyby tak...

Ale to przecież niemożliwe. A jednak przypuśćmy, że jest inaczej...

Cytując Sherlocka Holmesa: „Kiedy wyeliminujemy już wszystko, co niemożliwe, cokolwiek by zostało, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

– Madeleine?

– Hm?

– Przepraszam, że cię budzę. Ale to ważne.

W odpowiedzi usłyszał długie westchnienie.

– Nie śpisz?

– Już nie śpię.

– Posłuchaj. Przypuśćmy, że zabójca wchodzi na teren Instytutu nie z głównej drogi, ale z drogi na tyłach. Przypuśćmy, że pojawia się kilka godzin przed popełnieniem zbrodni, pojawia się tam tuż, zanim zaczyna sypać śnieg. Przypuśćmy, że z drogi na tyłach Instytutu idzie do zagajnika sosnowego z plastikowym krzeselkiem i całą resztą rekwizytów, zakłada biały malarski kombinezon, lateksowe rękawiczki i czeka.

– W lesie?

– W zagajniku sosnowym, w tym miejscu, gdzie według nas kończą się ślady stóp. Siedzi sobie i czeka, aż śnieg przestanie padać, jest krótko po północy. Wtedy wstaje, bierze krzeselko, butelkę po whisky, broń i mały magnetofon kasetowy z nagranyimi odgłosami walki leśnych zwierzątek i idzie siedemset metrów w kierunku domu. Po drodze dzwoni do Mellery'ego z komórki, żeby wiedzieć na pewno, że Mellery się obudził i usłyszy odgłosy zwierząt.

– Poczekaj chwilę. Chyba mówiłeś, że nikt nie mógłby iść tyłem przez las.

– Nie szedł. Nie musiał, miałaś rację, że trzeba oddzielić ustawienie od palców do pięt na tych śladach od kierunku, w którym prowadzą, ale musimy rozważyć jeszcze jedną rzecz. Przypuśćmy, że podeszwy butów zostały oddzielone od reszty.

– Jak?

– Musiałby tylko odciąć gumowe bieżniki z pary butów i przykleić do innej pary, ale odwrotnie. Wtedy mógłby łatwo iść do przodu i zostawić śliczne ślady na śniegu, które świadczyłyby o tym, że szedł w kierunku, z którego tak naprawdę przyszedł.

– A krzeselko?

– Bierze je ze sobą na patio. Może położył różne drobiazgi na krzeselku, podczas gdy owijał broń kurtką ocieplaną gęsim puchem, który częściowo tłumi odgłos strzału. Ślad po krześle mógł zostać przez niego przydeptany, więc później i tak nikt by go nie zauważył. Następnie odtworzył z taśmy odgłosy piszczących zwierząt, żeby wyprowadzić Mellery’ego na tyły domu. Mógł to zrobić na kilka różnych sposobów, ale fakt pozostanie faktem, ściągnął Mellery’ego na patio tak, że był dość blisko, by do niego strzelić. Kiedy Mellery upadł, zabójca wziął zbitą butelkę i kilkanaście razy dźgnął go w szyję. Później rzucił butelkę z powrotem w kierunku śladów, które zrobił, idąc w stronę patio, śladów, które oczywiście wskazują, że on właśnie z patio ruszył.

– Dlaczego nie zostawił butelki przy zwłokach albo nie wziął ze sobą?

– Nie wziął jej ze sobą, bo chciał, żebyśmy ją znaleźli. Butelka whisky to część jego gry, to jakiś element tego, o co mu naprawdę chodzi. Powiedziałbym, że rzucił ją w kierunku jakoby oddalających się od patio śladów, żeby dodać ostatni element w tej swojej zabawie w oszukiwanie.

– To dość subtelny szczegół.

– Podobnie subtelnym szczegółem jest pozostawienie pary butów w miejscu, gdzie na pierwszy rzut oka kończą się ślady, ale oczywiście zostawił je tam wtedy, kiedy wyruszał.

– Więc nie te buty zostawiły ślady?

– Nie, ale to już wiemy. Technik kryminalistyczny stwierdził, że jest maleńka różnica między bieżnikiem butów, które zostawiły odciski w śniegu, i tych wiszących na drzewie. Na początku to nie miało żadnego sensu. Teraz jednak idealnie pasuje do nowej wersji interpretacji faktów.

Madeleine milczała przez chwilę, ale on czuł niemal fizycznie, jak jej umysł absorbuje fakty, ocenia i testuje nowy scenariusz, szukając w nim słabych punktów.

– Więc rzuca butelkę w śnieg i co dalej?

– Później rusza z patio z powrotem na tyły stodoły, ustawia tam krzeselko i rozrzuca przed nim kilka niedopałków papierosów, żeby wyglądało na to, że siedział tam przed popełnieniem morderstwa. Ściąga



malarski kombinezon i lateksowe rękawiczki, zakłada kurtkę, idzie dookoła stodoły, zostawiając te swoje cholerne odwrócone ślady, rusza w kierunku drogi Filchers Brook, przez którą przejechał pług śnieżny, więc nie zostawia tam żadnych śladów, a później do samochodu na Thornbush Lane, do wioski albo gdziekolwiek. Czy policja z Peony widziała kogoś po drodze, jadąc w kierunku instytutu? Mówią, że nie, ale mógł bez problemu wejść na chwilę do lasu albo... – przerwał, rozważając różne opcje.

– Albo...?

– To mało prawdopodobne, ale ponoć na zboczu góry jest niewielki pensjonat, który ktoś z dochodzeniówki jakoby sprawdził. Zabrzmi to dziwnie, ale może po tym, jak niemal odciął głowę ofierze, nasz zabójca po prostu poszedł sobie spacerkiem do małego pensjonatu na zboczu góry.

Leżeli w milczeniu obok siebie przez kilka długich minut, Gurney w wyobraźni przewijał tam i z powrotem film z rekonstrukcją zbrodni jak ktoś, kto po raz pierwszy zwodował zbudowaną przez siebie łódź i sprawdza, czy kadłub nie przecieka. Kiedy już był pewien, że większych luk nie ma, spytał Madeleine, co o tym myśli.

– Idealny przeciwnik – powiedziała.

– Co takiego?

– Idealny przeciwnik.

– To znaczy?

– Uwielbiasz zagadki. On też. Małżeństwo doskonałe.

– Albo z piekła rodem?

– Nieważne. A tak przy okazji, coś jest nie tak z tymi liścikami.

– Nie tak z... czym?

Madeleine miała nieznośny zwyczaj przeskakiwania przez cały łańcuch skojarzeń do czegoś innego, a on czuł, że zostaje kilometr za nią.

– Te listy, które mi pokazywałaś, od zabójcy do Mellery'ego. Dwa pierwsze, a później wiersz. Próbowałam sobie przypomnieć, co dokładnie zawiera każdy z nich.

– No i?

– No i było trudno, chociaż mam dobrą pamięć. I wtedy uzmysłowiłam

sobie dlaczego. Nie ma w nich nic realnego.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie ma w nich żadnych konkretów. Żadnej wzmianki o tym, co Mellery zrobił albo kogo skrzywdził. Dlaczego one są takie niejasne? Nie ma nazwisk, dat, miejsc, żadnych odniesień do czegoś określonego. Dziwaczne, prawda?

– Liczby sześćset pięćdziesiąt osiem i dziewiętnaście są dość konkretne.

– Ale dla Mellery'ego nic nie znaczyły poza tym, że o nich pomyślał. A to też musi być jakaś sztuczka.

– Jeśli to sztuczka, to jeszcze nie doszedłem do tego jaka.

– Ale dojdiesz. Jesteś świetny w łączeniu kropek kolorową kredką. – Ziewnęła. – Nie ma nikogo lepszego od ciebie.

W jej głosie pobrzmiwała wyraźna nuta ironii. Leżał obok niej w ciemności, był przez chwilę odprężony, podbudowany jej pochwałami. Niedługo potem jednak zaczął w myślach przeczesywać niestrudzenie słowa i zdania zabójcy, przyglądał się gramatyce i zwrotom pod kątem uwag Madeleine.

– Były na tyle konkretne, że Mellery robił w gacie ze strachu – powiedział.

Westchnęła sennie.

– Albo na tyle niekonkretne.

– To znaczy?

– Nie wiem. Może nie było żadnego konkretnego wydarzenia, które można by opisać konkretnymi słowami.

– Ale jeżeli Mellery nic nie zrobił, to dlaczego zginął?

Wydała z siebie cichy odgłos, który był odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że coś jest nie tak z tymi listami. Czas spać.

## Szmaragdowy Dworek

Obudził się o świcie, czując się lepiej niż przez wiele ostatnich tygodni, może miesięcy. Być może to przesada powiedzieć, że wyjaśnienie tajemnicy butów to pierwsza przewracająca się kostka domina, ale tak właśnie czuł, kiedy jechał przez jesienno-zimowy krajobraz w kierunku wschodzącego słońca. Był w drodze do pensjonatu położonego przy Filchers Brook w miasteczku Peony.

Przyszło mu na myśl, że przesłuchanie „pedałów” bez zgody prokuratora okręgowego i akceptacji śledczych może być potraktowane jako lekkie nagięcie reguł. Ale co tam, jeżeli ktoś będzie mu później chciał dać po łapach, jakoś to przeżyje. Poza tym miał wrażenie, że nagle wszystko zaczęło nabierać tempa. „W ludzkim życiu trafia się morski prąd...”<sup>[4]</sup> Był mniej niż kilometr od skrzyżowania Filchers Brook, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał Ellen Rackoff.

– Prokurator okręgowy Kline ma nowe wiadomości. Powiedział, żeby panu przekazać, że sierżant Wigg z laboratorium kryminalistycznego dokonała ponownej analizy taśmy z nagraniem, na którym słychać głos zabójcy. Wie pan, o jaką rozmowę chodzi?

– Tak – powiedział Gurney, przypominając sobie pełen oporu głos Mellery’ego, który pomyślał liczbę dziewiętnaście, a potem okazało się, że jest ona w liście zostawionym przez zabójcę w jego skrzynce.

– Zgodnie z raportem sierżant Wigg analiza fal dźwiękowych wskazuje na to, że odgłosy ruchu ulicznego na taśmie zostały nagrane wcześniej.

– Może pani to powtórzyć?

– Zgodnie z tym, co mówi sierżant Wigg, na taśmie są dwa odrębne nagrania. Głos osoby dzwoniącej i w tle dźwięk silnika, który według niej jest zdecydowanie odgłosem silnika samochodowego, to jedna kategoria dźwięków. To znaczy, są to dźwięki, które zostały nagrane podczas rozmowy telefonicznej. Ale inne dźwięki w tle, przede wszystkim ruchu

ulicznego, to dźwięki innych kategorii, czyli że były odtwarzane z magnetofonu lub dyktafonu podczas rozmowy prowadzonej na żywo. Halo, jest pan tam?

– Tak, tak, tylko... Próbuję to sobie jakoś poukładać.

– Mam powtórzyć?

– Nie, wszystko słyszałem. To... bardzo interesujące.

– Prokurator okręgowy Kline sądził, że właśnie to pan powie. Chciałby, żeby pan do niego zadzwonił, jak już się pan zorientuje, co to może znaczyć.

– Na pewno zatelefonuję.

Skreślił we wznoszącą się ulicę Filchers Brook i półtora kilometra dalej zobaczył po lewej stronie znak kierujący ku wymuskaniej małej posiadłości o nazwie Pod Laurami. Szyld był namalowany delikatnie, z wyszukaniem liternictwem, a jego kształt był łagodnie owalny. Kilka metrów za nim Gurney zobaczył łukowaty wjazd obrośnięty po sam szczyt górkami laurami. Pod łukiem znajdował się wąski podjazd. Chociaż kwiatów nie było tam już od miesięcy, gdy Gurney przejeżdżał pod baldachimem z laurów, nietrudno mu było sobie wyobrazić, jak może tu pachnieć latem, a kolejny obraz, który powstał w jego głowie, skojarzył mu się ze słowami króla Duncana, gdy ten patrzył na zamek Makbeta, mający tej nocy stać się miejscem mordu: „Zamek ten w miejscu wdzięcznym położony...”<sup>[5]</sup>.

Jeszcze dalej był niewielki parking wysypany białym żwirem wygrabionym tak czysto, że wyglądał jak małe ogród Zen. Ścieżka wysypana tym samym żwirem o nieskazitelnym kolorze prowadziła od parkingu do drzwi frontowych niewielkiego domu z dachem wyłożonym cedrowym gontem. Zamiast dzwonka na drzwiach zawieszono staroświecką żeliwną kołatkę. Gurney już sięgał do niej, kiedy drzwi otworzyły się i ukazał się w nich niewysoki mężczyzna o niespokojnym, taksującym spojrzeniu. Wyglądał przesadnie świeżo, począwszy od limonkowozielonej koszulki polo poprzez zaróżowioną skórę aż po włosy – zbyt jasne, jak na mężczyznę w mocno średnim wieku .

– Aha! – powiedział z nieco złośliwą satysfakcją w głosie, jak człowiek, który zamówił pizzę i otrzymał zamówienie dwadzieścia minut po czasie.

– Pan Plumstone?

– Nie, nie jestem Plumstone – odparł mały człowieczek. – Jestem Bruce Wellstone. Pozorna zbieżność między tymi nazwiskami jest całkowicie przypadkowa.

– Rozumiem – odparł nieco zaskoczony Gurney.

– A pan, jak przypuszczam, jest policjantem?

– Inspektor Gurney z biura prokuratora okręgowego. Kto panu powiedział, że przyjadę?

– Policjant, z którym rozmawiałem przez telefon. Niestety mam straszne problemy z zapamiętywaniem nazwisk. Ale dlaczego stoimy tak w progu? Niechże pan wejdzie.

Gurney ruszył za nim przez krótki korytarzyk do frontowego pokoju, udekorowanego wiktoriańskimi bibelotami. Zastanawiał się, kim mógł być policjant, z którym Wellstone rozmawiał przez telefon.

– Pan wybaczy – powiedział Wellstone, ewidentnie błędnie interpretując wyraz twarzy i spojrzenie Gurneya. – Nie jestem pewien, jak w takich sprawach wygląda procedura. Czy chciałby pan od razu pójść do Szmaragdowego Dworku?

– Proszę?

– Do Szmaragdowego Dworku.

– Do jakiego Szmaragdowego Dworku?

– Na miejsce przestępstwa.

– Jakiego przestępstwa?

– Nic panu nie powiedzieli?

– O czym?

– O tym, po co pan tu przyjechał.

– Panie Wellstone, nie chcę być niegrzeczny, ale mógłby pan zacząć od samego początku i powiedzieć mi, o czym w ogóle rozmawiamy?

– To niepojęte! Opowiedziałem wszystkiemu sierżantowi przez telefon. Prawdę mówiąc, powiedziałem mu wszystko dwa razy, bo za pierwszym razem nie bardzo pojął, o co mi chodzi.

– Rozumiem pana zdenerwowanie, ale może mógłby pan być tak miły i

zdradzić mi, co mu pan powiedział?

– Że ktoś ukradł moje rubinowe pantofelki. Ma pan pojęcie, ile one są warte?

– Pana rubinowe pantofelki?

– Mój Boże, nic pan nie wie, prawda? – Wellstone zaczął szybko oddychać, jak gdyby próbował powstrzymać atak nerwów. Po chwili zamknął oczy. Kiedy je otworzył, robił wrażenie człowieka już pogodzonego z amatorszczyzną policji i przemówił do Gurneya tonem przedszkolanki: – Moje rubinowe pantofelki, które są warte dużo pieniędzy, zostały skradzione ze Szmaragdowego Dworku. I chociaż nie mam żadnych dowodów, nie wątpię, że ukradł je ostatni gość, który zajmował Dworek.

– A więc ten Szmaragdowy Dworek jest częścią pensjonatu?

– Oczywiście, że tak. Całość pensjonatu nazywa się Pod Laurami z powodów oczywistych. Mamy tu trzy budynki: główny, w którym się znajdujemy, plus dwa domki, Szmaragdowy Dworek i Miodowy Dworek. Wystrój Szmaragdowego Dworku jest inspirowany *Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz*, najwybitniejszym filmem, jaki powstał w dziejach kinematografii. – Błysk w oczach mężczyzny był prowokacyjny, Wellstone tylko czekał na zaprzeczenie Gurneya. – Kluczowym punktem wystroju była niezwykle kopia magicznych pantofelków Dorotki. Dziś rano odkryłem, że ich nie ma.

– I zgłosił pan to...?

– Oczywiście wam, bo pan tu jest.

– Dzwonił pan na policję w Peony?

– Oczywiście, że nie na policję w Chicago.

– Mamy tu dwa oddzielne problemy, panie Wellstone. Policja z Peony z pewnością zamelduje się u pana w sprawie kradzieży. Ale ja nie po to tu przyjechałem. Prowadzę inne śledztwo i muszę zadać panu kilka pytań. Policjant z komendy stanowej, który tu parę dni temu przyjechał, usłyszał, prawdopodobnie od pana Plumstone'a, że trzy dni temu mieliście gości. Dwoje ludzi, którzy przyjechali oglądać ptaki: mężczyznę i jego matkę.

– To właśnie on!

- Jaki on?
- Właśnie on ukradł moje rubinowe pantofelki!
- Człowiek, który przyjechał oglądać ptaki, ukradł panu pantofelki?
- Tak, to on, ten rabuś, ten mały złodziejasek, to on!
- A dlaczego nie wspomniał pan o tym funkcjonariuszowi policji stanowej?
- Nikt o tym wcześniej nie wspomniał, bo nikt o tym nie wiedział. Przecież mówiłem, że odkryłem tę kradzież dzisiaj rano.
- Więc nie był pan w domku od chwili, kiedy ten człowiek i jego matka się wymeldowali?
- „Wymeldowali się” to zbyt formalne ujęcie tego, co się stało. Po prostu wyjechali. Zapłacili z góry, więc nie było żadnej potrzeby, rozumie pan, „wymeldowywania się”. Próbuujemy tutaj działać w sposób nieformalny, ale cywilizowany, co oczywiście oznacza, że jeżeli ktoś zawodzi nasze zaufanie, jest to tym bardziej przerażające. – Kiedy Wellstone o tym mówił, strach tak ścisnął go za gardło, że mało się nie udławił.
- Czy zwykle tak długo czekacie, zanim...?
- Zanim posprzątamy? To normalne o tej porze roku. W listopadzie prawie nie mamy ruchu. Następną rezerwacja Szmaragdowego Dworku jest dopiero na święta Bożego Narodzenia.
- Ludzie z dochodzeniówki nie przeszukiwali domku?
- Z dochodzeniówki?
- Policjant, który był tutaj dwa dni temu, był z wydziału zabójstw.
- Aha, ale rozmawiał z panem Plumstone'em, nie ze mną.
- A kim właściwie jest pan Plumstone?
- To bardzo dobre pytanie. Sam sobie je od dłuższego czasu zadaję. – Wymówił te słowa z przesadną goryczą, a później pokręcił głową. – Przepraszam, nie powinienem emocji, które nie mają nic wspólnego ze sprawą, mieszać z dochodzeniem policyjnym. Paul Plumstone jest moim partnerem w firmie. Jesteśmy współwłaścicielami ośrodka Pod Laurami. Przynajmniej dotąd byliśmy partnerami.
- Rozumiem – powiedział Gurney. – Ale wracając do mojego pytania, czy

policjant, który tu był dwa dni temu, przeszukiwał domek?

– A po co? Wiem, że był tu chyba w związku z tą okropną sprawą, która się wydarzyła na górze, w Instytucie. Chciał wiedzieć, czy nie zauważyliśmy jakichś podejrzanych typów. Paul, to znaczy pan Plumstone, powiedział mu, że nie, i policjant odjechał.

– A czy dopytywał się o waszych gości?

– A, o tych podglądaczy ptaków? Nie, oczywiście, że nie.

– Oczywiście, że nie?

– Matka była niepełnosprawna, a syn, chociaż okazało się w końcu, że to złodziej, nie wyglądał na osobę, która będzie kraść i rabować.

– A jaką osobą był według pana oceny?

– Powiedziałbym, że kruchą i delikatną. Na pewno kruchą. Nieśmiały.

– Czy w pana ocenie był gejem?

Wellstone zamyślił się przez chwilę.

– To interesujące pytanie. Prawie zawsze jestem pewien, tak czy inaczej, ale w tym przypadku nie byłem. Mam wrażenie, że chciał na mnie sprawić takie wrażenie, że jest gejem. Ale to chyba nie ma sensu, prawda?

„Chyba że postać, którą odgrywał, była od początku do końca wymyślona”, pomyślał Gurney.

– A poza tym, że był kruchy i nieśmiały, co jeszcze mógłby pan o nim powiedzieć?

– Złodziejskie nasienie.

– Chodzi mi o wygląd.

Wellstone zmarszczył brwi.

– Wąsik. Przyciemnione okulary.

– Przyciemnione?

– Takie, jak okulary słoneczne, na tyle ciemne, że nie widziałem jego oczu. Nie znoszę rozmawiać z kimś, kiedy nie widzę oczu, a pan? Ale nie całkiem ciemne, tak że mógł je nosić też i w środku.

– Coś jeszcze?

– Wełniana czapka, taka peruwiańska, która przykrywa uszy i zawiązuje się ją pod brodą, szalik, obszerny płaszcz.



– To skąd wrażenie, że był kruchy?

Wellstone jeszcze bardziej zmarszczył brwi, teraz był skonsternowany.

– Z głosu? Ze sposobu bycia? Tak naprawdę nie jestem pewien. Wszystko, co pamiętam, to znaczy wszystko, co naprawdę zobaczyłem, to wielki, obszerny płaszcz, czapka, okulary i wąs. – Oczy mu się zrobiły ogromne, jakby nagle coś zrozumiał. – Sądzi pan, że to było przebranie?

Okulary słoneczne i wąs? Dla Gurneya była to raczej parodia przebrania. A nawet to małe dziwactwo wpasowywało się w całą tę dość osobliwą sytuację. A może to on przesadzał? Tak czy inaczej, jeżeli to było przebranie, było skuteczne, bo nie dawało policji sensownego opisu wyglądu.

– Czy coś jeszcze sobie pan na jego temat przypomina? Cokolwiek?

– Miał obsesję na punkcie naszych małych skrzydlatych braci. Przywiózł olbrzymią lornetkę, wyglądała tak, jak te na podcierwień, które na filmach mają komandosi poruszający się w ciemności. Zostawiał matkę w domku i cały czas spędzał w lesie, szukając łuszczyków, łuszczyków różowobrzuchych.

– Tak panu powiedział?

– Tak, tak.

– To bardzo dziwne.

– Dlaczego?

– Bo w górach Catskill łuszczyki różowobrzuche w ogóle nie występują.

– Ale powiedział nawet... A to kłamczuch!

– Powiedział nawet co?

– Rano, zanim wyjechał, wszedł do głównego budynku i gadał jak najęty o tych cholernych łuszczykach. Wciąż powtarzał w kółko, że widział cztery różowobrzuche łuszczyki. Cztery różowobrzuche łuszczyki, tak mówił, chociaż nie miałem powodu, żeby w to wątpić.

– Może chciał, żeby pan to zapamiętał – powiedział Gurney na wpół do siebie.

– Ale przecież mówi pan, że nie mógł ich zobaczyć, bo ich tu nie ma. Dlaczego miałbym zapamiętać coś, co w ogóle się nie wydarzyło?

– To doskonale pytanie. Mógłbym teraz zajrzeć do tego domku?

Wellstone poprowadził go z pokoju, w którym siedzieli, przez jadalnię pełną wiktoriańskich ozdób, wymyślnych dębowych krzeseł i luster przez boczne drzwi na dróżkę wyłożoną nieskazitelnie czystymi płytami chodnikowymi w kolorze kremowym, które może nie były takie, jak droga z żółtej cegły z bajki o Czarowniku z Oz, ale z pewnością budziły właściwe skojarzenia. Dróżka kończyła się domkiem jak z innej angielskiej bajki, obrośniętym mięsistym bluszczem, żywo zielonym pomimo początków zimy.

Wellstone przekręcił klucz w zamku, otworzył szeroko drzwi i zrobił krok w bok. Zamiast wchodzić, Gurney zajrzał do środka od progu. Pokój frontowy był częściowo tym, czym rzeczywiście miał być dla gości, a częściowo sanktuarium *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* – na ścianach wisiały plakaty, kapelusz czarownicy, magiczna różdżka, widział figurkę Strachliwego Lwa i Blaszanego Drwala oraz wypchaną replikę Toto.

– Chciałby pan wejść i zobaczyć witrynę, z której skradziono pantofelki?

– Wolałbym nie – odparł Gurney, cofając się o krok i stając na ścieżce. – Jeżeli jest pan jedyną osobą, która tu była od czasu, kiedy wyjechali goście, wolałbym, żeby tak zostało, aż nie przyjedzie tu ekipa z laboratorium kryminalistycznego.

– Ale przecież powiedział pan, że nie jest pan tu po to, żeby... Chwileczkę, mówił pan, że jest tu „w innej sprawie”, czyż nie tak?

– Tak, racja.

– Ale o jakiej „ekipie z laboratorium kryminalistycznego” pan mówi? To znaczy co... Nie sądzi pan chyba, że mój delikatny obserwator ptaków jest pańskim Kubą Rozpruwaczem?

– Szczerze mówiąc, na razie nie mam żadnego dowodu, że tak jest. Muszę jednak badać każdą możliwość, a sprawdzenie przez specjalistów wnętrza domku jest krokiem wynikającym z pewnej rozwagi.

– Jejku, jejku. Nie wiem, co powiedzieć. Jak nie to przestępstwo, to inne. Ale chyba nie będę stawał na drodze policji, bo to się nie godzi. No i jeszcze

ta srebrna podszewka. Nawet jeżeli to nie ma nic wspólnego z tym horrorem w Instytucie, może dzięki temu odnajdzie pan moje skradzione pantofelki.

– Niewykluczone – odparł Gurney z uprzejmym uśmiechem na ustach. – Ekipa z laboratorium kryminalistycznego przyjedzie tu prawdopodobnie jutro. Tymczasem niech pan zamknie drzwi na klucz. Chciałbym pana jeszcze raz spytać, bo to bardzo ważne. Czy jest pan pewien, że nikogo oprócz pana nie było w domku w ostatnich dwóch dniach, nawet pańskiego partnera?

– Szmaragdowy Dworek to mój własny twór i ja odpowiadam za niego osobiście. Pan Plumstone odpowiada za Miodowy Dworek, łącznie z jego nieszczęsnym wystrojem.

– Co takiego?

– Tematem wystroju Miodowego Dworku jest nudna jak flaki z olejem historia pszczelarstwa. Muszę mówić więcej?

– I ostatnie pytanie, czy ma pan nazwisko i adres tego obserwatora ptaków w książce meldunkowej?

– Mam nazwisko i adres, które mi podał. Zważywszy na tę kradzież, wątpię raczej, czy są prawdziwe.

– Wolałbym spojrzeć do książki meldunkowej i tak czy inaczej odnotować wszystkie dane.

– Nie ma potrzeby, żeby pan sprawdzał w książce meldunkowej. Widzę to teraz przed oczami bardzo jasno i boleśnie. „Pan i pani... pan i pani Scylla. To dziwne, żeby mężczyzna tak mówił o sobie i matce”. Adres, który podali, to skrytka pocztowa w Wycherly w stanie Connecticut. Mogę panu nawet podać z pamięci jej numer.

---

[4] W. Szekspir, *Juliusz Cezar*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2000, s. 139.

[5] W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Łódź 1974, s. 28.

## Rutynowy telefon z Bronksu

Gurney siedział w samochodzie zaparkowanym na nieskazitelnie białym żwirze. Zadzwoił już na komendę, prosząc o bezzwłoczne przysłanie ekipy daktyloskopijnej do posiadłości Pod Laurami, teraz wkładał telefon komórkowy do kieszeni, kiedy ten nagle zadzwonił. W słuchawce usłyszał znów głos Ellen Rackoff. Najpierw przekazał jej wiadomość o parze o nazwisku Scylla i dziwacznej kradzieży, którą powinna się podzielić z Kline'em. Później spytał, dlaczego dzwoni. Ona w odpowiedzi podała mu numer telefonu.

– To detektyw z wydziału zabójstw w Bronksie, który chce z panem porozmawiać o sprawie, nad którą pracuje.

– Chce ze mną porozmawiać?

– Chce porozmawiać z kimś, kto się zajmuje sprawą Mellery'ego. Przeczytał o niej w gazecie. Dzwonił na policję w Peony, oni odesłali go do ekipy dochodzeniowej, która odesłała go do kapitana Rodrigueza, który odesłał go do prokuratora okręgowego, który z kolei odesłał go do pana. Nazywa się detektyw Clamm. Randy Clamm<sup>[6]</sup>.

– Czy to jakiś kawał?

– Jeśli tak, to nic o tym nie wiem.

– Na ile odkrył karty na temat prowadzonego przez siebie śledztwa?

– W ogóle. Wie pan, jacy są policjanci. Przede wszystkim chciał się czegoś dowiedzieć o naszej sprawie.

Gurney wystukał numer. Ktoś odebrał telefon już po pierwszym sygnale.

– Clamm.

– Dave Gurney. Oddzwaniam. Współpracuję z biurem prokuratora...

– Tak, proszę pana. Wiem. Dziękuję za szybki odzew.

Bez żadnych podstaw, żeby tak pomyśleć, Gurney miał przed oczami postać policjanta, który był po drugiej stronie telefonu – szybko myślącego, szybko mówiącego, potrafiącego panować nad wieloma rzeczami naraz,

który – jeżeli miałyby lepsze układy – mógłby skończyć elitarną szkołę wojskową w West Point, zamiast akademii policyjnej.

– Rozumiem, że pracuje pan nad zabójstwem Mellery’ego – mówił dalej jasny, młody głos.

– Tak.

– Ofiara dźgnięta wielokrotnie w gardło?

– Zgadza się.

– Dzwonię dlatego, że mamy tu podobne zabójstwo, i chcemy wykluczyć jakąkolwiek zbieżność.

– Podobne, to znaczy...

– Ofiara wielokrotnie dźgana w gardło.

– Z tego, co pamiętam o ranach kłutych w Bronksie, macie tam ponad tysiąc takich przypadków co roku. Nie szukał pan powiązań gdzieś bliżej?

– Cały czas szukamy. Ale jak dotąd pańska sprawa to jedyna, w której jest ponad dwanaście ran, a wszystkie zadane w tę samą część ciała.

– Co mogę dla pana zrobić?

– To zależy od tego, co pan chce zrobić. Myślałem, że może nam obu wyjdzie na dobre, jeśli przyjedzie pan tutaj na pół dnia, przyjrzy się miejscu zbrodni, będzie obecny podczas przesłuchania wdowy, zada parę pytań, zobaczy, czy coś się panu kojarzy.

Był to zasadniczo strzał w ciemno, bardziej na ślepo niż wiele śladów, za którymi szedł, kiedy pracował w nowojorskiej policji. Tyle że dla Dave’a Gurneya zignorowanie takiej możliwości, jakkolwiek by była ulotna, byłoby zachowaniem niekonstruktywnym.

Umówił się następnego dnia z detektywem Clammem w Bronksie.

---

[6] Randy Clamm – pseudonim znanego gwiazdora filmów porno.

CZĘŚĆ III

POWRÓT DO POCZĄTKÓW

## Oczyszczenie

*Młody człowiek oparł się plecami o cudownie miękkie poduszki u wezglowia łóżka i uśmiechnął się spokojnie w kierunku ekranu laptopa.*

*– Gdzie jest moja mała Kaczka Kwa? – spytała stara kobieta leżąca tuż obok na tym samym łóżku.*

*– Jest w łóżeczku i mówi „dobranoc”, czeka, aż potwory straszyć przestaną.*

*– Piszesz wiersz?*

*– Tak, mamo.*

*– Przeczytaj mi głośno.*

*– Jeszcze nie jest skończony.*

*– Przeczytaj mi głośno – powiedziała jeszcze raz, jak gdyby zapomniała, że przed chwilą już mówiła to zdanie.*

*– Jest słaby. Potrzeba mi jeszcze więcej czasu. – Poprawił kąt nachylenia ekranu laptopa.*

*– Masz taki piękny głos – powiedziała, powtarzając te słowa jak mantrę, dotykając nieobecny gestem jasnych loków peruki.*

*Na chwilę zamknął oczy. Później, jak gdyby miał zagrać na flecie, delikatnie oblizał wargi. Kiedy zaczął mówić, z jego ust wydobyło się coś na kształt ledwo słyszalnego szeptu.*

Oto myśli, jakimi się otulam:  
Magiczna zmiana, którą niesie kula,  
Krew tryskająca na podłogę  
Do końca, aż wzbudzi trwogę.  
Ich oczy za oko, zęby za ząb,  
Koniec wszystkiego, prawda w krąg.  
Dobro, które czyni pistolet pijaka –  
Oczyszczenie. Nikt nie będzie nad nimi płakać.

*Westchnął i spojrział na ekran, marszcząc nos.*

*– Metrum mi się nie zgadza.*

*Stara kobieta skinęła głową, szczęśliwie nie rozumiejąc, i spytała udawanym tonem małej dziewczynki.*

*– A co robi moja Kaczka Kwa?*

*Kusiło go, żeby opisać, jak będzie wyglądało oczyszczenie, żeby opowiedzieć jej wszystkie szczegóły tak, jak sobie je wyobrażał. Śmierć wszystkich potworów. To było takie podniecające, pełne kolorów... Dające... zadowolenie! Był jednak również dumny ze swego realizmu, znał wszystkie ograniczenia swojej matki. Wiedział, że jej pytania nie wymagają konkretnych odpowiedzi, że prawie wszystko po chwili zapomina, że jego słowa były dla niej głównie dźwiękami, dźwiękami, które lubiła i które ją uspokajały. Mógłby powiedzieć wszystko – policzyć do dziesięciu, wyrecytować dziecinny wierszyk. W rzeczywistości to, co mówił, nie miało żadnego znaczenia, jeśli tylko mówił to z uczuciem i zachowywał pewną kadencję. Zależało mu zawsze na bogactwie intonacyjnym. Lubił jej sprawiać przyjemność.*



## Zmory

Gurneya raz po raz dręczył sen, który był boleśnie smutny, który wypływał z samego jądra smutku. Widział w nim jasno, nie potrzeba było słów, że źródłem smutku była strata, a najważniejsze, co stracił, to miłość.

W ostatniej wersji tego snu, który był tylko przeblyskiem, jego ojciec był ubrany tak, jak ubierał się do pracy czterdzieści lat temu, i pod każdym względem wyglądał tak jak wtedy. Beżowa marynarka bez wyrazu, szare spodnie, plamki na wierzchu olbrzymich dłoni, okrągła czaszka i zakola, wyraz szyderstwa w oczach, które były skupione na jakimś obrazie zupełnie poza aktualną rzeczywistością, delikatna sugestia, że trudno mu usiedzieć w miejscu, że chce być wszędzie, tylko nie tutaj; dziwne wrażenie, że wprawdzie powiedział tak mało, ale udało mu się ciszą przekazać tak dojmujące niezadowolenie, a głęboko schowane obrazy odnowiły się w scenie trwającej nie dłużej niż minutę. Gurney jako dziecko był aktorem w tym spektaklu, patrzył błagalnie na tę odległą postać, błagał, żeby ojciec nie odchodził, ciepłe łzy lały mu się po policzkach, tak intensywnie to mu się śniło, był pewny, że w rzeczywistości nigdy się nie rozpląkał w jego obecności, bo nie pamiętał nawet jednego wyrazu silnych emocji, które by się między nimi zrodziły – później nagle się obudził, twarz miał zalaną łzami, serce waliło mu jak młotem.

Kusiło go, żeby zbudzić Madeleine, opowiedzieć jej o tym śnie, żeby zobaczyła łzy. Ale to nie miało nic wspólnego z nią. Ledwo знаła jego ojca. A sny w końcu są tylko snami. W ostatecznym rozrachunku nic nie znaczą. Zamiast tego spytał sam siebie, jaki dzisiaj dzień. Był czwartek. Ta myśl wywołała szybką praktyczną transformację krajobrazu jego umysłu, wymiotła resztki nocnych koszmarów, a w ich miejsce pojawiły się realia tego wszystkiego, co należy zrobić w świetle dnia. Czwartek. Czwartek zajmie mu przede wszystkim wyjazd do Bronksu – części Nowego Jorku nieodległej od dzielnicy, w której się wychowywał.

## Ponury dzień

Trwająca trzy godziny jazda była podróżą do jądra brzydoty. To wrażenie tylko potęgowała zimna mżawka, Gurney musiał nieustannie zmieniać częstotliwość pracy wycieraczek. Czuł się przygnębiony i poirytowany – częściowo z powodu pogody, a częściowo, jak podejrzewał, z powodu snu, bo ten poruszył nuty, których chciałby nie słyszeć.

Nie znosił Bronksu. Nie znosił tam wszystkiego – od wybrzuszonych korzeniami drzew chodników do wypalonych szkieletów skradzionych i porzuconych aut. Nienawidził kolorowych, jaskrawych tablic reklamowych namawiających na cztery dni i trzy noce w Las Vegas. Nienawidził zapachu Bronksu: kłębiących się w powietrzu miazmatów – złożonych z przepalonej ropy, wilgoci zagrzybionych ścian, asfaltu i martwych ryb, za którymi kryła się nuta czegoś metalicznego. Przede wszystkim zaś nie znosił wspomnień z dzieciństwa, które nawiedzały go zawsze, kiedy tam przyjeżdżał – obrazu ohydnych, prehistorycznie ukształtowanych raków z ogonami jak włócznie, czających się w bagnistych wodach zatoki Eastchester.

Straciwszy pół godziny na mozolny zjazd z zatłoczonej „drogi ekspresowej”, poczuł ulgę, kiedy pokonał kilka przecznic dzielących go od miejsca, w którym miał się spotkać z nowojorskim policjantem – obok parkingu przy kościele Wszystkich Świętych, zagrodzonego łańcuchem, na którym wisiało ostrzeżenie, że jest zarezerwowany dla wiernych. Parking byłby pusty, gdyby nie chevrolet sedan w nieokreślonym kolorze, obok którego stał młody człowiek modnie ostrzyżony na jeża. Włosy miał postawione na żelu i rozmawiał z kimś przez telefon komórkowy. Kiedy Gurney zaparkował samochód po drugiej stronie chevroleta, mężczyzna skończył rozmowę i schował telefon do etui przypiętego do paska.

Mżawka, która ograniczała mu widoczność podczas jazdy do Nowego Jorku, zamieniła się teraz w mgłę, której kropelki były zbyt małe, by je zobaczyć, ale czuł ich ukłucia na czole. Może młody człowiek też czuł to

samo, może właśnie to wywołało na jego twarzy lęk i niepewność.

– Detektyw Gurney?

– Dave – odparł Gurney, wyciągając rękę.

– Randy Clamm. Dzięki, że pan przyjechał. Mam nadzieję, że to nie będzie strata czasu. Próbuję po prostu sprawdzić wszystkie poszlaki, a mamy tutaj to dziwaczne zabójstwo, które z opisu jest bardzo podobne do tego, nad którym pan pracuje. Może nie mają żadnego związku, to znaczy wydaje się to pozbawione sensu, by ten sam facet chciał zabić jakiegoś guru w ośrodku odnowy duchowej i bezrobotnego stróża w Bronksie, ale wie pan, te wszystkie rany na szyi, po prostu nie mogłem tego odpuścić. Człowiek ma jakąś intuicję na temat różnych spraw, myśli sobie: „Boże, jeżeli odpuścę, a okaże się, że to ten sam facet...”, wie pan, co mam na myśli?

Gurney zastanawiał się, czy tę przemowę wygłoszoną na jednym wdechu napędza kawa, kokaina, presja codziennych obowiązków, czy też jakaś sprężyna, która nie pozwala Clammowi usiedzieć na miejscu.

– Wie pan, kilkanaście ciosów zadanych w gardło, tego nie widuje się codziennie. Może będą inne związki, które wyjdą, jeżeli zbadamy obie sprawy. Może dałoby się to wszystko załatwić wymianą raportów, ale pomyślałem sobie, że jeśli sam pan tu przyjedzie, porozmawia z żoną ofiary, może zobaczy pan coś albo zapyta o coś, co mnie by nie przyszło do głowy, gdyby pana tu nie było. No, właśnie tak sobie myślałem. To znaczy, miałem nadzieję, że coś w tym jest i że dla pana to też nie będzie strata czasu.

– Zwolnij, synku. Coś ci powiem. Przyjechałem tu dlatego, że ta decyzja wydawała mi się rozsądna. Chcesz sprawdzić wszystkie ślady. Ja też. To część naszej pracy, a najgorszy scenariusz wygląda tak, że wyeliminujemy jedną z możliwości, a eliminacja możliwości to żadna strata czasu. Więc o to niech cię głowa nie boli.

– Dziękuję, proszę pana, to znaczy chcę powiedzieć, że wiem, że jechał pan parę godzin, dziękuję i doceniam. – Clamm trochę się uspokoił i zwolnił tempo. Wciąż miał nerwowy wygląd człowieka nakręconego, ale przynajmniej mówił spokojniej .

– A jak już o tym rozmawiamy – wtrącił Gurney – może teraz byłby dobry moment, żeby pojechać na miejsce przestępstwa?

– Najlepszy. Lepiej tu zostawić auto, pojedziemy moim. Dom ofiary jest w części miasta, gdzie jest mnóstwo ciasnych uliczek, na niektórych przejeżdża się obok drugiego samochodu na żyletkę.

– Z opisu wygląda mi na Flounder Beach<sup>[7]</sup>.

– Zna pan Flounder Beach?

Gurney skinął głową. Był tu kiedyś, jeszcze jako nastolatek, na przyjęciu urodzinowym koleżanki dziewczyny, z którą wtedy chodził.

– Skąd? – spytał Clamm, kiedy wyjeżdżali z parkingu i ruszali w stronę przeciwną do głównej szosy.

– Niedaleko stąd dorastałem, na City Island.

– Naprawdę? Myślałem, że jest pan spoza miasta.

– Teraz tak – odparł Gurney. Usłyszał w swojej odpowiedzi echo tymczasowości i zdał sobie sprawę, że przy Madeleine nie wolno mu tak mówić.

– Tu się nic nie zmienia. Ta sama kolonia małych bungalowów. Tylko podczas przyływu, kiedy niebo jest błękitne, można by pomyśleć, że człowiek jest na prawdziwej plaży. Później przychodzi odpływ, pokazuje się śmierdzące błoto i człowiek sobie przypomina, że jest w Bronksie.

– No właśnie – powiedział Gurney.

Pięć minut później zwolnili i zatrzymali się na pokrytej pyłem bocznej uliczce tuż przy podjeździe zamkniętym takim samym łańcuchem jak ten, który zamykał parking przy kościele. Metalowa malowana tabliczka na łańcuchu oznajmiała, że to klub Flounder Beach i że parkować można tylko za zezwoleniem. Czysta linia otworów po kulach przecinała znak niemal na pół.

Gurney przypomniał sobie przyjęcie, na którym był tu niemal trzydzieści lat wcześniej. Zastanawiał się, czy to wejście się nie zmieniło. Oczami wyobraźni widział twarz dziewczyny, której urodziny wtedy obchodzono – trochę za grubej, z kucykami i aparatem ortodontycznym na zębach.

– Lepiej tutaj zaparkować – powiedział Clamm, raz jeszcze robiąc uwagę

na temat ciasnoty tutejszych ulic. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko spacerowi.

– Boże, czy wyglądam aż tak staro?

Clamm odpowiedział zażenowanym śmiechem i odwiecznym pytaniem, kiedy wysiadali z samochodu.

– Jak długo pan pracuje w policji?

Nie miał ochoty omawiać emerytury i kwestii tymczasowego zatrudnienia, więc powiedział po prostu:

– Dwadzieścia pięć lat.

– To dziwaczna sprawa – mówił dalej Clamm, jak gdyby wynikało to naturalnie z toku rozmowy. – Nie chodzi o te rany od noża. Tam jest coś więcej.

– Jesteś pewien, że to rany od noża?

– Dlaczego pan pyta?

– W naszym przypadku to zbita butelka, stłuczona butelka po whisky. Odzyskaliście narzędzie zbrodni?

– Nie. Lekarz patolog powiedział, że to „prawdopodobnie rany od noża”, ale takiego o dwóch ostrzach, jak sztylet. Ostry kawałek szkła ze zbitej butelki mógłby spowodować podobne obrażenia. Nie mamy jeszcze wyników autopsji, ale, jak mówię, jest coś więcej... Jego żona... Nie wiem, ta kobieta to jakieś dziwadło.

– Dziwadło? To znaczy?

– No, jest dziwna. Przede wszystkim ma świra na punkcie religii. Zasadniczo to jest jej alibi. Była na jakimś spotkaniu modlitewnym.

Gurney wzruszył ramionami.

– Co jeszcze?

– Jest na lekach. Musi brać jakieś wielkie czerwone pigułki, żeby nie zapomnieć, że mieszka na planecie Ziemia.

– Mam nadzieję, że ciągle je bierze. Coś jeszcze cię w niej niepokoi?

– Tak – odparł Clamm, zatrzymując się pośrodku wąskiej uliczki, która była bardziej alejką niż ulicą. – Nie mówi całej prawdy. – Mrugnął tak, jakby czuł piasek pod powiekami. – Czegoś nam nie mówi. Ale może to, co

nam mówi, to mydlenie oczu. A może jedno i drugie. To ten dom.

Clamm pokazał palcem na przycupnięty przy ulicy bungalow po lewej stronie, odsunięty trzy metry od chodnika. Odpadająca płatami farba ze ścian zewnętrznych była wściekle zielona. Drzwi były pomalowane na kolor brązowoczerwony, który przypominał Gurneyowi barwę zaschniętej krwi. Żółta policyjna taśma, przywiązana do przenośnych pachołków, otaczała dom i ogródek. „Gdyby była zawiązana z przodu na wstążkę – pomyślał Gurney – cały ten obrazek wyglądałby jak podarunek z piekła rodem”.

Clamm zastukał do drzwi.

– Aha i jest jeszcze jedno – powiedział. – Ona jest duża.

– Duża?

– Sam pan zobaczy.

To ostrzeżenie nie do końca przygotowało Gurneya na widok kobiety, która otworzyła drzwi. Dobrze ponad sto pięćdziesiąt kilogramów, ramiona jak uda dorosłego mężczyzny. Robiła wrażenie, jakby ktoś przez pomyłkę umieścił ją w tym małym domku. Jeszcze bardziej nie na miejscu była twarz dziecka w tym olbrzymim cielsku – twarz nie do końca pojmująca rzeczywistość, jakby zdezorientowana. Krótkie, czarne włosy były uczesane z przedziałką, jak u małego chłopca.

– Słucham? – powiedziała, sprawiała przy tym wrażenie, jakby słuchanie i mówienie było ostatnią rzeczą na świecie, na którą ją stać.

– Witam, pani Rudden. Jestem detektyw Clamm. Pamięta mnie pani?

– Dzień dobry – powiedziała, jakby czytała te słowa z samouczka obcego języka.

– Byłem tu wczoraj.

– Pamiętam.

– Musimy zadać pani jeszcze parę pytań.

– Chcecie się dowiedzieć czegoś więcej o Albercie?

– Częściowo tak. Możemy wejść?

Bez słowa odwróciła się od drzwi, przeszła przez niewielki pokój, na który te drzwi się otwierały, i usiadła na sofie, która ugięła się pod jej olbrzymim ciężarem.

– Usiądźcie – powiedziała.

Rozejrzeli się wokół. Nie było krzeseł. Jedyne pozostałe przedmioty w tym pomieszczeniu to przesadnie ozdobny stolik do kawy z tanim wazonem różowych plastikowych kwiatów na samym środku, pusta półka na książki i telewizor wielkości ekranu kinowego. Nieprzykryta niczym podłoga z płyt pilśniowych była czysta, widać było na niej kilka syntetycznych włókien – co oznaczało, jak przypuszczał Gurney, że wykładzina dywanowa, na której znaleziono ciało, została zabrana do laboratorium kryminalistycznego.

– Nie musimy siadać – powiedział Clamm. – My tylko na chwilę.

– Albert lubił sport – powiedziała pani Rudden, uśmiechając się blado w kierunku olbrzymiego ekranu telewizora.

Łukowate przejście po lewej stronie małego pokoju prowadziło ku trojgu drzwi. Zza jednych z nich dobiegały dźwięki wojennej gry wideo.

– To Jonah. Jonah to mój syn. To jego pokój.

Gurney zapytał, ile chłopak ma lat.

– Dwanaście. Na swój sposób jest starszy, a w niektórych sprawach znacznie młodszy – powiedziała w taki sposób, jakby uświadomiła to sobie właśnie w tej chwili.

– Był z panią? – spytał Gurney.

– O co pan pyta? Co znaczy ze mną? – spytała głosem dziwnie sugestywnym, tak że Gurney poczuł się zmrożony.

– To znaczy – odparł, próbując nie dopuścić do głosu emocji, które czuł – czy był z panią podczas mszy, kiedy pani mąż zginął?

– Przyjął Jezusa Chrystusa jako Pana i Zbawiciela.

– Czy to znaczy, że był z panią?

– Tak. Powiedziałam temu drugiemu policjantowi.

Gurney uśmiechnął się współczująco.

– Czasami dobrze jest raz jeszcze o wszystko wypytać. To nam pomaga.

Kiwnęła głową, pokazując, że się z tym zgadza, i powtórzyła:

– Przyjął Jezusa Chrystusa.

– A czy pani mąż też przyjął Jezusa Chrystusa?

– Chyba tak.

– Ale nie jest pani pewna?

Zacisnęła mocno powieki, szukając wewnątrz, pod nimi, jakiejś sensownej odpowiedzi. Po chwili powiedziała:

– Szatan jest potężny i podstępny.

– Istotnie podstępny, pani Rudden – rzekł Gurney.

Przyciągnął stolik do kawy z różowymi kwiatami, stojący przy kanapie, obszedł dookoła i usiadł na jego krawędzi na wprost kobiety. Nauczył się, że najlepszym sposobem rozmawiania z takimi ludźmi było mówienie w taki sam sposób, nawet jeżeli nie miał pojęcia, dokąd taka dyskusja może zmierzać.

– Podstępny i straszny – powiedział, przyglądając się jej uważnie.

– Pan jest moim pasterzem i niczego mi nie braknie – powiedziała.

– Amen.

Clamm odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Niech pani mi powie – rzekł Gurney – w jaki to podstępny sposób Szatan sięgnął po Alberta?

– Tylko po mężów szczerych i doskonałych, Boga się bojących, sięga Szatan! – krzyknęła dobitnie. – Bo mąż zły już jest w jego mocy.

– A czy Albert był szczery i bał się Boga?

– Jonah! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem, wstając z kanapy i ruszając z zadziwiającą szybkością pod łukiem po lewej stronie ku jednemu z drzwi w korytarzyku, w które zaczęła walić otwartą dłonią. – Otwieraj drzwi! Natychmiast! Otwieraj!

– Co, do cholery...? – zaczął Clamm.

– Powiedziałam natychmiast, Jonah!

Usłyszeli szczęknięcie zamka i otwierające się do połowy drzwi, zza których wychylił się otyły chłopak niemal tak wielki jak jego matka, niepokojąco do niej podobny – w jego oczach również był dziwaczny wyraz nieobecności, a Gurney zastanawiał się, czy powodem pustego spojrzenia jest genetyka, czy też leki, czy jedno i drugie. Krótko przycięte włosy chłopaka były zafarbowane na blond.

– Kazałam ci nie zamykać drzwi na klucz, kiedy jestem w domu. I ścisz



to. Hałasuje to, jakby ktoś kogoś tam mordował.

Jeżeli któreś z nich miało jakiegokolwiek odczucia na temat dziwnego charakteru tej uwagi w tych konkretnych okolicznościach, żadne tego po sobie nie pokazało. Chłopak spojrział na Gurneya i Clamma bez zainteresowania. „Niewątpliwie – pomyślał Gurney – to jedna z rodzin do tego stopnia przyzwyczajonych do interwencji służb socjalnych, że obcy o oficjalnym wyglądzie w domu nie zasługują na specjalne zainteresowanie”. Chłopak popatrzył na matkę.

– Mogę teraz zjeść lizaka?

– Wiesz, że nie możesz. I ścisz to, bo w ogóle nie pozwolę ci się w to bawić.

– A właśnie, że zjem – powiedział bez emocji i zamknął jej drzwi przed nosem.

Kobieta weszła z powrotem do pokoju i usiadła na kanapie.

– Wciąż nie może dojść do siebie po śmierci Alberta.

– Pani Rudden – wtrącił się Clamm tonem, w którym słychać było lekkie ponaglenie. – Detektyw Gurney musi pani zadać parę pytań.

– Ale śmieszny zbieg okoliczności! Ja mam ciotkę Bernie. Właśnie o niej myślałam dziś rano.

– Gurney, nie Bernie – rzucił Clamm.

– Ale bardzo podobnie brzmi, prawda? – Jej oczy aż zalśniły, gdy zdała sobie sprawę z tego dźwiękowego podobieństwa.

– Pani Rudden – powiedział Gurney – czy w ciągu ostatnich kilku tygodni mąż mówił pani, że czymś się martwi?

– Albert się nigdy nie martwił.

– Czy wydawał się pani inny?

– Albert był zawsze taki sam.

Gurney podejrzewał, że te spostrzeżenia są prawdopodobnie efektem leków, które bierze, a może i po trosze spójności w zachowaniu Alberta.

– Czy kiedykolwiek dostawał listy pisane ręcznie albo czerwonym atramentem?

– W poczcie są tylko rachunki i ogłoszenia. Nigdy na to nie patrzę.

– Albert zajmował się pocztą?

– To były tylko rachunki i reklamy.

– Czy wie pani o tym, że Albert ostatnio wypisywał komuś czek albo płacił jakieś niezwykle rachunki?

Pokręciła zdecydowanie głową, a jej niedojrzała twarz zrobiła się szokująco dziecięca.

– I ostatnie pytanie. Kiedy pani znalazła ciało męża, czy zmieniała pani coś w pokoju albo przesuwiała, zanim pojawiła się policja?

Znów pokręciła głową. Być może sobie to wyobrażał, ale wydawało mu się, że zobaczył coś nowego w jej wyrazie twarzy. Może był to maleńki błysk alarmu w jak dotąd dość nieruchomym spojrzeniu? Postanowił podjąć próbę.

– Czy Pan Bóg do pani przemawia? – spytał.

W jej wyrazie twarzy było teraz coś nowego, nie tyle niepokój, ile pragnienie zemsty.

– Tak, przemawia.

„Usprawiedliwienie i duma”, pomyślał Gurney.

– Czy Pan Bóg przemówił do pani, kiedy znalazła pani Alberta?

– Pan jest moim pasterzem – zaczęła i wyrecytowała cały psalm 23. Gurney dostrzegł kątem oka skurcze zniecierpliwienia i nerwowe tiki na twarzy Clamma.

– Czy Pan Bóg dał pani jakieś konkretne instrukcje?

– Ja nie słyszę głosów – powiedziała.

Znów lekkie przerażenie w oczach.

– Nie, nie chodzi mi o głosy. Ale czy Pan Bóg do pani przemówił, żeby pani pomóc?

– Jesteśmy tu, na ziemi, po to, żeby czynić to, czego od nas oczekuje.

Gurney pochylił się ku niej ze swojej grzędę na stoliku do kawy.

– I postąpiła pani tak, jak nakazał Pan Bóg?

– Postąpiłam tak, jak nakazał Pan Bóg.

– Kiedy znalazła pani Alberta, czy było coś, co trzeba było zmienić, coś nie tak, jak powinno, coś, co Pan Bóg kazał pani uczynić?

Oczy olbrzymiej kobiety były teraz pełne łez, które spływały po jej okrągłych, dziewczęcych policzkach.

– Musiałam to ocalić.

– Ocalić?

– Policjanci by mi to odebrali.

– Co odebrali?

– Wszystko inne zabrali, ubrania, które nosił, jego zegarek, portfel, gazetę, którą czytał, krzesło, na którym siedział, wykładzinę podłogową, okulary, szklankę, z której pił... To znaczy, po prostu zabrali wszystko.

– Ale niezupełnie wszystko, prawda, pani Rudden? Nie wzięli tego, co pani ocaliła.

– Nie mogłam im pozwolić. To był podarunek. Naprawdę. Ostatni podarunek Alberta dla mnie.

– Mogę zobaczyć ten podarunek?

– Już pan go widział. Tam, za panem.

Gurney obrócił się za siebie i powiódł oczami za jej spojrzeniem w kierunku wazonu różowych kwiatów stojących na środku stołu, lub też czegoś, co przy bliższym spojrzeniu okazało się wazonem z jednym różowym plastikowym kwiatem, którego płatki były tak duże i imponujące, że sprawiał wrażenie bukietu.

– Albert dał pani ten kwiat?

– Taki miał zamiar – powiedziała po chwili wahania.

– Więc tak naprawdę pani go nie dał?

– Przecież nie mógł, prawda?

– Dlatego że już nie żył?

– Wiem, że go dla mnie kupił.

– To może być bardzo ważne, pani Rudden – powiedział Gurney cicho. – Niech pani mi dokładnie powie, co pani znalazła i co pani zrobiła.

– Kiedy Jonah i ja wróciliśmy z Sali Objawień, usłyszeliśmy telewizję i nie chcieliśmy Albertowi przeszkadzać. Albert uwielbiał telewizor. Nie lubił, jak ktoś przed nim przechodził. Więc Jonah i ja weszliśmy tylnymi drzwiami, które prowadzą do kuchni, a nie frontowymi, bo nie chcieliśmy

mu przeszkadzać. Usiedliśmy w kuchni i Jonah zjadł swojego lizaka na dobranoc.

– Jak długo byliście w kuchni?

– Tego nie wiem. Zaczęliśmy rozmawiać. Jonah ma bardzo głębokie myśli.

– O czym rozmawialiście?

– Na jego ulubiony temat, na temat ucisku na końcu świata. W Księdze Hioba napisane jest, że na końcu świata będzie ucisk. Jonah zawsze mnie pyta, czy w to wierzę i jak dużo będzie tego ucisku, to znaczy według mnie, i jaki to będzie ucisk. Dużo o tym rozmawiamy.

– Więc rozmawialiście o ucisku, a Jonah zjadł lizaka.

– Jak zwykle.

– I co potem?

– Potem już był czas, żeby poszedł spać.

– No i?

– I poszedł przez kuchnię do pokoju, żeby wejść do sypialni, ale nie minęło pięć sekund, a już był z powrotem w kuchni, szedł tyłem i pokazywał na pokój. Prosiłam, żeby coś powiedział, ale tylko pokazywał palcem. Więc weszłam tam sama. To znaczy, weszłam do środka tutaj – powiedziała, rozglądając się po pokoju.

– I co pani zobaczyła?

– Alberta.

Gurney czekał, aż coś jeszcze powie. Kiedy nic nie powiedziała, podsunął jej myśl.

– Albert nie żył?

– Było mnóstwo krwi.

– A kwiat?

– A kwiat był na podłodze, leżał tuż przy nim. Widzi pan, na pewno trzymał go w ręce. Na pewno chciał mi go dać, jak przyjdę do domu.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Wtedy? Aha, poszliśmy do sąsiadów. Bo my nie mamy telefonu. Chyba zadzwonili na policję. Ale zanim przyjechała policja, podniosłam z podłogi

ten kwiat. Był dla mnie – powiedziała nagle z uporem małego dziecka. – To był podarunek. Wsadziłam go do naszego najładniejszego wazonu.

---

<sup>[7]</sup> *Flounder* (ang.) – flądra.

## Wychodząc ostrożnie na światło

Kiedy w końcu wyszli z domu Ruddenów, była już pora obiadowa, ale Gurney nie miał ochoty na jedzenie. Nie dlatego że nie był głodny, ani też nie dlatego że Clamm nie zaproponował, że mogliby coś zjeść. Był zbyt sfrustrowany i rozzłoszczony, przede wszystkim na samego siebie, żeby odpowiedzieć twierdząco na jakiegokolwiek pytanie. Kiedy razem z Clammem jechali z powrotem na kościelny parking, gdzie zostawili samochód, po raz ostatni próbował zebrać fakty i porównać obie sprawy, żeby stwierdzić, czy jest cokolwiek, co je łączy. Ta próba zaprowadziła go donikąd.

– No cóż – powiedział Clamm, nie siląc się, żeby temu wszystkiemu nadać jakąś pozytywną interpretację. – Przynajmniej na tym etapie nie ma żadnego dowodu na to, że sprawy nie są powiązane. Mąż mógł dostawać listy, których żona nie widziała na oczy, bo nie wygląda na to, że było to małżeństwo, w którym się dużo rozmawiało, więc mógł jej nic nie powiedzieć. A biorąc pod uwagę to, co ona zażywa, prawdopodobnie w ogóle nie zauważała żadnych subtelnych zmian u swojego męża. Może jest sens jeszcze raz pogadać z tym małym. Wiem, że jest odjechany równie mocno jak ona, ale kto wie, może coś sobie przypomni.

– Pewnie – powiedział Gurney bez przekonania. – Mógłbyś też sprawdzić, czy Albert miał konto w banku, czy wypisywał jakieś czeki i czy w książeczce czekowej jest odcinek, w którym zachował się ślad po tym, że płacił komuś na nazwisko brzmiące jak Charybda lub Charybdis, lub Scylla. To działanie trochę na oślep, ale na tym etapie niech już tak będzie, trudno.

\*

Gdy wracał do domu, pogoda jeszcze bardziej się popsuła, jakby

współgrając z ponurym nastawieniem Gurneya do świata. Poranny przelotny deszczyk rozwinął się teraz w pełni i lało równomiernie, deszcz tylko podkreślał negatywną ocenę całej wyprawy. Jeśli istniały jakieś powiązania między morderstwami Marka Mellery'ego i Alberta Ruddena, oprócz dużej liczby i umiejscowienia ran kłutych, to na pierwszy rzut oka nie było ich widać. Żadne charakterystyczne cechy morderstwa z Peony nie powtórzyły się na Flounder Beach – żadnych chytrych śladów butów, krzeselka ogrodowego, rozbitej butelki po whisky, wierszy – żadnych oznak, że ktoś tu grał w jakieś gry. Ofiary na pierwszy rzut oka nie miały ze sobą nic wspólnego. Stwierdzenie, że morderca mógłby jako dwa swoje cele wybrać Marka Mellery'ego i Alberta Ruddena, nie miałoby sensu.

Takie myśli w połączeniu z nieprzyjemną jazdą przez coraz silniejszy deszcz z pewnością przyczyniły się do pełnego napięcia wyrazu, który malował się na twarzy Gurneya, kiedy wchodził przez drzwi kuchenne do budynku starej farmy, ociekając wodą.

– Co ci się stało? – spytała Madeleine, podnosząc wzrok znad cebuli, którą siekała.

– Co chcesz wiedzieć?

Wzruszyła ramionami i ciachnęła jeszcze raz nożem cebulę.

Irytacja, która pobrzmiwała w jego odpowiedzi, była wyraźna. Po chwili mruknął przeproszająco pod nosem.

– Miałem wyczerpujący dzień, w sumie sześć godzin tam i z powrotem w strugach deszczu.

– No i?

– No i? Cała historia to prawdopodobnie ślepy zaulek.

– No i?

– To nie wystarczy?

Uśmiechnęła się do niego półgębkiem, niedowierzająco.

– A na dodatek to było w Bronksie – dodał ponuro. – Nie ma takiego ludzkiego doświadczenia, którego w Bronksie nie można by zohydzić.

Zaczęła siekać cebulę na małe kawałeczki. Odezwała się tak, jakby mówiła do deski kuchennej.

– Masz na sekretarce dwie wiadomości. Od twojej koleżanki z Ithaki i od twojego syna.

– Jakież konkretne wiadomości, czy chcą, żebym oddzwonił?

– Aż tak się nie przysłuchiwałam.

– Mówiąc „koleżanka z Ithaki”, masz na myśli Sonię Reynolds?

– A są jeszcze jakieś inne?

– Co inne?

– Przyjaciółki w Ithace, o których jeszcze nie wiem.

– Nie mam w Ithace żadnych „przyjaciółek”. Sonia Reynolds jest partnerem w interesach i tylko tyle. A w ogóle czego chciała?

– Mówiłam ci, masz te nagrania na sekretarce. – Nóż Madeleine, który wisiał nad małym stosem posiekanej cebuli, uderzył w deskę do krojenia z nadzwyczajną siłą.

– Jezus Maria, uważaj na palce! – te słowa wypłynęły z niego bardziej z gniewu niż z troski.

Kiedy ostrze noża było wciąż przyciśnięte do deski do krojenia, spojrzała na niego zaciekawiona.

– Więc co się dzisiaj naprawdę wydarzyło? – spytała, nie pozwalając, aby bieg rozmowy zapędził ich w ślepy zaułek.

– Tylko nieszczęście i frustracja, sam nie wiem.

Podszedł do lodówki, wyjął butelkę heinekena, otworzył ją i postawił na stole, przy którym zwykle jedli śniadanie, tuż przy szklanych drzwiach balkonowych. Następnie zdjął marynarkę, zawiesił ją na oparciu jednego z krzeseł i usiadł.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? Powiem ci. Na prośbę detektywa policji nowojorskiej o śmiesznym nazwisku Randy Clamm przejechałem się trzy godziny w jedną stronę po to, żeby odwiedzić smętny mały domek w Bronksie, w którym pewien bezrobotny stracił życie zadźgany ciosami w gardło.

– Po co cię wezwali?

– No właśnie. To dobre pytanie. Wygląda na to, że detektyw Clamm usłyszał o zabójstwie, które miało miejsce tutaj. Podobieństwo metody



skłoniło go do zatelefonowania na policję w Peony, a ona przekazała sprawę policji stanowej, ci znowu zadzwonili do kapitana, który prowadzi śledztwo, wrednego lizusa nazwiskiem Rodriguez, którego mózg jest na tyle duży, że rozpoznaje tylko fałszywe tropy.

– A on przekazał sprawę tobie?

– Do biura prokuratora okręgowego, który automatycznie skierował do niej mnie.

Madeleine nic nie powiedziała, ale w jej oczach widać było nasuwające się pytanie.

– Wiem, to słaby ślad. W tej części świata dźgnięcie kogoś nożem to po prostu inna forma sprzeczki... Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że znajdę jakiś związek między tymi dwiema sprawami.

– I nic?

– Nic. Przez moment zapowiadało się całkiem ciekawie, bo wdowa nie wszystko nam powiedziała. W końcu przyznała, że przestawiła parę rzeczy na miejscu zbrodni. Na podłodze leżał kwiat, który jej mąż według niej przyniósł do domu, żeby jej podarować. Bała się, że technicy z laboratorium kryminalistycznego zabiorą kwiat, a ona chciała go zatrzymać, to normalne i zrozumiałe. A więc podniosła go i włożyła do wazonu. Koniec sprawy.

– Miałaś nadzieję, że przyzna się do tego, że zatarła jakieś ślady stóp na śniegu albo ukryła białe krzeselko ogrodowe?

– Coś w tym stylu. Okazało się jednak, że to był plastikowy kwiat.

– Plastikowy?

– Plastikowy. – Wziął długi, powolny łyk piwa, przechylając butelkę. – Chociaż gustu to on nie miał.

– To wcale nie był podarunek – powiedziała z przekonaniem.

– Co masz na myśli?

– Można dać w prezencie prawdziwy kwiat, prawie zawsze to prezent, prawda? Sztuczne kwiaty to coś zupełnie innego.

– Co takiego?

– To są rzeczy, którymi dekoruje się wnętrza. Mężczyzna nie kupi kobiecie plastikowego kwiatu, tak jak nie kupi jej rolki kwiecistej tapety.

– Co ty mi chcesz powiedzieć?

– Nie jestem pewna. Ale jeżeli ta kobieta znalazła plastikowy kwiat na miejscu zbrodni i przypuszcza, że kupił go dla niej jej mąż, to chyba się myli.

– A jak sądzisz, skąd się tam wziął?

– Nie mam pojęcia.

– Wydawała się prawie pewna, że dostała kwiat od niego w prezencie.

– Bo chciała tak myśleć, prawda?

– Może i tak. Ale jeżeli on nie przyniósł tego kwiatu do domu i jeżeli założyć, że syn był z nią całe popołudnie tak, jak twierdzi, poza domem, to jedynym wyjaśnieniem jest to, że przyniósł go morderca.

– Chyba tak – powiedziała Madeleine z malejącym zainteresowaniem.

Gurney wiedział, że Madeleine doskonale zna granicę między tym, co człowiek w pewnych okolicznościach zrobiłby naprawdę, a zwykłym spekulowaniem na temat tego, skąd mógł się w pomieszczeniu wziąć jakiś przedmiot. Wyczuł, że właśnie przekroczył tę granicę, ale uparł się i brnął w to dalej.

– Dlaczego morderca chciałby zostawić przy ciele ofiary kwiat?

– A jaki to był kwiat?

Wiedział, że Madeleine będzie drążyć aż do końca.

– Nie jestem pewien. Wiem, czym to nie było. To nie była róża, goździk ani dalia. Ale coś, co je wszystkie przypominało.

– Jak?

– No, przede wszystkim miałem skojarzenie z różą, ale kwiat był większy, miał więcej płatków, były bardziej zwarte. Był prawie wymiarów goździka albo dalii, ale płatki były znacznie szersze niż w dalii czy goździku, takie przerośnięte płatki róży. To był nabity, dekoracyjny kwiat.

Po raz pierwszy, od kiedy tego dnia przyjechał do domu, twarz Madeleine ożywiła się – była naprawdę zaciekawiona.

– Coś ci przychodzi do głowy? – spytał.

– Może... Hm...

– Co takiego? Wiesz, co to za kwiat?

– Chyba tak. I to interesująca zbieżność.

– Jezus Maria! Powiesz mi czy nie?

– Może się mylę, ale z twojego opisu wynika, że ten kwiat to peonia<sup>[8]</sup>.

Butelka piwa wysliznęła mu się z ręki.

– A niech mnie!

Zadał Madeleine jeszcze kilka pytań na temat peonii, a później poszedł do swojego pokoju zadzwonić w parę miejsc.

---

<sup>[8]</sup> *Peony* (ang.) – peonia.

## Jak po sznurku

Zanim odłożył słuchawkę, Gurney przekonał detektywa Clamma, że kwiat o znaczącej nazwie, przywodzącej na myśl pierwsze miejsce zbrodni, pojawiający się na drugim, to coś więcej niż tylko przypadek.

Zasugerował mu również kilka rzeczy, które niezwłocznie trzeba zrobić: przeszukać dokładnie dom Ruddenów, rozglądając się za listami, notatkami, czymkolwiek wierszowanym, czymkolwiek pisanym ręcznie, czymkolwiek z czerwonym atramentem; zawiadomić patologa o połączeniu strzału z broni palnej i ran zadanych zbitą butelką, co miało miejsce w Peony, w razie gdyby chciał raz jeszcze spojrzeć na ciało Ruddena; przeczesać dom, szukając śladów wystrzału lub materiału, którego można było użyć, by wystrzał stłumić; raz jeszcze przeszukać cały teren i sąsiednie posesje oraz szosę między domem a płotem, zwracając uwagę na zbite butelki, zwłaszcza po whisky; przyjrzeć się biografii Alberta Ruddena, by się zorientować, czy są jakieś powiązania między nim a Markiem Mellerym, jakieś konflikty lub wrogowie, problemy z wymiarem sprawiedliwości lub nadużywaniem alkoholu.

W końcu zdał sobie sprawę, że może trochę przesadza z tymi „sugestiami”, opanował się i przeprosił.

– Nie gniewaj się, Randy, że wychodzę trochę przed szereg. Sprawa Ruddena jest twoja. Ty jesteś za to odpowiedzialny, a to znaczy, że to, co zrobisz, jest wyłącznie twoją decyzją. Wiem, że nie ja tam rządę, i przepraszam, że tak się zachowuję.

– Nie ma problemu. A przy okazji, pracuje tu komisarz Everly, który mówi, że był w akademii policyjnej z jakimś Dave'em Gurneyem. Czy to może pan?

Gurney zaśmiał się. Zapomniał zupełnie, że Bobby Everly wylądował w tym komisariacie.

– Tak, to ja.

– W takim razie, panie komisarzu, rady od pana są zawsze mile widziane. A jeśli chciałby pan raz jeszcze przesłuchać panią Rudden, to nie ma sprawy. Widziałem, jak pan to robi, i uważam, że jest pan dobry.

Jeżeli to był sarkazm, to dobrze ukryty. Gurney postanowił wziąć jego słowa za dobrą monetę.

– Dziękuję. Nie muszę z nią rozmawiać osobiście, ale pozwól, że coś zasugeruję. Jeżeli spotkałbym się z nią jeszcze raz twarzą w twarz, zapytałbym bardzo konkretnie o to, co Pan kazał jej zrobić z butelką po whisky.

– Z jaką butelką po whisky?

– Z tą, którą być może zabrała z miejsca zbrodni z powodów tylko jej wiadomych. Zapytałbym w sposób, który nasuwa myśl, że już wiesz, że butelka tam była i że ona ją zabrała na żądanie Pana, a ty jesteś tylko ciekaw, gdzie ta butelka się podziała. Oczywiście to nie musiała być butelka po whisky, a jeżeli wyczujesz, że ona nie ma zielonego pojęcia, o czym mówisz, to po prostu zostaw ten temat i przejdź do czegoś innego.

– Jesteś pewien, że cała historia będzie podobna do morderstwa w Peony? Że gdzieś tutaj powinna być jakaś butelka po whisky?

– Tak właśnie myślę. Jeżeli nie czujesz się na siłach w ten sposób z nią rozmawiać, nie ma problemu. To twoja decyzja.

– Warto spróbować. Nic nie tracę. Dam ci znać.

– Powodzenia.

Następnie Gurney musiał zadzwonić do Sheridana Kline'a. Truizm mówiący, że szef nigdy nie powinien się dowiadywać od kogoś innego rzeczy, których mógł się dowiedzieć od ciebie, szczególnie dobrze sprawdzał się w świecie wymiaru sprawiedliwości. Złapał Kline'a, gdy ten był w drodze na okręgową konferencję prokuratorów w Lake Placid, a częste zakłócenia na łączach spowodowane dziurami w zasięgu telefonii komórkowej w górzystej okolicy dodatkowo utrudniały wyjaśnienie związku z „peonią”. Kiedy skończył, Kline tak długo zwlekał z odpowiedzią, że Gurney bał się, że znów stracił zasięg.

– Ta historia z kwiatem – powiedział w końcu. – Myślisz, że da się

obronić?

– Jeżeli jest to przypadek – odparł Gurney – to przypadek niezwykły.

– Ale prawdę mówiąc, to nic konkretnego. Jeśli miałbym się zabawić w adwokata diabła, musiałbym powiedzieć, że twoja żona nie widziała tego plastikowego kwiatu, który jej opisałeś. Może to w ogóle nie jest peonia? Wtedy zostalibyśmy z ręką w nocniku. A nawet jeżeli jest to peonia, to niczego nie dowodzi. Dla mnie sprawa jest jasna: to nie jest żaden postęp w sprawie, o którym mógłbym mówić na konferencji prasowej. Boże, dlaczego to nie mógł być prawdziwy kwiat? Byłoby wtedy mniej wątpliwości. Dlaczego plastikowy?

– To mnie też niepokoiło – powiedział Gurney, próbując ukryć irytację spowodowaną reakcją Kline’a. – Dlaczego nie prawdziwy? Kilka minut temu zadałem żonie to pytanie i powiedziała, że kwiaciarnie nie lubią sprzedawać peonii. To roślina o bardzo zwartym, ciężkim kwiatostanie i kwiat nie utrzymuje się prosto na łodydze. Można je kupić w centrach ogrodniczych i zasadzić przed domem, ale nie o tej porze roku. Więc plastikowy kwiat był może jedynym sposobem, dzięki któremu morderca mógł przesłać nam wiadomość. Uważam, że to kwestia sposobności i przypadku. Zobaczył kwiat w sklepie, wpadła mu do głowy taka myśl i uznał, że to zabawne.

– Zabawne?

– Droczy się z nami, bawi się jak kot z myszą. Przypomnij sobie liścik, który zostawił na ciele Mellery’ego: złapcie mnie, jeśli potraficie. O to też chodziło w śladach na śniegu, prowadzących w przeciwnym kierunku. Ten maniak macha nam przed nosem różnymi rzeczami, a one wszystkie mówią to samo: „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz!?”

– W porządku, rozumiem, co mówisz. Może masz rację, ale nie mogę na podstawie przypuszczenia, że łączy je jakiś plastikowy kwiat, publicznie ogłosić, że te dwie sprawy są powiązane. Chcę mieć konkretne dowody w garści i to możliwie szybko.

Gurney odłożył słuchawkę i siedział teraz przy oknie swojego pokoju, wyglądając na zewnątrz. Szarzało późne listopadowe popołudnie.

Przypuśćmy, że, jak mówił Kline, ten kwiat to nie peonia. Gurney nie mógł dojść do siebie, zdawszy sobie sprawę z tego, jak kruche jest to „powiązanie” i jak mocno w nie uwierzył. Przeoczenie takiej wyraźnej luki w teorii było oznaką wzburzenia emocjonalnego. Tyle razy podkreślał to na wykładach z kryminologii na uniwersytecie stanowym, a teraz sam być może daje się złapać w identyczną pułapkę. To przygnębiające.

Przez godzinę myślał nad wszystkim, co stało się tego dnia, nad ślepych uliczkami, w które brnie.

– Co tak siedzisz po ciemku?

Odwrócił się na krześle i zobaczył kontury sylwetki Madeleine w drzwiach.

– Kline chce, żeby powiązania były bardziej realne niż plastikowa peonia – powiedział. – Zadzwoń do Bronksu i podpowiedziałem facetowi, czego ma szukać. Mam nadzieję, że coś znajdzie.

– Ale nie jesteś przekonany.

– Bo wiesz, z jednej strony mam tę peonię, albo przynajmniej wydaje nam się, że to jest peonia. Z drugiej strony mamy kłopoty z wyobrażeniem sobie powiązania między Ruddenem a Mellerym, bo związku zobaczyć tu nie sposób. Nie wiem, czy istnieją dwaj ludzie, którzy żyją w tak odmiennych światach.

– A jeżeli to jest seryjny morderca i nie ma żadnych związków?

– Nawet seryjni mordercy nie wybierają swoich ofiar przypadkowo. Ofiary zawsze mają coś wspólnego, są jasnowłose, Azjatami, lub chociażby gejami, mają jakąś cechę charakterystyczną, która ma dla zabójcy szczególne znaczenie. Więc nawet jeżeli Mellery i Rudden nie byli bezpośrednio wplątani w to samo, wciąż będziemy szukać jakiegoś wspólnego mianownika czy podobieństwa między nimi.

– A jeżeli... – zaczęła Madeleine, ale przerwał jej dzwonek telefonu.

Telefonał Randy Clamm.

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale pomyślałem sobie, że zadzwonię i powiem, że miał pan rację. Pojechałem zobaczyć się z wdową i zapytać tak, jak pan mi radził, tak po prostu i konkretnie. Powiedziałem wprost: „Może

pani mi dać tę butelkę whisky, którą pani znalazła?”. Nie musiałem nawet wspominać o Panu Bogu. I niech mnie szlag trafi, jeżeli nie odpowiedziała równie konkretnie: „Jest w kuble na śmieci”. Więc wychodzimy z kuchni, zaglądamy do kubła i znajdujemy zbitą butelkę po whisky Four Roses. Wpatruję się w nią z otwartymi ustami i nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Nie o to chodzi, że dziwiłem się, że ma pan rację, niech mnie pan źle nie zrozumie, ale naprawdę, nie spodziewałem się, że to będzie takie łatwe. Takie cholernie oczywiste. Kiedy pozbierałem myśli, poprosiłem ją, żeby pokazała mi dokładnie, gdzie ją znalazła. Ale wtedy cała ta sytuacja nagle do niej dociera, może dlatego, że przestałem pytać ot, tak sobie, i kobieta wygląda na zdenerwowaną. Mówię, żeby sobie odpuściła, żeby się nie martwiła, niech mi tylko powie, gdzie ta butelka leżała, bo to może nam bardzo pomóc, i może mogłaby mi powiedzieć, dlaczego ją w ogóle ruszała. Oczywiście nie powiedziałem tego w ten sposób, ale dokładnie to miałem na myśli. Więc baba patrzy na mnie i wie pan, co mówi? Mówi, że Albert tak się starał z tym piciem, że przez prawie rok nie pił. Chodził na spotkania grupy AA, świetnie mu szło, a kiedy ona zobaczyła tę butelkę, która leżała tuż przy nim na podłodze obok plastikowego kwiatu, pierwsza rzecz, która jej przyszła do głowy, to że on znowu zaczął pić, potknął się, upadł na butelkę, rozciął sobie gardło i tak zginął. Nie przyszło jej od razu do głowy, że ktoś go zamordował, nawet jej to przez myśl nie przeszło, dopóki nie zjawili się gliniarze i nie zaczęli o tym mówić. Zanim przyszli, ona schowała butelkę, bo myślała, że to była jego butelka, a nie chciała, żeby ktoś się dowiedział, że on wrócił do picia.

– I nawet wtedy, kiedy już sobie uświadomiła, że go zabito, wciąż nie chciała, żeby ktoś się dowiedział o tej butelce?

– Nie. Ona wciąż jest przekonana, że to jest jego butelka i nie chce, żeby ktoś usłyszał, że on źłopie, a zwłaszcza tacy mili, nowi znajomi z klubu AA.

– Boże jedyny!

– A więc cała historia to jeden wielki kabaret. Z drugiej strony ma pan dowód, że morderstwa są powiązane.

Clamm był poruszony, pełen sprzecznych uczuć, które Gurney znał aż za



dobrze – uczuć, które tak utrudniały bycie policjantem, a w końcu tak strasznie męczyły i pozbawiały sił.

– Świetnie się sprawiłeś. Dobra robota, Randy.

– Zrobiłem tylko to, co mi pan kazał – powiedział Clamm, wystrzeliwując słowa jak z karabinu maszynowego. – Zabezpieczyłem butelkę, wezwałem ekipę z laboratorium kryminalistycznego, żeby jeszcze raz się wszystkiemu przyjrzała, żeby sprawdziła cały dom, szukając listów, notatek, czegokolwiek. Poprosiłem panią Rudden, żeby dała mi książeczkę czekową męża. Tak, jak pan mówił dzisiaj rano. Dała mi ją, ale nie miała pojęcia, co to dokładnie jest, trzymała ją ostrożnie w palcach, jak gdyby książeczka była radioaktywna. Powiedziała, że Albert zajmował się rachunkami. Mówiła, że nie lubi czeków, bo na nich są liczby, a z liczbami trzeba być ostrożnym, liczby mogą być podszeptem Szatana, uosobieniem zła. Tak czy inaczej przeglądam tę książeczkę i koniec końców okazuje się, że to może zabrać więcej czasu, niż się nam wydawało. Być może Albert i płacił rachunki, ale z notowaniem tego, co zapłacił, było gorzej. Nie było na czeku żadnego odniesienia do nazwiska Arybdis, Charybdis czy Scylla. Tego przede wszystkim szukałem, ale to niewiele znaczy, bo na większości odcinków, które zostały po wyrwaniu czeku, nie było nazwisk, tylko kwoty, a na niektórych nawet i tego brakowało. Co do comiesięcznych rachunków, kobieta nie miała pojęcia, czy w domu coś takiego jest, ale przeszukamy dokładnie i dostaniemy od niej zgodę na sprawdzenie konta bankowego. Tymczasem zdaje się, że jakiś detal nam umknął. Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć na temat zabójstwa Mellery’ego?

Gurney namyślał się przez chwilę.

– Groźby, które Mellery otrzymywał przed zabójstwem, wskazywały dość niejasno na rzeczy, które zrobił, kiedy był pijany. Teraz okazuje się, że Rudden też miał problemy z alkoholem.

– Czy to znaczy, że szukamy faceta, który biega w kółko jak szalony i rozwala pijaczków?

– Nie do końca. Jeżeli właśnie na tym by mu zależało, są przecież prostsze sposoby.

- Jak na przykład odpalić bombę na spotkaniu AA?
- Coś łatwiejszego. Co maksymalizowałyby skuteczność i minimalizowało ryzyko. Ten facet ma jednak skomplikowane i niekonwencjonalne podejście. Nie ma w tym nic ani łatwego, ani bezpośredniego. Każdy jego ruch nasuwa pytania.
  - Na przykład?
  - No, pierwsze z brzegu: dlaczego wybiera ofiary mieszkające tak daleko od siebie i tak różniące się pod każdym innym względem?
  - Żebyśmy nie mogli ich powiązać?
  - Ale on właśnie chce, żebyśmy je powiązali. O to chodzi z tą peonią. Chce, żeby go zauważono. Chce uznania. To nie jest taki zwykły sprawca, który próbuje nam uciec. Facet chce walki, bitwy, nie tylko ofiar. Również z policją.
    - A skoro o tym mowa, muszę o wszystkim powiadomić mojego szefa. Nie będzie zadowolony, jeśli się dowie, że najpierw zadzwoniłem do pana.
    - A gdzie teraz jesteś?
    - W drodze na komisariat.
    - To znaczy gdzieś na Trenont Avenue?
    - Skąd pan wie?
    - Ryk silników samochodowych w Bronksie, który słyszę w tle. Takiego czegoś nigdzie indziej się nie spotyka.
    - To chyba przyjemne: być gdzieś indziej. Chciałby pan coś przekazać komisarzowi Everly'emu?
    - Lepiej się wstrzymajmy z przekazywaniem pozdrowień. Z pewnością bardziej będzie go interesowało to, co ty masz mu do powiedzenia.

## Nieszczęścia chodzą parami

Gurneya świerzbiła ręką, żeby chwycić za telefon, połączyć się z Sheridanem Kline'em i opowiedzieć mu o dowodach przemawiających za powiązaniem ich sprawy z peonią, ale chciał najpierw zadzwonić w jedno miejsce. Jeżeli te dwie sprawy rzeczywiście łączą się ze sobą tak, jak na to wygląda, to możliwe, że Ruddena nie tylko proszono o pieniądze, ale też że kazano mu je posłać do tej samej skrytki pocztowej w Wycherly w stanie Connecticut.

Gurney wyjął z szuflady biurka cienką teczkę na akta i znalazł kserokopię krótkiego listu, który Gregory Dermott wysłał razem z czekiem zwróconym Mellery'emu. W nagłówku listu były dane firmy GD Systemy Zabezpieczeń, w tym numer telefonu. Nagłówek był dość tradycyjny, nawet trochę staroświecki.

Telefon odebrano po drugim sygnale, a ton głosu pasował do stylu nagłówka.

- Dzień dobry. GD Systemy Zabezpieczeń. Czym mogę służyć?
- Chciałbym rozmawiać z panem Dermottem. Nazywam się Gurney, jestem inspektorem z biura prokuratora okręgowego.
- Nareszcie! – Emocje, które ujawniły się w głosie, były zdumiewająco silne.
- Nie rozumiem?
- Dzwoni pan w sprawie tego błędnie zaadresowanego czeku?
- Tak, właśnie dlatego dzwonię, ale...
- Zawiadomiłem o tym policję sześć dni temu. Sześć dni temu!
- O czym pan zawiadomił sześć dni temu?
- Przecież mówi pan, że dzwoni pan w związku z tym czekiem?
- Zacznijmy od początku, panie Dermott. Rozumiem, że Mark Mellery rozmawiał z panem jakieś dziesięć dni temu na temat czeku, który pan mu zwrócił, czeku wystawionego na nazwisko „X. Arybdis” i wysłanego do pana

skrytki pocztowej. Potwierdza pan?

– Oczywiście, że potwierdzam. Co to w ogóle za pytanie? – jego rozmówca był już mocno poirytowany.

– Kiedy powiedział pan, że zgłosił pan to sześć dni temu, to chyba niestety...

– Ten drugi czek!

– Otrzymał pan jeszcze jeden czek?

– Nie dlatego pan dzwoni?

– Właściwie dzwonię, żeby zadać panu takie właśnie pytanie.

– Jakie pytanie?

– Czy otrzymał pan czek od niejakiego Alberta Ruddena?

– Tak. Takie nazwisko było na drugim czeku. Dzwoniłem po to, żeby sprawę zgłosić. Sześć dni temu.

– Do kogo pan dzwonił?

Gurney usłyszał, że mężczyzna bierze kilka wdechów, jak gdyby starał się uspokoić i nie eksplodować.

– Niech pan posłucha, wcale mi się nie podoba fakt, że nikt nic nie wie. Dzwoniłem na policję sześć dni temu, żeby zgłosić sytuację, która mnie zaniepokoiła. Do mojej skrytki wysłano trzy czeki zaadresowane na nazwiska, o których nigdy nie słyszałem. Teraz pan do mnie dzwoni i wygląda na to, że chodzi o te czeki, ale mam wrażenie, że nie wie pan, o czym mówię. Czy czegoś nie pojmuję? O co tu, do cholery, chodzi?

– Na który komisariat pan dzwonił?

– Oczywiście, że na mój. Na komisariat w Wycherly. Czy i tego może pan nie wiedzieć, przecież pan oddzwania?

– Chodzi o to, że ja wcale nie oddzwania. Telefonuję z Nowego Jorku w sprawie czeku, który otrzymał pan od Marka Mellery'ego. Nie wiedzieliśmy, że były jeszcze jakieś czeki. Mówi pan, że po tym pierwszym były jeszcze dwa?

– Chyba pan nie jest głuchy.

– Jeden od Alberta Ruddena i jeden od jeszcze kogoś?

– Tak, drogi panie. Czy teraz jest to jasne?

– Absolutnie jasne. Ale zastanawiam się, dlaczego te trzy źle zaadresowane czeki tak pana poruszyły, że zadzwonił pan na policję.

– Zadzwoniłem na policję, bo poczta, którą najpierw o tym zawiadomiłem, nie okazała żadnego zainteresowania. Zanim mnie pan zapyta, dlaczego w ogóle złożyłem zażalenie na poczcie, muszę panu powiedzieć, że jak na policjanta ma pan raczej przytępiony zmysł w zakresie zabezpieczeń.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bo pracuję w branży zabezpieczeń, drogi panie. W branży zabezpieczeń danych komputerowych. Ma pan pojęcie, jak powszechna jest kradzież czyichś danych osobowych albo jak często w takiej kradzieży kluczowym elementem jest przywłaszczenie czyjegoś adresu?

– Rozumiem. I co zrobiła policja z Wycherly?

– Jeszcze mniej niż urząd pocztowy, jeśli to w ogóle możliwe.

Gurney mógł sobie wyobrazić tę sytuację. Reakcja na telefony Dermotta była lakoniczna. Trzech nieznanych ludzi wysyłających czek do tej samej skrytki pocztowej to na pewno mniej imponujące zadanie niż wezwanie do prawdziwego zdarzenia.

– Zwrócił pan drugi i trzeci czek do nadawcy tak jak w przypadku Marka Mellery'ego?

– Oczywiście, że tak, i do kopert włożyłem notki z pytaniem, skąd mają numer mojej skrzynki pocztowej, ale żaden z nich nie był na tyle uprzejmy, żeby odpowiedzieć.

– Ma pan nazwisko i adres z trzeciego czeku?

– Naturalnie.

– Potrzebuję tego nazwiska i adresu jak najszybciej.

– Dlaczego? Czy dzieje się coś, o czym nie wiem?

– Mark Mellery i Albert Rudden nie żyją. Prawdopodobnie padli ofiarą zabójstwa.

– Zabójstwa? Jak to zabójstwa? – Głos Dermotta stał się piskliwy.

– Niewykluczone, że zostali zamordowani.

– Boże! Myśli pan, że to ma jakiś związek z tymi czekami?

– Osoba, która podała im adres pańskiej skrytki pocztowej, będzie nas bardzo interesować w toku śledztwa.

– Dlaczego właśnie mój adres? Jaki to ma związek ze mną?

– To dobre pytanie, panie Dermott.

– Ale nigdy o nich nie słyszałem, ani o Marku Mellerym, ani Albercie Ruddenie.

– A jak brzmiało nazwisko na trzecim czeku?

– Na trzecim czeku? A niech to, mam kompletną pustkę w głowie.

– Mówił pan, że sobie pan to nazwisko zanotował.

– Tak, tak, oczywiście, że zanotowałem. Chwileczkę. Richard Kartch. Tak właśnie. Richard Kartch. K-a-r-t-c-h. Zaraz pójdę po adres. Chwileczkę, mam go tutaj. To 348 Quarry Road, Sotherton, Massachusetts.

– Zapisałem.

– Niech pan posłucha, jeżeli jestem jakoś zamieszany w tę całą historię, byłbym wdzięczny za każdą informację. Musi być jakiś powód, dla którego wybrano akurat moją skrytkę pocztową.

– Jest pan pewien, że tylko pan ma do niej dostęp?

– Na tyle, na ile mogę być pewien. Ale Bóg jeden wie, ilu pracowników poczty może ją otworzyć. Albo kto mógłby dorobić zapasowy klucz, o którym ja nie mam pojęcia.

– Więc nazwisko Richarda Kartcha nic panu nie mówi?

– Nic. Tego jestem absolutnie pewien. To jest nazwisko, które bym zapamiętał.

– Dobrze, w takim razie dam panu numery telefonów, pod którymi może się pan ze mną skontaktować. Byłbym wdzięczny, gdyby pan natychmiast do mnie zadzwonił, jeśli sobie pan coś przypomni o tych trzech osobach albo o kimś, kto mógłby mieć dostęp do pana skrytki. I ostatnie pytanie. Pamięta pan kwoty na drugim i trzecim czeku?

– To łatwe. Kwoty na drugim i trzecim czeku były takie same jak na pierwszym: dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt siedem centów.

## Nieprzyjemny sąsiad

Madeleine zapaliła lampę w pokoju, sięgając do włącznika przy framudze drzwi. Podczas rozmowy Gurneya z Dermottem na dworze zrobiło się ciemno, a w pokoju zapanował mrok.

– Jakież postępy?

– I to spore. Dzięki tobie.

– Moja stryjenka Mimi hodowała peonie.

– Która to była Mimi?

– Siostra matki mojego ojca – powiedziała, nie mogąc do końca ukryć irytacji, że człowiek tak biegły w żonglowaniu detalami skomplikowanych śledztw nie potrafi zapamiętać kilku rodzinnych koneksji.

– Kolacja gotowa.

– Więc prawdę mówiąc...

– Jest na kuchence. Nie zapomnij zjeść.

– Wychodzisz? Dokąd?

– Mówiłam ci w zeszłym tygodniu dwa razy.

– Pamiętam, coś miało być w czwartek. Ale szczegóły...

– Wyparowały ci z pamięci? Nic nowego. To na razie.

– To nie powiesz mi, dokąd...

Jej kroki już cichły w kuchni, po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

W książce telefonicznej nie było numeru Richarda Kartcha pod adresem 348 Quarry Road w Sotherton, ale po przeszukaniu w internecie mapy okolicy Gurney znalazł nazwiska i numery telefonów pod adresem Quarry Road 329 i 369.

Zachrypiły męski głos, który w końcu odebrał telefon pod numerem 329, monosylabami zaprzeczał, jakoby znał kogokolwiek o nazwisku Kartch, nie wiedział też, który dom na jego ulicy ma numer 349, a nawet jak długo on sam mieszka w tej okolicy. Głos brzmiał, jak gdyby mężczyzna był otępiały

od alkoholu albo opiatów, prawdopodobnie z przyzwyczajenia i tak kłamał. Jako źródło informacji facet był na nic.

Kobieta pod numerem 369 była bardziej elokwentna.

– Ma pan na myśli tego odludka? – wypowiedziała to słowo, jak gdyby wymawiała nazwę jakiejś nieprzyjemnej choroby.

– Pan Kartch mieszka sam?

– Tak, mieszka sam, chyba że wziąć pod uwagę szczury zwabiane przez jego śmieci. Jego żona miała szczęście, że uciekła. Nie dziwi mnie to, że pan dzwoni... Mówi pan, że jest pan z policji?

– Prowadzę dochodzenie z ramienia prokuratury okręgowej. – Wiedział, że powinien ujawnić jej wszystkie szczegóły, powiedzieć, w którym stanie i hrabstwie jest biuro prokuratora, ale pomyślał, że zrobi to później.

– Co on teraz nawywijał?

– Nie wiem, ale może nam pomóc w pewnym śledztwie, musimy się z nim skontaktować. Wie pani, gdzie pracuje albo o której przychodzi do domu z pracy?

– Pracuje? To jakiś kawał!

– To znaczy, że pan Kartch jest bezrobotny?

– To znaczy, że nikt go nie chce zatrudnić – z jej słów sączył się jad. – Bo jego się nie da zatrudnić.

– Mam wrażenie, że macie tam z nim prawdziwy kłopot.

– To bydlę. Jest głupi, nieumyty, niebezpieczny, świruje, śmierdzi, jest uzbrojony po zęby i przeważnie pijany.

– Całkiem przyjemny sąsiad.

– Sąsiad z piekła rodem! Ma pan pojęcie, przez co prze chodzę, próbując pokazać dom komuś zainteresowanemu kupnem, gdy ta małpa wychodzi bez koszuli, z butelką piwa w ręce i wali ze strzelby do kubłów na śmieci?

Znając oczywistą odpowiedź, Gurney postanowił tak czy inaczej zadać kolejne pytanie.

– Czy mogłaby pani przekazać panu Kartchowi wiadomość ode mnie?

– Chyba pan żartuje. Mogę mu najwyżej przekazać od pana najgorsze życzenia.



- O której godzinie można go zastać w domu?
- O każdej. Nigdy nie widziałam, żeby gdzieś wychodził.
- Czy z ulicy widać numer domu?

– A to dobre! Żeby ten dom rozpoznać, nie trzeba żadnego numeru. Kiedy żona go opuściła, dom wciąż był niewykończony i tak już pozostało. Nie ma bocznych paneli. Nie ma trawnika. Nie ma schodów do drzwi frontowych. Idealny dom dla świra. Jak ktoś tam do niego będzie pukał, lepiej, żeby wziął broń.

Gurney podziękował jej i zakończył rozmowę.

Co dalej?

Trzeba było zawiadomić parę osób o tym, co się stało. Przede wszystkim Sheridana Kline'a. I oczywiście Randy'ego Clamma. Nie mówiąc już o kapitanie Rodriguezie i Jacku Hardwicku. Pytanie tylko, do kogo najpierw zadzwonić. Postanowił, że wszyscy mogą kilka minut poczekać. Sprawdził w informacji numer komendy policji w Sotherton w stanie Massachusetts.

W słuchawce odezwał się sierżant dyżurny, który przed stawiał się poważnym głosem jako Kalkan. Gurney powiedział, kim jest, i wyjaśnił, że mieszkaniec Sotherton, Richard Kartch, może być obiektem zainteresowania w świetle dochodzenia w sprawie morderstwa w stanie Nowy Jork, że może być w bezpośrednim niebezpieczeństwie, wygląda na to, że nie ma telefonu i ważne jest, żeby telefon mu zawieźć albo przywieźć tego człowieka do telefonu po to, by móc go ostrzec o sytuacji.

- Znamy Richiego Kartcha – powiedział Kalkan.
- Z tonu pana głosu wnioskuję, że macie z nim kłopoty?

Kalkan nie odpowiedział.

- Jest notowany?
- Może pan powtórzyć, kim pan jest?

Gurney opowiedział mu całą historię jeszcze raz, tym razem z detalami.

- I to jest część dochodzenia w sprawie...?
- Dwóch morderstw. Jedno popełniono w stanie Nowy Jork, a drugie w Bronksie, chodzi o ten sam sposób pozbawienia życia. Zanim ofiary zginęły, otrzymywały listy od zabójcy. Mamy dowody na to, że Kartch dostał

przynajmniej jeden taki list, co czyni z niego ewentualny trzeci cel zabójcy.

– Chce pan, żeby Szalony Richie się z panem skontaktował?

– Musi natychmiast do mnie zadzwonić, najlepiej w obecności jednego z waszych policjantów. Po tej rozmowie prawdopodobnie będziemy musieli z nim porozmawiać u was, w Sotherton, liczymy na współpracę miejscowej policji.

– Wyślemy do niego wóz patrolowy tak szybko, jak się da. Niech pan mi poda numer, pod który można do pana zadzwonić.

Gurney podał mu numer komórki, bo chciał z domowego zadzwonić do Kline'a, dochodzeniówki i do Clamma.

Kline wyjechał na cały dzień, podobnie jak Ellen Rackoff, a jego rozmowę automatycznie przekierowano. Po szóstym sygnale Gurney już miał odwiesić słuchawkę, ale ktoś odebrał.

– Stimmel.

Gurney przypomniał sobie mężczyznę, który przyszedł razem z Kline'em na naradę, mężczyznę o osobowości głuchoniemego przestępcy wojennego.

– Dave Gurney. Mam wiadomość dla pańskiego szefa.

W słuchawce panowała cisza.

– Jest pan tam?

– Jestem.

Gurney uznał, że lepszego zaproszenia do rozmowy już nie dostanie. Zaczął więc mówić dalej i podał Stimmelowi informacje o dowodach potwierdzających powiązania pomiędzy pierwszym i drugim morderstwem, o odkryciu poprzez Der motta trzeciej potencjalnej ofiary oraz o krokach, które podejmuje dzięki policji z Sotherton, próbując skontaktować się z trzecią ofiarą.

– Zapamiętał pan?

– Tak.

– Czy po poinformowaniu prokuratora okręgowego zechce pan podać te informacje ekipie dochodzeniowej, czy sam mam zadzwonić do Rodrigueza?

Zapanowała chwila ciszy, podczas której, jak przypuszczał Gurney, ten zamknięty w sobie, ponury mężczyzna kalkuluje prawdopodobne

konsekwencje biegu sprawy. Wiedząc, jak bardzo gliniarze chcą kontrolować sytuację, bo to jest wbudowane w ich psychikę, był w dziewięćdziesięciu procentach pewien, co Stimmel mu powie, i nie mylił się.

– Zajmiemy się tym – odparł wreszcie.

Zwolniony z obowiązku dzwonienia do Rodrigueza, Gurney sięgnął po słuchawkę, żeby zatelefonować do Randy'ego Clamma.

Ten jak zwykle odebrał po pierwszym sygnale.

– Clamm.

Jego głos brzmiał w słuchawce tak, jak gdyby Clamm dokądś się spieszył i robił jednocześnie trzy różne rzeczy.

– Dobrze, że dzwonisz. Właśnie przygotowuję trzy listy braków na koncie bankowym Ruddena. Sprawdzam odcinki w książeczce czekowej z wpisanymi kwotami bez nazwisk, чеки wypisane, ale niespieniężone, pominięte numery czeków, począwszy od tych ostatnich.

– Czy na którejś liście widnieje kwota dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów osiemdziesięciu siedmiu centów?

– Co takiego? Skąd wiesz? Jest na liście z nagłówkiem „Czeki wydane, niezrealizowane”. Jak ty to...?

– Zawsze prosi o tę kwotę.

– Zawsze? To znaczy więcej niż raz?

– Już trzeci czek wysłano do tej samej skrytki pocztowej. Próbujemy się skontaktować z osobą, która go nadała. Dlatego dzwonię. Chciałem cię zawiadomić, że mamy tutaj pewien wzorzec. Jeżeli wszystkie kawałki układanki utrzymają się na miejscach, to łuska, której szukamy w bungalowie Ruddena, jest od kuli .38 Special.

– A kim jest ten trzeci?

– Richard Kartch, Sotherton, stan Massachusetts. Sądząc z opisu, ma dość trudny charakter.

– Massachusetts? Jezu, nasz chłopak jest wszędzie. Ten trzeci żyje?

– Dowiemy się za kilka minut. Miejscowa policja właśnie posyła tam radiowóz.

– Dobrze, dziękuję. Będę wdzięczny, jeżeli powiadomisz mnie, kiedy

będziesz wiedział coś więcej. Zacznę się tu awanturować, żeby ekipa z laboratorium kryminalistycznego wróciła do domu Ruddenów. Dam znać. Dziękuję za telefon.

– Powodzenia. I do usłyszenia.

Szacunek Gurneya dla młodego detektywa rósł z dnia na dzień. Im dłużej rozmawiał z Clammem, tym bardziej ten mu się podobał: energia, inteligencja i poświęcenie. I coś jeszcze. Coś szczerego i niezepsutego. Coś, co go ujmowało.

Otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody i wziął kilka głębokich oddechów. Pomyślał, że ten dzień był bardziej wyczerpujący emocjonalnie, niż się tego spodziewał. A może pozostały przy nim cienie snu o ojcu. Rozparł się w fotelu i zamknął oczy.

Obudził go dźwięk telefonu. W pierwszej chwili myślał, że to budzik. Zdał sobie sprawę, że siedzi w fotelu i boli go kark. Spojrzał na zegarek. Okazało się, że spał prawie dwie godziny. Podniósł słuchawkę i odchrząknął.

– Gurney.

Głos prokuratora okręgowego po drugiej stronie słuchawki wystrzelił jak koń na wyścigach z otwierającej się bramki.

– Dave, właśnie się dowiedziałem. Mój Boże, to z dnia na dzień robi się poważniejsze. Trzecia potencjalna ofiara w Massachusetts? To może być największa sprawa związana z morderstwami od czasów Syna Sama, nie mówiąc już o tym twoim Jasonie Strunku. To jest potężne! Chcę to usłyszeć z twoich ust, zanim będę rozmawiał z mediami. Mamy twarde dowody na to, że ten sam facet kropnął obie ofiary, tak?

– Dowody bardzo mocno na to wskazują.

– Wskazują?

– Bardzo mocno.

– A mógłbyś powiedzieć coś konkretniejszego?

– Nie mamy odcisków palców. Nie mamy DNA. Powiedziałbym, że sprawy na pewno są ze sobą powiązane, ale nie możemy na tym etapie udowodnić, że ten sam człowiek rozplątał obu ofiarom gardła.

- Prawdopodobieństwo jest wysokie?
- Bardzo wysokie.
- Twoja ocena sytuacji mi wystarcza.

Gurney uśmiechnął się w duchu na tę udawaną szczerłość. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Sheridan Kline należy do tych ludzi, którzy znacznie wyżej niż czyjąkolwiek opinię cenią sobie własne zdanie, ale zawsze zostawiają uchyloną furtkę na wypadek, gdyby trzeba było na kogoś zrzucić winę.

– Sądzę, że już czas porozmawiać z naszymi przyjaciółmi z kanału telewizyjnego Fox News, a to znaczy, że muszę dzisiaj naradzić się z ekipą dochodzeniową i przygotować oświadczenie. Trzymaj rękę na pulsie, Dave, i informuj mnie, zwłaszcza o tym, co się dzieje w Massachusetts. Chcę wiedzieć wszystko. – Kline odłożył słuchawkę, nie zwracając sobie głowy pożegnaniem.

Wygląda na to, że chce iść na całość – rozkręcić cyrk medialny i stać na środku areny z biczem w ręku, zanim prokuratorowi okręgowemu w Bronksie albo w innej jurysdykcji, gdzie może się rozprzestrzenić plaga zabójstw, przyjdzie do głowy, by na siebie skierować błysk fleszy. Chce zrobić sobie trochę reklamy. Gurney zacisnął usta z niesmakiem, kiedy wyobrażał sobie zbliżającą się konferencję prasową.

– Wszystko w porządku? – przestraszony głosem, który odezwał się tak blisko niego, podniósł wzrok i zobaczył Madeleine w drzwiach pokoju.

– Skąd ty tutaj?

– Byłeś tak skoncentrowany na rozmowie, że nie usłyszałeś, jak wchodzę.

– Pewnie tak. – Mrugając powiekami, spojrzął na zegarek. – Więc gdzie byłaś?

– Pamiętasz, co ci mówiłam, kiedy wychodziłam?

– Tak, pamiętam, powiedziałaś mi, że nie powiesz, dokąd idziesz.

– Mówiłam, że już dwa razy ci o tym wspominałam.

– Dobrze, w porządku. Mam jeszcze trochę roboty.

Jak gdyby wybawiając go z kłopotliwej sytuacji, w tym samym

momencie zadzwonił telefon.

Dzwoniono z Sotherton, ale nie był to Richard Kartch. Dzwonił detektyw o nazwisku Gowacki.

– Mamy tu poważną sytuację – powiedział. – Jak szybko może pan przyjechać?

## Mam cię w nosie, panie sześć pięć osiem

Kiedy Gurney skończył rozmawiać z Mikiem Gowackim, było piętnaście po dziewiątej. Madeleine leżała już w łóżku, oparta o poduszki, z książką w ręce. *Wojna i pokój*. Czytała ją od trzech lat, choć trudno w to uwierzyć, na zmianę z *Waldenem* Thoreau.

– Muszę pojechać na miejsce zbrodni.

Spojrzała na niego znad książki – zaciekawiona, zaniepokojona, osamotniona.

Potrafił zaspokoić tylko jej ciekawość.

– Kolejna ofiara płci męskiej. Rany zadane w gardło, ślady stóp na śniegu.

– Jak daleko?

– Co takiego?

– Jak daleko musisz jechać?

– Sotherton w stanie Massachusetts. Trzy, może cztery godziny.

– Więc nie będzie cię aż do jutra?

– Mam nadzieję, że przyjadę na śniadanie.

Jej uśmiech był pełen niedowierzania. Już był gotowy do wyjścia, ale zatrzymał się na chwilę i usiadł na krawędzi łóżka.

– To dziwna sprawa – powiedział, nie kryjąc niepewności. – Z dnia na dzień robi się dziwniejsza.

Kiwnęła głową, jakby uspokojona.

– Uważasz, że to nie jest standardowy seryjny morderca?

– Na pewno nie jest mordercą w wersji standardowej.

– Za dużo listów i telefonów do ofiar?

– Tak. I ofiary są zbyt różnorodne, zarówno jeśli chodzi o typ osobowości, jak i miejsce zamieszkania. Typowy seryjny morderca nie skacze z gór

Catskill do wschodniego Bronksu, a później gdzieś w środek stanu Massachusetts, goniąc za znanymi pisarzami, nocnymi stróżami na emeryturze i zdziwaczałymi samotnikami.

– Musi ich coś łączyć.

– Wszyscy mają w życiorysie epizod alkoholowy i dowody wskazują, że zabójca na tym się koncentruje. Wydaje mi się jednak, że musi ich łączyć coś jeszcze innego, w przeciwnym razie dlaczego morderca zadawałby sobie tyle trudu i wybierał ofiary, które mieszkają w odległości trzystu kilometrów od siebie?

Zapanowała cisza. Gurney bezwiednie wygładzał fałdy na kołdrze. Madeleine przyglądała mu się przez chwilę, ręce opierała na książce.

– Lepiej już pojedę – powiedział.

– Bądź ostrożny.

– Dobrze. – Wstawał powoli, niemal jak artretyk. – Do zobaczenia rano.

Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nigdy nie umiał opisać, nie potrafił nawet powiedzieć, czy jest dobry czy zły, ale znał go doskonale. Poczłł niemal fizyczne dotknięcie w samym środku klatki piersiowej.

\*

Było dobrze po północy, kiedy zjechał z autostrady prowadzącej do Massachusetts, i po wpół do drugiej, kiedy znalazł się na opuszczonej głównej ulicy miasteczka Sotherton. Dziesięć minut później wąską alejką zwaną Quarry Road dotarł do grupy byle jak zaparkowanych radiowozów. Jeden z nich miał włączone lampy stroboskopowe. Gurney zatrzymał się obok niego. Kiedy wysiadł z auta, z samochodu oświetlającego teren wyłonił się umundurowany policjant, był wyraźnie czymś poirytowany.

– Chwila. Dokąd się pan wybiera? – w jego głosie oprócz irytacji było również wyczerpanie.

– Nazywam się Gurney. Przyjechałem spotkać się z detektywem Gowackim.

– W jakiej sprawie?

– Czeka na mnie.



– Ale o co chodzi?

Gurney zastanawiał się, czy ta postawa policjanta bierze się z tego, że miał dzisiaj bardzo długi dzień, czy przychodzi mu to naturalnie. Miał niską tolerancję na wredne zachowania.

– Chodzi o to, że poprosił mnie, żebym tu przyjechał. Pokazać jakąś legitymację?

Policjant zapalił latarkę i skierował snop światła na twarz Gurneya.

– To co pan za jeden?

– Inspektor Gurney, biuro prokuratora okręgowego.

– To trzeba było od razu mówić.

Gurney uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było ciepła.

– To jak, powie pan Gowackiemu, że jestem?

Po ostatniej, pełnej wrogości pauzie mężczyzna odwrócił się i ruszył wzdłuż zewnętrznej krawędzi długiego, oświetlonego przenośnymi reflektorami, wznoszącego się ku domowi podjazdu, który został całkowicie opanowany przez techników policyjnych. Cała posesja wyglądała na porzuconą w połowie budowę. Nie czekając na zaproszenie, Gurney ruszył za policjantem.

Przed domem podjazd skręcał w lewo w kierunku zbocza pagórka i dochodził do wjazdu garażu na dwa samochody, w którym obecnie stało tylko jedno auto. Na początku Gurney sądził, że drzwi do garażu są otwarte, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że tam w ogóle nie ma drzwi. Kilka centymetrów śniegu pokrywających podjazd wchodziło jęzorem do środka. Policjant zatrzymał się przy wejściu, które było oddzielone żółtą policyjną taśmą, i krzyknął:

– Mike!

Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. Policjant wzruszył ramionami, jak gdyby uczciwy wysiłek, który podjął, na nic się nie zdał i mógł na tym zakończyć sprawę. Po chwili z podwórka za domem doszedł ich zmęczony głos.

– Jestem tutaj!

Nie zwlekając, Gurney ruszył w tamtym kierunku, wokół obszaru

oddzielonego żółtą taśmą.

– Tylko mi nie wchodzić za taśmę! – ostrzeżenie zabrzmiało w uszach Gurneya jak ostatnie warknięcie wściekłego psa.

Kiedy obszedł tylny narożnik domu, zobaczył, że cały obszar wokół niego, jasny jak za dnia od światła reflektorów, nie był takim „podwórzem”, jakiego oczekiwał. Podobnie jak reszta domu, był to obraz nędzy i rozpacz. Na byle jak skleconych schodach prowadzących do drzwi, zbitych po obu stronach nieheblowanymi deskami, stał mocno zbudowany mężczyzna o rzedniejących włosach. Mężczyzna lustrował wzrokiem otwartą przestrzeń, oddzielającą dom od kępy sumaku.

Teren wokół domu był tak pofałdowany, jak gdyby nigdy nikt po wykopaniu rowu pod fundamenty go nie wyrównał. Tu i ówdzie leżały stosy połamanych desek, zszarzałych od deszczu i słońca. Tylko część domu miała panele na ścianach, spod których wyzierała plastikowa folia przykrywająca sklejkę. Gurney miał wrażenie, że patrzy na porzuconą budowę, a nie na dom, który ktoś niedługo dokończy.

Kiedy spojrzenie potężnie zbudowanego mężczyzny zatrzymało się na Gurneyu, przyglądał mu się przez parę sekund, po czym zapytał:

– To pan jest tym człowiekiem z gór Catskill?

– Tak. To ja.

– Proszę przejść jeszcze ze trzy metry wzdłuż taśmy, a później pod nią i prosto, do tylnych drzwi. Proszę uważać na ślady butów prowadzące od domu do podjazdu.

To musiał być Gowacki, ale Gurney nie lubił przypuszczeń, więc spytał. Otrzymał potwierdzenie w formie mruknięcia.

Kiedy szedł po tej ziemi niczyjej, która powinna być podwórkiem, przechodził na tyle blisko śladów stóp, by zauważyć, że przypominają te z Instytutu.

– Jest jakieś podobieństwo? – spytał Gowacki, spoglądając z ciekawością na Gurneya.

„Gowacki wygląda na tępego osiłka, ale jest dość bystry”, pomyślał Gurney. Skinął głową. Teraz była jego kolej na jakąś inteligentną uwagę.

– Czy te ślady na śniegu pana niepokoją?

– Tak, trochę – odparł Gowacki. – Nawet nie same ślady, raczej umiejscowienie zwłok w stosunku do tego, co widzę na śniegu. Czy wie pan coś, czego ja nie wiem?

– Czy miejsce, w którym znaleziono ciało, przedstawiałoby się sensowniej, gdyby ślady prowadziły w odwrotnym kierunku?

– Gdyby ślady prowadziły... Chwileczkę... Tak, cholera, teraz to ma sens! – Spojrzał na Gurneya. – Z czym my tu mamy do czynienia?

– Przede wszystkim mamy do czynienia z człowiekiem, który zabił już trzy osoby. Trzy, bo na razie o tylu wiemy, a wszystkie w ciągu tygodnia. To perfekcjonista, drobiazgowo opracowuje swój plan działania. Zostawia za sobą sporo dowodów, ale tylko takie, jakie chce, żebyśmy znaleźli. Jest niezwykle inteligentny, prawdopodobnie dobrze wykształcony i być może nienawidzi policji jeszcze bardziej niż ofiar. A tak *à propos*, ciało wciąż tam jest?

Gowacki wyglądał tak, jakby nagrywał na niewidzialny magnetofon odpowiedź Gurneya. W końcu się odezwał.

– Tak, zwłoki wciąż tutaj są, bo chciałem, żeby pan je obejrzał. Pomyślałem, że może pojawią się jakieś nowe wnioski wynikające z pana wiedzy o pozostałych dwóch ofiarach. Gotowy?

Przez tylne drzwi wchodziło się do niewielkiego pomieszczenia, które pewnie miało być pralnią, zważywszy na ustawienie kurków i armatury, ale nie było tu ani pralki, ani suszarki. Nie było nawet ściany z płyt gipsowo-kartonowych, które zasłoniłyby wełnę mineralną. Pomieszczenie oświetlała goła żarówka w taniej, białej oprawce, przybitej do wystającej belki sufitowej. W ostrym, nieprzyjaznym świetle zobaczył ciało leżące na plecach w połowie w niedoszłej łazience, a w połowie w kuchni za surową framugą, która oddzielała pomieszczenia.

– Mogę się bliżej przyjrzeć? – spytał Gurney z grymasem na twarzy.

– Po to pan tu przyjechał.

Widać było plamę zastygłej krwi, która wylała się z ran zadanych w gardło i pokrywała całą podłogę kuchenną, sięgając aż pod stół. Gniew

malował się na olbrzymiej i zaciętej twarzy ofiary, ale jej pełne goryczy głębokie linie i zmarszczki, które były rzeźbione przez całe życie, nie ujawniały niczego na temat zakończonego śmiercią ataku.

– Wygląda na bardzo nieszczęśliwego człowieka – powiedział Gurney.

– Bo to był kawał zimnego drania.

– Rozumiem, że mieliście w przeszłości kłopoty z panem Kartchem?

– Same kłopoty. I na dodatek zupełnie niepotrzebne. – Gowacki przyglądał się niechętnie ciału, jak gdyby ten pełen gwałtu i krwi koniec życia był niewystarczającą karą. – W każdym mieście są tacy awanturnicy: drący mordy pijaczkowie, lenie i brudasy, którzy zamieniają swoje domy w chlewy, żeby wkurzać sąsiadów, bydlaki, których byłe żony muszą chodzić do sądów po nakazy ochrony, świry, które pozwalają, żeby ich psy całą noc czekały, dziwadła, których matki nie chcą oglądać nawet z daleka. Tutaj, w Sotherton, ucieleśnieniem tych wszystkich typów był jeden człowiek, Richie Kartch.

– Musiał być niezły.

– A tak z ciekawości, czy dwie pozostałe ofiary były takie jak on?

– Pierwsza była jego całkowitym przeciwieństwem. Co do drugiej, nie znam jeszcze szczegółów, ale szczerze wątpię. – Gurney raz jeszcze spojrzął na twarz patrzącą w kierunku sufitu, zapewne za życia równie brzydką jak po śmierci.

– Pomyślałem sobie tylko, że mamy seryjnego zabójcę, który próbuje wyczyścić świat z takich padalców. Ale, ale... Wracajmy do tego, co pan mówił o śladach na śniegu. Skąd pan wiedział, że to miałyby większy sens, gdyby prowadziły w drugą stronę?

– Tak było na miejscu pierwszej zbrodni.

W oczach Gowackiego pojawił się błysk zainteresowania.

– Ułożenie tych zwłok sugeruje, że ofiara patrzyła w kierunku atakującego, który wszedł przez tylne drzwi. A jednak ślady wskazywałyby na to, że ktoś wszedł przez drzwi frontowe i wyszedł przez tylne. I to nie ma sensu.

– Mogę rozejrzeć się po kuchni?

– Niech pan się nie krępuje. Fotograf, lekarz patolog i ludzie od odcisków palców już tu byli. Tylko niech pan niczego nie rusza. Wciąż jeszcze nie przeglądaliśmy jego rzeczy osobistych.

– Czy patolog mówił coś o oparzeniach od prochu?

– Oparzeniach od prochu? Są rany od noża.

– Podejrzewam, że możecie znaleźć ranę od kuli.

– Czy widzi pan coś, co ja przeoczyłem?

– Chyba widzę mały, okrągły otwór w rogu sufitu, tuż nad lodówką.

Któryś z pańskich ludzi coś wspominał?

Gowacki uniósł głowę i powiódł wzrokiem za spojrzeniem Gurneya.

– Co pan mi chce przez to powiedzieć?

– Że Kartch mógł najpierw dostać kulę, a później ktoś go pociął.

– I ślady stóp rzeczywiście idą w przeciwnym kierunku?

– No właśnie.

– To ułożmy to sobie w jakąś całość. Mówi pan, że zabójca wchodzi przez tylne drzwi, strzela Richiemu w gardło, Richie pada, a później ten dźga go kilkanaście razy w szyję, jak gdyby rozbijał mięso na stek?

– Tak mniej więcej było w Peony.

– Ale ślady stóp...

– Ślady stóp można było zrobić, doklejając drugą podeszwę do buta odwrotnie, żeby wyglądało na to, że zabójca przyszedł od frontu, a wyszedł z tyłu domu, podczas gdy tak naprawdę wszedł od tyłu, a wyszedł frontem.

– Cholera, to absurdalne! W co on się tutaj bawi?

– Trafnie pan to ujął.

– Co?

– To, że on się bawi. Dla niego to gra, właśnie zaczął z nami partię, i to po raz trzeci. „Nie tylko się mylicie, ale mylicie się od końca do początku. Daję wam ślad po śladzie, ale wciąż nie możecie mnie złapać. Jesteście beznadziejni, durni gliniarze”. To przekaz, który nam zostawia na każdym miejscu zbrodni.

Gowacki spojrzał taksująco na Gurneya.

– Widzę, że potrafi pan go sobie bardzo dobrze wyobrazić.

Gurney uśmiechnął się i obszedł zwłoki, żeby dojść do stosu papierów leżących na blacie kuchennym.

– Chce pan powiedzieć, że za dużo w tym pasji?

– To nie moja sprawa. Sotherton nie ogląda wielu morderstw. A te, które się tu zdarzają raz na pięć czy sześć lat, sąd później określa jako zbrodnie w afekcie. Narzędziem jest przeważnie stalowa pałka do baseballu albo łyżka do opon na parkingu przy barze. Nic zaplanowanego. A już na pewno nic z elementami zabawy.

Gurney wydał z siebie współczujący pomruk. Widział już w swoim czasie wystarczająco dużo bezmyślnych aktów przemocy.

– To w większości śmieci – powiedział Gowacki, robiąc gest głową w kierunku stosu ulotek reklamowych, które Gurney przeglądał.

Już się miał z nim zgodzić, kiedy na dnie stosu broszur, ulotek, magazynów poświęconych broni, wezwań do zapłaty i katalogów odzieży wojskowej natrafił na małą, pustą kopertę, byle jak rozdartą, zaadresowaną do Richarda Kartcha. Charakter pisma był staranny. Atrament czerwony.

– Coś pan znalazł? – spytał Gowacki

– To trzeba będzie włożyć do woreczka na dowody – powiedział Gurney, chwytając kopertę za narożnik i przesuwając ją w puste miejsce na blacie.

– Nasz zabójca lubi pisać liściki do swoich ofiar.

– Jest tego więcej na górze.

Gurney i Gowacki odwrócili się w kierunku wysokiego młodego mężczyzny, który to powiedział. Stał w drzwiach po drugiej stronie kuchni.

– Pod stosem magazynów pornograficznych na stole przy łóżku są jeszcze trzy koperty z wypisanymi na czerwono adresami.

– Chyba trzeba pójść na górę i zobaczyć – powiedział Gowacki z niechęcią typową dla niedźwiedziowatych mężczyzn, którzy dwa razy pomyślą, zanim wejdą na strome schody.

– Bobby, to inspektor Gurney z hrabstwa Delaware, stan Nowy Jork.

– Bob Muffit – powiedział młody człowiek, wyciągając nerwowo dłoń do Gurneya i starając się nie patrzeć na leżące na podłodze zwłoki.

Na piętrze, jak wszędzie, odnosiło się wrażenie, że dom jest w stanie niedokończonego i porzuconego remontu. Z maleńkiego skrawka podłogi, którą kończyły się schody, można było wejść do czterech pomieszczeń. Muffit poprowadził ich do drzwi po prawej. Nawet jeżeli w całym domu standard był niższy od bylejakości, to ten pokój był istną stajnią Augiasza. Na tych fragmentach dywanu, których nie przykrywały brudne ubrania albo puste puszki po piwie, Gurney zauważył coś, co wyglądało na pierwszy rzut oka jak wyschnięte wymiociny. W powietrzu unosił się kwaśny zapach potu. Story były zaciągnięte, a światło pochodziło z jedynej dobrej żarówki w kloszu wiszącym na środku sufitu. Dwie pozostałe były przepalone.

Gowacki ruszył w kierunku stolika stojącego przy niepościelonym łóżku. Obok stosu magazynów pornograficznych leżały trzy koperty z ręcznie wypisanym adresem, a obok nich czek. Gowacki niczego nie dotykał, ale zsunął wszystko na okładkę magazynu zatytułowanego „Gorące Kotki”, który posłużył mu za podstawkę.

– Zejdźmy na dół i zobaczmy, co tu mamy – powiedział.

Wszyscy trzej zeszli po schodach, a Gowacki zsunął ko perty i czek na stół kuchenny. Za pomocą długopisu i szczypiec, które wyciągnął z kieszeni koszuli, uniósł część koperty w miejscu, w którym została dość brutalnie rozdarta, i wyciągnął jej zawartość. W trzech kopertach były wiersze, które wyglądały identycznie, w każdym szczególe, łącznie ze starannym liternictwem, jak wiersze, które otrzymał Mellery. Pierwsze spojrzenie Gurneya padło na wersy:

*Co zabrałeś, musisz oddać,  
Gdy dostaniesz to, coś dał.  
O spotkanie cię poproszę,  
Drogi Panie Sześć Pięć Osiem.*

Najdłużej patrzył na czek. Czek był wypisany na nazwisko „X. Arybdis” i podpisany R. Kartch. Z pewnością był to czek, który odesłał Kartchowi Gregory Dermott, czek niezrealizowany. Wypisany był na tę samą kwotę,

co czeki Mellery'ego i Ruddena – dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów osiemdziesiąt siedem centów. W górnym lewym rogu czeku było nazwisko i adres R. Kartch, 349 Quarry Road, Sotherton, Mass. 01055.

R. Kartch. W tym nazwisku było coś, co nie dawało Gurneyowi spokoju.

Może to było to samo dziwne uczucie, które nawiedzało go zawsze, kiedy spoglądał na wydrukowane nazwisko osoby nieżyjącej. Odczuwał to tak, jakby samo nazwisko wydawało ostatnie tchnienie, robiło się mniejsze, odcięte od osoby, która nadawała mu znaczenie. „Dziwne – pomyślał – można tak mocno uwierzyć, że pogodziło się ze śmiercią, że jej obecność już w ogóle nie działa, bo traktuje się ją jak część pracy. I wtedy przychodzi to uczucie, dziwaczne i niewytłumaczalne, w niepokojącym, skurczonym nazwisku osoby, która jest już martwa. Niezależnie od tego, jak bardzo próbujemy tego nie zauważać, śmierć zawsze znajdzie sposób, by zostać dostrzeżona. Przenika do uczuć człowieka, jak ciekąca woda wnika przez piwniczny mur”.

Może dlatego nazwisko R. Kartch wydawało mu się dziwne. A może był jeszcze inny powód?



## Strzał w ciemno

Mark Mellery. Albert Rudden. Richard Kartch. Trzej mężczyźni. Namierzeni, zastraszeni listami, zastrzeleni i tak mocno kilkanaście razy dźgnięci w gardło, że ciosy niemal odcięły im głowy. Cóż takiego zrobili, oddzielnie lub razem, co ściągnęło na nich tak makabryczną zemstę? I czy to w ogóle była zemsta? Czy aluzje do zemsty, które można było znaleźć w listach, są – jak to kiedyś zaproponował Rodriguez – tylko za słoną dymną, która ma ukryć bardziej prozaiczny motyw? Wszystko było możliwe.

Niemal świtało, kiedy Gurney ruszył w drogę powrotną do Walnut Crossing, a w powietrzu znów unosił się zapach śniegu. Gurney był teraz w tym stanie świadomości, w którym świdrujące zmęczenie walczy z wewnętrznym poruszeniem umysłu, niepozwalającym spać. Przez umysł przelatywały mu myśli i obrazy bez sensu i logicznego porządku.

Jednym z tych obrazów był czek nieżyjącego mężczyzny R. Kartcha. Coś się czaiło za małymi drzwiczkami w pamięci, coś było niezupełnie tak, jak powinno. To coś nie pozwalało na odszukanie ukrytej prawdy, która może się ukazać gdzieś na peryferiach umysłu, kiedy przestanie się szukać.

Z wysiłkiem próbował skupić się na innych aspektach sprawy, ale umysł odmawiał pracy w narzuconym porządku. Oczami wyobraźni widział na wpół zakrzepłą kałużę krwi kryjącą się w cieniu kuchennego stołu w kuchni Kartcha. Koncentrował wzrok na rozciągającej się przed nim drodze i starał się egzorcyzmami wyrzucić to z wyobraźni, lecz w miejsce tamtego obrazu pojawiała się podobna plama krwi na kamiennym patio Instytutu, a potem znikając, odsłaniała samego Marka Mellery'ego, który pochylał się ku niemu, prosząc o ochronę i zbawienie od złego.

Pochylał się ku niemu, prosząc...

Gurney czuł, że łzy napływają mu do oczu.

Zatrzymał się, żeby chwilę odpocząć. Na małym parkingu oprócz jego samochodu było tylko jedno auto, które wyglądało na porzucone, a nie

zaparkowane. Czuł, że twarz go pali, a ręce ma chłodne. Ogarniał go lęk, że nie potrafi logicznie myśleć, czuł się bezradny.

Wyczerpanie było jak szkło powiększające, przez które widział swoje życie jako serię porażek – tym bardziej bolesnych, że w życiu zawodowym wszystko doskonale mu się układało. Mówiąc sobie, że to zwidy i gra wyobraźni, wcale nie czuł się lepiej. W końcu miał już swoją litanie dowodów. Jako detektyw zawiódł Marka Mellery'ego. Jako mąż zawiódł Karen, a teraz to samo robił Madeleine. Jako ojciec zawiódł Danny'ego, a teraz robi to samo Kyle'owi.

Jego umysł też miał granice, których nie dało się przekroczyć, i po kolejnym kwadransie takiego uzalania się nad sobą po prostu się wyłączył. Gurney zapadł w krótki, odświeżający sen.

Nie był pewien, jak długo to trwało, na pewno krócej niż godzinę, ale kiedy się obudził, emocje wyciszyły się, a ich miejsce zajęła jasność umysłu. Strasznie bolał go kark, ale to niewielka cena, którą musiał zapłacić za spokój.

Może dlatego, że teraz zrobiło się na to trochę miejsca, gdzie zaczęła formować się nowa wizja tajemnicy skrytki pocztowej z Wycherly. Dwie początkowe hipotezy nigdy nie były do końca satysfakcjonujące : pierwsza, że ofiarom kazano wysyłać czeki na zły adres przez przypadek (to mało prawdopodobne, zważywszy, jaką wagę zabójca przywiązuje do szczegółów), i druga, że skrytka była właściwa, ale coś poszło nie tak, co pozwoliło Dermottowi otrzymywać i zwracać czeki, zanim zabójca mógł je odzyskać metodą, którą sam wymyśli.

Teraz Gurney wiedział, że jest i trzecie wyjaśnienie. Po wiedzmy, że to właściwa skrytka pocztowa i że wszystko poszło według planu. Przypuśćmy, że celem prośby o czeki było coś zupełnie innego, nie spieniężenie ich. Powiedzmy, że zabójcy udało się uzyskać dostęp do skrytki pocztowej, otwierać koperty, obejrzeć czeki lub robić ich kopie, a później znów zaklejać w koperty i wkładać do skrytki, zanim dotarł do nich Dermott. Jeżeli w tym nowym scenariuszu jest więcej prawdy, jeżeli rzeczywiście zabójca korzysta ze skrzynki pocztowej Dermotta dla swoich

własnych celów, to otwierało to fantastyczne możliwości. Gurney miałby szansę porozumieć się z zabójcą bezpośrednio. Pomimo bardzo hipotetycznych podstaw i zamieszania w wywodach, mimo przygnębienia, z którego to wszystko się wyłoniło, myśl była tak ekscytująca, że minęło kilka minut, zanim Gurney zdał sobie sprawę, że wyjechał na autostradę i pędzi w kierunku domu sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

\*

Madeleine nie było. Położył klucze i portfel na stole w kuchni i wziął do ręki leżącą tam kartkę. Zobaczył wiadomość napisaną czytelnym, zdecydowanym charakterem pisma żony, jak zwykle bardzo treściwą.

„Pojechałam na jogę na dziewiątą rano. Wracam przed burzą. Pięć wiadomości. Czy ta ryba to była flądra?”

Jaka burza?

Jaka flądra?

Chciał pójść do swojego pokoju i odsłuchać te pięć wiadomości, o których pisała, ale było coś jeszcze, co chciał zrobić najpierw, coś niecierpiącego zwłoki. Myśl, że będzie mógł napisać do mordercy, posłać mu wiadomość przez skrytkę pocztową Dermotta, dała mu impuls do działania, którego nie potrafił powstrzymać.

Wiedział, że scenariusz jest wątpliwy, a on sam buduje swoje przypuszczenia na niejasnych domysłach, ale to wszystko niosło w sobie pewną nadzieję. Wreszcie pojawiła się szansa, żeby naprawdę coś zrobić, to było ekscytujące tym bardziej w zderzeniu z frustracją płynącą z tego śledztwa i poczuciem, że jego wolny postęp także jest częścią planu wroga. Chociaż było to działanie nierozsądne i impulsywne, możliwość, że może rzucić granat na drugą stronę muru, gdzie czai się wróg, była nie do przegapienia. Pozostawało tylko skonstruować granat.

Naprawdę powinien odsłuchać te wiadomości. To mogło być coś ważnego, niecierpiącego zwłoki. Ruszył w kierunku swojego pokoju. Ale nagle pojawiło mu się w głowie zdanie, zdanie, którego nie chciał zapomnieć, dwie linijki, które się rymowały, idealny początek wiadomości dla

mordercy. Podekscytowany wziął do ręki notes i długopis, który Madeleine zostawiła na stole, i zaczął pisać. Piętnaście minut później odłożył długopis i przeczytał osiem linijek skreślonych wymyślnym, ozdobnym pismem.

*Już wiem, jak zrobiłeś, co chciałeś,  
Od kroków wstecz do tłumionych strzałów.  
Gra wkrótce się skończy, kolego,  
Poderżnie ci gardło przyjaciel zmarłego.  
Strzeż się śniegu, strzeż się słońca,  
Nocy, dnia. Strach nie ma końca.  
Kwiaty będę kłaść na jego grobie,  
A bramy piekła otworzę tobie.*

Zadowolony wytarł wszystkie odciski palców z papieru. Czuł się dziwnie, postępując w ten sposób, jakby nie chciał sam przed sobą do czegoś się przyznać, ale odsunął od siebie tę myśl, znalazł kopertę i zaadresował ją do X. Arybdisa na numer skrzynki pocztowej Dermotta w Wycherly w stanie Connecticut.

## Z powrotem w realnym świecie

Gurneyowi udało się zdążyć do skrzynki pocztowej na czas, by wręczyć kopertę Rhondzie, która zastępowała Baxtera, ich miejscowego listonosza, dwa dni w tygodniu. Kiedy wracał przez łąkę do domu, poczucie ekscytacji tłumili wyrzuty sumienia, które pojawiały się zawsze, kiedy rzadko, bo rzadko, ale działał pod wpływem impulsu.

Przypomniał sobie o tych pięciu wiadomościach.

Pierwsza była z galerii w Ithace.

„David, mówi Sonia. Musimy porozmawiać o twoim projekcie. Nic się takiego nie dzieje, wszystko jest dobrze, ale musimy się spotkać, i to wkrótce. Będę w galerii dzisiaj do szóstej wieczorem, ale możesz zadzwonić do mnie później do domu”.

Drugą wiadomość zostawił Randy Clamm, mówił z ekscytacją.

„Próbowałem dzwonić na komórkę, ale nie mogłem pana złapać. Znaleźliśmy w domu Ruddena listy i chcielibyśmy, żeby pan na nie spojrział i zobaczył, czy wyglądają podobnie do tamtych. Denat chyba dostawał jakieś dziwaczne małe wierszyki pocztą i nie chciał, żeby widziała je żona. Ukrył je na dnie skrzynki z narzędziami. Proszę mi podać numer, to je przefaksuję. Z góry dziękuję”.

Trzecia wiadomość była od Jacka Hardwicka, który jak zwykle mówił swoim chropawym głosem.

„Słuchaj, Sherlocku, podobno twój człowiek zrobił jeszcze parę nowych nacięć na lufie pistoletu. Pewnie jesteś zbyt zajęty, żeby zadzwonić do starego kumpla. Przez chwilę korciło mnie, żeby pomyśleć, że to poniżej godności pana Sherlocka Holmesa Gurneya, żeby zadzwonić do pokornego Jacka Hardwicka. Ale oczywiście to nie w twoim stylu, co? Wielki wstyd! Żeby ci pokazać, że się wcale nie obrażam, dzwonię z wiadomością, że jutro jest u nas narada na temat postępów w sprawie Mellery’ego, będzie na niej mowa o ostatnich wydarzeniach w Bronksie i Sotherton i o tym, czy zmieni

to kierunek śledztwa. Kapitan Rod będzie gospodarzem tego znamienitego wydarzenia. Zaprasza prokuratora okręgowego Kline'a, a on z pewnością zaprosi ciebie. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć. W końcu od czego są przyjaciele?"

Czwartą wiadomość nagrał oczywiście Kline. Niespecjalnie przyjemną. Energia, którą zawsze emanował jego głos, zamieniła się teraz w irytację.

„Gurney, do cholery, co jest z twoją komórką? Próbowaliśmy skontaktować się z tobą pod twoim numerem, potem przez komisariat policji w Sotherton. Podobno wyjechałeś stamtąd dwie i pół godziny temu. Możliwe, że mamy już do czynienia z trzecim zabójstwem dokonany przez tego samego sprawcę. To chyba ważne, tak czy nie? Może powinieneś to ze mną skonsultować? Musimy jak najszybciej porozmawiać. Trzeba podjąć pewne decyzje i potrzebujemy każdej informacji. Jutro w południe narada u kryminalnych. To priorytet. Zadzwoń, kiedy tylko to odsłuchasz”.

Ostatnia wiadomość była od Gowackiego.

„Chciałem tylko przekazać, że wyciągnęliśmy kulę ze ściany w kuchni. Kaliber dziewięć milimetrów, tak jak pan mówił. I jeszcze jedno małe odkrycie. Sprawdzaliśmy, czy w skrzynce nie ma jakichś liścików miłosnych pisanych czerwonym atramentem i znaleźliśmy martwą rybę. W skrzynce na listy! Nie mówił pan, że martwa ryba to element działania zabójcy. Proszę dać mi znać, czy to coś znaczy. Nie jestem psychologiem, ale jak dla mnie ten sprawca to jakiś totalny świrus. Na teraz to tyle. Idę do domu trochę się przespać”.

Ryba?

Wrócił do kuchni, do karteczki od Madeleine, leżącej na stole. „Pojechałam na jogę na dziewiątą rano. Wracam przed burzą. Pięć wiadomości. Czy ta ryba to była flądra?”

Dlaczego właśnie o to pytała? Sprawdził godzinę na zegarze wiszącym nad szafką kuchenną. Wpół do dziesiątej. Wydawało się, że to dopiero świt, światło przebijało się przez drzwi do ogrodu, nasycone chłodną szarością. „Wracam przed burzą”. Niebo nie wyglądało zbyt niepokojąco, prawdopodobnie będzie padać śnieg, może tylko śnieg, a nie marznąca

mżawka. Zatem będzie w domu przed wpół do jedenastej, może o dziesiątej, jeśli warunki na drodze będą dobre. Wtedy Gurney będzie mógł ją spytać o tę flądre. Madeleine nie była typem kobiety, która wyolbrzymia problemy, ale wołała unikać śliskiej nawierzchni.

Szedł do swojego pokoju, żeby oddzwonić, kiedy nagle to do niego dotarło. Pierwsze morderstwo miało miejsce w mieście Peony, a morderca zostawił peonię przy zwłokach drugiej ofiary. Do drugiego morderstwa doszło na Bronksie, w nowej dzielnicy zwanej Plażą Flądry, dlatego dzięki charakterystycznej dla niej przenikliwości Madeleine zgadła, że to właśnie flądra pojawi się na miejscu trzeciej zbrodni.

Najpierw oddzwonił do Sotherton. Sierżant dyżurny przekazał połączenie na automatyczną sekretarkę Gowackiego. Gurney nagrał dwie prośby – o potwierdzenie, czy ta ryba to flądra, i o zdjęcia z laboratorium balistycznego, żeby mogli porównać łuski ze ściany domów Kartcha i Mellery’ego i zorientować się, czy zostały wystrzelone z tej samej broni. Co prawda nie miał wątpliwości w obu przypadkach, ale wolał się upewnić.

Następnie zadzwonił do Kline’a.

Kline był tego ranka w sądzie. Ellen Rackoff powtórzyła wszystkie skargi prokuratora okręgowego, że nie mogli się z nim połączyć i że ich o niczym nie informował. Zaleciła mu, by nie zignorował ważnej narady z ekipą dochodzeniową, która ma się odbyć w południe. Jednak nawet w ten karcący wykład udało jej się wpleść zmysłowe nuty. Gurney zastanawiał się, czy nie zaczyna lekko wariować z braku snu.

Zadzwonił do Randy’ego Clamma, podziękował mu za nowe wiadomości i podał numery faksu biura prokuratora okręgowego i do laboratorium kryminalistycznego, żeby mógł przesłać listy Ruddena także Rodriguezowi. Następnie zdał mu relację o tym, jak wygląda śledztwo w sprawie Richarda Kartcha, łącznie z informacją o flądrze w skrzynce pocztowej i o tym, że teraz oczywistym czynnikiem łączącym wszystkie sprawy jest alkohol.

Jeżeli chodzi o Sonię, z tym telefonem mógł poczekać. Nie palił się też szczególnie do rozmowy z Hardwickiem. Myślał o spotkaniu z ekipą dochodzeniową, które miało się odbyć nazajutrz. To wcale nie były

entuzjastyczne myśli, wręcz przeciwnie. Nie cierpiał takich narad. Jego umysł najlepiej pracował w samotności. Burza mózgów to nie jego działka, zawsze miał ochotę wyjść z takich spotkań. A fechtunek na półprawdy jeszcze bardziej wyprowadzał go z równowagi. Nie lubił tajemnic.

Usiadł w fotelu z miękkiej skóry w rogu swojego pokoju, starając się uporządkować najważniejsze fakty z tych trzech spraw, wyłonić z nich ogólną hipotezę i rozważyć, jak najlepiej ją zweryfikować. Jego pozbawiony snu umysł nie chciał jednak współpracować. Gurney zamknął oczy i natychmiast wszystko to, co miało związek z liniowym myśleniem, rozplynęło się w niebyt. Nie był pewien, jak długo tak siedział, ale kiedy otworzył oczy, padający gęsto śnieg zaczął otulać bielą krajobraz i w tej przedziwnej zimowej ciszy usłyszał od strony drogi zbliżający się dźwięk silnika. Podniósł się z fotela i przeszedł do kuchni, a kiedy podchodził do okna, samochód Madeleine zniknął za stodołą na końcu drogi. Domyślał się, że Madeleine chce sprawdzić skrzynkę na listy. Minutę później zadzwonił telefon i Gurney odebrał go w kuchni.

– Dobrze, jesteś w domu. Wiesz, czy dzisiaj był listonosz?

– Madeleine?

– Jestem przy skrzynce. Mam coś do przesłania, ale jeżeli już był, wrzucę to w mieście.

– Była Rhonda, ale jakiś czas temu.

– Holender. Dobrze, nic się nie stało. Załatwię to później.

Samochód wyłaniał się powoli zza stodoły, skręcał w górę przez łąkę, a potem pastwisko, w kierunku domu.

Weszła do kuchni bocznymi drzwiami, a na jej twarzy malowało się skupienie i zmęczenie, będące zapewne skutkiem jazdy w trudnych warunkach. I wtedy zauważyła, że i jego twarz jest zmieniona.

– Co się dzieje?

Pogrążony w myśli, która nękała go od chwili, kiedy Madeleine zadzwoniła, stojąc przy skrzynce pocztowej, nie potrafił odpowiedzieć do czasu, gdy zdjęła płaszcz i buty.

– Chyba właśnie do czegoś doszedłem.



– To dobrze! – Uśmiechnęła się w oczekiwaniu na szczegóły, strząsając płatki śniegu z włosów.

– Ta tajemnicza historia z liczbą, ta druga. Chyba wiem, jak to zrobił albo jak można było to zrobić.

– A ta druga, to było co?

– Ta z liczbą dziewiętnaście, którą Mellery odgadł. Pokazywałem ci list.

– Aha, przypominam sobie.

– Zabójca prosił Mellery’ego, żeby pomyślał o jakiejś liczbie i wyszeptał ją do słuchawki.

– Dlaczego miał ją wyszeptać? A tak w ogóle, coś jest nie tak z godziną – powiedziała, podnosząc wzrok na wiszący na ścianie zegar.

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Przepraszam – powiedziała jakby od niechcienia. – Mów dalej.

– Uważam, że poprosił go o wyszeptanie liczby, by dodać tajemniczości tej prośbie, by oddalić go od prawdy bardziej niż dzięki zwykłemu „powiedz mi, jaka to liczba”.

– Nie rozumiem.

– Zabójca nie miał pojęcia, jaką liczbę pomyśli Mellery. Więc jedynym sposobem, żeby się dowiedzieć, było zapytać wprost. Próbował po prostu stworzyć wokół tego wszystkiego zasłonę dymną.

– Ale czy tej liczby nie było już w liście, który morderca zostawił w skrzynce na listy Mellery’ego?

– I tak, i nie. Tak, bo ta liczba znalazła się w liście, który Mellery znalazł w skrzynce parę minut później, ale nie, jeszcze wtedy nie była w skrzynce. Co więcej, list nie był jeszcze wtedy wydrukowany.

– Tu się gubię.

– Przypuśćmy, że morderca ma minidrukarkę, którą podłącza do laptopa, na którym napisał list do Mellery’ego. Tekst jest niekompletny, bo brakuje właściwej liczby. I przypuśćmy, że morderca siedzi w samochodzie tuż przy skrzynce na listy Mellery’ego na nieoświetlonej drodze biegnącej obok Instytutu. Dzwoni do Mellery’ego z komórki, tak jak ty właśnie zadzwoniłaś do mnie, stojąc przy skrzynce, i przekonuje go, żeby pomyślał

o jakiejś liczbie, a następnie ją „wyszeptał” i w tej samej chwili, kiedy Mellery wypowiada liczbę, morderca wprowadza ją w tekst i natychmiast drukuje. Pół minuty później wkłada list do koperty, wrzuca do skrzynki i odjeżdża, tworząc wrażenie, że jest jakimś diabolicznym telepatą.

– Bardzo sprytnie – powiedziała Madeleine.

– To znaczy, że ja jestem sprytny czy on?

– Oczywiście, że obaj.

– Uważam, że to ma sens. Sens ma również i to, że morderca nagrał odgłosy ruchu ulicznego, żeby zdawało się, że jest gdzie indziej, nie na spokojnej i cichej wiejskiej drodze.

– Odgłosy ruchu ulicznego?

– Nagrane na taśmie. Jakiś bystry technik w laboratorium kryminalistyki przepuścił taśmę z nagraniem Mellery’ego przez program analizujący dźwięk i odkrył, że oprócz głosu zabójcy są tam jeszcze dwa inne dźwięki w tle: odgłos pracującego silnika samochodu i ruchu ulicznego. Odgłos silnika był dźwiękiem pierwszej generacji, to znaczy słycać go w tym samym momencie, co głos zabójcy, ale odgłos ruchu ulicznego to dźwięk drugiej generacji, to znaczy, że razem z głosem, który przemawiał do słuchawki, ktoś odtwarzał go z taśmy. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, to zdawało się nie mieć żadnego sensu.

– A teraz ma – powiedziała Madeleine. – Sprytnie to wykombinowałeś. Gratuluję.

Przyglądał się jej uważnie, szukając sarkazmu, którego dziwna nuta często wplatała się w jej uwagi na temat jego roli w sprawie, ale tym razem nic takiego nie było. Patrzyła na niego z prawdziwym podziwem.

– Szczerze – powiedziała, jak gdyby wyczuwała jego wątpliwości. – Jestem pod wrażeniem.

Wróciło do niego bolesne wspomnienie. Na początku małżeństwa często tak na niego spoglądała, wtedy czuł ze strony tej inteligentnej kobiety miłość i zgodę na to, co robi. Było to coś wspaniałego, wręcz bezcennego. Teraz znów pojawił się przynajmniej cień tego podziwu, który rozjaśnił jej oczy. Po chwili zwróciła się w kierunku okna, a szare światło zimowego

dnia zgasilo radość na jej twarzy.

– A tak przy okazji, mamy już nową szufłę do zgarniania śniegu z dachu? – spytała. – Mówią w telewizji, że do północy spadnie do czterech centymetrów świeżego śniegu, a mi się wcale nie podoba to, że na strychu będziemy mieli zacieki.

– Do czterech centymetrów?

Próbował sobie przypomnieć, gdzie w szopie z narzędziami jest stara szufła do śniegu, może da się ją jakoś naprawić, owijając trzonek taśmą...

Westchnęła, ruszając ku schodom.

– Pójdę na strych poodsuwać trochę rzeczy.

Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Dzwoniący w kuchni telefon uratował go przed zrobieniem jakiejś głupiej uwagi. Odebrał po trzecim dzwonku.

– Gurney.

– Detektywie Gurney, mówi Gregory Dermott. – Głos był uprzejmy, lecz czymś zaniepokojony.

– Tak, panie Dermott?

– Coś się wydarzyło. Chcę być pewny, że powiadamiam właściwe władze.

– Co się wydarzyło?

– Znowu dostałem jakiś dziwny list. Myślę, że może być powiązany z tymi listami, które, jak pan mówił, otrzymywały ofiary przestępstw. Mogę go panu przeczytać?

– Najpierw niech pan powie, jak pan go otrzymał.

– To, jak go dostałem, jest bardziej niepokojące niż to, co w nim znalazłem. Boże, aż mi skóra cierpnie! Był przyklejony taśmą na zewnętrznej stronie mojego okna, przy tym oknie jest stolik, przy którym zawsze jem śniadanie. Rozumie pan, co to znaczy?

– Co?

– To znaczy, że on tam był, był tuż przy moim domu, dotykał ściany nie dalej niż trzydzieści metrów od miejsca, w którym śpię. Wiedział, do którego okna przykleić ten list. To jest po prostu okropne.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Do jakiego okna?

– Do okna, przy którym co rano siadam. To nie przypadek. Musiał wiedzieć, że jadłem śniadanie przy tym stole, a to znaczy, że musiał mnie obserwować.

– Dzwonił pan na policję?

– Dlatego właśnie dzwonię teraz do pana.

– Czy dzwonił pan na komisariat u siebie?

– Tak, zadzwoniłem, ale nie biorę tej całej sytuacji na poważnie. Miałem nadzieję, że jeśli pan do nich zadzwoni, to coś pomoże. Zadzwoni pan?

– Niech pan mi powie, co jest w tym liście.

– Momencik. Już go mam. Tylko dwie linijki napisane czerwonym atramentem. „Niech jeden przyjdzie, później następny. / Wszyscy durnie zginą”.

– Czytał pan to przez telefon, kiedy dzwonił pan na policję?

– Tak, wyjaśniłem, że może istnieć jakieś powiązanie między tymi dwoma morderstwami, a oni na to, że jutro rano przyślą tu detektywa, który ze mną porozmawia, ale „jutro rano” oznacza, że nie uważają sprawy za pilną.

Gurney rozważał wszystkie za i przeciw, nie wiedział, czy dokonać sprostowania, że mają do czynienia z trzema morderstwami, ale uznał, że ta wiadomość niczego nie zmieni, a tylko wzmocni lęk, który wyraźnie przebijał przez głos Dermotta.

– A co ta wiadomość znaczy dla pana?

– Co znaczy? – usłyszał, jak jego rozmówca wpada w panikę. – Tylko to, co mówi. Mówi, że ktoś umrze. Mówi, że teraz. A wiadomość została dostarczona właśnie mnie. To dokładnie znaczy, na Boga! Co jest z wami? Ile zwłok wam trzeba, żebyście się obudzili?

– Niech się pan uspokoi. Zna pan nazwisko policjanta, z którym pan rozmawiał?

## Do góry nogami

Kiedy Gurney kończył niezbyt przyjemną rozmowę z komisarzem Johnem Nardo z policji w Wycherly, otrzymał – niechętnie wprawdzie – zapewnienie, że jeszcze dziś wyślą tam wóz patrolowy i zapewnią Gregory'emu Dermottowi ochronę, przynajmniej tymczasowo, a ostateczną decyzję podejmie szef policji.

Padający za oknem śnieg zamienił się tymczasem w za wieję. Gurney nie spał prawie od trzydziestu godzin i wiedział, że musi się zdrzemnąć, ale postanowił jeszcze trochę wytrzymać i nastawił wodę na kawę. Wyszedł na korytarz i zawołał w kierunku strychu, pytając Madeleine, czy ona też się napije. Nie usłyszał w odpowiedzi nic oprócz niejasnej monosylaby, więc zapytał jeszcze raz, chociaż powinien był zrozumieć, co do niego mówi. Tym razem „nie” zabrzmiało jaśniej i głośniej, niż trzeba – takie miał przynajmniej wrażenie.

Padający śnieg wcale go nie uspokajał, choć zazwyczaj właśnie tak było. Wydarzenia następowały w tej sprawie za szybko, nachodziły jedno na drugie, a pomysł z jego własnym listem wysłanym do skrytki pocztowej w Wycherly w nadziei, że dotrze do mordercy, zaczynał wyglądać śmiesznie. Otrzymał pewną swobodę w prowadzeniu śledztwa, ale Gurney nie był pewien, czy obejmuje ona takie „kreatywne” interwencje. Czekał, aż kawa się zaparzy, przypominał sobie scenę zbrodni w Sotherton, myślał o flądrze, którą miał przed oczami tak, jak gdyby ją rzeczywiście widział, i ta myśl wypierała inną, na temat notatki na kartce w oknie Dermotta. „Niech jeden przyjdzie, później następny. Wszyscy durnie zginą”.

Szukając drogi wyjścia z tego emocjonalnego labiryntu, pomyślał, że mógłby zająć się naprawą pękniętej szufli do odgarniania śniegu z dachu lub przyjrzeć się bliżej historii związanej z liczbą dziewiętnaście i zastanowić się, czy go to gdzieś zaprowadzi. Wybrał drugą możliwość.

Zakładając, że to małe oszustwo spełniło swoje zadanie, jakie wnioski

można z tego wyciągnąć? Że zabójca jest bystry, ma dużą wyobraźnię, spokojnie działa pod presją, bawi się sadystycznymi gestami? Że musi wszystko kontrolować, że obsesyjnie pragnie wzmóc poczucie bezradności swoich ofiar? To wszystko prawda, ale to było dość oczywiste od samego początku. Jednak nie było jasne, dlaczego wybrał taki szczególny sposób działania. Gurney uświadomił sobie, że najważniejsze, co go uderza w sztuczce z dziewiętnastką, jest to, że to właśnie sztuczka, której efektem miało być stworzenie wrażenia, że sprawca zna ofiarę na tyle dobrze, że wie, co ona myśli. W rzeczywistości nic nie musi o niej wiedzieć.

– O Boże!

Jak brzmiało zdanie w drugim wierszu wysłanym Mellery'emu?

Gurney niemal biegiem ruszył z kuchni do swojego pokoju, chwycił teczkę z dokumentami i przejrzał ją pospiesznie. Jest! Po raz drugi tego dnia odczuł dreszcz radości, bo zbliżał się do rozwiązania.

*Znam ja wszystkie twoje myśli,  
Wiem ja dobrze, co się przyśni  
I gdzie byłeś,  
I gdzieś jest.*

Cóż takiego Madeleine powiedziała tamtej nocy w łóżku? A może to było przedwczoraj? Coś o tym, że wszystkie te listy są dziwacznie niekonkretne – nie ma w nich ani faktów, ani nazwisk, ani miejsc, nic realnego.

Podkorytowany Gurney czuł, że nagle większe kawałki układanki zaczynają wchodzić na swoje miejsce. Największy fragment trzymał cały czas do góry nogami. To, że morderca doskonale zna ofiary i ich przeszłość, było od początku do końca udawane. Kiedy Gurney przeglądał dokumenty, notatki, zapisy rozmów telefonicznych zarówno Mellery'ego, jak i innych, nie był w stanie znaleźć nawet śladu dowodu na to, że morderca wiedział o nich cokolwiek konkretnego oprócz nazwiska i adresu. Wydawało się, że wie, iż kiedyś w przeszłości za dużo pili, ale nawet tu nie było żadnych szczegółów, opisu zdarzenia, osoby, czasu ani miejsca. Wszystko to było

spójne z intencją zabójcy, który chciał wzbudzić w ofiarach wrażenie, że zna je doskonale, podczas gdy w ogóle nic o nich nie wiedział.

Rodziło się nowe pytanie. Dlaczego miałyby zabijać obcych ludzi?

Jeżeli odpowiedzią miałyby być to, że patologicznie nienawidzi wszystkich, którzy nadużywają alkoholu, to dlaczego (jak powiedział Randy Clamm Gurneyowi w Bronksie) po prostu nie wrzucić bomby na pierwsze lepsze spotkanie grupy AA?

Znów zaczęło mu się kręcić w głowie od tych myśli, zmęczenie brało górę, ogarniało ciało i umysł. Wraz ze zmęczeniem nachodziły go wątpliwości. Niesamowita radość, kiedy zdał sobie sprawę z tego, na czym polega sztuczka z liczbą, i co to oznacza w kwestii relacji między zabójcą i ofiarami, zmaląła teraz, pojawiło się dobrze znane uczucie niepewności i krytyczne podejście do siebie. Dlaczego wcześniej na to wszystko nie wpadł? Później przyszedł lęk, że nawet to może się okazać kolejną ślepą uliczką.

– Co jest teraz nie tak?

Madeleine stała w drzwiach jego pokoju, trzymając w ręce wypełniony po brzegi czarny plastikowy worek na śmieci, włosy miała w nieładzie. Wypełniła misję opróżnienia strychu.

– Nic.

Rzuciła mu pełne niedowierzania spojrzenie i postawiła worek przy jego drzwiach.

– To są rzeczy, które znalazłam po twojej stronie szafy.

Wpatrywał się tępo w plastikowy worek. Madeleine wróciła na strych.

Wiatr gwizdał w oknie, które od dawna wymagało naprawy. Cholera. Obiecywał sobie od paru dni, że się do tego zabierze. Za każdym razem, kiedy wiatr wiał z tamtej strony... Zadzwoił telefon. W słuchawce usłyszał głos Gowackiego z Sotherton.

– Tak, to rzeczywiście była flądra – powiedział bez zbędnych wstępów. – Jak się pan, do cholery, tego domyślił?

Potwierdzenie, że to rzeczywiście była flądra, wyciągnęło Gurneya na chwilę z dołka. Dało mu wystarczająco dużo energii, żeby zadzwonić do – jak zwykle irytującego – Jacka Hardwicka i powiedzieć mu o tym, co go cały czas niepokoiło. Chodziło o pierwszą linijkę trzeciego wiersza, który wyciągnął ze swoich notatek w tekturowej teczce, kiedy wybierał numer.

*Robię, co zrobiłem, jeśliś ciekawy,  
Nie dla grosza ni zabawy,  
Lecz by spłacić dług w mej pieczy,  
Przywrócić porządek rzeczy.  
Bo krew jest czerwona  
Jak malowane róże.  
A ty zasiałeś burzę.  
Co zbierzesz, sam się przekonaj.*

Gurney jak zwykle musiał przez minutę wysłuchiwać obelg, zanim sierżant zechciał skupić uwagę na tym, co on ma do powiedzenia, i wyrazić swoje zdanie. Zareagował tak jak zwykle.

– Uważasz, że czas przeszły znaczy, iż sprawca zostawił już za sobą kilka odciętych głów, zanim kropnął twojego kumpla?

– Wniosek sam się narzuca – odparł Gurney – bo wiemy, że trzy znane nam ofiary jeszcze żyły, kiedy to pisał.

– Więc co mam robić?

– Może przydałoby się rozesłać pytanie o podobny sposób pozabawienia ofiar życia w innych sprawach. Wiesz, *modus operandi*.

– Jak szczegółowo mam przeliterować *modus operandi*?

Sposób, w jaki Hardwick wymawiał łacińskie słowa, sprawiał, że brzmiały jak żart. Jego szowinistyczna tendencja do naigrawania się z obcych języków niezmiennie irytowała Gurneya.

– Sam zdecyduj. Moim zdaniem kluczowe są rany zadawane w gardło.

– Aha. Uważasz, że to pytanie powinienem rozesłać do Pensylwanii, stanu Nowy Jork, Connecticut, Rhode Island, Massachusetts, może do New Hampshire i Vermont?



– Nie wiem, Jack. Sam zdecyduj.

– A ramy czasowe?

– Ostatnie pięć lat? Rób, jak uważasz.

– Ostatnie pięć lat to równie dobry zakres, jak każdy inny. – Z jego głosu wynikało, że raczej równie fatalny. – Jesteś gotów na małe *tête-à-tête* z kapitanem R.?

– Jutro? Oczywiście, że jestem.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Więc uważasz, że ten świrus już od dłuższego czasu nad tym pracuje?

– Niewykluczone. Ty tak nie uważasz?

Znowu chwila ciszy.

– Jakież postępy po twojej stronie?

Gurney podsumował fakty i podał Hardwickowi ich nową interpretację, która kończyła się sugestią:

– Wiem, że Mellery był piętnaście lat temu na odwyku. Mógłbyś sprawdzić, czy był notowany, cokolwiek, wykroczenia, przestępstwa, coś związanego z alkoholem. Podobnie Albert Rudden i Richard Kartch. Policjanci z wydziału zabójstw, zajmujący się sprawami Ruddena i Kartcha, pracują nad życiorysami ofiar. Może już znaleźli coś ważnego. A skoro już przy tym jesteś, nie zaszkodziłoby trochę pogrzebać w życiorysie Gregory'ego Dermotta. Jest jakoś w tę całą sprawę zamieszany. Zabójca miał powód, żeby wybrać właśnie urząd pocztowy w Wycherly, a teraz grozi samemu Dermottowi.

– Co takiego?

Gurney opowiedział Hardwickowi o kartce przyklejonej do okna Dermotta i rozmowie z komisarzem Nardo.

– Jak sądzisz, co znajdziemy w ich życiorysach?

– Coś, co ma logiczny sens w świetle trzech faktów. Po pierwsze, zabójca namierza ofiary, które mają historię nadużywania alkoholu; po drugie, nie istnieją żadne dowody na to, że znał osobiście którąkolwiek z nich; po trzecie, wybrał ofiary mieszkające daleko od siebie, co wskazuje na jakiś czynnik w tym wyborze, który nie ma nic wspólnego z nadużywaniem

alkoholu, czynnik, który łączy je ze sobą, z zabójcą, a być może i z Dermottem. Nie mam pojęcia, co to jest, ale będę wiedział, jak to zobaczę.

– Naprawdę?

– Do jutra, Jack.

## Madeleine

Jutro przyszło nagle i niespodziewanie. Po rozmowie z Hardwickiem Gurney zdjął buty i położył się na chwilę na kanapie. Spał głęboko bez przerwy przez całe popołudnie i całą noc. Kiedy otworzył oczy, już świtało.

Wstał, przeciągnął się i wyjrzał za okno. Słońce powoli wyłaniało się zza brązowych grani po wschodniej stronie doliny. Domyślił się, że jest około siódmej rano. Nie musiał wyjeżdżać na naradę przed dziesiątą trzydzieści. Niebo było idealnie błękitne, śnieg lśnił, jakby ktoś zmieszał go z potłuczonym szkłem. Piękno i spokój tej sceny przenikały się z aromatem świeżej kawy, a życie przez chwilę znowu stało się proste i z gruntu dobre. Długi odpoczynek przywrócił Gurneyowi siły. Czuł się gotowy zadzwonić do osób, do których dotąd nie oddzwonił – do Soni i do Kyle’a – powstrzymywała go tylko myśl, że o tej porze oboje pewnie śpią.

Zamknął oczy i zatrzymał się przez kilka sekund nad obrazem Sonii w łóżku. Wrócił do rzeczywistości, poszedł do kuchni, postanawiając tuż po dziewiątej zadzwonić w parę miejsc.

W domu panowała atmosfera pustki, taka jak zawsze, kiedy Madeleine wychodziła. Jej nieobecność potwierdzała karteczka, którą znalazł na blacie kuchennym: „Świt. Zaraz wzejdzie słońce. Niewiarygodnie piękne. Idę się przejść na Carlson’s Ledge. Kawa zaparzona. M.”.

Poszedł do łazienki, umył się i wyszczotkował zęby. Kiedy się czesał, przyszło mu na myśl, że mógłby za nią ruszyć. Napisała, że zaraz wzejdzie słońce, co oznaczało, że wyszła nie więcej niż dziesięć minut temu. Gdyby założył biegówki i ruszył za śladami jej rakiet śnieżnych, prawdopodobnie dogoniłby ją w dwadzieścia minut.

Włożył na dzinsy spodnie narciarskie, później buty, naciągnął przez głowę gruby, wełniany sweter, wpiął narty i przez tylne drzwi ruszył w trzydziestocentymetrowy puch. Grań, z której widać było północną dolinę i łańcuchy górskie znajdujące się za nią, była oddalona o półtora kilometra,

można było do niej dotrzeć starą drogą, wznoszącą się delikatnie w górę, a zaczynającą na granicy ich posesji. Kiedyś drwale zwozili nią drewno z gór. Latem trudno tędy przebrnąć, bo drogę porastały krzewy dzikich malin, ale późną jesienią i zimą kolczaste krzewy ustępowały miejsca.

Stadko ostrożnych kruków, których głośnie krakanie było jedynym dźwiękiem rozlegającym się w zimowej przestrzeni, oderwało się od bezlistnych gałęzi drzewa sto metrów przed nim i po chwili ptaki znikły za granią, zostawiając za sobą jeszcze głębszą ciszę.

Kiedy Gurney wyłonił się z lasu na wzgórkę nieco powyżej farmy Carlsonów, zobaczył Madeleine. Siedziała nieruchomo na płaskim głazie jakieś piętnaście metrów od niego i podziwiała górski krajobraz, który rozciągał się aż po horyzont, i tylko dwa silosy widoczne w pewnej odległości i kręta droga wskazywały na to, że żyją tu ludzie. Zatrzymał się, jakby zaczarowany jej nieruchomą pozą. Wydawała się taka... taka absolutnie samotna... A jednak tak bardzo złączona ze swoim światem. Jak latarnia morska, która wzywa go w jakieś miejsce, które jest tuż za zasięgiem jego wzroku.

Bez ostrzeżenia, bez słów, które mogłyby opisać i zamknąć to uczucie, ten widok rozdarł mu serce.

Dobry Boże, czy to jakieś załamanie nerwowe? Po raz trzeci w tym tygodniu poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Powstrzymał je i otarł twarz. Czując, że mu się kręci w głowie, stanął szerzej na nartach, żeby utrzymać równowagę.

Może dostrzegła ten ruch kątem oka, a może usłyszała skrzypienie nart w suchym śniegu, w każdym razie się odwróciła. Przyglądała się mu, kiedy się zbliżał. Lekko się uśmiechała, ale nic nie mówiła. Gurney miał dziwne uczucie, że ona potrafi równie dobrze widzieć jego duszę, jak i ciało. Dziwne, ponieważ pojęcie „duszy” było mu obce, nigdy nie potrafił wypełnić go treścią, było to słowo, po które nigdy nie sięgał. Usiadł przy niej na krawędzi płaskiego głazu i odwrócił wzrok w kierunku wzgórz i dolin. Ujęła go pod ramię i przyciągnęła do siebie.

Przyglądał się teraz jej twarzy. Nie potrafił znaleźć słów, by opisać to, co

widział. Odnosił wrażenie, jakby świetlisty, pokryty śniegiem górski krajobraz znajdował odzwierciedlenie w wyrazie jej twarzy, a światło, które od niej biło, opromieniało otaczający ich krajobraz.

Po jakimś czasie – nie był pewien, jak długo to trwało – ruszyli z powrotem do domu.

Mniej więcej w połowie drogi spytał.

– O czym myślałaś?

– W ogóle nie myślałam. Myślenie przeszkadza.

– W czym?

– W patrzeniu na błękitne niebo i biały śnieg. – Spojrzała na niego. – A teraz do kuchni.

– Nie wypilem kawy, którą mi zostawiłaś – powiedział.

– Zrobię świeżej.

Przyglądał się jej, kiedy sięgała po torbę z kawą, wyjmowała ją z lodówki i wsypywała ziarenka do elektrycznego młynka.

– Tak? – popatrzyła na niego z ciekawością, trzymając palec na przycisku.

– Tylko się przyglądam.

Nacisnęła włącznik. Małe urządzenie wydało z siebie wysoki, grzechoczący odgłos, który stawał się cichszy i bardziej miękki, gdy kawa zamieniała się w pył. Spojrzała na niego raz jeszcze.

– Sprawdzę, jaka jest sytuacja na strychu – powiedział, czując, że musi coś zrobić.

Ruszył w górę po schodach, ale zanim dotarł na strych, zatrzymał się na półpiętrze przy oknie wychodzącym na pole, lasy i drogę drwali za nimi, prowadzącą w kierunku grani. Wyobraził sobie Madeleine siedzącą na głazie, pogrążoną w spokojnej samotności, i to samo nienazwane, intensywne uczucie znów wypełniło go aż do bólu. Próbował z całej siły nazwać ten ból.

Strata. Separacja. Izolacja.

Każde z tych pojęć było prawdziwe, każde jak oszlifowana diamentowa powierzchnia tego samego uczucia.

Jako nastolatek chodził na terapię w związku z powracającymi atakami paniki, których przyczyny upatrywano w głębokiej wrogości w stosunku do własnego ojca. Psychoterapeuta twierdził, że jego uczucia były podświadome i w związku z tym niezwykle silne i negatywne. Podczas jednej z sesji psycholog przedstawił mu swój własny pogląd na temat tego, co jest celem życia. „To jest zbliżenie się najbardziej, jak się da, do innych ludzi” – powiedział to w sposób zadziwiająco prosty, jak gdyby stwierdzał, że ciężarówki służą do transportu towarów.

Innym razem w ten sam konkretny i rzeczowy sposób stwierdził: „Życie w izolacji to życie stracone”.

W wieku siedemnastu lat Gurney nie był do końca pewien, o czym ten człowiek mówi. Brzmiało to bardzo poważnie, lecz głębia jego stwierdzeń była nieco przysłonięta cieniem, i niczego nie dostrzegał. W wieku czterdziestu siedmiu lat wciąż nie rozumiał do końca tego, co mówił wtedy terapeuta – w każdym razie nie w ten sposób, w jaki rozumiał, do czego służą ciężarówki.

Zapominając, po co szedł na strych, wrócił do kuchni. Kiedy wchodził do niej z ciemnego holu, stwierdził, że kuchnia jest nadzwyczajnie jasna. Słońce, znajdujące się teraz wysoko ponad drzewami na bezchmurnym niebie, świeciło wprost przez szklane drzwi balkonowe, skierowane na południowy wschód. Pokryte świeżym puchem pastwisko zamieniło się jakby w reflektor, rzucając blask w kąty kuchni, które rzadko bywały oświetlone.

– Kawa jest gotowa – powiedziała Madeleine. Trzymała zmiętą w kulę gazetę i kilka patyków na podpałkę, aby wrzucić wszystko do opalanej drewnem kuchenki. – Światło jest magiczne. Jak muzyka.

Uśmiechnął się i skinął głową. Czasami zazdrościł jej tego, że pobłyskujące elementy krajobrazu lub przyroda potrafią ją tak oczarować. „Dlaczego – zastanawiał się – taka kobieta, tak entuzjastyczna, z naturalnym poczuciem estetyki, kobieta tak otwarta na piękno i czerpanie radości ze świata, wyszła za detektywa, który w życiu kieruje się zimną logiką i nie potrafi być spontaniczny?” Czy wyobrażała sobie, że pewnego

dnia odrzuci szary kokon swojego zawodu? Czy on także był współautorem tej fantasmagorii i sam liczył na to, że emerytura spędzana w tak pięknych okolicznościach przyrody zmieni go w kogoś innego?

Pomyślał, że tworzyli dziwną parę, ale z pewnością nie bardziej osobliwą niż jego rodzice. Jego matka ze swoim upodobaniem do sztuki pod postacią niegroźnego hobby – rzeźbienia z masy papierowej, malowania akwareli i składania origami – wyszła za człowieka, którego wrodzoną nijakość ożywiały jedynie przebłyski sarkazmu. Uwaga jej męża zawsze była skierowana gdzie indziej, nikt nie znał jego pasji i wydawało się, że wyjście co rano do pracy było dla niego znacznie większą przyjemnością niż powrót wieczorem do domu. Był to mężczyzna, który w poszukiwaniu spokoju nieustannie ich opuszczał.

– O której godzinie musisz jechać na naradę? – spytała Madeleine, znów ujawniając niewiarygodnie precyzyjne wyczulenie na myśli, które jak wiatr przelatywały mu przez głowę.

## Ostateczne argumenty

*Déjà vu.*

Procedura rejestracji była taka sama jak poprzednio. Portiernia budynku, jakby ironicznie zaprojektowana po to, by odstraszać, była równie aseptyczna jak kostnica, choć było tu więcej ruchu. Za szkłem siedział teraz inny strażnik, ale zimne światło przydawało jego twarzy ten sam zielonkawy odcień co jego poprzednikowi i wyglądał, jakby właśnie skończył kolejną chemioterapię. I podobnie jak ostatnio do sali konferencyjnej poprowadził Gurneya policjant nazwiskiem Blatt, o włosach postawionych na żelu, całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek czaru osobistego.

Sala konferencyjna była dokładnie taka, jak ją zapamiętał, tyle że teraz wydała mu się bardziej zaniedbana. Na wykładzinie dywanowej o nieokreślonym kolorze były plamy, wcześniej ich nie zauważył. Zegar, który wisiał nie do końca pionowo i był za mały na tak szeroką ścianę, pokazywał dwunastą. Gurney jak zwykle był na czas, co nie świadczyło o jego punktualności, raczej o neurozie. Zarówno przychodzenie za wcześnie, jak i za późno wywoływało u niego poczucie dyskomfortu.

Blatt usiadł przy stole. Wigg i Hardwick już tam byli, zajmowali te same miejsca, co poprzednio. Przy dzbanku z kawą w rogu sali stała kobieta z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Była wyraźnie niezadowolona z tego, że z Gurneyem nie przyszedł ktoś, na kogo czekała. Była do tego stopnia podobna do Sigourney Weaver, że Gurney zastanawiał się, czy to zamierzone.

Trzy krzesła stojące najbliżej środka podługowatego stołu były tak jak wcześniej przechylone i oparte o blat. Kiedy Gurney ruszał w kierunku dzbanka z kawą, Hardwick uśmiechnął się jak rekin.

- Detektywie pierwszej klasy, Gurney, mam do ciebie pytanie.
- Cześć, Jack.



– Albo jeszcze lepiej, mam dla ciebie odpowiedź. Zobaczymy, czy zgadniesz, co to za pytanie. Odpowiedź brzmi: „Ksiądz z Bostonu, któremu odebrano święcenia kapłańskie”. Aby wygrać główną nagrodę, musisz się domyślić, jak brzmiało pytanie.

Zamiast odpowiadać, Gurney sięgnął po filiżankę, zauważył, że była niedomyta, odłożył ją, wybrał inną, później następną, a w końcu wziął tę pierwszą.

Sigourney postukiwała stopą o podłogę i sprawdzała na swoim roleksie, która jest godzina. Była to parodia zniecierpliwienia.

– Witam – powiedział zrezygnowany, napełniając zaplamioną filiżankę czymś, co, jak miał nadzieję, było gorącą kawą. – Dave Gurney.

– Doktor Holdenfield – powiedziała. – Sheridan jest w drodze?

Coś skomplikowanego w jej tonie głosu przykuło uwagę Gurneya. A nazwisko „Holdenfield” brzmiało znajomo.

– Nie mam pojęcia. – Nie wiedział, jaka jest relacja między prokuratorem okręgowym a panią doktor. – Jeśli wolno mi spytać, jaką ma pani specjalizację?

– Jestem psychologiem śledczym – powiedziała, patrząc ni to na niego, ni to na drzwi.

– Wracając do tematu, panie detektywie – powiedział Hardwick za głośno jak na rozmiary sali konferencyjnej – jeżeli odpowiedź brzmi: „Ksiądz z Bostonu, któremu odebrano święcenia kapłańskie”, jak brzmiało pytanie?

Gurney zamknął oczy.

– Jezus Maria! Jack, po prostu mi powiedz, dobrze?

Hardwick niechętnie zmarszczył twarz.

– No, to będę musiał dwa razy wszystko wyjaśniać: tobie, a później komitetowi wykonawczemu. – Wskazał krzesła oparte o blat stołu.

Pani doktor znów spojrzała na zegarek. Sierżant Wigg śledziła z przejęciem ekran laptopa i stukała w klawiaturę. Blatt wyglądał jak znudzony mops. Otworzyły się drzwi, wszedł Kline, wyglądający na zmartwionego, za nim pojawił się Rodriguez z grubym stosem akt i bardziej

złowieszczy wyrazem oczu niż kiedykolwiek, a za nimi Stimmel o twarzy pesymistycznie nastawionej do świata ropuchy. Kiedy usiedli, Rodriguez spojrzał na Kline'a pytająco.

– No, to mów – zarządził Kline.

Rodriguez skierował spojrzenie na Gurneya, zamiast ust miał teraz kreskę przecinającą twarz.

– Wydarzyło się coś tragicznego. Policjant z Connecticut, wysłany do domu Gregory'ego Dermotta, podobno na pana prośbę, został zabity.

Wszystkie twarze w sali konferencyjnej, na których malowała się niezdrowa ciekawość, zwróciły się ku Gurneyowi.

– W jaki sposób? – zadał to pytanie spokojnie, pomimo fali lęku, która go ogarnęła.

– W ten sam sposób jak pana przyjaciel. – W tonie jego głosu była jakaś niemiła insynuacja, ale Gurney postanowił na nią nie reagować.

– Sheridan, co się tutaj, do cholery, wyprawia? – Pani doktor, która stała teraz z drugiej strony stołu przy jego dalszym końcu, wypowiadała te słowa tak wrogo jak Sigourney w filmie *Obcy*. Gurney zmienił zdanie, bo to na pewno było zamierzone.

– Becca! Przepraszam, nie zauważyłem cię tam. Jesteśmy trochę zajęci. Komplikacje z ostatniej chwili. Okazuje się, że jest jeszcze jedno morderstwo. – Zwrócił się teraz do Rodrigueza: – Rod, opowiedz wszystkim, co się wydarzyło w Connecticut. – Poruszył niedostrzegalnie głową, jak gdyby miał wodę w uszach. – Cholera, ta sprawa robi się naprawdę dziwna!

– No właśnie – zawtórował mu Rodriguez, otwierając tekturową teczkę z dokumentami. – Dzisiaj o 11:25 odebraliśmy telefon od komisarza Johna Nardo z Wycherly w Connecticut w związku z zabójstwem dokonany na terenie należącym do Gregory'ego Dermotta, który jest nam znany jako właściciel skrytki pocztowej ze sprawy Marka Mellery'ego. Dermottowi przyznano tymczasową opiekę policyjną, bo upierał się przy tym detektyw David Gurney. Dziś o ósmej rano...

Kline uniósł dłoń.

– Chwileczkę, Rod. Becca, znasz Dave’a?

– Tak.

Krótkie, chłodne „tak” miało nie dopuścić do publicznego przedstawiania ich sobie nawzajem, ale Kline mimo wszystko mówił dalej.

– Wy dwoje powinniście mieć sporo do omówienia. Pani psycholog, której profile sprawców zawsze trafiają w dziesiątkę, i detektyw mający na swoim koncie najwięcej aresztowań w sprawach o zabójstwo w historii nowojorskiej policji.

Pochwały sprawiły, że wszyscy poczuli się zażenowani. Kazały jednak Holdenfield po raz pierwszy spojrzeć na Gurneya z pewnym zainteresowaniem. I choć on nie był wielkim fanem psychologów sporządzających profile sprawców, wiedział już, skąd zna jej nazwisko.

Kline mówił dalej z determinacją godną lepszej sprawy, komplementując dwie tak jasno świejące gwiazdy.

– Becca czyta w ich umysłach, a Gurney ich tropi: Cannibal Claus, Jason Strunk, Peter Possum. Jak mu tam było na nazwisko...?

Pani doktor odwróciła się do Gurneya i zrobiła wielkie oczy.

– Piggert? Pan prowadził to śledztwo?

Gurney skinął głową.

– Aresztowanie w świetle reflektorów – powiedziała z nutą podziwu w głosie.

Udało mu się półgębkiem uśmiechnąć, ale myślał zupełnie o czymś innym. Sytuacja w Wycherly oraz pytanie, czy jego własna interwencja, fakt, że poddał się impulsowi i wysłał ten wiersz, miała coś wspólnego ze śmiercią policjanta – to teraz go zżerało.

– Mów dalej, Rod – powiedział Kline nagle, jak gdyby to kapitan był winny tej przerwie w wywodzie.

– O ósmej rano Gregory Dermott pojechał na pocztę w Wycherly, a razem z nim policjant Gary Sissek. Zgodnie z tym, co mówił Dermott, wrócili o wpół do dziewiątej, on zrobił kawę i tosty i przeglądał pocztę, podczas gdy policjant był na zewnątrz, sprawdzał cały teren i zewnętrzne zabezpieczenie domu. O dziewiątej Dermott wyszedł go poszukać i znalazł

ciało na ganku z tyłu domu. Zadzwoił na komisariat. Pierwsi z przybyłych policjantów zabezpieczyli miejsce zbrodni i znaleźli karteczkę przyklejoną taśmą do drzwi tuż nad ciałem.

– Kula i rany na szyi tak jak u pozostałych? – spytała Holdenfield.

– Rany cięte potwierdzono, nie wiadomo jeszcze co z kulą.

– A na kartce?

Rodriguez czytał z przefaksowanej kopii wyciągniętej z tekturowej teczki.

*Wiesz, skąd przychodzę?*

*Dokąd zmierzam?*

*Ilu zginie?*

*Jak uderzam?*

– Takie samo dziwactwo jak poprzednio – powiedział Kline. – Co o tym sądzisz, Becca?

– Niewykluczone, że proces przyspiesza.

– Proces?

– Jak dotąd wszystko było dokładnie przemyślane: wybór ofiar, listy, wszystko. To jednak jest inne, to bardziej reakcja niż plan.

Rodriguez był sceptyczny.

– To samo dźganie w szyję, taka sama notatka.

– Ale to była niezaplanowana ofiara. Wygląda na to, że to pan Dermott był celem, ale nadarzyła się sposobność i zamiast niego zginął policjant.

– Ale kartka...

– Kartkę mógł przynieść na miejsce zbrodni po to, by położyć ją na ciele Dermotta, jeśli wszystko pójdzie dobrze, albo mógł ją napisać już na miejscu w reakcji na zmienione okoliczności. Może to ma jakieś znaczenie, że to tylko cztery linijki. Inne przecież miały po osiem?

Spojrzała na Gurneya, czekając na jego potwierdzenie. Skinął głową, wciąż pogrążony w spekulacjach i poczuciu winy, zmusił się jednak do uczestnictwa w spotkaniu.

– Zgadzam się z doktor Holdenfield. Nie zastanawiałem się, czy jakieś znaczenie ma fakt, że teraz zostawił cztery, a nie osiem linijek, ale to ma sens. Mogę dodać tylko jedno: że chociaż tego czynu mógł nie zaplanować w ten sam sposób co inne, jest w nim obecny element nienawiści do policji, co przynajmniej częściowo łączy wszystkie zabójstwa w jakiś wzorzec i może znajdziemy w tym wyjaśnienie rytualnych aspektów, o których mówił pan kapitan.

– Becca wspomniała, że tempo przyspiesza – wtrącił Kline. – Mamy już cztery ofiary. Czy to znaczy, że będzie ich więcej?

– Prawdę mówiąc, mamy pięć.

Wszystkie oczy zwróciły się na Hardwicka.

Kapitan uniósł pięść i wyciągał palce, wyliczając nazwiska: Mellery, Rudden, Kartch, policjant Sissek. To czterech.

– Wielebny Michael McGrath. To pięć – stwierdził Hardwick.

– Kto taki? – to pytanie pojawiło się w tym samym momencie na ustach trzech uczestników narady: Kline’a (podekscytowanego), kapitana (wściekłego) i Blatta (zdezorientowanego).

– Pięć lat temu pewien ksiądz w diecezji bostońskiej został zwolniony z obowiązków kapłańskich z uwagi na pomówienia dotyczące chłopców służących do mszy. Dogadał się z biskupem, zrzucił winę na swoją skłonność do alkoholu, poszedł na odwyk, później zniknął za horyzontem i to koniec całej historii.

– Co jest, do cholery, z tą diecezją bostońską? – spytał szyderczo Blatt. – Tam wszędzie pełno zboczeńców i pedofilów.

Hardwick zignorował jego uwagę.

– I to by było wszystko. Do czasu. Rok temu znaleziono McGratha martwego w jego mieszkaniu. Wielokrotne rany zadane w szyję. Karteczka mówiąca o zemście, przyklejona taśmą do ciała. Wiersz, osiem linijek zapisanych czerwonym atramentem.

Rodriguez aż poczerwieniał na twarzy.

– Od kiedy o tym wiesz?

Hardwick spojrzał na zegarek.

– Od półgodziny.

– Co takiego?

– Wczoraj detektyw Gurney poprosił mnie o wysłanie zapytania do wszystkich stanów na północy i wschodzie, czy w kartotekach policyjnych są zabójstwa podobne do tego dokonanego na Mellerym. Dziś rano trafiliśmy na jedno: świętej pamięci ojciec McGrath.

– Czy ktoś został aresztowany? Czy toczy się jakieś postępowanie w sprawie? – spytał Kline.

– Nie. Policjant z kryminalnej z Bostonu, z którym rozmawiałem, nie był rozmowny, ale odniosłem wrażenie, że tamta sprawa nie ma szczególnego priorytetu.

– Co to ma znaczyć? – kapitan znów był wściekły.

Hardwick wzruszył ramionami.

– Były pederasta zadźgany na śmierć, sprawca zostawia liścik mówiący niejasno o przewinach z przeszłości. Wyglądało na to, że ktoś postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Może policja stwierdziła, że trudno, mają co innego do roboty, mnóstwo innych sprawców, których trzeba ująć, a których motywy są mniej szlachetne niż prywatna zemsta. I może po prostu nie dość uważnie się temu przyjrżeli.

Rodriguez wyglądał tak, jak gdyby cierpiał na niestrawność.

– Ale nie powiedział tego dokładnie tymi słowami?

– Oczywiście, że nie.

– A zatem – podsumował Kline – niezależnie od tego, co policja bostońska zrobiła lub czego nie zrobiła, fakty mówią same za siebie: ojciec Michael McGrath to numer pięć.

– *Si, número cinco* – powiedział po hiszpańsku ni w pięć, ni w dziewięć Hardwick. – Ale tak naprawdę jest *número uno*, bo księżulek dał się pociąć rok przed pozostałą czwórką.

– Więc Mellery nie jest pierwszy, jak dotąd sądziliśmy. Wygląda na to, że jest drugi.

– Mam poważne wątpliwości co do tego – odezwała się Holdenfield. Kiedy już skupiła na sobie wzrok wszystkich siedzących przy stole

konferencyjnym, mówiła dalej: – Nie ma żadnych dowodów na to, że ksiądz był pierwszy, bo równie dobrze mógł być dziesiąty, ale nawet, jeżeli rzeczywiście był pierwszy, mamy inny problem. Jedno zabójstwo rok temu, następnie cztery w ciągu zaledwie dwóch tygodni, to nie jest zwykły wzorzec seryjnych zabójstw. Uważam, że możemy się spodziewać wiadomości o kolejnych morderstwach.

– Chyba że – wtrącił cicho Gurney – wyborem ofiar i czasem dokonywania zabójstw rządzi inny czynnik, nie tylko psychopatologia zabójcy.

– Co pan ma na myśli?

– Uważam, że jest coś innego, co łączy ofiary, inny wspólny mianownik niż alkoholizm, coś, czego jeszcze nie odkryliśmy.

Holdenfield, zastanawiając się nad jego słowami, przechyliła głowę w prawo, później w lewo i zrobiła minę, która sugerowała, że nie zgadza się z teorią Gurneya, ale nie jest w stanie znaleźć amunicji, żeby ją obalić.

– Więc być może odkryjemy jakieś ślady prowadzące do morderstw z przeszłości, a być może nie – powiedział Kline niepewnie.

– Nie mówiąc o nowych śladach – rzuciła Holdenfield.

– Co to ma właściwie znaczyć? – To pytanie stawało się ulubionym pytaniem kapitana Rodrigueza.

Holdenfield nie pokazała po sobie żadnej reakcji w odpowiedzi na zaczepny ton kapitana.

– Tempo tych zabójstw, jak zaczęłam mówić wcześniej, sugeruje, że rozpoczęła się gra końcowa.

– Gra końcowa? – w tonie Kline’a był akcent świadczący o tym, że podoba mu się to stwierdzenie.

Holdenfield mówiła dalej.

– W tym ostatnim przypadku nie było planu, według którego działał. Może czuje, że cały proces wymyka mu się z rąk i że wkrótce przestanie nad wszystkim panować.

– Nad czym panować? – Blatt zadał to pytanie tak, jak zadawał wszystkie swoje pytania, tonem z zasady nieprzyjaznym.

Holdenfield zatrzymała na nim na chwilę spojrzenie bez wyrazu, a później spojrzała na Kline'a.

– Muszę tu prowadzić kurs uzupełniający?

– Mogłabyś naświetlić parę spraw. Niech mnie ktoś poprawi, jeśli się mylę – powiedział Kline, rozglądając się po twarzach siedzących przy stole konferencyjnym, lecz wcale nie spodziewając się, że ktoś go będzie poprawiał – ale poza Dave'em niewielu z nas miało jakieś doświadczenia z seryjnymi mordercami.

Rodriguez przez chwilę miał taki wyraz twarzy, jak gdyby chciał zaprzeczyć, ale nie odezwał się.

Holdenfield uśmiechnęła się, ale to nie był radosny uśmiech.

– Czy przynajmniej wiecie wszyscy, jak wygląda typologia Holmesa opisująca seryjnych morderców?

Z pomruków i kiwania głowami wokół stołu wynikało, że raczej tak. Tylko Blatt miał pytanie.

– Sherlocka Holmesa?

Gurney nie był pewien, czy to jest głupi dowcip, czy po prostu Blatt jest głupi.

– Ronald M. Holmes, trochę bardziej nam współczesna i jak najbardziej realna postać – zaczęła Holdenfield przesadnie łagodnym tonem, którego znaczenia Gurney nie potrafił określić. Czy to ton przedszkolanki, która mówi do grupy pięciolatek?

– Holmes dokonał kategoryzacji seryjnych morderców pod względem ich motywów. Jest typ, którego do zbrodni popychają wyobrażone głosy; typ, który ma misję, by uwolnić świat od jakiejś grupy ludzi, która nie powinna się na nim znajdować, czarnych, gejów, kogokolwiek; typ szukający totalnej dominacji; typ, który szuka dreszczyku emocji, a największy daje mu mordowanie ludzi, oraz zabójca działający z motywem seksualnym. Ale wszyscy mają jedną cechę wspólną.

– To wszystko świry – powiedział Blatt z chytrym uśmiechem.

– Celna uwaga – odparła Holdenfield przesadnie słodko – ale tak naprawdę ich cechą wspólną jest straszliwe wewnętrzne napięcie.



Mordowanie daje im na jakiś czas poczucie, że napięcie znikło.

– Tak jak rżnięcie?

– Panie Blatt – powiedział poirytowany Kline – może by pan się powstrzymał z pytaniami, aż Rebecca skończy?

– To pytanie nie mija się z prawdą. Orgazm uwalnia człowieka od napięcia seksualnego. A jednak u osoby normalnej nie powoduje powstawania dysfunkcyjnej spirali, mechanizmu, który żąda coraz częstszych orgazmów okupowanych coraz większym kosztem. Porównałabym więc raczej seryjnego zabójcę do narkomana.

– Uzależnienie od morderstwa – powiedział powoli Kline, zastanawiając się, jak zrobić z tego tytuł artykułu prasowego.

– Dramatycznie powiedziane – rzuciła Holdenfield. – Ale jest w tym ziarno prawdy. Seryjny morderca, w znacznie większym stopniu niż normalny człowiek, żyje w świecie własnych fantazji. Na zewnątrz to zwykły obywatel, który najnormalniej funkcjonuje w społeczeństwie. Nie czerpie jednak satysfakcji z życia wśród ludzi, nie interesuje się drugim człowiekiem. Żyje tylko własnymi fantazjami. Wyobraża sobie, że ma kontrolę, że dominuje, że wymierza kary, które tworzą jego superrzeczywistość, to jest świat, w którym czuje się ważny, wszechmocny, żywy. Ktoś ma jakieś pytania, czy mogę mówić dalej?

– Mam pytanie – wtrącił się Kline. – Czy wyrobiłaś sobie już opinię na temat tego, jakiego seryjnego mordercy szukamy?

– Tak, ale wolałabym najpierw usłyszeć, co detektyw Gurney ma do powiedzenia na ten temat.

Gurney podejrzewał, że szczerzy wyraz jej twarzy i koleżeńska zachęta są równie fałszywe jak uśmiech.

– To człowiek z misją – powiedział.

– Który chce uwolnić świat od alkoholików? – w głosie Kline’a była ciekawość pomieszana ze sceptycyzmem.

– Uważam, że „alkoholik” to część definicji ofiary, którą bierze na celownik, ale jest w tym coś więcej, co mogłoby nam wyjaśnić dobór ofiar.

Kline zareagował mruknięciem.

– W kategoriach rozszerzonego profilu, co według ciebie oznacza „człowiek z misją”, jak opisałbyś naszego sprawcę?

Gurney postanowił odbić piłeczkę.

– Mam kilka pomysłów, ale z wielkim zainteresowaniem wysłucham, co doktor Holdenfield ma na ten temat do powiedzenia.

Wzruszyła ramionami, a później zaczęła mówić szybko i konkretnie.

– Trzydziestoparoletni biały mężczyzna, wysoki iloraz inteligencji, żadnych znajomych i przyjaciół, bez normalnych relacji seksualnych. Uprzejmy, ale zdystansowany. Prawie na pewno miał trudne dzieciństwo z jakąś centralną traumą, która wpływa na dobór ofiar. Ponieważ ofiary to mężczyźni w średnim wieku, być może trauma miała związek z jego ojcem lub kompleksem Edypa w relacji z matką.

Wtrącił się Blatt.

– Chce pani powiedzieć, że ten facet dosłownie... To znaczy, czy pani mówi, że on... Ze swoją własną matką?

– Niekoniecznie. Porusza się w sferze wyobrażeń. Żyje w świecie swoich fantazji, żyje dla tego świata.

Rodriguez nie krył zniecierpliwienia.

– Pani doktor, nie potrafię zrozumieć, dlaczego pani posługuje się tym słowem. Pięć trupów to wcale nie żadna tam fantazja!

– Ma pan rację, panie kapitanie. Dla mnie i dla pana nie. To prawdziwi ludzie, którzy prowadzili normalne życie, godni szacunku, którym należy się sprawiedliwość, ale nie tak wyglądają w oczach seryjnego mordercy. Dla niego są tylko aktorami w jego sztuce, a nie ludźmi w naszym rozumieniu tego słowa. Są tylko dwuwymiarowymi rekwizytami scenicznymi, takimi, jak sobie ich wyobraża, postaciami z jego fantastycznych snów, jak elementy rytualne, które znajdujemy na scenie zbrodni.

Rodriguez pokręcił głową.

– To, co pani mówi, być może ma sens w przypadku jakiegoś zwariowanego seryjnego mordercy, ale co z tego? Nie rozumiem jeszcze paru rzeczy w tym podejściu, to znaczy kto powiedział, że to przypadek

seryjnego mordercy? Idzie pani na ślepo tą drogą bez żadnych... – Zawahał się, nagle uświadamiając sobie, że nie powinien mówić takim tonem i atakować osoby, która wywodzi się z kręgu ulubionych konsultantów Sheridana Kline'a. Spuścił trochę z tonu i kontynuował. – To znaczy, morderstwa, które pojawiają się w serii, to nie zawsze dzieło seryjnego mordercy. Można na to przecież spojrzeć inaczej.

Holdenfield wyglądała na szczerze zdumioną.

– Ma pan jakieś alternatywne hipotezy?

Rodriguez westchnął.

– Gurney powtarza, że jest jeszcze inny czynnik oprócz alkoholizmu, który ma wpływ na wybór ofiar. Oczywiście czynnikiem może być coś, w co wszyscy byli zamieszani w przeszłości, przypadkowo, czy też celowo, co zraniło zabójcę. A teraz jesteśmy świadkami zemsty na grupie osób odpowiedzialnych za zło, które wyrządzono mordercy. To mogłoby być całkiem proste.

– Nie jest to całkiem niemożliwy scenariusz – odparła Holdenfield – ale całe to planowanie, wiersze, dbałość o szczegóły, rytualny charakter, to wszystko jest za bardzo nasycone patologią, żeby mogło być zwykłą zemstą.

– A skoro już mówimy o patologii – wtrącił się Jack Hardwick głosem zdartym, jakby był pacjentem umierającym na raka gardła – to może być dobry moment, żeby wszystkich zapoznać z dowodami, które ostatnio pozyskaliśmy.

Rodriguez spojrzał na niego niechętnie.

– Znowu jakaś niespodzianka?

Hardwick mówił, nie reagując na jego ton.

– Na prośbę Gurneya posłano ekipę z laboratorium kryminalistycznego do pensjonatu, w którym według niego mógł się zatrzymać zabójca w noc przed morderstwem Mellery'ego.

– Kto to zatwierdził?

– Ja, panie kapitanie – odparł Hardwick. Jego głos wypełniała duma. Był bardzo zadowolony z tej rebelii.

– Dlaczego nie widziałem żadnych dokumentów na ten temat?

– Gurney uznał, że nie ma na to czasu – skłamał Hardwick. W tym samym momencie uniósł dłoń i przyłożył ją do klatki piersiowej. Zrobił taką minę, jak gdyby zaraz miał dostać ataku serca i przepotęźnie beknął. Blatt zaskoczony tym przejawem sierżanckiego humoru tak energicznie odsunął się od stołu, że niemal wywrócił się na krześle.

Zanim Rodriguez, wytrącony z równowagi zamieszaniem, wrócił do kwestii dokumentów, Gurney przejął pęczek od Hardwicka i zaczął wyjaśniać, dlaczego chciał posłać ekipę z laboratorium kryminalistycznego do pensjonatu Pod Laurami.

– Pod pierwszym listem, który morderca posłał Mellery’emu, widniało nazwisko X. Arybdis. W greckim alfabecie literę X czyta się jak CH, a Charybda to nazwa z greckiej mitologii oznaczająca śmiertelny wir morski, w tej samej opowieści mitologicznej związana ze Scyllą, skałami, na które wpadają żeglarze. W nocy poprzedzającej poranek, gdy zamordowano Mellery’ego, w pensjonacie zatrzymali się mężczyzna i starsza kobieta, którzy zarejestrowali się pod nazwiskiem Scylla. Według mnie to nie przypadek.

– Mężczyzna i starsza kobieta? – Holdenfield wyglądała na zaintrygowaną.

– Być może morderca i jego matka, chociaż w książce meldunkowej jest dziwny wpis „Pan i pani Scylla”. Może to fakt popierający stworzony przez panią profil psychologiczny, w którym jest element kompleksu Edypa.

Holdenfield uśmiechnęła się szeroko.

– To niemal zbyt idealne.

Wydawało się, że kapitan wybuchnie i wygłosi kolejną litanię frustracji, ale wcześniej odezwał się Hardwick, podejmując rozpoczęty przez Gurneya wątek.

– Więc wysłaliśmy ekipę z laboratorium kryminalistycznego, żeby sprawdziła ten dziwny domek udekorowany jak świątynia *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Przejrzeli wszystko w środku, z zewnątrz, od góry do dołu i wicie, co znaleźli? Nic. Zero. Absolutnie nic. Ani jednego włosa, plamki, niczego, co by potwierdzało, że w tym pomieszczeniu

przebywała istota ludzka. Szefowa ekipy laboratorium kryminalistycznego nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że w miejscach, gdzie zawsze są odciski palców: na blatach kuchennych, stołach, klamkach, szufladach, ramach okiennych, telefonach, prysznicach, kurkach, pilotach do telewizora, włącznikach lamp i w dziesiątkach innych miejsc nie ma żadnego śladu. Zero. Nawet jednego. Nawet częściowego odcisku palca. Więc kazałem jej wszystko sprawdzić, dosłownie wszystko: ściany, podłogi, nawet, cholera, sufit. Rozmowa nie była łatwa, ale w końcu ją przekonałem. Kobieta dzwoni do mnie co pół godziny i mówi, że wciąż nie może niczego znaleźć, że traci przede mną cenny czas. Ale kiedy zadzwoniła za trzecim razem, wyczułem w jej głosie coś innego. Mówiła trochę ciszej. Powiedziała mi, że coś znalazła.

Rodriguez był zbyt ostrożny, żeby okazać rozczarowanie, ale Gurney czuł to przez skórę. Hardwick mówił dalej po dramatycznej pauzie.

– Znaleźli słowo na zewnętrznej stronie drzwi do łazienki. Jedno słowo. REDRUM.

– Co takiego? – warknął Rodriguez, już nie kryjąc tego, że w to nie wierzy.

– REDRUM – powtórzył powoli Hardwick, a jego spojrzenie zdradzało wiedzę, która jest kluczem do tajemnicy.

– REDRUM? Tak jak w tym filmie? – spytał Blatt, który nie odezwał się ani słowem od chwili, kiedy o mało nie wylądował na podłodze razem z krzesłem.

– Chwila, chwila – przerwał Rodriguez, mrugając wściekle powiekami. – Chcesz mi powiedzieć, że ekipie z laboratorium kryminalistycznego odnalezienie słowa napisanego na drzwiach zajęło... trzy, cztery godziny?

– Nie od razu je zobaczyli – odparł Hardwick. – Morderca napisał je w ten sam sposób, w jaki pisał do nas niewidzialne komunikaty na listach do Marka Mellery'ego. „Durne, złe gliny”. Pamięta pan?

Jedyną oznaką tego, że kapitan cokolwiek pamięta, było milczące spojrzenie.

– Widziałam to w dokumentach sprawy – wtrąciła się Holdenfield. – Coś

o słowach, które smugami naturalnego tłuszczu skóry palców pisał na odwrocie listów. Czy to w ogóle jest możliwe?

– Oczywiście – odparł Hardwick. – Odciski palców to nic innego jak ślady tłuszczu, który wszyscy mamy na skórze. On po prostu wykorzystał to do swoich celów. Może potarł palcami czoło, żeby jeszcze bardziej je natłuścić. Wtedy dało to przewidziany efekt, więc powtórzył to Pod Laurami.

– Ale mówimy o słowie „REDRUM” z tego filmu, tak? – powtórzył Blatt.

– Z filmu? Z jakiego filmu? Dlaczego rozmawiamy o jakimś filmie? – Rodriguez znów mrugał powiekami.

– *Lśnienie* – odparła Holdenfield coraz bardziej podekscytowana. – Ta słynna scena. Mały chłopczyk pisze słowo REDRUM na drzwiach sypialni swojej matki.

– REDRUM to „morderstwo”<sup>[9]</sup> napisane wspak – obwieścił Blatt.

– Boże, to naprawdę zbyt idealne – powiedziała Holdenfield.

– Rozumiem, że ten entuzjazm oznacza, że w ciągu dwudziestu czterech godzin będziemy mieli aresztowanie? – Rodriguez próbował wydusić z siebie jak najwięcej sarkazmu.

Gurney zignorował jego uwagę i zwrócił się do Holdenfield.

– To interesujące, że chciał nam przypomnieć o REDRUM z *Lśnienia*.

Blask w oczach Holdenfield był coraz silniejszy.

– Idealne słowo z idealnego filmu.

Kline, który przez dłuższy czas śledził tę wymianę myśli przy stole, jak kibic obserwujący mecz tenisowy, w końcu się odezwał.

– Dobrze, teraz mnie wtajemniczcie. Co tu jest takie idealne?

Holdenfield spojrzała na Gurneya.

– Niech pan powie o tym słowie, a ja mu opowiem o filmie.

– To jest wyraz pisany wspak. Bardzo prosty. To motyw, który się powtarza od początku tego śledztwa. Tak, jak w przypadku śladów butów w śniegu, zrobionych od tyłu do przodu. A teraz oczywiście mamy słowo „morderstwo” pisane wspak. Mówi nam, że do całej sprawy podchodzimy zupełnie ze złej strony. „Durne, złe gliny”.

Kline spojrzał na Holdenfield wzrokiem prokuratora patrzącego na świadka na sali rozpraw.

– Zgadzasz się z tym?

– Zasadniczo tak.

– A film?

– Tak, ten film. Spróbuję się streszczać tak, jak detektyw Gurney. – Zastanawiała się przez chwilę, a później zaczęła mówić, ostrożnie dobierając każde słowo. – Ten film jest o rodzinie, w której matkę i syna terroryzuje psychicznie chory ojciec. Pojawia się tam również silna sugestia, że to alkoholik, że pije na umór i maltretuje bliskich.

Rodriguez pokręcił głową.

– Chce nam pani powiedzieć, że naszym mordercą jest jakiś wariat, alkoholik ze skłonnością do przemocy?

– Nie, nie. Nie ojciec. Syn.

– Syn!? – Na twarzy Rodrigueza coraz silniej malowało się niedowierzenie.

Holdenfield przeszła teraz w rejestry głosu bliższe przedszkolance opowiadającej bajkę małym dzieciom.

– Myślę, że morderca mówi nam, że miał takiego ojca, jak ten sportretowany w *Lśnienu*. Sadzę, że próbuje się nam wytłumaczyć.

– Wytłumaczyć się? – Rodrigueza teraz prawie zatkało.

– Każdy chce się pokazać światu tak, jak sam siebie widzi, na własnych warunkach, panie kapitanie. Jestem pewna, że spotyka się pan z tym w pracy policyjnej na co dzień. Bo ja tak. Każdy z nas ma jakieś wyjaśnienie swoich zachowań, niezależnie od tego, jak dziwaczne mogą wydać się innym. Każdy chce, żeby uznano to, co robi, za usprawiedliwione, nawet ludzie z zaburzeniami psychicznymi, a może zwłaszcza ci z zaburzeniami psychicznymi.

Po tej uwadze zapanowała cisza, którą w końcu przerwał Blatt.

– Mam pytanie. Pani jest psychiatrą, prawda?

– Psychologiem konsultantem, specjalizuję się w profilach sprawców. – Głos przedszkolanki przeistoczył się nagle w głos Sigourney Weaver.

– No dobra, niech będzie. Wie pani, jak działa ludzki umysł. Więc mam pytanie. Ten facet wiedział, jaką ktoś powie liczbę, jeszcze zanim ten ktoś ją pomyślał. Jak on to zrobił?

– Nie zrobił.

– Oczywiście, że zrobił.

– Jedynie wydaje nam się, że to zrobił. Zakładam, że mówi pan o zdarzeniach, o których czytałam w aktach sprawy. Chodzi o liczby sześćset pięćdziesiąt osiem i dziewiętnaście. Ale w rzeczywistości nie zrobił tego, co pan mówi. Zgadnięcie liczby, którą ktoś pomyśli, jest po prostu rzeczą niewykonalną, mówię tu o sytuacji niekontrolowanej. Poza tym tego nie zrobił.

– Ale fakty wskazują na to, że zrobił – upierał się Blatt.

– Istnieje co najmniej jedno wyjaśnienie – powiedział Gurney. Nakreślił scenariusz, który przyszedł mu do głowy, kiedy Madeleine dzwoniła do niego z komórki, stojąc przy skrzynce na listy. Mówił o tym, że sprawca mógł wydrukować list z numerem dziewiętnaście na małej przenośnej drukarce w samochodzie, kiedy już Mark Mellery wypowiedział tę liczbę przez telefon.

Holdenfield była pod wrażeniem.

Blatt stracił energię i siły. „To pewny znak – pomyślał Gurney – że gdzieś w tym ledwie wyciosanym mózgu, w ciele nadmiernie obciążonym ćwiczeniami fizycznymi na siłowni tkwi romantyk, zakochany we wszystkim, co dziwaczne i niemożliwe”. Siły wróciły jednak Blattowi bardzo szybko.

– A co z liczbą sześćset pięćdziesiąt osiem? – spytał Blatt, spoglądając prowokująco to na Gurneya, to na Holdenfield. – Wtedy nie było żadnego telefonu, tylko list. Więc skąd wiedział, że Mellery pomyśli właśnie tę liczbę?

– Na to jeszcze nie mam odpowiedzi – powiedział Gurney – ale przypomniała mi się dziwna historyjka, która może komuś z nas taką odpowiedź podsunie.

Rodriguez wyglądał na zniecierpliwionego, ale Kline pochylił się do



przodu, i ta demonstracja zainteresowania utrzymała kapitana w ryzach.

– Któregoś dnia miałem sen o moim ojcu – zaczął Gurney. Bezwiednie się zawahał. Jego własny głos brzmiał obco w jego uszach. Usłyszał w nim echa głębokiego smutku tego snu. Zobaczył spojrzenie Holdenfield – zaciekawione, ale wcale nie nieprzyjemne. Zmusił się, żeby mówić dalej. – Kiedy się obudziłem, nie mogłem przestać myśleć o sztuczce karcianej, którą mój ojciec pokazywał, kiedy mieliśmy w Nowy Rok gości w domu, a on był po kilku drinkach, co zawsze dodawało mu trochę energii. Miał w dłoni talię kart rozłożoną w wachlarz i chodził po pokoju, prosząc trzy lub cztery osoby, żeby wybrały kartę. Później skupiał się właśnie na nich, mówił im, żeby się dobrze przyjrżeli karcie, którą wybrali, i włożyli ją z powrotem do talii. Następnie dawał im wszystkie karty i kazał im talię przetasować. Następnie udawał, że czaruje, czyta ich myśli, to trwało kolejne dziesięć minut, a kończyło się dramatycznie, bo ujawniał im, którą kartę wybrali, co oczywiście wiedział dokładnie od momentu, kiedy po nią sięgali.

– Ale jak? – spytał zdezorientowany Blatt.

– Kiedy na początku przygotowywał talię, zanim robił z niej wachlarz, udawało mu się zidentyfikować przynajmniej jedną kartę i kontrolować jej położenie w wachlarzu.

– A jeżeli nikt jej nie wybierał? – spytała Holdenfield zaintrygowana.

– Jeśli jej nikt nie wybrał, ojciec znajdował powód do przerwania zabawy, wymyślał jakiś pretekst, nagle sobie przypominał, że nastawił wodę na herbatę w kuchni albo coś w tym stylu, żeby nikt nie zdał sobie sprawy, że ma problem z samą sztuczką karcianą. Ale prawie nigdy nie musiał tego robić. Sposób, w jaki podawał wachlarz kart, sprawiał, że pierwsza, druga albo trzecia osoba, której proponował wybranie karty, zawsze wybierała kartę, którą miał na oku. A jeżeli nie, to szedł do kuchni, wracał i zaczynał od początku. I oczywiście zawsze miał jakiś sposób na wyeliminowanie tych osób, które wybrały nie tę kartę, którą chciał, więc nikt sobie nie zdawał sprawy z tego, co się naprawdę dzieje.

Rodriguez ziewnął.

– Czy to ma jakikolwiek związek z historią liczby sześćset pięćdziesiąt osiem?

– Nie jestem pewien – odparł Gurney. – Ale myślę, że ktoś sądzi, że wybiera przypadkową kartę, podczas gdy ten przypadek jest pod kontrolą...

Sierżant Wigg, która słuchała z rosnącym zainteresowaniem, wtrąciła się w jego opowieść.

– Pana historia o sztuczce karcianej przypomina mi o tym oszustwie z wysyłaniem listów przez prywatną agencję detektywistyczną. To było w latach dziewięćdziesiątych.

Nie wiadomo, czy to za sprawą jej niezwykłego głosu, ani męskiego, ani kobiecego, czy może dlatego że na ogół się nie odzywała, co samo w sobie było niezwykle, ale natychmiast przykuła uwagę wszystkich obecnych.

– Ktoś dostaje list, niby to z prywatnej agencji detektywistycznej, a w liście słowa przeprosin za wtrącenie się w prywatne życie odbiorcy listu. Firma „przyznaje się”, że w trakcie przypadkowej obserwacji przez kilka tygodni śledziła i fotografowała go w różnych sytuacjach. Firma twierdzi również, że prawo nakazuje zwrócić wszystkie istniejące odbitki tych zdjęć. I tu następuje najważniejsze pytanie. W związku z tym, że niektóre zdjęcia są dość kompromitujące, odbiorca być może chciałby, żeby mu je wysłać do skrytki pocztowej, a nie do domu. Jeśli tak, będzie musiał uiścić pięćdziesięciodolarową opłatę, żeby pokryć dodatkowe koszty administracyjne.

– Każdy, kto jest na tyle głupi, że się na to nabierze, powinien za głupotę zapłacić pięćdziesiąt dolarów – powiedział szyderczo Rodriguez.

– Niektórzy ludzie stracili znacznie więcej niż tylko taką kwotę – odparła Wigg, nie podnosząc głosu. – Nie chodziło o opłatę w wysokości pięćdziesięciu dolarów. To był tylko test. Oszust wysłał ponad milion takich listów, a jedynym celem prośby o pięćdziesiąt dolarów było opracowanie konkretnej listy ludzi, którzy czuli się na tyle winni, że nie chcieli, aby zdjęcia tego, co robili, wpadły w ręce ich małżonków. Od tych osób wymuszano później znacznie poważniejsze sumy w związku ze zwrotem

kompromitujących zdjęć. Niektórzy zapłacili aż piętnaście tysięcy dolarów.

– Za zdjęcia, które nigdy nie istniały! – wykrzyknął Kline głosem, w którym pogarda mieszała się z podziwem dla przebiegłości oszusta.

– Ludzka głupota nigdy nie przestanie mnie zadziwiać – zaczął Rodriguez, ale przerwał mu Gurney.

– To było właśnie tak! Właśnie dlatego żądał dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów. To jest podobny przypadek. To test!

Rodriguez nie pojmował.

– Test na co?

Gurney zamknął oczy, próbując przywołać dokładną treść listu z prośbą o pieniądze, który otrzymał Mellery.

Kline zwrócił się do Wigg, czoło miał zmarszczone.

– Mówiła pani, że ten oszust wysłał milion listów?

– Taką liczbę sobie przypominam z doniesień prasowych.

– Poza tym oczywiście jest to bardzo odmienna sytuacja. To była zasadniczo kampania wysyłania listów, które miały na celu wyłudzenie pieniędzy. Zarzucono wielką sieć, w którą miało się złapać kilka grubych ryb. Ale nie o tym tu mówimy. Mówimy o napisanych ręcznie listach do grupki ludzi. Listach, w których liczba sześćset pięćdziesiąt osiem musiała mieć jakieś bardzo osobiste znaczenie.

Gurney powoli otworzył oczy i spojrzał na Kline'a.

– Wcale tak nie było. Na początku właśnie to zakładałem, bo cóż innego mogłoby mi przyjść do głowy? Więc nieustannie pytałem Marka Mellery'ego, zadawałem mu te same pytania: co ta liczba dla niego oznacza, czy kiedykolwiek widział ją, czy to w formie napisanej, czy to była cena czegoś, co kupił, adres, czy też kombinacja szyfru. On jednak upierał się, że ta liczba nic dla niego nie znaczy, że nie pamięta, żeby kiedykolwiek o niej myślał, że po prostu pojawiła mu się przed oczami, że to była liczba idealnie losowo wybrana. A ja wierzę, że mówił prawdę. Zatem musi być jakieś inne wyjaśnienie.

– Co znaczy, że jesteśmy w punkcie wyjścia – powiedział Rodriguez, przewracając oczami, żeby okazać, jakie to wszystko jest bezsensowne.

– Może nie. Może to oszustwo, które opisała sierżant Wigg, przybliży nas do prawdy bardziej, niż nam się wydaje.

– Próbuje nam pan powiedzieć, że zabójca wysłał milion listów. Milion listów napisanych ręcznie? To śmieszne, nie wspominając o tym, że niemożliwe.

– Zgadza się z tym, że niemożliwe byłoby napisanie i wysłanie miliona listów, chyba że miałyby wielu pomocników, co wydaje się mało prawdopodobne. Jaka jednak liczba listów byłaby w granicach możliwości?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Załóżmy, że nasz zabójca wymyślił sobie taki plan, w którym wysyła listy do wielu osób, listy pisane ręcznie tak, żeby każdy z odbiorców miał wrażenie, że jest jedyny w swoim rodzaju, że ten list jest właśnie do niego. Ile listów mógłby napisać, powiedzmy, w ciągu roku?

Kapitan uniósł ręce, co miało oznaczać, że nie tylko nie da się odpowiedzieć na to pytanie, ale jest ono pozbawione sensu. Kline i Hardwick mieli poważniejsze spojrzenia, jakby próbowali dokonać w głowie jakichś rachunków. Po Stimmelu, jak zwykle, nic nie można było poznać. Rebecca Holdenfield przypatrywała się Gurneyowi z rosnącą fascynacją. Blatt wyglądał tak, jak gdyby próbował dociec, skąd się w pomieszczeniu wziął jakiś smród.

Pierwsza odezwała się Wigg.

– Pięć tysięcy – powiedziała. – Dziesięć, jeżeli byłyby silnie umotywowany. Być może piętnaście, ale to byłoby trudne.

Kline zmrużył oczy i popatrzył na nią spojrzeniem sceptycznego prawnika.

– Pani sierżant, na czym dokładnie opiera pani te obliczenia?

– Przede wszystkim na zdroworozsądkowych założeniach.

Rodriguez pokręcił głową, co miało znaczyć, że nie ma na świecie niczego bardziej zdradliwego niż zdroworozsądkowe założenia innych ludzi. Jeżeli Wigg to zauważyła, to nie obeszło ją to na tyle, żeby rozproszyła się i zgubiła tok rozumowania.

– Po pierwsze, zakładam, że model oszustwa taki, jak tej prywatnej

firmy detektywistycznej, da się przyjąć w naszej sytuacji. Jeżeli tak, wynika z tego, że pierwszy list, ten, w którym zabójca prosi o pieniądze, będzie wysłany do wszystkich odbiorców, a następne listy tylko do osób, które zareagowały na pierwszą informację. W tym przypadku wiemy, że pierwszy list składał się z dwóch kartek, a na każdej było osiem linijek. W sumie szesnaście dość krótkich linijek, plus trzy linijki adresu na kopercie. Listy byłyby identyczne, z wyjątkiem adresu, dzięki czemu ich napisanie, a były to treści powtarzalne, nie mogło zajmować dużo czasu. Z moich szacunkowych obliczeń wynika, że taki list byłby gotowy w cztery minuty. To znaczy piętnaście listów na godzinę. Jeśli poświęciłby godzinę dziennie na pisanie listów, w ciągu roku miałby ich przynajmniej pięć tysięcy. Dwie godziny dziennie dałyby mu około jedenastu tysięcy. Teoretycznie mógłby zrobić o wiele więcej, ale istnieją granice pilności nawet u osób ogarniętych największą obsesją.

– W zasadzie – powiedział Gurney, czując rosnący zapach naukowca, który w końcu dostrzega powtarzający się wzorzec wśród morza danych – jedenaście tysięcy to więcej, niż potrzeba.

– Potrzeba do czego? – spytał Kline.

– Potrzeba, żeby zrobić sztuczkę z liczbą sześćset pięćdziesiąt osiem, to jedno – powiedział Gurney. – A ta sztuczka, jeżeli ją zrobił tak, jak podejrzewam, wyjaśni również kwotę dwustu osiemdziesięciu dziewięciu dolarów i osiemdziesięciu siedmiu centów, o którą prosił w każdym liście do swoich ofiar.

– Hola, hola – powiedział Kline, podnosząc dłoń. – Zwolnijmy tempo. Jak na mój gust, pędzisz za szybko i za bardzo na skróty.

---

[9] *Murder* (ang.) – morderstwo.

## Aby spoczywać w pokoju, zacznij działać

Gurney raz jeszcze wszystko przemyślał. To było wręcz za proste, a chciał być pewien, że nie przeoczył jakichś poważnych kwestii, że nie pominął żadnej dziury w hipotezie. Zauważył, że zgromadzeni przy stole konferencyjnym mają bardzo różne wyrazy twarzy – począwszy od podekscytowania przez zniecierpliwienie, do zaciekawienia – wszyscy czekali, kiedy zacznie mówić. Wziął długi, głęboki oddech.

– Nie mam pewności, że to właśnie tak wyglądało. Niemniej jednak to jedyny w miarę wiarygodny scenariusz, na który wpadłem, walcząc w duchu z tymi liczbami, a dzieje się to od dnia, kiedy Mark Mellery przyjechał do mnie do domu i pokazał mi pierwszy list. Był zdumiony i jednocześnie przerażony myślą, że autor listu zna go tak dobrze, że będzie wiedział, jaką liczbę od jeden do tysiąca pomyśli. Wyczuwałem u niego panikę i poczucie, że jest skazany. Nie wątpię w to, że to samo działo się w umysłach innych ofiar. Kluczowym elementem w całej tej grze była panika. Skąd on zna liczbę, o której właśnie pomyślałem? Jak mógł poznać coś tak osobistego, prywatnego i mojego własnego jak myśl? Co jeszcze wie? Czułem, że te pytania go zadręczają, dosłownie przywodzą do szaleństwa.

– Mówiąc szczerze, Dave – wtrącił się Kline ze źle skrywanym zniecierpliwieniem – ja też zaraz popadnę w jakieś szaleństwo, więc im prędzej zaczniesz, tym lepiej.

– No właśnie – zgodził się Rodriguez. – Przejdźmy do rzeczy.

– Jeśli mogę wyrazić nieco odmienną opinię – powiedziała równie poirytowana Holdenfield – chciałabym wysłuchać tych wyjaśnień tak, jak detektyw Gurney sobie to zaplanował i w jego własnym tempie.

– To jest zenująco proste – powiedział Gurney. – Wstyd mi, że po długich rozważaniach tylko oddalałem się od rozwiązania problemu. Nawet kiedy domyśliłem się, jak dokonał tej sztuczki z liczbą dziewiętnaście, wcale nie rzuciło to dodatkowego światła na zagadkę sześciuset pięćdziesięciu ośmiu.

Choć odpowiedź była oczywista, wpadłem na nią dopiero po opowieści sierżant Wigg.

Trudno było określić, co oznaczał grymas na twarzy Blatta. Czy był wynikiem koncentracji myśli, aby wychwycić objaśniający wszystko element, czy też gromadzących się w jego żołądku gazów?

Gurney skinął głową sierżant Wigg, dziękując jej za odpowiedź, zanim zaczął mówić dalej.

– Przypuśćmy, jak powiedziała przed chwilą pani sierżant, że nasz zabójca z obsesją poświęca dwie godziny dziennie na pisanie listów i po roku ma ich jedenaście tysięcy. Wysyła je do jedenastu tysięcy ludzi, którzy są na liście.

– Na jakiej liście? – głos Jacka Hardwicka brzmiał jak zgrzyt otwierającej się zardzewiałej bramy.

– To dobre pytanie, być może najważniejsze ze wszystkich. Za chwilę do niego wrócę. Przyjmijmy na chwilę, że ten pierwszy, oryginalny list, ten sam list wysłano do jedenastu tysięcy osób. Nadawca poprosił odbiorcę, żeby pomyślał jakąś liczbę między jeden a tysiąc. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że każdą liczbę z podanego przedziału wybrałoby około jedenastu osób. Innymi słowy, istnieje statystyczne prawdopodobieństwo, że jedenaście z tych jedenastu tysięcy osób pomyślało o sześćset pięćdziesiąt osiem.

Grymas na twarzy Blatta stał się już komiczny.

Rodriguez pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czy nie idziemy za daleko w kierunku fantazji?

– O jakiej fantazji pan mówi? – w głosie Gurneya było więcej rozbawienia niż przekonania, że ktoś chce go obrazić.

– No, te liczby, o których pan tak mówi, nie mają żadnego poparcia w dowodach. To są wszystko wymyślone liczby.

Gurney uśmiechnął się, niezbity z pantaląku, chociaż lekko zniecierpliwiony. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli, świadom tego, że umie bardzo dobrze ukrywać emocje. Całe życie tak robił, odruchowo nie pokazywał irytacji, frustracji, gniewu, lęku i wątpliwości. Przydawało mu

się to podczas tysięcy przesłuchań. Tak dobrze, że uwierzył, że to talent, wypracowana technika, ale ta umiejętność w rzeczywistości wyrastała z czegoś zupełnie innego. Był to sposób na radzenie sobie z sytuacjami życiowymi, które pamiętał z dzieciństwa.

– Więc ojciec nigdy nie zwracał na ciebie uwagi, Davidzie. Czy czułeś się z tym źle?

– Źle? Nie, wcale nie źle. Tak naprawdę nie miałem w związku z tym żadnych odczuć.

A jednak we śnie tonąłem w smutku.

Dobry Boże, to nie czas na introspekcję.

Gurney wrócił do rzeczywistości na czas, by zarejestrować głos Rebecki Holdenfield, która zniecierpliwionym tonem Sigourney Weaver mówiła:

– Osobiście uważam, że hipoteza detektywa Gurneya jest bardzo daleka od czczych wymysłów. Uważam, że jest pociągająca, i jeszcze raz proszę, żeby dać mu czas na wyczerpujące wyjaśnienia.

Zwracała się z tą prośbą do Kline'a, który uniósł dłonie w geście mówiącym, że oczywiście jest to pragnienie wszystkich obecnych na sali.

– Nie twierdzę wcale – powiedział Gurney – że dokładnie jedenaście osób z jedenastu tysięcy wybrało liczbę sześćset pięćdziesiąt osiem, ale przypuszczam, że jedenaście to liczba najbardziej prawdopodobna. Nie znam się na statystyce na tyle, żeby prezentować tutaj wzory matematyczne, ale może ktoś z państwa mógłby mi w tym pomóc.

Sierżant Wigg odchrząknęła.

– Prawdopodobieństwo w takim zakresie liczb byłoby znacznie wyższe niż prawdopodobieństwo trafienia na konkretną liczbę w danym zakresie. Innymi słowy, nie stawiałabym na to, że jakąś konkretną liczbę między jeden a tysiąc wybierze dokładnie jedenaście osób z jedenastu tysięcy, ale jeśli dodamy zakres plus minus, powiedzmy siedem w każdym kierunku, zakładałabym raczej, że liczba ludzi wybierających tę liczbę w danym zakresie, a w tym przypadku sześćset pięćdziesiąt osiem, to co najmniej cztery osoby i nie więcej niż osiemnaście.

Blatt patrzył na Gurneya, mrużąc oczy.



– Mówi pan, że ten facet wysłał listy do jedenastu tysięcy ludzi z tą samą sekretną liczbą ukrytą w tych mniejszych zaklejonych kopertach?

– Ogólnie rzecz biorąc, taka jest koncepcja.

Holdenfield robiła coraz większe oczy ze zdumienia, kiedy zbierała myśli i ujmowała je w słowa, nie kierując ich do nikogo w szczególności.

– A każda z tych osób, niezależnie od tego, ile ich było, która z jakiegoś powodu wybrała liczbę sześćset pięćdziesiąt osiem, a później otworzyła tę mniejszą kopertę i znalazła liścik mówiący, że autor zna ją na tyle dobrze, że wiedział, iż wybierze sześćset pięćdziesiąt osiem... Mój Boże, jakie to musiało wywierać potężne wrażenie!

– Dlatego że – dodała Wigg – nikomu z nich nie przyszło do głowy to, że nie jest jedyną osobą, która taki list dostaje. Nigdy nikomu nie przyszłoby do głowy, że jest tylko jedną osobą z tysiąca, która przypadkowo wybrała akurat tę liczbę. A fakt, że listy były pisane odręcznie, jest jak lukier na ciastku. Wszystkie wyglądały od początku do końca na całkowicie osobiste.

– O cholera – powiedział zgrzytliwie Hardwick – próbujesz nam powiedzieć, że mamy seryjnego mordercę, który wybiera sobie ofiary na podstawie kampanii korespondencyjnej!?

– To jedno z możliwych spojrzeń na sprawę – potwierdził Gurney.

– To chyba najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – powiedział Kline, znacznie bardziej przytłoczony ich wyjaśnieniami niż niedowierzaniem.

– Nikt ręcznie nie pisze jedenastu tysięcy listów – oznajmił Rodriguez tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nikt ręcznie nie pisze jedenastu tysięcy listów – powtórzył Gurney. – On na taką właśnie reakcję liczył. A jeżeli sierżant Wigg nie opowiedziałaby swojej historii, to chyba taka możliwość nigdy nie przyszłaby mi do głowy.

– A gdyby pan nie opowiedział o sztuczce karcianej ojca – dodała Wigg – mnie też nie przypominałaby się ta historia.

– Gratulacje zostawcie sobie na później – powiedział Kline. – Wciąż mam kilka pytań. Na przykład, dlaczego morderca prosił o dwieście

osiemdziesiąt dziewięć dolarów osiemdziesiąt siedem centów i dlaczego chciał, żeby tę kwotę wysłać do czyjejś skrytki pocztowej?

– Żądał pieniędzy z tego samego powodu, dla którego oszust, o którym mówiła pani sierżant, żądał pieniędzy od swoich przyszłych ofiar, żeby się ujawniły. Oszust chciał wiedzieć, które osoby na liście poważnie martwi to, co mogły robić na sugerowanych zdjęciach. Nasz zabójca chciał wiedzieć, które osoby z jego listy, wybrawszy liczbę sześćset pięćdziesiąt osiem, będą na tyle poruszone tym, co się dzieje, żeby zapłacić pieniądze i dowiedzieć się, kto zna je na tyle dobrze, żeby taki wybór przewidzieć. Myślę, że kwota była na tyle duża, by oddzielić tych przerażonych, a Mellery był jednym z nich, od tych zaledwie ciekawskich.

Kline był tak mocno pochylony w krześle, że prawie leżał na blacie stołu.

– Ale dlaczego dokładna kwota co do centa?

– To od początku nie dawało mi spokoju, wciąż nie jestem pewien, ale jest co najmniej jeden możliwy sposób, żeby zapewnić sobie, iż ofiara wyśle czek, a nie gotówkę.

– Jednak w pierwszym liście ofiara ma wybór – stwierdził Rodriguez. – Napisane jest, że pieniądze może przesłać czekiem albo gotówką.

– Wiem i to brzmi bardzo subtelnie – odparł Gurney – ale uważam, że ten wybór, który tak naprawdę nie był wyborem, miał na celu odwrócenie uwagi od tego, że sprawcy zależało na samym czeku. Tak skomplikowana kwota miała w zamiarze mordercy zniechęcić przyszłe ofiary do płacenia gotówką.

Rodriguez wzniosł oczy do góry.

– Słuchajcie, wiem, że słowo „fantazja” za często tu dzisiaj pada, ale ja nie mam pojęcia, jak to wszystko inaczej określić.

– Dlaczego takie ważne było, żeby ofiara wysłała czek, a nie pieniądze? – spytał Kline.

– Same pieniądze specjalnie zabójcy nie obchodziły. Pamiętajcie, że żaden z czeków nie został zrealizowany. Jestem przekonany, że w którymś momencie miał do nich dostęp, w trak cie lub po dostarczeniu do skrytki pocztowej Gregory’ego Dermotta, i tylko na tym mu zależało.

– Na tym mu zależało? Co to ma znaczyć?

– Zależało mu na tym, żeby zobaczyć, co jest napisane na czeku, a nie na kwocie ani numerze rachunku.

Kline zastanawiał się przez chwilę.

– Nazwisko właściciela rachunku bankowego i jego adres?

– No właśnie – potwierdził Gurney. – Nazwisko i adres.

– Ale dlaczego...?

– Musiał nakłonić ofiarę, żeby ujawniła się i zidentyfikowała. Przecież wysyłał tysiące takich listów. Każda z przyszłych ofiar była przekonana, że list, który otrzymała, trafił wyłącznie do niej, i to od kogoś, kto ją bardzo dobrze zna. A gdyby odesłała kopertę z gotówką? Wtedy nie trzeba byłoby załączać imienia i adresu, a zabójca nie mógł wprost tego zażądać, ponieważ zniszczyłoby to całą otoczkę i podważyło założenie, że „znam twoje najtajniejsze sekrety”. Sprawdzanie czeków było dyskretnym sposobem na weryfikację nazwisk i adresów ofiar. I być może, jeżeli proces pozyskiwania informacji, które były na czekach, miał miejsce gdzieś na poczcie, to najłatwiejszym sposobem na pozbycie się później czeków było po prostu przekazać je w oryginalnych kopertach do skrytki Dermotta.

– Ale wtedy morderca musiałby otwierać koperty nad parą i później je zaklejać – wtrącił Kline.

Gurney wzruszył ramionami.

– Istnieje alternatywa: uzyskać dostęp do listów po tym, jak Dermott już je otworzył, ale zanim zwrócił czeki do nadawców. To nie wymagałoby otwierania nad parą i ponownego zaklejania kopert, ale napotykamy tu inne problemy i pytania. Musimy się przyjrzeć temu, co Dermott robi, jego stylowi życia, osobom, które mogły mieć dostęp do jego domu, i tak dalej.

– A to – powiedział dobitnie swoim zdartym głosem Hardwick – przywołuje moje pierwsze pytanie, które obecny tu Sherlock Gurney scharakteryzował jakiś czas temu jako najważniejsze. To znaczy, kto, do diabła, jest na tej liście jedenastu tysięcy kandydatów do śmierci?

Gurney uniósł dłoń gestem policjanta z drogówki, który kieruje ruchem.

– Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, chciałbym wszystkim

przypomnieć, że jedenaście tysięcy to wartość jedynie domniemana. Jest to liczba listów, jak założyliśmy, możliwa do napisania, a to uprawdopodobnia scenariusz związany z liczbą sześćset pięćdziesiąt osiem, więc tym lepiej. Innymi słowy, jest to liczba, która spełnia swoje zadanie. Jednak sierżant Wigg powiedziała na początku, że rzeczywista liczba listów może się wahać między pięć a piętnaście tysięcy. I każda wielkość w tym zakresie będzie na tyle mała i na tyle duża, by wskazać na garstkę ludzi, którzy losowo wybiorą sześćset pięćdziesiąt osiem.

– Chyba że walnęliśmy się o cały kilometr – wtrącił Rodriguez – i te wszystkie spekulacje to jedna wielka strata czasu.

Kline zwrócił się do Holdenfield.

– Co o tym sądzisz, Becca? Mamy coś? Czy walnęliśmy się o kilometr?

– Niektóre aspekty tej teorii są absolutnie fascynujące, ale chciałabym końcową opinię wygłosić dopiero wtedy, kiedy usłyszę odpowiedź na pytanie sierżanta Hardwicka.

Gurney uśmiechnął się, tym razem szczerze.

– On rzadko o coś pyta, chyba, że jest pewny, jaka będzie odpowiedź. Mógłbyś się z nami podzielić twoją opinią, Jack?

Hardwick przez kilka sekund masował twarz – kolejny niezrozumiały gest, który tak bardzo irytował Gurneya, kiedy pracowali wspólnie nad sprawą Piggerta.

– Jeżeli spojrzeć na najbardziej znaczącą cechę charakterystyczną wszystkich ofiar, która czai się w tle, o której mówią wiersze z groźbami, można by dojść do wniosku, że ich nazwiska są na jakiejś liście osób z poważnymi problemami z alkoholem. – Przerwał. – Pytanie brzmi, co to by mogła być za lista.

– Lista członków Anonimowych Alkoholików? – podsunął Blatt.

Hardwick pokręcił głową.

– Taka lista nie istnieje. Oni są i chcą do końca pozostać anonimowi.

– A może lista stworzona z ogólnodostępnych danych? – podsunął Kline.

– Aresztowania czy też wyroki skazujące, które mają związek z nadużywaniem alkoholu?

– Taką listę rzeczywiście można by opracować, ale znajdowałyby się na niej tylko dwie ze znanych nam ofiar. Mellery nie jest notowany ani nigdy nie był aresztowany. Ksiądz pederasta tak, ale zarzut dotyczył zachowań, które grożą nieletnim, a w publicznie dostępnych rejestrach nie ma nic o nadużywaniu alkoholu, chociaż detektyw z Bostonu, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że księżulowi wycofano później ten zarzut w zamian za przyznanie się do wykroczenia mniejszej wagi, zwalił swoje zachowanie na alkoholizm i zgodził się na kilkumiesięczny odwyk.

Kline zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– W takim razie może lista pacjentów z odwyku?

– Całkiem możliwe – powiedział Hardwick, ale grymas na jego twarzy sugerował, że to raczej nie jest prawdopodobne.

– Może trzeba byłoby się temu bliżej przyjrzeć.

– No pewnie – niemalże obraźliwy ton Hardwicka wywołał chwilę niezręcznej ciszy, którą przerwał Gurney.

– Chciałem się przekonać, czy uda mi się ustalić jakieś związki między ofiarami, i zacząłem jakiś czas temu przyglądać się odwykom. Niestety trafiłem w ślepy zaułek. Albert Rudden spędził dwadzieścia osiem dni na odwyku w Bronksie pięć lat temu, Mellery dwadzieścia osiem dni piętnaście lat temu w Queens. Żaden z tych ośrodków terapeutycznych nie prowadził długoterminowych terapii, co oznacza, że ksiądz musiał pójść na odwyk gdzie indziej. Nawet jeżeli nasz morderca pracował w którymś z tych miejsc i dzięki temu miał dostęp do tysięcy kartotek pacjentów, jedyna lista, na której mogłoby się znaleźć jakieś interesujące nas nazwisko, to lista z nazwiskiem tylko jednej spośród ofiar.

Rodriguez odwrócił się na krześle i zwrócił się teraz wprost do Gurneya.

– Pana teoria opiera się na istnieniu jakiejś gigantycznej listy, pięciu, a może jedenastu tysięcy nazwisk. Słyszę, że Wigg mówi, że może ich być nawet piętnaście tysięcy, wszystko jedno, bo to wciąż nic nie zmienia. Ale przecież nie wie pan, jak powstała ta lista. No i co teraz?

– Cierpliwości, panie kapitanie – odparł cicho Gurney. – Nie powiedziałbym, że takiego źródła nie ma, może po prostu jeszcze go nie

odkryliśmy. Chyba mam większą wiarę w pańskie zdolności niż pan sam.

Rodriguez zaczerwienił się po czubki włosów.

– Wiary? W moje zdolności? Co to ma znaczyć?

– Zatem w jakimś punkcie życia wszystkie ofiary były na odwyku, tak? – spytała Wigg, ignorując reakcję kapitana.

– Nie wiem, jak było z Kartchem – powiedział Gurney zadowolony, że znów mówią o konkretach. – Ale wcale by mnie to nie zdziwiło.

Do dyskusji włączył się Hardwick.

– Policja z Sotherton przesłała nam jego kartotekę. To był prawdziwy dupek. Napaść, molestowanie, upijanie się w miejscach publicznych, awantury, groźby także z użyciem broni, trzy przypadki prowadzenia samochodu po pijanemu, dwa razy siedział, nie wspominając już o kilkunastu aresztowaniach i spędzeniu dwudziestu czterech godzin w miejscowym pierdlu. To, co ma związek z alkoholem, a zwłaszcza prowadzenie pod wpływem, pozwala z dużą dozą pewności przypuszczać, że co najmniej raz wysłano go na odwyk. Mogę poprosić Sotherton, żeby to sprawdzili.

Rodriguez odsunął się od stołu i oparł na krześle.

– Jeżeli ofiary nie spotkały się na jakimś odwyku, albo nawet nie były na tym samym odwyku w różnym czasie, co to za różnica, czy w ogóle były na odwyku? W tamtych czasach połowa niebieskich ptaków i cwaniaków szła na odwyk. To był tylko sposób na wyciąganie pieniędzy z kieszeni podatnika, bo przecież płaci za nie państwo. Co to ma w ogóle znaczyć, że oni wszyscy byli na odwyku? To zwiększa prawdopodobieństwo, że ktoś ich zamorduje? Wątpię. Byli pijaczkami i co z tego? To już wiemy. – Gurney zauważył, że gniew to u Rodrigueza najsilniejsze uczucie, skaczące, jak pożar buszu, od jednej myśli do drugiej.

Wigg, do której skierował tę tyradę, była nieporuszona.

– Inspektor Gurney powiedział kiedyś, że jest przekonany, iż wszystkie ofiary łączy prawdopodobnie jakiś inny czynnik, nie tylko picie. Pomyślałam sobie, że uczestnictwo w leczeniu odwykowym mogłoby być takim czynnikiem, przynajmniej po części.

Rodriguez zaśmiał się złośliwie.

– Może tak, a może nie. Wszyscy mówicie, że coś tam jest możliwe, ale nie mamy żadnych rzeczywistych powiązań.

Kline był wyraźnie sfrustrowany.

– No już, Becca, zdradź, co myślisz. Stoimy na pewnym gruncie?

– To trudne pytanie. Nie wiem, od czego zacząć.

– To je uproszczę. Kupujesz teorię Gurneya wyjaśniającą ten przypadek? Powiedz po prostu: tak czy nie?

– Tak, kupuję. Obraz Marka Mellery'ego, który zarysował, człowieka dręczonego psychicznie listami to może być część jakiegoś rytuału morderstwa.

– Ale nie wygląda na to, byś była całkowicie przekonana.

– Nie o to chodzi, po prostu... To podejście jest absolutnie wyjątkowe. Torturowanie ofiary jest na tyle często występującym elementem patologii seryjnych morderców, że mogę w to uwierzyć, ale nie widziałam nigdy przypadku dręczenia na odległość w sposób tak chłodny i metodyczny. Komponent tortury w takim morderstwie przejawia się zazwyczaj w zadawaniu bezpośredniego bólu fizycznego, by przerazić ofiarę i dać zabójcy poczucie absolutnej władzy i kontroli, której tak pragnie. W tym przypadku ból nie był cielesny, ale emocjonalny.

Rodriguez pochylił się w jej kierunku.

– A więc mówi nam pani, że ta sprawa nie pasuje do wzorca działania seryjnego mordercy? – Zwracał się do niej jak prokurator atakujący świadka obrony.

– Nie. Wzorzec mamy. Mówię tylko tyle, że sposób jego realizacji jest niespotykanie chłodny i wykalkulowany. Większość seryjnych morderców to ludzie wyjątkowo inteligentni, niektórzy, jak na przykład Ted Bundy, są nawet nadprzeciętnie zdolni. Interesujący nas przypadek może być klasą dla samego siebie.

– Jest dla nas za bystry, to pani chce przekazać?

– Nie powiedziałam tego – odparła niewinnie Holdenfield – ale prawdopodobnie ma pan rację.

– Naprawdę? W takim razie zapiszmy to do protokołu – rzucił Rodriguez załamującym się lekko głosem. – Według pani fachowej opinii ta ekipa dochodzeniowa nie potrafi złapać tego maniaka?

– Powtarzam, że tego nie powiedziałam – Holdenfield uśmiechnęła się do niego. – Ale też raz jeszcze mówię, że prawdopodobnie ma pan rację.

Rodriguez pobladł na krótką chwilę, po czym znów zrobił się purpurowy. Do dyskusji wtrącił się Kline.

– Becca, nie chcesz przecież powiedzieć, że nic nie da się zrobić?

Westchnęła zrezygnowana, jak nauczyciel przejęty głupotą najmniej zdolnych uczniów w szkole.

– Fakty w tej sprawie prowadzą jak dotąd do trzech wniosków. Po pierwsze, człowiek, którego próbujecie złapać, bawi się z wami w kotka i myszkę i jest w tym bardzo dobry. Po drugie, ma silną motywację, jest przygotowany do tego, co robi, skupiony i dokładny. Po trzecie, wie, kto jest następny na liście, a wy nie.

Na twarzy Kline'a malowało się cierpienie.

– Wracając do mojego pytania...

– Jeżeli szukasz światełka w tunelu, istnieje jedna niewielka możliwość, która może obrócić sprawy na waszą korzyść. Ten człowiek ma świetny zmysł organizacyjny, ale jest szansa, że wszystko to może się rozpaść.

– Jak? Dlaczego? Co masz na myśli, mówiąc „rozpaść”?

Kiedy Kline zadawał pytania, Gurney czuł, że coś ściska go w klatce piersiowej. Pierwotny lęk nadszedł wraz z ostro zarysowanym obrazem, widział go przed oczami wyobraźni, jak projekcję w kinie – dłoń mordercy zaciska się na kartce papieru z ośmioma linijkami, które Gurney, podążając za impulsem, napisał poprzedniego dnia i wrzucił do skrzynki pocztowej.

*Już wiem, jak zrobiłeś, co chciałeś,  
Od kroków wstecz do tłumionych strzałów.  
Gra wkrótce się skończy, kolego,  
Poderżnię ci gardło przyjaciel zmarłego.*



*Strzeż się śniegu, strzeż się słońca,  
Nocy, dnia. Strach nie ma końca.  
Kwiaty będę kłaść na jego grobie,  
A bramy piekła otworzę tobie.*

Metodycznie, pogardliwie dłoń ściska i zgniata kartkę papieru w kulkę, a kiedy kulka jest całkiem mała, nie większa niż przezuta guma, dłoń otwiera się powoli i zwitek spada na podłogę. Gurney próbował wyrzucić ten niepokojący obraz z głowy, ale scenariusz zaczął żyć własnym życiem. Teraz dłoń trzyma kopertę, w której nadano wiersz, morderca patrzy na adres, widzi wyraźnie pieczętkę na znaczku – pieczętkę z Walnut Crossing.

Walnut Crossing... Boże jedyny! Gurney poczuł chłodny dreszcz. Jak mógł przeoczyć tak oczywisty problem? Boże, trzeba się uspokoić. Pomyśl. Co morderca może zrobić z taką informacją? Czy to doprowadzi go do ich adresu, do ich domu? Do Madeleine? Gurney czuł, że krew odpływa mu z twarzy. Co go podkusiło, żeby wypuścić tego idiotycznego wabia? Czy nie przewidział, że pieczętka na znaczku może być źródłem problemów? Na jakie niebezpieczeństwo naraża Madeleine? Jego myśli krążyły wokół tego ostatniego pytania jak pszczoły wokół ula. Czy to niebezpieczeństwo jest realne? Jak duże? Powinien do niej zadzwonić? Ostrzec ją? Ale właściwie przed czym? Żeby przestraszyć ją na śmierć? I co jeszcze? Czego jeszcze nie dostrzegł, zakładając sobie klapki na oczy po to tylko, żeby widzieć przeciwnika, bitwę, zagadkę? Czyje jeszcze bezpieczeństwo i życie naraził swoją determinacją, żeby wygrać? Kręciło mu się w głowie od tych pytań.

Jakiś głos wdarł się w jego panikę. Próbował go pochwycić, przywrócić się do równowagi. Holdenfield mówiła dalej.

– ... obsesyjnie i kompulsywnie planuje, ma patologiczną potrzebę naginania realiów do swoich planów. Celem, który go owładnął, jest uzyskanie całkowitej kontroli nad innymi.

– Nad wszystkimi? – spytał Kline.

– Zasadniczo skupia się na bardzo wąskim spektrum. Czuje, że musi całkowicie dominować poprzez zastraszanie i odbieranie życia, a chodzi mu

o grupę, którą wziął na celownik, ofiary w kategorii mężczyzn w średnim wieku, którzy mają problemy z alkoholem. Inni są dla niego nieistotni. Nie interesują go albo nic nie znaczą.

– Więc skąd to podejrzenie, że to wszystko się „rozpadnie”?

– No cóż, prawda jest taka, że zabójstwo po to, żeby poczuć się wszechwładnym, jest obciążone poważnym błędem. Seryjne morderstwa jako rozwiązanie problemu człowieka, który za wszelką cenę pragnie wszystko kontrolować, jest głęboko dysfunkcyjne, równoważne z poszukiwaniem szczęścia w heroinie.

– Potrzebuje coraz więcej?

– Coraz więcej, by uzyskać coraz mniej. Cykl emocjonalny jest coraz krótszy, trudno nad nim zapanować. Zdarzają się rzeczy, które miały się nie wydarzyć. Podejrzewam, że coś w tym rodzaju nastąpiło dzisiaj rano, gdy zamiast waszego pana Dermotta zginął policjant. Takie nieprzewidziane zdarzenia wywołują u sprawcy silne drżenie emocjonalne, bo to przecież człowiek opanowany obsesją kontroli, a odwrócenie uwagi od tego, co dla niego najważniejsze, prowadzi do dalszych błędów. To jak maszyna, w której wał napędowy przestał się gładko obracać, wpada w drgania i obija się na boki. Kiedy osiągnie pewną prędkość, drgania rozwalą mechanizm.

– Co to znaczy w tym konkretnym przypadku?

– Morderca stanie się zupełnie nieprzewidywalny i będzie działał jak szalenciec.

Nieprzewidywalny. Jak szalenciec. Gurney znowu poczuł zimny dreszcz, uczucie chłodu chwyciło go za gardło.

– To znaczy, że sytuacja może się stać jeszcze poważniejsza? – spytał Kline.

– Gorsza czy lepsza, nie wiem, jak to określić. Jeżeli morderca, który zawsze czaił się w jakiejś ciemnej alejce i od czasu do czasu zabijał kogoś szpikulcem do lodu, nagle wybiega na sam środek nowojorskiego Times Square, wymachując maczetą, łatwiej go ująć. Nie wiadomo jednak, ile głów zetnie w tym ostatnim wybuchu wściekłości.

– Uważasz, że nasz chłopak jest na etapie maczety? – Kline był bardziej podekscytowany niż zde gustowany.

Gurney poczuł, że robi mu się niedobrze. Ta postawa macho, którą pracownicy wymiaru sprawiedliwości niekiedy zasłaniaли się jak tarczą przed potwornościami zbrodni, w niektórych sytuacjach zawodziła. To był właśnie ten przypadek.

– Tak. – Jednoznaczna odpowiedź Holdenfield wywołała ciszę na sali konferencyjnej.

Pierwszy odezwał się kapitan, co było do przewidzenia, agresywnym tonem:

– Więc co mamy zrobić? Nadać list gończy za sympatycznym trzydziestoparolatkiem z rozklekotanym wałem napędowym i maczetą w ręce?

Hardwick zareagował na to skrzywieniem ust, a Blatt wybuchem śmiechu. Niespodziewanie odezwał się Stimmel.

– Niekiedy wielki finał jest częścią planu. – Teraz oczy wszystkich, prócz Blatta, który wciąż zanosił się śmiechem, zwróciły się na Stimmela. Kiedy Blatt się uspokoił, Stimmel mówił dalej. – Ktoś pamięta sprawę Duane'a Merkly?

Nikt nie pamiętał.

– Weteran wojny w Wietnamie – mówił dalej Stimmel. – Miał problemy ze swoim dowódcą, potem z władzami cywilnymi w kraju. Hodował psa rasy akita, niezbyt miłe zwierzę, które zjadło jedną z kaczek sąsiada. Sąsiad zadzwonił po policję, której Duane nie znosił. W następnym miesiącu akita zjadła pieska rasy beagle, należącego do sąsiada, wtedy on zastrzelił akite. Konflikt eskalował, wydarzenia następowały jedno po drugim. Pewnego dnia weteran wojny wietnamskiej wziął sąsiada jako zakładnika. Mówi, że chce pięć tysięcy dolarów za akite, w przeciwnym razie zastrzeli faceta. Przyjeżdżają miejscowi gliniarze, ekipa antyterrorystów. Rozstawiają się wokół domu Duane'a. Chodzi o to, że nikt nie zajrzał w jego akta. Nikt nie wiedział, że w wojsku był saperem, specjalistą od wybuchów, a przede wszystkim od odpalania zdalnie

detonowanych min. – Stimmel zamilkł, a słuchacze sami wyobrazili sobie koniec tej historii.

– Chce pan powiedzieć, że szalenie wszystkich wysadził? – spytał Blatt, będący wyraźnie pod wrażeniem.

– Nie wszystkich. Sześć trupów, sześciu rannych, do końca życia na wózku.

Rodriguez znów dał wyraz swojej frustracji.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Chodzi o to, że kupił wszystko, czego potrzebował do zrobienia tych min, dwa lata wcześniej. Wielki finał zawsze jest częścią planu.

Rodriguez pokręcił głową.

– Nie widzę związku.

Gurney związek dostrzegał i to go bardzo niepokoiło. Kline spojrzał na Holdenfield.

– Co o tym sądzisz, Becca?

– Czy uważam, że nasz człowiek ma wielkie plany? Niewykluczone. Wiem jedno...

Przerwało jej delikatne pukanie do drzwi. Kiedy się otworzyły, do sali konferencyjnej wszedł umundurowany sierżant policji i zwrócił się do Rodrigueza.

– Panie kapitanie? Przepraszam, że przeszkadzam. Jest telefon od komisarza Nardo z Connecticut. Mówiłem mu, że pan jest na spotkaniu. Powiedział, że to bardzo pilne i że musi z panem natychmiast porozmawiać.

Rodriguez westchnął jak człowiek, któremu wrzucają na plecy ciężar, na który nie zasłużył.

– Odbiorę tutaj – powiedział, wskazując ruchem głowy na telefon stojący na stoliku przy ścianie tuż za nim.

Sierżant wycofał się i dwie minuty później telefon zadzwonił.

– Mówi kapitan Rodriguez. – Przez dwie następne minuty trzymał słuchawkę przy uchu z wyrazem skupienia na twarzy.

– To dziwaczne – powiedział w końcu. – To tak dziwaczne, panie

komisarzu, że chciałbym, żeby powtórzył pan to słowo w słowo naszemu zespołowi dochodzeniowemu. Przełączam pana teraz na tryb głośnomówiący. Niech pan mówi. Dokładnie to, co powiedział pan mnie.

W głosie, który usłyszeli chwilę później, było napięcie i niechęć.

– John Nardo, policja w Wycherly. Słyszycie mnie? – Rodriguez powiedział, że tak, i Nardo mówił dalej. – Jak wiecie, jeden z naszych policjantów zginął podczas służby dzisiaj rano w domu Gregory’ego Dermotta. Jesteśmy teraz na miejscu zabójstwa z ekipą laboratorium kryminalistycznego. Dwadzieścia minut temu pan Dermott miał telefon. Osoba dzwoniąca powiedziała, tu cytuję: „Ty będziesz następny, a zaraz za tobą Gurney”.

„Co takiego?”, Gurney zastanawiał się, czy się nie przesłyszał.

Kline poprosił Nardo, żeby powtórzył wiadomość, co też uczynił.

– Macie coś od operatora na temat źródła? – spytał Hardwick.

– Z komórki, nie wiadomo dokładnie skąd. Żadnych danych GPS, tylko lokalizacja wieży przesyłowej. I oczywiście żadnej identyfikacji dzwoniącego.

– Kto odebrał telefon? – spytał Gurney. Zdziwiło go to, ale bezpośrednie zagrożenie wpłynęło na niego uspokajająco. Może dlatego, że było to coś konkretnego, coś nazywalnego, a zatem można było się do tego przymierzyć, w przeciwieństwie do nieskończonej liczby możliwości. A może dlatego, że nie padło imię Madeleine.

– Co to znaczy, kto odebrał telefon? – spytał Nardo.

– Powiedział pan, że był telefon do pana Dermotta, a nie, że odebrał pan Dermott.

– A, rozumiem. Dermott leżał z migreną, kiedy zadzwonił telefon. Od czasu, kiedy znaleźliśmy ciało, jest trochę poza obiegami. Jeden z naszych techników odebrał telefon w kuchni. Osoba dzwoniąca pytała o Dermotta, mówiła, że jest bliskim znajomym.

– A jakie nazwisko podała?

– Jakies takie dziwne. Carbis... Cabberdis... Nie, chwilę, technik to zapisał, już czytam. Charybdis.

– Było coś dziwnego w głosie?

– Ciekawe, że pan pyta. Tak, i właśnie próbują ten głos opisać. Dermott podszedł do telefonu i powiedział, że to brzmiało jak jakiś obcy akcent, ale nasz człowiek uważa, że to podróbka, że ktoś próbuje ukryć własny głos. Nie wiadomo, czy to kobieta, czy mężczyzna. Przepraszam was, panowie i panie, ale mam tutaj napiętą sytuację. Chciałem, żebyście poznali podstawowe fakty. Odezwiemy się, jak tylko będziemy mieli coś nowego.

Po charakterystycznym stukocie, który oznaczał rozłączenie się, wokół stołu zapanowała cisza. Hardwick tak mocno odchrząknął, że Holdenfield aż się wzdrygnęła.

– No, David, mój chłopcze – powiedział zgrzytliwie Hardwick. – Znów jesteś w centrum uwagi. „Kolej na Gurneya”. Kim ty jesteś? Magnesem dla seryjnych morderców? Musimy cię tylko powiesić na sznureczku i poczekać, aż ktoś się złapie na tę przynętę.

Czy Madeleine też wisi na jakimś sznurku? Może jeszcze nie. Mam nadzieję, że jeszcze nie. W końcu on i Dermott są na początku kolejki. Zakładając oczywiście, że ten szaleniec mówi prawdę. Jeżeli tak, to ma trochę czasu – może dość czasu, żeby mu się poszczęściło. Czas, żeby naprawił popełnione błędy. Jak mógł być tak głupi. Tak nieświadom, że coś może jej się stać? Idiota!

Kline’a coś niepokoiło.

– Jak cię namierzył?

– Mogę tylko zgadywać – odparł Gurney fałszywie lekkim tonem.

Poczucie winy sprawiło, że wydawało mu się, iż zarówno Kline, jak i Rodriguez przyglądają mu się z niezbyt życzliwym zainteresowaniem. Od samego początku miał wyrzuty sumienia i nie był pewien, czy dobrze robi, pisząc i wysyłając ten wiersz, ale odsunął wątpliwości i nie próbował ich wyartykułować ani zdefiniować. Sam był zdumiony swoją umiejętnością ignorowania niebezpieczeństwa, w tym takiego, na które wystawiał innych. Co wtedy czuł? Czy ryzyko, na jakie naraża Madeleine, w ogóle pojawiło się w jego świadomości? Czy miał jakieś przeczucie i czy od razu je odrzucił? Dlaczego był taki nieczuły? Proszę, Boże, tylko nie to!

Zadręczał się, ale przynajmniej jednego był pewien. Grzanie stołka przy stole konferencyjnym i omawianie sytuacji to nie było żadne rozwiązanie. Jeśli Dermott był następnym na liście zabójcy, a po nim Gurney, to właśnie na domniemanym miejscu kolejnej zbrodni miał największą szansę znaleźć człowieka, którego szukają, i zakończyć ryzykowną sytuację, zanim morderca przypelźnie bliżej jego domu. Jeśli rzeczywiście miał być kolejną ofiarą po Dermocie, to tę walkę chciał podjąć jak najdalej od Walnut Crossing. Odsunął krzesło od stołu i wstał.

– Państwo wybaczą, ale muszę koniecznie gdzieś pojechać.

Na początku zobaczył tylko pytające spojrzenia, a po chwili Kline zrozumiał, co Gurney ma na myśli.

– Cholera jasna! – wykrzyknął. – Chyba nie chcesz pojechać do Connecticut?

– Mam zaproszenie, więc je przyjmuję.

– To szaleństwo. Nie wiesz, w co się pakujesz.

– Zasadniczo – powiedział Rodriguez, rzucając pożegnalne spojrzenie w kierunku Gurneya – miejsce zbrodni, w którym roi się od gliniarzy, powinno być bezpieczne.

– W normalnych warunkach byłaby to prawda – powiedziała Holdenfield. – Chyba że... – Pozwoliła wątpliwościom zawisnąć w powietrzu, jak gdyby przyglądała się im z różnych stron.

– Chyba że co? – nie wytrzymał Rodriguez.

– Chyba że to gliniarz jest mordercą.

## Prosty plan

*To wydawało się zbyt proste.*

*Zabicie dwudziestu dobrze wyszkolonych policjantów w ciągu dwudziestu sekund powinno wymagać bardziej drobiazgowego planowania. Czyn na taką skalę powinien być trudniejszy do wykonania. W końcu będzie to najbardziej znaczące wymazanie tyłu istnień ludzkich w jednej chwili – przynajmniej w Ameryce i przynajmniej współcześnie.*

*Fakt, że nikt wcześniej tego nie dokonał pomimo pozornej prostoty, zarówno go ekscytował, jak i niepokoił. Myśl, która wreszcie uspokoiła zmęczony umysł, była następująca: dla człowieka o słabszym intelekcie i mniejszych zdolnościach koncentracji cały ten projekt rzeczywiście mógłby stanowić zbyt duży ciężar, ale nie dla niego, bo widzi wszystko jasno i potrafi się skupić. Wszystko jest względne. Geniusz może tanecznym krokiem ominąć przeszkody, w obliczu których zwykły człowiek jest bezradny.*

*Chemikalia kupił zadziwiająco łatwo, były niedrogie i stuprocentowo legalne. Nawet w większych ilościach nie wzbudzały podejrzeń, bo codziennie sprzedawano je hurtem dla przemysłu. Mimo to był ostrożny i zakupił obie substancje u różnych dostawców, żeby uniknąć przypuszczeń, że będzie chciał je połączyć, a dwa naczynia ciśnieniowe o pojemności pięćdziesięciu galonów kupił w jeszcze innym miejscu.*

*Teraz, kiedy dopieszczał ostatnie detale, lutował przewody, by połączyć i dostarczyć śmiertcioną mieszankę adresatom, naszła go ekscytująca myśl – wyobraził sobie dramatyczne zakończenie scenariusza – i myśl podziałała na jego wyobraźnię, a na twarzy wykwitł mu uśmiech. Wiedział, że to, co sobie wyobraża, jest średnio prawdopodobne – chemia jest dziedziną zbyt mało przewidywalną – ale mogło się wydarzyć. To nie jest wykluczone. Na stronie internetowej dotyczącej zagrożeń chemicznych znalazł ostrzeżenie, którego nauczył się na pamięć. Ostrzeżenie było otoczone czerwoną obwódką*



*i czerwonymi wykrzyknikami. „Mieszanina chloru i amoniaku nie tylko daje śmiertelnie trujący gaz, ale w proporcjach, o których mowa, jest bardzo niestabilna, a jeśli katalizatorem będzie iskra, może wybuchnąć”. Obraz, który go tak uradował, to widok wszystkich policjantów z Wycherly w pułapce, wszyscy nieświadomi tego, że wdychają trujące opary, a w tym właśnie momencie pojawia się katalizator w postaci iskry i rozrywa ich na kawałki. Kiedy sobie to wyobraził, zrobił coś, czego nie robił prawie nigdy. Głośno się zaśmiał.*

*Szkoda, że jego matka nie potrafi zrozumieć chwały i piękna tej sytuacji, nie mówiąc o jej aspekcie humorystycznym. Ale może za wiele wymaga. I oczywiście jeżeli policjantów rozerwie na kawałki – na maciupieńkie kawałeczki – nie będzie mógł poderżnąć im gardła. A bardzo chciał popodrzynać im gardła.*

*Świat nie jest idealny. Zawsze są plusy i minusy. Trzeba pracować z tym, co ma się pod ręką. Widzieć szklankę do połowy pełną.*

*Takie są realia.*

## Witamy w Wycherly

Co było do przewidzenia, nie tylko Kline miał obiekcje i obawy dotyczące planowanej podróży Gurneya, ale ten wszystkie je od siebie odsunął, ruszył do swojego samochodu i zadzwonił na policję w Wycherly, prosząc o adres domowy Gregory'ego Dermotta, bo jak dotąd znał tylko numer skrytki pocztowej umieszczony na jego papierze firmowym. Zanim wyjaśnił oficerowi dyżurnemu, kim jest, minęło trochę czasu, ale nawet wtedy musiał trochę poczekać, zanim jakaś policjantka zadzwoniła do Nardo i otrzymała od niego pozwolenie na ujawnienie adresu. Okazało się, że jedynie ona została w komisariacie, wszyscy inni ruszyli na miejsce zbrodni. Gurney wprowadził adres do urządzenia GPS i ruszył w kierunku mostu Kingston–Rhinecliff.

Wycherly znajduje się mniej więcej pośrodku stanu Connecticut, trochę na północ. Podróż zajęła mu nieco ponad dwie godziny, a większość tego czasu Gurney spędził na zamartwianiu się tym, że naraził własną żonę na niebezpieczeństwo. To głupie posunięcie tak go przygnębiło i wyprowadziło z równowagi, że niczym tonący brzytwy próbował chwycić się czegokolwiek. Zaczął analizować hipotezę, która pojawiła się na naradzie zespołu śledczego.

Koncepcja mówiąca, że zabójcy jakoś udało się dorwać lub stworzyć listę kilku tysięcy osób, które w przeszłości miały problemy z nadużywaniem alkoholu – osób cierpiących na lęki i poczucie winy wynikające z alkoholowej przeszłości – następnie zastawić na część z nich sidła, posługując się zwykłą sztuczką z liczbami, dręczyć je wierszami zawierającymi groźby, a w końcu zamordować w identyczny sposób... Cały ten proces wydawał się dotąd niewiarygodny, a teraz wręcz niemożliwy do przeprowadzenia. Przypomniawszy sobie, jak odkrywano, że seryjni mordercy w dzieciństwie często znajdowali przyjemność w torturowaniu owadów i małych zwierząt, na przykład paleniu ich za pomocą światła słonecznego

skupianego przez lupę. Jeden z jego słynnych aresztowanych, Cannibal Claus, w ten właśnie sposób oślepił kota, kiedy miał pięć lat. Przypalając mu oczy szkłem powiększającym. Gurney widział niepokojące podobieństwa tego czynu ze zmuszaniem ofiary, by zaglądała we własną przeszłość, i podsycaniem jej lęków, aż nie zacznie się więc z bólu.

Dostrzeganie wzorów, łączenie pasujących do siebie elementów – to zwykle go uspokajało, a nawet wprowadzało w stan uniesienia, lecz gdy tego popołudnia prowadził auto, nic mu nie pomagało. Wciąż miał poczucie, że kogoś zawiódł, że popełnił błąd. Ta myśl była jak kwas, który zżerał mu żołądek i klatkę piersiową.

Koncentrował się na prowadzeniu samochodu, skupiał wzrok na masce auta, na swoich dłoniach na kierownicy. To dziwne. Jego własne ręce – nie rozpoznawał ich. Wyglądały zadziwiająco staro – tak jak jego ojca. Małe, brązowe plamki powiększyły się, było ich coraz więcej. Jeżeli minutę wcześniej ktoś pokazałby mu fotografie kilkunastu dłoni, nie potrafiłby rozpoznać własnej. Zastanawiał się dlaczego. Może mózg nie rejestruje zmian dokonujących się stopniowo, dopóki różnica nie sięgnie pewnego progu krytycznego. Kto wie, może to idzie jeszcze dalej.

Czy to miałyby znaczyć, że zawsze widzimy rzeczy, które są nam znane, do pewnego stopnia tak, jak one wyglądały kiedyś? Czy tkwimy beznadziejnie w przeszłości nie dlatego, że zagłębiamy się w melancholii lub myślimy życzeniowo, ale dlatego, że w zwojach neuronów nastąpiło jakieś zwarcie przy przetwarzaniu danych? Jeżeli to, co ktoś „widzi”, pochodzi częściowo z sygnałów nerwu wzrokowego, a częściowo z pamięci, jeżeli to, co ktoś „postrzega” w danym momencie, jest złożeniem wrażeń z danej chwili i wrażeń już zapamiętanych – taka myśl rzuca nowe światło na pojęcie „życia w przeszłości”. Przeszłość jest zatem jak tyran, który sięga swoją władzą do teraźniejszości, dostarczając nam nieaktualnych danych w przebraniu doświadczeń zmysłowych. Czy to mogło mieć jakiś związek z sytuacją seryjnego mordercy, którego do działania popycha trauma przeszłości? I do jakiego stopnia taka wizja może być kształtowana?

Poczuł przypływ energii, rozważając tę teorię. Analizował ją na

wszystkie strony, badał jej wiarygodność, taki proces myślowy zawsze pomagał mu w opanowaniu myśli i emocji, czuł, że wraca do niego życie, dzisiaj jednak te odczucia szybko zniknęły. Głos z GPS-a oznajmił mu, że do zjazdu na Wycherly pozostało trzysta metrów. Za zjazdem skręcił w prawo. Widział wokół siebie pola, farmy, magazyny, duchy przeszłości, ślady rozrywek z innej epoki – sypiące się kino, do którego można było wjechać samochodem, znak kierujący do jeziora o irokeskiej nazwie.

Przypomniał sobie inne jezioro o indiańskiej nazwie – wytyczono wokół niego ścieżkę, którą razem z Madeleine przeszli wzdłuż linii brzegowej w weekend, kiedy szukali swojego idealnego miejsca w górach Catskill. Przypomniał sobie ożywienie na jej twarzy, kiedy stanęli na szczycie niewielkiego wzniesienia, trzymali się za ręce, uśmiechali i patrzyli na taflę wody, poruszaną podmuchem wiatru. Wraz z tym wspomnieniem powróciło poczucie winy.

Jeszcze do niej nie zadzwonił, żeby powiedzieć, co robi, dokąd jedzie, że prawdopodobnie nie wróci na czas do domu. Wciąż nie był pewien, ile powinien jej wyznać. Czy w ogóle wspomnieć o pieczęcie na znaczku pocztowym? Postanowił zadzwonić do niej od razu i improwizować. „Boże, pomóż mi, żebym powiedział coś mądrego”.

Zważywszy na stres, który już go zżerał, pomyślał, że mądrze byłoby zjechać na pobocze, zanim zadzwoni. Znalazł porośnięte chwastami, kiedyś wysypane żwirem miejsce do parkowania przed stoiskiem, na którym latem rolnicy wystawiali plony na sprzedaż, teraz zamkniętym na głucho na zimę. Słowem, które uaktywniało numer domowy w systemie wywoływania abonentów głosem, było, może mało inspirujące, ale skuteczne słowo „Dom”.

Madeleine odebrała po drugim sygnale, usłyszał w słuchawce pełen optymizmu, zapraszający do rozmowy głos, z którym zawsze, zaciekawiona, odbierała telefony.

– To ja – oznajmił, a w jego tonie była tylko cząstka światła emanującego z jej głosu.

Odezwała się po chwili przerwy.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie dlatego dzwonię. Jestem w Connecticut, niedaleko Wycherly.

– Oczywiście pytanie to „dlaczego”, ale Madeleine nie zadawała oczywistych pytań. Czekala. – Jest postęp w śledztwie – powiedział. – Kto wie, może niedługo się skończy.

– Rozumiem.

Usłyszał, jak powoli, kontrolowanie wydycha powietrze.

– Powiesz mi coś więcej? – spytała.

Spojrzał na opustoszały stragan. Wyglądał na porzucony, a nie zamknięty na zimę.

– Człowiek, którego szukamy, zaczyna działać nierozważnie – powiedział. – Jest szansa, żeby go zatrzymać.

– Człowiek, którego szukamy? – teraz jej głos był jak cienki, spękany lód. Gourney milczał.

Mówiła dalej, teraz już naprawdę rozgniewana.

– Chcesz powiedzieć: ten cholerny morderca, seryjny zabójca, człowiek, który zawsze trafia w cel, który strzela ludziom w tętnicę szyjną, a później podrzyna im gardła? O niego ci chodzi?

– To... To człowiek, którego szukamy, tak.

– To co, nie ma dość policji w Connecticut, żeby się tym zająć?

– Teraz namierzył mnie.

– Co takiego?

– Chyba ustalił, że to ja pracuję nad sprawą, i może chce spróbować czegoś głupiego, a to da nam wyjątkową okazję. To nasza szansa, możemy się z nim zmierzyć, a nie tylko sprzątać po kolejnym morderstwie.

– Co takiego!? – tym razem to nie było pytanie, tylko pełen bólu okrzyk.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział bez przekonania. – Facet zaczyna popełniać błędy. Podąża w kierunku autodestrukcji. Musimy po prostu być na miejscu, kiedy to się stanie.

– Kiedy miałeś taką pracę, to rzeczywiście musiałeś w takie miejsca jeździć. Teraz nie musisz.

– Madeleine, na Boga, jestem gliniarzem! – te słowa eksplodowały, były

jak wybuch, który rozerwał tamy na wielkiej rzece. – Dlaczego, do cholery, nie możesz tego zrozumieć?

– Nie, Davidzie – odparła spokojniejszym głosem. – Ty byłeś gliniarzem. Już nie jesteś. Wcale nie musisz tam jechać.

– Jestem na miejscu. – Wystarczyła chwila ciszy po tym zdaniu, a Gurney poczuł, że się uspokaja, że emocje odpływają jak morska fala. – Będzie dobrze. Wiem, co robię. Nic złego się nie stanie.

– David, co z tobą? Czemu cały czas wystawiasz się na kule? Gonisz za nimi? Czekasz, aż ktoś cię podziurawi jak sito? O to ci chodzi? Czy to jest twój plan na nasze wspólne życie? Ja tylko czekam, czekam i czekam, aż ktoś cię zabije, tak? – W jej głosie było tyle nowych emocji, że słowo „zabije” zupełnie go sparaliżowało. Zamilkła na chwilę. Po czym zapytała go tak cicho, że ledwo co rozróżniał słowa:

– O co tu naprawdę chodzi?

„O co tu chodzi?” – to pytanie uderzyło go z zaskoczenia. Stracił równowagę.

– Nie rozumiem cię.

Miał wrażenie, że intensywność ciszy po drugiej stronie słuchawki otacza go, jej milczenie napiera na niego jak gęsta mgła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał. Czuł, że serce wali mu jak młotem.

Chyba przełknęła ślinę. Wyczuł, intuicja podpowiadała mu, że Madeleine próbuje podjąć jakąś decyzję. W odpowiedzi znów postawiła pytanie, znów tak cicho, że ledwie je usłyszał.

– Czy chodzi o Danny’ego?

Czuł, że serce rozrywa mu klatkę piersiową, pulsuje w karku, w głowie, w dłoniach.

– Co? Co to mogłoby mieć wspólnego z Danny’em? – Nie chciał odpowiadać, a tym bardziej nie teraz, nie teraz, kiedy ma tyle do zrobienia.

– Davidzie – powiedziała. Widział ją oczami wyobraźni, jak kręci smutno głową, już postanowiła, że trzeba porozmawiać o tym najtrudniejszym z tematów. Kiedy Madeleine otwierała drzwi, nie było możliwości, by nimi

nie weszła. Była roztrzęsiona. Wzięła oddech i mówiła dalej: – Zanim Danny zginął, twoja praca stanowiła najważniejszą część twojego życia. Później była jedyną częścią twojego życia. Absolutnie i niepodzielnie jedyną. W ciągu ostatnich piętnastu lat nie robiłeś nic, tylko pracowałeś. Czasami mam wrażenie, że próbujesz coś kompensować, o czymś zapomnieć... Coś rozwiązać. – Napięcie w jej głosie spowodowało, że to ostatnie słowo zabrzmiało jak objaw jakiejś nieprzyjemnej choroby.

Próbował zachować równowagę, trzymając się faktów.

– Jadę do Wycherly pomóc w ujęciu człowieka, który zamordował Marka Mellery'ego. – Usłyszał własny głos, brzmiący tak, jakby należał do kogoś innego, kogoś, kto jest stary, przerażony, spięty, kogoś, kto próbuje myśleć i zachowywać się rozsądnie.

Puściła to, co powiedział, mimo uszu i podążała za własną myślą.

– Miałam nadzieję, że jeżeli otworzymy to tekturowe pudełko, popatrzymy na jego rysunek... Że będziemy mogli razem się pożegnać. Ale ty się nigdy nie żegnasz, prawda? Nigdy się z niczym nie żegnasz.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – zaprotestował.

To jednak nie była prawda. Kiedy mieli się przeprowadzać z miasta do Walnut Crossing, Madeleine całymi godzinami się żegnała. Nie tylko z sąsiadami, ale z całym domem, z rzeczami, które zostawiali za sobą, nawet z roślinami stojącymi na parapetach okien. I to go irytowało. Skarżył się, że jest sentymentalna, że rozmawia z nieożywionymi przedmiotami i że to jest dziwaczne, strata czasu, że się rozprasza, że to tylko utrudnia im przeprowadzkę. Ale w tym było coś więcej. Jej zachowanie dotyczyło jakiegoś miejsca w jego duszy, którego nie chciał poruszać, a teraz znów wskazała je palcem – była to ta część, która nigdy nie chciała powiedzieć „do widzenia”, która nie potrafiła sprostać rozłące.

– Wypychasz wszystko, byle tylko tego nie widzieć – mówiła. – Ale niektóre rzeczy nie odchodzą, bo nie pozwalasz im odejść. Żeby tak się stało, musisz na nie spojrzeć. Musisz spojrzeć na życie Danny'ego po to, by odpuścić. Ale oczywiście nie chcesz tego zrobić, chcesz po prostu... Co zrobić? Co? Umrzeć?

Zapanowała długa chwila ciszy.

– Chcesz umrzeć – powiedziała. – O to chodzi, prawda?

Poczuł pustkę, jaką – tak sobie to wyobrażał – czuje człowiek, znajdując się w oku cyklonu. Stan, który był bliski absolutnej próżni.

– Mam robotę do wykonania. – To była rzecz banalna, głupia i naprawdę bezsensowna. Nie wiedział, dlaczego w ogóle to powiedział.

Znów długie milczenie.

– Nie – powiedziała cicho, przełykając ślinę. – Wcale nie musisz tego robić. – Później dodała na granicy słyszalności, pełnym bólu głosem: – A może musisz. Może po prostu miałam nadzieję, że jest inaczej.

Nie potrafił znaleźć słów, nie potrafił uchwycić myśli. Siedział tak przez dłuższą chwilę, usta miał półotwarte, gwałtownie i szybko oddychał. W pewnym momencie – nie był pewien, kiedy – Madeleine się rozłączyła. Czekał, przytłoczony chaosem próżni, na jakąś uspokajającą myśl, na coś, co popchnie go do działania.

Zamiast tego poczuł absurdalność i rozpacz tej całej sytuacji – myśl, że nawet wtedy, kiedy on i Madeleine mówili o czystych, nieskazonych emocjach, oboje byli przerażeni i zagubieni, znajdowali się dosłownie setki kilometrów od siebie, w różnych stanach, odkrywając myśli i uczucia przed pustą przestrzenią, mówiąc do słuchawek telefonów.

Powróciło do niego również to, o czym nie potrafił z nią rozmawiać i czego jej nie ujawnił. Nie powiedział ani słowa o swoim głupim posunięciu, jakim było wysłanie listu, o tym, że stempel na znaczku może podpowiedzieć zabójcy, gdzie mieszkają, ani że ta bezmyślność wynikała z jego obsesji na punkcie śledztwa. Ta myśl wywołała lekkie mdłości, kiedy zdał sobie sprawę, że jego skoncentrowanie na prowadzonym śledztwie piętnaście lat wcześniej przyczyniło się do śmierci Danny'ego – a może było jej pierwotną przyczyną. To znaczące, że Madeleine znalazła związek między tą śmiercią a jego nową obsesją. Znaczące i – musiał to przyznać – wyjątkowo bolesne.

Czuł, że powinien do niej zadzwonić i przyznać się do błędu – ostrzec przed niebezpieczeństwem, na jakie ją naraził. Wybrał numer telefonu



domowego i czekał, aż ona odbierze. Telefon dzwonił, dzwonił, dzwonił i dzwonił. W końcu usłyszał swój własny głos nagrany na sekretarce, trochę sztywny, niemal oficjalny, wcale nie zapraszający – a później wysoki sygnał.

– Madeleine? Madeleine, jesteś tam? Proszę, odbierz, jeśli jesteś. – Czuł się tak, jakby tonął, zrobiło mu się niedobrze. Nie zdołał wymyślić nic, co zmieściłoby się w jednodominutowej wiadomości i miało jakikolwiek sens, nic, co zrobiłoby więcej dobrego niż złego, nic, co nie wywołałoby niepewności lub paniki. W końcu powiedział: – Kocham cię. Bądź ostrożna. Kocham cię. – Usłyszał jeszcze jeden wysoki sygnał i połączenie zostało przerwane.

Siedział w samochodzie i wpatrywał się w opuszczony, zabity deskami stragan, czuł ból i był zupełnie zdezorientowany. Miał wrażenie, że gdyby teraz zasnął, mógłby spać przez cały miesiąc albo zasnąć na zawsze. Na zawsze, byłoby najlepiej. Ale to nie miało sensu. To niebezpieczne myślenie, które kazało zmęczonym polarnikom położyć się na śniegu i zamarznąć na śmierć. Musi się otrząsnąć, wziąć za siebie i skupić. Do przodu. Małymi krokami. Jedna za drugą, myśli zaczęły się formować wokół niedokończonego zadania, które miał przed sobą. W Wycherly czeka go robota. Trzeba schwytać szaleńca. Ocalić życie. Gregory'ego Dermotta, swoje własne, a może nawet Madeleine. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Miejsce, do którego w końcu doprowadził go GPS, znajdowało się na niczym niewyróżniającym się przedmieściu w stylu kolonialnym, zbudowanym na zbyt rozległym terenie, tuż za drugorzędną drogą, na której nie było ani ruchu, ani chodników. Wysoki, gęsty żywopłot oddzielał działkę wraz z domem po bokach i z tyłu, a niższy, na wysokość klatki piersiowej, od przodu, po obu stronach bramy wjazdowej. Wszędzie było mnóstwo samochodów policyjnych – Gurney oszacował, że jest ich kilkanaście – stały zaparkowane pod dziwacznymi kątami w stosunku do żywopłotu, częściowo zagradzając drogę. Większość miała oznaczenia policji z Wycherly. Trzy były bez oznaczeń, umieszczono w nich migające koguty za przednią szybą. Brakowało samochodów patrolowych policji

stanowej Connecticut, ale może nie powinno to dziwić. Chociaż nie było to najrozsądniejsze ani najskuteczniejsze podejście, Gurney rozumiał, że miejscowa policja chce utrzymywać nad wszystkim kontrolę, kiedy ofiarą jest jeden z jej funkcjonariuszy. Gurney właśnie parkował na wolnym skrawku trawy na skraju asfaltu, gdy zobaczył młodego umundurowanego policjanta, który jedną ręką pokazywał mu, że ma jechać dookoła wozów patrolowych, a drugą jednoznacznie dawał do zrozumienia, by nie zatrzymywał się tam, gdzie właśnie stanął. Gurney wysiadł z samochodu i pokazał legitymację nadchodzącemu, potężnie zbudowanemu młodemu funkcjonariuszowi, który był bardzo spięty i mocno zaciskał usta. Napięte mięśnie jego karku, które były w stanie wojny z kołnierzem koszuli półtora rozmiaru za małym, kończyły się gdzieś pod policzkami. Przez bardzo długą chwilę studiował legitymację Gurneya, coraz mniej z tego rozumiejąc, by w końcu ogłosić:

– Tutaj jest napisane „Stan Nowy Jork”.

– Przyjechałem zobaczyć się z komisarzem Nardo – odparł Gurney.

Policjant popatrzył na niego wzrokiem tak twardym, jak twarde były mięśnie na jego piersi, niemal rozrywające koszulę, a później wzruszył ramionami.

– Jest w środku.

Na początku długiego podjazdu, na wsporniku tej samej wysokości, co skrzynka pocztowa, widniała beżowa metalowa tablica, na której czarnymi literami napisane było: GD SYSTEMY ZABEZPIECZEŃ. Gurney przemknął pod żółtą taśmą policyjną, którą otoczona była cała działka. Dziwne, ale chłód taśmy, który poczuł na szyi, po raz pierwszy tego dnia odwrócił jego uwagę od plątaniny myśli i kazał pomyśleć o pogodzie. Było ponuro, chłodno i bezwietrznie. W zaciemnionych miejscach pod żywopłotem z przodu i po bokach posesji leżały hałdy śniegu, który stopił się lekko i znów zmroził. Na podjeździe zobaczył kilka czarnych kałuż skutych lodem.

Na samym środku drzwi frontowych wisiała bardziej dyskretna wersja tablicy GD SYSTEMY ZABEZPIECZEŃ. Tuż obok drzwi Gurney ujrzał

oznaczenie, z którego wynikało, że dom jest chroniony przez firmę Axxon Silent Alarms. Kiedy doszedł do ceglanych schodów prowadzących na ganek podparty kolumnami, otworzyły się przed nim drzwi. To nie było bynajmniej zaproszenie. Osobnik, który się w nich ukazał, wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął je za sobą. Przelotnie spojrzął na Gurneya, jak gdyby go nie zauważył, i głośno, poirytowany, mówił coś do telefonu komórkowego. Był to atletycznie zbudowany mężczyzna po czterdziestce, o kwadratowej twarzy i nieustępliwych, gniewnych oczach. Miał na sobie kurtkę z żółtym napisem „POLICJA” na plecach.

– Już mnie słyszysz? – Zszedł z ganku na pół-wyschnięty, pół-zmarznięty trawnik. – Słyszysz mnie lepiej...? Dobrze. Mówiłem, że potrzebuję jeszcze jednego technika na miejscu zbrodni, i to jak najszybciej... Nie, nie o to chodzi, potrzebuję go teraz... Teraz, zanim się ściemni. Już ci literuję to słowo: teraz. Czego nie rozumiesz...? Dobrze. Dzięki. Na razie.

Nacisnął guzik na telefonie, rozłączył się i pokręcił głową.

– Cholerny idiota. – Spojrzął na Gurneya. – A pan tu czego?

Gurney nie zareagował na agresywny ton. Znał jego przyczynę. Kiedy ginął policjant, zawsze gotowały się emocje – buzował ledwo co kontrolowany gniew klanowy. Poza tym rozpoznawał głos mężczyzny, tego policjanta wysłał do domu Dermotta. To był John Nardo.

– Jestem Dave Gurney, panie komisarzu.

Przez głowę Nardo przeleciało kilka myśli, większość negatywnych. W końcu powiedział tylko:

– A po co pan tutaj?

Niby proste pytanie. A Gurney nie był nawet pewien, jak zacząć na nie odpowiadać. Postanowił mówić w telegraficznym skrócie.

– Zabójca mówi, że chce wykończyć Dermotta i mnie. Jak pan wie, Dermott jest tutaj. Teraz ja też jestem na miejscu. Lepszej przynęty ten skurwieli nie mógłby sobie życzyć. Może zrobi jakiś głupi ruch i będziemy mogli całą sprawę zakończyć.

– Tak pan sądzi? – w tonie Nardo wciąż pobrzmiwała bezinteresowna

wrogość.

– Jeśli pan chce – powiedział Gurney – mogę panu przekazać aktualne informacje na temat naszej części śledztwa, a pan mi powie, co tutaj odkrył.

– Co ja tu odkryłem? Odkryłem, że policjant, którego posłałem do tego domu na pana prośbę, nie żyje. Gary Sissek. Za dwa miesiące miał przejść na emeryturę. Odkryłem, że głowę ma odciętą równiutko za pomocą zbitej butelki po whisky. Odkryłem parę butów stojących obok jakiegoś głupawego plastikowego krzeselka tuż za żywopłotem. – Wykonał niekontrolowany gest w kierunku tyłów domu. – Dermott nigdy w życiu tego krzeselka nie widział. Jego sąsiad też nie. Więc skąd, do jasnej cholery, się tu wzięło? Czy ten świrus przyniósł ze sobą składane krzeselko ogrodowe?

Gurney skinął głową.

– Prawdę mówiąc, mogę stwierdzić, że raczej tak. Jest to część dość niespotykanego sposobu działania. Podobnie, jak butelka po whisky. Czy to przypadkiem nie była butelka po Four Roses?

Nardo gapił się na niego, na początku tępo, a później z większym zrozumieniem, jakby taśma, która przewijała się w jego głowie, nagle przyspieszyła.

– Jezus Maria! – powiedział. – Niech pan lepiej wejdzie do środka.

Drzwi prowadziły do szerokiego, pustego centralnego holu. Żadnych mebli, dywanów, obrazów na ścianach, tylko gaśnica i kilka alarmów dymowych. Na końcu holu były drzwi, za którymi, jak przypuszczał Gurney, znajdował się ganek, na którym Gregory Dermott odkrył tego ranka zwłoki policjanta. Stłumione głosy z zewnątrz wskazywały na to, że ekipa z laboratorium kryminalistycznego, badająca miejsce zbrodni, jest wciąż przy pracy.

– A gdzie Dermott? – spytał Gurney.

Nardo uniósł kciuk w kierunku sufitu.

– W sypialni. Ma migrenę ze stresu, a poza tym jest mu niedobrze. Nie można powiedzieć, żeby był w dobrym nastroju. Czuł się naprawdę

fatalnie, zanim zadzwonił ten telefon i gość powiedział, kto jest następny, ale wtedy... Cholera jasna!

Gurney miał wiele pytań, ale wydawało mu się, że będzie lepiej, jeżeli Nardo narzuci tempo. Rozglądał się teraz po parterze domu. Za drzwiami po prawej widział sporych rozmiarów pokój o białych ścianach i gładkiej, drewnianej podłodze. Na długim stole na samym środku pokoju stało kilka komputerów. Na biurku przy ścianie zobaczył telefony, faksy, drukarki, skanery, twarde dyski i urządzenia peryferyjne. Na przeciwległej ścianie była kolejna gaśnica. Zamiast alarmu dymowego wbudowany system zraszania. W pokoju były tylko dwa okna, jedno od frontu i drugie od tyłu, za małe jednak, aby oświetlić taką przestrzeń, wewnątrz było więc ciemno jak w tunelu, pomimo białych ścian.

– Tu prowadzi firmę komputerową, a mieszka na górze. Pójdziemy do drugiego pokoju – powiedział Nardo, wskazując drzwi po drugiej stronie holu. Równie mało przytulny, czysto funkcjonalny był o połowę mniejszy od pierwszego, a okno miał tylko z jednej strony, co czyniło z pomieszczenia rodzaj jaskini. Nardo wcisnął włącznik oświetlenia, kiedy wchodzili, a cztery wbudowane w sufit lampy zmieniły tą norę w jaskrawo oświetlone, białe wnętrze, wyposażone w szafę katalogową stojącą przy jednej ścianie oraz stół z dwoma komputerami, kolejny blat z ekspresem do kawy i mikrofalówką przy drugiej. Przy pustym stole na środku pokoju stały dwa krzesła. W tym pomieszczeniu był zarówno alarm dymowy, jak i system zraszania. To miejsce przypominało Gurneyowi wysprzątaną i czystą wersję nijakiego pomieszczenia, w którym na jego ostatnim posterunku policjanci spędzali przerwy. Nardo usiadł na krześle i gestem wskazał Gurneyowi drugie. Przez dłuższą chwilę masował skronie, jak gdyby próbował wycisnąć z głowy całe napięcie minionego dnia. Wyraz jego twarzy zdradzał, że masaż nie skutkuje.

– Nie kupuję tej historii z „przynętą” – Nardo zmarszczył nos, jak gdyby samo słowo mu zaśmierdziało.

– To tylko część prawdy. – Gurney uśmiechnął się.

– A druga część?

- Nie jestem pewien.
- Przyjechał pan tutaj odgrywać jakiegoś bohatera?
- Chyba nie. Mam przeczucie, że mogę pomóc.
- Tak? A jeżeli ja mam inne przeczucie?
- To pana cyrk i pana małpy, panie komisarzy. Jeśli chce pan, żebym pojechał do domu, to pojedę.

Nardo obrzucił go długim, cynicznym spojrzeniem. W końcu chyba zmienił zdanie, przynajmniej na jakiś czas.

- Więc butelka po whisky Four Roses jest właściwym elementem dla sposobu działania mordercy?

Gurney skinął głową. Nardo westchnął głęboko. Wyglądało to tak, jakby bolały go każdy mięsień i każda kość. Albo jak gdyby fizycznie odczuwał ból świata.

- Dobrze, panie inspektorze. Niech mi pan powie wszystko, o czym pan mi jeszcze nie mówił.

## Dom z historią w tle

Gurney opowiedział o odciskach butów na śniegu prowadzących jakby wstecz, o wierszach, o nienaturalnym głosie w telefonie, o dwóch niepokojących sztuczkach z cyframi, o alkoholowej przeszłości ofiar, o torturach emocjonalnych i umysłowych, o wrogich wyzwaniach rzuconych policji, o napisie REDRUM na ścianie oraz o „panu i pani Scylla”, którzy zarejestrowali się w pensjonacie Pod Laurami, o wysokiej inteligencji i uporze zabójcy. Mówił dalej o szczegółach trzech zabójstw, aż do momentu, gdy wyczuł, że Nardo już więcej informacji nie przyjmie. Zakończył tym, co według niego było najważniejsze:

– On chce udowodnić dwie rzeczy. Po pierwsze, że ma władzę, dzięki której może kontrolować i karać pijaków. Po drugie, że policjanci to głupcy, którzy do niczego się nie nadają. Jego zbrodnie są celowo konstruowane jak wymyślne gry, zagadki umysłowe. Jest błyskotliwy, obsesyjny, dokładny. Jak dotąd nie zostawił żadnego odcisku palca, włosa, kropli krwi, włókna z ubrania czy innego śladu, nic, czego by nie planował. Nie popełnił żadnego błędu, w każdym razie my niczego takiego nie odkryliśmy. Prawda jest taka, że wiemy o nim bardzo niewiele, a jego metody lub motywy także są tajemnicze. Może z jednym wyjątkiem.

Nardo uniósł umęczoną głowę.

– Pracuje z nami doktor Holdenfield, która specjalizuje się w analizach profili psychologicznych seryjnych morderców. Uważa, że zabójca osiągnął punkt krytyczny i może szykować coś naprawdę wystrzałowego.

Nardo zacisnął szczęki. Odezwał się niechętnie, w jego głosie słychać było gniew.

– Coś, przy czym zadżganie mojego kolegi na ganku tego domu będzie tylko rozgrzewką?

Nie było to pytanie, na które można lub trzeba było odpowiadać. Dwaj mężczyźni siedzieli w ciszy, aż jakiś ledwie słyszalny odgłos, być może

nieregularnego oddechu, zwrócił ich uwagę i obaj jednocześnie spojrzeli w kierunku drzwi. Stał w nich olbrzymi policjant postury gracza futbolu amerykańskiego, który zjawił się tu bezszelestnie, mimo swoich gabarytów. Miał taką minę, jak gdyby dopiero co zszedł z fotela dentystycznego.

Nardo wiedział, że coś się święci.

– Co jest, Tommy?

– Już wiadomo, gdzie jest żona Gary’ego.

– Boże. Dobrze. Gdzie jest?

– W drodze do domu z zajezdni. Jeździ jako kierowca autobusu szkolnego.

– Właśnie. Właśnie. O, kurde. Powinienem sam pojechać, ale nie mogę teraz tu wszystkiego zostawić. Gdzie, do cholery, jest szef? Ktoś już go namierzył?

– Jest w Cancún.

– Wiem, cholera jasna, że jest w Cancún. Ale dlaczego nie czyta esemesów?

Nardo wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

– Hacker i Pickardo, oni są chyba najbliżej tej rodziny. Czy Pickardo nie jest kuzynem jego żony czy coś w tym guście? Poślij Hackera i Pickardo. Chryste. Ale powiedz Hackerowi, żeby najpierw przyszedł do mnie na słówko.

Gigantyczny młody gliniarz zniknął równie bezszelestnie, jak się pojawił. Nardo raz jeszcze głęboko westchnął. Zaczął mówić w taki sposób, jak gdyby oberwał w głowę i miał nadzieję, że rozmowa pomoże mu oczyścić umysł.

– Więc powiada pan, że wszyscy byli alkoholikami. Gary Sissek nie był alkoholikiem, co to może oznaczać?

– Był policjantem. Może to wystarczyło. A może wszedł w drogę mordercy, który planował zaatakować Dermotta. Albo jest jakieś inne powiązanie.

– Jakie inne powiązanie?

– Nie wiem.



Usłyszeli trzaśnięcie drzwiami, stukot butów na podłodze i w drzwiach pojawił się chudy, żylasty mężczyzna w cywilnym ubraniu.

– Miałem się zgłosić.

– Nie gniewaj się, że to musisz być ty, ale chciałbym, żebyś ty i Pickardo...

– Wiem.

– Dobrze. No tak. Mówcie zwięźle. Najprościej, jak się da. „Śmiertelny cios w trakcie ochrony ofiary ataku zabójcy. Zginął jak bohater”. Coś w tym guście. Cholera jasna, Chryste! Rozumiesz, żadnych szczegółów, żadnej kałuży krwi. Wiesz, o co mi chodzi? Na to wszystko czas przyjdzie później, jeśli trzeba będzie to ujawnić. Ale na razie...

– Rozumiem, panie komisarzu.

– Dobrze. Posłuchaj. Szkoda, ja sam nie mogę tam jechać. Naprawdę nie mogę teraz wyjść. Powiedz, że wieczorem wpadnę do niej do domu.

– Tak jest, panie komisarzu.

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach, żeby się upewnić, że Nardo nie ma mu już nic więcej do powiedzenia, a następnie odmaszerował, skąd przyszedł, zamykając za sobą drzwi na tyłach domu, tym razem już bez trzaskania. Nardo jeszcze raz zmusił się do powrotu do rozmowy z Gurneyem.

– Czy ja tu czegoś nie rozumiem, czy to, jak pan nakreślił całą sprawę, jest czysto teoretyczne? Niech pan mnie poprawi, jeśli się mylę, ale nie usłyszałem jeszcze nic na temat listy podejrzanych, nie usłyszałem właściwie żadnych konkretnych tropów, po których można by pójść za sprawcą, tak czy nie?

– Mniej więcej.

– A ta kupa niby to konkretnych dowodów: koperty, papier, czerwony atrament, buty, zbite butelki, odciski na śniegu, podsłuchiwane i nagrywane rozmowy, zapisy transmisji z wież przekaźnikowych telefonii komórkowej, zwrócone czekie, nawet wiadomości pisane przez tego szaleńca palcem po szkle... To wszystko do niczego was nie doprowadziło?

– Można na to spojrzeć i tak.

Nardo znów pokręcił głową, jakby mu to weszło w zwyczaj.

– Koniec końców nie wiecie, kogo szukacie ani jak go znaleźć.

Gurney uśmiechnął się.

– I może dlatego tu jestem.

– Dlaczego?

– Bo nie mam pojęcia, co z tym dalej zrobić.

Było to proste przyznanie się do banalnego faktu. Intelktualna satysfakcja pochodząca z rozszyfrowania szczegółów taktycznych sposobu działania zabójcy to tylko rozrywka, odwrócenie uwagi od tego, że w najważniejszej kwestii tak, jak ją formułował Nardo, nie ma żadnych postępów. Gurney musiał zmierzyć się z realiami pomimo genialnych odkryć na peryferiach tajemnic tej sprawy. Był niemal tak samo odległy od wskazania i schwytania sprawcy, jak tego ranka, kiedy Mark Mellery przyniósł mu pierwszy zagadkowy list i poprosił o pomoc.

Nardo zmienił nieco postawę, rozluźnił się i jakby na chwilę zapomniał o agresji.

– W Wycherly nigdy nie mieliśmy żadnego morderstwa – powiedział. – A już na pewno nie prawdziwego. Kilka spraw o nieumyślne pozbawienie życia, kilka ofiar wypadków samochodowych, jeden podejrzany wypadek na polowaniu. Nigdy nie mieliśmy tu zabójstwa, w którym nie uczestniczyłby jakiś pijany kretyn. Na pewno nie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech lat.

– Tak długo pracuje pan w policji?

– Tak. Starszy stażem był tylko... Gary. Za chwilę miało mu stuknąć dwadzieścia pięć lat pracy. Żona chciała, żeby poszedł na emeryturę po dwudziestu latach, ale wykombinował sobie, że jeżeli zostanie jeszcze pięć... Cholera! – Nardo otarł oczy. – Nie tracimy tutaj policjantów na służbie – powiedział, jak gdyby tych kilka łez musiało znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Gurney poczuł chęć wyznania, że wie, jak to jest stracić kolegę. On sam stracił dwóch podczas jednego nieudanego aresztowania. Zamiast tego jedynie współczująco kiwnął głową. Minutę później Nardo odchrząknął.

– Chciałby pan porozmawiać z Dermottem?  
– Prawdę mówiąc tak. Tylko nie chcę wchodzić panu w drogę.  
– Nie ma obawy – Nardo powiedział mocniej, maskując chwilę słabości.  
Później rzucił bardziej neutralnie: – Rozmawiał pan z nim przez telefon, tak?

– Tak.  
– I wie, kim pan jest?  
– Tak.  
– Więc nie potrzebuje mnie pan tam, na górze. Niech pan mi tylko powie, co i jak, kiedy skończycie.  
– Jak pan sobie życzy, panie komisarzu.  
– W górę po schodach i drzwi po prawej. Życzę powodzenia.

Wchodząc po prostych dębowych schodach, Gurney zastanawiał się, czy pierwsze piętro powie mu coś więcej na temat osobowości lokatora tego domu niż parter, w którym nie było nawet odrobiny więcej ciepła ani życia niż w sprzęcie komputerowym, który się tam znajdował. Na półpiętrze powtórzył się motyw przeciwpożarowy – gaśnica na ścianie, alarm dymowy i zraszacze na suficie. Gurney miał wrażenie, że Gregory Dermott jest człowiekiem, który lubi się zabezpieczać. Zastukał w odpowiednie drzwi, zgodnie ze wskazówkami Nardo.

– Tak? – w tym słowie był ból, zgrzyt, niecierpliwość.  
– Inspektor Gurney, panie Dermott. Mogę panu zająć minutę?  
– Gurney? – odezwał się głos po chwili przerwy.  
– Dave Gurney. Rozmawialiśmy przez telefon.  
– Niech pan wejdzie.

Gurney otworzył drzwi do pokoju ocienionego częściowo zasłoniętymi żaluzjami. Zobaczył łóżko, nocny stolik, biureczko, fotel i przy ścianie coś w rodzaju biurka lub stołu, przy którym stało składane krzesło. Drewniane meble i panele były ciemne. Wystrój i wnętrze nowoczesne, na pierwszy rzut oka dość drogie. Narzuta łóżka i dywan były szarobrązowe, zasadniczo bez koloru. Mężczyzna siedział na fotelu na wprost drzwi, przechylony w bok, jak gdyby ta dziwna pozycja pomagała mu opanować dyskomfort.

Pierwsze spostrzeżenie Gurneya było takie, że jest to typ inżyniersko-techniczny, prowadził w końcu firmę komputerową. Światło było słabe, więc trudno było określić jego wiek, ale na pierwszy rzut oka miał trzydzieści parę lat. Przyglądał się Gurneyowi przez chwilę, jak gdyby próbował wyczytać z jego twarzy odpowiedź na jakieś pytanie, a później zapytał cicho:

- Powiedzieli panu?
  - O czym?
  - O tym telefonie... Od tego mordercy, szaleńca.
  - Słyszałem. A kto odebrał?
  - Kto odebrał? Chyba któryś z policjantów. Jeden z nich tu po mnie przyszedł.
  - Osoba, która dzwoniła, poprosiła pana po nazwisku?
  - Chyba... Nie wiem... To znaczy chyba tak. Telefon był do mnie, tak powiedział ten policjant.
  - Rozpoznał pan głos osoby dzwoniącej?
  - To nie był normalny głos.
  - Co pan chce przez to powiedzieć?
  - To jakiś świr. Mówił raz wyżej, raz niżej, wysoko jak kobieta, później nisko. Dziwny akcent. Jakby to był jakiś jednocześnie głupi i poważny kawał. – Przycisnął palce do skroni. – Powiedział, że ja będę pierwszy, a później pan. – Wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż przerażonego.
  - Były jakieś odgłosy w tle?
  - Jakieś... co?
  - Czy słyszał pan coś oprócz głosu tej osoby? Muzykę, odgłosy ruchu ulicznego, inne dźwięki?
  - Nie. Nic nie słyszałem.
- Gurney skinął głową i rozejrzał się po pokoju.
- Mogę usiąść?
  - Co takiego? Oczywiście, niech pan siada. – Dermott zrobił szeroki gest, wskazując na pokój, jak gdyby był pełen krzesel.
- Gurney usiadł na brzegu łóżka. Miał silne przeczucie, że kluczem do

całej sprawy jest Gregory Dermott. Żałował tylko, że nie przychodzą mu na myśl właściwe pytania, które mógłby zadać. Właściwy temat, o którym należałoby porozmawiać. Z drugiej strony, bardzo często najlepiej nic nie mówić. Stworzyć ciszę, pustą przestrzeń i przekonać się, jak druga osoba ją wypełni. Gurney przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w dywan. To podejście wymagało cierpliwości i właściwej oceny. Trzeba było wiedzieć, kiedy pozostawianie pustej przestrzeni do wypełnienia zamienia się w zwykłą ciszę, stratę czasu. Już dochodził do tego momentu, kiedy Dermott się odezwał.

– Dlaczego właśnie ja? – jego głos był zaczepny, podenerwowany, była to skarga, a nie pytanie. Gurney postanowił nie odpowiadać. Po kilku sekundach Dermott podjął wątek. – Uważam, że to może mieć coś wspólnego z tym domem. – Zawiesił głos. – Chciałbym o coś pana zapytać. Zna pan osobiście kogoś z komisariatu policji w Wycherly?

– Nie. – Kusiło go, żeby się dowiedzieć, skąd to pytanie, ale spodziewał się, że prędzej czy później usłyszy odpowiedź.

– Nikogo, ani w przeszłości, ani teraz?

– Nie, nikogo. – Zobaczył w oczach Dermotta coś, co domagało się dalszych zapewnień, i dodał: – Zanim zobaczyłem instrukcje dotyczące wysłania czeku w liście do Marka Mellery’ego, nie wiedziałem nawet, że Wycherly istnieje.

– Nikt panu nie mówił, co wydarzyło się w tym domu?

– Wydarzyło?

– W tym domu. Dawno temu.

– Nie – odparł zaintrygowany Gurney.

Dyskomfort Dermotta wynikał z czegoś więcej niż tylko z bólu głowy.

– A co takiego się wydarzyło?

– To wszystko informacje z drugiej ręki – odparł Dermott – ale kiedy kupiłem ten dom, któryś z sąsiadów powiedział mi, że dwadzieścia parę lat temu miała tu miejsce jakaś straszliwa kłótnia, podobno mąż i żona... Żonę zadźgano.

– I widzi pan tu jakieś powiązania...?

– Może to przypadek, ale...

– Tak?

– Już o tym zapomniałem. Dopiero dzisiaj sobie przypomniałem. Dzisiaj rano, kiedy znalazłem... – Wykrzywił gwałtownie usta, jakby nagle zrobiło mu się niedobrze.

– Niech pan się nie spieszy – powiedział Gurney. – Mamy czas.

Dermott ujął głowę w dłonie.

– Ma pan broń?

– Tak, posiadam broń.

– To znaczy... przy sobie.

– Nie. Nie noszę przy sobie broni, odkąd skończyłem pracować w policji nowojorskiej. Jeżeli pan czegoś się obawia, w obrębie stu metrów od domu jest kilkunastu policjantów – powiedział Gurney.

Dermott nie wyglądał na szczególnie pocieszonego.

– Mówił pan, że coś sobie pan przypomniał?

Dermott skinął głową.

– Zupełnie o tym zapomniałem, ale to do mnie wróciło, kiedy zobaczyłem... zobaczyłem tę kałużę krwi.

– Co takiego wróciło?

– Kobieta, którą zadźgano w tym domu... Zadano jej rany w gardło.

## Wybić ich do nogi

Dermott przypomniał sobie, że sąsiad (już nieżyjący), który mówił, że to wydarzenie miało miejsce dwadzieścia parę lat temu, miał na myśli to, że mogło to być równie dobrze mniej niż dwadzieścia pięć, a to by z kolei znaczyło, że zarówno John Nardo, jak i Gary Sissek mogli już służyć w policji w dniu tego ataku. Chociaż obraz był jeszcze niejasny, Gurney czuł, że kolejny kawałek układanki wpasowuje się w swoje miejsce. Miał więcej pytań do Dermotta, ale mógł z nimi poczekać do czasu, gdy komisarz wyjaśni mu parę kwestii.

Zostawił Dermotta siedzącego sztywno na krześle. Żaluzje nie wpuszczały światła dziennego do pokoju, Dermott wyglądał, jak gdyby nie mógł zapanować nad nerwami ani znaleźć sobie miejsca, gdzie dałoby się wygodnie usiąść. Kiedy Gurney schodził po schodach, zobaczył policjantkę w kombinezonie technika z laboratorium kryminalistycznego, która pytała Nardo, co zrobić z terenem wokół domu, który już przeszukano.

– Otoczyć taśmą, nie pozwalać na zdeptanie na wypadek, gdyby trzeba było raz jeszcze go przeczesać. Przenieść krzesło, butelkę, wszystko inne, co macie, na komisariat. Wydzielić część pomieszczenia z kartotekami i tam złożyć dowody.

– A co z tym wszystkim, co leży na stole?

– Przenieść do pokoju Colberta. Na razie.

– To mu się nie spodoba.

– A co mnie to, cholera... Posłuchaj, zajmij się tym.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Zanim wyjdiesz, każ Dużemu Tommy'emu stanąć przed domem, a Pat przy telefonie. Wszystkich innych masz rozesłać po domach. Chcę wiedzieć, czy w ciągu ostatnich kilku dni któryś z sąsiadów słyszał lub widział coś odbiegającego od normy, zwłaszcza wczoraj w nocy lub nad ranem: jakichś obcych, samochody zaparkowane tam, gdzie nie powinny być zaparkowane,

kogoś, kto się kręcił po okolicy, kogoś, kto podejrzenie się spieszył, cokolwiek.

– W jakim promieniu mamy szukać?

Nardo spojrział na zegarek.

– Szukajcie tak daleko, jak się da przez najbliższe sześć godzin. Potem podejmiemy decyzję co dalej. Jeśli coś interesującego się pojawi, chcę, żeby mnie natychmiast informowano.

Kiedy policjantka odeszła, by wykonać zadanie, Nardo odwrócił się do Gurneya stojącego tuż przed schodami.

– Dowiedział się pan czegoś?

– Nie jestem pewien – powiedział Gurney cicho, po czym gestem poprosił Nardo o przejście do pokoju, w którym siedzieli wcześniej. – Mam nadzieję, że pan pomoże mi się w tym zorientować.

Gurney usiadł na krześle na wprost drzwi. Nardo stał przy krześle po drugiej stronie kwadratowego stołu. Miał na twarzy wyraz zaciekawienia i czegoś jeszcze, ale Gurney nie potrafił tego odczytać.

– Wie pan, że w tym domu ktoś został zadźgany?

– O czym pan mówi?

– Niedługo po tym, jak Dermott kupił dom, sąsiad powiedział mu, że kobietę mieszkającą tu wiele lat temu zaatakował jej mąż.

– Ile lat temu?

Gurney był pewien, że błysk w oczach Nardo oznacza, że wie, o co chodzi.

– Dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Gdzieś w tych granicach.

Tej odpowiedzi Nardo chyba się spodziewał. Westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Dawno się nad tym nie zastanawiałem. Tak, kłótnia rodzinna jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Zaczynałem wtedy pracę w policji. No i co z tego?

– Pamięta pan jakieś szczegóły?

– Zanim zaczniemy wspominać, może pan powiedzieć, jaki to ma związek ze sprawą?

– Kobieta, którą zaatakowano, została dźgnięta w gardło.



– I to ma coś oznaczać? – Gurney dostrzegł nerwowy tik w kąciku ust Nardo.

– W tym domu zaatakowano dwoje ludzi. Człowieka można napaść w różny sposób, ale na mój gust fakt, że oboje dźgnięto w gardło, jest dosyć znaczący.

– Ze sposobu, w jaki pan to mówi, mogłoby wynikać, że to są dwie identyczne rzeczy, ale nie mają ze sobą nic wspólnego. Co może łączyć morderstwo policjanta, który chronił dzisiaj potencjalną ofiarę, z awanturą domową sprzed dwudziestu kilku lat?

Gurney wzruszył ramionami.

– Jeśli wiedziałbym więcej o tej „awanturze”, może mógłbym panu odpowiedzieć na to pytanie.

– Dobrze. W porządku. Powiem panu to, co mogę powiedzieć, ale jest tego niewiele. – Nardo przerwał, spojrział na blat stołu, a może we własną przeszłość. – Tego dnia nie byłem na służbie.

„Dziwne, że się tak zarzeka – pomyślał Gurney. – Dlaczego tak się asekuruje?”

– Więc znam tę historię z drugiej ręki – mówił dalej Nardo. – Tak jak w przypadku większości awantur domowych mąż był pijany w sztok, wdał się w sprzeczkę z żoną, chwycił butelkę, walnął nią kobietę, butelka chyba się rozbiła, ona doznała obrażeń i tyle.

Gurney wiedział doskonale, że to wcale nie było wszystko. Zastanawiał się tylko, jak wydobyć z niego resztę tej opowieści. Jedna z niepisanych reguł pracy policyjnej głosi, że należy mówić tylko to, co konieczne, a Nardo przestrzegał tej reguły co do joty. Czując, że nie ma czasu na subtelności, Gurney postanowił zaatakować z impetem.

– Panie komisarzu, pierdoły mi pan tu opowiada! – powiedział, kręcąc głową zdegustowany.

– Pierdoły? – w głosie Nardo była groźba, chociaż mówił prawie szeptem.

– Jestem przekonany, że powiedział mi pan prawdę. Problem polega na tym, czego tu jeszcze brakuje.

– Może to, czego brakuje, to nie pańska sprawa. – Nardo wciąż się

opierał, ale z jego głosu powoli znikła pewność.

– Niech pan zrozumie, że ja nie jestem kimś z innej jurysdykcji, kto wpycha nos w nie swoje sprawy. Gregory Dermott odebrał dzisiaj rano telefon, w którym morderca groził, że mnie zabije. Mnie zabije. Jeżeli jest coś, co mogłoby połączyć to, co pan nazywa awanturą domową, z naszym śledztwem, to, do jasnej cholery, chyba mam prawo wiedzieć.

Nardo odchrząknął i podniósł wzrok na sufit, jak gdyby tam chciał znaleźć właściwy sposób wyrażenia myśli, albo może wyjście awaryjne. Gurney odezwał się łagodniejszym tonem.

– Może pan zacząć od nazwisk ludzi, którzy byli w to zamieszani.

Nardo skinął głową, odsunął krzesło, za którym stał, i usiadł.

– Jimmy i Felicity Spinks. – Mówił głosem zrezygnowanym, jakby miał ujawnić za chwilę jakąś nieprzyjemną prawdę.

– Mówi pan o nich tak, jak gdyby pan ich dobrze znał.

– Tak. Co mam powiedzieć? Tak czy inaczej...

Gdzieś w głębi domu rozbrzmiał dzwonek telefonu. Zadzwonił raz i Nardo chyba go nie usłyszał.

– No tak. Jimmy trochę popijał. A prawdę mówiąc, chlał. Przyszedł kiedyś wieczorem do domu i zaczął się kłócić z Felicity. Tak, jak powiedziałem, skończyło się to na pocięciu jej butelką. Straciła dużo krwi. Nie widziałem tego, bo nie byłem tego dnia na służbie, ale chłopcy, którzy przyjechali na wezwanie, mówili cały tydzień o tej krwi. – Nardo znów wbił spojrzenie w stół.

– Przeżyła?

– Co takiego? Tak, przeżyła, ale cudem. Uszkodzenie mózgu.

– Co się z nią stało?

– Co się stało? Chyba poszła do jakiegoś domu opieki.

– A z mężem?

Nardo zawahał się. Gurney nie potrafił określić, czy Nardo nie może sobie tego przypomnieć, czy po prostu nie chce o tym rozmawiać.

– W sądzie mówił, że to było w obronie własnej – powiedział w końcu z niesmakiem. – Jakoś się dogadał z prokura torem. Wyrok skrócono mu do

czasu, który już odsiedział. Stracił pracę. Wyjechał z miasta. Służby socjalne zajęły się dzieckiem. I koniec tej historii.

Intuicja Gurneya, wyczulona po tysiącach przesłuchań, mówiła mu, że nadal nie usłyszał wszystkiego. Czekał, obserwując dyskomfort Nardo. W tle słychać było czyjś głos – prawdopodobnie głos osoby, która odebrała telefon, ale słów nie dało się zrozumieć.

– Czegoś nie mogę tu pojąć – powiedział Gurney. – Co takiego jest w tej historii, że nie mógł mi jej pan opowiedzieć na samym początku?

Nardo spojrzał na Gurneya z ukosa.

– Jimmy Spinks był gliniarzem.

Gurney poczuł dreszcz na plecach, a w głowie roiły mu się niecierpiące zwłoki pytania, ale zanim otworzył usta, w drzwiach pojawiła się kobieta o kwadratowej szczęce i krótko ostrzyżonych blond włosach. Miała na sobie dzinsy i ciemną koszulkę polo. Glock w kaburze dopełniał całości.

– Panie komisarzu, właśnie był telefon. Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. – Nie powiedziała „natychmiast”, ale miała to w oczach.

Nardo musiał poczuć ulgę, że mu przerwała, spojrzał z uwagą na kobietę i czekał, co powie. Ona zaś niepewnie spojrzała na Gurneya.

– W porządku – powiedział Nardo obojętnie. – On jest z nami. Mów dalej.

Obrzuciła Gurneya kolejnym spojrzeniem, które nie było sympatyczniejsze niż to pierwsze, po czym podeszła do stołu i położyła na blacie miniaturowy dyktafon cyfrowy wielkości iPod'a.

– Tu wszystko jest nagrane, panie komisarzu.

Zawahał się przez chwilę, zmrużył oczy, a następnie wcisnął przycisk. Urządzenie zaczęło natychmiast odtwarzać nagranie. Jakość była doskonała.

Gurney rozpoznał pierwszy głos. Był to głos kobiety stojącej przy stole.

– GD Security Systems. – Z pewnością kazano jej odbierać telefony tak, jakby była pracowniczką Dermotta.

Drugi głos był dziwaczny. Gurney rozpoznawał go bezbłędnie, ponieważ słyszał go w słuchawce, kiedy przemawiał do Marka Mellery'ego.

Wydawało mu się to bardzo odległe. Między jedną rozmową telefoniczną a drugą stały cztery śmierci – śmierci, które zniekształciły jego poczucie czasu. Mark w Peony, Albert Rudden w Bronksie, Richard Kartch w Sotherton (Richard Kartch – dlaczego na dźwięk tego nazwiska zawsze pojawia się dziwne odczucie czegoś niespójnego?) i policjant Gary Sissek w Wycherly. Trudno było się pomylić, słysząc tę dziwnie pnącą się w górę i opadającą intonację.

– Jeśli mógłbym słyszeć głos Boga, co by mi powiedział? – Pytanie zabrzmiało groźnie, zadane głosem filmowego złoczyńcy z jakiegoś horroru.

– Halo? Mógłby pan powtórzyć? – Zaskoczenie w głosie policjantki, które usłyszeli w nagraniu, było równie silne, jakby była prawdziwą sekretarką w prawdziwej firmie.

Głos dzwoniącego powtórzył dobitniej.

– Jeśli mógłbym usłyszeć Boga, co On by mi powiedział?

– Bardzo przepraszam, mógłby pan powtórzyć? Chyba coś przerywa na łączach. Dzwoni pan z komórki?

Policjantka zwróciła się do Nardo, mówiła szybko, komentując nagranie.

– Próbowałam przedłużyć rozmowę tak, jak pan kazał, żeby mówił tak długo, jak się da.

Nardo skinął głową. Słuchali dalej nagrania.

– Jeśli mógłbym słyszeć głos Boga, co by mi powiedział?

– Naprawdę nie rozumiem, proszę pana. Mógłby pan wyjaśnić, o co chodzi?

Głos, nagle potężniejszy, obwieścił:

– Bóg kazał mi ich wszystkich pozabijać!

– Halo? Nie wiem, o co chodzi. Chce pan tę wiadomość zostawić? Mam ją komuś przekazać?

Usłyszeli śmiech podobny do dźwięku miażdżonego celofanu.

*Dzień sądu jest blisko, więc szkoda mi słów.  
Rozglądaj się, Dermott, czar Gurneya zblakł.  
Nadchodzi czyściciel. Tak-tik-tak.*

## Powtórne przeszukanie

Pierwszy odezwał się Nardo.

– To cała rozmowa?

– Tak, panie komisarzu.

Oparł się na krzesło i znów masował sobie skronie.

– Mayers się odzywał?

– Wciąż zostawiamy wiadomości w recepcji hotelowej i wysyłamy esemesy. Nagrywamy mu się na sekretarkę, ale milczy.

– Rozumiem, że numer dzwoniącego się nie wyświetlił?

– Nie, panie komisarzu.

– „Wszystkich ich pozabijać”, co?

– Tak, właśnie tak powiedział. Chce pan raz jeszcze posłuchać?

Nardo pokręcił głową.

– Jak sądzisz, o kim mówił?

– Nie rozumiem?

– „Wszystkich ich pozabijać”. Wszystkich. Ale kogo?

Policjantka nie wiedziała, co powiedzieć. Nardo spojrzał na Gurneya.

– Tylko zgaduję, panie komisarzu, ale sądzę, że albo pozostałych ludzi na jego liście, zakładając, że jest jakaś lista, albo nas wszystkich w tym domu.

– A co z tym „czyścicielem”, który nadchodzi? – spytał Nardo. – Dlaczego akurat „czyściciel”?

Gurney wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może po prostu podoba mu się to słowo, pasuje do jego patologicznej idei, wedle której działa.

Nardo bezwiednie skrzywił się z odrazą. Spojrzał na policjantkę i zwrócił się do niej po imieniu.

– Pat, chcę, żebyś stanęła przed domem razem z Dużym Tommym. Stańcie na narożnikach po przekątnej, żebyście mieli na oku każde drzwi i

okno. I jeszcze jedno, powiedzcie wszystkim ludziom na służbie, żeby byli przygotowani na natychmiastowe stawienie się tutaj, w tym domu, w ciągu minuty od usłyszenia strzału albo jakichś niepokojących odgłosów. Są pytania?

– Spodziewamy się napadu z bronią palną? – w jej głosie zabrzmiała nuta nadziei.

– Nie powiedziałbym, że „się spodziewamy”, ale to z pewnością jest bardzo możliwe.

– Uważa pan, że ten świrus jest wciąż gdzieś w pobliżu? – Zdawało się, że w jej oczach zapalił się niebieski płomień acetylenowo-tlenowy.

– Niewykluczone. Powiedz Dużemu Tommy’emu o tej ostatniej rozmowie. Miejcie oczy i uszy otwarte.

Skinęła głową i wyszła.

Nardo spojrział ponuro na Gurneya.

– Co pan o tym sądzi? Mam wezwać kawalerię, powiedzieć policji stanowej, że mamy tu wyjątkową sytuację? A może ten telefon to jakiś stek bzdur?

– Zważywszy na liczbę ciał, które zabójca za sobą zostawia, zakładanie, że to stek bzdur, byłoby dość ryzykowne.

– Niczego, do cholery, nie zakładam – odparł Nardo przez zaciśnięte usta.

Napięcie w tej wymianie zdań doprowadziło do dłuższej chwili ciszy. Przerwał ją chropawy głos dochodzący z pierwszego piętra.

– Komisarzu Nardo? Inspektorze Gurney?

Nardo zrobił minę, jak gdyby coś kwaśnego obracało mu się w żołądku.

– Może Dermottowi znów coś się przypomniało i chce się tym z nami podzielić. – Rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Pójdę zobaczyć, o co mu chodzi – rzucił Gurney.

Wyszedł z pokoju do holu. Dermott stał w drzwiach sypialni u szczytu schodów. Wyglądał na wściekłego, wyczerpanego i zniecierpliwionego.

– Mogę z panem porozmawiać? – nie brzmiało to przyjemnie.

Dermott wyglądał na zbyt roztrzęsionego, by zejść na dół, więc Gurney

zaczął wchodzić po schodach. Naszła go myśl, że to nie był tak naprawdę dom, tylko miejsce, w którym istniała firma, a na górze urządzono sypialnię. Tam, gdzie się wychowywał, w centrum miasta, to była rzecz zwyczajna – sklepikarze mieli mieszkania nad sklepami, jak na przykład znienawidzony właściciel małych delikatesów, którego wrogość wobec życia rosła z każdym dniem, albo przedsiębiorca pogrzebowy, który miał związki z mafią, mieszkający nad swoim biurem z grubą żoną i czworgiem tłustych dzieci. Samo wspomnienie wzbudziło w Gurneyu niesmak. Odsunął od siebie to uczucie, kiedy wchodził do sypialni, i skupił się na rozszyfrowywaniu przyczyny niepokoju na twarzy Dermotta. Ten zaś rozejrzał się wokół, a później popatrzył w dół schodów.

– Komisarz Nardo wyjechał?

– Jest na dole. Słucham, co mogę dla pana zrobić?

– Usłyszałem, że wozy patrolowe odjeżdżają – rzucił Dermott oskarżycielsko.

– Nie jadą daleko.

Dermott skinął głową, ale wcale nie był zadowolony. Miał coś na końcu języka, ale wcale mu się nie spieszyło, żeby o tym mówić. Gurney skorzystał z okazji i zadał kilka pytań, które nie dawały mu spokoju.

– Panie Dermott, z czego pan żyje?

– Co takiego? – w jego głosie było zdziwienie i irytacja.

– Na czym dokładnie polega pana praca?

– Moja praca? Pracuję w zabezpieczeniach. Chyba już o tym rozmawialiśmy.

– Ale bardzo ogólnie – odparł Gurney z uśmiechem. – Może mógłby mi pan to przybliżyć?

Pełne ekspresji westchnienie Dermotta mówiło, że potraktował prośbę jako irytującą stratę czasu.

– Chwileczkę – powiedział. – Muszę usiąść. – Wrócił na fotel i umościł się w nim. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Pana firma nazywa się GD Systemy Zabezpieczeń. Jakiego rodzaju zabezpieczenia pan zapewnia i dla jakich systemów?

Po kolejnym głębokim westchnieniu Dermott powiedział.

– Pomagam firmom chronić informacje niejawne.

– A ta pomoc jak się objawia?

– Oprogramowanie chroniące bazy danych, pocztę e-mailową, protokoły ograniczonego dostępu, systemy weryfikacji tożsamości to są główne kategorie projektów, w które się angażujemy.

– My?

– Słucham?

– Mówił pan, że się „angażujecie” w projekty.

– Wcale nie chciałem powiedzieć tego tak dosłownie – powiedział Dermott lekceważąco. – Tak się po prostu mówi w świecie biznesu.

– Żeby GD Systemy Zabezpieczeń wydawało się firmą większą, niż jest?

– Zapewniam pana, że wcale nie z tym zamiarem. Moi klienci są wręcz zachwyceni, że sam wykonuję całą pracę.

Gurney skinał głową, jak gdyby był pod wrażeniem.

– Rozumiem, że to może być wielki plus. A kim są ci klienci?

– To ci, dla których najważniejsza jest kwestia niejawności.

Gurney uśmiechnął się niewinnie, słysząc ton głosu Dermotta.

– Nie proszę pana o ujawnianie sekretów. Zastanawiam się po prostu, w jakich obszarach biznesu pan działa.

– W obszarach biznesu, w których bazy danych klientów wymagają bardzo delikatnego traktowania.

– Na przykład?

– Dane osobowe.

– Jakie dane osobowe?

Przez chwilę wyglądało na to, że Dermott ocenia ryzyko, zanim posunie się o krok.

– Informacje, które zbierają firmy ubezpieczeniowe, firmy obsługujące finanse, regionalne fundusze zdrowia.

– Dane medyczne?

– Jest ich sporo, tak.

– Dane na temat leczenia?



– W takim zakresie, w jakim podstawowy system kodowania chorób je zawiera. O co właściwie chodzi?

– Załóżmy, że jest pan hakerem, który chce wejść do bardzo dużej bazy danych pacjentów. Jak pan by to zrobił?

– Na to pytanie nie da się odpowiedzieć.

– A dlaczego nie?

Dermott zamknął oczy, żeby stłumić frustrację.

– Za dużo zmiennych.

– Jakich zmiennych?

– Jakich zmiennych? – Dermott powtórzył pytanie, jakby było esencją czystej głupoty. Po chwili zaczął mówić, wciąż z zamkniętymi oczami. – Cel, jaki wyznaczył sobie haker, poziom jego umiejętności, poziom wiedzy o formacie danych, sama struktura bazy danych, protokół dostępu, redundancja systemu ochrony przed atakami wirusów i jeszcze z dziesięć innych czynników, o których mógłbym panu opowiedzieć, ale wątpię, czy ma pan na tyle wiedzy technicznej, żeby je zrozumieć.

– Nie wątpię, że ma pan rację – powiedział łagodnie Gurney. – Załóżmy jednak, że na przykład jakiś zdolny haker chciałby uzyskać listę osób, które chorują na konkretną chorobę...

Dermott uniósł dłoń poirytowany, ale Gurney nie ustępował.

– Czy byłoby to bardzo trudne?

– Powtarzam, na to pytanie nie da się odpowiedzieć. Niektóre bazy danych mają tak dziurawe zabezpieczenia, że zasadniczo można by je od razu wrzucić do internetu. Inne bronią się przed najbardziej wymyślnymi oprogramowaniami do łamania kodów na świecie. Wszystko zależy od talentu osoby, która projektuje system.

Gurney wychwycił nutę dumy w tym ostatnim stwierdzeniu i postanowił to wykorzystać.

– Założę się o moją emeryturę, że nie ma w tym nikogo lepszego niż pan.

Dermott uśmiechnął się.

– Moja kariera zawodowa opiera się na przechytrzeniu najbystrzejszych hakerów na ziemi. Żaden protokół ochrony danych, który stworzyłem, nie

został nigdy naruszony.

Ta przechwałka otworzyła nową możliwość. Czy umiejętności i wiedza tego człowieka, który potrafiłby zrozumieć, jak morderca przeniknął do pewnych baz danych, mogły mieć coś wspólnego z decyzją zabójcy, żeby wciągnąć go w tę sprawę poprzez skrytkę pocztową? Myśl była warta zgłębienia, choć powstawało znacznie więcej nowych pytań niż odpowiedzi.

– Żałuję, że miejscowej policji daleko do tego poziomu kompetencji.

Słyszając to, Gurney przestał myśleć o niebieskich migdałach.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Co chcę przez to powiedzieć? – Dermott zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. – Morderca depta mi po piętach, a ja nie mam żadnej nadziei na to, że policja będzie umiała mnie ochronić. Gdzieś w tym mieście jest szaleniec, chodzi tymi ulicami, ma zamiar mnie zabić, a potem pana, a pan zadaje mi hipotetyczne pytania na temat hipotetycznych hakerów, którzy chcą przeniknąć do hipotetycznych baz danych? Nie mam pojęcia, co pan próbuje zrobić, ale jeżeli usiłuje pan uspokoić moje sterane nerwy, sprowadzając moje myśli na inne tory, to zapewniam pana, że to nic nie daje. Dlaczego nie skupicie się na prawdziwym niebezpieczeństwie? Problemem nie są akademickie zagadnienia związane z wykorzystywaniem oprogramowania komputerowego. Problemem jest jakiś szaleniec, który czai się na nas z zakrwawionym nożem w ręce. Tragedia, która wydarzyła się dzisiaj rano, jest najlepszym dowodem na to, że policja do niczego się nie nadaje! – Pod koniec tego przemówienia widać było, że Dermott nie potrafi się już kontrolować. Słyszając gniewny ton, Nardo wszedł po schodach, a później do sypialni. Popatrzył na Dermotta, potem na Gurneya, a później znowu na Dermotta.

– Co tu się, do cholery, wyprawia?

Dermott odwrócił wzrok i wpatrywał się w ścianę.

– Pan Dermott nie czuje się dość dobrze chroniony – odparł Gurney.

– Dość dobrze chroniony... – zaczął Nardo wściekle, ale opanował się i podjął temat tonem perswazji. – Drogi panie, szansa, że jakaś nieuprawniona osoba wejdzie do tego domu, a tym bardziej jakiś „szaleniec

z zakrwawionym nożem”, jeśli pana dobrze usłyszałem, jest mniejsza niż zero.

Dermott wciąż wpatrywał się w ścianę.

– Ujmę to inaczej – mówił dalej Nardo. – Jeżeli ten skurwiel ma na tyle odwagi, żeby się tu pojawić, to już jest martwy. Jeśli spróbuje wejść, to sam zjem go na kolację.

– Nie chcę być w tym domu sam. Ani minuty dłużej.

– Nie słucha mnie pan – warczał Nardo. – Nie jest pan sam. Wszędzie dookoła jest mnóstwo policjantów. Policja otacza dom. Nikt tu nie wejdzie.

Dermott odwrócił się w kierunku Nardo i powiedział wyzywająco:

– A jeżeli już wszedł?

– O czym pan teraz mówi?

– Jeżeli już jest w domu?

– Ale jak, do cholery, mógłby już być w domu?

– Dzisiaj rano, kiedy wyszedłem na dwór szukać tego policjanta, powiedzmy, kiedy chodziłem wokół domu i szukałem go, powiedzmy, że wszedł i otworzył drzwi. Przecież mógł, prawda?

Nardo wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– I dokąd miałyby się udać?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– A co pan myśli, że chowa się pod pana tapczanem?

– To dobre pytanie, panie komisarzu. Ale prawdę mówiąc, nie zna pan na nie odpowiedzi, prawda? Bo przecież nie sprawdził pan domu od góry do dołu? Więc on mógłby być pod tapczanem, tak czy nie?

– Do cholery! – krzyknął Nardo. – Mam tego powyżej uszu!

Dwoma długimi susami sięgnął łóżka, chwycił za krawędź i z potężnym jękiem uniósł je w górę aż na wysokość ramienia.

– Teraz mi pan wierzy? – warknął. – Widzi pan tam kogoś?

Puścił łóżko, które spadło z hukiem na dywan.

Dermott wpatrywał się w niego z niechęcią.

– Zależy mi na profesjonalizmie i kompetencji, nie na dzieciennych dramatach. Czy proszę o zbyt wiele, jeśli spodziewam się, że przeszukacie

ten dom od piwnic po strop?

Nardo patrzył chłodno na Dermotta.

– To niech pan mi powie, gdzie w tym domu mógłby się ktoś ukryć?

– Gdzie? Nie wiem. W piwnicy? Na strychu? W szafach? Skąd ja mam wiedzieć?

– To tak dla porządku powiem, że pierwsi policjanci, którzy zjawili się na miejscu zbrodni, przeszukali dom. Gdyby ten człowiek tu był, toby go znaleźli. Dobrze?

– Przeszukali cały dom?

– Tak, proszę pana, kiedy pan był przesłuchiwany w kuchni.

– Łącznie ze strychem i piwnicą?

– Właśnie.

– Łącznie ze składem na narzędzia i pralnią?

– Sprawdzili wszystko.

– Nie mogli sprawdzić składu na narzędzia i pralni! – po wiedział Dermott donośnie i oskarżycielsko. – Są zamknięte na kłódkę. A ja mam klucz i nikt mnie o ten klucz nie poprosił.

– Co znaczy – zaoponował Nardo – że jeżeli wciąż jest zamknięta, to nikt tam się nie mógł dostać. To znaczy, że sprawdzanie tego pomieszczenia byłoby stratą czasu.

– Nie. To znaczy, że kłamie pan, twierdząc, że przeszukano cały dom od góry do dołu!

Reakcja Nardo zaskoczyła Gurneya, który oczekiwał wybuchu złości. Zamiast tego komisarz odezwał się cicho i spokojnie.

– Proszę pana, niech mi pan da ten klucz. Osobiście zejść na dół i wszystko sprawdzę.

– A więc – podsumował Dermott tonem prawnika na sali sądowej – przyzna pan, że te miejsca pominięto, że dom nie został przeszukany tak, jak należy!?

Gurney zastanawiał się, czy ta przekora jest efektem migreny Dermotta, jego cholerycznego temperamentu czy zwykłej konwersji strachu na agresję.

Nardo robił wrażenie człowieka nienaturalnie spokojnego.

– Poproszę o klucz.

Dermott mruknął coś pod nosem – coś obraźliwego, sądząc po wyrazie twarzy, i wstał z fotela. Wyjął z szuflady nocnego stolika kilka kluczy na kółku, odłączył kluczyk mniejszy niż reszta i rzucił na łóżko. Nardo podniósł klucz bez żadnej reakcji i w milczeniu wyszedł na korytarz. Słyszeli jego kroki na schodach. Dermott wrzucił pozostałe klucze do szuflady, zaczął ją zamykać i nagle zatrzymał się w pół ruchu.

– Cholera! – syknął.

Znów wziął klucze do ręki i zaczął odłączać drugi ze sztywnego, małego kółeczka. Kiedy już miał go w dłoni, ruszył ku drzwiom. Zrobił nie więcej niż jeden krok, potknął się o dywanik przy łóżku i upadł, uderzając się w czoło o framugę drzwi. Zza zaciśniętych zębów wydobył się zdławiony okrzyk wściekłości i bólu.

– Wszystko w porządku? – spytał Gurney, podchodząc do niego.

– Doskonale! Rewelacja! – Dermott wypluwał te słowa z wściekłością.

– Mogę jakoś pomóc?

Dermott próbował chyba się uspokoić.

– Proszę – powiedział. – Niech pan weźmie ten klucz i mu go da. Tam są dwa zamki. W tym całym głupim zamieszaniu...

Gurney wziął od niego klucz.

– W porządku?

Dermott niechętnie machnął dłonią.

– Gdyby od razu do mnie przyszli, może by to się skończyło inaczej... – jego głos przycichał.

Gurney po raz ostatni spojrział na skręcane złością i bólem człowieka, odwrócił się i zszedł na dół.

Podobnie jak w większości domów w podmiejskich dzielnicach schody do piwnicy znajdowały się pod schodami na pierwsze piętro. Przed nimi były drzwi, które Nardo zostawił otwarte. Gurney widział, że na dole jest zapalone światło.

– Panie komisarzu?

– Tak?

Musiał stać w pewnej odległości od nieheblowanych drewnianych schodów, więc Gurney zszedł na dół z kluczem. Zapach – uderzające w nozdrza połączenie woni betonu, metalowych rur, drewna i kurzu – wywołał żywe wspomnienie piwnicy z jego dzieciństwa: tam właśnie, w zamkniętym na dwa zamki pomieszczeniu lokatorzy trzymali stare rowery, wózki dziecięce i skrzynki różnego złomu; słabe żarówki były oplecione brudnymi pajęczynami; cienie piwnicy zawsze napawały go lękiem.

Nardo stał przed szarymi stalowymi drzwiami po drugiej stronie niewykończonego pomieszczenia o betonowych ścianach i widocznych belkach stropowych, ściany pokrywała wilgoć, w pomieszczeniu był tylko podgrzewacz do wody, dwa zbiorniki na olej opałowy, piec, dwa alarmy dymowe, dwie gaśnice i system zraszania.

– Ten klucz jest tylko do kłódki – powiedział. – A tu mamy również zasuwę. To jakiś maniak zabezpieczeń. Gdzie jest drugi klucz?

Gurney podał mu klucz.

– Mówi, że zapomniał. I mówi, że to pana wina.

Nardo wziął klucz, westchnął niechętnie i wetknął go wprost do zamka.

– Głupi mały skubaniec – powiedział, popychając dłonią skrzydło drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę sprawdzam... Co, do cholery...?

Nardo, a za nim Gurney weszli niepewnie przez drzwi do pokoju znacznie większego niż składzik czy pralnia.

Na początku nic z tego, co zobaczyli, nie miało sensu.

## Karty na stół

Pierwsza myśl Gurneya była taka, że wybrali niewłaściwe drzwi. Ale to również nie miałyby sensu. Oprócz tych na szczycie schodów były to jedyne drzwi w piwnicy. Ale to na pewno nie był składzik.

Stali w rogu sporych rozmiarów tradycyjnie umeblowanej, oświetlonej ciepłym światłem sypialni, na podłodze wyłożonej miękkim dywanem. Na wprost nich stało olbrzymie łóżko przykryte kwiecistą, opadającą ku ziemi narzutą, z wielkimi poduszkami opartymi o wezglowie w ten sam wzór. U stóp łóżka stała skrzynia z cedrowego drewna. Siedział na niej wielki wypchany ptak, uszyty z kolorowych łąt. Uwagę Gurneya przykuł dziwny przedmiot na ścianie – na pierwszy rzut oka okno ukazujące krajobraz, ale szybko zdał sobie sprawę, że było to kolorowe szkło rozmiarów plakatu, podświetlone od dołu, które prawdopodobnie miało łagodzić klaustrofobiczny charakter pomieszczenia. Jednocześnie zdał sobie sprawę z niskiego dźwięku dochodzącego z jakiegoś systemu wentylacji.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Nardo.

Gurney już miał się z nim zgodzić, kiedy zobaczył niewielki stolik przy ścianie, na której było fałszywe okno. Na stoliku stała niskowatowa lampa, a w bursztynowym kręgu jej światła zauważył zwykłe czarne ramki, takie, w jakich wieszają się dyplomy na ścianach. Podeszedł, żeby lepiej im się przyjrzeć.

W każdej ramce była kserokopia czeku. Wszystkie wypisane na nazwisko X. Arybdis. Kwota na każdym z nich była identyczna – dwieście osiemdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt siedem centów. Od lewej do prawej stały ramki z czekami od Marka Mellery'ego, Alberta Ruddena oraz R. Kartcha. Były tam również чеки, które Gregory Dermott według swoich słów otrzymał, oryginały, które zwrócił niespieniężone do nadawców. Ale dlaczego robił kserokopie, zanim je zwracał? A co bardziej niepokojące, dlaczego oprawiał je w ramki?

Gurney podnosił je kolejno, żeby im się przyjrzeć, jak gdyby spojrzenie z bliska mogło dać jakąś odpowiedź. I wtedy, nagle, kiedy spoglądał na podpis na trzecim czeku – R. Kartch – wróciło poczucie dyskomfortu związane z tym nazwiskiem. Tym razem jednak nie było to samo odczucie, ale i jego powód.

– Cholera! – mruknął pod nosem, zastanawiając się, jak mógł być tak ślepy i nie zauważyć tak oczywistej rozbieżności.

Nagle usłyszał pełen zaskoczenia pomruk, który wyrwał się z ust Nardo. Gurney spojrzał na niego, a później powiódł oczami w kierunku jego zdziwionego spojrzenia ku przeciwległemu narożnikowi obszernego pokoju. Tam – ledwo widoczna w cieniu, poza zasięgiem słabego światła, które lampka nocna rzucała na oprawione w ramki czeki, częściowo ukryta za wysuniętym oparciem wysokiego fotela, w kamuflażu koszuli nocnej w tym samym blad różowym kolorze, co obicie fotela, siedziała krucha kobieta z głową pochyloną do przodu i opartą na klatce piersiowej.

Nardo sięgnął do paska po latarkę i skierował światło na postać w fotelu.

Gurney zgadywał, że kobieta mogła mieć od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat. Z jej skóry emanowała chorobliwa bladość. Blond włosy, upięte w wymyślne loki, musiały być peruką. Mrugając oczami, podnosiła głowę tak powoli, że ledwo można było dostrzec ruch. Odwracała ją w kierunku światła, jak roślina, która unosi się ku słońcu.

Nardo spojrzał na Gurneya, a później znów na kobietę siedzącą w fotelu.

– Muszę siusiu – powiedziała. Głos miała wysoki, chropawy, zniecierpliwiony. Kiedy uniosła wyżej głowę, pod brodą, na szyi, zobaczyli brzydką szramę.

– Kto to jest, do cholery? – spytał Nardo szeptem, jak gdyby Gurney powinien wiedzieć.

I rzeczywiście, Gurney był pewien, kim jest ta kobieta. Wiedział również, że popełnił straszny błąd, schodząc do piwnicy z kluczem.

Odwrócił się szybko w kierunku otwartych drzwi. W nich jednak stał już Gregory Dermott. W jednej ręce trzymał butelkę po whisky Four Roses, a w



drugiej rewolwer kaliber dziewięć milimetrów. Nie było śladu po wściekłym choleryku z migreną. Jego oczy, już niezmruczone od udawanego bólu i oskarżeń, ujawniały to, co jak Gurney się domyślał, było ich naturalnym stanem. Prawe należało do człowieka nieugiętego i zdeterminowanego, a lewe było ciemne, tępe, bez wyrazu.

Nardo też się odwrócił.

– Co...? – zaczął, a pytanie uwięzło mu w gardle. Stał stępały, kierując spojrzenie to na twarz Dermotta, to na broń w jego ręce.

Dermott zrobił krok do środka, stopą wysuniętą w tył dotknął drzwi, pchnął je i zamknął za sobą na głucho. Usłyszeli szczęknięcie metalu, kiedy zapadki zamka wskakiwały na swoje miejsca. Wąsko zaciśnięte usta Dermotta wykrzywił nieokreślony uśmiezek.

– Nareszcie sami – powiedział, a w jego szyderczym tonie słychać było udawaną nutę zadowolenia z tego, że wreszcie będzie mógł z nimi przyjemnie spędzić czas. – Mamy tak dużo do zrobienia – dodał – i tak mało czasu. – To, co powiedział, wydało mu się zabawne. Zimny uśmiech poszerzył się na moment jak rozciągająca się gąsienica, a później skurczył. – Chcę, żebyście z góry wiedzieli, jak bardzo doceniam wasze uczestnictwo w moim projekcie. Wasza współpraca ułatwiła mi życie. Przede wszystkim maleńki szczegół. Panie komisarzu, czy mógłbym pana poprosić, żeby pan się położył twarzą do podłogi? – Właściwie nie było to pytanie.

Gurney odczytywał w oczach Nardo, że ten szybko kalkuluje szanse, ale nie potrafił stwierdzić, jakie jego towarzysz rozważa opcje, ani nawet tego, czy uświadamia sobie, co tu się naprawdę dzieje. W oczach Dermotta, na tyle na ile potrafił coś z nich wyczytać, widział cierpliwość kota przyglądającego się myszy, która nie ma dokąd uciec.

– Drogi panie – powiedział Nardo, próbując tonu bolesnego zaniepokojenia. – Uważam, że gdyby pan odłożył broń, byłoby znacznie lepiej.

Dermott pokręcił głową.

– Nie podzielam tej opinii.

Nardo był zdumiony.

– Niech pan po prostu odłoży rewolwer.

– Jest to pewna opcja, ale jest i komplikacja. Nie ma w życiu rzeczy prostych, prawda?

– Komplikacja? – Nardo przemawiał do Dermotta tonem, jak gdyby był to niegroźny pacjent, który przypadkiem nie wziął przepisanych leków.

– Mój plan jest taki, że odłożę broń, kiedy pana zastrzelę. Jeżeli chce pan, żebym odłożył od razu, wtedy będę musiał pana od razu zastrzelić. A nie chcę tego zrobić i jestem przekonany, że i pan tego nie chce. Rozumie pan teraz, na czym polega problem?

Kiedy Dermott wymawiał te słowa, uniósł rewolwer na taką wysokość, że mierzył teraz prosto w gardło Nardo. Nie wiadomo, czy to pewna ręka trzymająca broń czy szyderstwo uspokajającego tonu w głosie Dermotta, coś jednak w jego sposobie zachowania przekonało Nardo, że musi spróbować innej strategii.

– Wystrzelisz z rewolweru – powiedział – i jak sądzisz, co będzie potem?

Dermott wzruszył ramionami, ale jego uśmiezek znów się poszerzył.

– Wystrzelę i ty umrzesz.

Nardo skinął głową, częściowo się z tym zgadzając, jak gdyby uczeń dawał mu oczywistą, lecz niepełną odpowiedź.

– No i? I co wtedy?

– A co to za różnica? – Dermott raz jeszcze wzruszył ramionami, patrząc na szyję Nardo wzrokiem, który zdawał się stanowić przedłużenie lufy rewolweru.

Wydawało się, że komisarz z trudem panuje nad sobą, nie wiadomo, czy z powodu furii czy lęku.

– Dla mnie żadna, ale dla ciebie ogromna. Naciśniesz ten spust i w ciągu minuty będziesz miał na karku dziesięciu gliniarzy. Rozwalą cię na kawałki.

Dermott wydawał się rozbawiony.

– Co pan wie o krukach, panie komisarzu?

Nardo zmrużył oczy, nic nie rozumiejąc.

– Kruki są niewiarygodnie głupie – powiedział Dermott. – Jeżeli jednego

się zastrzeli, przylatuje drugi. Jeżeli zastrzeli się tego drugiego, przylatuje jeszcze jeden, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Strzela się do jednego po drugim, a one wciąż przylatują.

Gurney już kiedyś słyszał o tym, że kruki nie pozwolą na to, by któryś z nich umierał w samotności. Jeżeli jakiś kruk umiera, przylatują inne i stają obok niego, żeby nie był sam. Kiedy po raz pierwszy usłyszał tę historię od babci, miał dziesięć lub jedenaście lat i musiał wyjść z pokoju, bo wiedział, że zaraz się rozplacze. Poszedł do łazienki, serce rozrywał mu ból.

– Widziałem kiedyś zdjęcie zastrzelonych kruków na farmie w Nebrasce – powiedział Dermott, a w jego głosie było rozbawienie i pogarda. – Jakiś rolnik ze strzelbą stał obok sięgającego mu do ramienia stosu martwych kruków. – Zawiesił głos, jak gdyby chciał dać Nardo czas na rozważenie absurdu samobójczych zachowań kruków i analogii ich losu do obecnej sytuacji.

Nardo pokręcił głową.

– Naprawdę uważasz, że możesz tu siedzieć i strzelać do policjantów, wystrzelać ich jednego po drugim jak kaczki, kiedy będą tu wchodzić przez drzwi, i nikt nie rozwali ci łba? To się na pewno tak nie skończy.

– Oczywiście, że tak się nie skończy. Oczywiście, że nie. Nikt panu nie mówił, że umysł, który pojmuje wszystko dosłownie, to umysł zupełnie płaski? Podoba mi się ta historia o krukach, panie komisarzu, ale są znacznie skuteczniejsze sposoby uśmiercania szkodników niż strzelanie do jednego po drugim. Na przykład zagazowanie. Zagazowanie jest bardzo skuteczne, jeżeli ma się odpowiedni system rozprowadzania gazu. Może pan zauważył, że w każdym pomieszczeniu w tym domu są zraszacze. W każdym oprócz tego. – Znów przerwał, a w żywym oku rozbłysła iskierka. Na pewno sobie gratulował. – A więc jeżeli pana zastrzelę, a wszystkie kruki zaczną się tu zlatywać, otworzę te dwa małe zawory na tych dwóch małych rurkach i dwadzieścia sekund później... – Miał teraz na twarzy cherubinkowaty uśmiech. – Czy ma pan pojęcie, komisarzu, w jaki sposób stężony chlor niszczy ludzkie płuca? I jak szybko?

Gurney przyglądał się Nardo, który podjął wewnętrzną walkę o ocenę tego przerażająco spokojnego człowieka i jego groźby użycia gazu. Przez bardzo długą, niepokojącą chwilę miał wrażenie, że duma i wściekłość gliniarza popchną go do śmiertelnego skoku naprzód, ale Nardo wziął tylko kilka głębokich oddechów, poluznił nieco napięte sprężyny ciała i przemówił głosem, w którym mieszały się szczerłość i zaniepokojenie.

– Związki chloru mogą być bardzo niebezpieczne. Pracowałem z nimi w jednostce antyterrorystycznej. Jeden z ludzi przypadkowo uzyskał trójchlorek azotu jako produkt uboczny innego eksperymentu. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Oderwało mu kciuk. To może nie być takie łatwe, jak się wydaje, przepuścić odczynnik chemiczny przez system zraszania. Wątpię, czy to się uda.

– Niech pan nie traci czasu i nie próbuje mnie zwieść, drogi komisarzu. Mam wrażenie, że wypróbowuje pan na mnie technikę negocjowania prosto z podręcznika szkoły policyjnej. Jak to było: „Wyraź sceptycyzm w odniesieniu do planu przestępcy, podważaj jego wiarygodność, sprowokuj go, żeby zdradził ci dodatkowe szczegóły”? Jeżeli chce pan wiedzieć coś więcej, nie ma potrzeby mnie oszukiwać, wystarczy zapytać. Nie mam tajemnic. Oto, co mam, tak żeby pan wiedział. Dwie butle gazowe, każda ma pięćdziesiąt galonów, napełnione chlorem i amoniakiem, napędzane z przemysłowego kompresora i podłączone wprost do głównej rury zasilającej zraszacz, do której są podłączone wszystkie pozostałe rurki, prowadzące do samych zraszaczy. W tym pomieszczeniu ukryte są dwa zawory, które połączą oba gazy, i sto galonów sprężonej mieszaniny uwolni się w całym domu. A co do niewielkiego prawdopodobieństwa wytworzenia się trójchlorku azotu, który mógłby spowodować wybuch, byłby to dla mnie cudowny bonus, ale wystarczy mi zwykłe zaduszenie wszystkich policjantów z Wycherly trującym gazem. Świetnie byłoby zobaczyć, jak rozpadacie się wszyscy na małe kawałki, ale człowiek musi się zadowolić tym, co ma. Wie pan, lepsze jest wrogiem dobrego.

– Panie Dermott, o co tu właściwie chodzi?

Dermott zmarszczył brwi, parodiując kogoś, kto poważnie zastanawia

się nad tym pytaniem.

– Dzisiaj rano otrzymałem taki list: „Strzeż się śniegu, strzeż się słońca, nocy, dnia. Strach nie ma końca”. – Cytował słowa z wiersza Gurneya z sarkazmem, rzucając mu pytające spojrzenie. – Czcze pogrożki, ale muszę podziękować osobie, która mi to wysłała. Przypomniałem sobie, że życie może być bardzo krótkie i że nie powinienem odkładać na jutro tego, co powinienem zrobić dzisiaj.

– Wciąż nie rozumiem, co to wszystko znaczy i o co panu chodzi – powiedział Nardo tonem szczerego zdziwienia.

– Zrób to, co mówię, a w końcu wszystko zrozumiesz.

– Doskonale, oczywiście. Nie chcę tylko, żeby ktoś niepotrzebnie ucierpiał.

– Nie, oczywiście, że nie. – Gąsienicowaty uśmiech jego zaciśniętych ust znów rozszerzył się i wrócił do normalnych rozmiarów. – Nikt tego nie chce. Prawdę mówiąc, jeśli chcemy uniknąć dodatkowych cierpień, musisz się położyć na podłodze, i to już.

Sytuacja zatoczyła koło. Pytanie brzmiało: co dalej? Gurney przyglądał się twarzy Nardo, próbując odczytać sygnały. Ile już rozumiał? Czy dotarło do niego, kim jest kobieta na fotelu i uśmiechnięty psychopata z butelką whisky w jednej i rewolwerem w drugiej ręce?

Musiał w końcu zrozumieć chociaż tyle, że Dermott jest zabójcą policjanta. To było źródło nienawiści w jego oczach, której nie potrafił ukryć. Nagle całe jego ciało znów się napięło. Widać było, że buzuje w nim adrenalina, że prymitywne emocje przeważają nad racjonalnym myśleniem, że jest mu wszystko jedno, co będzie. Dermott też to zarejestrował, ale nie zaniepokoiło go to, raczej polepszyło mu nastrój i dodało energii. Zacisnął mocniej dłoń na kolbie rewolweru i po raz pierwszy między wąskimi wargami błysnęły jego zęby.

Na sekundę, zanim nabój z trzydziestki ósemki zakończyłby życie Nardo, dwie sekundy, zanim drugi nabój zakończyłby jego własne, Gurney przerwał zaklęty krąg pełnym wściekłości, gardłowym okrzykiem.

– Rób, co mówi! Kładź się, kurwa, na podłogę! Kładź się na podłogę, i to

JUŻ!

Efekt był zadziwiający. Obaj przeciwnicy stali jak sparaliżowani, napięcie konfrontacji natychmiast wyparowało pod naporem dzikiego okrzyku Gurneya.

To, że nikt nie zginął, przekonało go, że jest na właściwej drodze, chociaż nie wiedział, dokąd ona prowadzi. Spojrzał na Nardo, który wyglądał, jakby się czuł zdradzony. Dermott, choć trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy, był rozczarowany, ale Gurney podejrzewał, że za wszelką cenę chce utrzymać kontrolę nad sytuacją.

– Bardzo mądra rada, posłuchałbym kolegi – powiedział Dermott do Nardo. – Gdybym był na pana miejscu, natychmiast bym się do niej zastosował. Inspektor Gurney jest obdarzony przenikliwym umysłem. Bardzo interesujący człowiek. Bardzo słynny człowiek. Tyle można się dowiedzieć z internetu. Zdumiewające, ile informacji wyskakuje na ekranie, jeśli wpisze się nazwisko i kod pocztowy. I to by było na tyle, jeżeli chodzi o prywatność.

Oślizgły ton Dermotta sprawił, że Gurney poczuł falę mdłości. Próbował się pocieszać, że specjalnością psychopaty było przekonywanie ludzi, iż wie o nich więcej, niż naprawdę wiedział. A jednak myśl o porażce kazała mu jeszcze raz zastanowić się nad kwestią pieczętki na znaczku pocztowym i zadać sobie pytanie, czy naraził Madeleine na niebezpieczeństwo. Targające nim wątpliwości były nie do zniesienia.

Nardo niechętnie zszedł do poziomu podłogi, w końcu położył się w pozycji człowieka, który za chwilę będzie robić pompki. Dermott kazał mu zapleść dłonie za głowę, dodając: „jeśli nie proszę o zbyt wiele”. Przez jedną straszną chwilę Gurney sądził, że to wstęp do natychmiastowej egzekucji. Zamiast tego, kiedy spojrzał już z satysfakcją na posłusznego komisarza, Dermott ostrożnie postawił butelkę, którą miał w ręce, na cedrowej skrzyni obok wielkiego wypchanego ptaka lub – jak Gurney zdał sobie teraz sprawę – wielkiej wypchanej gęsi. Przeszedł go dreszcz, kiedy przypomniał sobie fragment raportu z laboratorium kryminalistycznego. Gęsi puch. Teraz Dermott sięgnął do prawej kostki Nardo, wyjął z przypiętej tam kabury

mały pistolet i schował go do kieszeni. Raz jeszcze na chwilę ponury uśmiech rozszerzył jego usta.

– Jeśli ktoś wie, gdzie jest broń palna – wyjaśnił z udawaną szczerością – może uniknąć ogromnej tragedii. Tyle pistoletów, karabinów w nieodpowiednich rękach. Oczywiście, często argumentuje się w ten sposób, że to nie broń, ale ludzie zabijają ludzi. Trzeba przyznać, że coś w tym jest. Ludzie rzeczywiście zabijają ludzi. Ale nikt nie wie o tym lepiej niż ci, którzy pracują w waszym zawodzie?

Gurney dodał do krótkiej listy rzeczy, które wiedział o sprawcy, fakt, że te gładkie przemowy, kierowane do posłusznej publiczności Dermotta, ta fałszywa uprzejmość, pełna groźby poprawność, te elementy, które charakteryzowały listy do ofiar, mają jeden istotny cel – napędzają jego własną fantazję na temat nieomyślności i wszechwładzy. Jakby chciał potwierdzić domysły Gurneya, Dermott odwrócił się do niego i szepnął jak bileter w kinie:

– Czy mógłby pan usiąść tam, przy ścianie? – wskazał palcem na drewniane krzesło po lewej stronie łóżka, tuż przy stoliku nocnym, na którym stały lampa i oprawione czeki. Gurney podszedł do krzesła i usiadł bez wahania.

Dermott spojrział w dół, na Nardo, jego lodowaty wzrok przeczył zachęcającemu tonowi głosu.

– Za chwilę was poproszę. Trzeba nam tylko jeszcze jednego uczestnika. Dziękuję za wyrozumiałość.

Gurney widział twarz Nardo z jednej strony, zobaczył zaciskające się mięśnie szczęki i czerwieniejącą twarz.

Dermott przeszedł szybko na drugą stronę pokoju i pochylając się nad fotelem, szepnął coś do ucha siedzącej na nim kobiecie.

– Muszę siusiu – powiedziała, unosząc głowę.

– Tak naprawdę wcale nie musi – wyjaśnił Dermott, patrząc na Gurneya i Nardo. – Cewnik ją drażni, nosi go od lat. Z jednej strony dyskomfort, a z drugiej ulga. Pan daje i Pan odbiera. Orzeł i reszka. Trudno mieć jedno bez drugiego. Czy to nie jest tekst z jakiejś piosenki?

Zatrzymał się, jakby próbował sobie coś przypomnieć, zanucił melodyjkę, przekrzywiając głowę, a później, wciąż trzymając w prawej dłoni broń, pomógł starszej kobiecie wstać z fotela.

– Chodźmy, kochanie, czas do łóżeczka.

Prowadził ją małymi kroczkami przez pokój do łóżka i pomógł ułożyć się w pozycji półsiedzącej, oparł ją plecami o ustawione poduszki, powtarzając głosem małego chłopca.

– Czas do łóżeczka, czas do łóżeczka, czas do łóżeczka.

Kierując lufę w jakiś punkt między Nardo na podłodze a Gurneyem na krześle, rozglądał się niespiesznie po pokoju, ale nie patrzył na nic konkretnego. Trudno było powiedzieć, czy widzi to, co ma realnie przed oczami, czy też inną scenę, z innego czasu i miejsca. Po chwili spojrzął na kobietę na łóżku w ten sam sposób i powiedział tonem jak z bajki o Piotrusiu Panu:

– Wszystko będzie doskonale. Wszystko będzie tak, jak zawsze powinno być.

Cicho podśpiewywał jakąś melodyjkę. Po chwili Gurney rozpoznał kołysankę. Może z powodu dziwnej reakcji, którą zawsze wywoływał w nim brak logiki w dziecięcych piosenkach, a może z powodu tego, co podpowiadała mu wyobraźnia, a może wreszcie z powodu absolutnej nieprzystawalności muzyki do tego, co się działo w tamtej chwili, cokolwiek to było, kiedy usłyszał tę melodię, zrobiło mu się niedobrze. I wtedy Dermott dodał kolejne słowa, ale to nie były słowa tej kołysanki. Śpiewał jak dziecko: „Idziemy do łóżeczka, idziemy do łóżeczka, znów do łóżeczka. Idziemy do łóżeczka, jest raniutko i dzionek wstaje”.

– Chcę siusiu – powiedziała kobieta.

Dermott wciąż śpiewał swoją dziwną piosenkę tak, jakby rzeczywiście była to kołysanka. Gurney zastanawiał się, do jakiego stopnia ten człowiek rzeczywiście jest zdekoncentrowany. Czy na tyle, by udało mu się wykonać skok przez łóżko? Doszedł do wniosku, że nie. Czy lepszy moment przyjdzie później? Jeżeli historia Dermotta z ciekłym chlorem to plan działania, a nie tylko czcze fantazjowanie, ile czasu im zostało?



Zgadywał, że niewiele.

W całym domu panowała martwa cisza. Wyglądało na to, że żaden z policjantów z Wycherly nie odkrył jeszcze nieobecności komisarza, a jeżeli tak, to nie domyślili się jej znaczenia. Nie było podniesionych głosów, biegania, żadnego śladu aktywności na zewnątrz domu, co znaczyło, że uratowanie życia Nardo i jego własnego będzie zależało od tego, co Gurney wymyśli w ciągu następnych pięciu lub dziesięciu minut, żeby wytrącić z równowagi psychopatę, który teraz poprawiał poduszki u wezłowania łóżka.

Dermott przestał nucić. Przeszedł wzdłuż łóżka do miejsca, z którego równie łatwo mógł celować do Nardo i do Gurneya. Zaczął przesuwając rewolwer rytmicznie tam i z powrotem, mierząc to do jednego, to do drugiego. Gurney odczytał jego zamiar, być może z ruchu warg, bo Dermott przesuwając rewolwer w rytm dziecięcej wyliczanki „Ene, due, rabe”. Możliwość, że ta bezgłówna recytacja może w ciągu kilku sekund mieć tragiczny finał w postaci kuli wystrzelonej w głowę jednego z nich, wydawała się aż nadto realna i skłoniła Gurneya do zadania słownego ciosu.

Najcichszym, najbardziej obojętnym głosem, na jaki było go stać, zapytał:

– Czy ona w ogóle nosi te rubinowe pantofelki?

Usta Dermotta zamarły, a jego twarz znów zastygła w głębokiej, niebezpiecznej pustce. Jego broń straciła rytm. Brał teraz powoli na cel Gurneya, ręka przesuwająca się niespiesznie jak koło ruletki, które za chwilę zatrzyma się na wygrywającej liczbie.

Nie pierwszy raz Gurney znajdował się po złej stronie lufy rewolweru, ale nigdy w ciągu swojego czterdziestosiedmioletniego życia nie czuł się bliższy śmierci. Krew odpływała mu z żył, jak gdyby wycofywała się w jakieś bezpieczne miejsce. I wtedy nagle poczuł spokój. Przyszły mu na myśl opowieści ludzi, którzy znaleźli się za burtą statku w lodowatej morskiej wodzie, o halucynogennym spokoju, który czuli, zanim stracili przytomność. Popatrzył na Dermotta, spojrzawszy w te emocjonalnie asymetryczne oczy – jedno zimne jak u trupa, drugie rozpalone

nienawiścią. W tej samej sekundzie dostrzegł w tym żywym oku, jak dokonuje się jakaś szybka kalkulacja. Może uwaga Gurneya na temat pantofelków skradzionych z pensjonatu Pod Laurami odniosła skutek – może wywołała pytania, które wymagają odpowiedzi. Może Dermott zastanawiał się, jak dużo Gurney wie i jak ta wiedza może wpłynąć na kształt końcowej gry. Jeżeli tak, udało mu się rozwiązać sprawę, ku wyraźnej własnej satysfakcji, z imponującą szybkością. Uśmiechnął się, przez sekundę spod warg wyłoniły się drobne, przypominające kształtem perły zęby.

– Odczytywał pan moje wiadomości? – spytał takim tonem, jakby zapraszał do zabawy. Spokój, który opanował Gurneya, nagle gdzieś wyparował. Wiedział, że jeżeli źle odpowie na pytanie, stworzy poważny problem. Podobnie będzie, jeżeli na nie nie odpowie. Miał nadzieję, że Dermott ma na myśli tylko dwie rzeczy, które przypominają „wiadomości” znalezione Pod Laurami.

– Chodzi o ten cytacik z *Lśnienia*?

– Właśnie o ten – odparł Dermott.

– Oczywiście również wpisanie się do rejestru gości jako pan i pani Scylla – w głosie Gurneya brzmiało znużenie.

– To już dwie. Ale trzecia był najlepsza, prawda?

– Uważam, że ta trzecia był głupia – odparł Gurney, desperacko wierząc, pędząc bez opamiętania przez to, co pamiętał na temat ekscentrycznego pensjonatu i jego właściciela Bruce’a Wellstone’a.

Ta ostatnia uwaga rozgniewała Dermotta, a później wywołała w nim wątpliwości.

– Zastanawiam się, czy naprawdę wie pan, o czym mówię, panie inspektorze.

Gurney powstrzymał chęć zaprzeczenia. Wiedział, że często najlepszym blefem jest milczenie. I łatwiej myśleć, kiedy człowiek nic nie mówi.

Jedyną szczególną rzeczą, którą pamiętał z rozmowy z Wellstonem, była jakaś uwaga o ptakach albo o obserwowaniu ptaków i była tam jakaś sprzeczność. Co to były za ptaki? I o co chodziło z liczbą? Może coś z liczbą

ptaków...

Dermott niecierpliwił się. Był czas na następne uderzenie na ślepo.

– Ptaki – powiedział Gurney pewnie. A przynajmniej miał nadzieję, że zabrzmiało to pewnie. Coś w oczach Dermotta przekonało go, że uderzenie na ślepo trafiło w cel. Ale jak? I co teraz? O co chodziło z tymi ptakami? Jaki był komunikat? Nie ta pora roku? Nie ten habitat? Łuszczyki różowobrzuche, tak, tak się nazywały. Ale co z tego? Co łuszczyki różowobrzuche mają z tym wszystkim wspólnego?

Postanowił blefować dalej i zobaczyć, dokąd go to zaprowadzi.

– Łuszczyki różowobrzuche – powiedział, mrugając enigmatycznie powieką.

Dermott próbował ukryć zdziwienie za wszechwiedzącym uśmiechem. Gurney żałował, że nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, żałował, że nie ma pojęcia i udaje, iż wie, na czym polegała zagadka. Co to za liczba, o której mówił Wellstone? Nie miał pojęcia, co robić dalej, jak odparować bezpośrednio pytanie, jeżeli Dermott je zada. Ale nie zadał.

– Miałem rację co do pana, inspektorze – powiedział Dermott. – Od naszej pierwszej rozmowy telefonicznej wiedziałem, że jest pan bystrzejszy niż większość tego szczepu pawianów.

Przerwał i pokiwał sam do siebie głową, było mu przyjemnie, że znów coś odgadł.

– To dobre – powiedział. – Inteligentna małpa. Będzie pan mógł teraz docenić to, co pan zobaczy. Właściwie chyba pójdę za pana radą. W końcu jest to bardzo szczególny wieczór – idealny na magiczne pantofelki.

Kiedy to mówił, wycofywał się w kierunku komody stojącej przy ścianie po drugiej stronie pokoju. Nie spuszczać wzroku z Gurneya, otworzył górną szufladę i wyjął z niej z przesadną ostrożnością parę butów. Buty przypominały te, które jego matka nosiła kiedyś do kościoła – z wycięciem na duży palec, na wysokim obcasie, z jedną różnicą: te były zrobione ze szkła koloru rubinowego, które błyszczało jak krew w przyćmionym świetle.

Dermott zamknął łokciem szufladę i wrócił przed łóżko z butami w

jedną rękę i bronią w drugiej, wciąż mierzył w Gurneya.

– Dziękuję za pański wkład, inspektorze. Gdyby nie wspomniał pan o pantofelkach, na śmierć bym o nich zapomniał. Większość ludzi w pana położeniu nie byłaby tak przyjaźnie nastawiona. – Gurney przypuszczał, że ten mało subtelny żart miał przekazać mu komunikat, że Dermott całkowicie panuje nad sytuacją i że z łatwością wszystko obróci na swoją korzyść, niezależnie od tego, co ktoś mógłby powiedzieć lub zrobić.

Pochylił się nad łóżkiem, zdjął ze stóp kobiety znoszone sztruksowe pantofle i założył na nie błyszczące, czerwone buty. Miała drobne stopy, więc pantofelki weszły bez trudu.

– Czy Kaczka Kwa przyjdzie do łóżeczka? – spytała stara kobieta jak dziecko recytujące ulubioną część bajeczki.

– Zdusi węża i utnie mu głowę, kaczuszką już idzie, łóżeczko gotowe – odparł śpiewnym głosem Dermott.

– Gdzie była moja mała kaczuszka?

– Zabijała koguta, żeby ocalić kurkę.

– Dlaczego kaczuszka robi to, co kaczuszka robi?

– Bo krew jest czerwona jak malowana róża, a ktoś zasiał burzę. Co zbierze, sam się przekona.

Dermott patrzył na kobietę wyczekująco, jakby obrzędowa wymiana zdań jeszcze się nie skończyła. Pochylił się ku niej i wypowiedział jej głośnym szeptem:

– Co kaczuszka robi dzisiaj wieczorem?

– Co kaczuszka robi dzisiaj wieczorem? – spytała kobieta takim samym szeptem.

– Zwoła owieczki i utnie im główeczki, a wtedy kaczuszka już pójdzie do łóżka.

Rozmarzona przesuwiała czubkami palców po lokach blond peruki, jak gdyby wyobrażała sobie, że układa je w jakiś finezyjny sposób. Jej uśmiechnięta twarz przypominała Gurneyowi twarz narkomana, który widzi przed sobą pełną strzykawkę. Dermott również ją obserwował. Spojrzenie miał odrażająco niesynowskie, czubek języka przesuwiał mu się

między wargami jak mały, oślizgły insekt. Później mrugnął powiekami i rozejrzał się po pokoju.

– Chyba jesteśmy gotowi i możemy zaczynać – powiedział radośnie. Wyprostował tułów i na kolanach obszedł nogi kobiety aż na drugą stronę łóżka, jednocześnie sięgnął ręką po gęś z cedrowej skrzyni. Usiadł przy kobiecie, oparty o wysoko ustawione poduszki i położył gęś na jej kolanach. – Jesteśmy prawie gotowi. – Jego radosny ton pasowałby bardziej do kogoś, kto wtyka świeczkę w tort urodzinowy. On jednak robił co innego. Wsadzał rewolwer, wciąż z palcem na spuście, w głęboką kieszeń wyciętą z tyłu gęsi.

„Boże jedyny – pomyślał Gurney. – Czy tak właśnie za strzelił Marka Mellery’ego? Czy właśnie stąd wzięły się ślady gęsiego puchu w ranie na jego szyi i we krwi rozlanej po ziemi? Czy to możliwe, żeby w momencie śmierci Mellery wpatrywał się w jakąś głupią gęś?”

Obraz był tak groteskowy, że Gurney musiał powstrzymać się od śmiechu. Może był to spazm lęku? Niezależnie od tego, jakie to były emocje, pojawiły się nagle i z wielką siłą. Widział w życiu już niejednego świra – sadystów, morderców na tle seksualnym, socjopatów ze szpikulcami do lodu w ręce, nawet kanibali, ale nigdy przedtem nie był zmuszony do wyplątywania się z tak skomplikowanej makabry, i to za ledwie o drgnięcie palca od kuli w głowie.

– Komisarzu Nardo, proszę wstać. Czas na pana wejście. – Ironiczny głos Dermotta zapowiadał jakieś teatralne wydarzenie. Szeptem tak cichym, że Gurney na początku bardziej go sobie wyobrażał, niż słyszał, stara kobieta zaczęła mrużyć pod nosem:

– Kaczka Kwa, Kaczka Kwa. Kaczka Kwa, Kaczka Kwa. Kaczka Kwa, Kaczka Kwa. – Brzmiało to bardziej jak tykanie zegara niż ludzki głos.

Gurney obserwował Nardo, który rozplatał dłonie, prostował i zaciskał palce. Wstał energicznie jak ktoś w bardzo dobrej formie fizycznej. Jego wzrok prześlizgiwał się od dziwacznej pary na łóżku do Gurneya i z powrotem. Jeżeli coś w tej scenie zadziwiło Gurneya, to jego kamienna twarz niczego nie zdradziła. Jasne było jednak, że wie (bo przyglądał się gęsi i ramieniu Dermotta tuż za nią), gdzie znajduje się broń.

Dermott zaczął teraz głaskać grzbiet gęsi wolną dłonią.

– Mam do pana jedno pytanie, panie komisarzu, muszę poznać pańskie zamiary, zanim zaczniemy. Chce pan robić tak, jak powiem?

– Oczywiście.

– Przyjmuję to za dobrą monetę. Teraz dam panu szereg wskazówek. Musi pan dokładnie się ich trzymać. Czy to jasne?

– Tak.

– Jeśli mniej ufałbym ludziom, być może zakwestionowałbym pana poważny ton. Mam nadzieję, że docenia pan powagę sytuacji. Wyłożę teraz karty na stół, żeby zapobiec jakimś nieporozumieniom. Postanowiłem pana zabić. Ta kwestia nie podlega dyskusji. Jedyne pytanie, na które musimy sobie odpowiedzieć, to kiedy pana zabiję. Oto część równania, która zależy od pana. Czy jak dotąd zrozumiał pan, co mówię?

– Zabijesz mnie. Ale ja postanowię kiedy – Nardo mówił to tonem znudzonej pogardy, który chyba Dermotta rozbawił.

– No właśnie, panie komisarzu. Pan zdecyduje kiedy. Ale tylko do pewnego momentu oczywiście, ponieważ ostatecznie wszystko ma swój koniec. Na razie może pan pozostać przy życiu, mówiąc to, co każe panu powiedzieć, i robiąc to, co każe panu zrobić. Wciąż jest pan ze mną?

– Tak.

– Proszę pamiętać, że w każdej chwili istnieje opcja natychmiastowego przeniesienia pana na łono Abrahama, jeśli nie posłucha pan moich instrukcji. Wykonywanie moich poleceń gwarantuje panu kilka cennych chwil życia więcej. Opór zaś je skróci. Czy może być coś prostszego?

Nardo wpatrywał się w niego bez mrugnięcia okiem.

Gurney przesunął się kilka centymetrów w kierunku nóg swojego krzesła, żeby znaleźć się w jak najlepszej pozycji, gdyby zaszła potrzeba rzucenia się na łóżko, podejrzewając, że dynamika emocjonalna tej wymiany zdań przerodzi się za kilka sekund w eksplozję.

Dermott przestał gładzić grzbiet gęsi.

– Nogi tam, gdzie były – powiedział, nie spuszczając oczu z Nardo. Gurney zrobił to, co mu powiedziano, pełen podziwu dla widzenia

peryferyjnego Dermotta. – Jeśli się pan znowu ruszy, zabiję was obu bez słowa. Ale, komisarzu – mówił dalej Dermott łagodnym tonem – niech pan słucha uważnie, ja kie ma zadanie. Jest pan aktorem. Postać, którą pan odgrywa, nazywa się Jim, ma żonę i syna. Sztuka jest krótka i prosta, ale ma dość mocne zakończenie.

– Muszę siusiu – powiedziała kobieta piskliwym głosem, a koniuszki jej palców błędziły po lokach blond peruki.

– Wszystko w porządku, kochanie – odpowiedział, nie patrząc na nią. – Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie tak, jak zawsze powinno być. – Dermott przesunął nieco głę na kolanach, aby, jak podejrzewał Gurney, lepiej wycelować w Nardo. – Wszyscy gotowi?

Jeżeli wzrok Nardo mógłby zabijać, Dermott byłby już trzy razy martwy. Zamiast tego na jego ustach błędził dziwny uśmiezek, Gurney nie był pewien, czy to rzeczywiście uśmiech, czy może nerwowy tik.

– Rozumiem, że cisza oznacza przyzwolenie. Chciałbym jednak pana po przyjacielsku ostrzec. Każda dalsza niejasność w odpowiedziach zakończy się natychmiastowym zakończeniem przedstawienia i co za tym idzie, pańskiego życia. Rozumie pan?

– Tak.

– Dobrze. Kurtyna w górę. Zaczyna się przedstawienie. Jest późna jesień. Czas: późne popołudnie, jest już ciemno, dość ponuro, na zewnątrz śnieg, lekki mróz. Prawdę mówiąc, wieczór jest podobny do dzisiejszego. To pana wolny dzień. Dzień, który spędził pan w barze, od rana pijąc razem z kolegami pijaczkami. Tak właśnie spędza pan wolne dni. Przychodzi pan do domu i zaczyna się przedstawienie. Wchodzi pan na chwiejnych nogach do sypialni żony. Twarz ma pan zaczerwienioną z wściekłości. Oczy puste i głupawe. Ma pan w dłoni butelkę whisky. – Dermott wskazał na butelkę whisky Four Roses, stojącą na cedrowej skrzyni. – Może pan się posłużyć tamtą. Niech pan ją teraz podniesie.

Nardo zrobił krok naprzód i podniósł butelkę. Dermott skinął głową z aprobatą.

– Instynktownie ocenia ją pan jako potencjalną broń. To bardzo dobrze,

akuratnie. Dobrze wczuwa się pan w odgrywaną postać. Teraz tak: z butelką w ręce stoi pan, chwiejąc się, u wezglowia łóżka żony. Wpatruje się pan niechętnie, z głupią wściekłością, w leżących na łóżku kobietę i małego chłopca, jak również w jego zabawkę, wypchaną gęś. Odslania pan zęby jak głupi, wściekły pies. – Dermott przerwał i przyglądał się twarzy Nardo. – Niech pan pokaże, jak pan odslania zęby.

Usta Nardo zacisnęły się i rozdzieliły. Gurney wiedział, że jego wściekłość nie jest udawana.

– No właśnie, świetnie! – ekscytował się Dermott. – Idealnie! Ma pan do tego prawdziwy talent. Tak, stoi pan tutaj z zaczerwienionymi oczami, ślina ścieka panu z kącika ust i wrzeszczy pan na żonę leżącą w łóżku: „Co ten gówniarz tutaj robi?”. Pokazuje pan na mnie. Moja mama mówi: „Uspokój się, Jim, on mi pokazuje swoją małą Kaczkę Kwa i książeczkę”. Pan mówi: „Nie widzę tu, kurwa, żadnej książeczki”. Moja matka mówi panu: „Patrz, tutaj, na stoliku przy łóżku”. Ale pan ma obrzydliwe myśli i to widać na pana obrzydliwej twarzy. Obrzydliwe i ohydne obrazy emanują z pana jak śmierdzący zapach przetrawionej wody. Moja mama mówi panu, że jest pan pijany i powinien położyć się w sąsiednim pokoju. Ale pan zaczyna się rozbierać. Ja wrzeszczę, żeby się pan wynosił. Ale pan zdejmuje do końca ubranie i stoi nagi, uśmiechając się szyderczo. Ja czuję, że zaraz zwymiotuję. Moja matka wrzeszczy na pana, że jest pan odrażający, żeby wynosił się pan z pokoju. Pan mówi: „Kogo ty, kurwa, nazywasz odrażającym?”. Później rozbija pan butelkę o ramę łóżka i wskakuje pan na pościel, jak naga małpa ze zbitą butelką w ręce. Ohydny smród whisky unosi się w całym pokoju. Pana ciało śmierdzi. Nazywa pan moją matkę szmatą. Pan...

– Jak ona ma na imię? – przerwał mu Nardo.

– To bez znaczenia – Dermott mrugnął dwa razy powiekami.

– Oczywiście, że to ma znaczenie.

– Ja powiedziałem, że nie ma.

– Dlaczego nie?

Dermott wydawał się nieznacznie zaskoczony tym pytaniem.



– To nie ma znaczenia, jak ona ma na imię, ponieważ pan nigdy nie mówi do niej po imieniu. Wyzywa ją pan, obrzuca obelgami, mówi ohydne rzeczy, ale nigdy nie wymawia jej imienia. Nigdy nie okazuje jej szacunku. Może to imię nie przeszło panu przez gardło już od tak dawna, że nawet pan nie pamięta, jak brzmi.

– Ale ty wiesz, jak ona ma na imię, prawda?

– Oczywiście, że wiem. To moja matka. Oczywiście, że znam imię mojej matki.

– Więc jak ono brzmi?

– Dla pana to bez znaczenia. Pana to nie obchodzi.

– A jednak chciałbym wiedzieć, jak ono brzmi.

– Nie chcę, żeby jej imię pojawiło się w pana ohydnych mózgu.

– Jeśli mam udawać, że jestem jej mężem, muszę wiedzieć, jak ma na imię.

– Musi pan wiedzieć to, co ja chcę, żeby pan wiedział.

– Ja nie mogę grać w tej sztuce, jeżeli nie wiem, kim jest ta kobieta. Nie obchodzi mnie, co mówisz, bo to nie ma żadnego sensu, jeżeli nie znam imienia własnej żony.

Gurney nie miał pojęcia, dokąd Nardo zmierza.

Czy Nardo w końcu zdał sobie sprawę, że otrzymał polecenie odegrania pijackiej napaści Jimmy’ego Spinksa na Felicity Spinks, która miała miejsce w tym domu dwadzieścia pięć lat wcześniej? Czy pojął wreszcie, że Gregory Dermott, który przed rokiem kupił ten dom, może być synem Jimmy’ego i Felicity – ośmioletnim chłopakiem Spinksów, którego pracownicy socjalni zabrali po tragedii, która miała miejsce w jego domu? Czy przyszło mu do głowy, że siedząca na łóżku stara kobieta z blizną na gardle to prawie na pewno Felicity Spinks ? Że jej dorosły syn odebrał ją z domu opieki, w którym przez lata przebywała po traumatycznych wydarzeniach tamtego wieczoru? Czy Nardo chciał zmienić dynamikę tej „sztuki”, która rozgrywała się przed ich oczami, ujawniając, o co w tym wszystkim chodzi? Czy chciał stworzyć sytuację, w której będzie mógł rozproszyć uwagę Dermotta, mając nadzieję, że znajdzie jakąś drogę

wyjścia? Czy też po prostu szedł na oślep, próbował na tyle, na ile było to możliwe i na ile potrafił, opóźnić to, co Dermott planuje?

Była też oczywiście inna możliwość. To, co Nardo teraz robił i jak Dermott na to reagował, z racjonalnego punktu widzenia może w ogóle nie mieć sensu. Może to być po prostu jakiś śmieszny, trywialny spór, kłótnia chłopców z plastikowymi łopatkami, tarmoszących się za koszulki w piaskownicy, albo zatarg rozwścieczonych mężczyzn, bijących na oślep pięściami w jakimś zadymionym barze. Gurney podejrzewał, że niestety to właśnie teraz ogląda.

– To bez znaczenia, czy pan uważa, że to ma sens, czy nie – powiedział Dermott, znów nieco zmieniając kąt ramienia ukrytego za wypchaną gęsią, z wzrokiem wbitym w gardło Nardo. – Nic, co pan myśli, nie ma znaczenia. Czas już się rozbierać.

– Najpierw mi powiedz, jak ona ma na imię.

– Już czas, żeby pan się rozebrał, rozbił butelkę i wskoczył na łóżko jak naga małpa. Jak głupi, śliniący się, ohydny potwór.

– Jak ona ma na imię?

– Już czas.

Gurney dostrzegł niewielkie poruszenie mięśni przedramienia Dermotta, co znaczyło, że jego palec zaciska się na spuście rewolweru.

– Po prostu powiedz mi, jak ona ma na imię.

Gurney nie miał już teraz żadnych wątpliwości, co się dzieje. Nardo narysował linię na piasku i całe swoje męstwo, a właściwie całe życie zainwestował w to, by zmusić przeciwnika do odpowiedzi na pytanie. Dermott podobnie, był na sto procent zaangażowany w utrzymanie kontroli. Gurney zastanawiał się, czy Nardo ma pojęcie, jak jest to ważne dla człowieka, którym próbuje manipulować. Według Rebecki Holdenfield, a w zasadzie zgodnie z opinią wszystkich zajmujących się seryjnymi mordercami, panowanie nad sobą i innymi było dla nich celem wartym każdej ceny i każdego ryzyka. Absolutna kontrola i wynikające z niej poczucie wszechwładzy i wszech mocy wywoływały euforię, to było jak narkotyk. Próba zburzenia poczucia panowania psychopaty równała się

próbie samobójczej, szczególnie jeśli nie miało się w ręku zadnej broni.

Wydawało się, że niewiedza Nardo, jego niewłaściwa ocena sytuacji sprawiła, że znalazł się o włos od śmierci, ale tym razem Gurney nie mógł go uratować, nakazując mu posłuszeństwo wobec mordercy. Ta taktyka drugi raz nie zadziałała.

Oczy Dermotta ciemniały jak zbierająca się jesienna burza. Gurney nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mogłoby powstrzymać palec opierający się o spust rewolweru. I wtedy usłyszał ten głos, czysty i chłodny, jak stare srebro. Był to bez wątpienia głos Madeleine mówiącej coś, co powiedziała mu lata temu, kiedy czuł się sparaliżowany przypadkiem na pozór zupełnie beznadziejnym.

– Jest tylko jeden sposób wydostania się z zaułka.

„Oczywiście – pomyślał. To absurdalnie oczywiste. Trze ba po prostu pójść w przeciwnym kierunku”. Jeśli chciało się zatrzymać człowieka, który czuje przemożną potrzebę całkowitego panowania nad sytuacją, a przez to niepoahowaną potrzebę zabijania po to, by kontrolować sytuację, należy zrobić coś wręcz przeciwnego, niż nakazuje instynkt. I kiedy zdanie Madeleine pojawiło się w jego umyśle, czyste jak wiosenne wody, wiedział, co musi zrobić. Było to oburzające, absolutnie pozbawione odpowiedzialności i nie do obrony w sądzie, gdyby nie poskutkowało. Ale był pewien, że zadziała.

– Teraz! Teraz, Gregory – syknął. – Zastrzel go!

Jego absurdalna uwaga zaskoczyła obu mężczyzn, którzy próbowali zrozumieć, co właśnie usłyszeli, było to tak niepojęte, jak próba rozumowego ogarnięcia rozbłysku na niebie w bezchmurny dzień. Dermott zawahał się, spuścił z Nardo wzrok, w którym można było odczytać wyrok śmierci, a rewolwer ukryty w gęsi przesunął się nieco w kierunku Gurneya, siedzącego na krześle opartym o ścianę.

Usta Dermotta rozszerzyły się w dziwacznej imitacji uśmiechu.

– Przepraszam, nie rozumiem? – W udawanej nonszalancji Gurney wyczuł drzenie niepewności.

– Słyszałeś, co mówię, Gregory – odparł. – Kazałem ci go zastrzelić.

– Ty... kazałeś... mnie?

Gurney westchnął z udawaną niecierpliwością.

– Tylko marnujesz mój czas.

– Marnuję...? A co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? – Rewolwer ukryty w gęsi przesunął się jeszcze bliżej w kierunku Gurneya. Cała jego nonszalancja ulotniła się w sekundę.

Nardo robił coraz większe oczy. Trudno było Gurneyowi ocenić inne, współgrające ze zdumieniem, emocje. Jak gdyby to właśnie Nardo domagał się wyjaśnienia, co się dzieje, Gurney zwrócił się ku niemu i powiedział od niechcenia:

– Gregory lubi zabijać ludzi, którzy przypominają jego ojca. – Z gardła Dermotta wydarł się zduszony odgłos, jak gdyby początek jakiegoś słowa albo szloch, który uwiązał mu w krtani. Gurney wciąż był skupiony na Nardo i mówił dalej, tym samym obojętnym tonem. – Problem polega na tym, że trzeba go od czasu do czasu do tego popchnąć. Bo mu się to wszystko miesza. I niestety popełnia błędy. Nie jest tak bystry, jak sądzi. Ojej! – Przerwał i uśmiechnął się do Dermotta, jakby nad czymś się zastanawiał. Szczęki Dermotta były teraz zaciśnięte, widać było, jak pod skórą drżą mu mięśnie. – Ma pewien potencjał, prawda? Mały Gregory jest trochę chory. Co o tym sądzisz, Gregory? Uważasz, że dałoby się z tego zrobić nowy wiersz? – Kusilo go, żeby puścić perskie oko do mordercy, ale zdał sobie sprawę, że to mógłby być jeden krok za daleko.

Dermott patrzył na niego z nienawiścią i dezorientacją. Ale w tym wzroku było coś jeszcze. Gurney miał nadzieję, że jest to wir pytań, które człowiek opanowany manią kontrolowania wszystkiego i wszystkich będzie zmuszony zadać, zanim zabije jedyne go człowieka, który potrafi na nie odpowiedzieć. Następne słowo Dermotta, który mówił zdławionym głosem, dawało mu nadzieję.

– Błędy?

Gurney kiwnął głową, jakby rozczarowany.

– Całkiem sporo, niestety.

– Jest pan kłamcą, inspektorze. Ja nie popełniam błędów.

– Nie? Jak więc to w takim razie nazwiemy, jeśli nie błędami? Wygłupami Kaczki Kwa?

W momencie kiedy to mówił, zastanawiał się, czy będzie to jego ostatnie słowo. Jeżeli tak, to nigdy się nie dowie, chyba że kula nie od razu go zabije. Tak czy inaczej, nie było bezpiecznej drogi wyjścia z tej sytuacji. Fala maleńkich drgań poruszyła kącikami ust Dermotta. Oparł się wygodniej o poduszki, a Gurney miał wrażenie, że patrzy na niego z jakiegoś piekielnego łoża.

Gurney wiedział tylko o jednym błędzie, który Dermott popełnił – błędzie dotyczącym czeku Kartcha, z którego zdał sobie sprawę dopiero przed kwadransiem, patrząc na kserokopie czeków w ramkach, stojących pod lampą na stoliku nocnym. Co by się jednak stało, gdyby stwierdził, że od samego początku widział ten błąd i rozumie jego znaczenie? Jaki wpływ miałyby to na człowieka, który chciał tak desperacko wierzyć, że w pełni nad wszystkim panuje? Znowu przyszła mu do głowy maksyma Madeleine, ale tym razem zupełnie przeciwna. Jeśli nie możesz się cofać, daj całą naprzód. Skierował się teraz ku Nardo, jak gdyby można było całkowicie bezpiecznie zignorować seryjnego zabójcę, znajdującego się w tym samym pomieszczeniu co oni.

– Kiedy podawał mi nazwiska osób, które wysłały mu czeki, popełnił jeden ze swoich najgłupszych błędów. Chodzi o to, że Kartch wysłał czek w zwykłej kopercie, bez żadnego listu. Można go było zidentyfikować jedynie przez nazwisko wydrukowane na samym czeku. A na czeku widniało R. Kartch, podobnie się też podpisywał. Litera R mogła oznaczać Roberta, Ralpha, Randolpha, Ruperta czy dziesięć innych imion. Gregory jednak uznał, że R oznacza Richarda, twierdząc jednocześnie, że ani nie zna człowieka, ani nie miał kontaktu z wysyłającym czeki, a ja widziałem tę kopertę wśród innej korespondencji Kartcha w Sotherton. I od razu wiedziałem, że łąże. Powód był oczywisty.

Dla Nardo to było za wiele.

– Wiedziałeś? Więc dlaczego nam nie powiedziałeś, przecież byśmy go zgarnęli?

– Wiedziałem, co on robi, i dlatego nie miałem żadnego interesu w tym, żebyście go zgarniali.

Nardo wyglądał tak, jakby przeniósł się do równoległego świata, w którym muchy zabijają packami ludzi.

Donośne postukiwanie kazało Gurneyowi spojrzeć na łóżko. Stara kobieta stuknęła czerwonymi butkami Dorotki, jak sama Dorotka wyjeżdżająca z krainy Oz w drodze do Kansas. Rewolwer schowany w gęsi na kolanach Dermotta był skierowany teraz wprost na Gurneya. Dermott próbował – a Gurney miał nadzieję, że to wymaga wysiłku – wyglądać jak ktoś, kogo zupełnie nie obeszła rewelacja na temat Kartcha. Słowa wypowiedział ze szczególną precyzją.

– Nieważne, jaką grę pan tu planuje, inspektorze, bo to ja ją zakończę.

Gurney musiał przywołać całe swoje aktorskie doświadczenie z lat, kiedy pracował na ulicy jako tajny agent, by spróbować odpowiedzieć z pewnością siebie człowieka, który ma gdzieś schowanego uzi, wymierzonego w klatkę piersiową przeciwnika.

– Zanim zaczniesz komuś grozić – powiedział cicho – upewnij się, że rozumiesz sytuację.

– Sytuację? Ja strzelam, pan umiera. Ja strzelam jeszcze raz i on umiera. Pawiany wchodzą przez drzwi i też umierają. To jest cała sytuacja.

Gurney zamknął oczy i oparł głowę o ścianę, wzdychając ciężko.

– Czy ty masz pojęcie... Czy ty w ogóle masz pojęcie... – zaczął, a później w znużony sposób pokręcił głową. – Nie. Oczywiście, że nie masz. Bo i skąd?

– Pojęcie o czym, inspektorze? – Dermott wypowiedział to ostatnie słowo z przesadnym sarkazmem.

Gurney się zaśmiał. Chciał przez to zmusić Dermotta do postawienia sobie kolejnych pytań, jednak niezamierzonym efektem było wzmocnienie jego własnego wewnętrznego chaosu emocjonalnego.

– Zgadnij, ilu ludzi zabiłem – szepnął, patrząc na Dermotta wzrokiem szaleńca i modląc się w duchu, żeby nie rozpoznał celu jego desperackich działań, które miały tylko dać im więcej czasu, tak żeby gliniarze z

Wycherly zorientowali się, że Nardo zniknął. Dlaczego jeszcze tego nie zauważyli? Może zauważyli? Szklane pantofelki wciąż postukiwały.

– Durne gliny wciąż zabijają ludzi – powiedział Dermott. – A co mnie mogłoby to obchodzić?

– Nie mam na myśli byle kogo. Mam na myśli ludzi takich jak Jimmy Spinks. Zgadnij, ilu takich jak on wysłałem na tamten świat?

Dermott mrugnął powiekami.

– O czym pan, do cholery, opowiada?

– Mówię o zabijaniu pijaczków. O zmiotaniu z powierzchni ziemi tych pijanych bestii, o pozbywaniu się największych szumowin.

Raz jeszcze w kącikach ust Dermotta coś niemal niedostrzegalnie zadrgało. Gurney skupił na sobie jego uwagę, co do tego nie miał wątpliwości. No i co teraz? Trzeba tylko wskoczyć na falę i płynąć. Innego sposobu nie było. Układał słowa w miarę, jak je wypowiadał.

– Kiedyś, późnym wieczorem, na dworcu autobusowym niedaleko portu, kiedy byłem jeszcze żółtodziobem patrolującym ulice, kazano mi wywalić jakichś deliryków, którzy okupowali tylne wyjście z dworca. Jeden nie chciał wyjść. Z trzech metrów czułem od niego smród whisky. Jeszcze raz kazałem mu opuścić budynek, ale zamiast w kierunku drzwi, skierował się ku mnie. Wyciągnął z kieszeni nóż kuchenny, taki mały nożyk z ząbkowanym ostrzem, jakim się obiera pomarańcze. Machał mi tym nożem przed oczami i nie posłuchał, kiedy kazałem mu go rzucić. Dwóch świadków, którzy widzieli konfrontację z ruchomych schodów, przysięgało, że zastrzeliłem go w obronie własnej. – Zawiesił głos i uśmiechnął się. – Ale to nieprawda. Gdybym chciał, mógłbym go obezwładnić jednym ruchem. Zamiast tego strzeliłem mu w głowę i wywaliłem mu ten jego pijacki mózg z głowy. Wiesz, dlaczego to zrobiłem, Gregory?

– Kaczka Kwa, Kaczka Kwa, Kaczka Kwa – powiedziała stara kobieta w rytmie szybszym niż postukiwanie bucików. Dermott rozchylił usta na centymetr, ale się nie odezwał.

– Zrobiłem to, bo wyglądał jak mój ojciec – powiedział Gurney, gniewnie podnosząc głos. – Wyglądał jak mój ojciec tego wieczoru, kiedy rozbił na

głowie matki czajnik z herbatą, głupi czajnik z herbatą z durną twarzą klauna, namalowaną z jednej strony.

– To nie był zbyt dobrym ojcem – odparł Dermott chłodno. – Ale z drugiej strony, panie inspektorze, pan też.

To szydercze oskarżenie upewniło Gurneya, że Dermott dużo wie. W tym momencie poważnie zastanawiał się nad opcją rzucenia się na Dermotta nawet za cenę przyjęcia kuli.

Szyderczy uśmiech potęgował się. Być może Dermott wyczuwał dyskomfort Gurneya.

– Dobry ojciec powinien chronić swojego czteroletniego synka, a nie pozwolić, żeby go przejechał samochód i żeby kierowca uciekł.

– Ty mały gnojku – mruknął Gurney.

Dermott zachichotał, wydawał się przeszcześliwy.

– O, jacy jesteśmy wulgarni, wulgarni, wulgarni. A ja myślałem, inspektorze, że jesteś moim kolegą po piórze. Miałem nadzieję, że będziemy mogli się wymieniać wierszami. Mam już gotowy maleńki wierszyk na następną wymianę. Niech pan mi powie, co pan o tym myśli:

*Auto znika bez śladu,  
Detektyw nie może dojść do ładu.  
Co powie mamusia,  
Gdy zobaczy martwego synusia?*

Dziwaczny zwierzęcy odgłos, zduszony wybuch wściekłości wyrwał się z piersi Gurneya. Dermott stał jak oniemiały.

Nardo czekał tylko na moment maksymalnego rozproszenia uwagi zabójcy. Jego muskularne prawe ramię błyskawicznie zakręciło w górę i silnym ruchem obrotowym wypuściło jak z procy butelkę whisky Four Roses prosto w kierunku głowy Dermotta. Kiedy Dermott wyczuł ruch, zaczął przesuwając rewolwer ukryty pod gęsią ku Nardo, a Gurney rzucił się przed siebie susem i skoczył na łóżko. Wylądował wprost na gęsi, w tym samym momencie, kiedy gruba podstawa butelki pełnej whisky trafiła



Dermotta prosto w skroń. Rewolwer wypalił pod Gurneyem, a w powietrzu wokół niego eksplodowały mikroskopijne cząstki gęsiego puchu. Kula przeszła pod Gurneyem w kierunku ściany, przy której siedział, i rozbiła lampkę przy łóżku, która była jedynym źródłem światła w pokoju. W ciemności słyszał ciężki oddech Nardo. Kobieta zaczęła cieniutko, żałośnie popiskiwać, śpiewała coś, co brzmiało jak zapomniana kołysanka. W tym samym momencie usłyszeli odgłos potężnego uderzenia, a ciężkie metalowe drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i uderzyły w ścianę. Wpadł zza nich, jak kartacz wystrzelony z armaty, olbrzymi mężczyzna. Za jego plecami zobaczyli mniejszą postać.

– Na glebę! – krzyknął olbrzym.

## Śmierć przed świtem

Kawaleria w końcu dotarła, trochę za późno, ale może tak było lepiej. Zważywszy na skuteczność Dermotta jako strzelca i przemożną chęć układania coraz wyższego stosu kruków, niewykluczone, że nie tylko Nardo i Gurney, ale również cała reszta skończyłaby z kulami w gardłach. I wtedy, gdyby wystrzały sprowadziły wszystkich policjantów z miasteczka do tego domu, a Dermott otworzył zawory, wypuszczając przez system zraszania sprężony chlor i amoniak... W ten sposób jedyną poważniejszą ofiarą tej akcji oprócz lampy stołowej i ramy drzwi był sam Dermott. Butelka, którą Nardo cisnął z wściekłością wojownika, uderzyła go tak mocno, że wyglądał, jak człowiek w śpiączce. Dodatkowe niewielkie obrażenia odniósł Gurney, bo odprysk z butelki trafił go w czoło i wbił się tuż poniżej linii włosów.

– Usłyszeliśmy strzały. Co się tu, do jasnej cholery, dzieje? – warknął olbrzymi mężczyzna, rozglądając się po ciemnym pokoju.

– Wszystko jest pod kontrolą, Tommy – odparł Nardo, choć z jego łamiącego się głosu nie wynikało, by rzeczywiście nad czymkolwiek panował. W słabym świetle wpadającym do pokoju z drugiej części piwnicy Gurney rozpoznał policjantkę, która wpadła do środka tuż za Tommym. Była to Pat ze ściętymi na krótko, po marynarsku, włosami i acetylenowo błękitnymi oczami. Z ciężkim, dziewięciomilimetrowym pistoletem gotowym do strzału, nie spuszczać oczu z tego, co dzieje się na łóżku, przeszła ostrożnie do drugiej części pomieszczenia i włączyła lampę stojącą przy fotelu, na którym wcześniej siedziała stara kobieta.

– Mogę wstać? – spytał Gurney, który wciąż leżał na gęsi spoczywającej na kolanach Dermotta.

Duży Tommy spojrzał na Nardo.

– Pewnie – powiedział Nardo, który wciąż nie mógł rozewrzeć szczęk. – Niech wstanie.

Kiedy powoli podnosił się z łóżka, poczuł, że po twarzy zaczyna mu płynąć krew – był to widok, który prawdopodobnie powstrzymał Nardo od natychmiastowego ataku na człowieka, który kilka minut wcześniej zachęcał pomyłonego seryjnego mordercę do zastrzelenia go bez mrugnięcia okiem.

– Jezus Maria... – powiedział Duży Tommy, patrząc na krew.

Nadmiar adrenaliny w żyłach nie dopuścił wcześniej do świadomości Gurneya faktu, że jest ranny. Teraz dotknął twarzy i okazało się, że jest zadziwiająco mokra; przyjrzał się swojej dłoni i zobaczył, że jest czerwona.

Acetylenowa Pat patrzyła bez emocji na twarz Gurneya.

– Mam wezwać karetkę? – spytała Nardo.

– Tak, jasne. Wezwij – powiedział bez przekonania.

– Dla nich też? – spytała, wykonując głową skinienie w kierunku dziwacznej pary na łóżku. Jej wzrok przyciągnęły pantofelki z czerwonego szkła. Zmrużyła oczy, jak gdyby próbowała pozbyć się iluzji optycznej.

– Tak – mruknął zde gustowany Nardo po dłuższej przerwie.

– Mam odwołać wozy? – spytała, marszcząc brwi na widok butów, które w końcu okazały się niepokojąco realne.

– Co? – rzucił po dłuższej przerwie Nardo. Gapił się na resztki rozbitej lampy i dziurę po kuli w gipsowo-kartonowej ścianie tuż za nią.

– Mamy wozy patrolowe w całym mieście i ludzi wypytujących mieszkańców od drzwi do drzwi. Mam ich odwołać?

Decyzja wydawała się trudniejsza, niż powinna być.

– Tak, odwołaj ich – zdecydował w końcu.

– Dobra – powiedziała i sztywno wyszła z pokoju.

Duży Tommy przyglądał się uszkodzonej głowie Dermotta z wyrazem niechęci w oczach. Butelka po whisky Four Roses leżała teraz na poduszce między Dermottem a starą kobietą, której lokowana blond peruka przesunęła się na głowie tak, że wyglądała, jakby ktoś okręcił ją o jedną czwartą obrotu.

Kiedy Gurney przyglądał się kwiecistej etykiecie na butelce, olśniło go i odnalazł odpowiedź, której wcześniej poszukiwał. Przypomniał sobie, co

powiedział mu Bruce Wellstone. Stwierdził wtedy, że Dermott (pseudonim pan Scylla) powiedział, że widział cztery łuszczyki różowobrzuche i ze szczególnym naciskiem podkreślał liczbę cztery. „Interpretacja” czterech różowobrzuchych łuszczyków uderzyła Gurneya niemal tak szybko, jak same słowa. Cztery Róże<sup>[10]</sup>! Podobnie, jak podpisanie się w książce meldunkowej nazwiskami pan i pani Scylla, i ta wiadomość była dowodem na fenomenalną błyskotliwość Dermotta. Gregory pokazywał, jak łatwo można się zabrać z durnymi, złymi gliniarzami. Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

Po chwili wróciła ponuro skuteczna Pat.

– Karetka już jedzie. Wozy patrolowe odwołane. Rozmowy z mieszkańcami również.

Spojrzała chłodno na łóżko. Stara kobieta od czasu do czasu wydawała z siebie dźwięki przypominające płacz lub nucenie. Dermott wciąż był śmiertelnie blady i nieruchomy.

– Na pewno żyje? – spytała bez przejęcia.

– Pojęcia nie mam – powiedział Nardo. – Może powinnaś sprawdzić.

Wydeła usta, podeszła parę kroków i przyłożyła palce do tętnicy szyjnej.

– Tak, żyje. A co z nią?

– To żona Jimmy’ego Spinksa. Słyszałaś kiedyś o Jimmym Spinksie?

Pokręciła głową.

– Kto to jest Jimmy Spinks?

Przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Nieważne – odparł w końcu.

Wzruszyła ramionami, jak gdyby ignorowanie rzeczy nie istotnych było wpisane w jej obowiązki zawodowe. Nardo wziął kilka powolnych, głębokich oddechów.

– Ty i Tommy musicie iść na górę i zabezpieczyć dom. Wiemy, że to ten mały skurwiel wszystkich pozabijał, więc ekipa z laboratorium kryminalistycznego będzie musiała wrócić i przesiać tu wszystko przez sitko.

Tommy i ona spojrzeli na siebie niepewnie, ale wyszli z pokoju bez

słowa. Kiedy Tommy przechodził obok Gurneya, zwrócił się do niego, jak gdyby zauważył na jego ubraniu pyłek łupieżu.

– Kawalek szkła wystaje panu z głowy.

Nardo odczekał, aż ucichły ich kroki na schodach i zamknęły się za nimi drzwi do piwnicy. Odezwał się dopiero po chwili.

– Odsuń się od łóżka. – Głos miał nieco rozedrgany.

Gurney wiedział, że tak naprawdę każe mu się odsunąć od broni – rewolweru Dermotta w rozwalonej gęsi, broni, którą Dermott kazał Nardo wyjąć z kabury przypiętej do łydki w kieszeni Dermotta i rozbitej butelki na poduszce – to wszystko stanowiło zagrożenie, ale usłuchał go w milczeniu.

– Dobra – powiedział Nardo, walcząc sam ze sobą, żeby się opanować. – Daję ci szansę, żeby to wyjaśnić.

– A mogę usiąść?

– Nie obchodzi mnie, czy będziesz stał czy, kurwa, siedział. Gadaj! I to już!

Gurney usiadł na fotelu przy roztrzaskanej lampie.

– Lada chwila by cię zastrzelił. Byłeś dwie sekundy od otrzymania kuli w gardło, serce albo głowę. To był jedyny sposób, żeby go powstrzymać.

– Nie powiedziałeś mu, żeby przestał. Kazałeś mnie zastrzelić. – Pięści Nardo były zaciśnięte tak mocno, że Gurney widział białe kłykcie.

– Ale tego nie zrobił, prawda?

– Ale mu kazałeś.

– Bo to był jedyny sposób, żeby go powstrzymać.

– Jedyny sposób, żeby go powstrzymać... Czy ty, człowieku, zwariowałeś? – Nardo wpatrywał się w niego jak pies zabójca, który chce, żeby go spuścić ze smyczy.

– Fakty są takie, że żyjesz.

– Mówisz, że żyję, bo kazałeś mu mnie zabić? Co to za idiotyczna argumentacja?

– W seryjnych morderstwach chodzi przede wszystkim o kontrolę. Całkowitą kontrolę. Dla szalonego Gregory'ego oznaczało to nie tylko

panowanie nad teraźniejszością i przyszłością, lecz również i przeszłością. Scena, którą miałeś odegrać, to scena tragedii, która wydarzyła się w tym domu dwadzieścia pięć lat temu, ale z jedną ważną różnicą. Wtedy mały Gregory nie potrafił powstrzymać ojca od podejrzenia gardła matce, która nigdy nie doszła potem do siebie. On zresztą też. Dorosły Gregory chciał cofnąć taśmę i zacząć od początku tak, by móc to zmienić. Chciał, żebyś zrobił dokładnie to, co jego ojciec, do chwili podniesienia w górę butelki. Wtedy miał zamiar cię zastrzelić, żeby pozbyć się tego straszego pijaka, żeby ocalić matkę. O to chodziło w pozostałych morderstwach. To były próby przejęcia kontroli nad Jimem Spinksem i pozbawienia go życia. Chciał tego dokonać, przejmując kontrolę i zabijając innych pijaczków.

– Gary Sissek nie był pijaczkiem.

– Może i nie. Ale Gary Sissek był w policji, kiedy służył u was Jimmy Spinks, i założę się, że Gregory rozpoznał kumpla swojego ojca. Może nawet od czasu do czasu razem popijali. A fakt, że ty też służyłeś wtedy w policji, w umyśle Gregory’ego czynił z ciebie idealnego dublera, to był fantastyczny sposób na powrót do przeszłości i zmianę historii.

– Ale kazałeś mi zastrzelić! – Nardo wciąż chciał się spierać, ale Gurney usłyszał z ulgą, że przekonanie w jego głosie słabnie.

– Kazałem mu strzelać, bo to był jedyny sposób na zatrzymanie zabójcy opanowanego manią kontrolowania świata i ludzi, a jedyną bronią, jaką dysponowałem, były słowa, które miały sprawić, żeby naszły go wątpliwości, czy to rzeczywiście on rozdaje wszystkie karty. Częścią fantazji o kontroli nad rzeczywistością jest to, że to on sam podejmuje wszystkie decyzje, że on ma moc i władzę i nie ma nikogo ponad nim. Można mu podstawić nogę, kazać mu robić dokładnie to, co sam chce zrobić. Jeżeli mu się sprzeciwisz, to cię zabije. Błagasz o życie, zabije cię. Ale nakaz mu coś, co chce w danym momencie sam zrobić, i krótkie spięcie gwarantowane.

Nardo przez chwilę wyglądał tak, jak gdyby próbował znaleźć jakąś lukę w tej opowieści:

– W twoim głosie było dużo... szczerości. Nienawiści, jakbyś naprawdę

chciał, żebym zginął.

– Gdybym był mało przekonujący, to teraz byśmy o tym nie rozmawiali.  
Nardo przeszedł na inny bieg.

– A co z tą strzelaniną na stacji autobusowej koło portu?

– A co chcesz wiedzieć?

– Zastrześliś jakiegoś włóczęgę, bo przypominał ci ojca?

Gurney uśmiechnął się.

– Co w tym śmiesznego?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdy nie pracowałem w okolicach portu ani dworca autobusowego. Po drugie, podczas dwudziestu pięciu lat służby w policji ani razu nie wystrzeliłem z broni służbowej. Ani razu.

– Więc to wszystko było zmyślane?

– Mój ojciec trochę za dużo pił. To było... niełatwe. Nawet kiedy był w domu, to jakby go nie było. Ale pakowanie kuli w łeb jakiemuś włóczędze niczego by nie zmieniło.

– Więc po cholere o tym wszystkim gadałeś?

– Po cholere? Po to, żeby stało się to, co się stało.

– A może jaśniej?

– O, Boże! Po prostu próbowałem odwracać uwagę Dermotta na tyle długo, żeby dać ci sposobność ruszenia na niego z dwukilogramową butelką w ręce.

Nardo patrzył na niego przez chwilę ogłupiały, jak gdyby wszystkie te informacje z trudem mieściły się w jego zwojach mózgowych.

– A historia o dziecku, które wpadło pod samochód... To też była ściema?

– Nie. To była prawda. Miał na imię Danny. – Gurney zaczął mówić chropawym głosem.

– I nie złapali kierowcy?

Gurney pokręcił przecząco głową.

– Żadnych śladów?

– Jakiś świadek mówił, że samochód, który przejechał mojego chłopca, czerwone BMW, był zaparkowany całe popołudnie przed barem, a gość, który wyszedł stamtąd i wsiadł do samochodu, był narąbany.

Nardo myślał o tym przez chwilę.

- Nikt w barze nie potrafił go zidentyfikować?
- Mówili, że nigdy go tam wcześniej nie widziano.
- Kiedy to było?
- Czternaście lat i osiem miesięcy temu.

Przez kilka minut milczeli. Później Gurney odezwał się cichym, pełnym wahania głosem.

– Wziąłem go do piaskownicy w parku. Tuż przed nim po chodniku szedł jakiś gołąb, a Danny za nim ruszył. Nie upilnowałem dziecka. Myślałem o śledztwie, o morderstwach. Gołąb zszedł z chodnika na ulicę, a Danny za nim. Zanim się zorientowałem, co jest grane, było już za późno. Było po wszystkim.

- Masz jeszcze dzieci?

Gurney zawahał się.

- Nie z matką Danny’ego.

Później zamknął oczy i żaden z nich przez długi czas się nie odzywał. W końcu Nardo przerwał milczenie.

- Więc nie ma wątpliwości, że Dermott to morderca twojego znajomego?
- Żadnych wątpliwości – odparł Gurney.

Zaskoczyły go wyczerpane głosy ich obu.

- I pozostałych też?
- Na to wygląda.
- A dlaczego teraz?
- Co takiego?
- Dlaczego tak długo czekał?

– Sposobność. Inspiracja. Okazja. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dostał zlecenie na opracowanie systemu zabezpieczeń dużej bazy danych ubezpieczeń medycznych. Mogła go najść myśl, żeby napisać taki program, który wyciągnie z akt nazwiska wszystkich mężczyzn przebywających na odwyku. To był punkt zaczepienia. Podejrzewam, że zaczęły go obsesyjnie dręczyć możliwości, a w końcu wymyślił plan, jak przebić się przez tę listę, by znaleźć ludzi na tyle



przestraszonych i niepewnych, że wyślą mu czeki. Ludzi, których będzie mógł torturować swoimi wierszykami. Gdzieś po drodze wyciągnął matkę z domu opieki, w którym państwo ją umieściło po ataku butelką, bo nie mogła funkcjonować samodzielnie.

– Gdzie był przez te wszystkie lata, zanim się tam zjawił?

– Albo w domu dziecka, albo w rodzinie zastępczej. Mógł mieć ciężkie życie. W którymś momencie zainteresował się programami komputerowymi, podejrzewam, że zaczął od gier. Był w tym coraz lepszy. Bardzo dobry, bo w końcu zrobił dyplom na najlepszej uczelni, MIT.

– Po drodze zmienił nazwisko?

– Chyba kiedy skończył osiemnaście lat. Założę się, że nie mógł znieść brzmienia nazwiska swojego ojca. W zasadzie możliwe, że Dermott to nazwisko panięńskie jego matki.

Nardo wydał wargi.

– Szkoda, że na początku tego całego bałaganu nie przejrzałeś bazy danych zmian nazwisk w całym stanie.

– Patrząc realistycznie, nie było do tego żadnego powodu. A nawet gdybyśmy to zrobili, to fakt, że w dzieciństwie Dermott nazywał się Spinks, niczego by nie powiedział śledczym pracującym nad sprawą Mellery'ego.

Przez chwilę wyglądało tak, jak gdyby Nardo próbował wszystko to upchnąć gdzieś w wolnych zasobach pamięci i przerobić jeszcze raz, kiedy oczyści umysł.

– Dlaczego ten świrus w ogóle wrócił do Wycherly?

– Bo tu właśnie jego ojciec zaatakował jego matkę butelką dwadzieścia cztery lata wcześniej? Może poczuł potrzebę zmiany przeszłości? Może usłyszał, że dom jest na sprzedaż i to stworzyło pokusę? Może uznał to za okazję do zemsty nie tylko na pijakach, ale na wszystkich policjantach w Wycherly? Jeżeli nie opowie nam całej historii, to nie będziemy tego wiedzieć na pewno. Felicity raczej nam tu nie pomoże.

– Chyba nie – zgodził się Nardo, ale coś jeszcze go dręczyło. Wyglądał na przygnębitego.

– O co chodzi? – spytał Gurney.

– Co? Nic. Naprawdę nic. Tylko zastanawiałem się... Czy rzeczywiście przejąłeś się tym, że ktoś zabija pijaków?

Gurney nie wiedział, co powiedzieć. Właściwa odpowiedź powinna brzmieć, że Gurney nie ma prawa oceniać, czy ofiara jest coś warta czy nie. Odpowiedź cyniczna, że bardziej go obchodzą wyzwania, które stają przed nim podczas gry, niż rozwiązywanie problemów moralnych, że bardziej interesuje go sam proces niż ludzie. Tak czy inaczej, nie miał ochoty dyskutować na ten temat z Nardo. Czuł jednak, że musi coś wyjaśnić.

– Jeżeli pytasz mnie, czy sprawiłaby mi przyjemność zemsta na pijanym kierowcy, który zabił mi syna, odpowiedź brzmi: nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Nardo spojrzał na niego sceptycznie, a później wzruszył ramionami. Odpowiedź Gurneya go nie przekonała, ale nie miał ochoty drażnić tej kwestii.

\*

Wybuchowy komisarz został chyba rozbrojony. Resztę wieczoru poświęcono ustalaniu priorytetów i rutynowych szczegółów dotyczących śledztwa w sprawie morderstwa. Gurneya zabrano do szpitala miejskiego w Wycherly razem z Felicity Spinks (panieńskie nazwisko Dermott) i Gregorym Dermottem (w dzieciństwie Spinks). Podczas gdy matka mordercy, wciąż w rubinowych pantofelkach na nogach, była poddawana badaniu w gabinecie lekarskim, jego samego odwieziono karetką, wciąż nieprzytomnego, na radiologię. Tymczasem ranę na głowie Gurneya oczyszczono, zszyto i zabandażowano. Wszystkie te czynności wykonała pielęgniarka, której nagła fizyczna bliskość podczas zakładania opatrunku była dla Gurneya zaskoczeniem. Raczej szeptała, niż mówiła, stała w niewielkiej odległości od pacjenta i niezwykle delikatnie opatrywała rany. Miał wrażenie, że może w każdej chwili wyciągnąć rękę po kobietę, która w tych okolicznościach bardzo go kusiała. Chociaż była to oczywiście ścieżka pełna niebezpieczeństw, niemal szalona i śmiesznie patetyczna, postanowił

wykorzystać tę bardziej niż przyjazną postawę w inny sposób. Dał jej numer swojej komórki i poprosił o bezpośredni kontakt, jeżeli stan Dermotta znacząco się poprawi. Nie chciał zostać wykluczony z tej sprawy, a nie dowierzał Nardo, nawet gdy ten mu obiecał, że będzie go informował. Pielęgniarka zgodziła się z uśmiechem na ustach. Z powrotem do domu Dermotta odwiózł go małomówny młody policjant z Wycherly.

Po drodze dodzwonił się na awaryjną linię telefoniczną Sheridana Kline'a, gdzie usłyszał głos automatycznej sekretarki. Zostawił krótką wiadomość, informując go o najważniejszych wydarzeniach. Następnie zadzwonił do domu, usłyszał własny głos na automatycznej sekretarce i zostawił wiadomość dla Madeleine, opowiadając o tych samych wydarzeniach – minus kula, butelka, krew i szwy. Zastanawiał się, czy Madeleine gdzieś wyszła, czy też stoi przy telefonie i słucha wiadomości, nie chcąc podnieść słuchawki i porozmawiać z nim. Intuicja niczego mu nie podpowiadała, więc nie miał pojęcia, jak jest naprawdę.

Kiedy zjawili się z powrotem w domu Dermotta, minęła już ponad godzina i ulica była pełna samochodów z komisariatu w Wycherly oraz wozów patrolowych policji stanowej. Duży Tommy i Pat o kwadratowej szczęce pełnili straż na ganku. Gurneya zaprowadzono do niewielkiego pokoju z boku głównego holu, gdzie zaraz po przyjeździe rozmawiał z Nardo, który siedział przy tym samym stole co poprzednio. Z pokoju wychodziło dwóch pracowników z laboratorium kryminalistycznego w białych kombinezonach, butach i w lateksowych rękawiczkach na dłoniach. Szli w kierunku schodów prowadzących do piwnicy.

Nardo pchnął liniowany notes z żółtymi kartkami i tani długopis przez stół w kierunku Gurneya. Jeżeli w tym mężczyźnie były jeszcze jakieś niebezpieczne emocje, to tkwiły głęboko pod grubą warstwą biurokracji.

– Siadaj. Potrzebujemy twoich zeznań. Zaczynaj od tego, jak przyjechałeś tu dzisiaj po południu, podaj powody przyjazdu. Opisz wszystkie ważniejsze czynności, które podjąłeś, i odnotuj bezpośrednie obserwacje dotyczące tego, co robili inni. Pamiętaj o czasie wydarzeń, oddziel fakty od przypuszczeń. Zakończ w momencie, kiedy zawieziono cię do szpitala,

chyba że podczas zaszywania rany coś ważnego przyszło ci do głowy. Jakieś pytania?

Gurney spędził następne czterdzieści pięć minut, wypełniając jego polecenia. Przez większość czasu Nardo nie było w pokoju, a on zapisywał liniowane strony drobnym, starannym charakterem pisma. Na stole przy ścianie pokoju była kserokopiarka, Gurney zrobił dla siebie dwie kopie, a oryginał podpisał, wstawił datę i wręczył go Nardo. Ten powiedział tylko: „Będziemy w kontakcie”. Jego głos był pełny profesjonalnej obojętności. Nie podał Gurneyowi ręki na pożegnanie.

---

[10] Cztery Róże – po angielsku *Four Roses*.

## Koniec i początek

Zanim Gurney przekroczył most Tappan Zee i rozpoczął najdłuższy odcinek podróży drogą krajową numer siedemnaście, zaczęło mocniej padać i drastycznie spadła widoczność. Co kilka minut musiał uchylać okno i wpuszczać do środka chłodne powietrze, żeby zachować czujność. Parę kilometrów przed Goshen niemal wypadł z drogi. Spod opon zaczął się wydobywać wibrujący, głośny dźwięk, kiedy najechał na zebrowaną nawierzchnię pobocza. Tylko dzięki temu nie spadł w przepaść.

Próbował nie myśleć o niczym, prócz samochodu, kierownicy i drogi, ale to było zupełnie niemożliwe. Zaczął sobie wyobrażać, jak media zareagują na te wydarzenia, począwszy od konferencji prasowej z Sheridanem Kline'em, podczas której prokurator okręgowy pogratuluje sobie roli, jaką jego śledczy odegrali w złapaniu przewrotnego mordercy, dzięki czemu Ameryka stała się z dnia na dzień bezpieczniejszym miejscem. Media z reguły irytowały Gurneya. Idiotyczny sposób przedstawiania przestępstw był sam w sobie zbrodnią. Media robiły z tego jakąś grę. Oczywiście na swój sposób on również. Zabójstwo postrzegał jako zagadkę, którą trzeba rozwiązać, mordercę jako przeciwnika, którego trzeba przechytrzyć. Badał fakty, sprawdzał punkty widzenia, zakładał pułapki i przekazywał zdobycz maszynie wymiaru sprawiedliwości. Przechodził ku następnej śmierci z przyczyn nienaturalnych, których wykrycie wymagało pracy jego bystrego umysłu. Bywało i tak, że postrzegał rzeczy w innym świetle, kiedy górę brało zmęczenie pościgiem, a w ciemności wszystkie kawałki układanki wyglądały tak samo lub w ogóle nie przypominały układanki. Wtedy jego zmęczony mózg odchodził od geometrycznych wykresów w kierunku ścieżek bardziej prymitywnych, odsłaniających fragmenty prawdziwego okrucieństwa rzeczywistości, w którą Gurney postanowił się zanurzyć. Z jednej strony logika prawa, kryminologia, procesy osądzania. Z drugiej Jason Strunk, Peter Possum Piggert, Gregory Dermott, ból, mordercza

wściekłość i śmierć. A między nimi, między tymi dwoma światami jedno niepokojące pytanie: co łączy te dwie rzeczywistości?

Znów uchylił okno i wpuścił powietrze, zawiało do środka śniegiem, igielki lodu chłodziły mu twarz.

Głębokie i bezsensowne jednocześnie pytania, wewnętrzne dialogi prowadzące donikąd, były jak dobrze znany wewnętrzny pejzaż. Inni faceci zajmowali się przewidywaniem, kto wygra najbliższe rozgrywki ligowe koszykówki, a on rozważał właśnie takie rzeczy. To był zły zwyczaj, który do niczego dobrego nie prowadził. Niekiedy ujawniał to wszystko Madeleine, a ona reagowała znudzeniem i zniecierpliwieniem.

– O czym ty naprawdę myślisz? – pytała czasem, odkładając sztykielkę i patrząc mu prosto w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odpowiadał, chociaż doskonale wiedział, co ona ma na myśli.

– To niemożliwe, żebyś tak się przejmował tym całym bezsensem. Zastanów się raczej, co cię tak naprawdę dręczy.

Zastanów się, co cię tak naprawdę dręczy. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Co rzeczywiście go męczyło? To, że jego racjonalny umysł nie potrafi sobie poradzić z emocjami, z pasjami? Fakt, że system wymiaru sprawiedliwości to klatka, która nie potrafi utrzymać diabła, tak jak czarodziejska różdżka nie zatrzyma podmuchów wiatru? Wiedział tylko, że coś tam jest, coś tkwi w zakamarkach jego głowy, żywi się myślami i uczuciami, pożera je jak szczur.

Kiedy próbował namierzyć najbardziej niepokojące problemy w chaosie mijającego dnia, zdawał sobie sprawę, że jest zagubiony w morzu obrazów, których nigdzie nie da się zakotwiczyć. Kiedy próbował oczyścić umysł, odprężyć się i pomyśleć o błahostkach, dwa z tych obrazów nie chciały zniknąć.

Jednym była przepełniona okrucieństwem radość w oczach Dermotta, recytującego ohydny wierszyk o śmierci Danny'ego. Drugim było echo oskarżycielskiej furii, która tkwiła w słowach dotyczących jego własnego ojca, kiedy Gurney opisywał wyimaginowany atak na własną matkę. To nie

była tylko gra, czyste aktorstwo. Jego słowa wypełniała wydobywająca się gdzieś z głębi, przenikająca je złość i potworny gniew. Czy autentyczność jego słów oznaczała, że naprawdę nienawidzi ojca? Czy wściekłość eksplodująca w tej opowieści wynikała z faktu, że czuł się porzucony, że był jak dziecko, które nie może znieść ojca niezajmującego się niczym innym, prócz pracy, spania i picia, ojca, który nieustannie gdzieś znikał i którego nigdy nie można było osiągnąć? Gurney sam był zdziwiony tym, jak wiele i jak niewiele miał wspólnego z Dermottem.

A może było wręcz przeciwnie, była to zasłona dymna ukrywająca poczucie winy, że porzucił tego chłodnego samotnika, starego człowieka, dlatego że wcześniej on sam nie chciał mieć z Gurneyem nic wspólnego? A może była to projekcja nienawiści do samego siebie? Może podwójna klęska rodzicielska – nieuwaga w opiece nad jednym synem i świadome unikanie drugiego?

Madeleine powiedziałyby prawdopodobnie, że każda odpowiedź jest możliwa, że wszystkie są możliwe lub żadna nie jest prawdziwa, ale niezależnie od tego to wszystko nie jest ważne. Najważniejsze, by postępować tak, aby człowiek był szczery sam ze sobą, tu i teraz. Ta myśl nękała go, wyprowadzała z równowagi. Madeleine prawdopodobnie kazałyby mu zacząć od telefonu do Kyle'a. Nie dlatego że szczególnie lubiła Kyle'a – w rzeczywistości chyba w ogóle go nie lubiła: uważała, że jego porsche to głupia ekstrawagancja, a o jego żonie sądziła, że jest pretensjonalna, jednak Madeleine osobiste odczucia zawsze stawiała na drugim miejscu. Na pierwszym było to, co należy zrobić i jak postąpić. Gurney zastanawiał się, jak ktoś tak spontaniczny może wprowadzić tyle zasad do swojego życia. To właśnie uczyniło z niej osobę, którą teraz jest. Dzięki temu była dla Gurneya latarnią świecącą w ciemnościach jego własnej egzystencji.

– To, co należy, tu i teraz.

Zainspirowany tą myślą, zjechał z drogi przy szerokim wjeździe do starej farmy, wyjął portfel, żeby odszukać numer Kyle'a (nie miał imienia Kyle'a w systemie wywoływania głosem, przez co teraz poczuł się źle). Dzwonić do

niego o trzeciej nad ranem – o północy w Seattle – to może było niemądre, ale alternatywa była jeszcze gorsza. Odłoży to na później, potem znów na później, a następnie przekona sam siebie, że lepiej w ogóle nie dzwonić.

– Tata?

– Obudziłem cię?

– Nie, jeszcze nie spałem. Wszystko w porządku?

– Tak. Wszystko dobrze. Ja... chciałem po prostu z tobą porozmawiać, oddzwonić na twój telefon. Nie jestem w tym zbyt dobry, a mam wrażenie, że od dłuższego czasu usiłujesz się do mnie dodzwonić.

– Na pewno nic się nie stało?

– Wiem, że to nie najlepsza pora na telefon, ale nie martw się, wszystko w porządku.

– To dobrze.

– Miałem ciężki dzień, ale dobrze się skończyło. Dlatego do ciebie nie oddzwaniałem... Byłem w samym środku dość nieprzyjemnej historii. Ale to żadne usprawiedliwienie. Czy czegoś ode mnie potrzebujesz?

– Jakiej okropnej historii?

– Co? No wiesz, to, co zwykle. Dochodzenie w sprawie o zabójstwo.

– Myślałem, że jesteś na emeryturze.

– Tak, jestem. To znaczy byłem. Ale wszedłem w to, bo znałem jedną z ofiar. To długa historia. Opowiem ci, kiedy się zobaczymy.

– No, proszę! Znowu ci się udało!

– Co takiego mi się udało?

– Złapałeś następnego seryjnego mordercę, tak?

– Skąd wiesz?

– Ofiary. Powiedziałeś „ofiary”, w liczbie mnogiej. Ile ich było?

– O pięciu wiemy, planował jeszcze dwadzieścia.

– I złapaliście go. Niech mnie! Seryjni mordercy nie mają z tobą szans. Jesteś jak Batman.

Gurney serdecznie się roześmiał. Ostatnio w ogóle się nie śmiał. I nie pamiętał, kiedy śmiał się podczas rozmowy z Kyle'em. Jeżeli się nad tym głębiej zastanowić, była to dosyć niezwykła, jak na nich, rozmowa,



zważywszy że trwała już co najmniej dwie minuty, a Kyle nie wspomniał o niczym, co właśnie kupił albo co zamierza kupić.

– W tym przypadku Batman miał niejednego pomocnika – odparł Gurney. – Ale nie dlatego dzwonię. Chciałem już wcześniej się do ciebie odezwać, zapytać co u ciebie. Co nowego?

– Niewiele – odparł Kyle chłodno. – Straciłem pracę. Rozstaliśmy się z Kate. Może rzucę to, czym się dotąd zajmowałem, i wrócę na studia. Co o tym sądzisz?

Po chwili pełnej zdumienia ciszy Gurney zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Jezu – powiedział. – Co się porobiło?

– Padł sektor finansowy, może już o tym słyszałeś, a razem z nim moja praca, małżeństwo, dwa mieszkania i trzy samochody. Z drugiej strony to zabawne, jak szybko człowiek potrafi się dostosować do takich nieprzewidywalnych zwrotów. I właśnie dlatego zastanawiam się, czy nie powinienem wrócić na studia, zostać prawnikiem. O to chciałem cię spytać. Uważasz, że mam do tego predyspozycje?

Gurney zaproponował Kyle'owi, żeby przyjechał do nich na wieś w weekend, by mogli omówić całą sytuację i przeznaczyć na to tyle czasu, ile potrzeba. Kyle się zgodził i Gurneyowi wydawało się, że jest nawet zadowolony. Kiedy skończył rozmowę z synem, siedział w samochodzie, przez dobre dziesięć minut nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Trzeba było zadzwonić w parę innych miejsc. Rano skontaktuje się z wdową po Marku Mellerym i powie jej, że nareszcie wszystko się skończyło, że Gregory Dermott Spinks jest aresztowany i że dowody jego winy są jasne, konkretne i bezsprzeczne. Sheridan Kline prawdopodobnie zadzwoni do niej wcześniej, a może nawet zrobi to Rodriguez. Gurney jednak musiał do niej zadzwonić, bo Mark był jego kolegą.

Pozostawał telefon do Sonii Reynolds. Zgodnie z umową między nimi Gurney był jej winien przynajmniej jeszcze jeden ze swoich specjalnych portretów twarzy morderców. Teraz wydawało mu się to tak nieważne i tak trywialne, że uznał to w zasadzie za stratę czasu. Jednak zadzwoni do niej, przynajmniej porozmawia o tym i skończy robić to, co zgodził się dla niej

wykonać. Ale nic więcej. Uwaga, którą poświęcała mu Sonia, była miła, łechtała jego ego i może była nieco podniecająca, ale to wszystko miało zbyt wysoką cenę, za mocno narażało rzeczy, które były naprawdę ważne.

Dwustupięćdziesięciokilometrowa trasa z Wycherly do Walnut Crossing zajęła mu pięć godzin, zamiast trzech, z powodu mocno padającego śniegu. Kiedy Gurney zjeżdżał z autostrady w boczną drogę, która meandrami wiła się w górę zbocza prowadzącego do jego farmy, czuł, że opanował go bezwład, i miał wrażenie, że samochód prowadził autopilot, a nie on sam. Uchylenie okna na ostatnią godzinę zapewniało chłodzenie twarzy i tlen w płucach, dzięki czemu jazda w ogóle była możliwa. Kiedy dotarł do łagodnie wznoszącego się pastwiska, oddzielającego olbrzymią stodołę od domu, zauważył, że płatki śniegu, które wcześniej wiatr zawiewał poziomo w poprzek drogi, opadały teraz delikatnie prosto w dół. Przejechał powoli przez pastwisko i skierował samochód na wschód, zanim się zatrzymał, tak by ciepłe promienie słońca w ciągu dnia, kiedy minie już burza śnieżna, ogrzały przednią szybę samochodu. Oparł się w fotelu, niemal niezdolny do ruchu.

Był tak potwornie wyczerpany, że kiedy zadzwonił telefon, dopiero po paru sekundach rozpoznał, co to za dźwięk.

– Tak? – to słowo zabrzmiało w jego uszach jak skrzeczący oddech.

– Czy mogę mówić z Davidem? – kobiecy głos brzmiał znajomo.

– Mówi David.

– A, rozumiem. Nie bardzo... wiedziałam. Mówi Laura. Ze szpitala. Prosił mnie pan o telefon... jeśli coś się wydarzy – dodała, zawieszając przy tym głos na tyle długo, żeby dać mu do zrozumienia, że jest znacznie więcej powodów tego telefonu.

– Tak. Dziękuję, że pani pamiętała.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Czy coś się stało?

– Pan Dermott zmarł.

– Przepraszam, może pani to powtórzyć?

– Gregory Dermott, ten człowiek, o którym chciał się pan dowiadywać.

Zmarł dziesięć minut temu.

– A przyczyna śmierci?

– Jeszcze nic oficjalnie nie wiadomo, ale z tomografii, którą zrobiono przy przyjęciu, wynika, że miał pękniętą czaszkę i rozległy wylew.

– Rozumiem. To chyba nic dziwnego przy takich obrażeniach. – Wydawało mu się przez chwilę, że coś odczuwa, ale to uczucie było zbyt dalekie i trudno mu je było nazwać.

– Nie, rzeczywiście. Nie przy tego rodzaju obrażeniach.

Odczucie było niedopowiedziane, lecz niepokojące, jak cichy okrzyk pośród wycia wiatru.

– No cóż. Dziękuję pani, Lauro. Dzięki, że pani zadzwoniła.

– Nie ma za co. Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Chyba nie – odparł.

– Proszę się dobrze wyspać.

– Tak. Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję.

Najpierw wyłączył telefon, później wyłączył światła samochodu i opadł głębiej w fotelu, zbyt wyczerpany, żeby sięgnąć do klamki. Nagle, gdy zgasły reflektory, ogarnęła go nieprzenikniona ciemność. Powoli, w miarę, jak wzrok przyzwyczajał się do braku światła, absolutna czerń nieba i lasu przechodziła w głęboką szarość, a pastwisko pokryte śniegiem – w lżejszy odcień szarości. Tam, gdzie wyobrażał sobie ledwo co widoczną wschodnią grań, gdzie słońce wzejdzie za godzinę, pojawiła się teraz delikatna aura. Śnieg przestał padać. Dom obok samochodu wydawał się masywny, chłodny i nieruchomy.

Próbował zrozumieć to, co się stało, w jak najprostszy sposób. Dziecko w sypialni z opuszczoną matką i niezrównoważony psychicznie, pijany ojciec... Okrzyki, krew i bezradność... Straszliwe urazy fizyczne i psychiczne na całe życie... Wyobraźnia zachęcająca do zemsty i odkupienia. I tak mały chłopak Spinksów wyrósł i zamienił się w szaleńca Dermotta, który zamordował co najmniej pięciu ludzi, a był bliski zamordowania jeszcze dwudziestu. Gregory Spinks, którego ojciec poderznął gardło matce. Gregory Dermott ze straszliwie strzaskaną czaszką, w tym samym domu,

w którym to wszystko się zaczęło.

Gurney wyjrzał na ledwo co widoczny zarys gór, wiedząc, że będzie trzeba pomyśleć jeszcze o innej historii, którą powinien zrozumieć znacznie lepiej i głębiej – historii swojego życia, historii ojca, który go ignorował, dorosłego syna, którego on sam zaniedbywał, obsesyjnej pracy i kariery zawodowej, która przyniosła mu tak wiele uznania, a tak mało spokoju, małego chłopczyka, który zginął, kiedy on nie patrzył, i Madeleine, która chyba jakoś to wszystko zrozumiała. Madeleine, światło, które niemal stracił, które wystawił na niebezpieczeństwo. Był zbyt zmęczony, żeby ruszyć palcem, zbyt senny, żeby cokolwiek czuć, jego umysł wypełniła litościwa pustka. Przez jakiś czas – nie wiedział, jak długo to trwało – było tak, jak gdyby nie istniał, jak gdyby wszystko w nim zmniejszyło się do abstrakcyjnego, bezwymiarowego punktu świadomości, do ukłucia tego, że w ogóle istnieje, i niczego więcej.

Ocknął się nagle, otworzył oczy, kiedy płonący krąg słońca zaczął przedzierać się przez bezlistne czubki drzew na szczycie góry. Przyglądał się świetlistej obwódce, która powoli rosła i zamieniała się w olbrzymi, biały łuk. I wtedy uświadomił sobie czyjąś obecność.

Madeleine, w swojej jasnopomarańczowej kurtce – w tej samej, którą miała na sobie, kiedy pierwszy raz jechali oglądać farmę – stała przy oknie samochodu i patrzyła na niego. Zastanawiał się, jak długo to trwało. Maleńkie kryształki lodu połyskiwały na futrzanym obszyciu jej kaptura. Spuścił nieco szybę.

Na początku milczała, ale na jej twarzy zobaczył, poczuł, odczuł – nie wiedział, którą ścieżką ta emocja do niego dotarła – wyraz zgody i miłości. Akceptacji, ciepła i głębokiej ulgi, bo jej mężczyzna znowu wrócił do domu cały i zdrowy.

Zadała mu wtedy pytanie, które, sam nie wiedział dlaczego, wzruszyło go – czy chciałby zjeść śniadanie.

Żywy płomień wschodzącego słońca oświetlił jej pomarańczową kurtkę. Gurney wysiadł z samochodu i objął ją, przytulił, jak gdyby była życiem samym.

## Podziękowania

Dziękuję wspaniałemu wydawcy, Rickowi Horganowi, będącemu niewyczerpanym źródłem dobrych pomysłów. Jego natchnienie prowadziło mnie zawsze ku lepszemu. Rick zaproponował mi doskonały tytuł (*Think of a Number*) i miał odwagę, co w dzisiejszym świecie wydawniczym rzadkie, wydać pierwszą powieść autora. Pragnę podziękować również Lucy Carson i Paulowi Cirone za ich rady, entuzjazm i skuteczność w działaniu, Bernardowi Whalenowi za wskazówki i słowa zachęty już na samym początku, Joshowi Kendallowi za konstruktywną krytykę i wspaniałe sugestie. Dziękuję też Molly Friedrich, najlepszej i najmądrzejszej agentce literackiej na świecie.

Tytuł oryginału: *Think of a Number*

Copyright © John Verdon, 2010

Copyright © for the translation by Krzysztof Mazurek

Projekt okładki: © Mario Arturo

Fotografia na okładce: © Digital Vision / Getty Images /  
Flash Press Media

Opieka redakcyjna: Adriana Celińska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Korekta: Magdalena Kędzierska i Anna Woś / d2d.pl

Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl na podstawie  
*Wyliczanka*, wydanie I, Kraków 2011

ISBN 978-83-7515-922-6

Wydawnictwo Otwarte

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

**woblink**

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)